

Nadchodził świt

Bogusław Wołoszański



calibre 0.9.27

Bogusław Wołoszański

Sensacje XX wieku

Druga Wojna Światowa

Rok wydania 1994

Nadchodził świt. Dowódca Frontu Zachodniego, Michaił Tuchaczewski, wyszedł z pokoju drewnianego domku, który od dwóch dni służył mu za kwaterę. Nie spał tej nocy. Oczywiście nadchodzący dzień nie mógł przynieść rozstrzygnięcia. Bitwa miała trwać długo, ale podniecenie, które odczuwał przed rozpoczęciem ofensywy, i zmęczenie odpędziły sen. Przeszedł przez wąską sień, gdzie na komodzie skulił się żołnierz.

- Nie śpij, bo cię zarzną jak prosię - Tuchaczewski trącił go łokciem.

Żołnierz zeskoczył z komody. Zaczął wtykać bluzę munduru za pasek spodni, a drugą ręką gorączkowo usiłował wymacać karabin, który zsunął się na podłogę.

- Tak jest, towarzyszu dowódco. Zmęczony... Ja tylko na chwilę głowę o ścianę oparłem... - mamrotał.

- Nastaw samowar. Wygasł już całkiem. - Tuchaczewski zdjął z wieszaka skórzaną kurtkę, narzucił na ramiona i otworzył drzwi wejściowe. Żołnierze stojący na warcie wyprężyli się. "Dobrze, że przynajmniej ci nie śpią" - pomyślał. Miał pod komendą prawie pół miliona ludzi, ale wiedział, że ich wartość bojowa nie jest duża. Zbieranina tych, którzy uwierzyli w rewolucję, i jeszcze więcej takich, co uważali, że będą łupić polskie dwory i gwałcić polskie dziedziczki. Nie mieli doświadczenia ani umiejętności żołnierskich, a dyscyplinę trzeba było krwawo egzekwować.

Wyszedł na wąską, piaszczystą uliczkę. Sierpniowy świt był zimny i wilgotny. Tuchaczewski zaplął guziki skórzanej kurtki. Postanowił pospacerować przez kilka minut.

Polacy cofali się. Uważał, że ani na moment nie można dać im odetchnąć, gdyż wówczas mogliby zorganizować rezerwy, podciągnąć zaopatrzenie, wzmocnić obronę i przejść do kontrofensywy. Tuchaczewski był głęboko przekonany, że cała Europa Zachodnia śle do Polski broń, amunicję, ochotników i prowiant. Dlatego siły wojsk polskich szybko się odradzały i każda przerwa w ofensywie, zelżenie nacisku może kosztować Rosję przegraną.

Armie Tuchaczewskiego też rozbudowywały się. W czerwcu Front Zachodni otrzymał pięćdziesiąt osiem tysięcy ludzi uzupełnienia i tym samym liczebność jego wojsk wzrosła do czterystu czterdziestu siedmiu tysięcy żołnierzy. Na początku lipca Tuchaczewski mógł wystawić w pierwszej linii dziewięćdziesiąt jeden tysięcy żołnierzy i dzięki temu na kierunku głównego uderzenia jego wojska miały dwukrotną przewagę liczebną nad wojskami polskimi. Ciągłe jednak było to za mało, dlatego też zdecydował rzucić do boju wszystkie odwody, a służby tyłowe ograniczyć do minimum. W ten sposób zyskał dodatkowo ponad pięć tysięcy żołnierzy.

O świcie 4 lipca 1920 r. wojska Frontu Zachodniego rozpoczęły ofensywę. W ciągu siedmiu dni Armia Czerwona przełamała polski front, przekroczyła Berezynę, zajęła Iłumień, Mińsk i Białystok. Polacy ponieśli duże straty i mimo zażartej obrony nie zdołali zatrzymać armii Tuchaczewskiego. Uchodzili z pola, ale w sposób zorganizowany; bez panicznej ucieczki wojska, które straciło wszystko i rozbite na niewielkie grupy ratowało się przed śmiercią lub niewolą. Odchodząc,

wysadzali mosty i minowali drogi. W potyczkach osłonowych oddawali niewielu jeńców i zostawiali niewiele sprzętu. Zachowywali siły do ostatecznej rozprawy. Pod Warszawą mogli odbudować swoje wojska, których potęgę pokazali w kwietniu i maju 1920 r. Tuchaczewski liczył jednak, że szybki marsz jego oddziałów uniemożliwi Polakom zorganizowanie obrony i zmobilizowanie rezerw. Przed nim była Warszawa i ostateczne zwycięstwo. Wydał odezwę do żołnierzy:

Czerwonoarmiści! (...) Wielki pojedynek rozstrzygnie losy wojny i narodu rosyjskiego oraz ludności polskiej. Wojska spod znaku Czerwonego Sztandaru i wojska łupieżczego białego orła oczekuje śmiertelny pojedynek. (...) Na Zachodzie rozstrzygają się losy światowej rewolucji. Ponad trupem białej Polski wiedzie droga do ogólnoświatowej pożogi. Poniesiemy na bagnietach szczęście i pokój pracującej ludzkości.

Tuchaczewski planował wielkie uderzenie na Warszawę od północy i tam zdecydował się skoncentrować cztery armie, które mogłyby przełamać silną obronę, jakiej spodziewał się w rejonie stolicy. Prawe skrzydło jego wojsk było potężne, ale na pozostałych odcinkach wielkiego frontu sytuacja kształtowała się niekorzystnie dla Rosjan. Na centralnym kierunku, na obszarze rozciągniętym na sto sześćdziesiąt kilometrów działała słaba grupa mozyrska, licząca zaledwie pięć tysięcy żołnierzy. Lewe skrzydło pozostało całkowicie odsłonięte. Polskie uderzenie w to miejsce groziło odcięciem armii idących na Warszawę, okrążeniem ich i zniszczeniem. Tuchaczewski musiał więc uzyskać dodatkowe siły. Mógł je przejąć z Frontu Południowo-Zachodniego, którego armie podeszły pod Lwów. Naczelny dowódca Armii Czerwonej, Siergiej Kamieniew obiecał, podczas narady 22 lipca, że wyda rozkaz przesunięcia 1. Armii Konnej i 14. armii z Frontu Południowo-Zachodniego na lewe skrzydło Frontu Zachodniego. Jednakże dowódca Frontu Południowo-Zachodniego Aleksander Jegorow i członek Rady Rewolucyjnej Józef Stalin nie mieli zamiaru oddawać najsilniejszych jednostek do dyspozycji innego dowództwa i umożliwić mu tym samym odniesienie świetnego zwycięstwa. Sami chcieli przejść do historii jako pogromcy Polski. Stalin pisał do naczelnego dowódcy Armii Czerwonej:

Na całej linii Frontu Południowo-Zachodniego Polacy stawiają bardzo silny opór, przy czym szczególną zaciętość przejawiają na kierunku lwowskim. Sytuacja z Rumunią jest niejasna i napięta. W tych warunkach uważam za konieczne przenieść punkt ciężkości głównego uderzenia armii i Frontu Południowo-Zachodniego w granice Galicji. Siergiej Kamieniew zatwierdził tę propozycję, chociaż oznaczała ona rozproszenie sił. Od tej chwili Stalin zaczął lekceważyć polecenia przekazania części wojsk Frontu Południowo-Zachodniego do Frontu Zachodniego.

Rozkaz w tej sprawie - jaki nadszedł 3 sierpnia - po prostu wyrzucił do kosza. Dyrektywa z 6 sierpnia mówiąca o przekazaniu 1. Armii Konnej, 12. armii i dodatkowo 14. armii, również nie została wykonana. 11 sierpnia Kamieniew ponownie wydał rozkaz przekazania Tuchaczewskiemu 1. Armii Konnej i 12. armii. Pisał w telegramie do Stalina i Jegorowa:

W celu udzielenia pomocy Tuchaczewskiemu skierować jak najwięcej sił do uderzenia mniej więcej w kierunku na Lublin, Puławy, aby wszelkimi sposobami wesprzeć lewe skrzydło Tuchaczewskiego. (...) Jest rzeczą istotną i konieczną, by jak najprędzej przekazać dowódcy frontu [tj. Tuchaczewskiemu - B W] najpierw 12. armię, a potem bezpośrednio podporządkować mu również Armii Konnej, przy czym Tuchaczewski wyznacza termin przekazania 12. armii na 13 sierpnia, a Armii Konnej - na 15 bm.

- Michaił Nikołajewicz, telegram z dowództwa. - Tuchaczewski odwrócił się. Stał za nim członek Rewolucyjnej Rady Wojennej, Józef Unszlicht. - Już rozszyfrowane!

- Co piszą?

- Towarzysz naczelny dowódca potwierdza wysłanie do dowództwa i Rady Rewolucyjnej Frontu Południowo-Zachodniego rozkazu przekazania nam 12. armii, ale nie precyzuje terminu. Powołuje się jedynie na waszą ocenę, iż 12. armia powinna najpóźniej jutro dołączyć do nas, a Konarmia - do 15 sierpnia...

- Czy od Jegorowa nadeszła jakaś wiadomość?

- Nie. Nie sądzę, abyśmy, w ciągu najbliższych dni usłyszeli cokolwiek od Jegorowa i Stalina...

- Uważasz, że będą sabotować rozkazy dowództwa?

- Robią to już od pewnego czasu. - Unszlicht rozpiął płaszcz i z kieszeni munduru wyjął paczkę papierosów. - Francuskie, zdobyczne. - Wyciągnął papierosy w stronę Tuchaczewskiego. Ten pokręcił przecząco głową.

- Wojska Frontu Południowo-Zachodniego są pod Lwowem i mają szansę zdobycia tego miasta - mówił dalej Unszlicht. - Stalin pragnie tego bardziej niż Jegorow. W karierze polityka atut w postaci zdobycia miasta ma duże znaczenie. Dlatego nie odda nam ani jednego pułku, gdyż jest przekonany, że gdy zdobędzie Lwów, to wówczas nikt nie będzie pamiętał o jego niesubordynacji...

- Jeżeli tak jest, jak mówisz, to Stalina należałoby oddać pod sąd wojenny i rozstrzelać!

- Może się tłumaczyć, że Konarmia i 12. armia są uwikłane w zacięte walki i nie sposób w podanym przez nas terminie ich wycofać. Być może partia zechce postawić przed sądem Stalina i Jegorowa, ale przedtem my musimy zdobyć Warszawę. Bez ich pomocy - spokojnie stwierdził Unszlicht.

Odczekał chwilę, ale nie słysząc odpowiedzi powtórzył:

- Tak, musimy zdobyć Warszawę bez Konarmii i 12. armii. W każdym razie nie możemy liczyć na wsparcie jednostek w ciągu najbliższych dni...

Tuchaczewski milczał. Miał dość dyskusji na temat niewystarczających sił w centrum i na lewym skrzydle wojsk idących na Warszawę.

- Nasze plany zatwierdziła partia i naczelne dowództwo. Ofensywa rozpocznie się zgodnie z planem - powiedział w końcu. - Za daleko zaszliśmy, aby teraz dać Polakom czas na zorganizowanie obrony i kontrofensywy. Jedyne, co możemy zrobić, to uderzać, nawet bez Konarmii!

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę kwatery. Unslicht zgasił papierosa i podążył za nim.

13 sierpnia o świcie armie Frontu Zachodniego ruszyły ku Wiśle.

Dysproporcja w rozłożeniu sił i słabość lewego skrzydła wojsk bolszewickich nie mogły ujść uwagi polskiego dowództwa. Desperacka obrona wojsk polskich pod Raszynem, Zielonką i Ossowem powstrzymywała postępy Armii Czerwonej i umożliwiła manewr zaczepny. 16 sierpnia znad Wieprza uderzyła 2. armia generała Edwarda Rydza-Śmigłego. Jej oddziały wdarły się od południa w najslabszą część sowieckiego frontu i zaczęły szybko posuwać się na północ. 17 sierpnia w Mińsku Mazowieckim wojska 2. armii połączyły się z 5. armią generała Władysława Sikorskiego.

Tuchaczewski nie miał już złudzeń. Dalsze postępy polskich wojsk groziły okrążeniem jego oddziałów. Armia Czerwona, która straciła w bitwie warszawskiej około osiemdziesięciu tysięcy ludzi, rozpoczęła szybki i bezładny odwrót. Prawie sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy sowieckich zbiegło do Prus Wschodnich. Armia Konna i 12. armia z Frontu Południowo-Zachodniego włączyły się do walk 20 sierpnia, ale było już za późno, aby mogły zmienić sytuację na froncie.

Klęska pod Warszawą nie przeszkodziła jednak w dalszej karierze Michaiła Tuchaczewskiego. Stało się tak za sprawą Lenina, przekonanego, że zawinił głównie Stalin. Ponadto Lenin doskonale rozumiał, że siły zbrojne Rosji Sowieckiej muszą tworzyć fachowcy - wykształceni w szkołach wojskowych, z doświadczeniem bojowym, nabytym na frontach wojny światowej i wojny domowej. A do takich należał Tuchaczewski. Dlatego partia komunistyczna - na pewien czas przynajmniej - zapomniała, że pochodził ze szlachty.

Dlaczego jednak syn zubożałego ziemianina, absolwent elitarnej Aleksandrowskiej Szkoły Wojennej, oficer legendarnego Siemionowskiego Pułku Gwardii wstąpił do Armii Czerwonej i z pasją zwalczał wszystko, co "burżuazyjne"? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Być może bezpośredni wpływ na postawę młodego człowieka wywarły doświadczenia wojenne? Tuchaczewski w 1914 r. wyruszył na front jako zastępca dowódcy kompanii. Walczył z niebywałą odwagą i poświęceniem, czego dowodem było przyznanie mu sześciu odznaczeń w ciągu pół roku! W lutym 1915 r. dostał się do niewoli, skąd cztery razy próbował zbiec. Przenoszono go do coraz cięższych i staranniej pilnowanych obozów, aż trafił do twierdzy Ingolstadt, gdzie spotkał francuskiego kapitana Charlesa de Gaulle'a. Zaprzyjaźnili się. Przed rozstaniem de Gaulle podarował mu rodzinną pamiątkę: złoty krzyżyk wysadzany brylantami.

Tuchaczewski wy dostał się na wolność z ponurej bawarskiej twierdzy i pieszo przedarł do Szwajcarii, skąd powrócił do Rosji. Zgłosił się do wojska i rozpoczął służbę w rezerwowym pułku siemionowskim. Straszliwe doświadczenia frontowe, dotkliwe przeżycia w niewoli odebrały mu entuzjazm i wiarę w cara. Rozgoryczony klęskami armii carskiej uznał, że rewolucja - najpierw lutowa, a potem październikowa - stwarza szansę służby dla ojczyzny, walki z Niemcami, których szczerze nienawidził, a zarazem działania dla osobistej kariery. Bez wątplenia ten ostatni powód był

decydujący w kolejnych poczynaniach Tuchaczewskiego.

W marcu 1918 r., gdy bolszewicy ogłosili mobilizację wojskowych specjalistów, zgłosił się do służby. Wkrótce potem wstąpił do partii bolszewickiej, rekomendowany przez dwóch starych komunistów: Awła Jenukidzego i Nikołaja Kulabkę. Oni to w znacznym stopniu przyczynili się do kariery młodego człowieka o niezwykle wybujałych ambicjach. Kulabko przedstawił Tuchaczewskiego Leninowi i być może to spotkanie - w czasie którego wodzowi spodobało się oddanie komunizmowi, prezentowane przez młodego oficera - przesądziło o darowaniu mu późniejszych błędów... Carski porucznik w wieku zaledwie 25 lat został komisarzem Moskiewskiego Rejonu Zachodniej Strefy Obronnej. Wkrótce mianowano go dowódcą 1. armii i skierowano na front wschodni w rejon środkowej Wołgi, gdzie należało zdławić powstanie Korpusu Czechosłowackiego. 27 czerwca 1918 r. Tuchaczewski przybył na stację Inza, gdzie mieścił się sztab armii. Dotychczas dowodził niewielkimi oddziałami, liczącymi co najwyżej kilkudziesięciu żołnierzy. Nagle dano mu władzę nad życiem i śmiercią kilkunastu tysięcy ludzi. To wywołało zawrót głowy u młodego oficera.

Porządki, które zastał w Inzie, nie spodobały mu się, i zapewne słusznie. Pisał: (...) *zarówno dowódcy, jak i szeregowi czerwonoarmiści odznaczali się niezwykle egocentryzmem. O żadnej dyscyplinie nawet mowy nie było. W skład armii wchodziły również takie oddziały (zwłaszcza niektóre pociągi pancerne i oddziały pancerne), których nasze dowództwo obawiało się niemal tak samo jak nieprzyjaciela.*

Nie spodobał mu się również dowódca frontu, w którego składzie działała 1. armia - Murawiov. Uznał go za "wojskowego analfabetę" i "samolubnego awanturnika". Dziwne to określenia, jeśli zważyć, że Murawiov był podporucznikiem carskiej armii. W czasie wojny światowej oraz po rewolucji lutowej dowodził dużymi oddziałami i zdobył wielkie doświadczenie bojowe. Negatywna opinia Tuchaczewskiego o zwierzchniku miała podłoże polityczne: Murawiov był lewicowym eserowcem*, [* Członkiem Partii Socjalistów-Rewolucjonistów, założonej na przełomie lat 1901 i 1902. Po rewolucji październikowej eserowcy wystąpili przeciwko bolszewikom. W grudniu 1917 r. powstała oddzielna organizacja lewicowych socjalistów-rewolucjonistów, która po okresie współpracy z bolszewikami w lipcu 1918 r. przeszła do otwartej opozycji.] co wywoływało nienawiść komandarma 1. armii, całkowicie już oddanego nowej ideologii. Otwartemu konfliktowi zapobiegł nagły zwrot w działaniach Murawiowa, który na wieść o powstaniu lewicowych eserowców w Moskwie postanowił wzniecić rewolucję w Symbirsku. Zaproponował Tuchaczewskiemu, aby przyłączył się do puczu. Ten, co prawda, odmówił, ale dał się aresztować bez najmniejszego oporu. Biernośćomalże nie kosztowała go głowy po stłumieniu buntu przez bolszewików, którzy - podejrzliwi wobec wszystkich byłych oficerów carskich - uznali, że Tuchaczewski musiał zdradzić sprawę, skoro uszedł z życiem z rąk buntowników. Przed trybunałem rewolucyjnym, a zarazem niechybnym wyrokiem śmierci, uratowało go dwóch starych komunistów: Iosif Warejkis (sekretarz gubernialnego komitetu RKP(b), odpowiedzialny za zastrzelenie Murawiowa) i Walerian Kujbyszew (późniejszy komisarz polityczny armii Tuchaczewskiego).

Pomoc i przyjaźń działaczy blisko związanych z najwyższymi władzami Rosji radzieckiej miały

ogromny wpływ na dalszą karierę Tuchaczewskiego. Jako dowódca 5. armii Frontu Wschodniego, zaprzyjaźnił się z Michaiłem Frunzem - wówczas dowódcą 4. armii - późniejszym ludowym komisarzem spraw wojskowych i morskich. Zyskał również przyjaźń Grigorija "Sergo" Ordżonikidze, późniejszego najbliższego współpracownika Stalina, jednego z nielicznych, którzy dyktatorowi mówili po imieniu. Te frontowe przyjaźnie, zawarte z ludźmi mającymi wiele do powiedzenia w bolszewickich władzach, ratowały Tuchaczewskiego zarówno przed intrygami podwładnych, nienawidzących go za pełną wyższości postawę, zemstą przełożonych, których ostro krytykował, zarzucając niekompetencję, jak i przed podejrzliwością samych władz, które nie mogły zapomnieć Tuchaczewskiemu szlacheckiego pochodzenia i carskiej szkoły. Nie był to jednak czas, w którym nowa władza mogłaby pozbywać się takich ludzi, jak Tuchaczewski: deklarujących lojalność i oddanie komunizmowi, bez wahania wypełniających polecenia. Byli przydatni.

Dlatego też Lenin, nie bacząc na rozmiary klęski w Polsce, już w marcu 1921 r. wyznaczył Tuchaczewskiemu zadanie stłumienia rebelii marynarzy garnizonu w Kronsztadzie. Tę misję mógł wypełnić tylko doświadczony oficer, który żelazną ręką zaprowadziłby porządek w skłóconym i rozpadającym się dowództwie wojsk komunistycznych i pokierował szturmem na niedostępną twierdzę. Czasu było bardzo niewiele; nadchodziły wiosenne roztopy, a jedyna droga do fortów Kronsztadu prowadziła przez lód zatoki. 18 marca - po zaciętych i krwawych walkach - Tuchaczewski mógł zapisać na swoim koncie kolejny sukces: spacyfikowanie Kronsztadu. Ta wiadomość niezwykle ucieszyła Lenina, który przyjął zwycięzcę i uhonorował pochwałą: Ojczulku, jestem zadowolony, bardzo zadowolony z przeprowadzonej przez was operacji. I natychmiast zlecił Tuchaczewskiemu równie trudne zadanie: zlikwidowanie buntu Aleksandra Anionowa w guberni tambowskiej. Potyczki wojsk komunistycznych z dobrze zorganizowanymi i korzystającymi z poparcia miejscowej ludności oddziałami Anionowa (liczącymi pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy) trwały kilka miesięcy. Zdecydowanie i bezwzględność, wspierane nowymi metodami walki (m.in. zorganizowaniem oddziałów szybko przemieszczających się samochodami), przyniosły Tuchaczewskiemu sukces w czerwcu 1921 r.

Nadszedł czas, aby zaczęły profilować wojenne przyjaźnie. Michaił Frunze - już szef sztabu Armii Czerwonej - ściągnął go w 1924 r. do Moskwy na pomocnika, a następnie zastępcę szefa Sztabu Armii Czerwonej. Prawdopodobnie planował, że doświadczony na wielu frontach dowódca obejmie po nim funkcję szefa sztabu. Niespodziewanie jednak plany te spaliły na panewce; w lutym 1925 r. Tuchaczewski został wysłany na stanowisko dowódcy Zachodniego Okręgu Wojskowego w Smoleńsku. Ten raptowny zwrot w karierze był bez wątpienia dziełem Stalina. Sekretarz generalny KC WKP(b) - już choćby ze względu na nieporozumienia z okresu wojny z Polską - nie darzył sympatią byłego dowódcy Frontu Zachodniego. Lecz w tym wypadku nie chodziło o zadawnione urazy.

W 1925 r. Stalin zaczynał budować podstawy swojej potęgi. Doceniał siłę armii i odpowiadało mu to, że wiele wysokich stanowisk zajmują byli oficerowie carscy. Unikali oni bowiem angażowania się w rozgrywki partyjne i nie byli uwikłani we wszelkiego rodzaju frakcje, do których przystępowali starzy bolszewicy. Stalin poparł decyzję Frunzego, który zdecydował się zlikwidować zniechęconą przez wojskowych instytucję komisarzy politycznych i wprowadzić na ich miejsce szefów zarządów politycznych o znacznie mniejszych kompetencjach i podporządkowanych formalnie dowódcom jednostek, przy których działali. Takie posunięcie w tym okresie walki o władzę

odpowiadało Stalinowi, jako że prowadziło do odpolitycznienia wojska. Dlatego też przez pewien czas tolerował karierę Tuchaczewskiego, ale nie mógł patrzeć, jak pod jego boki kwitnie przyjaźń dwóch dowódców cieszących się wojenną sławą. Zdecydował się wysłać Tuchaczewskiego gdzieś daleko od Moskwy. Na miejscu pozostał Frunze, którego pozycja i popularność niepokoiły Stalina. Wiedział, że ten legendarny przywódca oddziałów czerwonoarmijnych, wspaniały strateg i lubiany przez żołnierzy dowódca może stać się poważnym konkurentem do stanowiska sekretarza generalnego. W październiku 1925 r. czterdziestoletni Frunze poddał się operacji wrzodu żołądka. Nie przeżył tego zabiegu, a okoliczności zgonu zdają się wskazywać jednoznacznie, że było to zabójstwo, inspirowane przez Stalina.

W listopadzie 1925 r., a więc w kilka miesięcy po opuszczeniu Moskwy, Tuchaczewski powrócił do stolicy na stanowisko szefa sztabu Armii Czerwonej. Ta decyzja Stalina staje się zrozumiała, jeśli weźmie się pod uwagę, że sekretarz generalny nie miał większego wyboru.

Reforma w siłach zbrojnych - wprowadzona przez Frunzego - stawiała kandydatowi na stanowisko szefa sztabu bardzo wysokie wymagania. Mogli im sprostać jedynie carscy sztabowcy, ale oni nigdy nie zyskali całkowitego zaufania nowych władz. Tuchaczewski zaś dowiódł wielokrotnie pełnego oddania, i - co najważniejsze dla Stalina - trzymał się z dala od wszelkich koterii i rozgrywek partyjnych. Sekretarz generalny mógł więc uważać, że nowy szef sztabu zajmie się budowaniem potęgi armii, a nie przyłączy się do opozycji.

Tuchaczewski rzeczywiście włączył się w nurt reform, w wyniku których Armia Czerwona miała przeobrazić się w nowoczesne wojsko dysponujące silną bronią pancerną i lotnictwem. Aby osiągnąć ten cel, gotów był nawet zapomnieć o swych urazach wobec Niemców. Wiedział doskonale, że rachityczny i na dodatek wyniszczony wojną przemysł radziecki nie może dać wojsku nowoczesnego uzbrojenia. W tej sytuacji współpraca z Republiką Weimarską i jej siłami zbrojnymi, Reichswehrą, wydawała się nieodzowna. Z drugiej zaś strony Niemcy - skrzepowani zakazami traktatu wersalskiego, zabraniającego im m.in. budowy i posiadania czołgów, samolotów bojowych, okrętów podwodnych - byli zainteresowani skorzystaniem z możliwości, jakie dawały radzieckie poligony i szkoły wojskowe. Zakłady Kruppa, Rheinmetall czy Mañ mogły ukryć przed międzynarodową kontrolą działalność zbrojeniową. Pierwsze modele czołgów, powstające w dobrze ukrytych warsztatach, nazwano "Lekkim traktorem" i "Ciężkim traktorem", a prototyp czołgu, który dał początek masowo produkowanym PzKpjw I nazwano "Landwirtschaftlicher Schlepper", co oznaczało "ciągnik rolniczy". Jednakże trzeba było wyjechać tymi "traktorami" na poligon, sprawdzić, jak zachowują się w trudnych warunkach, a przede wszystkim postrzelać z czołgowych dział (konstruowanych potajemnie m.in. w szwedzkich zakładach Boforsa). Tak hałaśliwych prób nie można było tłumaczyć testowaniem modeli maszyn rolniczych. Radzieckie poligony, niedostępne dla międzynarodowych kontroli i szpiegów, pozwalały badać nowy sprzęt i trenować załogi (m.in. w szkole wojsk pancernych w Kazaniu). Rosyjscy specjaliści uważnie przyglądali się niemieckim prototypom i wynikom prób. W rezultacie w pierwszym czołgu, jaki powstał w radzieckich biurach konstrukcyjnych, wykorzystano wiele rozwiązań z niemieckiego "Grosstraktora", a także z zakupionego w Wielkiej Brytanii czołgu "Vickers" (lótonner). Tuchaczewski kilkakrotnie wyjeżdżał do Berlina i podpisywał tam dokumenty dotyczące współpracy wojskowej Armii Czerwonej i Reichswehry.

Stalin krytycznie obserwował dynamicznego i ambitnego szefa sztabu. Nie podobał mu się rozmach Tuchaczewskiego ani jego samodzielność. Konflikt był nieunikniony... W grudniu 1927 r. Tuchaczewski wystosował raport, w którym domagał się przyznania większych środków na wyposażenie sił zbrojnych w najnowocześniejszy sprzęt - zwłaszcza czołgi i samoloty. Czy Stalin zwietrzył w tym próbę podważenia jego władzy, jako że prymitywna gospodarka radziecka nie mogła spełnić żądań dostarczenia nowoczesnej broni, czy też uznał, że Tuchaczewski zbyt szybko staje się samodzielny, w każdym razie zareagował bardzo ostro, nazywając raport bredniami. Tuchaczewski, któremu opinię Stalina przekazał komisarz do spraw wojskowych Kliment Woroszyłow, uniósł się honorem i podał się do dymisji.

Został odesłany do Leningradu na stanowisko dowódcy okręgu wojskowego. Nie zarzucił jednak planów mechanizacji armii. W Leningradzie znalazł dobry klimat do urzeczywistniania swoich pomysłów. Nowa przyjaźń - z Siergiejem Kirowem, szefem lokalnego komitetu partii i członkiem Biura Politycznego - ułatwiała uzyskanie dodatkowych środków i umożliwiało wykorzystanie miejscowego przemysłu do realizacji zamówień armii oraz, co ważne dla Tuchaczewskiego, dawała wsparcie i ochronę ze strony funkcjonariusza partyjnego. Tuchaczewski okazję umiał chwycić w lot. Realizował swe pomysły na poligonie i czekał na sprzyjający moment.

W końcu 1929 r. Komitet Centralny WKP(b) podjął uchwałę "O stanie obrony ZSRR", w której stwierdzono, że w ciągu dwóch lat należy nasycić wojsko sprzętem. Tuchaczewski postanowił przedstawić swe propozycje restrukturyzacji sił zbrojnych i w kwietniu 1930 r. i w sierpniu 1930 r. przesłał do Stalina raport na ten temat. Raport wywołał burzę. Sekretarz generalny nie potrzebował bowiem rad. Oskarżył Tuchaczewskiego o dążenie do militaryzacji kraju. Był to zarzut równie poważny jak zarzut zdrady i szpiegostwa. Militaryzacja - w rozumieniu władz komunistycznych - oznaczała intensywną produkcję uzbrojenia, co w warunkach Związku Radzieckiego musiałyby się odbywać kosztem produkcji np. ubrań, a więc działałoby "przeciwko narodowi radzieckiemu". To mógł być śmiertelny zarzut, zwłaszcza że padł w czasie, gdy Stalin rozpoczął wielką rozprawę z wyższymi dowódcami Armii Czerwonej, wywodzącymi się z carskiego korpusu. Śledztwo prowadzone przez OGPU w sprawie tzw. Partii Przemysłowej* [* W dniach 25. 11. - 7.12.1930 r. odbył się proces ośmiu inżynierów, oskarżonych o przynależność do Partii Przemysłowej i działalność na szkodę gospodarki ZSRR. Celem tej rozprawy miało być uzasadnienie stosowania przez władze zbrodniczych metod w czasie kolektywizacji rolnictwa. Ze względu na opór, jaki polityka Stalina budziła w Biurze Politycznym, oskarżonych skazano "tylko" na kary więzienia i zrezygnowano z dalszych procesów.] wskazało na kilku oficerów. Był to wystarczający powód, aby machina ścigania została skierowana przeciwko wojsku. W więzieniu znaleźli się byli generałowie: Aleksandr Bałtijskij, Władimir Jegoriew, Aleksandr Lignau, Siergiej Łukirskij; teoretycy wojskowości: Kakurin, Sniesarijew, Aleksandr Swieczin i wielu innych. Zostali zesłani do łagrów, skąd większość po dwóch latach zwolniono. Czy w grupie tej miał znaleźć się również Tuchaczewski? Wydawałoby się, że Stalin, rzucając tak ciężkie oskarżenie, zdecydował się unicestwić człowieka, wobec którego żywił zadawnione urazy. Jednakże cofnął się przed zastosowaniem ostatecznych środków. Być może dlatego, że Tuchaczewski wysłał do niego list, który nieco złagodził gniew wodza. Być może Stalin planując szybką rozbudowę armii uznał, że Tuchaczewski może mu być jeszcze potrzebny. W każdym razie Tuchaczewski uniknął procesu i zaczął ponownie wspinać się po szczeblach wojskowej kariery.

W czerwcu 1931 r. został mianowany wiceprzewodniczącym Rady Wojennej, wicekomisarzem do spraw wojskowych i morskich oraz szefem uzbrojenia armii. Mógł więc kształtować Armię Czerwoną jako siłę uderzeniową zdolną zmiażdżyć każdego wroga, zarówno tego, który usiłowałby wdrzeć się w granice Związku Radzieckiego, jak i tego, przeciwko któremu partia komunistyczna zdecydowałaby się skierować swoje zbrojne ramię.

Trzonem armii miały być jednostki pancerne. W sierpniu 1931 r. Rada do spraw Pracy i Obrony uchwaliła, na wniosek Tuchaczewskiego, program budowy czołgów. Do końca 1932 r. sformowano dwa pierwsze korpusy - samodzielne taktyczne związki operacyjne, z których każdy złożony był z dwóch brygad zmechanizowanych, jednej brygady karabinów maszynowych oraz samodzielnego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej. Analizy i doświadczenia z wielkich manewrów wykazały, że stan etatowy korpusu powinien wynosić 469 czołgów, 200 samochodów oraz 9865 żołnierzy i oficerów. Do 1936 r. utworzono 4 korpusy zmechanizowane, 6 samodzielnych pułków czołgów, 15 zmechanizowanych pułków dywizji kawalerii oraz 83 bataliony i kompanie czołgów w dywizjach piechoty. Zakłady przemysłu czołgowego, zbudowane w czasie I pięciolatki 1928-1932 z roku na rok zwielokrotniały produkcję. W 1930 r. wyprodukowały 170 czołgów, rok później - 740, w 1932 r. - 3038, aby osiągnąć maksymalną wydajność 4803 czołgów w 1936 r. Takimi wynikami nie mógł się poszczycić przemysł żadnego z potężniejszych państw.

Tuchaczewski rozumiał, jak ogromne znaczenie dla działań wojennych ma lotnictwo. Według jego planów miała to być samodzielna siła. Na początku 1936 r. przystąpiono do formowania armii lotniczych, liczących 250-260 samolotów myśliwskich i bombowych, które miały działać na kierunkach strategicznych. Jakby z boku tych wielkich działań organizacyjnych Tuchaczewski realizował swe zamiłowanie do nowinek technicznych, które nie zawsze jednak przynosiły oczekiwane skutki. Próby z kutrami wybuchowymi zakończyły się fiaskiem, podobnie jak eksperymenty z samolotem-matką, wynoszącym w powietrze na swoich skrzydłach cztery myśliwce. Wiara w moc techniki owocowała jednak w pracach Naukowo-Doświadczalnego Instytutu Rakietowego - którego pracownicy zostali otoczeni bezpośrednią opieką Tuchaczewskiego - badaniami nad silnikami odrzutowymi i radiolokacyjnymi metodami wykrywania samolotów.

Dobra passa trwała. W 1935 r., gdy w ZSRR przywrócono stopnie wojskowe (w miejsce wprowadzonych po rewolucji stopni funkcyjnych), Tuchaczewski otrzymał stopień marszałka - jako jeden z pięciu oficerów, którzy dostąpili tego najwyższego wojskowego zaszczytu. Marszałek Tuchaczewski mógł wreszcie uwierzyć w swoją siłę i powodzenie...

Pętla

Kolumna samochodów zjechała z drogi prowadzącej z centrum Kijowa, minęła wartowników wyprężonych jak struny przy uniesionym szlabanie i skierowała się szeroką, brukowaną drogą w głąb poligonu. Generał Archibald Wavell, przedstawiciel brytyjskiego Generalnego Sztabu Imperialnego, patrzył z zainteresowaniem na rozległe stopy, na których za kilkadziesiąt minut miała rozegrać się decydująca część manewrów wojskowych. Droga zakręcała szerokim łukiem obejmującym niewielkie wzniesienie, zza którego zaczęły się wyłaniać sylwetki czołgów. Rosjanie zapewne umyślnie ustawili je tak, aby zakręt stopniowo ujawniał coraz więcej pancernych pojazdów, stojących w nienagannym porządku. Załogi, wyprężone na baczność, witały przemykające samochody z członkami zagranicznych sztabów generalnych i ataszatów wojskowych.

Wavell patrzył z rosnącym zdumieniem. Szybko przestał liczyć czołgi, orientując się, że jest ich co najmniej kilkaset.

- Możliwości totalitarnego państwa są niezmierzone - powiedział półgłosem do siedzącego obok oficera. Starał się, aby rosyjski kierowca nie słyszał rozmowy, gdyż, jak sądził, żołnierz znał angielski. - Zgromadzili tutaj co najmniej pięćset czołgów.

- Zapewne nie jest to jedyna rzecz, którą zadziwią nas dzisiaj, sir - odrzekł oficer, równie zaskoczony liczebnością pojazdów pancernych.

Rzędy czołgów skończyły się i samochody przemknęły przez las i zaczęły piąć się pod górę, na której widać było obszerną trybunę, a za nią rozłożyste namioty wojskowe. Samochody zatrzymały się i wysiedli z nich oficerowie, którzy przybyli obserwować wielkie manewry. Wavell szukał wzrokiem postawnej sylwetki marszałka Tuchaczewskiego. Wiedział, że oficer ten, według ocen brytyjskiego ataszatu wojskowego - jeden z najzdolniejszych spośród dowódców Armii Czerwonej - otrzymał w lipcu najwyższy stopień wojskowy. Pragnął poznać go, gdyż uważał, że ta znajomość może być bardzo interesująca. W tłumie mundurów nie mógł jednak odnaleźć sylwetki znanej tylko z opisów.

- Gdy dostrzeże pan Tuchaczewskiego, to proszę mi go wskazać. - Zwrócił się do stojącego obok pracownika ambasady brytyjskiej.

- Nie widziałem go jeszcze, ale zapewne wkrótce się pojawi.

Grupa oficerów zaczęła wspinać się szerokimi, drewnianymi schodami na trybunę.

- Szanowni goście! - Radziecki oficer, który wyszedł przed trybunę, odczekał, aż wszyscy zajmą miejsca. - Witam was w imieniu towarzysza Stalina, partii, rządu Związku Radzieckiego i dowództwa Armii Czerwonej na manewrach Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Biorą w nich udział wszystkie rodzaje wojsk, które ćwiczyły przełamywanie pasa obrony, umocnionego przez korpus piechoty, wsparty batalionami czołgów i artylerią...

- Ciekawe, iloma batalionami, skoro tam, za zakrętem, kolumny czołgów ciągnęły się przez

dobłą miłą. - Attache pochylił się do Wavella.

- Pewnie nie powiedzą, ile jednostek, ale podadzą liczbę czołgów - odparł generał i nie pomylił się.

- W ćwiczeniach uczestniczy tysiąc czterdzieści czołgów, z których większość przebyła do sześciuset pięćdziesięciu kilometrów, zachowując pełną dyscyplinę marszową... - mówił oficer radziecki. Wavell nie słuchał dalszych wyjaśnień. Liczba tysiąca czołgów wydawała mu się imponująca. Jeżeli Armia Czerwona potrafiła zgromadzić na jednych manewrach tysiąc czołgów, to oznaczało, że ma ich co najmniej dziesięć razy tyle. Wśród pojazdów stojących na poligonie przeważały lekkie czołgi T-26, budowane na brytyjskiej licencji "Vickersa" (6 ton), ale dostrzegł też średnie czołgi T-28 z trzema wieżami i ciężkie T-32, będące dość wierną kopią brytyjskiego "Independent Tank". Siła pancerna zademonstrowana na początku ćwiczeń była dopiero wstępem do pokazów, które olśniły przybyłych oficerów.

Nisko nad linią horyzontu pojawiły się czarne punkciki, szybko zbliżające się w ich stronę.

- To bombowce TB-3 - powiedział jeden z gości i podał Wavellowi lornetkę.

Samoloty leciały dość nisko, jakieś dwieście, trzysta metrów nad ziemią. W pewnym momencie na ich skrzydłach pojawiły się figurki żołnierzy, którzy wychodzili z kabiny i ześlizgiwali się po szerokich płatach. Niebo zajaśniało setkami białych spadochronów. Wavell patrzył na to widowisko jak urzeczony. Nigdy dotychczas nie widział tak masowego wykorzystania wojsk powietrznodesantowych. Słyszał o próbach użycia podobnych oddziałów w Niemczech, ale nie przypuszczał, że można przeprowadzić desant na taką skalę. Żołnierze, którzy wylądowali, po rozpakowaniu pojemników i wydobyciu broni kierowali się w stronę rozległej łąki. Wprawa, z jaką formowali ugrupowanie bojowe, szybkość ruchów i pewność wskazywały, że oddziały były dobrze wyćwiczone i zgrane. Zanim żołnierze dotarli do łąki, zaczęły lądować tam duże samoloty transportowe. Gdy tylko odkołowały na bok prowizorycznie zaznaczonego pasa startowego, w dole kadłubów otwierano drzwi, z których wyjeżdżały niewielkie tankietki, samochody opancerzone i działa. Na oczach zaskoczonych obserwatorów zaczynały formować się oddziały dysponujące artylerią i bronią pancerną. Stanowiły siłę zdolną skruszyć obronę wroga, który nie mógł w tak krótkim czasie przygotować się do odparcia niespodziewanego uderzenia.

- Gdybym nie zobaczył na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzył - powiedział Wavell.

Szokowała go sprawność żołnierzy i wielkość sił użytych w tej operacji. Jako brytyjski sztabowiec, doskonale rozumiał, jakim zagrożeniem dla innych państw może być armia dysponująca licznymi i dobrze przygotowanymi oddziałami powietrznodesantowymi. Ich liczebność wynosiła w 1935 r. prawdopodobnie sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i wciąż wzrastała.

Raport generała Wavella z kijowskich ćwiczeń, sporządzony natychmiast po powrocie generała do Londynu, nie wywarł jednak na nikim wrażenia. Minister wojny, lord Halifax, przeczytał go uważnie, ale nie potrafił sobie wyobrazić setek spadochroniarzy wyskakujących z samolotów. Nie uważał, żeby British Army potrzebowała kiedykolwiek uciekać się do pomocy desantu zrzuconego daleko za liniami wroga. Uznał, że sir Archibald Wavell, pisząc raport z udziału w kijowskich

manewrach, dał się ponieść romantyce rosyjskich stepów. O wiele bardziej interesujące dla ministra były informacje, które Wavell przywiózł z Moskwy na temat działalności marszałka Tuchaczewskiego. Rząd brytyjski bacznie obserwował działania wicekomisarza do spraw wojskowych i morskich. Według ocen ambasady brytyjskiej w Moskwie, był on przeciwnikiem sojuszu Związku Radzieckiego z Niemcami. Źródłem tej niechęci dopatrywano się w przeżyciach marszałka z czasów wojny światowej - walka i długi pobyt w niemieckiej niewoli musiały pozostawić głębokie ślady w psychice Tuchaczewskiego. Halifax nie spodziewał się, że wkrótce będzie mógł poznać marszałka osobiście.

20 stycznia 1936 r. zmarł król Jerzy V. Kilka dni później na biurku lorda Halifaxa zadzwonił telefon mający bezpośrednie połączenie z siedzibą rządu na Downing Street.

- Lordzie, pan premier rad by pana widzieć pojutrze o 4.00 - mówił asystent premiera Baldwina. - Sprawa dotyczy delegacji, które wezmą udział w pogrzebie króla. Pan premier oczekuje informacji na temat członków delegacji rosyjskiej. Ich listę prześlemy panu bezzwłocznie...

- Proszę zawiadomić pana premiera, że będę punktualnie.

Gdy przyszedł, zaproszono go do niewielkiego salonu na pierwszym piętrze, gdzie w bardzo niewygodnym fotelu siedział już szef wywiadu, admirał Hugh Sinclair.

- Premier spóźni się zapewne - powiedział na powitanie. - Ciekawe, jaki poda powód?

- Jestem przekonany, że powodem są kłopoty z komunizującymi związkami zawodowymi w kilku stoczniach - uśmiechnął się Halifax.

- Myślę, że raczej nudny przedstawiciel jakiegoś rządu. Stawiam na to gwineę - odpowiedział Sinclair.

- Przyjmuję. - Halifax rozłożył papiery na niskim stoliku. - Przyzna pan, że Rosjanie przysyłają delegację o ciekawym składzie. - Zmienił temat. Chciał się zorientować, co Sinclair ma do powiedzenia na temat, który miał być przedmiotem rozmowy z premierem.

- W pewnym sensie - mruknął Sinclair.

Nie lubił dyskusji o sprawach radzieckich. Związek Radziecki pod rządami Stalina stał się białą plamą na mapach brytyjskiego wywiadu. W pierwszym okresie industrializacji, gdy Rosjanie musieli korzystać z pomocy zachodnich fachowców, można było przemycać agentów lub też uzyskiwać liczne informacje od angielskich specjalistów, zatrudnianych na radzieckich budowach. W połowie lat trzydziestych jednak werbowanie agentów stało się niewykonalne. W Związku Radzieckim przestał funkcjonować podstawowy impuls skłaniający ludzi do zajmowania się szpiegostwem: nikt tam nie potrzebował funtów ani dolarów, które w tym kraju nie miały żadnej wartości, nie można było bowiem za nie nic kupić. Wypłacanie szpiegom rubli też miało się z celem, gdyż człowiek wydający nieco ponad normę zostałby natychmiast zadenuncjowany przez sprzedawcę w sklepie, sąsiada lub wścibskiego działacza komitetu domowego. Odkładanie szpiegowskich zarobków w banku na zachodzie też nie nęciło obywateli ZSRR, gdyż bardzo niewielu mogło liczyć na otrzymanie

paszportu. W tej sytuacji Secret Intelligence Service koncentrował się na penetrowaniu środowiska rosyjskich emigrantów w Paryżu, Berlinie i Londynie.

- No, to jesteśmy w komplecie - powiedział Baldwin, wchodząc do salonu razem z ministrem spraw zagranicznych, Anthonyem Edenem. - Wybaczcie drobne spóźnienie, ale nowy poseł rumuński chciał koniecznie wywrzeć jak najlepsze wrażenie, co niestety zajęło mu trochę więcej czasu, niż przewidywaliśmy.

Halifax skinął głową w stronę Sinclaira, co miało oznaczać, że po zakończeniu narady wypłaci przegraną gwineę.

- Proszę panów - Baldwin rozpoczął spotkanie wyraźnie zmęczony po dniu pracy - 25 stycznia przybywają delegacje, które wezmą udział w pogrzebie króla. Sądzę, że najbardziej interesująca dla nas jest delegacja rosyjska, której przewodniczy minister... czy jak oni nazywają... komisarz ludowy spraw zagranicznych, Maksim Litwinów. Nie będą się modlić na pogrzebie króla, ale zapewne liczą na serię formalnych i nieformalnych spotkań, aby określić swoją politykę w nowych warunkach kształtujących się na kontynencie. Zaprosiłem panów, aby poznać wasze opinie na ten temat. Pana zdanie ministrze? - Baldwin zwrócił się do Anthony'ego Edena.

- Bez wątplenia Stalin nie ma zamiaru zmieniać dotychczasowej polityki, w której priorytet mają Niemcy. Ponieważ jednak jest to miłość bez wzajemności, Stalin podejmuje flirty z państwami demokratycznymi, starając się wywołać zazdrość Hitlera i w ten sposób skłonić go do współpracy z Rosją. Liczy się z tym, że Hitler odrzuci jego zabiegi, a wówczas Stalin zmierzać będzie do połączenia się z nami...

- Nie można mu odmówić zręczności - powiedział Baldwin.

- Skład radzieckiej delegacji wskazuje na dużą elastyczność. Bez wątplenia dwaj najciekawszy ludzie to Litwinów oraz marszałek Tuchaczewski. Pierwszy uważany jest za zwolennika sojuszu z państwami demokracji, drugi - za przeciwnika Niemiec.

- Jakie jest pana zdanie, lordzie? - Baldwin zwrócił się do Halifaxa.

- Według powszechnej oceny, Tuchaczewski nie lubi Niemców, aczkolwiek wiele wskazuje na to, że żywi podziw dla ich dokonań i może łatwo pozbyć się uprzedzeń, jeżeli Niemcy zdecydują się ożywić współpracę z Rosjanami, którą prowadzili w okresie rapalleńskim. Obecnie jednak nie mamy żadnych informacji o bezpośredniej współpracy wojskowej Wehrmachtu i Armii Czerwonej.

- Na podstawie publicznych wystąpień Tuchaczewskiego można uznać, że jest on nieprzejednanym wrogiem Niemiec. Uważa, że między obydwoma państwami wybuchnie wojna. - Admirał Sinclair doszedł do wniosku, że najwyższy czas włączyć się do rozmowy. - Mówię o jego artykule opublikowanym 31 marca ubiegłego roku przez gazetę "Prawda", która ma szczególne znaczenie w Rosji, będąc jakby oficjalną wykładnią stanowiska władz, w tym wypadku wojskowych. Tuchaczewski pisał otwarcie o planach Niemiec zmierzających do wywołania wojny ze Związkiem Radzieckim.

- Rozmawiałem ze Stalinem w czasie mojego ostatniego pobytu w Moskwie - wtrącił minister Eden. - Powiedział mi, że Tuchaczewski konferował z Goringiem na temat wspólnego planu agresji na Francję. To było wprost szokujące. Sądzę, że Stalin starał się zawrzeć w tej nieprawdopodobnej wprost informacji przestrożę dla nas i jednocześnie chciał zdyskredytować Tuchaczewskiego.

- Czy oznacza to, że Tuchaczewski przekracza wyznaczone mu przez Stalina kompetencje? - Baldwin utwierdzał się w mniemaniu, że rozwiązanie rosyjskiej łamigłówki jest niezwykle trudne.

- Tuchaczewski musi działać na polecenie Stalina lub co najmniej za jego przyzwoleniem. Być może jednak czasami jest nadgorliwy. Ostatnio np. publicznie oskarżył Niemców, że zmirają do wywołania wojny. Muszę zwrócić uwagę pana premiera na szczególny fakt... - Halifax na chwilę przerwał, aby wzmocnić wymowę dalszych słów: - Tuchaczewski zdaje sobie sprawę, że w razie wojny z Niemcami Armia Czerwona nie sprosta Wehrmachtowi. Dlatego uznał, że Rosjanie mają dwie drogi: albo zawrzeć ścisły sojusz z Hitlerem, albo szukać na Zachodzie silnych sojuszników, z którymi mogliby utworzyć antyhitlerowski blok. Przypuszczam, że w czasie najbliższej wizyty rosyjskiej delegacji będziemy świadkami próby wytyczania tej drugiej drogi.

- Zapewne w tym samym czasie inna ekipa rosyjska w Berlinie wytyczać będzie pierwszą drogę. - Sinclair wydobyl z teczki plik papierów. - Mam tu dość dokładny raport na temat posunięć dyplomacji sowieckiej w Berlinie. Wynika z niego jednoznacznie, że Stalin, wysyłając do Berlina generałów znanych z proniemieckich sympatii, takich jak Uborewicz i Jegorow, stara się usilnie nawiązać jak najbliższe kontakty z Hitlerem. Spostrzeżenia panów są niewątpliwie całkowicie uzasadnione, ja jednak na podstawie informacji z Berlina muszę stwierdzić, że podstawowym celem dyplomacji radzieckiej jest zawarcie sojuszu z Niemcami, a wszystkie inne działania, jak kontakty z nami czy Francją, nie mają dla nich większego znaczenia.

- Jak Niemcy oceniają Tuchaczewskiego? - zapytał Baldwin, który dokładnie notował słowa Sinclaira.

- Wiemy z całą pewnością, że są doskonale zorientowani w działalności Tuchaczewskiego i zaniepokojeni faktem, iż w najwyższych władzach wojskowych Rosji jest człowiek otwarcie występujący przeciwko nim. - Sinclair spojrział na leżące przed nim papiery zawierające bardzo szczegółowe analizy, przygotowane przez szefa siatki wywiadowczej w Berlinie, pułkownika Christiego. - Możemy uznać, że zrobią wszystko, aby... - zawahał się szukając odpowiedniego słowa - ...aby zaszkodzić Tuchaczewskiemu.

Sinclair miał doskonałe informacje. Niemcy byli zdecydowani zniszczyć Tuchaczewskiego za wszelką cenę. Była jednak sprawa, o której nie wiedział ani Sinclair, ani szef niemieckiej służby bezpieczeństwa, Reinhard Heydrich. Tuchaczewskiego chciał zniszczyć również Stalin i jego organizacja - NKWD...

Oszuści i oszukani

Szef Sicherheitsdienst, Reinhard Heydrich, podniósł słuchawkę telefonu.

- Niech przyjdzie do mnie Behrends - powiedział do sekretarki.

- Standartenfuhrer już czeka...

- To niech wejdzie.

Zameldował się Hermann Behrends, szef Sekcji Wschodniej SD, specjalista od spraw radzieckich. Heydrich wskazał ręką krzesło przed biurkiem.

- Zdecydowałem się spotkać z tym rosyjskim generałem. Niech więc pan przedstawi mi wszystko, co o nim wiemy.

Behrends rozłożył na kolanach papierową teczkę, na której brzegu widniały duże, czarne litery "Geheim".

- Nikołaj Skoblin zrobił szybką karierę w Armii Ochotniczej Kornilowa, gdzie wstąpił w 1917 r. W ciągu kilku miesięcy awansował ze stopnia sztabkapitana do generała majora. Od 1921 r. na emigracji. Od 1930 r. w Paryżu; w tym samym roku wstąpił do emigracyjnej organizacji Rosyjski Powszechny Związek Wojskowy (ROWS), gdzie pełnił funkcję szefa służby informacyjnej. Utrzymuje ścisłe kontakty z rosyjskimi emigrantami w Berlinie. Na przełomie 1935 i 1936 r. nawiązał kontakt z nami. Głównym powodem były zapewne antykomunizm i oczywiście pieniądze. Wszystkie informacje, które nam przekazał, okazały się prawdziwe. Prawdopodobnie współpracuje również z rosyjskimi służbami specjalnymi. Uważam, że jest agentem rosyjskiego wywiadu wojskowego. To najważniejsze informacje - zakończył Behrends, kładąc przed Heydrichem zdjęcie przedstawiające szczupłego mężczyznę z sumiastymi wąsami.

Heydrich uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żebym miał kłopoty z rozpoznaniem tego Skoblina, chyba że zgoli wąsy. Gdzie zorganizował pan spotkanie?

- Hotel "Ambasador", pokój 12, drugie piętro. Recepcjonista jest nasz, więc nie będzie zadawał pytań.

- Dziękuję, sądzę, że ta sprawa może mieć dla nas kapitalne znaczenie.

Behrends wyszedł z gabinetu, a Heydrich skierował się do niewielkiego pokoju obok, gdzie zrzucił mundur. Założył ganitur, ciemną, gabardynową jesionkę, a na głowę wcisnął kapelusz. Nie lubił cywilnego ubrania, ale w mundurze SD nie mógł spotykać się z agentem. Wyszedł z gabinetu i skręcił w stronę tylnego wyjścia. Nie chciał, aby widziano, jak wsiada do samochodu na Prinz Albrecht Strasse, gdzie mieściła się siedziba SD. Samochód czekał więc na niego na podwórzu z tyłu budynku.

- Jedź do hotelu "Ambasador" - powiedział do kierowcy. Nie musiał podawać adresu, gdyż hotel ten był dość często wykorzystywany przez Służbę Bezpieczeństwa, podobnie jak prywatne mieszkania w różnych dzielnicach Berlina. Decydując się na spotkanie ze Skoblinem, Heydrich rozważał, czy nie zaproponować jakiegoś mieszkania, ale nie chciał dekonspirować tych miejsc przed rosyjskim agentem. Informacja, którą Skoblin przekazał z Paryża, była elektryzująca: "Spisek wojska przeciwko Stalinowi. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski". Heydrich uznał, że trafia mu się okazja do niezwyklej rozgrywki. Bez względu na to, kto i jak zamierzał obalić Stalina, sama informacja mogła mieć ogromne znaczenie dla polityki Niemiec.

Heydrich nie mógł pozwolić na wypuszczenie z rąk sprawy, która mogła przesądzić o jego karierze i rozwoju organizacji, kierowanej przez niego. Jeżeli Skoblin mówił prawdę, to należało włączyć się w grę i pomóc w obaleniu Stalina. Sicherheitsdienst była jednak za słaba, aby zadaniu takiemu podołać. Prawdopodobnie żadna tajna służba świata nie zdołałaby pomóc spiskowcom, gdyż granice Związku Radzieckiego były szczelnie zamknięte. Ale można było przecież poinformować Stalina, a wówczas on sam wykończyłby Tuchaczewskiego i innych buntowników, którymi byli zapewne ludzie z najbliższego otoczenia marszałka, a więc trzon dowódcy Armii Czerwonej. Ich usunięcie zaś byłoby dotkliwym ciosem dla radzieckiej obrony.

Samochód zatrzymał się przy Kölnstrasse.

- Nie przyjeżdżaj po mnie - powiedział do kierowcy. Postawił kołnierz płaszcza, nie wiadomo, czy po to, by ochronić twarz przed silnym wiatrem, czy też zasłonić ją przed wzrokiem przechodniów. Przebiegł na drugą stronę ulicy i skierował się do hotelu. Minął szybko recepcję i wbiegł na szerokie, wyłożone dywanem schody. Recepcjonista podniósł się, ale poznawszy go, wrócił do polerowania mosiężnych ozdób nad kontuarem. Heydrich dotarł na drugie piętro, odszukał pokój nr 12, zastukał do drzwi i, nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę.

Na łóżku leżał mężczyzna, który na widok przybysza zerwał się, podszedł do krzesła, zdjął z poręczy marynarkę i nałożył ją.

- Jak się pan czuje w Berlinie, generale Skoblin? - Heydrich wyciągnął rękę.

- Dziękuję, lubię to miasto i zawsze się cieszę, gdy mogę tu przyjechać - niewprawną niemiecką powiedział Skoblin.

- W tym pokoju możemy rozmawiać zupełnie spokojnie. - Heydrich zdjął płaszcz i usiadł przy stole. - Wiadomość z Paryża była dla nas bardzo interesująca. Proszę o bliższe szczegóły.

Skoblin zawahał się myśląc, czy nie przedstawić najpierw warunków, ale uznał widocznie, że informacje są tak ważne, iż szef Służby Bezpieczeństwa nie będzie się potem targować.

- W Moskwie przygotowują zamach na Stalina. Po jego obaleniu ma być wprowadzona dyktatura wojskowa. Na czele spisku stoi marszałek Tuchaczewski...

Skoblin potwierdzał informację, którą przekazał z Paryża. A więc jednak Tuchaczewski włączył się do spisku. Heydrich poczuł się nagle jak myśliwy, któremu udało się trafić wspaniałego dzika i

teraz idzie po śladach krwi. Był pewny, że ta zdobycz mu nie umknie. Jeżeli jednak Skoblin kłamał? Wówczas byłoby oczywiste, że działa na polecenie z Moskwy. Nie mógł sam wymyślić sprawy Tuchaczewskiego, która - jak łatwo można było przewidzieć - zainteresuje najwyższe władze Niemiec. Nie ryzykowałby wprowadzenia w błąd SD, która sowicie opłacała informacje, jakie dotychczas przekazywał, ani tym bardziej ściągnięcia na swoją głowę gniewu wysokich funkcjonariuszy. Jeżeli więc kłamał, to na polecenie NKWD. To zaś bardzo by Heydrichowi odpowiadało. Udział NKWD w całej sprawie gwarantował sukces. Była to gra warta świeczki.

- Słucham dalej, generale...

- Jak pan zapewne wie, marszałek Tuchaczewski był w styczniu tego roku w Londynie, a następnie zatrzymał się na kilka dni w Paryżu...

- Na siedem dni - wtrącił Heydrich.

- Tak, dokładnie - potwierdził Skoblin. - Londyńska część podróży marszałka jest mi nie znana, ale o pobycie w Paryżu wiem bardzo wiele. Tuchaczewski rozmawiał z przedstawicielami francuskiego rządu o możliwości obalenia Stalina. Odebrał tajne rozmowy z marszałkiem Petainem, ministrem spraw zagranicznych, ministrem wojny, a także przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej, generałem Maurice'em Gamelinem. Domyśla się pan, że ludzie, którzy chcą stworzyć nowy rząd w Moskwie, muszą się liczyć z reakcjami mocarstw zachodnich. Nie wiem, w jakim stopniu Tuchaczewski wyjawiał swoje plany oficjalnym przedstawicielom rządów brytyjskiego i francuskiego, znam natomiast przebieg jego spotkania z generałem Jewgienijem Millerem, przywódcą ROWS. Usiłując pozyskać go dla swoich planów, jasno przedstawił zamiar obalenia Stalina. Sformułowania, jakich użył, nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Należy wnioskować, że przygotowania są zaawansowane. Z rozmowy z Millerem wynikało, że marszałek stara się zrealizować plan przejęcia władzy w Rosji przy współpracy niemieckiej generalicji. A na ten temat pan może pewnie uzyskać więcej informacji z Abwehry...

- Czy ma pan jakieś dowody?

- Spiskowcy starają się nie zostawiać śladów, a tym bardziej pisemnych. Zwłaszcza w Moskwie - powiedział z uśmiechem Skoblin. - Jak pan się zorientował, moje informacje pochodzą z pierwszej ręki i wykluczam możliwość pomyłki. Reszta należy do pana...

Heydrich wyjął z kieszeni kopertę zawierającą plik banknotów i położył ją na stole przed Skoblinem.

- Do następnego spotkania, generale. Jeżeli dowiedziałby się pan czegoś nowego, to oczywiście proszę o natychmiastowy kontakt.

Heydrich wyszedł z hotelu i postanowił powrócić piechotą na Prinz Albrecht Strasse. Chciał mieć czas na przemyślenie sprawy. Czuł, że może zyskać bardzo wiele, jeżeli potrafi informacje odpowiednio wykorzystać. Przygotowanie intrygi, w wyniku której zniszczono by Tuchaczewskiego i kadrę dowódczą Armii Czerwonej, wymagało akceptacji Himmlera i zapewne samego Hitlera. Oni wprowadziliby sowicie nagrodą sukces, ale każdy błąd oznaczałby koniec obiecującej kariery szefa

Sicherheitsdienst.

Po powrocie do biura Heydrich zatelefonował natychmiast do swojego protektora, szefa SS, Heinricha Himmlera, i poprosił o natychmiastowe spotkanie w "sprawie, która może być ważna dla Niemiec".

- A jeżeli całą sprawę aranżuje NKWD? - zapytał Himmler, gdy tylko Heydrich zakończył relacjonować przebieg spotkania ze Skoblinem.

- To znaczy, że zmierzają do zlikwidowania marszałka i zapewne kilkudziesięciu innych wysokich oficerów. Prawdopodobnie nie mają żadnego dowodu przeciwko nim i liczą, że jeśli sprawa nas zainteresuje, to my przygotujemy materiały, które pozwolą rosyjskim sądom skazać Tuchaczewskiego i jego towarzyszy na karę śmierci pod zarzutem zdrady lub szpiegostwa na rzecz Niemiec. Skoblin jest bez wątplenia podwójnym agentem. Nie wierzę, aby w czasie pobytu w Londynie i Paryżu Tuchaczewski informował przedstawicieli rządów tamtych państw o zamiarze obalenia Stalina. Tym bardziej nie ujawniłby takich planów szefowi emigracyjnej organizacji, który nienawidzi go za przystąpienie do komunistów i który może być agentem NKWD. Tak więc albo rzeczywiście Tuchaczewski zaangażował się w spisek, co NKWD wykryło, lecz nie ma dowodów i oczekuje, że my je dostarczymy, albo też nie istnieje żaden spisek, a NKWD - bez wątplenia na polecenie Stalina - chce zniszczyć marszałka, z nie znanych jeszcze nam powodów. Jego pozycja jest zbyt poważna, aby bez niezbitych dowodów postawić go pod murem. Trzeba przekonać władze partii, że Tuchaczewski jest szpiegiem i zdrajcą. Uważam, że - bez względu na motywy - dostarczenie dowodów zdrady Tuchaczewskiego jest dla nas korzystne.

- I oczywiście zrobimy to - stwierdził Himmler. - Liczę, że całą operację przeprowadzi pan nie szczczędając sił i środków. Wiem, że pan doskonale rozumie wagę tej sprawy nie tylko dla Rzeszy, ale również dla pana... Proszę przygotować się do spotkania u fuhrera.

24 grudnia 1936 r. we wczesnych godzinach porannych Himmler i Heydrich stawili się w Kancelarii Rzeszy.

- Nasza Służba Bezpieczeństwa uzyskała informacje o spisku, organizowanym przez rosyjskich oficerów, w celu obalenia Stalina. Według informacji SD, na czele spisku stanął marszałek Michaił Tuchaczewski - relacjonował Himmler, starając się w każdym zdaniu podkreślić zasługi nadzorowanej przez siebie organizacji. Był jednak zbyt wytrawnym graczem, aby angażować się osobiście w sprawę. Jej fiasko mogliby wykorzystać ludzie zazdrośni o sympatię Hitlera. - jego zastępca Rudolf Hess i Martin Borman, szef kancelarii fuhrera - którzy uważnie przysłuchiwali się słowom Himmlera.

- W sprawę zaangażował się Reinhard Heydrich, który zebrał najwięcej materiałów - dokończył Himmler.

Hitler spojrzał na Heydricha, który był wyraźnie podenerwowany, ale potrafił wspaniale panować nad sobą. Wysunął się pół kroku do przodu.

- Kilka dni temu spotkałem się w Berlinie z naszym agentem działającym w środowisku

rosyjskiej emigracji. Dotychczas uzyskiwaliśmy od niego absolutnie pewne informacje, dlatego na obecnym etapie nie mam powodów wątpić w prawdziwość wiadomości na temat przygotowywanego zamachu i udziału w nim marszałka Tuchaczewskiego. - Mówił pewnie i płynnie, co podobało się fuhrerowi, wyraźnie coraz bardziej zainteresowanemu.

- Oczywiście, najlepszym rozwiązaniem byłoby wsparcie Tuchaczewskiego i upadek Stalina, a zarazem bolszewizmu - Hitler wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po pokoju. - Nie sądzę jednak, żeby było to możliwe. Dlatego musimy wykorzystać sytuację do zlikwidowania Tuchaczewskiego i oficerów, którzy wspólnie z nim knują przeciwko Stalinowi. Zdziękowanie władz Armii Czerwonej doprowadzi do jej poważnego osłabienia, a odbudowa kadry zajmie im wiele lat! Sądzę również, że usunięcie Tuchaczewskiego, głównego architekta porozumienia z Francją, może przeszkodzić w zacieśnieniu stosunków między Rosją a Francją, szczególnie niekorzystnych dla Rzeszy. Musimy pamiętać, że otaczają nas wrogowie. Dlatego każdy cios im wymierzony jest ważny. Ma pan moje pełne poparcie w tej sprawie. - Hitler zwrócił się do Heydricha: - Oczekuję szczegółowych raportów. Proszę kontaktować się z moim zastępcą.

Narada była skończona. Himmler i Heydrich uzyskali to, czego oczekiwali: osobiste poparcie fuhrera. Heydrich postanowił nie podejmować jednak żadnych działań, dopóki nie przemyśli starannie wszystkich kroków, a okres świąt wydawał się doskonałą okazją ku temu. Wrócił do swojego gabinetu i wezwał Behrendsa oraz Obersturmführera Alfreda Naujocksa. Krótko zrelacjonował im przebieg konferencji u Hitlera i polecił, aby w ciągu najbliższych dni zastanowili się nad działaniem w sprawie Tuchaczewskiego.

- Przypominam panom, że sprawą interesuje się osobiście Adolf Hitler, a bezpośredni nadzór sprawuje Rudolf Hess. Teraz życzę wam wesołych świąt.

4 stycznia Behrends i Naujocks mogli już przedstawić szefowi dość precyzyjny plan postępowania.

- Jest oczywiste, że kontakty generalicji niemieckiej i rosyjskiej nie mogły ujść uwagi Abwehry. W archiwum wywiadu powinna się znaleźć teczka zawierająca wszystkie informacje o oficjalnych i prywatnych kontaktach oficerów Reichswehry i Armii Czerwonej. Najważniejszą częścią tego dossier dotyczącego najbliższego nam okresu, gdy Abwehrę zainteresowała możliwość współdziałania generalicji Wehrmachtu i Armii Czerwonej w dokonaniu zamachu stanu w Związku Radzieckim - referował Behrends. - Powinny to być stenogramy podsłuchiwanym rozmów telefonicznych, raporty bezpośredniej inwigilacji naszych oficerów oraz kopie lub zdjęcia przechwyconych listów. Wśród nich powinien znaleźć się list marszałka Tuchaczewskiego do jednego z naszych generałów, zawierający wyraźne informacje o przygotowywanym zamachu. Oczywiście dokumenty będą miały wszystkie atrybuty sprawy urzędowej: pieczęcie, urzędowe adnotacje itp. Co więcej, sprawa, jako szczególnie ważna, powinna nosić ślady osobistego zainteresowania admirała Canarisa, a może nawet... - Behrends zawahał się na moment.

- Samego fuhrera - podpowiedział Heydrich. To dobry pomysł i sądzę, że spodoba się fuhrerowi. Proszę dalej...

- Fotokopie najważniejszych dokumentów z archiwum Abwehry powinny znaleźć się u nas.

Jeden z naszych ludzi zdecyduje się wykraść te dokumenty i fotokopie sprzedać Rosjanom. Problemem pozostaje sposób powiadomienia ich o możliwości zakupu dokumentów za wysoką, acz niezbyt wygórowaną, cenę. Inaczej mówiąc, Rosjanie powinni się dowiedzieć, że mam dowody zdrady Tuchaczewskiego od kogoś wiarygodnego dla nich, i następnie powinni wykazać chęć kupna dokumentów. To wszystko. A oto notatka - Behrends położył na biurku szefa kilka kartek maszynopisu.

- Akceptuję ten plan - powiedział Heydrich. - Obersturmführer Naujocks zajmie się sprawą technicznego wykonania wspomnianych dokumentów. Oczekuję, że w najbliższym czasie dostarczy mi pan ich szkice. Nie chciałbym wyznaczać konkretnych terminów, gdyż nadmierny pośpiech mógłby stać się przyczyną niewybaczalnego błędu. Nie oznacza to jednak, że stać nas na marnotrawienie czasu.

- Niezbędne jest ustalenie nazwisk niemieckich oficerów, nazwisk, które znajdują się w przygotowywanych przez nas dokumentach; musimy też uzyskać autentyczne informacje dotyczące służbowych kontaktów naszych oficerów z Rosjanami w latach 20. Te dane znajdują się w archiwum Abwehry, lecz nie sądzę, żeby tak łatwo nam je udostępnili.

- Te papiery będziemy mieć - obiecał z naciskiem Heydrich. - Jeżeli nawet ludzie mający pieczę nad archiwami nie chcieliby nam przekazać odpowiednich dokumentów. Oczekuję od panów codziennych ustnych raportów z przebiegu akcji.

Naujocks zabrał się do poszukiwania fałszerza, który potrafiłby po mistrzowsku podrobić podpisy oraz sfalszować listy i urzędowe adnotacje. W piwnicach budynku SD przy Prinz Albrecht Strasse znajdowała się dobrze wyposażona drukarnia, ale Naujocks uważał, że żaden z pracujących tam ludzi nie potrafi wykonać tak trudnego zadania. Co najważniejsze zaś, człowiek, który podjąłby się sfalszowania dokumentów, musiałby być godzien całkowitego zaufania. Mijały dni, a Naujocks nie miał odpowiedniego kandydata. Zdecydował się wreszcie zasięgnąć rady kolegi z SD, znanego z powiązań ze światem przestępczym, Wenera Grothego. Ten wskazał mu niewielką drukarnię w dzielnicy Kópenick, prowadzoną przez Franza Putziga.

Do oficyny, gdzie wstawiono kilka maszyn drukarskich, Naujocks dotarł późnym wieczorem. Przeszedł przez wąski korytarz, skąpo oświetlony gołą żarówką, otworzył drzwi z brudnymi szybami i wszedł do niewielkiego kantorka, gdzie tyłem do wejścia siedział pochylony nad papierami tęgi mężczyzna. Z danych zebranych przez SD wynikało, że Franz Putzig miał 58 lat, był rozwiedziony; w czasie wojny walczył we Francji, gdzie został dwukrotnie ranny. Po powrocie do Niemiec przez kilka lat żył z zasiłków i wówczas to zaczął działać jako informator policji, a jednocześnie zajął się fałszowaniem dokumentów. W 1929 r. wstąpił do nazistowskiej partii NSDAP. Otworzył niewielką drukarnię, ale ze względu na kryzys musiał ją zamknąć i przez kilka lat źródło jego utrzymania pozostawało nieznanne. W 1935 r. uruchomił drukarnię i prawdopodobnie zerwał ze światem przestępczym.

- Pan Putzig? - zapytał Naujocks.

Mężczyzna drgnął i szybko odwrócił się w stronę drzwi.

- Tak, czego pan chce? - Podniósł się z krzesła i stanął przed przybyszem.

- Przysłała mnie pański przyjaciel Werner...

- Werner Grothe?

- Tak. Powiedział, że wystarczy powołać się na niego, by zyskać pańskie zaufanie...

- Zgadza się. To mój stary przyjaciel, któremu jestem wiele winien z czasów wojny i późniejszych. - Putzig wskazał krzesło, z którego wstał, a sobie przysunął stołek. - Co pana sprowadza?

- Mam pilną robotę, za którą gotów jestem dobrze zapłacić.

- Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z polityką?

- Absolutnie! - zapewnił Naujocks. - Potrzebny mi paszport na nazwisko Kurt Blomke. Oto wszystkie dane. - Wyciągnął z portfela kartkę i własne zdjęcie. Czy może się pan tego podjąć?

Putzig wpatrywał się przez chwilę w kartkę.

- Wie pan, ja prowadzę legalny interes. Właściwie nie zajmuję się takimi sprawami. Jeżeli jednak przysłała pana Werner, to nie mogę odmówić. Mógłby się obrazić... Dobrze, zrobię to. Nawet dużo nie wezmę...

- Pieniądze nie odgrywają roli. Kiedy mogę zgłosić się po odbiór?

- Za dwa dni. Proszę przyjść o tej samej porze.

Naujocks był punktualny. Niecierpliwie czekał, aż Putzig wyciągnie ze szpary w szafce paszport. Okładka była lekko zniszczona, niektóre kartki miały tłuste plamy. Dokument tworzył wrażenie autentycznego i wielokrotnie używanego.

- Skoro Kurt Blomke jest handlowcem, to musi często wyjeżdżać, a więc i posługiwać się paszportem. Dlatego dokument jest dość zużyty. Zapewniam pana, że może pan zgłosić się do urzędu i zażądać wymiany na nowy. Żaden z urzędników nie zorientuje się, że paszport jest fałszywy. - Putzig był dumny ze swojej pracy.

Naujocks wyciągnął z kieszeni szkło powiększające i kartka po kartce zaczął badać paszport. Dokument był podrobiony po mistrzowsku. Znaki wodne, pieczęcie, podpisy wydawały się absolutnie prawdziwe. Schował go i zapłacił żadaną kwotę. Był zadowolony. Bardzo zadowolony. Znalazł wreszcie człowieka, który nadawał się do sfałszowania listu Tuchaczewskiego i kilku innych dokumentów.

W tym samym czasie Heydrich opracowywał plan przekazania Rosjanom "dowodów zdrady" Tuchaczewskiego. Zdawał sobie sprawę, że jest to jeden z najważniejszych elementów akcji. Radzieckie tajne służby były bardzo podejrzliwe. Wszędzie węszyły zdradę, spisek i kłamstwo. Było

więc oczywiste, że pakiet dokumentów, choćby najlepiej sfałszowanych, wywoła ich nieufność. Heydrich postanowił działać z rozmysłem. Informacje o zdradzie powinny dotrzeć do Moskwy najpierw w postaci plotek, wynikłych z gadulstwa niemieckich dyplomatów. Zakładał, że Rosjanie nie uwierzą w nie, ale odnotują. To zaś wystarczy do przygotowania gruntu głównego działania, jakim będzie przekazanie zasadniczej informacji. Kto mógłby ją przekazać? Narada, którą Heydrich odbył w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wskazała na Czechów. Od listopada 1936 r. trwały negocjacje między Niemcami i Czechami na temat możliwości poprawy stosunków i zawarcia paktu o nieagresji. Czesi byli tym szczególnie zainteresowani, podczas gdy Niemcy nie traktowali rokowań poważnie. Spotkania głównych negocjatorów: czeskiego posła w Berlinie, Vojtecha Mastnego, i Maximiliana Karla von Trauttmansdorffa stwarzały jednak pewne możliwości.

Heydrich uznał, że istnieje niepowtarzalna szansa wykorzystania Czechów jako pośredników w wielkiej rozgrywce z Tuchaczewskim. Ta droga prowadziła wprost do prezydenta Czechosłowacji, Eduarda Benesa, który - szczególnie zainteresowany płynnym przebiegiem negocjacji z Niemcami - nerwowo reagował na wszelkie zakłócenia. A pojawiły się one na początku 1937 r. Niemiecki negocjator, hrabia von Trauttmansdorff, powiadomił Mastnego, że w stosunkach ze Związkiem Radzieckim wypłynęły nowe sprawy, pozostające w bezpośrednim związku z rokowaniami niemiecko-czechosłowackimi. Mastny przekazał informację prezydentowi. Wydawałoby się, że niewiele znaczyła. Jeżeli jednak prezydent chciałby się dowiedzieć czegoś bliższego, musiał przypomnieć sobie informację czeskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którą otrzymał w grudniu 1936 r. Ministerstwo informowało wówczas, że Niemcy zmierzają do obalenia władz Związku Radzieckiego, wykorzystując spisek w Armii Czerwonej. Benes uwierzył w tę informację i natychmiast podzielił się nią z rządem francuskim. W połowie stycznia Vojtech Mastny powiadomił prezydenta, że *Hitler prowadzi inne rokowania, które, jeśli się powiodą, będą miały wpływ chyba też na nasze [tj. czechosłowackie - B W] sprawy. Należałoby więc odłożyć rokowania między Berlinem i Pragą na późniejszy okres.* Zapewne wówczas Czesi uwierzyli, że Niemcy poważnie biorą pod uwagę możliwość przewrotu wojskowego w Związku Radzieckim i oczekując na wydarzenie, które stworzy nową sytuację polityczną w Europie, mogą wstrzymywać działania dyplomatyczne. Należało Czechów w tym przekonaniu utwierdzić. Nie było to trudne, skoro Hitler nie traktował poważnie negocjacji z tym krajem. W końcu stycznia zawiesił rokowania na dwa tygodnie. Zaniepokojony Mastny zwrócił się do hrabiego Trauttmansdorffa o wyjaśnienia. Ten zastrzegając się, że przekazuje poufne informacje, oświadczył, że fuhrer oczekuje na przewrót w Moskwie, w wyniku którego zostanie usunięty Stalin, co przesądzi o polityce Niemiec wobec Związku Radzieckiego i innych państw europejskich. Mastny nie uwierzył wprawdzie w to wyjaśnienie, ale nie mógł zatrzymać dla siebie tak sensacyjnej wiadomości. 9 lutego wysłał do prezydenta Benesa telegram, w którym napisał: *Prawdziwą przyczyną decyzji kanclerza [Hitlera - BW] odroczenia rozmów jest przypuszczenie oparte na określonych dowodach, które otrzymał z Rosji, że wkrótce możliwy jest tam nagły przewrót, który powinien doprowadzić do usunięcia Stalina i Litwinowa oraz ustanowienia dyktatury wojskowej.* Benes nie mógł zlekceważyć tego i wielu innych sygnałów wskazujących, że Niemcy wspólnie z najwyższymi dowódcami Armii Czerwonej przygotowują zamach stanu.

Co oznaczałoby to dla Czechosłowacji? Zwycięstwo zamachowców, związanych z Niemcami i korzystających z ich pomocy, pociągnęłoby za sobą ścisły sojusz Moskwy i Berlina, bardzo niekorzystny dla Czechosłowacji. Benes mógł więc uznać, że w interesie jego państwa leży

powstrzymanie zamachowców i niedopuszczenie do usunięcia Stalina, który zdawał się być gwarantem integralności Czechosłowacji. Benes mógł przeszkodzić spiskowcom, informując Stalina o niebezpieczeństwie. Musiał jednak mieć konkretne dowody. Niedyskrecje niemieckiego dyplomaty, informacje wywiadowcze i plotki zbierane w Berlinie nie wystarczały do oskarżenia radzieckich dowódców o zdradę. Benes musiał zyskać niezbity dowód...

Żelazny Dowód

Heydrich, minawszy masywne, dębowe drzwi, wszedł do gabinetu szefa wywiadu wojskowego Abwehry, admirała Wilhelma Canarisa. Stał w odległości kilku metrów od biurka i zameldował się zgodnie z wymogami regulaminu wojskowego. Canaris wydawał się speszony służbistym zachowaniem starego znajomego. Poznali się jeszcze w 1923 r., na krążowniku Berlin, gdzie pierwszym oficerem był Canaris, a Heydrich odbywał szkolenie.

Gdy Heydrich został szefem służby odpowiedzialnej za bezpieczeństwo NSDAP, uznał, że warto przyjrzeć się bliżej działalności wywiadu wojskowego i jego szefa. Nie miał konkretnego powodu, aby zacząć śledzić admirała. Po prostu z reguły nie dowierzał oficerom. Uważał (i słusznie), że spiskują przeciwko Hitlerowi, nie mogąc ścierpieć, że kapral wydaje im rozkazy. Dlatego nakazał śledzić Canarisa i założyć podsłuch w jego biurze. Z dziesiątków meldunków i raportów zaczęły wyłaniać się wątpliwości co do lojalności szefa wywiadu wobec fuhrera. Były to jednak tylko poszlaki, których Heydrich nie mógł wykorzystać. Zaatakować szefa wywiadu wojskowego, postawionego na tym stanowisku przez samego Hitlera, mógłby tylko wówczas, gdyby miał w rękę niepodważalne dowody jego zdrady, a Canaris był zbyt sprytny na zostawianie śladów, zwłaszcza że człowiek z zewnątrz nie mógł ocenić, co w działalności Abwehry jest zdradą, a co prowokacją wobec wrogiego wywiadu...

Canaris szybko zorientował się w zamiarach SD i odpowiedział kontruderzeniem: zaczął zbierać materiały obciążające Heydricha. Podczas jednej z rozmów dał mu wyraźnie do zrozumienia, że ma dowody jego homoseksualizmu oraz podejrzenia co do "czystości rasowej" ojca, co oznaczało, że ojciec Reinharda był Żydem. Każde z tych oskarżeń, poparte dowodami, mogło w jednej chwili zniszczyć ambitnego szefa Służby Bezpieczeństwa. Dlatego też Heydrich musiał milczeć, choć nie zrezygnował ze zbierania materiałów obciążających szefa Abwehry. Czekał na ostateczne dowody nielojalności Canarisa, by go zaatakować tak skutecznie, że ten nie byłby w stanie się obronić.

Mimo wrogości obydwaj szefowie tajnych służb utrzymywali pozornie poprawne stosunki.

Heydrich przyszedł prosić Canarisa o zgodę na wydostanie z archiwum Abwehry dokumentów dotyczących lat 20. Potrzebował ich dla fałszerzy, którzy znaleźliby tam podpisy ludzi interesujących SD, notatki służbowe, listy, oficjalne i prywatne pisma, mające stać się wzorcami dla preparowanych dokumentów. Heydrich oczekiwał jednak odmowy i nie pomylił się.

- Mój drogi Heydrich. - Canaris podczas rozmów w cztery oczy pozwalał sobie na poufałość wobec młodszego kolegi i zdawał sobie sprawę, że bardzo drażni to rozmówcę. - Wiem, że w naszym fachu nie należy pytać, czemu ma służyć to przedsięwzięcie...

- Tak, tym bardziej że zainteresowane są nim władze Rzeszy – przerwał Heydrich. Nie chciał przywoływać nazwiska Hitlera, ale zdawał sobie sprawę, że Canaris doskonale rozumie, kogo miał na myśli.

- Ależ tak. Skoro pan do mnie przyszedł, musi mieć to szczególne znaczenie. - Canaris zagłębił się w fotelu za ogromnym biurkiem. - Oczywiście nie widzę żadnych przeszkód w udostępnieniu

Sicherheitsdienstowi dokumentów z archiwum Abwehry. Ja oczywiście się zgadzam, ale muszę uzyskać pisemną zgodę naczelnego dowódcy wojsk lądowych, generała Wenera von Fritscha.

Canaris kłamał. Nie miał zamiaru udostępnić Służbie Bezpieczeństwa dokumentów. Sięgnął po pierwszy z brzegu pretekst, aby odwlec moment otwarcia archiwum. Gdyby Heydrich przyszedł z poleceniem podpisanym przez generała von Fritscha, Canaris znalazłby inne powody nieujawnienia dokumentów. Wiedział o niechęci Hitlera do generałów i sądził, że prośba Heydricha związana jest z działaniem skierowanym przeciwko najwyższemu oficerom Wehrmachtu, a on - jeden z głównych spiskowców przeciw Hitlerowi - do tego dopuścić nie mógł.

Heydrich wstał, podniósł rękę w pozdrowieniu i wyszedł z gabinetu. Stało się zgodnie z jego przewidywaniami, ale chciał, żeby Canaris wiedział, że dokumenty są potrzebne SD, i że SD je dostanie, bez względu na przeszkody. W ten sposób chciał wykazać, jak sprawną organizacją kieruje. Zadanie wydobywania dokumentów otrzymał współpracownik Heydricha, Walther Schellenberg. Miał zorganizować włamanie do Ministerstwa Wojny, gdzie przechowywano dokumenty Reichswehry, Wehrmachtu oraz Abwehry, i wydostać je za wszelką cenę. Schellenberg nie dowierzał umiejętnościom ludzi z SD i odwołał się do pomocy szefa policji kryminalnej, Arthura Nebego, który przysłał kilku zawodowych włamywaczy. W nocy z 1 na 2 marca 1937 r. do archiwów Abwehry dokonano włamania. "Złodzieje" skradli tajne materiały i podłożyli ogień w celu zatarcia śladów.

Heydrich sam wybrał dokumenty, które miały stać się wzorcami dla fałszywych raportów i listów. Na ich podstawie grupa kierowana przez Behrendsa, w której skład włączono czterech emigrantów rosyjskich, przygotowała treść "fałszywek". Na początku kwietnia do drukarni Putziga ponownie zawitał Naujocks.

- Poznaje mnie pan? - Usiadł na krześle naprzeciw Putziga.

- Oczywiście, jest pan przyjacielem Wenera Grothego.

- Jestem oficerem Sicherheitsdienstu. - Naujocks wyciągnął legitymację z kieszeni płaszcza i położył ją na stole. - Niech pan się nie obawia - dodał szybko, widząc lęk na twarzy drukarza. - Zamówienie na fałszywy paszport wykonywał pan dla SD. Chodziło jedynie o sprawdzenie pańskich umiejętności. Teraz muszę odwołać się ponownie do pana lojalności i zaangażowania jako członka NSDAP. Mamy dla pana niezwykle ważne zadanie. Proszę zabrać rzeczy osobiste i udać się ze mną.

Nieufność i lęk nie zniknęły z twarzy Putziga.

- Zadania tego nie będzie mógł pan wykonać tutaj. Jego znaczenie dla Rzeszy i fuhrera wymaga, aby przez najbliższe kilka dni korzystał pan z naszych pracowni - wyjaśniał Naujocks, aby uspokoić fachowca. - Pojedziemy do pana mieszkania, skąd zabierze pan najpotrzebniejsze rzeczy i natychmiast rozpocznie pracę w naszych laboratoriach. Są lepiej wyposażone niż ta drukarnia - dodał z uśmiechem widząc, że drukarz odzyskuje dobre samopoczucie.

Jeszcze tej samej nocy w podziemiach budynku przy Prinz Albrecht Strasse Putzig rozpoczął niezwykle żmudną robotę. Naujocks powierzył mu wykonanie dokumentów wymagających szczególnej wprawy. Bez wątplenia był tam list Tuchaczewskiego. Wszystkich fałszyfikatów Putzig

wykonać nie mógł, gdyż zorientowałby się w planach SD i trzeba byłoby go zlikwidować, a Naujocks nie chciał pozbywać się fachowca tej miary, przewidując, że może się on jeszcze wielokrotnie przydać SD.

9 kwietnia Putzig wykonał zadanie. Heydrich z niedowierzaniem wpatrywał się w papiery dostarczone przez Naujocksa. Patrzył na nie pod światło, badał drobiazgowo przez szkło powiększające. Niepodobieństwem było jednak doszukanie się jakiegokolwiek błędu. List Tuchaczewskiego do nie wymienionego z nazwiska generała niemieckiego był wręcz majstersztykiem. Styl wypowiedzi, podpis, odręczne notatki na marginesach nie mogły pozostawiać cienia wątpliwości, że autorem jest radziecki marszałek. W liście Tuchaczewski zwierzał się z planów dokonania zamachu stanu i prosił o radę. Innym dokumentem, równie mistrzowsko wykonanym, była adnotacja szefa Abwehry nakazująca przekazanie dokumentów Hitlerowi.

Heydrich połączył się z Himmlerem i oświadczył, że jest gotów do omówienia głównego etapu akcji - przedstawienia dokumentów Rosjanom.

Himmler oczekiwał Heydricha z wyraźną niecierpliwością. Widać było, że gra wciągnęła go, a zbliżające się rozstrzygnięcie sprawiało, że stawała się coraz bardziej podniecająca.

Rozłożył na biurku papiery dostarczone przez Heydricha i kartka po kartce analizował je z niezwykłą wprost skrupulatnością. Mijały minuty, a Himmler nie odrywał oczu od linijek tekstu, pieczętek i podpisów.

Heydrich zrozumiał, że dusza policjanta nakazywała Himmlerowi odnalezienie błędu, ale im dłużej to trwało, tym większą satysfakcję sprawiała mu bezskuteczność tych poszukiwań.

- Gratuluję, Heydrich! - Himmler oderwał wreszcie wzrok od papierów. - Ta praca została wykonana w sposób mistrzowski.

- Sądzę jednak, że brakuje jednego najważniejszego elementu...

Himmler spojrzał z zainteresowaniem.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że fuhrer powinien załączyć jakąś adnotację w odpowiedzi na notę Canarisa?

- Uważam, że sfalszowanie podpisu fuhrera byłoby niedopuszczalne, a jednak zestaw tych dokumentów, ich logiczny ciąg, wymaga uwieńczenia w postaci dowodu bezpośredniego zainteresowania fuhrera.

Himmler milczał przez chwilę.

- Ma pan rację - powiedział wreszcie. - Zajmę się tym. Mam dla pana ważną informację. 21 kwietnia przybywa do Berlina szef czeskiej tajnej policji, doktor Karel Novak. Nie mam wątpliwości, że ta wizyta jest następstwem naszej akcji, która przekonała Czechów, że najwyżsi oficerowie Armii Czerwonej szykują się do obalenia Stalina. Novak spotka się z Millerem. Pewnie będzie chciał uzyskać dowody na spisek w Moskwie. Chciałbym, aby pan wziął udział w tym

spotkaniu i przekazał Novakowi niektóre fotokopie dokumentów.

- Czy nie wzbudzi to ich podejrzeń?

- Nie sędę. Czesi są tak przekonani o istnieniu spisku, że nie będą dociekać, dlaczego oddaliśmy im dowody.

Himmler nie mylił się. Novak już na początku spotkania z Millerem wyraził zainteresowanie dokumentami dotyczącymi współdziałania oficerów niemieckich i radzieckich w sprawie zamachu stanu. Zupełnie naturalnie przyjął propozycję spotkania z Heydrichem i niecierpliwie oczekiwał na fotokopie dokumentów, które po powrocie do Pragi triumfalnie wręczył prezydentowi, zaznaczając, że ich autentyczność nie budzi wątpliwości.

Benesowi takie zapewnienia nie były potrzebne. Od pierwszej chwili był przekonany o prawdziwości informacji nadchodzących z Berlina. Fotokopie przywiezione przez doktora Novaka były jedynie dowodem ostatecznym. Należało się tylko zastanowić, jak przekazać je Stalinowi. Nikt w Pradze nie wiedział, jak bardzo rozgałęziony jest spisek. Istniało niebezpieczeństwo, że informacja przekazana NKWD może trafić w ręce kogoś związanego z rebeliantami. Dlatego też Benes postanowił okrężną drogą informować posła radzieckiego w Pradze, Aleksandrowskiego, aby on sam - najlepiej zorientowany w geografii radzieckich organów władzy - wybrał najpewniejszą drogę lub dotarł bezpośrednio do Stalina. Pierwsze z serii spotkań odbyło się 22 kwietnia.

- Zaprosiłem pana, gdyż chciałbym wyjaśnić uporczywie powtarzające się wiadomości o zbliżeniu między Związkiem Radzieckim a Niemcami. - Benes od razu podjął główny temat, aczkolwiek nie miał zamiaru wspomnieć wprost o spisku.

Aleksandrowski nie dał się zaskoczyć. Przewidywał, co będzie tematem rozmowy. Kilka dni wcześniej otrzymał bowiem telegram od komisarza spraw zagranicznych, Maksima Litwinowa: *Uwierzcie Ludowemu Komisarzowi Spraw Zagranicznych, że krążące za granicą słuchy o naszym zbliżeniu z Niemcami pozbawione są wszelkich podstaw. Nie prowadziliśmy i nie prowadzimy jakichkolwiek rozmów na ten temat, czego dowodem może być chociażby równoczesne odwołanie przez nas ambasadora i radcy handlowego. Jest sprawą oczywistą, że pogłoski te rozpowszechniane są przez Niemców lub też Polaków w celach niezupełnie dla nas jasnych. Dementi to proszę cytować wszystkim, którzy zwrócą się do was w tej sprawie.*

Aleksandrowski nie wierzył w oficjalne zapewnienia swoich szefów o braku działań dyplomatycznych mających doprowadzić do zbliżenia między Związkiem Radzieckim i Niemcami, jednakże telegram zawierał służbowe polecenie i ambasador musiał je wypełnić.

- Nasze stanowisko w tej sprawie jest niezmiennie. Związek Radziecki ceni pokojowe współistnienie narodów i nie widzi powodów, aby jeden z nich wyróżniać - odpowiedział.

- Ależ dlaczego? - Obruszył się Benes. - Dlaczego to Związek Radziecki nie miałby zbliżyć się do Niemiec? Czechosłowacja przyjęłaby to z zadowoleniem...

- Przepraszam, panie prezydencie, ale nie rozumiem takiego ujęcia kwestii... - Aleksandrowski był szczerze zaskoczony reakcją Benesa.

- No cóż, muszę pana zapewnić, że bez względu na to, jakie zmiany dokonają się w polityce zagranicznej Związku Radzieckiego, Czechosłowacja pozostanie bezwzględnie wierna zasadzie dobrosąsiedzkich stosunków z waszym krajem i dotrzyma wszelkich zobowiązań, jakie zawarła.

- Panie prezydencie, nie widzę powodów, dla których polityka mojego państwa miałaby ulec zmianie. - Aleksandrowski był coraz bardziej zdumiony.

- Związek Radziecki jest nie tylko ogromnym krajem. Jest mocarstwem, które ma różnorodne interesy w Europie i Azji. Wydaje mi się, że właśnie różnorodność tych interesów może skłonić władzę ZSRR do dokonania zmian w polityce zagranicznej, zwłaszcza wobec Niemiec... - Benes zrobił krótką pauzę, sięgnął po filiżankę herbaty - ... czy Wielkiej Brytanii. Nie myślę o żadnych konkretnych sprawach. Proszę odnotować jako moje zapewnienie, że w każdej sytuacji Czechosłowacja pozostanie w przyjaznych stosunkach ze Związkiem Radzieckim.

- Jestem bardzo rad, panie prezydencie, że tak stawia pan sprawę. Kierownictwo partii i rząd mojego kraju bardzo cenią postawę Czechosłowacji. Muszę jednak podkreślić, że polityka Związku Radzieckiego jest absolutnie niezmienna, gdyż była i jest nastawiona na zachowanie pokoju. Zmiana naszej polityki zagranicznej możliwa byłaby tylko wówczas, gdyby któryś z naszych licznych partnerów przeszedł do obozu podżegaczy wojennych.

W czasie tej rozmowy Benes ani słowem nie wspomniał o możliwości obalenia Stalina. Jednakże uporczywe podkreślanie wierności Czechosłowacji w razie zmiany polityki Moskwy mówiło samo za siebie. Obydwaj politycy rozumieli doskonale, że sytuacja taka może nastąpić tylko w wyniku zmiany władzy na Kremlu.

Aleksandrowski po powrocie do ambasady przygotował natychmiast szczegółowe sprawozdanie ze spotkania i wysłał je do Moskwy.

Następnie dwukrotnie konferował z ministrem spraw zagranicznych Czechosłowacji, który zapewne miał zlecone przez prezydenta podjęcie tematu "zmiany polityki zagranicznej Związku Radzieckiego". Być może dopuścił się "zamierzonej niedyskrecji". Prawdopodobnie 7 maja Aleksandrowski ponownie stawił się u prezydenta. Benes miał już wówczas dostarczone z Berlina fotokopie "dowodów zdrady" Tuchaczewskiego i zapewne tego dnia przekazał Aleksandrowskiemu list do Stalina, zawierający bezpośrednie ostrzeżenie i dane o źródłach informacji na temat spisku oraz ludzi zamieszanych w znowę.

W Moskwie machina NKWD ruszyła.

Zwycięstwo

Naujocks źle się czuł w marynarce, która wydawała mu się za wąska w ramionach i uwierała pod pachami. Zawsze, gdy zakładał cywilne ubranie, wydawało mu się, że wygląda jak komiwojażer. Nie lubił rozstawać się z mundurem, którego groźny wygląd - jak sądził - dodawał mu męskości.

Jednakże tego dnia, siedząc przy stoliku kawiarnianym, był nawet zadowolony ze złego samopoczucia, wywołanego cywilnymi łachami, gdyż uważał, że dodaje to autentyzmu jego osobie. Powinien wyglądać jak oficer, który nieudolnie maskuje swój zawód. Na tarasie kawiarni "Adler" było tłoczno i hałaśliwie. Naujocks specjalnie wybrał to miejsce i porę największego ruchu, aby spotkać się z rosyjskim łącznikiem. Uważał, że w tłoku najlepiej się ukryć.

Otworzył "Berliner Zeitung" na kolumnie ogłoszeń matrymonialnych, nie czytał jednak zachęt do poznania pań i panów. Co pewien czas zerkał znad gazety i lustrował okoliczne stoliki. Zastanawiał się, jak wygląda rosyjski agent, na którego oczekiwał. Nie wiedział o nim nic poza tym, że miał przedstawić się jako "Hans". Jednakże nikt z ludzi przewijających się obok nie pasował do wizerunku szpiega. Minęła 17.00, czas umówionego spotkania, ale nikt nie podchodził do stolika Naujocksa, który przeczytał wreszcie całą kolumnę ogłoszeń matrymonialnych, ale nie mógł otworzyć gazety na innej stronie, gdyż ta była znakiem rozpoznawczym.

- Nazywam się Hans - usłyszał wreszcie. Przy stoliku stał wysoki mężczyzna, który mówił czystą niemiecką. - Czy mógłbym prosić o ogień?

Naujocks wydobył zapalniczkę i podsunął ją nieznajomemu.

- To nie najlepsze miejsce na spotkanie. Oczekuję pana w samochodzie na rogu ulicy. Zielony opel. - Mężczyzna zaciągnął się dymem i oddał zapalniczkę. Oddalił się szybko.

Dureń - pomyślał Naujocks. - "Nie najlepsze miejsce"! Im ciągle marzy się pustka rosyjskich stepów.

Zawołał jednak kelnera, zapłacił i wyszedł na ulicę. Tuż przy skrzyżowaniu dostrzegł zielony samochód. Gdy tylko usiadł obok kierowcy, ruszyli natychmiast.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Hans.

- Nie wiem, to pan zaproponował przejażdżkę. - Naujocks, jeszcze dotknięty uwagą o niewłaściwie wybranym miejscu, wzruszył ramionami.

- Uważam, że sprawa, którą mamy omówić, wymaga spokoju. Poza tym nie czuję się najlepiej w kawiarni, gdzie może siedzieć pół tuzina pańskich kolegów i obserwować nas - wyjaśnił, zerkając w lusterko, by sprawdzić, czy nie jedzie za nimi jakiś samochód.

- Jeżeli śledziliby nas, to raczej ja się powinienem obawiać - mruknął Naujocks.

Kluczyli przez kilkanaście minut ulicami Berlina, aż wreszcie wyjechali na autostradę

prowadzącą do Poczdamu. Hans zjechał w boczną drogę i zaparkował samochód przy kępie drzew.

- Tu możemy spokojnie porozmawiać. Co pan ma na sprzedaż?

- Dokumenty, niezwykle interesujące dla rosyjskiej służby bezpieczeństwa. - Naujocks nie chciał wyjawiać wszystkiego.

- Tyle wiem, a konkretnie? - dopytywał się Hans.

- Są to wyniki śledztwa prowadzonego przez Abwehrę w sprawie kontaktów wysokich oficerów niemieckich i rosyjskich, zmierzających do obalenia Stalina i ustanowienia dyktatury wojskowej.

- W jaki sposób dostał pan te dokumenty?

- Nie dostałem ich. Znajdują się w Sicherheitsdienst, która - na podstawie decyzji Hitlera - przejęła prowadzenie śledztwa. Mam dostęp do tych dokumentów, a konkretnie: będę miał dostęp jeszcze przez dwa dni.

- Za ile chce pan je sprzedać?

- Za 50 tysięcy marek.

- To dużo, bardzo dużo...

- Warte są znacznie więcej. Podobnie jak moja głowa, która spadnie, gdyby wyszło na jaw, w jaki sposób Rosja dowiedziała się o zdradzie własnych oficerów.

- To bardzo wysoka kwota - powtórzył Hans. - Nie mogę sam decydować. Muszę mieć zgodę przełożonych.

- Niech się pan pośpieszy. Nie mogę zrobić kopii na wszelki wypadek, bo to zbyt niebezpieczne, a jutro w nocy minie w ogóle taka możliwość.

- Dam panu odpowiedź jutro rano. Spotkamy się w tym samym miejscu, w kawiarni "Adler". - Hans włączył silnik i ruszyli w stronę centrum.

Następnego dnia Hans przybył punktualnie. Nie przysiadł się do stolika Naujocksa, lecz przechodząc obok rzucił tylko: "Zgadza się. Jutro tutaj". Naujocks patrzył za nim z pełnym uznaniem. To są zawodowcy - pomyślał o rosyjskich agentach. Późnym wieczorem, gdy nikogo już tam nie było, zszedł do laboratorium w podziemiach budynku SD. Postanowił sam zrobić zdjęcia dokumentów. Był przekonany, że Rosjanie będą starannie badać odbitki i mogliby stać się nieufni, gdyby podejrzewali udział zawodowego fotografa. Po północy, gdy zdjęcia były już wywołane i wysuszone, zapakował je w gazetę i pojechał do domu. O umówionej porze usiadł przy stoliku w kawiarni "Adler". Nie czekał długo. Po kilku minutach dostrzegł znajomą sylwetkę Hansa, który skierował się do samochodu zaparkowanego w tym samym miejscu, gdzie stał dwa dni temu. Naujocks podążył za nim. Wsiadł do samochodu.

- Ma pań dokumenty? - zapytał Hans.

- Pan chyba żartuje. - Naujocks wzruszył ramionami. - Zaczniemy od tego, czy pan ma pieniądze?

- Oczywiście!

- Wobec tego jedźmy do hotelu "Ambasador". Tam wynająłem pokój i tam mam dokumenty.

Przeszli obok recepcji i skierowali się do pokoju na pierwszym piętrze. Naujocks zamknął drzwi na klucz i rzucił marynarkę na krzesło.

- Chciałbym najpierw zobaczyć pieniądze - powiedział do Hansa, który niepewnie rozglądał się po pokoju.

- Słusznie - odparł tamten. Otworzył teczkę i rzucił na stół plik banknotów. - A teraz poproszę o zdjęcia.

Naujocks przejrzał pobieżnie banknoty i, nie wypuszczając ich z ręki, wyciągnął szufladę szafki przy łóżku, odchylił dno i ze skrytki wydobyl paczkę owiniętą w gazetę. Podał ją Hansowi i zabrał się do liczenia pieniędzy.

- Wykorzystuję ten pokój do spotkań z moimi informatorami, dlatego nie obawiałem się o bezpieczeństwo dokumentów - wyjaśnił. Przeliczył dokładnie pieniądze. - Zgadza się. No cóż, życzę powodzenia.

Po raz pierwszy Naujocks i rosyjski agent uścisnęli sobie ręce i wyszli z pokoju. Rozstali się przed hotelem. Nikt z SD nie śledził Hansa. Heydrich zabronił podejmowania takiej akcji, gdyż zagrażałaby całemu przedsięwzięciu. Kilka dni później zdjęcia dokumentów, wśród których znajdowała się odbitka "listu Tuchaczewskiego", dotarły na Kreml.

Długi urlop w Gagrze nad Morzem Czarnym dobiegał końca. Tuchaczewski z niepokojem myślał o powrocie do Moskwy. Czuł się podobnie jak w czasie wielu frontowych poranków, gdy musiał zrywać się z łóżka po dwóch, trzech godzinach snu i zanim uniósł ciężkie ze zmęczenia powieki, myślał z lękiem o nadchodzącym dniu. Jednakże tam, na froncie, wszystko było oczywiste i zrozumiałe. Linie tranzei wskazywały, kto swój, a kto wróg. W Moskwie dawno już zatracił to rozeznanie. To, co działo się wokół niego, napawało go przerażeniem i bezsilnością.

W 1936 r. NKWD aresztowało kilku najwyższych oficerów. W więzieniu znalazł się dowódca 8. samodzielnej brygady ciężkich czołgów, Dmitrij Schmidt. Początkowo oskarżano go o przygotowania do zabicia komisarza Klimenta Woroszyłowa, a następnie o organizowanie buntu we własnej brygadzie.

Aresztowano komkorów: Witalija Primakowa, Witowta Putnę, Siemiona Turowskiego, komdiwa Jurija Sablina. Wszyscy oni dawno już związali swoje losy z partią bolszewicką i służyli jej z pełnym oddaniem. Łączyła ich ponadto służba na froncie polskim w 1920 r., co głęboko niepokoiło Tuchaczewskiego. Mógł jednak tłumaczyć sobie fakt aresztowania tych ludzi dawnymi powiązaniem z opozycją trockistowską, co dawało mu nadzieję, że nie podzieli losu aresztowanych, gdyż przed laty przeciwstawiał się Trockiemu. Jednakże kolejne wydarzenia uświadamiały mu, że tylko ludzi się nadzieją.

W grudniu 1936 r. Stalin, przemawiając na plenum Komitetu Centralnego, wymienił jego nazwisko. Powiedział, że organy śledcze mają materiały obciążające marszałka, ale "połapaliśmy się i towarzyszu Tuchaczewski może spokojnie pracować". Tę wypowiedź można było zrozumieć tylko w jeden sposób: aresztowani wskazują na Tuchaczewskiego jako kompana i uczestnika spisku, ale na razie partia (Stalin?) wierzy w jego niewinność. Jak długo jednak? Wystarczyło jedno zeznanie więcej i zastępca komisarza spraw wojskowych mógł znaleźć się w więzieniu.

W styczniu dotarła do marszałka bardzo niepokojąca wiadomość. Podczas procesu siedemnastu członków partii, oskarżonych o działalność kontrewolucyjną, Karol Radek - jeden z podsądnych - wymienił nazwisko Tuchaczewskiego. Prawdopodobnie przypadkiem, relacjonując jakąś sytuację bez większego znaczenia. Jednakże prokurator Andriej Wyszyński uchwycił ten ślad i wielokrotnie dopytywał się, czy Tuchaczewski nie miał związku z działalnością wywrotowców. Można było nawet odnieść wrażenie, że oczekiwał na potwierdzenie podejrzeń, które formułował na sali rozpraw. Radek stanowczo zaprzeczał, co tylko pogarszało sprawę. Człowiek, w którego obronie stawał "przestępca i wróg ludu", musiał wydać się podejrzanym.

Następny cios padł w lutym. Zmarł najbliższy przyjaciel, Sergo Ordżonikidze. Samobójcza śmierć, dziwna i tajemnicza, wstrząsnęła Tuchaczewskim. Odszedł najszczerzy druh, którego poznał w najtrudniejszym dla obu okresie walk na Zakaukaziu. Ordżonikidze był zarazem najsilniejszym protektorem i doradcą marszałka.

Jednakże w tej serii wydarzeń - niebezpiecznych, zagrażających życiu - błysnęła możliwość, która zdawała się rozpraszać obawy. W maju marszałek miał wyjechać do Londynu na czele

radzieckiej delegacji na uroczystość koronowania króla Jerzego VI. Ta perspektywa koła niepokój Tuchaczewskiego. Był przekonany, że partia nie wysyłałaby w takiej misji człowieka podejrzanego o działalność antyrewolucyjną. Oczywiście zawsze można było później wytłumaczyć, że oszukał najwyższe władze i wślizgnął się do państwowej delegacji, ale taka sytuacja byłaby niezręczna dla NKWD i ta bardzo sprawna organizacja zrobiłaby wszystko, aby do tego nie dopuścić. Im bliższy był termin wyjazdu, tym bardziej Tuchaczewski uspokajał się, gdyż nie czyniono żadnych zmian w składzie delegacji.

Nie wiedział jednak, że 21 kwietnia komisarz spraw wewnętrznych, Mikołaj Jeżow, wystąpił do Stalina z wnioskiem o odwołanie wyjazdu marszałka, ze względu na zamach, jaki przygotowano na niego w Warszawie. Było to bardzo mało prawdopodobne, tym bardziej że w razie rzeczywistego zagrożenia Tuchaczewski wraz z delegacją mógł popłynąć do Londynu na pokładzie okrętu wojennego. Stalin szybko zaakceptował propozycję Jeżowa i wydał polecenie zmiany składu delegacji. Rozprawa z Tuchaczewskim rozpoczęła się.

On sam nie mógł wiedzieć, że jego los został przesądzony, gdy stanął na drodze Stalina, który obawiał się towarzyszy partyjnych i najwyższych oficerów - dwóch środowisk, gdzie mógł narodzić się najgroźniejszy spisek. Ze zdumieniem i podziwem Stalin obserwował, jak szybko Hitler rozprawił się z bardzo silną opozycją, stanowiącą barierę na drodze do osiągnięcia pełni władzy. W ciągu jednej nocy (z 29 na 30 czerwca 1934 r.) wierne mu oddziały SS zamordowały szefa organizacji SA, Ernsta Rohma, i jego najbliższych współpracowników. Następnego dnia dokończono dzieła usuwania najgroźniejszych przeciwników kanclerza. Podziw Stalina dla sprawności tej akcji wynikał z faktu, że Rohm stał na czele armii liczącej bez mała milion ludzi, a został zlikwidowany bez oporu. W kilka miesięcy później Stalin przeniósł metody Hitlera na własny grunt i nadał im rozmiar, o którym Hitler nie mógłby nawet marzyć.

1 grudnia 1934 r. do Instytutu Smolnego w Leningradzie wtargnął młody człowiek Leonid Nikołajew. Strzelił do Siergieja Kirowa - szefa leningradzkiej organizacji partyjnej, członka Biura Politycznego i sekretarza Komitetu Centralnego - i zbiegł. Strzały były śmiertelne. Nigdy nie wyjaśniono, jak udało mu się przedostać do dobrze strzeżonego obiektu. Jednakże fakt, że ofiarą zamachu padł polityk będący zwolennikiem liberalniejszego kursu, zgłoszony kilka miesięcy wcześniej - na XVII zjeździe partii bolszewickiej - jako kandydat na stanowisko sekretarza generalnego, wskazywał jednoznacznie, że zbrodnia została zorganizowana na polecenie Stalina. Gdy schwytano zabójcę i przyprowadzono przed oblicze Stalina, który specjalnie w tym celu przybył do Leningradu, zamachowiec, na pytanie, dlaczego strzelał, padł na kolana i wskazując tajniaków mówił łkając: "To oni kazali mi to zrobić". Nie wyjawiał niczego więcej, gdyż natychmiast skatowano go kolbami pistoletów do utraty przytomności, a 29 grudnia został stracony, po krótkim, tajnym procesie.

Śmierć Kirowa była bardzo wygodna dla Stalina. Pozwalała mu przekonywać władze partii i naród, że wynikała ze spisku bezwzględnych i przebiegłych wrogów socjalizmu, którzy - korzystając z pomocy mocarstw zachodnich - opanowali wiele środowisk społeczeństwa radzieckiego. Zarzut udziału w knowaniach przeciwko władzy radzieckiej w celu przywrócenia rządów wyzyskiwaczy był śmiertelną bronią przeciwko tym, których Stalin obawiał się, podejrzewał o wrogość lub chęć pozbawienia go władzy, którym nie dowierzał. Jednymi z pierwszych ofiar byli dawni towarzysze wodza - Lew Kamieniew i Grigorij Zinowiew, którzy wsparli go niegdyś w walce z Lwem Trockim,

ale później zwrócili się przeciw niemu.

Starzy działacze partyjni - często najbliżsi współpracownicy Lenina, zahartowani w carskich więzieniach, na syberyjskich zsyłkach - musieli zostać zniszczeni w pierwszej kolejności, gdyż stanowili największe zagrożenie dla sekretarza generalnego. Mógł przypuszczać, że tak jak przed laty targnęli się na carat, tak obecnie widząc samodzierżawie Stalina, wystąpią przeciw niemu. Należało jednak udowodnić istnienie spisku, działalność tajnych ugrupowań i kontrrewolucyjnych centrów, utrzymujących ścisły związek z antykomunistycznymi ośrodkami na Zachodzie. To już było zadanie władz bezpieczeństwa. Jednakże generalny komisarz bezpieczeństwa państwowego, Gienrich Jagoda, nie działał dość sprawnie, wręcz zaczął hamować represje przeciwko starym bolszewikom. 25 września 1936 r. Stalin przysłał więc z Soczi, gdzie odpoczywał, telegram, który przesądził o losie Jagody: Uważamy za sprawę konieczną i pilną nominację towarzysza Jeżowa na stanowisko ludowego komisarza spraw wewnętrznych. Jagoda okazał się zdecydowanie niezdolny do zdemaskowania trockistowsko-zinowiewoskiego bloku, OGPU jest w tej sprawie opóźnione o cztery lata. Jagoda został przesunięty na mało znaczące stanowisko komisarza poczt i telegrafów, ale Stalin nie wybaczał ludziom, którzy go "zawiedli". W kwietniu 1937 r. Jagodę aresztowano i skazano na karę śmierci. Nowy szef NKWD Nikołaj Jeżow, stał się niezawodnym wykonawcą planów Stalina*. [* Gorliwość Jeżowa przesądziła o jego zgubie, gdy posunął się do aresztowania najwierniejszych stalinowców, a zarazem utracił kontrolę nad zorganizowanym przez siebie aparatem terroru. W rezultacie w grudniu 1938 r. odwołano go ze stanowiska i aresztowano. W 1940 r. stanął przed Trybunałem Wojskowym Sądu Najwyższego; został skazany na śmierć i rozstrzelany.]

Wielka czystka przybierała gigantyczne rozmiary. Za czasów działalności Jeżowa liczba członków partii komunistycznej zmniejszyła się z dwóch i osiem dziesiątych miliona do dwóch i czterech dziesiątych miliona. Choć w okresie tym przyjęto milion nowych członków. Nikt nie jest w stanie obliczyć, ilu ludzi aresztowano. Niewinni, wyrwani nagle z normalnego życia, zamknięci w więzieniu, załamywali się. Niewielu, bardzo niewielu, wytrzymało noce bez snu, obawy o los najbliższych, umiejętnie podsycane przez śledczych, a wreszcie tortury - od bicia gumową pałką po najbardziej wyrafinowane, jakie tylko mogła wymyślić bestia ludzka. Oskarżali siebie, najbliższych, sąsiadów, kolegów z pracy. Teczki NKWD pęczniały, a samochody zwoziły do cel nowe ofiary, musiała jakoś uzasadniać swoją działalność, oddawała więc sędziom oskarżonych tak "przygotowanych", aby na sali sądowej nie śmieli zaprzeczyć oskarżeniu, nie przyznać się do winy, czy wręcz domagać się ustalenia prawdy. Oficerowie śledczy wmawiali zmaltretowanym ludziom, że jedyną ich szansą jest przyznanie się i błaganie o litość.

Ogromna większość tak właśnie zachowywała się na sali sądowej. W ten sposób propaganda - rozgłaszając zeznania ludzi, którzy wskazywali siebie i bliskich jako aktywnie działających wrogów państwa i narodu - zyskiwała materiał do wywoływania w społeczeństwie atmosfery zagrożenia działalnością antyradzieckich ugrupowań i uzasadniania tym samym terroru.

W sierpniu 1936 r. przed sądem stanęło szesnastu komunistów oskarżonych o udział w "zjednoczonym antysowieckim centrum trockistowsko-zinowiewowskim". Byli wśród nich Kamieniew i Zinowiew. Wszyscy zostali skazani na śmierć. Ich zeznania, wydobyte torturami, posłużyły do przygotowania następnego wielkiego procesu. W styczniu 1937 r. rozpoczęła się

rozprawa "siedemnastu". Podsądnych oskarżono o poważne przestępstwa polityczne, jednakże sąd uznał, że nie aż tak szkodliwe, by we wszystkich przypadkach wydać wyrok śmierci. Stracono trzynaście osób, a cztery (w tym Karol Radek, który okazał się bardzo pomocny prokuratorowi) otrzymały wyroki więzienia.

Stalinowi, w równym stopniu jak długoletni działacze partyjni, zagrażali starzy wojskowi, weterani rewolucji, bohaterowie wojny domowej, o których pisano wiersze, nakręcano filmy i śpiewano pieśni. Musiał zniszczyć ich samych i legendę. Chciał, by odeszli jako zdrajcy ojczyzny, szpiegzy, przestępcy. W ten sposób zamierzał rozbić środowiska wojskowe, w których mógł narodzić się plan obalenia go, a jednocześnie zastraszyć tysiące oficerów, zmusić ich do ratowania własnej pozycji, stopnia czy nawet życia. Mogli to osiągnąć oskarżając innych. Machina czystki w wojsku, która zaczęła kręcić się w 1935 r. i ograniczała głównie do zwalniania oficerów, wkrótce stała się równie zabójcza jak w partii.

Tuchaczewski - człowiek, który kiedyś wszedł w konflikt ze Stalinem, bohater rewolucji, oficer zbyt samodzielny i przedsiębiorczy - musiał odejść, gdyż stanowił potencjalne zagrożenie dla Stalina. Fakt wycofania go z delegacji do Wielkiej Brytanii mówił wszystko. Dla środowiska oficerskiego był ostatecznym potwierdzeniem, że zastępca komisarza spraw wojskowych popadł w niełaskę, a jego dni na stanowisku i na wolności są policzone.

1 maja marszałek wszedł na trybunę honorową na placu Czerwonym, aby razem z innymi dostojnikami przyjąć defiladę wojska i pochód ludności cywilnej. W części zarezerwowanej dla przedstawicieli władz wojskowych nie było jeszcze nikogo. Tuchaczewski stanął z boku. Dopiero po kilku minutach przyszedł marszałek Jegorow. Nie zaszalutował, nie odezwał się. Również wicekomisarz Jan Gamarnik zdawał się nie dostrzegać Tuchaczewskiego. Nie przeczuwali, że i ich czeka los człowieka, od którego ostentacyjnie dystansowali się. Podobnie zachował się marszałek Budionny, co jednak - ze względu na nienawiść, jaką żywili wobec siebie z Tuchaczewskim - nikogo nie zdziwiło. Stało się jednak jasne, że wszelkie kontakty z Tuchaczewskim są niebezpieczne. Przyjacielska rozmowa, życzliwe słowo, a nawet uścisk dłoni nie mogły ująć uwagi wnikliwych obserwatorów z NKWD. A może i samego Stalina, który na tej samej trybunie stał dwa metry wyżej i doskonale widział zachowanie marszałków.

Tuchaczewski nie dotrwał do końca parady. Gdy tylko z placu Czerwonego zjechały ostatnie ciężarówki z wojskiem i ruszyły równe szeregi robotników skandujących: "Niech żyje towarzysz Stalin", wsadził ręce do kieszeni, zszedł po marmurowych schodach i zmieszał się z tłumem.

Kilka dni później zatelefonował do niego komisarz Woroszyłow. Sucho i służbiście poinformował, że ze względu na zamach przygotowywany na marszałka w Warszawie, zdecydowano się, w trosce o jego bezpieczeństwo, odwołać wyjazd do Londynu. Bliższe informacje na temat zamachu, nie budzące żadnych wątpliwości, ma szef NKWD, Nikołaj Jeżow, który udostępni je zainteresowanemu.

Ostatnia nadzieja prysła. Cała sprawa była szyta zbyt grubymi nićmi, aby można było ją przyjąć bez zastrzeżeń. Zapewne w tym momencie Tuchaczewski zdał sobie sprawę, że wkrótce padną kolejne ciosy, przed którymi nie zdoła się uchylić. Był już osaczony.

9 maja został zwolniony ze stanowiska zastępcy komisarza spraw wojskowych i morskich i mianowany dowódcą maleńskiego Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego, gdzie stacjonowały trzy dywizje piechoty i dwa bataliony czołgów.

Tego samego dnia wyjechał z żoną na dachę w Pietrowskim. Zwykle znajdował tam spokój i pokrzepienie. Teraz jednak i tam dotarła nieprzyjemna atmosfera. Kucharka i kobieta podająca do stołu, zawsze uśmiechnięte i skore do pomocy, wydały się marszałkowi opryskliwe, a nawet wrogie. Starał się nie zwracać na to uwagi, przekonany, że nadmiernie przeczulony ostatnimi wydarzeniami źle ocenia sytuację. Jednakże siedząc w pokoju nad książką, usłyszał, jak żona mówi do szwagierki:

- Co się stało Nataszy? Zawsze taka miła, a dzisiaj przechodząc przez podwórze nawet "dzień dobry" nie powiedziała...

Tuchaczewski dostrzegł, że jego siostra, widząc, iż przysłuchuje się rozmowie, zamachała ręką, dając znak, by zmienić temat.

- Misza też jakiś inny. - Żaliła się żona. - Czy zauważyłaś, że posiwiął? Nie chce ze mną rozmawiać o swoich zmartwieniach, ale wiem, że są bardzo poważne.

Rozmowa urwała się gwałtownie, gdyż Jelizawieta wymogła gestami zmianę tematu. Zaczęła mówić o swoim mężu, Mikołaju.

Tuchaczewski rozmyślał, jak może bronić się przed niebezpieczeństwem, które odczuwał nawet tutaj, daleko od Moskwy. Jego pierwszym odruchem na wiadomość o odwołaniu ze stanowiska zastępcy komisarza było złożenie podania o przeniesienie w stan spoczynku. Zdawał sobie sprawę, że to ucieczka, ale choć przez chwilę miał nadzieję, iż usuwając się z drogi, uniknie najgorszego. Dymisja nie została jednak przyjęta. Był żołnierzem, musiał wykonać rozkaz i objąć stanowisko dowódcy Nadwołżańskiego Okręgu Wojskowego w Samarze (Kujbyszewie).

- Źle robisz, że tak bardzo się przejmujesz tym wyjazdem. - Jelizawieta podeszła do niego. Tuchaczewski usiłował zaprzeczyć, ale doszedł do wniosku, że to nie ma sensu. - Pamiętasz, jak musiałeś wyjechać do Leningradu? Też bardzo to przeżywałeś, a potem byłeś zadowolony. Pamiętam, jak powiedziałeś mi, że gdyby nie pobyt w Leningradzie, nie zostałbyś wicekomisarzem.

- To było zupełnie co innego... Patrzył na siostrę i rozumiał doskonale, że ona nie wierzy w to, co mówi albo nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Odesłanie zastępcy komisarza spraw wojskowych do maleńskiego, nic nie znaczącego okręgu wojskowego było jak zamknięcie w komórce. - Wtedy nie mieli do mnie żadnych zastrzeżeń politycznych. Teraz sytuacja jest o wiele poważniejsza. Na procesie Radek wymienił moje nazwisko. A co mówił w śledztwie? Co zaprotokołowano? Może nic ważnego, ale pamiętaj, że Stalin i Woroszyłow nienawidzą mnie. Jeśli nawet zeznania Radka nie są bardzo obciążające, to już ci dwaj postarają się, żeby nabrały odpowiedniego ciężaru. Wystarczająco dużego, by pociągnął mnie na dno jak kamień u nóg topielca.

Tuchaczewski właściwie oceniał sytuację. 6 maja NKWD aresztowało byłego dowódcę obrony przeciwlotniczej, kombryga Michaiła Miedwiediewa, któremu wyznaczono rolę świadka oskarżenia. Przez dwa dni wytrzymał bicie i szykany, co nie oznaczało wcale, że był szczególnie twardym

człowiekiem. Po prostu niewiele wiedział o kadrze dowódczej. Sypał nazwiskami ludzi, których znał z czasów służby, nie mającymi jednak żadnego związku ze sprawą Tuchaczewskiego. Jednakże 10 maja załamał się i zaczął powtarzać wszystko, co podsuwał mu oficer śledczy. Z jego zeznań wynikało, że Tuchaczewski stanął na czele kontrrewolucyjnego spisku, którego celem było obalenie władzy radzieckiej i przywrócenie kapitalizmu. Zapewne na podstawie tego "zeznania" zwolniono Tuchaczewskiego ze stanowiska. Pozostawało jednak zebranie mocniejszych dowodów, które umożliwiłyby postawienie go przed sądem i skazanie na śmierć. Takie dowody mieli dostarczyć więźni od pewnego czasu Primakow i Putna. Pośpiech, jaki zaczęło w sprawie marszałka wykazywać NKWD, ponaglone przez Stalina, spowodował, że poddano ich szczególnie okrutnym zabiegom w celu wymuszenia zeznań. W połowie maja obydwaj "przyznali się" do udziału w spisku i zaczęli wyliczać innych uczestników. Obydwaj też wskazywali na Tuchaczewskiego. NKWD uzyskało w ten sposób "żelazne dowody", a jednak Stalin ciągle nie zgadzał się na uwięzienie marszałka. Być może oczekiwał czegoś więcej... Może obawiał się, że rozprawa z Tuchaczewskim i wieloma innymi oficerami z bohaterską przeszłością bojową będzie trudniejsza, niż przypuszczał.

21 maja marszałek z żoną wsiedli do samochodu, który miał odwieźć ich na stację.

- Nie wyjeżdżamy na długo - rzekł nagle Tuchaczewski do swojego adiutanta, Jewgienija Szyłowa.

- To bardzo dobra wiadomość, Michaiile Nikołajewiczu. - Adiutant nie zadawał żadnych pytań, oczekując, by marszałek sam wyjaśnił powód swojego optymizmu.

- Obiecano mi szybki powrót do Moskwy - mówił Tuchaczewski. Nie powiedział tego wprost, ale ze sposobu, w jaki wypowiedział słowo "obiecano", wynikało jednoznacznie, że zapewnienie wyszło od samego Stalina. Tak było w istocie. Marszałek, czując się zaszczuty, postawił wszystko na jedną kartę. Wysłał list do Stalina. Odpowiedź nie nadchodziła przez kilka dni. Stracił już nadzieję, że będzie mógł wykorzystać tę ostatnią deskę ratunku, gdy nagle wezwano go do sekretarza generalnego. Rozmowa odbyła się w miłej atmosferze. Stalin wydawał się szczerze zatroskany losem marszałka i, jak wielokrotnie w podobnych sytuacjach, udzielał dobrych rad. "Trzeba przeczekać, aż ucichną plotki" - powiedział, sugerując, że to wrogowie rozprowadzają kłamliwe informacje, jednakże na tyle prawdopodobne, że nawet on - sekretarz generalny - nie może ich zlekceważyć. To zapewnienie, udzielone przez pierwszego człowieka w państwie człowiekowi w skrajnej desperacji, miało dla niego ogromną wagę. Zdawało się przywracać nadzieję, że to tylko zmowa zawistnych kolegów. Zaczynał widzieć swoją sprawę, którą dotąd uważał za beznadziejną, jako drobne potknięcie na trudnej drodze kariery.

Może dlatego, jadąc na dworzec, był w znacznie lepszym nastroju. Żona, Nina Jewgieniejewna, też odczuwała ogromną ulgę. Po raz pierwszy od wielu dni widziała męża pełnego energii. A może tylko nauczyła się ukrywać swoje największe zmartwienie?

- Dzisiaj rano byłem w organizacji partyjnej. Opłaciłem składki i powiedziałem, żeby nie przesyłali papierów do Kujbyszewa. Po co? Na tak krótko...

Na dworcu w Kujbyszewie Tuchaczewskich powitał dotychczasowy dowódca okręgu, Paweł Dybienko. Zawiózł ich do przygotowanego mieszkania.

- Wiem, że możecie być zmęczeni - powiedział, gdy stanęli w przedpokoju - ale dzisiaj odbywa się konferencja partyjna. Dobrze byłoby, żebyście przyszli. Głos możecie zabrać jutro, jak trochę odpoczniecie. Dzisiaj przysłuchajcie się jednak, co mówią towarzysze. Dobrze byłoby, żebyście się przy okazji poznali, skoro macie razem pracować.

- Dobrze, przyślijcie samochód...

Gdy marszałek wszedł do sali rejonowego komitetu partii, powitały go oklaski.

W tym samym czasie na Kremlu Stalin rozłożył na biurku wszystkie dokumenty, które wyjął z szafy pancерnej. Spokojnie, długo wpatrując się w każdą kartkę, analizował treść oryginałów i dołączonego tłumaczenia.

No, towarzyszu Tuchaczewski, jak wam obiecałem, szybko wróćcie do Moskwy. Nawet szybciej, niż sam myślałem - powiedział do siebie. Na blacie biurka leżały fotokopie dokumentów, przywiezione z Berlina przez "Hansa", oraz materiały nadesłane z Pragi.

Stalin sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Połączcie mnie z Jeżowem - powiedział do sekretarza, który zgłosił się na dźwięk dzwonka. - Towarzyszu Jeżów, aresztujcie Tuchaczewskiego. Już wystarczy jego kreciej roboty.

Usłyszał tylko, jak komisarz wyrecytował: "Tak jest, towarzyszu sekretarzu generalny" i odłożył słuchawkę. Zsunął porozkładane papiery na kupkę. Postanowił, że nie zostaną wykorzystane przed sądem, gdyż w żadnym z dotychczasowych procesów nie przedstawiano materialnych dowodów winy, a jedynie zeznania świadków i oskarżonych. Przywoływanie przez prokuratora dokumentów zdobytych przez wywiad Stalin uznał za niepotrzebny precedens. Klarowny wizerunek przewodu sądowego, w którym skruszeni zbrodniarze kajali się, wyjawiali, jak zdradzili ojczyznę i bliskich, wydawał się Stalinowi rozwiązaniem idealnym i nie miał zamiaru go zmieniać. Jednakże dowodów zdrady Tuchaczewskiego potrzebował poza sądem, na posiedzeniu Biura Politycznego. Pokazanie towarzyszom, jak sprawnie działa wywiad radziecki, miało dodatkową wymowę. Stawało się przestrogą dla nich samych, aby nie próbowali podejmować współpracy z zagranicznymi ośrodkami lub knuć przeciwko Stalinowi. Wiedział, że nikt nie będzie kwestionować dokumentów niemieckich noszących podpis samego Hitlera oraz informacji z Pragi, przesłanej przez prezydenta Benesa. Robiąc wielką czystkę w wojsku, Stalin musiał mieć pewność, że nie napotka nieprzewidzianych przeszkód. Nikt z towarzyszy nie powinien mieć cienia wątpliwości, że Tuchaczewski to zdrajca, którego należy osądzić jak najsurowiej. Na podstawie materiałów, które Stalin miał w rękę, można było oskarżyć marszałka, że stanął na czele grupy wojskowych i cywilnych rebeliantów, zamierzających zamordować Stalina, Kaganowicza, Mołotowa i Litwinowa, a następnie zamierzał ustanowić dyktaturę wojskową w ścisłej współpracy z Niemcami. Oczywiście pomoc Niemców byłaby sowicie wynagrodzona przez zwycięskich zamachowców, którzy oddaliby im duże połacie Kraju Rad (przede wszystkim Ukrainę), przyznali znaczne ulgi w handlu oraz zawarli ścisły sojusz polityczny i wojskowy. Taka wizja, wyłaniająca się z dokumentów oraz z zeznań aresztowanych, nie dopuszczała możliwości sprzeciwu wobec jedyne­go rozwiązania, jakim było aresztowanie i kara śmierci dla zamachowców*.[* W czasie posiedzenia Biura Politycznego 24 maja Stalin uzyskał nie tylko zatwierdzenie aresztowania Tuchaczewskiego. Podjęto też decyzję o konieczności

przeprowadzenia gruntownej kontroli w korpusie oficerskim, co wynikało z przeświadczenia, że spiskowcy nie mogli planować obalenia najwyższych władz państwa bez solidnego oparcia wśród oficerów. Ta decyzja stwarzała możliwość czystek w wojsku.]

Następnego dnia, 22 maja, Michaił Tuchaczewski udał się do szefa komitetu okręgowego partii. Pastyszew trzymał go długo w sekretariacie, zanim wreszcie zaprosił do gabinetu. Rozmowa trwała kilka minut, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich szef rejonowego urzędu NKWD, Papaszenko. Za nim weszli dwaj naczelnicy wydziałów. W sekretariacie pozostało kilku żołnierzy, ściągniętych na wypadek, gdyby aresztant chciał stawiać opór lub też zdołał zawiadomić swoich współpracowników.

- Obywatelu Tuchaczewski, jesteście aresztowani. - Papaszenko wyciągnął z kieszeni munduru kartkę z nakazem aresztowania, podpisanym przez Jeżowa. W tej samej chwili dwaj pozostali enkawudziści schwycili marszałka za ręce, uniemożliwiając obronę, zerwali pagony i odznaki marszałkowskie i wywlekli go do sekretariatu. Stamtąd skierowali się tylnym wyjściem na schody prowadzące na podwórze, gdzie czekał już samochód. Wepchnęli aresztanta do wnętrza i samochód ruszył w stronę więzienia.

Nina Jewgieniewna długo czekała na męża. Jego nieobecność tłumaczyła nawałem obowiązków, jakie przypadły na pierwszy dzień pobytu w nowej placówce. Miała mu jednak za złe, że pozostawił ją samą w mieszkaniu, które wydawało jej się puste i obce. Był już późny wieczór, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Przekonana, że wraca mąż, wyszła do przedpokoju.

Przed drzwiami stał jednak Paweł Dybienko, którego poznała na dworcu poprzedniego dnia. Był wyraźnie zdenerwowany i mimo chłodnego wieczoru spocony. Nic nie mówiąc, wszedł do mieszkania.

- Michaił Nikołajewicz został dzisiaj aresztowany - wykrztusił wreszcie i widać było, że jest szczerze przejęty.

Nina poczuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp.

Oskarżeni Przyznali Się Do Winy

Tuchaczewskiego bezzwłocznie przetransportowano do Moskwy. Przez kilka pierwszych dni nie protokołowano w więzieniu jego zeznań, co oznaczało, że nie przyznawał się do winy. Załamał się jednak szybko. 26 maja przyznał się do wszystkich zarzucanych przestępstw.

Dlaczego? Torturowano go? Zapewne tak. Na protokole przesłuchania z podpisem Tuchaczewskiego odkryto po latach krople krwi. Analiza wykazała, że krew ściekała na papier pod kątem. Spływała z ciała zmaltretowanego więźnia lub też z pejcza, którym go bito. Bez wątplenia poddano go również presji psychicznej. Był to zabieg często stosowany wobec więźniów politycznych. Przekonywano ich, że od przyznania się i wskazania współwinnych zależy będzie życie najbliższych: żony, dzieci, rodzeństwa.

Jest również pewne, że ludzie, w których ręce Stalin złożył los Tuchaczewskiego, doskonale zdawali sobie sprawę, jak bardzo sekretarzowi zależy, by wszystko przebiegało bez zakłóceń. Nie cofnęli się przed niczym, aby wydobyć zeznania, których oczekiwał Stalin. Być może Tuchaczewski uznał, że cała sprawa jest tragicznym nieporozumieniem i gotów był przyznać się do wszystkiego licząc, że uda mu się skontaktować ze Stalinem i przerwać koszmar lub wyjaśnić wszystko przed sądem i uzyskać uniewinnienie od absurdalnych zarzutów. Nie docenił bezwzględności maszyny, w której tryby wpadł. Tuż przed rozpoczęciem procesu poddano go przesłuchaniu, aby zyskać pewność, że stojąc przed trybunałem nie zmieni zeznań. Zresztą istniało wiele innych metod, aby oskarżony, który, uwierzywszy w bezstronność sądu, wypierał się zeznań złożonych w śledztwie, został szybko przywołany do porządku. Sędziowie, ściśle współpracujący z aparatem represji, ogłaszali w takich wypadkach przerwę, w czasie której “nieposłusznego” oskarżonego poddawano torturom, aplikowano narkotyk, a w szczególnie trudnych i ważnych wypadkach podstawiano sobowtóra.

11 czerwca 1937 r. o 9.00 rozpoczął się proces marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i siedmiu innych oficerów aresztowanych pod podobnymi zarzutami. Agencja TASS informowała następnego dnia: Wczoraj, 11 czerwca br., w sali sądu najwyższego ZSRR Specjalny Sądowy Trybunał Sądu Najwyższego ZSRR, pod przewodnictwem przewodniczącego Izby Wojskowej Sądu Najwyższego ZSRR (...) tow. Ulricha, w składzie: zastępcy ludowego komisarza obrony (...) tow. Alksmisa, marszałka Buddionnego, marszałka Bluechera, szefa Sztaby Generalnego, Szaposznikowa, dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego, Bielowa, dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, Dybienki, [* Był to ten sam oficer, który poinformował Ninę Tuchaczewską o aresztowaniu męża.] dowódcy Północnokaukaskiego Okręgu Wojskowego, Kaszyrina i dowódcy 6. Kozackiego Korpusu Kawalerii im. Stalina, Goriaczowa, rozpatrzył na zamkniętym posiedzeniu, zgodnie z dekretem z 1 grudnia 1934 r., sprawę Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza, Korka, Eidemana, Feldmana, Primakowa i Putny. (...) Po ogłoszeniu aktu oskarżenia na pytanie przewodniczącego tow. Ulricha, czy oskarżeni przyznają się do przypisywanych im przestępstw, wszyscy oskarżeni przyznali się w pełni do winy. Sąd uznał że wyżej wymienieni oskarżeni byli na służbie wywiadu wojskowego jednego z państw prowadzących nieprzyjazną politykę wobec ZSRR, dostarczali wojskowym ośrodkom tego państwa informacji szpiegowskich, dokonywali aktów szkodliwych w celu zmniejszenia siły Armii Czerwonej (...) i mieli na celu przyczynienie się do rozczłonkowania Związku Radzieckiego i powrotu władzy obszarników i kapitalistów. Specjalny*

Trybunał uznał oskarżonych winnymi złamania przysięgi wojskowej, zdrady Armii Czerwonej i Ojczyzny i postanowił pozbawić ich stopni wojskowych (...) i skazać wszystkich na najwyższy wymiar kary - rozstrzelanie.

Rozprawa trwała krótko. Zakończyła się tego samego dnia po 23.00. Oskarżeni przyznali się do winy. Byli apatyczni, straszliwe śledztwo zostawiło na wszystkich niezatarte ślady. Oskarżali siebie i kolegów, starając się zyskać pobłażliwość sędziów. Nie wiedzieli, że oficerowie ze składu sędziowskiego, którzy mieli wydać wyrok w ich sprawie, czuli się równie zagrożeni. Oni także walczyli o życie, starając się wykazać bezgraniczne oddanie Stalinowi.

Wyrok w tej sprawie zapadł zresztą wcześniej, gdy Stalin przykazał przewodniczącemu składu sędziowskiego orzeczenie kary śmierci dla wszystkich oskarżonych.

Nad ranem 12 czerwca marszałek Tuchaczewski* [* Represje dotknęły najbliższą rodzinę marszałka. Bracia Nikołaj i Aleksandr oraz szwagier (mąż Jelizawiety), jako wojskowi, zostali rozstrzelani. Matka, pozbawiona środków do życia, żebrała i wkrótce zmarła z głodu. Pozostali członkowie rodziny, którzy - w myśl art. 58 kk - byli CzSIR-ami, czyli "członkami rodziny zdrajcy ojczyzny", zostali skazani na osiem lat łagru. Ich dzieci umieszczono w różnych domach dziecka pod zmienionymi nazwiskami. W 1946 r. siostry marszałka uzyskały możliwość osiedlenia się w Aleksandrowsku pod Moskwą, ale po dwóch latach zesłano je na Kołymę, skąd powróciły w styczniu 1956 r.] stanął przed plutonem egzekucyjnym na podwórzu więzienia na Łubiance. Podobno jego ostatnie słowa brzmiały: "Strzelacie nie do nas, strzelacie do Armii Czerwonej..."

Cztery lata później

Tuż przed świtem 22 czerwca 1941 r. niemiecka stacja nasłuchowa przechwyciła rozmowę radiową między dowódcą jednego z nadgranicznych posterunków i kwaterą główną.

- Zostaliśmy ostrzelani przez Niemców. Co mamy robić? - pytał dowódca radzieckiego oddziału.

- Chyba zwariowaliście! Dlaczego nie używacie szyfru?! - brzmiała odpowiedź.

Pół godziny później, o 3.40, szef Sztabu Generalnego, Georgij Żukow, zatelefonował do Willi Stalina w podmoskiewskiej miejscowości Kunczewo, informując o niemieckim ataku. Stalin milczał długo, a wreszcie nakazał Żukowowi i członkom Biura Politycznego stawić się niezwłocznie na Kremlu.

Zebranie rozpoczęło się o 4.30. Zdenerwowany komisarz spraw zagranicznych, Wiaczesław Mołotow, poinformował, że ambasador niemiecki przekazał mu notę o rozpoczęciu wojny.

- Czy naprawdę na to zasłużyliśmy? - zapytał Mołotow.

Armia Czerwona dysponowała 300 dywizjami, z których 170 (tj. około 2,9 miliona żołnierzy) stacjonowało w zachodnim rejonie Związku Radzieckiego i na ziemiach zagarniętych w 1939 i 1940 r. Te wojska miały 38 tysięcy dział i moździerzy, 1470 czołgów nowych typów (T-34 i KW-1) wśród 22-24 tysięcy czołgów w ogóle (w większości lekkich i przestarzałych) oraz około 1500 samolotów nowych typów z ponad 3 tysiącami stacjonowanych w tym rejonie. Była to ogromna siła. Odpowiednio zorganizowana i kierowana mogła zmierzyć się z armiami niemieckimi i sojuszniczymi, które o świcie ruszyły do ataku (120 dywizji piechoty, 2,5 miliona żołnierzy, 3350 czołgów, 48 tysięcy dział, 2200 samolotów).

Jednakże radzieckie wojska - tak liczne, tak obficie wyposażone w broń pancerną i lotnictwo - były kompletnie zaskoczone niemieckim uderzeniem. Większość z nich znajdowała się na poligonach lub w drodze z poligonów do rejonów zgrupowań. Dywizje rozwinięte w długie kolumny marszowe stawały się doskonałym celem dla niemieckich bombowców i myśliwców. Radzieckie samoloty przemieszczano na nowe lotniska, z których ogromna większość nie miała jeszcze zaplecza, części zamiennych, amunicji i paliwa. W ciągu pierwszych ośmiopółgodzinnych walk lotnictwo niemieckie zniszczyło 1200 samolotów radzieckich (z czego 800 na lotniskach), uzyskując panowanie w powietrzu. Grupy pancerne przeszły Bug i parły jak burza w stronę Moskwy. Do 9 lipca w rejonie działania Grupy Armii "Środek" Niemcy wzięli do niewoli 289 974 jeńców i zniszczyli 2585 czołgów oraz 246 samolotów. W rejonie Smoleńska zniszczyli lub zdobyli 2 tysiące czołgów, 1900 dział i wzięli do niewoli 100 tysięcy żołnierzy.

Rozmiar klęski Armii Czerwonej był wręcz niewyobrażalny. W ciągu trzech tygodni oddziały niemieckie wdarły się przeszło sześćset kilometrów w głąb Związku Radzieckiego. Do Moskwy pozostawało niespełna trzysta kilometrów. W czasie pierwszych pięciu miesięcy walki Armia Czerwona straciła (zabitych, rannych, wziętych o do niewoli) około trzech milionów żołnierzy. Taki

był rachunek, jaki przyszło zapłacić za czystkę w siłach zbrojnych.

Nikt dzisiaj nie potrafi dokładnie określić, jak wielu oficerów (podczas czystki) rozstrzelano, uwięziono w łagrach lub w najlepszym razie zwolniono z wojska. Szacunki wahają się od trzydziestu pięciu tysięcy do osiemdziesięciu dwóch*.[* Taką liczbę podaje jeden z najwybitniejszych znawców zagadnienia, doktor Paweł Wieczorkiewicz w najnowszej pracy "Stalin i generalicja sowiecka w latach 1937-1941. Sprawa Tuchaczewskiego i jej konsekwencje". Wydawnictwo "Gryf" 1993.] Wśród nich znaleźli się najlepsi, najzdolniejsi i najbardziej doświadczeni dowódcy. Ich odejście zniszczyło to wszystko, co wnieśli do wojska, czego nauczyli się na frontach wojny domowej, co wypracowali na manewrach, w czasie gier sztabowych.

Marszałek Tuchaczewski napisał w jednej ze swoich prac (w 1935 r.), że Niemcy uderzą na Związek Radziecki wiosną 1941 r. w sile dwustu dywizji...

Czarna orkiestra

Od wczesnego rana autostradą Monachium-Salzburg mknęły czarne mercedesy. Sto siedemdziesiąt kilometrów na południe od Monachium zjeżdżały na wąską asfaltową szosę prowadzącą do górskiego kurortu Berchtesgaden. Po dwudziestu minutach szybkiej jazdy docierały do miasteczka, przemykały ulicami i przy dworcu skręcały w stronę Obersalzbergu. Tuż potem ginęły w cieniu starych jodeł i dębów, rosnących po obydwu stronach wąskiej jezdni. Droga stawała się coraz bardziej stroma, aczkolwiek dobrze wyprofilowane zakręty pozwalały kierowcom utrzymać dużą prędkość. Zwalniali, dopiero gdy dotarli do stóp góry Kehlstein. Dalszy podjazd nie był trudny, ale widok przepaści po prawej stronie drogi, mimo solidnych rur ciągnących się między kamiennymi słupkami, zmuszał do ostrożności.

Admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry, ocknął się z długiej drzemki, w jaką zapadł nad ranem, gdy wyjechali z Monachium. Usiadł wygodniej w skórzanym fotelu służbowego mercedesa i zaczął rozcierać zdrętwiałe kolano.

- Już chciałem pana obudzić, admirale. - Kierowca przyglądał mu się w lusterku wstecznym. - Za 15 minut powinniśmy być na miejscu.

Canaris obciągnął mundur, poprawił rzadkie, siwe włosy i przysunął twarz do szyby. Szybko zbliżali się do szczytu, a z każdym przebytym metrem widoki stawały się coraz wspanialsze. W kryształowo czystym powietrzu wyraźnie rysowała się skalista grań Untersbergu, zza której wylaniał się szczyt Gaisberg, już słabiej widoczny w niebieskiej mgiełce. W dole, między górami, widać było czerwone dachy i białe ściany domów Berchtesgaden i nieco dalej położonego Bischofwiesen.

Dlaczego Hitler nie lubi wjeżdżać na szczyt? - pomyślał Canaris. - Tak wspaniały widok musi przecież odpowiadać jego naturze: cały świat u stóp. Nawet ptaki latają niżej.

Rzeczywiście, Adolf Hitler niechętnie odbywał podróże na szczyt góry Kehlstein, gdzie mieściła się willa z grubo ciosanych, szarych kamieni. Dostał ją 20 kwietnia 1939 r. w podarunku od partii i narodu na 50. urodziny. Ten prezent kosztował 30 milionów reichsmarek (ok. 90 milionów dolarów, według ówczesnych cen), a ludzie z najbliższego otoczenia fuhrera sądzili, że sprawili mu wielką przyjemność, gdyż upodobał sobie ten malowniczy zakątek Alp Bawarskich.

Bywał tu wielokrotnie po wyjściu z więzienia w Landsbergu, gdzie odsiadywał krótki wyrok za zorganizowanie w Monachim puczu w listopadzie 1923 r. W 1928 r. od hamburskiego przemysłowca wynajął dom letniskowy "Wachenfeld", położony u stóp Kehlsteinu. Wkrótce, za honorarium ze sprzedaży "Mein Kampf", wykupił dom i znacznie go rozbudował. Willa, nazwana "Berghof", stała się oficjalną rezydencją szefa NSDAP, a później kanclerza Niemiec.

Był on szczególnie zadowolony, gdy wprowadzał gości do sali konferencyjnej, gdzie całą ścianę zajmowało okno ze wspaniałym widokiem na góry. Natychmiast po naciśnięciu guzika okno się opuszczało, aby nic nie zakłócało widoku; wewnątrz sali wypełniało krystaliczne alpejskie powietrze i... wyziewy spalin z garażu mieszczącego się tuż pod podłogą.

W tym domu w 1938 r. rozegrały się wydarzenia, które przesądziły o losach świata: 11 lutego przybył tu Kurt von Schuschnigg, kanclerz Austrii, z ministrem spraw zagranicznych, Guido Schmidtem, aby powstrzymać Hitlera przed wysłaniem wojsk do Austrii. 15 września do Berchtesgaden przyleciał brytyjski premier Neville Chamberlain wraz z doradcą do spraw międzynarodowych, Horacym Wilsonem (który w rzeczywistości wiedział o sprawach międzynarodowych jeszcze mniej niż szef rządu brytyjskiego) w celu omówienia warunków zachowania pokoju w Europie.

W styczniu 1939 r. w "Berghofie" Hitler podejmował Józefa Becka, polskiego ministra spraw zagranicznych, usiłując namówić go, do tego, by Polska oddała Niemcom Gdańsk i udostępniła eksterytorialną autostradę do Prus Wschodnich. W czasie tych rozmów Hitler był w doskonałej formie; wspaniale panował nad emocjami.

Być może na dobre samopoczucie fuhrera wpływało otoczenie. Jednakże nie lubił willi na szczycie Kehlsteinu. Już sama podróż windą - przestronną i wyłożoną lustrami, co sprawiało wrażenie, że jest znacznie większa niż w rzeczywistości - wywoływała u niego duszność. Ponadto obawiał się, że piorun może uderzyć w szczyt góry, co mogłoby źle się skończyć dla jadących windą zawieszoną na stalowych linach. Lęk był tak silny, że Hitler wychodził z kabiny spocony i blady, odczuwając palpacje serca oraz duszności, spowodowane nagłą zmianą ciśnienia. Dlatego też w domu na górze bywał jedynie podczas szczególnych okazji.

Ostatnia zdarzyła się 11 czerwca 1939 r., gdy zaprosił profesora Carla Burckhardta, Szwajcara, wysokiego komisarza Ligi Narodów. Za jego pośrednictwem chciał przekazać mocarstwom zachodnim informację, że zdecydował się skierować swe armie na Wschód. Chciał również olśnić szwajcarskiego polityka, zademonstrować mu swoją potęgę. Dlatego wysłał swój osobisty samolot Immelmann III do Gdańska, aby zabrać stamtąd gościa do Salzburga, skąd samochodem zawieziono go na Kehlstein. Hitler uznał, że wspaniałe krajobrazy roztaczające się ze szczytu będą najlepszym tłem dla jego słów. Stojąc na tarasie willi, rzekł do profesora:

- Wszystko, co robię, jest skierowane przeciwko Rosji. Jeżeli Zachód okaże się zbyt tępy, aby to wykorzystać, będę zmuszony porozumieć się z Rosjanami i zwrócić się najpierw przeciwko Zachodowi. Później zaś skieruję całą moją siłę przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Potrzebuję Ukrainy, aby już nigdy Niemców nikt nie głodził, jak podczas ostatniej wojny.

Samochód zatrzymał się na dużym parkingu wykutym w skale u szczytu. Canaris wziął teczkę i ruszył w stronę ciężkich, brązowych drzwi zamykających wejście do tunelu. Przed nim podążał wielki admirał Erich Raeder, dowódca Kriegsmarine, który udawał, że spiesząc się do czekającego u wlotu tunelu generała Alfreda Jodła, nie dostrzega Canarisa. Ten zobaczył idącego nie opodal generała Heinza Guderiana i skierował się w jego stronę, gdy nagle za plecami usłyszał głos:

- Pan to musi wiedzieć, admirale!

Canaris odwrócił się do człowieka, który szedł za nim.

- Musi pan wiedzieć, dlaczego fuhrer nas tu wezwał - mówi generał Franz Haider, szef sztabu wojsk lądowych.

- Wywiad wie o wszystkim, co dzieje się za granicą, ale nie o wszystkim, co dzieje się w Niemczech. Jeśli chodzi o tę konferencję, to wiem tyle, ile pan. - Canaris wyciągnął rękę na powitanie.

- Obydwaj się domyślamy, czego dowiemy się na górze - zauważył Haider, gdy weszli do wilgotnego tunelu.

19 sierpnia 1939 r. kilkudziesięciu najwyższych oficerów Wehrmachtu otrzymało pisemne polecenie stawienia się w siedzibie Hitlera na górze Kehlstein w celu zaprezentowania planów operacyjnych, przygotowanych na wypadek wojny z Polską. Poinformowano wezwanych, że powinni przybyć w strojach nieoficjalnych, alby uniknąć zwracania uwagi, i wydano im rygorystyczne polecenie powstrzymania się od wszelkich komentarzy, które mogłyby przedostać się do prasy zagranicznej.

Przed drzwiami windy, w okrągłej salce wyłożonej marmurowymi płytami i oświetlonej kinkietami w kształcie pochodni, zebrało się kilkunastu najwyższych dowódców Wehrmachtu. Nie było wśród nich współpracowników fuhrera - Goebbelsa, Goringa i Hessa - ale oni, jak słusznie przypuszczał Canaris, przybyli wcześniej i oczekiwali na górze.

Masywne drzwi rozsunęły się bezszelestnie, ukazując obszerne wnętrze windy wyłożonej weneckimi lustrami.

Gdy wszyscy weszli, żołnierz SS nacisnął guzik. Po minutowej jeździe winda zatrzymała się łagodnie i oficerowie weszli do niewielkiego hallu wyłożonego kamiennymi płytami. Do rozpoczęcia konferencji pozostawało jeszcze 20 minut, więc skierowali się na taras, gdzie oczekiwało już kilkudziesięciu oficerów Wehrmachtu i SS.

Polecenie stawienia się w nieoficjalnym stroju najsumienniejszemu wykonał głównodowodzący lotnictwem Hermann Goring. Był w białej koszuli, na którą narzucił zielony kaftan ze skóry węgorza, z dużymi guzikami obciągniętymi żółtą skórą. Spod jego krótkich spodni widać było nogi w szarych pończochach. Całości dopełniał szkarłatny pas, gęsto wysadzany złotem, z którego zwisał sztylet w pochwie z tego samego materiału co pas.

Tuż przed dwunastą oficerowie udali się do sali konferencyjnej. Było to największe pomieszczenie "Berghofu". Grubo ciosane belki stropu, ściany wykładane marmurem, marmurowy, czerwony kominek (prezent od Benito Mussoliniego); cały ten surowy wystrój nadawał pomieszczeniu dość ponury wygląd; półmrokowi nie zapobiegało światło wpadające przez pięć okien. Zwykle pośrodku pokoju stał okrągły stół o średnicy 3 metrów, otoczony wygodnymi fotelami, ale na czas konferencji usunięto go i ustawiono krzesła. Honorowe miejsca w pierwszym rzędzie zajęli: feldmarszałek Goring, generał von Brauchitsch i wielki admirał Raeder. Canaris usiadł w ostatnim rzędzie, pod ścianą. Stamtąd miał najlepszy widok na zebranych i Hitlera, który nadszedł kilkanaście minut później. Wszyscy zerwali się, unosząc dłonie w geście pozdrowienia, a co zapalczywsi krzyknęli: "Heil Hitler".

- Wezwałem was - powiedział fuhrer, gdy ucichły powitalne okrzyki i wszyscy zajęli miejsca - aby przedstawić obraz sytuacji politycznej, aby zorientować was w przesłankach, na których oparłem

swą decyzję działania. Myślę, że wzmocni to wasze zaufanie do mnie.

Tak rozpoczęło się dwugodzinne przemówienie. Mimo zakazu robienia notatek admirał Canaris wyciągnął kartki i zaczął zapisywać słowa fuhrera. Zobaczył, że również generał Haider i admirał Boehm ukradkiem notują.

Wystąpienie poświęcone było uzasadnieniu konieczności rozpoczęcia wojny z Polską, którą wódz oskarżył o doprowadzenie do sytuacji zapalnej.

- Chciałem znośnie ułożyć stosunki z Polską, w celu rozprawienia się najpierw z Zachodem - mówił - ale ten plan, który odpowiadał mi najbardziej, nie mógł zostać urzeczywistniony, gdyż zmieniły się realia*.[* Bez wątplenia Hitler mówił o udzieleniu Polsce (31 marca 1939 r.) gwarancji przez premiera Neville'a Chamberlaina oraz zapowiedzi zawarcia traktatu o pomocy wzajemnej (co nastąpiło 25 sierpnia 1939 r.), który w razie zaatakowania Wielkiej Brytanii przez Niemcy zobowiązywał Polskę do uderzenia na agresorów.] Stało się jasne, że w razie konfliktu z Zachodem, Polska zaatakuje nas. Polska chce dostępu do morza; od czasu gdy okupujemy Memel*,[* Memel czyli Kłajpedę, zajęta przez Niemców 23 marca 1939 r.] wydarzyły się rzeczy, które przekonały mnie, że konflikt z Polską mógłby nastąpić w momencie dla nas niekorzystnym.

Hitler dowodził, że dla Niemiec nastał właśnie wyjątkowo sprzyjający czas. Wielka Brytania i Francja rządzone były przez ludzi niezdolnych do podjęcia śmiałych decyzji.

- Nasi wrogowie są poślednimi ludźmi, a nie ludźmi czynu, nie mistrzami. Są małymi robakami.

Przekonywał, że Niemcom sprzyja także sytuacja międzynarodowa: Wielka Brytania zaplątała się w rywalizację z Francją i Włochami na Morzu Śródziemnym oraz Japonią na Dalekim Wschodzie; zajęta jest nie rozwiązanymi problemami na Bliskim Wschodzie i w Irlandii. Niewiele lepsza była sytuacja Francji. Jugosławię "zainfekowały bakterie rozkładu". Rumunia, zagrożona przez Węgry i Bułgarię, stała się chętna do współpracy. Turcja, po śmierci Kemala Atatürka, jest rządzona przez słabego, chwiejnego przywódcę.

- Wszystkie te sprzyjające okoliczności nie potrwają dłużej niż dwa lub trzy lata. Nikt nie wie, jak długo będę żył. Mam pięćdziesiąt lat i jestem u szczytu możliwości. Byłoby najlepiej, gdyby wojna wybuchła teraz, a nie na przykład za 5 lat, gdy i ja, i Mussolini będziemy o pięć lat starsi.

Hitler wiedział, że wielu oficerów obawia się wciągnięcia Niemiec w długą i wyczerpującą wojnę. Co prawda stan ekonomiczny Rzeszy znacznie się poprawił po zajęciu Austrii i Czechosłowacji, ale brakowało co najmniej kilku lat do pełnego przygotowania marynarki i lotnictwa do starcia na wielu frontach. Wódz zdawał sobie sprawę, że musi rozwiązać wątpliwości wojskowych. Dlatego zaczął dowodzić, że Francja i Wielka Brytania nie wystąpią w obronie Polski. W jego ocenie obydwie mocarstwa mogły wprowadzić najwyżej morską blokadę gospodarczą Rzeszy, co nie było groźne, gdyż główne źródła zaopatrzenia znajdowały się na wschodzie; mogły wprawdzie uderzyć zza Linii Maginota, jednak wydawało się to mało prawdopodobne.

Pozostawała jeszcze do wyjaśnienia kwestia Związku Radzieckiego. Niemieccy generałowie zdawali sobie sprawę, że czystki przeprowadzone przez Stalina w 1937 i 1938 r. pozbawiły Armię

Czerwoną najlepszych dowódców, ale w dalszym ciągu była to ogromna siła, dysponująca ponad pięcioma milionami żołnierzy, dwudziestoma tysiącami czołgów i ośmioma tysiącami samolotów.

- Nasi wrogowie mogą mieć tylko nadzieję - argumentował Hitler - że Rosja zwróci się przeciw nam po podboju Polski. (...) Jestem przekonany, że nigdy nie zaakceptuje angielskiej oferty. Tylko ślepy optymista mógłby uwierzyć, że Stalin jest tak głupi, iż nie przejrzy intencji Anglii. Rosja nie jest zainteresowana w zachowaniu Polski, a Stalin wie, że wojna [z Niemcami - BW] oznaczałaby koniec jego reżimu, bez względu na to, czy jego żołnierze wyszliby z wojny zwycięzcy, czy pokonani.

Fuhrer zmierzał do najważniejszej informacji, która miała rozwiązać wszelkie wątpliwości generałów, obawiających się, że uderzenie Niemiec na Polskę mogłoby spowodować interwencję wojsk radzieckich.

- Nawiązałem osobisty kontakt ze Stalinem. Zaaranżowałem wizytę Ribbentropa w Moskwie, natychmiast, aby pojutrze podpisać pakt o nieagresji. Wytrąciłem broń z ręki tym dżentelmenom! Teraz będę miał Polskę, kiedy tylko zechcę!

Głos Hitlera narastał, ton wypowiedzi stawał się podniosły i uroczysty, co wskazywało wyraźnie, że zmierza do końca przemówienia.

- To jest wielki cel, który wymaga wielkiego wysiłku. Obawiam się jedynie, że w ostatnim momencie przyjdzie jakaś świnia z propozycją mediacji. Rozpoczęliśmy niszczenie angielskiej hegemonii. Zakończyłem przygotowania polityczne, droga jest otwarta dla żołnierzy!

Burza oklasków zerwała się w momencie, gdy Hitler zamilkł i opuścił głowę, dając do zrozumienia, że skończył. Goring pierwszy podbiegł do niego. Stał obok, dziękując za krzepiące słowa i zapewniając, że siły zbrojne spełnią swój obowiązek.

Canaris zamknął notatnik. Był wstrząśnięty tym, co usłyszał. Ocena sytuacji międzynarodowej, którą przedstawił Hitler, wydała mu się zbyt pobieżna i dotycząca za krótkiego okresu. Canaris był zdania, że wojna z Polską rozpocznie wojnę światową. Na początku Francja i Anglia nie będą zapewne interweniować, ale co się stanie potem, za pół roku, za rok?

Esesmani z ochrony fuhrera otworzyli drzwi na korytarz wiodący w stronę tarasu. Tam na stołach piętrzyły się równo ułożone na lodzie kopczyki czarnego kawioru - ulubionego smakołyku wodza.

Przerwa na posiłek była krótka. W drugiej części zebrania rozmawiano o szczegółach planów operacyjnych wszystkich rodzajów wojsk. Hitler odzywał się rzadko. Dopiero pod koniec zabrał głos:

- W związku z zasadami prowadzenia tej wojny zamknijcie swe serca przed litością. Działajcie brutalnie. Zgniećcie każdą iskrę życia. Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać, co im się sprawiedliwie należy. - Mówił o narodzie niemieckim. - Musimy im zapewnić egzystencję. Moc jest prawem; dlatego musimy działać z wielką bezwzględnością. Musicie podejmować decyzje szybko i zawsze mocno wierzyć w niemieckiego żołnierza. Celem wojskowym jest całościowa destrukcja

Polski. Najważniejsza jest szybkość. Musicie ścigać wrogów aż do całkowitego zniszczenia. Jestem przekonany, że niemiecki Wehrmacht sprosta temu zadaniu. Rozkaz do rozpoczęcia walk przekażę wam później. Prawdopodobnie w sobotę rano.

Canaris nie miał już żadnych wątpliwości. Straszliwa machina, która zgniecie Polskę, ruszy lada dzień. Los sąsiedniego kraju nie interesował go; był jednak przekonany, że wkrótce zostaną uruchomione siły, które zniszczą Niemcy. Czy mógł temu zapobiec?

Było już za późno na powrót do Berlina. Admirał pojechał do "Platerhof", hotelu dla gości Hitlera w Obersalzbergu, gdzie czekał na niego zastępca - pułkownik Hans Oster.

- Wraca pan nocnym ekspresem? - zapytał Canaris.

- Tak, w tej sytuacji muszę rano być w Berlinie - odpowiedział Oster.

- Ja muszę zostać. Niewykluczone, że fuhrer wezwie mnie, aby ustalić szczegóły operacji. - Canaris wstał i podał Osterowi rękę. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż wreszcie admirał skinął znacząco głową, co mogło oznaczać: "niech pan uważa na siebie".

Ostrzeżenie było uzasadnione. Canaris i jego zastępca byli założycielami tajnej organizacji "Schwarze Kapelle" ("Czarna orkiestra"). Nie wiadomo dokładnie, kiedy i w jakich okolicznościach powstała organizacja. Była najtajniejszą i najbardziej zakonspirowaną ze wszystkich spiskowych grup działających w Niemczech. Miała jeden cel: obalenie Hitlera prowadzącego Niemcy do zguby.

Kilkadziesiąt minut po wyjeździe pociągu ze stacji, Oster wyszedł na korytarz, gdzie przy oknie stał mężczyzna. Oster stanął opodal i wyciągnął papierosy. Mężczyzna się odwrócił.

- Przepraszam pana - powiedział łamaną niemczyzną. - Czy nie ma pan zapalek?

- Tak, proszę - Oster podał mu pudełko. Tamten wziął je. Zapalił papierosa i podał pułkownikowi pudełko, które trzymał dotąd w drugiej ręce.

- Dziękuję. - Skinął głową i oddalił się w przeciwny koniec korytarza. Nikt, kto obserwowałby to spotkanie, nie mógł mieć żadnych podejrzeń, że nie było ono przypadkowe.

Oster wrócił do przedziału. Po chwili również mężczyzna palący papierosa wszedł do swojego przedziału. Był to major Gijsbertus Jacob Sas, pracownik ataszatu wojskowego ambasady holenderskiej w Berlinie. Oster znał go od wielu lat i korzystał z jego pośrednictwa w kontaktach z Brytyjczykami. Major wyjął z kieszeni pudełko z zapalnikami otrzymane od Oстера, wyciągnął z niego równo złożoną kartkę i włożył ją do teczki, którą zamknął starannie na kluczyk.

Po przyjeździe do Berlina Sas udał się bezpośrednio do ambasady Wielkiej Brytanii. Sporządzona przez Canarisa informacja o przebiegu konferencji w Orlim Gnieździe znalazła się na biurku majora Foleya, szefa berlińskiego oddziału wywiadu brytyjskiego MI-6.

Canaris rozpoczął grę, której efektu zapewne nie przewidywał...

Początek Niezwykłej Kariery

W końcu 1906 r. dziewiętnastoletni Wilhelm Canaris, absolwent Akademii Morskiej w Kilonii, stanął się u dowódcy lekkiego krążownika *Dresden*, aby rozpocząć pierwszą samodzielną służbę. W jego rodzinie nie było tradycji militarnych, choć ojciec - bogaty właściciel kopalń węgla pod Dortmundem*[* Prawdopodobnie; w życiu Canarisa wszystko było tajemnicze, pochodzenie również. Inne źródła podają, że jego ojciec był inżynierem zatrudnionym w hucie pod Dortmundem.] - chętnie przyznawał się do powinowactwa z admirałem Konstantynem Kanaristem, jednym z przywódców powstania greckiego w 1812 r.

Gdy w 1914 r. w Europie wybuchła wojna, krążownik *Dresden*, wchodzący w skład eskadry Dalekiego Wschodu wiceadmirała Maximiliana von Spec, cumował w porcie St. Thomas w Duńskich Indiach Zachodnich. Wyruszył stamtąd do Niemiec drogą prowadzącą dookoła Ameryki Południowej, 1 listopada 1914 r. niemiecka eskadra (dwa pancerniki i 4 krążowniki) napotkała w pobliżu chilijskiego portu Coronel flotyllę brytyjską składającą się z pięciu krążowników. Dysponując ogromną przewagą ognia, po 57-minutowej walce Niemcy posłali na dno dwa małe krążowniki *Good Hope* i *Monmouth*. Na wieść o tym zwycięstwie prasa niemiecka rozpoczęła wielką akcję, głosząc, że potęga "niezwyciężonej Royal Navy" jest mitem. Dotknięci do żywego Anglicy wysłali w pogoń silną eskadrę, której trzon stanowiły dwa nowoczesne, silnie uzbrojone pancerniki *Invincible* i *Inflexible*.

Zespół wiceadmirała von Spee powracał do Niemiec, opływając przylądek Horn i kierując się na północ obok Falklandów. 8 grudnia dowódca postanowił wykorzystać okazję i ostrzelać Port Stanley, nie wiedząc, że w pobliżu czyha nowo przybyła potężna angielska eskadra. Niemieccy marynarze dostrzegli ją, gdy było już za późno na ucieczkę. Szybsze i silniej uzbrojone okręty angielskie w dwugodzinnej bitwie posłały na dno cztery nieprzyjacielskie jednostki. Okrętowi Canarisa dopisało szczęście: wymknął się z obławy, korzystając z okazji, że idące jego tropem krążowniki *Kent* i *Cornwall* zajęły się walką z okrętami *Leipzig* i *Nurnberg*.

Jednakże szczęśliwa passa nie trwała długo. W marcu 1915 r. krążownik został osaczony w pobliżu chilijskich wysp Juan Fernandez przez trzy brytyjskie okręty: nie miał żadnej szansy nawiązania równorzędnej walki. Porucznik Canaris wszedł do szalupy i udał się na pokład okrętu brytyjskiego HMS *Glasgow*, aby złożyć stanowczy protest wobec pogwałcenia przez Brytyjczyków neutralności Chile. Dowodził, że okręt niemiecki, znajdujący się na wodach nie zaangażowanego w wojnę państwa, stał się również neutralny. Brytyjski dowódca w pełnych kurtuazji słowach odrzucił protest. W tym samym momencie na pokładzie *Dresden* rozległ się potężny wybuch i okręt zaczął tonąć. Canaris zsalutował i wrócił do szalupy. Wypełnił swoją misję, której celem było odwrócenie uwagi Anglików i zyskanie na czasie. Gdy rozmawiał z dowódcą brytyjskim, niemiecka załoga ewakuowała się i wysadziła krążownik w powietrze, aby nie dostał się w nieprzyjacielskie ręce.

Dalsza droga porucznika prowadziła do Chile, gdzie został internowany i osadzony w obozie na wysepce Quinquina, odległej o 500 mil od Valparaíso. Nie przebywał tam długo. Nawiązał kontakt z właścicielem kutra rybackiego, który za pewną kwotę zgodził się przewieźć go na ląd stały. Canaris udał się niezwłocznie do niemieckiej placówki w Santiago. Tam dostał dokumenty na nazwisko Reed-Rosas i w przebraniu Mety się rozpoczął wędrówkę przez Andy. Po kilkudziesięciu dniach

niezwykłych trudów dotarł do Buenos Aires, gdzie wsiadł na pokład parowca Frisia, płynącego do Rotterdamu.

Gdy 17 września 1915 r. zameldował się w admiralicji w Berlinie, nikt go nie poznał. Wynędzniały, chory na malarię i zapalenie jelit, wyglądał, jakby wyszedł z grobu. Wieść o wyczynie dzielnego porucznika wyprzedziła go w drodze do Niemiec. Cesarz odznaczył bohatera Krzyżem Żelaznym.

Po krótkiej rekonwalescencji Canaris, promowany do stopnia kapitana, został wysłany do Madrytu, gdzie miał prowadzić działalność szpiegowską w Etappe - organizacji zaopatrzenia i wywiadu floty niemieckiej. Tak rozpoczęła się szpiegowska kariera późniejszego szefa wywiadu III Rzeszy.

Pierwsze starcie

Brytyjczycy bacznie obserwowali morskie działania Niemców. Szczególnym niepokojem napawała ich możliwość podjęcia przez okręty podwodne zmasowanych ataków na żeglugę, co dowództwo niemieckie rozważało od 1916 roku. 154 U-booty niemieckiej marynarki wojennej, z których 100 wyruszyłyby w morze, mogły zatopić każdego miesiąca statki o łącznym tonażu około 600 tysięcy BRT. W rezultacie przerwałyby dostawę surowców i żywności do Wielkiej Brytanii i zmusiły ją do kapitulacji.

Było to bardzo realne zagrożenie. Informacje dostarczane przez szpiegów obserwujących ruch w brytyjskich portach umożliwiały dowództwu niemieckiej marynarki precyzyjne kierowanie U-bootów na najcenniejsze transporty. Sprawne uzupełnienie paliwa i amunicji okrętów podwodnych pozwalało im dłużej pozostawać w morzu, co zwiększało groźbę ataków.

Brytyjczycy musieli podjąć działania obronne. Polegały one na uderzeniu w najczulsze punkty podwodnej floty: wywiad i zaopatrzenie. Skuteczność akcji U-bootów w dużej mierze opierała się na działalności kapitana Canarisa w Madrycie. Należało więc go zabić.

Z taką misją przybył latem 1916 r. do stolicy Hiszpanii agent wywiadu brytyjskiego, kapitan Stewart Menzies. Nie udało mu się jednak wytropić Canarisa, gdyż ten, po kolejnym ataku na malarie, został odesłany na rekonwalescencję do Niemiec. Podróż do Berlina przez Europę objętą wojną nie była jednak prosta i Canaris - zdając sobie sprawę, że Brytyjczycy gotowi są drogo zapłacić za jego głowę - przebrał się za mnicha i ruszył trasą, która z powodów znanych tylko jemu prowadziła przez Francję i Włochy. Brytyjczycy zdołali wszakże wpaść na jego trop i w miasteczku Domodossola na granicy włosko-szwajcarskiej czekała na operatywnego kapitana włoska policja. Osadzono go w więzieniu pod zarzutem szpiegostwa. W czasie wojny wyrok za takie przestępstwo mógł być tylko jeden - kara śmierci. Canaris, zamknięty w celi z grubymi kratami, nie mając żadnych szans ucieczki, mógł jedynie opóźniać bieg, wydawałoby się nieuchronny, wydarzeń. Zaczął symulować gruźlicę i gryzł język, aby pluć krwią. Gra była tak przekonująca, że rozprawa sądowa, w której musiał zapaść wyrok śmierci, została odłożona. Hiszpańscy przyjaciele Canarisa, a wśród nich młody oficer Francisco Franco, zabiegali o zwolnienie "nieuleczalnie chorego" z więzienia.

Podobno Włosi nie dali się długo przekonywać. Zapakowali więźnia do pociągu i pod strażą odesłali do granicy francusko-hiszpańskiej, skąd już Canaris powrócił spokojnie do Madrytu. Inna wersja głosi, że Canaris zabił więziennego kapelana, przywdział jego sutannę i w tym przebraniu uciekł z więzienia.

Przebywający wciąż w Madrycie kapitan Menzies dowiedział się, że jego niedoszła ofiara powróciła i wznowił polowanie.

Stan zdrowia Canarisa po wyczerpującej podróży i przejściach więziennych pogarszał się i szef Etappe - kapitan Kurt von Kron - zdecydował się odesłać chorego współpracownika do Niemiec w najbezpieczniejszy sposób: na okręcie podwodnym. Dowództwo marynarki wojennej zaakceptowało pomysł i poinformowało Madryt, że okręt U-35, dowodzony przez asa podwodniaków, kapitana Arnolda de la Periere, 1 października wejdzie do zatoki w pobliżu portu Kartagena. Depesza została

przechwycona i rozszyfrowana przez wywiad brytyjski.

Kapitan Menzies przystąpił do działania, pewny, że tym razem Canaris już mu się nie wymknie. Miał też nadzieję na upolowanie przy okazji groźnego okrętu podwodnego. Od jednego z agentów, Juana Marcha, który dowodził siatką szpiegowską w Kartagenie, dowiedział się, że Canaris - w oczekiwaniu na U-35 - ukrył się na pokładzie niemieckiego parowca Roma, cumującego w porcie.

Późnym wieczorem agenci Menziesa wytropili, że Canaris przesiadł się do łodzi rybackiej, która wypłynęła w morze wśród kilkunastu kutrów wychodzących na połów makreli. To pokrzyżowało plany Brytyjczyków. Nie potrafili wśród kilkunastu identycznych łódek rozpoznać tej najważniejszej.

Wydawałoby się, że podobny kłopot miał kapitan de la Periere, który obserwował przez peryskop rybacką flotę. On jednak wiedział, że latarnia na maszcie łódki wiozącej Canarisa nadawać będzie alfabetem Morse'a literę "m". Nie wiedział natomiast, że w pobliżu jego okrętu krążą w zanurzeniu dwa francuskie okręty podwodne gotowe zaatakować U-35, gdy tylko wypłynie na powierzchnię, aby przejąć Canarisa.

O 6.30 rano Arnold de la Periere podniósł peryskop i dostrzegł łódź nadającą umówiony sygnał. Okręt wynurzył się i, bezbronny, kołysał się na falach przez wiele minut, zanim kuter dobił do jego burty i Canaris wskoczył na pokład. Wydawało się, że lada moment jeden z francuskich okrętów odpali torpedy. Mijały minuty, a atak nie następował. Załoga U-35 zamknęła właz i okręt bezpiecznie skrył się pod wodą.

Canarisowi sprzyjało szczęście. Słońce, które o tej porze było tuż nad wodą, świeciło prosto w szkła francuskich peryskopów. Dowódcy Topaze i Opale, oślepieni promieniami i refleksami na wodzie, nie zauważyli niczego. Kapitan Menzies powrócił z niczym...

Canaris po zakończeniu w Berlinie kuracji podjął służbę na okręcie podwodnym, który pod jego dowództwem zatopił prawdopodobnie 18 statków na Morzu Śródziemnym.

Wojna dobiegała końca. Niemcy ogarnęła fala rewolucyjna, która nadeszła ze wschodu i w pokonanym państwie znajdowała dobrą glebę.

Canaris - monarchista i zaciekły antykomunista - znów znalazł dla siebie cel. Po demobilizacji zgłosił się do gubernatora Kilonii, Gustawa Noskego, i zaoferował swe usługi w tłumieniu buntów. Walczył ze spartakusowcami, działał przeciwko rewolucjonistom w Berlinie i na południu Niemiec.

Nie została do końca wyjaśniona rola, którą odegrał w zabójstwie Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, założycieli Niemieckiej Partii Komunistycznej. Zastrzelono ich 15 stycznia 1919 r w drodze z hotelu "Eden" - gdzie byli przesłuchiwani - do więzienia w Moabicy. Dochodzenie w tej sprawie prowadziły władze wojskowe i one to sądziły podejrzanych o dokonanie morderstwa. W składzie sędziowskim był Wilhelm Canaris. Morderca Róży Luksemburg porucznik Vogel, został skazany na 4 miesiące więzienia, ale nie odbył wyroku. Canaris należał do grupy osób, która zorganizowała ucieczkę.

Gdy minęła rewolucyjna burza, los skierował Canarisa ponownie do marynarki. Przez dwa lata był oficerem sztabowym w admiralicji. Potem rozpoczął służbę na krążowniku Berlin, nie przerywając działalności wywiadowczej w organizacji zakonspirowanej pod nazwą Oddział Transportu Morskiego.

Działał na dwa fronty. Współpracując z tajnymi służbami jednego państwa Ententy - prawdopodobnie Wielkiej Brytanii - zaczął tworzyć siatki szpiegowskie na Bałkanach i w Europie Środkowej. Byłych i przyszłych wrogów jednoczył strach przed komunizmem. Co prawda pierwsza fala, rozprzestrzeniająca się ze Związku Radzieckiego, została zatrzymana na początku lat dwudziestych, ale gwałtowny kryzys gospodarczy, który ogarnął świat w końcu tej dekady, stworzył niebezpieczeństwo kolejnej rewolty.

Na początku roku 1933 Canarisa mianowano komendantem garnizonu w Świnoujściu. Wydawałoby się, że jego burzliwa kariera dobiegła końca.

Nowe zadanie

Pogodnego wrześniowego poranka 1934 r. kontradmirał Bastian usiadł w swojej mesie, aby wykonać ważne polecenie, które nadeszło z Berlina. Sięgnął po kwestionariusz osobowy i zaczął wypełniać rubryki:

Wygląd i zachowanie: średniego wzrostu, dobrej prezencji, wojskowa postawa bez zarzutu, wspaniałe maniery.

Znajomość języków obcych: angielski, francuski, hiszpański, włoski, portugalski, rosyjski.[* Kontradmirał stanowczo przecenił zdolności językowe Canarisa, który w rzeczywistości władał płynnie tylko hiszpańskim i znał angielski.]*

Finanse: w całkowitym porządku.

W rubryce Ocena ogólna Bastian wpisał: Kapitan Canaris wypełniał obowiązki dowódcy okrętu energicznie i wykazał umiejętności zawodowe. Utrzymywał ścisłą dyscyplinę i wysokie morale załogi okrętu; pracował niezmiernie, aby wpoić załodze zasady morskiej służby i utrzymać gotowość bojową. Szczególnie zwracał uwagę na kondycję fizyczną oficerów i marynarzy, dbał o systematyczne ćwiczenia fizyczne.

Raport trafił do rąk Ericha Raedera, dowódcy marynarki wojennej, do którego Hitler zwrócił się o wytypowanie kandydata na stanowisko dowódcy wywiadu wojskowego. Szef istniejącej od 1921 r. Abwehry, komandor Conrad Patzig, popadł w zatarg z szefem Służby Bezpieczeństwa (SD), Reinhardem Heydrichem, i z tej przyczyny minister obrony, generał Blomberg, odwołał go ze stanowiska. Admirał Raeder uznał, że Canaris spełnia wszystkie wymagania stawiane człowiekowi na tym stanowisku i, choć nie lubił go, zaproponował tę kandydaturę.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Wilhelm Canaris otrzymał nominację na szefa Abwehry, a 1 stycznia 1935 r. o 8.00 wszedł do budynku przy Tirpitz Ufer w Berlinie.

Na korytarzach było pusto. Warta przy drzwiach i oficer dyżurny, siedzący markotnie przy stoliku w hallu, byli jedynymi pracownikami wywiadu spędzającymi pierwszy dzień nowego roku w ponurym gmachu.

- Jestem kapitan Canaris - powiedział nowo przybyły do oficera. - Proszę zadzwonić do komandora Patziga i powiedzieć mu, że przyszedłem do biura i chętnie się z nim zobaczę, jeżeli nie ma nic przeciwko temu.

Zdziwiony oficer podniósł słuchawkę i dokładnie przekazał słowa Canarisa, po czym bezzwłocznie zaprowadził go do gabinetu byłego szefa wywiadu.

Patzig przybył tuż przed 10.00 i zastał swego gościa siedzącego na krześle w sekretariacie.

- Jeśli mam być szczerzy, to nie spodziewałem się pana dzisiejszego ranka - powiedział, ujmując Canarisa po ramię i prowadząc do gabinetu. - Cieszę się, że pan przyszedł.

Pierwsza rozmowa byłego i nowego szefa wywiadu trwała długo. Patzig, nie tając, że z ulgą odchodzi z Abwehry do służby na pancerniku Admiral Scheer, przedstawił dokładnie zagrożenie, które dostrzegał w działaniach Heinricha Himmlera i jego podopiecznego, Reinharda Heydricha, zamierzających przejąć wywiad, by połączyć go ze Służbą Bezpieczeństwa.

- Martwię się o pana, kapitanie, ponieważ nie zdaje pan sobie sprawy, w jakie bagno pan wdepnął - rzekł pod koniec rozmowy.

- Proszę zostawić to mnie, komandorze Patzig. - Canaris uśmiechnął się. - Jestem nieuleczalnym optymistą. Jeśli chodzi o tych ludzi, to myślę, że wiem, jak sobie z nimi poradzić.

Patzig milczał zaskoczony, po czym powiedział:

- Jeżeli naprawdę pan tak myśli, to przykro mi to mówić, ale ten dzień jest początkiem końca pańskiej kariery...

Złowroga wróżba sprawdziła się 10 lat później, ale nawet Patzig, znający SS, nie mógł przewidzieć, jak straszny będzie to koniec.

Odrodzenie Abwehry

W bardzo krótkim czasie Canaris zmienił całkowicie sposób funkcjonowania wywiadu. W ramach Abwehry utworzył trzy główne wydziały. Stary Geheimer Meldedienst, przemianowany na Grupę I, zajął się wywiadem. Nowa Grupa II prowadziła działania sabotażowe, dywersyjne i czarną propagandę. W Quenzsee w Bawarii utworzono ośrodek szkoleniowy dla sabotażystów. W Berlinie i Tegel powstały specjalne laboratoria zajmujące się produkcją najdziwniejszych przedmiotów, użytecznych dla szpiegów i sabotażystów: od sympatycznego atramentu, który wyglądał i smakował jak płyn do płukania ust, do materiałów wybuchowych o wyglądzie mąki. Grupa III zajęła się kontrwywiadem.

Canaris wiedział, że jego ludzie będą potrzebowali niezawodnej łączności i zaproponował firmie Telefunken, aby opracowała specjalną radiostację dla szpiegów, nazwaną Afu (Agenten-Fungerat), niewielką, łatwą do ukrycia, a jednocześnie o dużym zasięgu.

Zawarł porozumienie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, ustalające zasady wykorzystywania dyplomatów w pracy szpiegowskiej. Do wszystkich placówek zagranicznych wysłano specjalne zestawy szpiegowskie. W zamkniętych i zabezpieczonych skrzyniach - stanowiących bagaż dyplomatyczny, a więc nie podlegający sprawdzaniu przez służby celne - kurierzy rozwozili po świecie radiostacje, broń i komplety szyfrów. Inni dostarczyli szefom placówek klucze do skrzynek w zalakowanych kopertach, z instrukcją, że można je otworzyć tylko po odebraniu z centrali specjalnego sygnału; dla Anglii było to słowo "Nautilus", dla Kanady - "Jimmy", dla Stanów Zjednoczonych - "Robert". W innych zalakowanych kopertach przysyłano przez kurierów spisy agentów oraz czek Deutsche Bank na pokaźną sumę 406 funtów szterlingów, która miała stanowić fundusz rezerwowy, wykorzystywany w razie konieczności opłacenia ważnego informatora, udzielenia pomocy agentowi itp.

Pierwsze specjalne bagaże dyplomatyczne wysłano w marcu 1935 r. pod opieką kapitana frachtowca Schwaben, z poleceniem dostarczenia ich ambasadorowi w Waszyngtonie i konsulowi generalnemu w Nowym Jorku. Kilka miesięcy później podobne zestawy doręczono konsulom generalnym w Nowym Orleanie i Seattle oraz charge d'affaires w Panamie.

W kwietniu 1935 r. wyruszył do Stanów Zjednoczonych człowiek legitymujący się paszportem na nazwisko Edward Derp. W rzeczywistości był to komandor Hermann Menzel, który miał kierować działalnością agenturalną na terenie USA.

W niewiarygodnie krótkim czasie w najważniejszych państwach Europy zaroilo się od agentów Abwehry. Byli niedoświadczeni i niedostatecznie wyszkoleni, szybko więc wpadali w ręce kontrwywiadu. W Belgii od kwietnia do grudnia 1935 r. schwytano ich dziesięciu, we Francji - dwudziestu jeden; w tym samym czasie w Anglii aresztowano pierwszego od zakończenia wojny światowej szpiega niemieckiego.

W ogromnym dziele przebudowy Abwehry Canaris zaniedbał tylko własny gabinet na czwartym piętrze budynku przy Tirpitz Ufer nr 76/78 w pobliżu Tiergarten. Gdy Patzig zabrał wszystkie swoje rzeczy, w pokoju niewiele pozostało, a nowy szef nie chciał otaczać się zbytkiem.

Na XIX-wiecznym biurku, ciężkim od brązowych ozdób, postawił godło Abwehry: trzy odlane z brązu małpy. Jedna nadstawiała ucha, druga oglądała się bacznie przez ramię, a trzecia przykrywała ręką usta. Ściany przyozdobił trzema obrazami: portretem admirała Kanarisa, japońskim rysunkiem diabła oraz zdjęciem swego ulubionego psa Seppla. Później dodał do tej skromnej kolekcji portret generała Franco z osobistą dedykacją.

Było słoneczne niedzielne popołudnie 8 września 1935 r., gdy Canaris stawił się w gabinecie Hitlera w willi "Berghof" w Obersalzbergu. Po raz pierwszy od objęcia stanowiska spotkał się z fuhrerem. - Prosiłem o to spotkanie, mein Fuhrer, aby przedstawić panu pierwszy raport na temat rozwoju Abwehry oraz poprosić pana o krótkie zreferowanie planów, w których przewiduje pan udział Abwehry - powiedział Canaris, gdy zajął miejsce na szerokiej sofie.

Hitler rozpoczął od prezentacji planów przyłączenia Austrii do Rzeszy.

- Sytuacja w Austrii jest w pełni przez nas kontrolowana - stwierdził Canaris. - Oficer tamtejszego wywiadu, major Erwin von Lahousen, podjął z nami współpracę i stanowi cenne źródło informacji.

Później Hitler mówił o możliwości konfliktu z Polską w sprawie Gdańska i "korytarza" do Prus Wschodnich. Ponownie uzyskał zapewnienie Canarisa, że Abwehra dysponuje prężną siatką wywiadowczą w Polsce, podobnie jak i w Czechosłowacji, gdzie Konrad Henlein, przywódca Niemców sudeckich, został skaptowany jako agent.

- Czy mogę spytać o plany związane z Anglią? - Canaris omijał dotychczas ten temat, który wydawał się kluczowy dla dalszych przedsięwzięć Abwehry. - Nie, nie! - Hitler obruszył się. - Nie chcę szpiegów w Anglii. Polityka, jaką prowadzę wobec tego kraju, przynosi same sukcesy. W czerwcu podpisaliśmy niemiecko-angielskie porozumienie morskie, a w zasięgu ręki wydaje się kilka innych, korzystnych dla Rzeszy traktatów. Nie ma potrzeby budowania siatki szpiegowskiej w Anglii. To mogłoby narazić na szwank nasze działania dyplomatyczne...

Ta odpowiedź komplikowała plany Canarisa. Zdecydował się więc ominąć zakaz Hitlera i rozbudowywać siatkę w Wielkiej Brytanii. Była mu potrzebna do wielkiej gry... przeciwko Hitlerowi. Pod koniec rozmowy fuhrer wypowiedział słowa, które utwierdziły szefa Abwehry w tym postanowieniu:

- W Anglii nie potrzebujemy szpiegów, ale mogą się przydać łącznicy, którzy mniej lub bardziej formalnie zapewnią nam bezpośredni kontakt z rządem brytyjskim.

Hitler i Generałowie

Hitler, który w 1935 r. przystąpił do rozbudowy potęgi militarnej Rzeszy, szybko zdał sobie sprawę, że największym zagrożeniem jego planów nie są mocarstwa zachodnie, lecz... niemieccy generałowie. Już pierwszy ruch w kierunku ekspansji uświadomił mu to z całą mocą.

2 maja 1935 r. postanowił wprowadzić swe wojska do Nadrenii, uznanej w traktacie wersalskim za strefę zdemilitaryzowaną. Minister wojny, generał Werner von Blomberg, otrzymał polecenie opracowania planów operacji, której nadano kryptonim "Schulung" ("Ćwiczenie"). Minister był przekonany, że chodzi o trening sztabowców i manewry wyznaczonej dywizji. 27 lutego 1936 r. Hitler polecił mu przygotować na 7 marca rozkaz wymarszu jednostek, które miały wkroczyć do Nadrenii. O operacji poinformował również najwyższych dowódców Wehrmachtu. Jeszcze tego samego dnia Blomberg, w towarzystwie generała Ludwiga Becka, szefa sztabu generalnego, oraz generała Wenera von Fritscha, głównodowodzącego wojskami lądowymi, stawiał się w Kancelarii Rzeszy.

- Mein Fuhrer, do tej operacji możemy przeznaczyć najwyżej 35 tysięcy żołnierzy, z których da się sformować dywizję nadającą się do walki - zameldował generał Beck.

- Francuzi są gotowi do przeprowadzenia w każdej chwili szybkiej mobilizacji i wystawienia co najmniej dwudziestu świetnie wyposażonych dywizji, które zgniotą nasze siły ekspedycyjne - wsparł Becka generał Fritsch. - Zrobią z nas siekaninę.

- A jak się zachowamy, jeżeli Francuzi stawią opór? - dociekał Beck.

Hitler milczał. Atmosfera była napięta i dawało się wyraźnie odczuć, że żadna ze stron nie ma zamiaru zrezygnować ze swoich racji. Hitler doskonale rozumiał powagę sytuacji. Przy pierwszej próbie rzucenia wyzwania Zachodowi generałowie rzucili wyzwanie jemu.

- Ja wiem lepiej! - wybuchnął wreszcie. - Mam absolutnie pewne informacje, że Francuzi nie ruszą najmniejszego poilu! Zobaczycie, i jeszcze więcej! Świat przyjmie wyzwolenie Nadrenii z dyktatu wersalskiego jako fakt dokonany i tak to pozostawi! - Hitler zamilkł, ale orientując się, że ten wybuch i pewność siebie wywarły na generałach niedobre wrażenie, wstał zza biurka i pochylił się w ich stronę, dodając stanowczo: - Jeśli chodzi o mnie, zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę. Jestem głęboko przekonany, że odniosę sukces. Jeżeli jednak operacja zakończy się niepowodzeniem i Francuzi zmuszą nasze wojska do wycofania się, to przyjmę konsekwencje jako swą osobistą porażkę i podam się do dymisji jako fuhrer i kanclerz.

Generałowie ustąpili. Byli przekonani, że próba zajęcia Nadrenii - przy ogromnej dysproporcji sił między Francuzami i Niemcami - musi zakończyć się fiaskiem, a wówczas Hitler ustąpi. Mylili się.

Wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, nie oddając ani jednego strzału. Hitler triumfował, ale dokładnie sobie zapamiętał, że najwyżsi oficerowie chcieli pokrzyżować jego plany. To oni musieli odejść.

W grudniu 1937 roku generał Blomberg, 59-letni wdowiec, poprosił fuhrera o zgodę na poślubienie 26-letniej sekretarki. Hitler nie miał żadnych zastrzeżeń, a nawet wziął udział w ceremonii jako świadek. Tuż potem młoda para wyjechała na Capri, a w Berlinie tymczasem wybuchł skandal. Policyjne akta wykazywały, że nowo poślubiona żona szefa sztabu sił lądowych była prostytutką, a ponadto została skazana za pozowanie do zdjęć pornograficznych. Hermann Goring osobiście przedstawił fuhrerowi policyjne dossier, dostarczone przez Heinricha Himmlera. Hitler zażądał, aby Blomberg natychmiast przerwał miodowy miesiąc i przeprowadził rozwód. Blomberg odmówił uznając, że oskarżenia zostały spreparowane przez jego wrogów - Goringa i Himmlera. Musiał więc odejść ze stanowiska.

Najodpowiedniejszym kandydatem na jego miejsce był generał von Fritsch - który, dowiedziawszy się o aferze, stawiał się u Hitlera jako wysłannik korpusu oficerskiego, domagającego się dymisji Blomberga - ale Hitler pamiętał, że i on nie sprzyjał planom ekspansji. Należało więc wyeliminować również jego z gry. Goring i Himmler zastosowali podobną metodę jak w wypadku Blomberga: spreparowali policyjne akta, oskarżając Fritscha o homoseksualizm.

Nowy skandal obyczajowy w armii dał Hitlerowi wolną rękę. Jako następca Hindenburga, był naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Zlikwidował stanowisko ministra wojny i utworzył Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych (Oberkommando der Wehrmacht), któremu miały podlegać wszystkie sztaby, łącznie ze Sztabem Generalnym. Szefem mianował generała Wilhelma Keitla. Jego jedyną zaletą było absolutne oddanie Hitlerowi, co zyskało mu przydomek Lakeitel, od Lakei - lokaj.

Potem Hitler rozpoczął czystkę. 4 lutego 1938 r. Niemcy i świat dowiedziały się z komunikatów radiowych o zwolnieniu 35 generałów. Generał Ludwig Beck, najzagorzalszy przeciwnik planów Hitlera, sam zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu sił lądowych dwa miesiące później. Wydawało się, że nikt już nie zgłosi sprzeciwu wobec planów podboju Europy. Fuhrer przeczuwał jednak, że w jego najbliższym otoczeniu w dalszym ciągu są wrogowie, gotowi przeszkodzić w rozpętaniu wojny, która - jak sądzili - zniszczyłaby Niemcy.

Należeli do nich: Canaris i jego zastępca, Hans Oster, szef departamentu łączności, generał Erich Fellgiebel, dowódca berlińskiego okręgu wojskowego, generał Erwin von Witzleben i wielu innych. Nie odważyli się wystąpić otwarcie przeciwko wodzowi. Rozumieli, że ostatnie sukcesy: wprowadzenie wojsk do Nadrenii i przyłączenie Austrii sprawiły, iż większość Niemców widziała w Hitlerze człowieka, który odbuduje potęgę państwa i zmyje hańbę klęski w wojnie światowej. Uznali, że mogą obalić Hitlera dopiero wtedy, gdy zacznie on ponosić klęski w starciu z mocarstwami zachodnimi.

Luckington było uroczą wioską angielską, położoną wśród łąk i lasów na południe od Oksfordu. Kilka okazałych domów na pagórkach otoczonych drzewami wskazywało, że wioska jest siedzibą ludzi zamożnych, którzy osiedli tu z dala od zgiełku Londynu, choć na tyle blisko, że bez większej straty czasu mogli dostać się do stolicy.

Późną jesienią 1936 r. w Luckingtonie pojawił się nowy mieszkaniec. Wynajął czy kupił dom o nazwie Luckington Manor i wkrótce potem wydał dla sąsiadów przyjęcie, o którym mówiło się przez wiele wieczorów. Nowym mieszkańcem był kapitan Robert Treeck. Biorących udział w powitalnym przyjęciu zachwycała wyszukana kolekcja dreźdeńskiej porcelany, broni myśliwskiej i wspaniała stajnia z kilkoma niezwyklej urody końmi. Nie mniejsze wrażenie wywarła na sąsiadach towarzysząca przystojnemu baronowi piękna baronesa Violetta de Schroeders, z pochodzenia Chilijka.

Wkrótce okazało się, że Treeck jest Niemcem urodzonym na Łotwie. Wspominał, że w czasie wojny światowej służył w kawalerii. Rewolucja bolszewicka pozbawiła go rodzinnych posiadłości, a on sam ledwie uszedł z życiem, gdy ścigany przez czerwonarmistów został postrzelony w gardło, czego dowodem była widoczna blizna. Udało mu się przedostać do Niemiec, gdzie mieszkał do 1936 r. Nie powiedział tego wprost, jednakże z jego słów można było wywnioskować, że wyjechał z tego kraju, nie godząc się z dyktaturą Hitlera. W Anglii wynajął kilka posiadłości w różnych częściach kraju; w Londynie zamieszkiwał w apartamencie na Cheyne Place pod nr 12, w sąsiedztwie znanych polityków, wydawców i przemysłowców.

Zarówno życiorys, jak i stopa życiowa barona stały się przepustką do hermetycznego świata arystokracji, w którym pojawił się nagle; bardzo szybko został zaakceptowany przez środowisko. Tym bardziej że chętnie wspomagał wszelkie akcje charytatywne i łożył duże sumy na rzecz przedsięwzięć towarzyskich. W Luckingtonie głośnym echem odbiła się wiadomość o wysokiej kwocie wynoszącej 150 funtów, którą baron wpłacił na rzecz miejscowego towarzystwa łowieckiego, przebijając wielokrotnie jednego z najhojniejszych ofiarodawców, mieszkańca Luckingtonu i myśliwego... Stewarta Menziesa, który wpłacił tylko 35 funtów. Być może Treeck uczynił to umyślnie, chcąc upokorzyć śmiertelnego wroga Wilhelma Canarisa, a obecnego pracownika tajnych służb, w których przepowiadano mu wielką karierę.

Menzies był najbliższym sąsiadem Treecka w Luckingtonie; ich posiadłości rozdzielał tylko żywopłot. Jednakże przez wiele miesięcy nie widywali się, chociaż Treeck wielokrotnie podejmował próby nawiązania bliższych kontaktów z sąsiadem. Spotkali się dopiero na przyjęciu w dworku księcia Beauforta. Menzies nie mógł odmówić temu zaproszeniu, a Treeck przyszedł specjalnie, by spotkać trudno uchwytnego sąsiada.

Gdy skończył się taniec i pary opuszczały parkiet, Treeck podszedł do Menziesa.

- Cóż za niezwykle udane przyjęcie! - zaczął lekką rozmowę.

- Nie sądzę, aby akurat o tym chciał pan mówić - powiedział Menzies z nikłym uśmiechem.

- Zaiste. - Treeck nie dał się zbić z tropu. - Czy możemy przejść się trochę?

Menzies nie odpowiedział, lecz wskazał na szklane drzwi prowadzące do parku. Zeszli po kilku kamiennych schodach półkoliście opasujących duży, kamienny taras.

- Nie mam zamiaru taić - Treeck podjął rozmowę, gdy odeszli od domu na tyle daleko, że nikt ich nie mógł słyszeć - że przybyłem do Anglii ze specjalną misją, której zapewne się pan domyśla lub o której został pan poinformowany.

- Przecenia pan możliwości angielskiego wywiadu, kapitanie - odparł Menzies.

- Zostałem przysłany przez Canarisa - oświadczył Treeck. Kątem oka dostrzegł wyraz lekkiego zaskoczenia na twarzy Anglika. - Tak, szefa Abwehry, Wilhelma Canarisa - powtórzył z naciskiem. - Mam działać jako łącznik w sprawach, które mogłyby dotyczyć pana i Canarisa.

Menzies nie dał poznać, jakie wrażenie wywarło na nim wyznanie sąsiada. Szli przez chwilę w milczeniu.

- No cóż... To interesująca oferta. Świadczy zapewne o dobrej woli pana Canarisa. - Menzies wypowiedział te słowa chyba tylko po to, aby w gruncie rzeczy nic nie powiedzieć. - Doceniam dobrą wolę. Ze swojej strony również mogę ją wykazać. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie mam zamiaru utrudniać pana misji w Anglii, jednakże pod warunkiem, że nie będzie pan działał niezgodnie z prawem... - Menzies zawiesił głos. Jego słowa były wyraźnym ostrzeżeniem przed działalnością szpiegowską.

Rozmowa była skończona. Treeck zrozumiał, że nie uzyska od Menziesa żadnej informacji. Mógł więc tylko oczekiwać na dzień, w którym Menzies zdecydowałby się zareagować na propozycję nawiązania współpracy z Canaristem.

Mijały miesiące. 27 kwietnia 1937 r. baron wziął ślub z Violetta de Schroeders i rzadko bywał w Luckingtonie. Zniknął z Anglii wraz ze swoją piękną żoną w lipcu 1939 r.

Wyznanie barona Treecka podczas przyjęcia w Luckingtonie nie było dla Menziesa zaskoczeniem. W 1936 r. spotkał się on w Londynie ze starym znajomym z Hiszpanii, rybakiem Juanem Marchem. W czasie wojny światowej niepiśmienny syn rybaka z Majorki był podwójnym agentem, pracującym dla wywiadu brytyjskiego i niemieckiego. To on wskazał Menziesowi kryjówkę Canarisa oczekującego na okręt U-35, który miał go zabrać do Niemiec. Szpiegowska robota okazała się bardzo popłatna. March zebrał majątek, którym potrafił tak zręcznie zarządzać, że szybko stał się jednym z najbardziej wpływowych ludzi w hiszpańskiej gospodarce.

W maju 1936 r. spotkał się z nim Canaris, który po wybuchu wojny domowej przybył do Madrytu, by zorganizować przerzut broni dla wojsk rebeliantów. Szef Abwehry nie wiedział zapewne, że dwadzieścia lat wcześniej March wydał go Anglikom, ale doskonale orientował się w jego powiązaniach z brytyjskim wywiadem. Przyszedł do niego na długą i zadziwiająco szczerą rozmowę. Wspominał o swojej niechęci do Hitlera, o istnieniu opozycyjnej organizacji "Schwarze Kapelle" i prawdopodobnie wyraził chęć nawiązania kontaktu z Brytyjczykami.

March nie zatrzymał tych rewelacji dla siebie. Natychmiast przesłał raport do Londynu:

Canaris nie kocha swoich nowych panów ani im nie wierzy - pisał. - W tej chwili jest naszym najlepszym sojusznikiem w Europie. W następnym raporcie stwierdził: Canaris może stać się partnerem brytyjskiego wywiadu.

Menzies czekał. Nie potrafił ocenić, na ile szczerą jest gotowość do współpracy szefa Abwehry. Obawiał się, że jest to początek intrygi, która mogłaby kosztować Wielką Brytanię bardzo drogo.

Niepowodzenia w nawiązaniu kontaktu z Brytyjczykami nie zniechęciły Canarisa. Był przekonany, że mocarstwa zachodnie zmuszone będą w końcu zająć sztywne stanowisko wobec ekspansjonistycznej polityki Hitlera. Dojdzie wówczas do kryzysu, w wyniku którego naród pozna prawdziwą naturę działań fuhrera, a wtedy można go już będzie aresztować i postawić przed sądem. Przyłączenie Austrii było wielkim sukcesem Hitlera i wydawało się niweczyć szansę rebelii w Berlinie, ale wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich do Wiednia Hitler zdecydował się przyłączyć do Rzeszy tzw. Sudetenland - część Czechosłowacji. Canaris i jego współpracownicy byli przekonani, że Wielka Brytania, a już na pewno Francja, związana paktem z Czechosłowacją, nigdy na to nie przystanie. Nastąpi kryzys, który umożliwi pozbawienie Hitlera władzy.

Generał Fellgiebel miał zadbać o przecięcie łączności między Berlinem i resztą Niemiec. Generał Witzleben przejąłby dowództwo nad oddziałami, które rozpoczęłyby okupację Berlina i aresztowały Hitlera, Himmlera, Heydricha, Goringa. Gwardia przyboczna wodza - "SS Leibstandarte", doskonale wyszkolone i wyposażone oddziały stacjonujące w Monachium - zostałyby okrążona i rozbrojona przez wuppertalską dywizję pancerną, dowodzoną przez generała Ericha Hoepnera. Realizacja całego tego misternego planu zależała wyłącznie od reakcji mocarstw zachodnich na poczynania fuhrera i dlatego w sierpniu 1938 r. Canaris i Beck zdecydowali się przerwać oczekiwania i grę niedomówień, występując z otwartą propozycją.

W połowie miesiąca na lotnisku w londyńskiej dzielnicy Croydon wylądował samolot Ju-52, na którego pokładzie przybył doktor Ewald von Kleist-Schmenzin. Nikt nie zażądał od niego paszportu ani wypełnienia deklaracji celnej. Brytyjczycy doskonale wiedzieli, kto do nich przybywa. Szef wywiadu, admirał Sinclair, i jego zastępca, Stewart Menzies, otrzymali - zapewne przez ambasadę brytyjską w Berlinie - dokładne informacje o celu wizyty Kleista.

Chciał niewiele. Instrukcja, którą przekazali mu przed odlotem Beck i Canaris, nakazywała uzyskanie wiarygodnego oświadczenia rządu Wielkiej Brytanii, że udzieli pomocy Czechosłowacji.

Kleist zatrzymał się w "Hyde Park Hotel", dokąd zawieźli go wprost z lotniska ludzie Menziesa. Tam odwiedził go lord Lloyd of Dolobran, prezydent Ligi Morskiej Imperium Brytyjskiego, człowiek mający doskonale kontakty zarówno w rządzie, jak i w Pałacu Buckingham.

- Decyzje zostały podjęte - oświadczył Kleist. - Plany mobilizacyjne są opracowane, dzień "Zero" określony, dowódcy armii otrzymali rozkazy. Wszystko rozpocznie się, zgodnie z planem, w końcu września i nikt nie potrafi temu przeszkodzić, jeżeli Brytania nie wystąpi z oficjalnym ostrzeżeniem wobec Hitlera.

- Zapewne wychodzą panowie z założenia, że usunięcie Adolfa Hitlera jest ważne dla Brytanii, i z tego względu oczekujecie od nas pewnej gratyfikacji...

- Faktem jest, że oczekujemy pewnych zmian terytorialnych w rejonie Pomorza i Śląska. Możemy jednak uznać, że nie są to kwestie pierwszorzędnej wagi. - Kleist wyraźnie pozostawił sobie furtkę do rokowań. Szybko odszedł od tego tematu i zajął się przedstawieniem sytuacji w

Niemczech, zaskakując rozmówcę inteligencją, rzeczową oceną i całkowitą szczerością, którą posunął tak daleko, że ujawnił nazwiska swych mocodawców.

- Wielka Brytania ma potężnych przyjaciół w Niemczech - zakończył wypowiedź. - Wśród nich Canarisa i Oстера.

Bez wątpienia zrobił to na wyraźne polecenie Canarisa, któremu zależało, aby kolejny sygnał o jego gotowości do współpracy dotarł do szefów wywiadu brytyjskiego.

Następne rozmowy - z doradcą rządu brytyjskiego do spraw polityki zagranicznej, sir Robertem Vansittartem, i Pierwszym Lordem Admiralicji, Winstonem Churchillem - też nie przyniosły rezultatu. Kleist powrócił do Berlina i udał się natychmiast do Canarisa.

- Nie znalazłem w Londynie nikogo, kto chciałby skorzystać z okazji rozpoczęcia wojny prewencyjnej - powiedział, siedząc w gabinecie szefa Abwehry. - Mam wrażenie, że oni za wszelką cenę chcą uniknąć wojny. Powiedzieli, że brytyjska konstytucja uniemożliwia reagowanie w razie sytuacji, która jeszcze do tego nie dojrzała.

Potem przekazał Canarisowi list od Churchilla.

Wojna, gdy raz wybuchnie, będzie prowadzona do gorzkiego końca, nie należy rozważać, co stanie się w czasie pierwszych kilku miesięcy, ale gdzie będziemy w końcu trzeciego lub czwartego roku.

Canaris złożył starannie list i schował do sejfu. To nie była deklaracja, której oczekiwali spiskowcy.

Gdy kryzys pogłębiał się, coraz wyraźniej dostrzegali defensywne stanowisko Wielkiej Brytanii, pragnącej za wszelką cenę uniknąć zbrojnej konfrontacji. Premier Chamberlain zdecydował się nawet na dość upokarzającą podróż do rezydencji Hitlera w Obersalzbergu, aby tylko znaleźć pokojowe rozwiązanie sytuacji.

W czasie konferencji w Monachium mocarstwa zachodnie ustąpiły przed żądaniem Hitlera i zgodziły się oddać mu kawał Czechosłowacji.

Kolejny sukces Hitlera przekreślił szansę na zamach stanu. Spiskowcy nie mogli aresztować i postawić przed sądem człowieka, który przyłączył do Rzeszy Austrię - gdzie 95% obywateli poparło "akt zjednoczenia" - a następnie bez jednego wystrzału zajął Sudetenland, gdzie 3 miliony Niemców wiwatowało na jego cześć.

Canaris wiedział, że czas bezkrwawych zwycięstw skończył się i każda następna próba zdobycia kolejnych terenów w Europie doprowadzi do wojny. Był przekonany, że Niemcy tej wojny nie zdołają wygrać. Jeżeli nawet w pierwszym okresie udałoby się zaskoczyć mocarstwa zachodnie i odnieść zwycięstwo, to Rzesza nie miała sił i środków, by przez wiele lat walczyć z całym światem.

Wojna, do której zmierzał Hitler, musiała - w przekonaniu Canarisa - przynieść Niemcom zglębę. Dlatego, choć jego Abwehra bardzo sprawnie przygotowała grunt działań militarnych w Polsce i na zachodzie Europy, Canaris usiłował przeszkodzić w realizacji "Fall Weiss" - planu uderzenia na Polskę. Wysłał do Londynu majora Fabiana von Schlabrendorffa i Helmuta von Moltkego z informacjami na temat przygotowaniach Rzeszy do wojny z Polską.

Londyn nie potrzebował już więcej ostrzeżeń. Premier Chamberlain zdawał sobie sprawę, że zbliża się koniec pokoju w Europie, i przygotował kraj do wojny, ale tylko obronnej.

Produkcja samolotów myśliwskich wzrosła z 240 do 660 miesięcznie, dzięki czemu RAF we wrześniu 1939 r. miał 26 eskadr myśliwskich, a rok wcześniej tylko 6. Łańcuch stacji radarowych, które we wrześniu 1938 r. pokrywały tylko ujście Tamizy, rok później rozciągał się od Orkanów do Isle of Wight. Największy postęp zanotowano w organizacji obrony cywilnej. Opracowano precyzyjne plany ewakuacji ludności; budżet obrony cywilnej A.R.P. (air raid precautions) wzrósł z 9,5 milionów funtów do 51 milionów.

Premier Chamberlain blokował posunięcia zwolenników szybkiego zwiększenia siły uderzeniowej. Ofensywna część lotnictwa - bombowce - była pod każdym względem nie przygotowana do akcji: trzon lotnictwa strategicznego stanowiło 9 dywizjonów samolotów Whitley, zbyt powolnych i za słabo uzbrojonych, aby mogły brać udział w akcjach dziennych. Do nocnych rajdów lotnictwo brytyjskie również nie było przystosowane, gdyż z całego Bomber Command zaledwie 84 pilotów potrafiło latać w nocy; brakowało środków radionawigacji i piloci, którzy wystartowaliby do nocnego rajdu, mogli nawet w najbardziej sprzyjających warunkach minąć cel w odległości 30-50 kilometrów. Rząd Chamberlaina nie robił nic, aby sytuację tę poprawić, uważając, że jakiegokolwiek działania zmierzające do rozbudowy ofensywnej strony brytyjskich sił zbrojnych mogą podrażnić Hitlera i przyczynić się do wzrostu napięcia w Europie.

W takich warunkach działania Canarisa wydawały się skazane na niepowodzenie. On jednak nie zwykł opuszczać rąk. Wysłał do Londynu przedstawiciela Sztabu Generalnego, podpułkownika Gerharda von Schwerina. Jego oficjalna funkcja doskonale maskowała misję, którą zlecił mu Canaris: przekazać Brytyjczykom, że 23 maja 1939 r. Hitler oświadczył, iż zdecydował się "zaatakować Polskę przy pierwszej nadarzającej się okazji".

14 lipca Schwerin został zaproszony na kolację do dyrektora wywiadu morskiego, admirała Johna Godfrey'a, który doskonale orientował się w prawdziwych zadaniach Niemca. Zaproszeni zostali również przyjaciele Godfrey'a i w ich obecności Schwerin powtórzył ostrzeżenie, które przywiózł z Berlina. Sugerował, że Wielka Brytania może zniweczyć plany podboju Europy przez zorganizowanie potężnej morskiej demonstracji na Bałtyku i rozmieszczenie we Francji grupy ciężkich bombowców oraz dwóch dywizji piechoty.

Następnego dnia najwyższe osobistości brytyjskie otrzymały dokładne raporty z tych rozmów. Premier Chamberlain uznał jednak, że demonstracja siły może tylko zaognić sytuację i sprowokować Hitlera do ataku. Nie rozumiał tego, co od kilku miesięcy starali się uświadomić Zachodowi Canaris i ludzie ze "Schwarze Kapelle": stanowczość Anglii i Francji była jedynym sposobem powstrzymania Hitlera, przeświadczonego o bierności i słabości mocarstw zachodnich.

1 września 1939 r. wojska hitlerowskie napadły na Polskę. 3 września Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Rzeszy.

Tegoż dnia admirał Canaris wezwał swojego zastępcę.

- Proszę przeczytać raport - podsunął Osterowi kartkę.

Pułkownik Oster przebiegł wzrokiem raport i spojrzął na zwierzchnika. Potem przeczytał jeszcze raz i oddał kartkę Canarisowi. Admirał schował dokument do szafy pancерnej. Spiskowcy doskonale rozumieli sytuację: nawet w gabinecie szefa wywiadu nie można było mieć pewności, że starannie ukryte mikrofony nie rejestrują każdego słowa. Dlatego też porozumiewali się za pomocą listów. W imperium Hitlera nikt nie wierzył nikomu, a wzajemna wrogość i rywalizacja sprzyjały budowaniu potęgi wodza.

- Całkowicie zgadzam się z tym - rzekł Oster. - Wobec otwartej wrogości Anglii przekazanie im tej wiadomości może zwiększyć szansę na wzajemne zaufanie.

Oster też podejrzewał, że w gabinecie Canarisa działa podsłuch i słowa, które wypowiadał, nie miały większego znaczenia. Wkrótce rozmówcy przeszli do konkretnej rozmowy na temat możliwości rozbudowy siatki agentów w Anglii. Konferencja nie trwała długo. Oster śpieszył się, aby wykonać polecenie, które Canaris opisał na kartce.

Po południu spotkał się w parku z innym pracownikiem Abwehry, majorem von Schlabrendorffem.

- Musi pan jak najszybciej dotrzeć do hotelu "Adlon" - polecił majorowi, upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi ani nie podsłuchuje. Gdyby zresztą tak się stało, gestapo nie mogłoby zarzucić Osterowi zdrady. W działalności wywiadowczej granica między zdradą i prowokacją jest niewidoczna. Oster zawsze mógłby wytłumaczyć, że rozmowa z majorem była częścią akcji przeciwko Brytyjczykom.

- W hotelu tym zbierają się brytyjscy dyplomaci przed wyjazdem do Londynu - mówił dalej Oster. - Odszuka pan attache wojskowego, pułkownika Dennisa Daleya, i przekaże mu, że wkrótce członkowie wojskowej opozycji niemieckiej spróbują ustanowić linie kontaktowe z Londynem z pomocą Watykanu. Proszę go też uprzedzić, że wkrótce odbędzie się nalot na Londyn. - Von Schlabrendorff nie zadawał pytań. Z jego zachowania wynikało, że zna pułkownika Daleya. - Proszę pamiętać, że Brytyjczycy zapewne zwinęli już łączność dyplomatyczną i ostrzeżenie o nalocie będą musieli przekazać innym kanałem. Z tego powodu mogą podejrzewać, że ostrzeżenie jest prowokacją, za pomocą której chcemy poznać ich drogi łączności. Proszę więc wiadomość tę przekazać mimochodem.

Major skinął głową i wyciągnął rękę na pożegnanie, po czym ruszył przed siebie. Oster rozejrzał się uważnie; nie dostrzegając nic podejrzanego, wrócił do samochodu, zaparkowanego na niewielkim placu przed bramą.

Gdy tylko opuścił park, jeden z dwóch mężczyzn siedzących w altanie odsłonił przykryty gazetą

mikrofon kierunkowy. Spojrzał pytająco na drugiego. Tamten pokręcił głową.

- Za daleko! Ci z Abwehry są bardzo ostrożni - powiedział, otwierając walizkę, do której włożył aparaturę podsłuchową.

W ślad za Schlabrendorffem podążał mężczyzna w jasnym prochowcu. Nie odstępował go ani na krok aż do hotelu "Adlon".

Stewart Menzies - który 28 lutego 1938 r. przejął kierownictwo wywiadu po zmarłym na raka admirałe Sinclairze - przyjął wiadomość o planowanym nalocie bardzo ostrożnie. Uznał, że może być probierzem intencji Canarisa. Brytyjczycy na darmo czekali, przygotowani do odparcia niemieckich samolotów. Nie pojawiły się. Dopiero po wojnie generał Alfred Jodl przyznał, że Hitler rzeczywiście zamierzał uderzyć na Londyn już pierwszego dnia wojny z Wielką Brytanią, ale jakoś mu to wyperswadował.

Niebezpieczny Przyjaciel

Canaris pamiętał o ostrzeżeniu ustępującego szefa Abwehry, komandora Patziga: “Twoim największym wrogiem będzie SS”. To ostrzeżenie dotyczyło przede wszystkim Reinharda Heydricha. Canaris znał go z czasów, gdy był pierwszym oficerem na krążowniku Berlin, a Heydrich odbywał tam szkolenie. W 1931 r. porucznika Heydricha wydalono z marynarki, gdyż odmówił poślubienia uwiedzionej przez siebie kobiety.

Osiadł na farmie pod Monachium, gdzie Heinrich Himmler, szef bojówek partii nazistowskiej Sturm Staffel SS, zamieszkiwał i prowadził eksperymenty genetyczne na kurach. Himmlerowi spodobał się 27-letni blondyn o doskonałej prezencji. Zlecił mu tytułem próby opracowanie w ciągu 20 minut struktury wywiadu SS. Heydrich, choć nigdy nie miał nic wspólnego ze szpiegowską robotą, wykonał zadanie celująco.

Tak zaczęła się błyskotliwa kariera młodego człowieka, którego głównym motorem działania była niepokonana ambicja. Niezmordowanie budował swoją służbę bezpieczeństwa Sicherheitsdienst (SD). We wrześniu 1932 r. organizacja ta, zajmująca dotychczas pokój w budynku NSDAP w Monachium, rozrosła się na tyle, że przeprowadziła się do dwupokojowego mieszkania przy Turkenstrasse 23, a niedługo potem zajęła willę na Zuccalistrasse nr 4.

Heydrich domagał się comiesięcznej wypłaty z kasy partyjnej 700 690 marek na pokrycie wciąż rosnących wydatków, ale w odpowiedzi usłyszał, że dochody całej partii nazistowskiej ze składek członkowskich wynoszą 710 000 marek miesięcznie. Dopiero gdy Hitler został kanclerzem, SD otrzymywała co miesiąc 350 000 marek, z czego tylko 80 000 pochodziło z kasy partyjnej, a resztę dostarczano (nielegalnie) z urzędu kanclerskiego.

Heydrich z zawiścią patrzył na działalność wywiadu prowadzoną przez inne agendy partyjne. Kolcem w oku był mu zwłaszcza Departament Polityki Zagranicznej, kierowany przez partyjnego ideologa Arthura Rosenberga. On to zorganizował oddział wywiadu zagranicznego, który prowadził stary towarzysz partyjny (miał legitymację z numerem 7956, z 1922 r.) Arthur Schumann.

Heydrich - korzystając z poparcia Himmlera - doprowadził 9 czerwca 1934 r. do wydania przez zastępcę fuhrera, Rudolfa Hessa, dekretu, na mocy którego włączono oddział Schumanna do SD, a stwierdzenie: *poza Sicherheitsdienst RFSS [Reichsfuhrera SS; tytuł Heinricha Himmlera - BW] żadna wywiadowcza ani kontrwywiadowcza służba nie będzie istniała w partii* oddawało Heydrichowi niepodzielną władzę nad służbami specjalnymi SS. Z nienawiścią patrzył na Abwehrę - imperium Canarisa - nie mógł jednak nic zrobić, aby przejąć wywiad wojskowy i zagraniczny; wiedział, że najpierw, musi pozbawić Canarisa poparcia Hitlera. I taki cel sobie postawił. Na razie jednak obydwaj starzy znajomi z krążownika Berlin zachowywali pozory przyjaźni. Gdy Canaris kupił dom przy Betazele 17, w południowo-zachodniej dzielnicy Berlina, Heydrich wprowadził się do domu tuż za rogiem, przy Reiftragerweg 14. Często odwiedzali się, prowadzili przyjazne rozmowy, ale doskonale wiedzieli, że obydwaj oczekują na moment dogodny na pozbycie się konkurenta.

Pierwsze zwycięstwo odniósł Heydrich w 1936 r., kiedy to zawarł z Canarisem porozumienie w sprawie rozdzielenia kompetencji obydwu wywiadów. Było to wyraźne ustępstwo ze strony admirała, który podpisując umowę z młodszym kolegą, uznał wpływy i znaczenie jego organizacji.

Czy Heydrich odkrył największą tajemnicę Canarisa: “Schwarze Kapelle”? Prawdopodobnie tak. Jednakże nie udało mu się zdobyć dowodu tak niepodważalnego, aby mógł przedstawić go Hitlerowi. Ale Canaris, świadom niebezpieczeństwa, chwycił “przyjaciela” za gardło. W sobie tylko znany sposób dowiedział się, że Heydrich był pół-Żydem. Dociekł i tego, że rywal z SD interesuje się nie tylko kobietami, a jego seksualne skłonności obejmują również mężczyzn. Każda z tych informacji mogła zniszczyć karierę Heydricha z dnia na dzień. Canaris zebrał dokładne dossier i przesłał je przyjacielowi w Szwajcarii, z poleceniem przekazania redakcji “New York Timesa”, gdyby jemu lub członkom jego rodziny przytrafił się wypadek. Potem poinformował o tym Heydricha. Największy wróg został obezwładniony.

Na jak długo?

Na początku 1941 r. Heydrich przystąpił do likwidacji czeskiego zbrojnego podziemia. Głównym celem było zniszczenie organizacji UVOD (Centralny Komitet Krajowego Ruchu Oporu), pozostającej w ścisłym kontakcie z brytyjską organizacją SOE (Special Operations Executive - Kierownictwo Operacji Specjalnych). W kwietniu i maju w dwóch rajdach na kryjówki UVOD gestapo aresztowało dwóch szefów organizacji: podpułkownika Balabana i podpułkownika Masina. Trzeciemu przywódcy, kapitanowi Vaclavowi Moravkowi, udało się wyniknąć z obławy i zmylić pogoń.

Powiadomił Londyn, że gestapo jest na jego tropie oraz że obawia się o bezpieczeństwo “Franty”. Ta wiadomość zelektryzowała brytyjski wywiad. Za wszelką cenę należało uchronić Moravka i “Frantę”, gdyż taka strata sparaliżowałaby operacje na terenie Czechosłowacji i odcięła wywiad brytyjski od niesłychanie cennego źródła informacji o działaniach Niemców.

“Franta” od 1936 r. współdziałał z szefem wywiadu czechosłowackiego, majorem Josefem Bartikiem. Po wkroczeniu Niemców do Czechosłowacji nie przerwał swojej działalności, lecz nawiązał kontakt z czeskim podziemiem, przez które przekazywał wiadomości wywiadowi brytyjskiemu. Na podstawie jego informacji MI-6 poznała strukturę organizacyjną Abwehry i SD w Finlandii, Jugosławii, Grecji, Turcji, Persji, Egipcie, Rumunii. Ostrzeżenia “Franty” umożliwiły ewakuację brytyjskiego rezydenta, majora Gibsona, i kierownictwa czeskiego wywiadu przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Pragi. On informował również o planach ataku na Polskę, Norwegię, Danię, Holandię, Belgię i Francję. Umożliwił wywiezienie z Holandii królowej Wilhelminy i z Norwegii króla Haakona.

Początkowo wywiad brytyjski nie wierzył w autentyczność danych, podejrzewając, że zostały spreparowane przez Abwehrę, jednakże wkrótce przeważająca ich większość okazała się prawdziwa.

Londyn, powiadomiony o niebezpieczeństwie, postanowił zorganizować zamach na Heydricha, aby w ten sposób przerwać penetrację czeskiego podziemia i uchronić “Frantę”.

W grudniu 1941 r. w Czechosłowacji wylądowało 3 komandosów, którzy mieli przeprowadzić operację "Anthropoids" - zamordowanie Heydricha. "Franty" nie udało się jednak uratować; szef SD zdołał ustalić jego tożsamość. Okazał się nim pracownik Abwehry Paul Thummel. Operacji "Anthropoids" zmieniono cel; zamach na Heydricha został odłożony. Komandosi mieli wydostać "Frantę" z gestapo.

Sytuacja Thummela nie była jednak tak tragiczna, jak początkowo się wydawało. Gestapo traktowało go z pewnym szacunkiem, gdyż oddał on ogromne usługi ruchowi nazistowskiemu, za co otrzymał Złotą Odznakę Partyjną. Praca w Abwehrze ułatwiła mu również obronę. Zamiast tłumaczyć się, zaczął oskarżać gestapo o uniemożliwienie mu penetracji czeskiego podziemia, i to w najważniejszym momencie, gdy szykował się do schwytania przywódców. Oczywiście zaprzeczał, że jest "Franta", a nawet twierdził, że wpadł na trop tego niebezpiecznego szpiega.

Heydrich stracił pewność i poinformował o całej sprawie swego szefa, Himmlera. Ten zaś skontaktował się z Canarisem, który skrzętnie potwierdził zeznania Thummela. Dowody winy Thummela, zebrane przez Heydricha, były bardzo słabe. Uśmiercenie tego człowieka dałoby więc Canarisowi broń przeciwko gestapo i SD. Dlatego też Himmler i Heydrich - choć podejrzewali, że Thummel jest szpiegiem - zwolnili go 2 marca, aczkolwiek pozostał pod nadzorem gestapo. Niedługo cieszył się wolnością. Heydrich był wytrawnym i wytrwałym myśliwym. Przekonany o winie Thummela, wiedział, że wcześniej czy później znajdzie dowody, które pozwolą mu go aresztować i obciążyć zarazem Canarisa. Stało się to w końcu marca. Dwadzieścia dni po zwolnieniu Thummela Heydrich wydał nakaz ponownego aresztowania. Był już gotowy do zaatakowania Canarisa.

Admirał wyczuł zagrożenie i 21 maja 1942 r. przyjechał do Pragi. Po mistrzowsku przeprowadził rozmowę, w której ustalono zasady współpracy Abwehry i SD, dające - w odczuciu Heydricha - tej drugiej organizacji większe możliwości działania w terenie zastrzeżonym dotychczas dla wywiadu wojskowego. Canaris nie miał jednak zamiaru przestrzegać tych ustaleń. Kilka dni później Heydrich zginął w zamachu przeprowadzonym przez zespół "Anthropoids".

Odszedł jeden wróg, pozostali inni: Kaltenbrunner, Schellenberg i nade wszystko Himmler, który podejrzewał istnienie spisku przeciwko Hitlerowi, aczkolwiek nie wiedział, jak głęboko spisek ten sięga. Ernst Kaltenbrunner, który przejął po Heydrichu kierownictwo Sicherheitsdienstem, chciał opanować również Abwehrę. Czekał na okazję, która pomogłaby mu obalić Canarisa.

Wieczór był zimny, a dokuczliwy wiosenny deszcz się nasilał. Policjant Hans Folke zsiadł z roweru i rozejrzał się po pustej ulicy. Miał już dość patrolowania wymarłych uliczek. Postanowił zajść na chwilę do gospody Kamappa, ale widok zamkniętych okiennic przypominał mu, że zaprzyjaźnionemu restauratorowi zmarła przed kilkoma dniami żona i na znak żałoby zamknął jedyny w miasteczku lokal, w którym można było napić się wódki lub piwa. Folke westchnął i skierował się w stronę dworca, gdzie powinien być jeszcze otwarty bar.

Wszedł na peron i oparł rower o ścianę. Otrząsał właśnie mokry płaszcz, gdy wzrok jego padł na grupkę podróżnych. Wyglądało na to, że dopiero przyjechali, i nie bardzo wiedzą, co dalej robić. Policjantowi wydało się to dziwne, gdyż do miasteczka, w którym nie zatrzymywały się nawet pociągi pośpieszne, przyjeżdżali jedynie ludzie mający tu krewnych lub znajomych, a ci zawsze oczekiwali gości na peronie. Spojrzał jeszcze raz w stronę podróżnych, którzy jakby ponagleni jego wzrokiem, zaczęli się kierować ku wyjściu.

Jeżeli nie wiedzą, gdzie się podziać, to nie ma nic lepszego niż policjant, który wie wszystko. Powinni mnie zapytać. Jeżeli nie chcą, to ja ich zapytam, dlaczego unikają policjanta - pomyślał Folke i ruszył w stronę nieznanym. Ci przyspieszyli kroku.

- Hej! - krzyknął w ich kierunku. - Zaczekajcie!

Obcy szli przed siebie, udając, że nie słyszą okrzyku.

- Zaczekajcie, mówię! - Teraz musieli usłyszeć. - Dokąd zmierzacie?

- Tu... My tu, do znajomych... - Mężczyzna w kapeluszu mówił bardzo niepewnym głosem.

- Do Bergów - wsparła go kobieta osłaniająca płaszczem chłopca.

Bergowie rzeczywiście mieszkali w miasteczku, ale w każdym niemieckim miasteczku mieszka co najmniej jeden człowiek o tym nazwisku.

Folke wyciągnął latarkę i skierował światło na mężczyznę. Tamten zmrużył oczy i usiłował zasłonić twarz. Folke właściwie odczytał ten gest. Mężczyzna chciał ukryć swe rysy.

- A odkąd to Bergowie mają znajomych Żydów?! - Folke triumfował. Już słyszał pochwałę i widział nagrodę za złapanie Żydów.

- Nie jesteśmy Żydami! - gwałtownie zaprotestowała kobieta.

- Pójdziemy na posterunek, to wszystko się wyjaśni - oświadczył policjant i poprawił pas z pistoletem. - Idźcie przede mną.

- Proszę pana, dlaczego od razu na posterunek?... - oponował mężczyzna. - Pada deszcz, posterunek pewno daleko, a my sobie spokojnie idziemy do Bergów.

- Naprzód! - warknął Folke i ujął w dłoń pałkę.

Szli przed siebie w milczeniu, aż mężczyzna się zatrzymał.

- Proszę pana - mówił cicho. - Ma pan rację. Ale jeżeli pan nas puści, to dam panu dużo złota. Będzie pan bogatym człowiekiem...

- Naprzód! - Folke udawał, że nie słyszy propozycji.

- W tej walizce jest dużo złota i dolarów. To wszystko, co mam. Niech pan weźmie. - Mężczyzna nie ustępował.

Folke zamachnął się i z całą siłą uderzył go pałką. Kobieta i dziecko zaczęli rozpaczliwie krzyczeć.

- Milczeć! - ryknął rozwścieczony Folke. - Powystrzelam was jak psy, jeśli tylko któreś jeszcze piśnie.

Mężczyzna podniósł się z chodnika i już bez słowa wszyscy poszli na posterunek. Tam Folke przywołał komendanta i obydwaj otworzyli walizkę. Nie było złota, ale pod ubraniami leżały pliki dolarów.

- Skąd to masz? - Folke złapał mężczyznę za kłapy marynarki.

- To wszystko moje! - Żyd zasłonił się przed razami.

- Wy, Żydzi, nie macie dolarów, tylko brylanty i złoto. Jeżeli masz dolary, to znaczy, że komuś sprzedałeś kosztowności za te pieniądze. I powiesz nam, kto to był, albo zatłukę cię jak psa. - I komendant zaczął okładać go pałką.

- Ja powiem, tylko już go nie bijcie! - Kobieta dopadła męża i osłoniła jego twarz. - Jesteśmy z Pragi. Dolary dał nam Karel Drda. On mieszka...

- Nie mów! - Mężczyzna oprzytomniał po razach i usiłował przeszkodzić w wyjawieniu tajemnicy, która mogła kosztować życie wielu ludzi. Za późno...

Sprawę przejęło gestapo i dość szybko ustalono, że rodzina schwytna w czeskim miasteczku Cehba miała zostać przemycona do Szwajcarii w ramach "Operacji 7". Akcją ratowania Żydów kierował doktor Wilhelm Schmidhuber - człowiek z Abwehry. Aresztowano go natychmiast w Pradze i przewieziono do Berlina.

Schmidhuber zdawał sobie sprawę, że jedynym ratunkiem dla niego może być pomoc kogoś postawionego bardzo wysoko w faszystowskiej hierarchii. A takim człowiekiem był Canaris. Z więzienia wysłał do niego wiadomość, że jeśli nie uwolni go, wówczas gestapo dowie się całej prawdy. Pomoc nie nadchodziła tak szybko, jak pragnął więzień, więc uznał on, że Abwehra go zdradziła. Zaczął mówić.

Jego zeznania nie dotyczyły bezpośrednio admirała, ale obciążały najbliższych jego współpracowników: zastępcę Oстера i Hansa von Dohnanyi'ego, blisko związanego z działalnością "Schwarze Kapelle".

Oster został umieszczony w areszcie domowym; Dohnanyi w więzieniu Wehrmachtu na Lehterstrasse w Berlinie. Wkrótce trafił tam inny bliski współpracownik Canarisa, doktor Josef Mueller.

Dla SD kartą atutową miał być Dohnanyi, przeciw któremu zgromadzono wiele zarzutów. Oskarżano go m.in. o zdradę i czerpanie korzyści z przerzutu rodzin żydowskich do Szwajcarii. On jednak bronił się bardzo zręcznie. Twierdził, że była to gra Abwehry, tworzącej siatkę wywiadowczą w środowisku żydowskich emigrantów. Oskarżyciel doktor Manfred Roeder nie potrafił znaleźć dowodów, które złamałyby linię obrony Dohnanyi'ego.

Śledztwo nagle zostało przerwane, gdyż główny oskarżony zachorował na zapalenie żył. Wkrótce wykryto u niego zator mózgu. Dohnanyi musiał być przeniesiony do szpitala. Gestapo nie dało jednak za wygraną i szybko wydobyło swą ofiarę z bezpiecznego szpitala, w którym umieścił ją Canaris. Chory rozumiał jednak, że jego jedyną nadzieją jest opóźnianie procesu, a więc dalsza choroba. W grypsie przesłanym do żony prosił o dostarczenie bakterii dyzenterii. Pani Dohnanyi udało się zdobyć zarazki, ale były zbyt słabe, aby zakazić organizm. Dohnanyi wysłał następny list, prosząc o bakterie dyfterytu. Te odegrały swą rolę. Ciężka choroba uniemożliwiała oskarżonemu składanie zeznań i trzymała z dala od oprawców z gestapo. Jednakże cała ta gra zdenerwowała ich do tego stopnia, że wywieźli mającego w gorączce więźnia i zastrzelili go gdzieś w lesie pod miastem.

Kaltenbrunner i Schellenberg zaciskali pętlę wokół Canarisa, ale nie mieli przeciwko niemu niezbitych dowodów. Zdrada popełniona przez ludzi z Abwehry kompromitowała szefa, ale nie była wystarczająco silnym argumentem, aby zmusić go do dymisji lub skłonić Hitlera do pozbawienia go stanowiska. Fuhrer wciąż wierzył mu; był zadowolony z informacji dostarczanych przez Abwehrę i łatwo mógł wybaczyć zakłócenia w jej pracy. Ludzie, którzy chcieliby usunąć Canarisa, musieliby mieć niepodważalne dowody jego zdrady. Czekali...

Pierwszy dowód pojawił się po kapitulacji Włoch.

Canaris długo czekał w gabinecie przylegającym do sekretariatu kancelarii Hitlera. Wiedział oczywiście, dlaczego fuhrer go wezwał, i był zadowolony, że tak długo oczekuje na audiencję. W ciszy i spokoju mógł rozważyć każde słowo, które zamierzał wypowiedzieć. Sytuacja była bowiem bardzo poważna.

25 listopada 1943 r. Włosi obalili Mussoliniego i aresztowali go. Dla Niemiec sprawą niezwyklej wagi była teraz polityka nowego rządu marszałka Pietra Badoglio: pozostanie wierny Hitlerowi i będzie walczyć z wojskami alianckimi, które 9 lipca wylądowały na Sycylii, czy też podda się i otworzy drogę prowadzącą z południa do Niemiec. Wydarzenia we Włoszech mogły przesądzić o dalszym biegu wojny. W połowie 1943 r. Niemcy miały dość sił, aby w razie kapitulacji Włoch wprowadzić tam swoje wojska, które stawiałyby opór aliantom. W czasie konferencji, którą zwołał w dzień po obaleniu Mussoliniego, Hitler powiedział: "Jutro wyślę rozkaz do dowódcy 3. dywizji grenadierów pancernych, aby skierował do Rzymu specjalną jednostkę, która aresztuje rząd, króla, wszystkie te kreatury, a zwłaszcza następcę tronu, Badoglio, i całą tę bandę!"

Było oczywiste, że może wydać taki rozkaz. Należało więc go uspokoić zapewnieniem, że nowy rząd pozostanie wierny zobowiązaniom sojuszniczym. Canaris jednak znał prawdę. Od wielu lat Abwehra utrzymywała we Włoszech kilka tysięcy agentów, którzy wiedzieli o wszystkim, co działo się w tym kraju. Każde, nawet najtajniejsze, działanie rządu włoskiego, wszystkie najskrytsze plany były znane Canarisowi. Nie miał wątpliwości, że marszałek Badoglio zmierza do kapitulacji. Należało to ukryć przed Hitlerem za wszelką cenę. Każdy dzień opóźnienia w wysłaniu wojsk niemieckich do Włoch mógł przesądzić o szybszym zakończeniu wojny.

Admirał wstał z wygodnego fotela i podszedł do okna, za którym rozpościerał się piękny widok na ogród Kancelarii Rzeszy. Równe alejki, obsadzone rzędami pieczołowicie dobranych drzew, trawniki, wśród których wyrastają kępy bajecznie kolorowych kwiatów, tworzyły niezwykłą scenię w kwaterze człowieka, który podpalił pół świata.

Canaris wiedział, że nadchodzi czas bardzo ryzykownych działań. Do pewnego czasu fuhrer będzie mu wybaczał wprowadzanie w błąd, uznając, że nie były to kłamstwa, lecz błędna ocena sytuacji. Jednakże w pewnym momencie zorientuje się, że szef wywiadu świadomie go dezinformuje. Mimo niebezpieczeństwa, postanowił kontynuować grę. Dotychczas prowadził ją bez najmniejszego potknięcia. Największa błaga, którą była sprawa Gibraltaru, przeszła mu bezkarnie.

Zaczął się to 30 czerwca 1940 r., gdy szef Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu, generał Alfred Jodl, zwrócił uwagę fuhrera na konieczność zajęcia Gibraltaru, co pozwoliłoby zamknąć Brytyjczykom drogę na Morze Śródziemne i przerwało szlaki komunikacyjne prowadzące ze wschodnich kolonii.

W połowie lipca Hitler zaakceptował plan i wydał rozkaz przygotowania operacji. Człowiekiem odpowiedzialnym za stronę wywiadowczą był oczywiście Wilhelm Canaris. Zorganizował on grupę ekspertów, która bezzwłocznie wyruszyła z fałszywymi paszportami do

Hiszpanii, aby na miejscu zbadać możliwości zbrojnego opanowania Gibraltaru.

Mówiło się, że Abwehra rządzi Hiszpanią, i nie była to wielka przesada. Szefowi oddziału wywiadu w Madrycie, Wilhelmowi Leissnerowi, podlegało 717 pracowników niemieckich i ponad 600 hiszpańskich, którzy przeniknęli do wszystkich najważniejszych urzędów swego kraju.

27 lipca ludzie Canarisa powrócili po dokładnej penetracji Hiszpanii i zdali sprawę ze swoich ustaleń. Na tej podstawie Canaris sporządził raport o możliwościach niemieckiej interwencji i opanowania Gibraltaru. Po lekturze tego dokumentu żaden odpowiedzialny dowódca niemiecki nie mógł podjąć decyzji o wprowadzeniu wojsk do Hiszpanii.

Canaris dowodził, że niespodziewany atak nie będzie możliwy, gdyż na granicy hiszpańskiej trzeba zmieniać podwozia wagonów ze względu na inny rozstaw torów w tym państwie. Taka operacja zaalarmowała Anglików i dała czas na ściągnięcie na "Skałę", jak nazywali Gibraltar, dodatkowych sił. Szybkie przetrzucenie wojsk przez Hiszpanię też było niemożliwe z powodu fatalnego stanu dróg i linii kolejowych. Desant powietrzny na Gibraltar miał mizerne szanse ze względu na silne wiatry i brak miejsca do wylądowania dużej liczby szybowców. Równie mało realny był desant z morza, gdyż strome zbocza dawały ogromną przewagę obrońcom, którzy długo mogli odpierać ataki.

Pewne szanse powodzenia istniały po "zmiękczeniu" obrońców długotrwałym bombardowaniem z morza przy użyciu co najmniej 16 dział kalibru 380 mm i 16 dział kalibru 210 mm, a w tym okresie było to niemożliwe.

Raport szefa Abwehry kończyło stwierdzenie, że w planowanej operacji zajęcia Gibraltaru absolutnie niezbędna jest pomoc Hiszpanów. Pozostawała jednak wątpliwość, czy generał Franco zdecyduje się zrezygnować z neutralności i stanąć przy boku Niemiec. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że mógłby się na to zgodzić, obawiając się, że odmowa sprowokuje Niemców do wprowadzenia wojsk na terytorium Hiszpanii. Canaris postanowił rozproszyć obawy dyktatora.

Musiał działać bardzo ostrożnie. Nie mógł zlecić tego zadania podwładnym w Madrycie, gdyż nie wiedział, którzy z nich pracują również dla SD. Powierzył tę delikatną misję swemu najbliższemu współpracownikowi, doktorowi Josefowi Muellerowi.

Pojechał on do Rzymu, gdy tylko się dowiedział, że przybył tam hiszpański minister spraw zagranicznych, Serrano Sufier. W czasie dyplomatycznego przyjęcia stanął obok niego i, korzystając z okazji, gdy Suner przez chwilę został sam, zaczął szeptać mu do ucha informację, której nikt inny nie powinien usłyszeć:

- Admirał prosi pana, aby zechciał pan przekazać generałowi Franco, że powinien trzymać Hiszpanię poza tą grą, za wszelką cenę. Może uważacie, że pozycja jest bardzo silna? Nieprawda! Jest tragiczna i mamy niewielkie nadzieje na wygranie wojny. Franco może być pewny, że Hitler nie wejdzie zbrojnie do waszego kraju.

Gdy tylko Mueller przekazał informacje, odwrócił się i znikł w tłumie gości hiszpańskiej ambasady.

Minister Suner przekazał jego słowa bardzo dokładnie, a Franco wysłuchał bardzo uważnie. Nie miał zamiaru wprowadzać swojego państwa do wojny. Zapewnienie Canarisa, że Niemcy nie będą interweniować zbrojnie, miało ogromne znaczenie. Gdy spotkał się z Hitlerem 23 października 1940 r. w Hendaye u stóp Pirenejów, mówił zdecydowanie, że nie godzi się na udział w uderzeniu na Gibraltar.

Rezygnacja z neutralności państwa, które zostało wyniszczone w wojnie domowej, nie jest możliwa - argumentował generalissimus. Zrodziłoby to ogromne problemy, gdyż należało się spodziewać, że Stany Zjednoczone wstrzymałyby wówczas dostawy paliw i zboża, bez których słaba gospodarka hiszpańska załamałaby się, a w kraju wybuchła rewolta. Franco odrzucił wszystkie argumenty Hitlera, przekonany, że Niemcy zostawią Hiszpanię w spokoju.

To Canaris wytrącił fuhrerowi z ręki niesłychanie groźną broń - szantaż militarny. W ten sposób Niemcy przegrały wojnę o Gibraltar, zanim się rozpoczęła...

- Fuhrer oczekuje pana, admirale. - Jedna z sekretarek stanęła w drzwiach. Jej głos przerwał rozważania Canarisa, który ruszył w stronę gabinetu wodza, przekonany, że za wszelką cenę musi ukryć zamierzenia rządu włoskiego.

Ogromne, wysokie na ponad 3 metry, drzwi otworzyły się i admirał w towarzystwie jednego z adiutantów wszedł do olbrzymiego pokoju, gdzie za wielkim biurkiem siedział Hitler.

- Mein Fuhrer! - Canaris podniósł rękę i stanął dwa kroki przed biurkiem.

- To pan, admirale... - Hitler podniósł wzrok znad papierów i zdjął okulary. Tylko w otoczeniu najbliższych współpracowników używał powiększającego szkła lub okularów. - Zna pan sytuację we Włoszech. To dla mnie szczególnie ważne! Pan i von Roenne [szef wywiadu Sztabu Generalnego - BW] musicie podjąć nadzwyczajne wysiłki, aby dostarczyć mi ostateczną informację o zamierzeniach Włochów.

- Generał Enno von Rintelen [niemiecki attache wojskowy w Rzymie - BW] jest przekonany, że nic nie wskazuje na to, by Badoglio zamierzał nawiązać kontakt z aliantami - odpowiedział Canaris.

- Znam ten raport - przerwał mu Hitler. - Ale w tym zamieszaniu, jakie panuje we Włoszech, nie możemy gubić się w sprzecznych informacjach. Pan musi dojść prawdy! - Hitler pochylił się nad papierami.

- Tak jest. W ciągu najbliższych dni dostarczę raport, który powinien wyjaśnić wszystkie wątpliwości. - Canaris zasalutował i wyszedł z gabinetu.

30 lipca poleciał do Wenecji, gdzie oczekiwał na niego szef wywiadu włoskiego, generał Cesare Ame. Przez ostatnie kilka tygodni byli w ścisłym kontakcie. Od niego to Canaris dowiedział się, że Mussolini pod koniec urzędowania był pod silną presją członków rządu, domagających się zerwania z Niemcami. Generał informował też o planach obalenia duce i wreszcie o samym tym wydarzeniu. Te wiadomości pozostały jednak w sejfie admirała; nie dotarły do Hitlera.

- Co nowego, generale? - zapytał Canaris, gdy wszedł na weneckiej ulicy do samochodu swego informatora.

Ten nie odpowiedział na pytanie; spojrział tylko wymownie na kierowcę. Canaris z uśmiechem pokiwał głową, dając do zrozumienia, że kierowca jest zaufanym człowiekiem. Specjalnie wybrał samochód na miejsce rozmowy, gdyż uznał, że nie będą musieli obawiać się podsłuchu.

- 27 lipca rozeszły się pogłoski, że Niemcy lada moment mogą wkroczyć do Rzymu - zaczął niepewnie Ame.

- Może się tak stać, jeśli fuhrer nabierze przekonania, że Badoglio zamierza porozumieć się z aliantami.

- Wszystko zależy od tego, jak późno Hitler dowie się o tym, i jak daleko w tym czasie zdążą zająć alianci - odparł generał.

- Czy rozmowy z aliantami są zaawansowane?

- Tak, kapitulacja sił włoskich to sprawa najbliższych dni.

- Co możemy zrobić?

- Opóźnić dotarcie tej informacji do Hitlera. Proszę pana o to. Tych kilka dni może zadecydować o życiu tysięcy Włochów i dalszych losach wojny...

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział cicho Canaris.

Jednakże tajemnicy nie udało się utrzymać. Przecieki nastąpił z najmniej spodziewanej strony.

29 lipca o 11.00 generał Alfred Jodl otrzymał od ministra poczt zalokowaną kopertę z literą "U", oznaczającą, że koperta zawiera stenogram rozszyfrowanej rozmowy telefonicznej między Anglią i Stanami Zjednoczonymi.

A oto treść przesłanego Jodłowi dokumentu:

O godz. 1 nad ranem czasu środkowoeuropejskiego 29 lipca przechwycono rozmowę telefoniczną między premierem Winstonem Churchillem i prezydentem Franklinem Delano Rooseveltem, dotyczącą odezwy do narodu włoskiego i podjęcia rokowań na temat zawieszenia broni.

Churchill powiedział: Nie chcemy występować z określonymi warunkami zawieszenia broni, dopóki nie zrobią tego Włosi.

Roosevelt: W porządku.

Churchill: Możemy poczekać jeden lub dwa dni.

Roosevelt: Zgadzam się.

Churchill: Do tego czasu problem jeńców wojennych w Italii zostanie rozstrzygnięty tak, by zapobiec przetransportowaniu ich do "kraju Hunów" [czyli Niemiec - B W].

Dalsza część stenogramu wskazywała jednoznacznie, że alianci prowadzą z Wiochami tajne rokowania.

Hitler pozbył się ostatnich złudzeń.

Jakim jednak cudem Niemcy poznali treść rozmowy Churchilla z Rooseveltem? Churchill telefonował do Waszyngtonu z podziemnego bunkra w centrum Londynu. Zainstalowano tam aparat telefoniczny połączony ze specjalną centralą wielkości kilku sporych szaf, ustawionych 3 kilometry dalej, w podziemiach domu towarowego Selfriedges. Stamtąd radiowe sygnały biegły za Atlantyk tak zniekształcone, że nikt, kto nawet przechwyciłby je, nie mógłby zrozumieć, o co chodzi. Był to wynik używania urządzenia nazywanego A-3, a zainstalowanego prawdopodobnie w sierpniu 1939 r.

Już w październiku 1939 r. niemiecki agent przeczytał w "New York Timesie" informację o "bezpiecznym telefonie" i powiadomił o jego istnieniu centralę w Hamburgu. W Niemczech sprawą zajęło się laboratorium Ministerstwa Poczty, któremu podlegały wszystkie sprawy łączności. Naukowiec o nazwisku Vetterlein do marca 1942 r. skonstruował kopię nadajnika i odbiornika, a w pobliżu Eindhoven ustawiono gigantyczną antenę, która miała przechwytywać zniekształcone rozmowy. W tym samym więc czasie, gdy prezydent Roosevelt słyszał odszyfrowane słowa Churchilla, rejestrowała je również niemiecka stacja. Niemieckie urządzenie było tak doskonałe, że opuszczało zaledwie pojedyncze sylaby w chwili, gdy angielskie i amerykańskie urządzenia zmieniały (co 20 sekund) kanały. W ten sposób Hitler dowiedział się o planowanej kapitulacji Włoch.

W tym samym czasie dotarł do niego raport Abwehry, sporządzony przez Canarisa, jednakże nie podpisany przez niego:

Dążenie Włochów do stawienia oporu aliantom jest niezłomne w narodzie i siłach zbrojnych. Rząd jest zdecydowany zastosować bezwzględne środki w celu kontynuowania wojny. Negocjacje pokojowe są nie do pomyslenia i nic takiego nie zostało podjęte, nawet przez papieża. 27 lipca rozeszły się pogłoski, że Niemcy planują wejście do Rzymu i przywrócenie Mussoliniego do władzy. Gen. Vittorio Ambrosio [naczelnny dowódca wojsk włoskich - BW] nie przywiązuje do tych pogłosek większej wagi.

Hitler nie uwierzył w informacje zawarte w raporcie, ale głębokie przekonanie, wywiadu o wierności Włochów, zdezorientowało go i opóźniło reakcję.

Dopiero wiadomość o podpisaniu kapitulacji (3 września) wywołała furię fuhrera. Wydał rozkaz okupacji Włoch i zatopienia włoskiej floty, która, dysponując 6 nowoczesnymi pancernikami, wciąż stanowiła potęgę. Samoloty Luftwaffe zaatakowały zdalnie sterowanymi rakietami HS 293

pancernik Roma i zatopiły go. Inny okręt został poważnie uszkodzony.

W czasie gdy we Włoszech trwała akcja odwetowa, Walter Schellenberg udał się do Himmlera i położył na jego biurku teczkę.

- Czy to coś ważnego? - zapytał Himmler, choć zdawał sobie sprawę, że szef wywiadu nie zajmowałby mu czasu błahymi sprawami.

- Owszem. To bardzo ważne - Schellenberg wypowiedział te słowa ze szczególnym naciskiem.

Himmler wskazał mu fotel przy biurku, założył okulary i zaczął czytać raport w czarnych okładkach. Wyglądał jak inkasent elektrowni odczytujący zapis licznika. Złowroga potęgą tego człowieka zupełnie nie pasowała do fizjonomii skromnego urzędnika.

Czarna teczka zawierała zeznanie szofera, który w Wenecji wioził Canarisa i generała Ame. Ten człowiek od dawna był na usługach SD. Canaris zaś był przekonany o jego pełnym oddaniu Abwehrze i jemu osobiście.

Himmler przeglądał dokumenty wyraźnie zdenerwowany.

- Niech pan zostawi to dossier u mnie - powiedział wreszcie. - Zwrócę na nie uwagę fuhrera, gdy nadejdzie stosowna okazja.

Schellenberg zasalutował i wyszedł. Nie wypadało mu pytać, dlaczego Himmler nie chce natychmiast wykorzystać żelaznego dowodu zdrady Canarisa. Być może uznał zeznanie szofera za zbyt słabą broń w walce z Canaristem? A może szef Abwehry znał kompromitujące szczegóły z życia szefa SS i trzymał go w szachu?

Upadek Canarisa nastąpił niespodziewanie i z bardzo błahego powodu.

Upadek

We wrześniu 1943 r. Schellenberg zainteresował się towarzyskimi spotkaniami w domu Hanny Solf, wdowy po byłym ministrze ds. kolonii i ministrze spraw zagranicznych w rządzie Maxa von Badena.

Raz w miesiącu schodzili się tam wpływowi ludzie, których SD zaczęła podejrzewać o spisek przeciwko fuhrerowi. Nie było to podejrzenie bezzasadne, gdyż rzeczywiście w domu pani Solf bywał np. Ludwig Gehre z Abwehry, utrzymujący kontakty z wywiadem brytyjskim... Podobną robotę wykonywał inny gość - hrabia Helmuth von Moltke. Otto Kiep, były konsul z Nowego Jorku, współpracował ze "Schwarze Kapelle".

Schellenberg nie miał większych trudności z wprowadzeniem do towarzystwa swojego agenta, lekarza z kliniki SS, doktora Joachima Reckzaha. Zabawa w kotka i myszkę nie trwała długo. Na podstawie informacji Reckzaha gestapo aresztowało Ottona Kiepa. Wywołało to natychmiastową reakcję, która doprowadziła do eksplozji w odległym miejscu - w Istambule, gdzie działał doktor Erich Vermehren, agent Abwehry, pozostający jednocześnie na usługach wywiadu brytyjskiego, współpracujący z Kiepem. Przestraszył się, że Kiep nie wytrzyma tortur w gestapo i ujawni powiązania z Brytyjczykami. Zażądał więc, aby jego mocodawcy z wywiadu brytyjskiego MI-6 wywiązali się z kontraktu i zapewnili ochronę jemu samemu i rodzinie. Brytyjczycy zgodzili się, ale nie dlatego, że honor nakazywał im lojalność wobec wiernego agenta; uznali, że ucieczkę Vermehrena można wykorzystać propagandowo. Gdy tylko agent ten dotarł bezpiecznie do Kairu, prasa brytyjska zaczęła pisać o bezcennych informacjach i dokumentach Abwehry, przywiezionych przez uciekiniera.

Sprawa szybko doszła do Hitlera. Ftihrer zarządził śledztwo, którego wyniki zbulwersowały go. Okazało się, że Vermehren rzeczywiście dużo wiedział o działalności wywiadu w Turcji, a na dodatek znał szyfry dyplomatyczne.

Himmler doszedł do wniosku, że zbliża się czas na uderzenie w Canarisa. Czekał na najbardziej sprzyjający moment. Wiedział, że najlepiej będzie zaatakować, gdy Hitler choć na krótko zwątpi w lojalność i skuteczność działania Abwehry. Jeszcze zwlekał wiedząc, że zdobycz jest już w zasięgu ręki...

Inni dostojnicy hitlerowskiego państwa, czując, że pozycja szefa Abwehry słabnie, uznali, że również mogą przypuścić atak i odnieść wiele korzyści.

W nagonce na admirała wziął udział Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych. Od wielu lat z niechęcią patrzył, jak Canaris panoszy się w jego ministerstwie, werbując dyplomatów, wydając polecenia ambasadorom i konsulom. Ribbentrop, chorobliwie zazdrosny o względy Hitlera, chciał sam go informować o wywiadowczych sukcesach swych pracowników w innych państwach. Miejscem szczególnej konkurencji była Ameryka Południowa. Tam jednak wielkie sukcesy odnosił Canaris, co szczególnie drażniło Ribbentropa.

W 1941 r. Abwehra skaptowała w Hamburgu obywatela Argentyny, Niemca z pochodzenia,

który przyjechał do ojczyzny na krótkie wakacje. Hans Rudolf Leo Harnisch, 46-letni pracownik największej argentyńskiej firmy handlowej Boker & Co., zgodził się zbierać informacje na temat Stanów Zjednoczonych. Wkrótce okazało się, że ten niepozorny człowiek ("trzeźwy, wrażliwy, z rezerwą i zimno kalkulujący" - jak scharakteryzowano go w aktach Abwehry) dokonał rzeczy wielkich. Był jedynym z organizatorów akcji obalenia - w czerwcu 1943 r. - rządów Castilla, opowiadającego się za pełną neutralnością Argentyny i ustanowieniem dyktatury proniemieckiego generała Pedra Ramireza, którego stał się bliskim doradcą.

27 stycznia 1944 r. wywiady zarówno amerykański, jak i brytyjski odkryły powiązania Harnischa i zażądały odsunięcia tego człowieka od spraw państwowych. Argentyna została zmuszona do zerwania stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Była to przykra porażka wielkiej polityki Hitlera, który na te wiadomości, skrzętnie podsunięte przez Ribbentropa, zareagował wybuchem gniewu.

Nieszczęścia chodzą parami. Niemal równocześnie rozsypały się wpływy Canarisa w Hiszpanii.

W listopadzie 1943 r. ambasador Eberhard von Stohrer, bardzo przyjaźnie nastawiony do Canarisa, został zastąpiony przez Hansa Heinricha Dieckhoffa. Gdy nowy dyplomata przedstawił listy uwierzytelniające generałowi Franco, miał podobno usłyszeć od niego:

- Jestem zadowolony, że odtąd będę miał do czynienia z prawdziwym przedstawicielem III Rzeszy, a nie z tym intrygantem Canarisem.

Nie sposób dociec, czy Franco rzeczywiście tak powiedział. Jest to mało prawdopodobne, zważywszy, że łączyła go z Canarisem stara przyjaźń i wiele zawdzięczał szefowi Abwehry. Być może Dieckhoff zmyślił taką reakcję dyktatora i natychmiast przesłał raport na ten temat do Ribbentropa.

To był pierwszy cios, jaki zadał Canarisowi, ale nie ostatni. Wiedział, na czym zależy jego szefowi i nie przepuszczał żadnej okazji, aby oskarżyć madrycki oddział Abwehry o niekompetencję, łapówkarstwo, a nawet zdradę. Wielokrotnie wspominał w oficjalnej korespondencji dyplomatycznej, że Canaris osobiście nakłaniał Franca do zerwania z Hitlerem i opowiedzenia się po stronie aliantów.

Admirał szybko poznał treść raportów ambasadora i pojął zagrożenie. Postanowił podjąć walkę i wyruszyć do Madrytu, aby spotkać się tam z szefem Sztabu Generalnego, generałem Vigo, oraz z szefem wywiadu, generałem Campo Martłnezem. Liczył, że przy ich pomocy zmusi wrogiego ambasadora do zaniechania ataków. Nie docenił jednak jego sprytu i wpływów.

5 lutego 1944 r. Dieckhoff przysłał do Ministerstwa Spraw Zagranicznych depezę:

Dowiedziałem się z poufnych źródeł, że admirał Canaris rozważa plan przybycia do Hiszpanii w następnym tygodniu. Jakkolwiek z radością powitałbym okazję do omówienia funkcjonowania

tutejszego oddziału Abwehry [było to sprytnie nawiązanie do wcześniejszych raportów, w których żalił się na fatalne funkcjonowanie oddziału Abwehry w Madrycie - BW], to jednak muszę stanowczo odradzać przyjazd. Ta wizyta, której nie uda się utrzymać w tajemnicy, mogłaby tylko dać Anglosasom pretekst do zintensyfikowania presji [na rząd hiszpański, aby opowiedział się po stronie aliantów - BW] i stałaby się kłopotliwa dla naszych hiszpańskich przyjaciół.

To był celny strzał. Canaris nie uzyskał zgody na wyjazd do Hiszpanii. Nie mógł już wygrać z ambasadorem przy pomocy hiszpańskich sojuszników. Uznał więc, że musi zawrzeć kompromis. Zaprosił ambasadora na spotkanie do francuskiej miejscowości Biarritz, w pobliżu granicy hiszpańskiej. Dieckhoff przyjął zaproszenie. Jednakże gdy Canaris wszedł do hotelowego apartamentu, nie zastał tam ambasadora. Z fotela poderwał się młody dyplomata Herbert von Bibra. Stuknął obcasami i krzyknął "Heil Hitler!" Następnie wręczył admirałowi list od ambasadora:

Doceniam pańskie zapewnienie, że przywiązuje pan największą wagę do mojej obecności w Biarritz. Niestety, obowiązki uniemożliwiają mi opuszczenie Madrytu. Dlatego zdecydowałem się wydelegować pana von Bibrę jako swojego przedstawiciela, w pełni upoważnionego do zabrania głosu w moim imieniu.

Canaris złożył starannie list i schował do kieszeni. Został upokorzony, ale musiał to przełknąć. Wiedział już, że przegrał i nie pozostało mu nic innego, jak tylko zgodzić się na wszystkie warunki, które przez von Bibrę stawiał ambasador Dieckhoff.

Ten wkrótce raportował do ministerstwa:

Admirał Canaris zgodził się zreorganizować Abwehrę w Hiszpanii zgodnie z moimi życzeniami, aby zadowolić pana ministra spraw zagranicznych. Personel Abwehry zostanie zredukowany do absolutnego minimum. Biuro Abwehry zostanie wyprowadzone z budynku ambasady. Centrum radiowe i nasłuchu radiowego zostanie przekazane ministerstwu.

Canaris tylko raz zareagował ostro. W czasie rozmowy z Bibrą oświadczył:

- Stanie się moim obowiązkiem ostrzec dowództwo wojsk lądowych, marynarki i lotnictwa, że w związku ze zmieniającą się sytuacją nie będzie możliwe wykonanie operacji, które w przyszłości zleca Abwehrze.

Delegatura Abwehry w Madrycie była jedną z najważniejszych placówek na świecie. W stolicy Hiszpanii krzyżowały się ścieżki agentów najważniejszych państw; tamtędy wiodły trasy kurierów i oficjalnych przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, walczącej Francji. Canaris ostrzegał bardzo serio: przekazanie kontroli nad madrycką placówką amatorom oznaczało zerwanie wielu ważnych akcji i kontaktów wywiadowczych. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na to ostrzeżenie.

Hitler, pod wpływem intryg Himmlera i Ribbentropa, uznał, że Canaris utracił zdolność do

skutecznego prowadzenia wywiadu. Admirał z pełnymi honorami został pozbawiony funkcji, o czym powiadomił go feldmarszałek Wilhelm Keitel oraz generał Alfred Jodl, informując jednocześnie o przyznaniu Deutsches Kreuz ein Gelt i wyznaczeniu pośledniego stanowiska.

Zaraz potem Himmler przystąpił do reorganizacji wywiadu, oddając go w ręce Schellenberga. Utworzył nową sekcję Militarisches Amt (Amt Mil - Biuro Wojskowe), która miała kontrolować zbieranie i przepływ wojskowych informacji wywiadowczych. Jej szefem został pułkownik Georg Hansen*.[* Był jednym z pierwszych uczestników spisku, powieszonych 8 sierpnia 1944 r. w więzieniu Ploetzensee w Berlinie.]

Zwierzchnicy szefa nowej sekcji nie podejrzewali nawet, że ten człowiek był zdolnym uczniem Canarisa. Jednak - jak miała wykazać najbliższa przyszłość - nie dorastał do swego mistrza, choć od wielu lat działał w "Schwarze Kapelle". Po objęciu nowego stanowiska niezwłocznie zaczął nawiązywać kontakty z aliantami. Na początku 1944 r. generał Ulrich Liss, gdy kontuzjowany powrócił z frontu wschodniego do Berlina, otrzymał od Hansena polecenie nawiązania przez Sztokholm kontaktu z generałem Kennethem W.D. Strongiem, szefem wywiadu sztabu głównodowodzącego wojskami alianckimi w Europie, generała Dwighta Eisenhowera. Inny wysłannik specjalny spotkał się gdzieś w południowej Francji z emisariuszem Churchilla w celu przedyskutowania możliwości przerwania działań wojennych po obaleniu Hitlera.

Hansen, gdy został aresztowany po nieudanym zamachu na Hitlera, ujawnił, że Canaris był najzagorzalszym wrogiem fuhrera. Zeznał również, że były szef Abwehry pisał pamiętniki, w których wiele miejsca poświęcił Hitlerowi.

Canaris nie brał bezpośrednio udziału w zorganizowaniu zamachu na fuhrera, przygotowanego przez członków "Schwarze Kapelle" (m.in. generała Ludwiga Becka, generała Carla Górdelera), a wykonanego przez pułkownika Clausa von Stauffenberga, również członka tej tajnej organizacji. Może usunięcie ze stanowiska szefa wywiadu przekreśliło możliwość aktywnego działania admirała na rzecz ustanowienia w Niemczech nowego porządku? Może uznał, że jest pilnie strzeżony, co wykluczało kontaktowanie się ze spiskowcami? Jednakże fala represji, jaka wybuchła w Niemczech po zamachu, nie ominęła i Canarisa.

23 lipca Kaltenbrunner wysłał Schellenberga z poleceniem aresztowania Canarisa, który przebywał w swoim domu w Schlachtensee, malowniczej osadzie nad brzegiem jeziora. Po południu Schellenberg i SS Hauptsturmführer von Voelkersam zastukali do drzwi admirała.

- Spodziewałem się, że będzie to pan - rzekł Canaris na widok Schellenberga, zanim przybyły zdążył wyjawnić cel swej wizyty. - Proszę mi najpierw powiedzieć, czy znaleziono cokolwiek na piśmie, co mógł pozostawić ten głupiec pułkownik Hansen?

- Tak, notatnik - odparł Schellenberg stojący jeszcze w progu. - Obok innych zapisków była tam lista osób, które miały zostać rozstrzelane [przez spiskowców, po zamachu na Hitlera - B W]. Ale nie było nic na pański temat.

- Ci durnie ze Sztabu Generalnego nie mogą żyć bez pisania - skwitował informację Canaris i zaprosił ludzi, którzy przyszli go aresztować, do wnętrza.

Tam Schellenberg oficjalnie przedstawił admirałowi rozkaz wydany przez SS Obergruppenfuhrera Mullera, szefa specjalnej komisji powołanej przez Himmlera do zbadania okoliczności zamachu na Hitlera.

- To źle, że musimy sobie powiedzieć “do widzenia” w taki sposób - stwierdził Canaris z rezygnacją. - Ale przejdziemy i przez to. Musi mi pan obiecać, że w ciągu najbliższych trzech dni stworzy mi pan możliwość rozmowy w cztery oczy z Himmlerem. Wszyscy inni, Kaltenbrunner i Muller, są niczym więcej jak tylko brudnymi rzeźnikami, którzy chcą mojej krwi.

Schellenberg zgodził się, mimo to podsunął Canarisowi, by zamiast więzienia wybrał wyjście honorowe - samobójstwo.

- Nie, drogi Schellenberg! - Canaris potrząsnął głową. - Mój lot bez wątpienia się zakończył. Ale ja się nie zabiję. Jestem przekonany o swych racjach i mam nadzieję, że wypełni pan złożone przyrzeczenie...

Admirał ciągle wierzył w swoją władzę nad Himmlerem, która w efekcie miała przynieść mu wolność. Bez wątpienia wiedział, że Himmler podjął tajne negocjacje z aliantami, proponując im usunięcie Hitlera. Jeżeli Canarisowi udałoby się zdobyć jakieś dowody zdrady Himmlera, mógłby sądzić, że ten robi wszystko w obawie przed ujawnieniem dokumentów. Canaris jednak daremnie liczył na tę ostatnią szansę. Himmler był sprytniejszy. Tak pokierował wypadkami, że nie zostawił admirałowi możliwości wykorzystania jej.

Umieszczono admirała w areszcie w szkole Sicherheitspolizei w Fiirstenbergu. Wkrótce jednak Muller przysłał swoich ludzi, którzy przewieźli Canarisa do siedziby na Prinzalbrechtstrasse w Berlinie.

Tam, w czasie przesłuchania, admirał popełnił błąd, który kosztował go życie. Przyznał, że pisał pamiętniki. Był przekonany, że człowiek, u którego zdeponował dokumenty mogące być zastawem za jego życie, zniszczył je. Niestety... Major Werner Schrader popełnił samobójstwo, pozostawiając wszystkie dokumenty przekazane przez Canarisa.

Prowadzący śledztwo wysłał zaraz swoich ludzi do Zossen, gdzie w sejfie Schradera znaleziono całe archiwum “Schwarze Kapelle” i pamiętniki admirała.

Był to aż nadto wystarczający dowód, aby Canarisa i jego najbliższego współpracownika, generała Oстера, skazać na karę śmierci. Himmler nie zrobił jednak tego. Nie wydał wyroku. Dlaczego? Czyżby ciągle obawiał się dowodów, które zgromadził przeciw niemu admirał? A może Canaris uprzedził go, że zdeponował dokumenty “w pewnych rękach” i że zostaną ujawnione w razie jego śmierci? Jeżeli tak, to Himmler zdawał sobie sprawę, że dopóki Canaris będzie żył, nie ujawni dokumentów. Dlatego też trzymał go przy życiu.

Więziono admirała w różnych obozach koncentracyjnych, aż w końcu trafił do więzienia we Flossenbурgu.

Była już wiosna 1945 r. Amerykańskie wojska stały w odległości około 150 kilometrów. 8

kwietnia Canaris został wezwany przed sąd. Nie przyznawał się do winy. Żądał zwolnienia i wysłania jako szeregowego żołnierza do walki z wojskami radzieckimi. Sąd odrzucił prośbę. Uznał go winnym zdrady fuhrera i Niemiec i skazał na śmierć. Po wyroku esesmani wywlekli go z sali i ciężko pobili, a potem, półprzytomnego, wrzucili do celi.

Canaris ze złamanym nosem zwlókł się z pryczy i trzonkiem łyżki wystukał w rurę biegnącą przez celę: Umieram... za... mój... kraj... i... mam... pełną... świadomość... że... jako... oficer... zrozumiesz... iż... wykonywałem... tylko... obowiązki... wobec... mojego... kraju... usiłowałem... przeciwstawić... się... Hitlerowi... zrób... co... możesz... dla mojej... żony... córek... oni... złamali... mi... nos... umrę... dziś... rano... żegnaj...

Była to ostatnia wiadomość, którą więźniowi z sąsiedniej celi - podpułkownikowi H.M. Lundingowi, byłemu szefowi duńskiego wywiadu - przekazał admirał Wilhelm Canaris.

Wkrótce Lunding, słysząc hałasy na korytarzu, przytknął oko do judasza. Zobaczył, jak esesmani wywlekają nagiego Canarisa z celi i ciągną korytarzem.

Zabrali go do pomieszczenia, gdzie wykonywano wyroki śmierci. Tam powiesili na żelaznej obroży, zwisającej na łańcuchu z sufitu. Po kilku minutach opuścili na podłogę. Canaris wciąż żył. Przystąpili zatem znów do egzekucji...

Jeden z najpotężniejszych ludzi III Rzeszy przez 30 minut umierał w więzieniu w Flossenburgu.

Pojedynek na Pustyni

Zabić Rommla!

Noc na pustyni zapada szybko. Słońce chowa się gwałtownie za horyzontem, pogrążając piasek w ciemnościach. John Haselden widział przez niewielkie okienko w kadłubie Wellingtona, jak minęli linię brzegową, zostawiając za sobą rozszrebrzone Morze Śródziemne. Wypatrywał światełek Cyreny. Bliskość arabskiej osady miała być dla niego znakiem rozpoczęcia niezwyklej przygody. Nie bał się jej, chociaż po raz pierwszy w życiu miał zmierzyć się z wrogiem, którego nie znał; widział go tylko na ekranie kina przy Balaam Street, gdzie chętnie oglądał wojenne kroniki. Nie potrafił sobie wyobrazić niebezpieczeństwa. Może dlatego nie czuł strachu.

- Przygotuj się! - krzyknął do niego sierżant McClusky, który przeszedł obok, pochylił się i podniósł klapę w podłodze samolotu. John wstał z niewygodnej ławki przy burcie samolotu, dociągnął pasy i zaczepił sprzączkę od linki otwierającej spadochron. Usiadł niezdarnie na krawędzi luku. Czuł, że mięśnie napinają się bezwiednie, jakby w oczekiwaniu bólu. Pęd powietrza szarpał nogawki spodni, a w dole otwierała się czarna przepaść.

Sierżant, pochylony nad nim, wpatrywał się w lampki obok drzwi kabiny pilotów. Nagle klepnął go w ramię. John usłyszał jeszcze:

- Powodzenia, chłopie... - i wysunął się przez wąski otwór.

Łądowanie na piasku okazało się znacznie przyjemniejsze niż dotyk twardej ziemi lotniska w Ringway, gdzie uczył się skakać ze spadochronem. Pięć miesięcy temu zgłosił się ochotniczo do wojska, a gdy członkowie komisji poborowej dowiedzieli się, że skończył arabistykę na uniwersytecie w Aberdeen, skierowali go do specjalnej jednostki spadochroniarzy.

Szybko zwinął czaszę, rozgrzebał rękami piasek i wrzucił spadochron do płytkiego dołu. Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu zasobnika z wyposażeniem. Po chwili zobaczył długi, walcowaty kształt metalowego pojemnika, wbitego w piasek w odległości kilkudziesięciu metrów. Wydobył z niego radiostację, mapy, niewielką paczkę z żywnością i wodą, mocno przybrudzone, przesiąknięte potem ubranie arabskie i metalową puszkę z brunatnym kremem. Rozebrał się do naga i systematycznie zaczął wcierać masę w ciało. Mikstura powinna zacząć działać po kilku godzinach, nadając jego skórze ciemnobrązowy odcień. Włosy ufarbował jeszcze przed startem. Mistyfikacja była doskonała; nikt nie potrafiłby rozpoznać Anglika w krępych mężczyźnie o śniadej cerze i kruczoczarnych włosach. John Haselden mówił świetnie w narzeczu sesussi - jednym z licznych, które opanował podczas studiów i wakacyjnych praktyk w paru krajach Bliskiego Wschodu.

Gdy nad pustynią pojawiły się pierwsze promienie słońca, John zatarł starannie ślady nocnego lądowania i zarzuciwszy na plecy tobołek, w którym ukrył broń i radiostację, wyruszył w stronę najbliższego szlaku karawan. Do Będą Littoria dotarł późnym popołudniem. Nie był tam nigdy przedtem, ale znał doskonale rozkład osady. Przed wyprawą spędził wiele godzin, starając się zapamiętać wszystkie szczegóły planu i zdjęć lotniczych. Najbardziej interesował go duży, jednopiętrowy budynek w centrum - siedziba generała Erwina Rommla.

Skierował się w tamtą stronę, gdy tylko przybył do miasteczka. Wąską, kamienistą uliczką dotarł

do niewielkiego placyku. Tam usiadł w kucki pod palmą i rozsypał ostrożnie swój tobołek. Wydobył kawałek placka i krusząc go, zaczął powoli przeżuwać. Wyglądał jak zmęczony wędrowiec, który przysiadł na chwilę przed dalszą drogą. Nie zwracał niczyjej uwagi. Stapiał się z tłumem innych identycznie wyglądających postaci w brudnych burnusach i białych turbanach. Mogły go zdradzić tylko oczy, badawczo wpatrzone w bramę wysokiego domu. Policzył wartowników: czterech przy bramie - ciężkiej, kutej, trudnej do sforsowania. Stali za workami piasku, nad którymi rozciągnęli kawałki brezentu, chroniące przed promieniami słońca. Ilu było za wrotami? Uznał, że tego nie dowie się łatwo. Po chwili zauważył trzy sylwetki na płaskim dachu, gdzie zapewne mieściły się stanowiska karabinów maszynowych lub działek przeciwlotniczych. Za załomem muru dostrzegł następne stanowisko, obłożone workami z piaskiem, ale z odległości nie potrafił zobaczyć, ilu jest tam żołnierzy.

Zawinął resztkę placka w przetłuszczoną szmatkę. Podniósł się i przeszedł na drugą stronę placu. Dostrzegł tam kilka straganów i pomyślał, że będzie to doskonały punkt obserwacyjny. Oglądał jeszcze przez chwilę skupisko przekupniów i ruszył do wschodniej części miasta, gdzie miał się zgłosić do handlarza, by zażądać zwrotu pieniędzy za dwie kozy, które padły w dwa dni po zakupie. Gdy handlarz odpowie: "Pamiętam, że ci sprzedałem kozy, ale nie pamiętam ile", oznaczać to będzie, że znalazł bezpieczne schronienie. Każda inna odpowiedź zwiastowała niebezpieczeństwo. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem i wieczorem ukrył radiostację pod stertą słomy na strychu domu handlarza kóz.

Następnego dnia spędził na placu wiele godzin, siedząc w kucki nad papierem, na którym rozłożył kilka glinianych skorup. Zachwalał je przechodniom, nawet patrolowi zandarmerii niemieckiej. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Czuł się całkowicie bezpieczny.

Po kilku dniach uznał, że wie już bardzo dużo o strażnikach i głównym mieszkańcu obserwowanego domu. Notował w pamięci godziny, w których zmieniano warty. Przez otwartą bramę dostrzegł posterunki przed drzwiami budynku. Wielokrotnie widział Rommla wyjeżdżającego w opancerzonym kabriolecie, z silną eskortą. Zauważył, że około godziny 20.00 feldmarszałek zawsze wracał do domu i nigdy nie opuszczał go w nocy. Wiele cennych informacji przekazali mu inni przekupnie, z którymi gawędził po zamknięciu straganów.

Po dwóch tygodniach obserwacji John doszedł do wniosku, że może przekazać pierwszy raport do kwatery w Kairze. W nocy wygrzebał spod sterty słomy węzełek z radiostacją i przekazał meldunek. Tej samej nocy raport znalazł się na biurku szefa wywiadu wojskowego w Kairze, generała Francisca de Guinganda. Zwrócił on szczególną uwagę na zdanie: *Obiekt X silnie strzeżony, z wyjątkiem strony północnej, otoczonej żywoplotem. Tam strażę są najslabsze*. Następne raporty, które Haselden nadsyłał regularnie co cztery dni, potwierdzały pierwsze spostrzeżenia.

Na początku listopada generał Guingand i szef operacji specjalnych, pułkownik Laycock rozpoczęli planowanie ataku na kwaterę Rommla. Dowódca wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie, marszałek Claude Auchinleck, wyznaczył termin: 17, a najpóźniej 18 listopada 1942 r. Wtedy to zamierzał uderzyć na wojska niemiecko-włoskie, a śmierć Rommla mogła przesądzić o powodzeniu tej ofensywy. Nadano jej kryptonim "Crusader". Pułkownik Laycock uważał, że komandosi powinni zaatakować równocześnie kilka punktów, aby sparaliżować ruchy wojsk niemieckich i włoskich. Proponował, aby w operacji wzięło udział pięćdziesięciu dziewięciu

komandosów, którzy powinni zabić lub schwytać Rommla, zniszczyć dowództwo wojsk włoskich w Cyrenajce, wymordować szefów włoskiego wywiadu, a w jego kwaterze w Appollonii zdobyć księgi szyfrów, przy okazji zaś zniszczyć jak najwięcej linii telekomunikacyjnych.

17 listopada po zapadnięciu zmroku w rejonie Będą Littoria wynurzyły się u wybrzeża dwa okręty podwodne: Torbay i Talisman. Na brzegu migotało światło latarni, którą machał Haselden, na znak, że komandosi mogą lądować. Sześciu oficerów i pięćdziesięciu trzech komandosów dotarło pontonami na ląd. Wkrótce rozdzielili się na kilka grup. Trzej żołnierze, prowadzeni przez podpułkownika Geoffreya Keyesa, wyruszyli z Haseldenem w stronę kwatery Rommla. Pogoda im sprzyjała; rześisty deszcz tłumił odgłos kroków. Przeskoczyli żywopłot i zaczęli czołgać się w stronę domu. Światło reflektora, które wartownicy kierowali z dachu w stronę krzewów, nie było groźne. Strugi wody rozpraszały promienie i zacierają ślady.

Po kilku minutach dotarli do tylnych drzwi; nie było przy nich wartowników. Keyes otworzył je i nagle zobaczył żołnierza w hełmie i pelerynie, który zapewne schronił się przed deszczem. Komandos uniósł thompsona, ale Niemiec zdążył schwycić za lufę jego karabinu i skierować ją w górę. Keyes odepchnął go i wyszarpnął nóż z pochwy przytroczonej do nogawki spodni. Nie zdążył jednak uderzyć, gdyż w tej samej chwili wtargnął któryś z komandosów i widząc szamotaninę, strzelił do Niemca, kładąc go trupem. Huk zaalarmował żołnierzy na piętrze. Jeden z nich wybiegł na schody, ale nie mógł się zorientować, o co chodzi w ciemnym korytarzu. Komandosi zaczęli do niego strzelać. Niecelnie. Zdołał cofnąć się do pokoju.

Po chwili komandosi zobaczyli światło w szparze drzwi pod schodami. Wbiegli tam. Kilku żołnierzy niemieckich, obudzonych strzałami, zdejmowało broń ze stojaka. Keyes strzelił na oślep, ale w tym samym momencie jeden z Niemców zdołał załadować karabin i nacisnął spust. Kula trafiła Keyesa w serce. Upadł do tyłu i oparł się o stojącego za nim żołnierza. Ten wrzucił granat do środka i wyciągnął martwego dowódcę do ogrodu. Dwaj pozostali przy życiu komandosi walczyli jeszcze, ale nie mieli żadnych szans wykonania zadania. Byli otoczeni i po kilku minutach walki zginęli, przeszyci seriami karabinów maszynowych. Akcja, podobnie jak i ataki na obiekty włoskie, zakończyła się fiaskiem. Uratował się jedynie dowódca operacji, podpułkownik Laycock i jeden żołnierz. Uratował się też Haselden, który nie zauważył, że kilka dni przed planowanym atakiem Rommel przeniósł swoją siedzibę o sto pięćdziesiąt kilometrów na południe, do Gambund. 17 listopada nie było go jednak i w nowej kwaterze. Przebywał o tysiące kilometrów stamtąd, w swoim rodzinnym domu, dokąd udał się, aby spędzić z żoną 25 rocznicę ślubu...

Generał Claude Auchinleck wysłuchiwał raportu Laycocka z wyraźną irytacją. W skrytości ducha liczył na powodzenie akcji. Wierzył, że jeżeli komandosom nie uda się zabić lub porwać Rommla, to przynajmniej zdezorganizują włoską sieć dowodzenia.

- Czy odniósł pan wrażenie, że Niemcy i Włosi zostali uprzedzeni o naszej akcji? - przerwał Laycockowi wyliczanie strat.

- Absolutnie nie, sir! - wykrzyknął zapytany z taką energią, jakby to jego podejrzewano o zdradę.

- Czy ty też jesteś tego zdania? - Auchinleck zwrócił się do szefa wywiadu, generała Guinganda,

gdy Laycock wyszedł z pokoju.

- Tego nigdy nie można wykluczyć - wymijająco odpowiedział Guingand. - W tym wypadku jednak sędzę, że to komandosi spartolili robotę. Nic nie świadczy o przeciekach ani zdradzie. Wprost przeciwnie, meldunki z frontu wskazują na całkowite zaskoczenie nieprzyjaciela.

Od 18 listopada wojska brytyjskiej VIII armii parły niepowstrzymanie do przodu. XXX korpus przekroczył egipsko-libijską granicę w pobliżu Fortu Maddalena i posuwał się szybko w stronę Gabr Saleh. Na prawym skrzydle XIII korpus przetoczył się przez włoskie pozycje i jak burza sunął do Bardii. Brytyjczykom udało się zaskoczyć Włochów i Niemców. Operacja "Crusader" zakończyła się 20 grudnia zwycięstwem wojsk alianckich. Nadchodził jednak czas, gdy Rommel mógł wprowadzić do walki broń o niezwyklej sile...

Włoskie Preludium

Attache wojskowy ambasady USA w Rzymie, pułkownik Norman E. Fiske, czuł się fatalnie tego dnia. Silne skurcze żołądka były tak męczące, że nie mógł skupić się na czytaniu depeesz nadesłanych rano z Waszyngtonu. Zastanawiał się, co mogło być przyczyną takiego samopoczucia. Poprzedni wieczór spędził z żoną i kilkorgiem przyjaciół w małej knajpce na Via Appia. Bywali tam wielokrotnie i do tej pory nie zdarzyło się żadne zatrucie. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, co jadł i pił, gdyż próba odtworzenia menu wywoływała gwałtowny napływ śliny do ust i kolejny skurcz żołądka.

- Powinien pan pójść do lekarza, sir - Loris Gherardi był bardzo zmartwiony stanem zdrowia pułkownika - ale doktor Barnes jeszcze nie przyszedł.

- Dziękuję ci, Loris, chyba poradzę sobie bez lekarza - westchnął ciężko Fiske, ale nuta współczucia, którą usłyszał w głosie posłańca, bardzo mu się spodobała. "To porządny chłop" - pomyślał, patrząc, jak Loris sadowi się na krześle przy drzwiach w oczekiwaniu na depeşe, które miał zanieść do konsulatu.

Pracował jako posłaniec w ambasadzie amerykańskiej od 1920 r. i zdobył całkowite zaufanie pracowników. Kiedy przyjeżdżali do Rzymu, aby objąć nowe stanowisko, Loris Gherardi już tam był. Cichy, spokojny, skory do usług i pomocy, szybko zyskiwał sympatię nowych pracowników. Co najważniejsze, nie wzbudzał żadnych podejrzeń o współpracę z wywiadem włoskim SIM. Szef ochrony ambasady był starym fachowcem z FBI i żaden szpieg nie uchowałby się w jego "rejonie łowieckim" - jak sam mówił o swoich umiejętnościach.

Nowy atak bólu kazał pułkownikowi udać się do toalety. Jeszcze od drzwi rzucił okiem na biurko, aby sprawdzić, czy nie zostawił na wierzchu niczego ważnego. Leżała tam tylko gazeta i parę czystych kartek, których nie miał siły zapisać. Loris odczekał, aż pośpieszne kroki pułkownika ucichły na korytarzu, podszedł do drzwi wejściowych i zamknął je na klucz. Dorobił go dawno. Szkolenie w SIM zaczynało od kursu ślusarskiego. Po jego ukończeniu każdy włoski agent potrafił z łatwością otwierać zamki i dorabiać klucze. Skierował się w stronę ciężkiej, rzeźbionej szafy w rogu pokoju. Otworzył ją i po chwili, przypominając sobie kolejne cyfry, zaczął obracać pokrętkę sejfu.

Loris Gherardi pracował dla SIM od 1935 r. Przez wiele lat nie zlecano mu żadnych zadań. Pozostawał "uśpiony" aż do 1940 r., gdy na skwerze w pobliżu swojego domu zaczął spotykać się z człowiekiem, któremu dokładnie relacjonował, co się dzieje w ambasadzie. Podczas ostatniego spotkania "opiekun" z SIM przekazał mu numer sejfu pułkownika Fiske, aparat fotograficzny i polecił, by w poniedziałek 15 września w godzinach porannych wydobył z sejfu książkę w czarnych okładkach i sfotografował ją. Za wykonanie zadania obiecał dużą sumę.

Drzwi sejfu ustąpiły i Gherardi zobaczył na półce książkę w czarnych okładkach. Rozłożył ją na stole pod lampą. Zerknął na zegarek - pułkownika nie było od dwóch minut; mógł więc spokojnie działać przez trzy, cztery minuty. Włączył lampę i zaczął fotografować kolejne stronicę. Gdy skończył pracę, schował książkę do sejfu i usiadł w fotelu. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że naturalniej będzie, jeżeli pułkownik nie zastanie go w gabinecie.

Gdy Fiske wrócił po kilkunastu minutach, czuł się znacznie lepiej i mógł wreszcie zabrać się do redagowania depeszy. Tego samego dnia wieczorem Loris przekazał łącznikowi na skwerze aparat fotograficzny. Włoski wywiad poznał tajemnicę "Czarnego kodu", którym od kilku miesięcy posługiwali się attache wojskowi w ambasadach m.in. w Rzymie, Moskwie i Kairze. Kilka dni później Włosi zaczęli rozszyfrowywać amerykańskie depesze. Minister spraw zagranicznych, Ciano, zanotował w swoim pamiętniku pod datą 30 września: Wywiad wojskowy wszedł w posiadanie amerykańskiego tajnego szyfru, wszystko, co Phillips [ambasador amerykański William - BW] telegrafuje do USA, jest odczytywane przez naszych kryptologów. Zapewne w tym samym czasie SIM przekazał szyfr Abwehrze i wkrótce generał Erwin Rommel mógł otrzymywać najnowsze informacje o ruchach wojsk alianckich w Afryce Północnej, gdyż wywiad niemiecki odszyfrował depesze wysyłane z ambasady amerykańskiej w Kairze przez bardzo skrupulatnego oficera.

Był to pułkownik Bonner Frank Fellers. W okresie międzywojennym pracował w wielu urzędach wojskowych, a nawet przez dwa lata był na Filipinach asystentem generała Douglasa MacArthura. W październiku 1940 r. przybył do Kairu. Bardzo poważnie podszedł do swoich nowych zadań. Pracę rozpoczął od wizytacji brytyjskich jednostek i dokładnego zapoznania się z warunkami życia i walki na pustyni. Był przekonany, że jego obserwacje i opinie zostaną wzięte pod uwagę podczas szkolenia i wyposażania wojsk amerykańskich, gdyby przyszło im walczyć w warunkach pustynnych. Toczył długie rozmowy z brytyjskimi dowódcami, analizując problemy morale żołnierzy, płynności dostaw, skuteczności broni pancernej i przeciwpancernej oraz setki innych spraw. Brytyjczycy nie lubili go, gdyż zbyt często dawał im odczuć, że uważa ich za miernych żołnierzy i jeszcze gorszych dowódców, ale musieli być uprzejmi wiedząc, że od raportów Fellersa może zależeć wielkość dostaw amerykańskiego uzbrojenia. Cierpliwie odpowiadali więc na wszystkie pytania.

Każdego wieczoru pracowity pułkownik przygotowywał obszerny raport, stanowiący esencję rozmów z dowódcami brytyjskimi oraz zawierający własne obserwacje. Następnego dnia raport - zaszyfrowany za pomocą "Czarnego kodu" - wysłano z kairskiej poczty do MILID WASH (Military Intelligence Division, Washington - Oddział Wywiadu Wojskowego, Waszyngton). Kilka godzin później Rommel odczytywał tekst raportu przechwyconego przez niemiecką stację nasłuchową.

23 stycznia 1942 r. dowiedział się więc o odesłaniu z Afryki Północnej na Daleki Wschód dwustu siedemdziesięciu samolotów brytyjskich.

25 stycznia poznał opinię pułkownika Fellersa na temat wartości bojowej brytyjskich czołgów i samolotów oraz wykaz najczęściej występujących w nich wad i przyczyn awarii.

29 stycznia otrzymał dokładny spis brytyjskich jednostek pancernych: liczbę czołgów, pojazdów zdolnych do walki i remontowanych, ich miejsca postoju, ocenę wartości bojowej.

1 lutego pułkownik Fellers przesłał ocenę wartości bojowej różnych jednostek brytyjskich wraz z informacją, że amerykańskie czołgi M-3 nie będą użyte wcześniej niż w połowie lutego.

6 lutego donosił o stanie hinduskiej 4. dywizji i 1. dywizji pancernej oraz o planach budowy linii obronnych w rejonie Acroma-Bir Hacheim.

Były to informacje bezcenne dla Rommla. Ostrzegwały o zamiarach Brytyjczyków, ujawniały ich miejsca najsilniejsze i najsłabsze. Informowały o skutkach działania wojsk niemiecko-włoskich, o stanie wiedzy dowódców brytyjskich i ich planach.

17 stycznia 1942 r. wojska niemiecko-włoskie uderzyły i w ciągu siedemnastu dni odrzuciły Brytyjczyków o czterysta pięćdziesiąt kilometrów na wschód. W maju Rommel podjął następną ofensywę; jego czołgi miały wjechać do Egiptu, a potem przebić się przez Palestynę i połączyć się w Iraku z wojskami niemieckimi, przedzierającymi się przez Związek Radziecki. Depesze pułkownika Fellersa informowały, że Brytyjczycy mają zamiar stworzyć główną linię obrony w rejonie miasta Marsa Matruh, a następnie powiadomiły, że dowództwo brytyjskie zarzuciło ten plan.

Wojska niemiecko-włoskie jak pustynna burza parły do przodu. Brytyjczykom wywietrzały z głowy wspomnienia o dawnych zwycięstwach, a generał Auchinleck uznał, że musi podnieść poziom morale swoich wojsk odczuwających coraz większy respekt przed niemieckim generałem i jego pancernymi dywizjami. W czerwcu Auchinleck skierował do dowódców podległych sobie jednostek rozkaz: *Pojawia się autentyczne niebezpieczeństwo, że nasz przyjaciel Rommel staje się rodzajem magika lub straszdyła dla naszych żołnierzy, którzy mówią o nim stanowczo za dużo. W żadnym razie nie jest on supermanem, aczkolwiek jest bardzo energiczny i zdolny. Nawet gdyby był supermanem - byłoby bardzo niekorzystne, gdyby nasi żołnierze przyznawali mu nadnaturalną siłę. Oczekuję od was, abyście rozprasiali z pomocą wszelkich dostępnych środków wiarę, że Rommel jest kimś więcej niż zwykłym niemieckim generałem. Ważną rzeczą jest, abyśmy nie mówili o Rommlu zawsze, gdy wspominamy o naszych wrogach w Libii. Musimy używać określeń "Niemcy", "wojska osi", a nie "Rommel". Proszę zapewnić natychmiastowe wykonanie tego rozkazu i uzmysłwić dowódcom, że z psychologicznego punktu widzenia jest to sprawa najwyższej wagi.*

Głównodowodzący wojskami brytyjskimi doskonale wyczuwał nastroje wśród żołnierzy. W brytyjskich szeregach rosła legenda "Lisa pustyni", którego czołgi pojawiały się nagle, precyzyjnie realizowały plan, a gdy wycofywały się, po bokach ich drogi stały straszliwe działa kal. 88 mm. Niskie, świetnie zamaskowane za piaszczystymi pagórkami lub w kępach suchych krzaków, były niezwykle trudne do zniszczenia, a ich pociski, wystrzelone z odległości dwóch kilometrów, przechodziły przez pancerze brytyjskich i amerykańskich czołgów jak przez papier. Nagły odwrót niemieckich czołgów rodził u brytyjskich pancerniaków obawę, że jest to zasadzka, świadomy manewr, który ma wciągnąć brytyjskie czołgi pod lufy osiemdziesiątekósemek.

Rommel wygrywał, chociaż jego siły były słabsze niż brytyjskie. Gdy w listopadzie 1941 r. Brytyjczycy przystąpili do operacji "Crusader", mieli dziewięćset dwadzieścia cztery czołgi (w tym 713 ubrojonych w armaty) i działa samobieżne. Niemcy i Włosi dysponowali pięćset pięćdziesięcioma czołgami, a w tej liczbie tylko sto trzydziestoma groźnymi PzKpfw III i trzydziestoma pięcioma jeszcze groźniejszymi PzKpfw IV. Były one znacznie lepsze niż brytyjskie Crusader I i amerykańskie Granty, ale znacznie mniej liczne. Stałym problemem Rommla był brak paliwa, części zamiennych, amunicji. Hitler, zajęty wojną w Związku Radzieckim, nie dbał o należyte wyposażenie wojsk w Afryce Północnej. Co gorsza, statki, które wyruszały z zaopatrzeniem z portów włoskich, były dziesiątkowane na Morzu Śródziemnym przez brytyjskie okręty i samoloty bazujące na Malcie. Ta wyspa mogła wywrzeć ogromny wpływ na przebieg walk w Afryce Północnej. Brytyjczycy znali jej strategiczną wartość. W październiku przystąpili do

rozbudowy sił na Malcie. Na wyspę miało dotrzeć równocześnie kilka konwojów. Już sam fakt wyjścia na Morze Śródziemne dwóch konwojów - ze wschodu i zachodu - zmuszał Włochów i Niemców do rozproszenia sił, co zwiększało szansę dotarcia do portu La Valetta jak największej liczby alianckich statków z zaopatrzeniem. Ponadto na bazę włoskich okrętów w Tarencie miały spaść brytyjskie bomby, a oddziały komandosów szykowały się do ataku na dziewięć lotnisk, aby uniemożliwić wrogowi wysłanie samolotów.

Pułkownik Fellers został lojalnie poinformowany o wielkim planie, w którego wyniku Malta miała uzyskać dostawy broni do skuteczniejszej walki z włoskimi statkami. 11 czerwca, gdy z Aleksandrii wyszedł konwój kierujący się w stronę Malty, Fellers wysłał do Waszyngtonu depeszę nr 11 119:

W nocy z 12 na 13 czerwca brytyjskie jednostki sabotażowe równocześnie zaatakują samoloty na dziewięciu lotniskach "osi". Planuje się użycie oddziałów spadochronowych i zmotoryzowanych patroli dalekiego zasięgu.

Ta metoda ataku daje możliwość dokonania sporych zniszczeń przy niewielkim ryzyku w zestawieniu z ewentualnymi korzyściami. RAF jest przygotowany do wsparcia akcji jednostek lądowych.

Dzisiaj Brytyjczycy przerzucają dużą liczbę żołnierzy z Syrii do Libii.

12 czerwca o 8.00 niemiecka stacja nasłuchowa w Lauf zarejestrowała tę depeszę i natychmiast przesłała ją do wydziału dekryptażu. O 10.00 depesza została rozszyfrowana. O 11.30, ponownie zaszyfrowana przy użyciu szyfru niemieckiego, została wysłana do kwatery głównej generała Rommla, który miał wystarczająco dużo czasu na ostrzeżenie zagrożonych lotnisk.

Gdy brytyjscy spadochroniarze wylądowali w nocy na pasach startowych lotnisk w Afryce Północnej, powitał ich silny ogień. W Martubie i El Fetejak nie udało im się zbliżyć do samolotów. Na lotniskach K2 i K3 lekko uszkodzili osiem maszyn. Jedynie w Beninie (w Afryce Północnej) oraz Heraklionie i Castelli na Krecie zniszczyli osiemnaście samolotów i spalili dwa hangary, gdyż dowódcy tych baz nie otrzymali ostrzeżeń lub zignorowali je.

Jednakże źródło bezcennych informacji generała Rommla wyszło równie szybko, jak się pojawiło. Niemcy i Włosi nie byli jedynymi, którzy odczytywali depesze Fellersa. Robili to również Brytyjczycy, którzy złamali lub wykradli Amerykanom "Czarny kod". Bardzo nie podobały im się szczegółowe raporty Fellersa, w których w dodatku niepochlebnie wyrażał się o odwadze brytyjskich żołnierzy i umiejętnościach ich dowódców. W końcu czerwca zawiadomili Waszyngton, że Niemcy uzyskują cenne informacje prawdopodobnie z biura pułkownika Fellersa. Oczywiście wiedzieli, że to nieprawda, ale miała to być zemsta za antypatię Fellersa wobec nich. Wkrótce do attaszatu przyjechało dwóch specjalistów z Waszyngtonu. Dokładne śledztwo nie wykazało żadnych uchybień, ale na wszelki wypadek odwołano pułkownika Fellersa do Waszyngtonu, a nowy attache używał do

przekazywania najważniejszych wiadomości szyfru M-138. "Czarny kod" pozostał w użyciu, ale utajniano nim jedynie te wiadomości, które Niemcy powinni byli poznać.

W końcu maja 1942 r. dwaj generałowie - Rommel i Auchinleck - byli gotowi do następnego zwania. Obydwaj znali dość dobrze siły i zamierzenia strony przeciwnej.

Rommel wiedział, że jego wojska są mniej liczne, ale lepsze od alianckich. Miał pięćset sześćdziesiąt czołgów, bez mała połowę mniej niż alianci, ale wiedział, że jego PzKpfw III (282 czołgi) z działami kał. 50 mm i PzKpfw IV (40 czołgów) uzbrojone w działa kał. 75 mm przewyższają brytyjskie Matilda, Valentine i Crusader. Mógł jedynie obawiać się stu sześćdziesięciu siedmiu amerykańskich M3 Grant, ale i one miały liczne wady obniżające wartość bojową sprzętu. Największe działo, kał. 75 mm, zamontowano nieruchomo w kadłubie i wycelowanie go wymagało manewrowania całym czołgiem. Wysoka sylwetka pojazdu (3,65 m) czyniła go doskonale widocznym i łatwym do zniszczenia. Brytyjczycy nie mieli dobrych armat przeciwpancernych. Ich artyleria dysponowała głównie działami dwufuntowymi (kał. 40 mm), zbyt słabymi, aby skutecznie zwalczać czołgi niemieckie z dużej odległości. Znacznie lepsze były działa sześciofuntowe (kał. 76,2 mm), ale w maju 1942 r. VIII armia miała ich tylko sto dwanaście. W powietrzu też sytuacja układała się na korzyść Niemców. Myśliwce Messerschmitt Bf 109F i G były lepsze niż brytyjskie Hurricane i amerykańskie Warhawk czy Kittyhawk, a niemieccy piloci - sprawniejsi od brytyjskich (kapitan Joachim Marseille zestrzelił sto pięćdziesiąt sześć samolotów angielskich, zanim zginął w wypadku nad El Alamejn 30 września 1942 r.).

Rommel mógł liczyć na sukces ofensywy, którą postanowił rozpocząć 26 maja o brzasku.

Początkowo walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. Na prawym skrzydle Afrika Korps rozbił hinduską 3. brygadę zmotoryzowaną, ale w starciu z 7. dywizją pancerną stracił wiele czołgów. Na lewym skrzydle sytuacja Rommla była znacznie gorsza: alianci zatrzymali włoski XX korpus, a dywizje "Trieste" i "Ariete" poniosły poważne straty. Rommel wycofał się i przegrupował siły. "Lis pustyni", nie mogąc rozbić wojsk alianckich we frontalnym ataku, postanowił wciągnąć je w zasadzkę, w której mógłby wykorzystać siłę ognia swoich strasznych armat kał. 88 mm. Na początku czerwca pod Sollum trzynaście armat zniszczyło sto dwadzieścia trzy z dwustu trzydziestu ośmiu brytyjskich czołgów. Teraz Rommel chciał powtórzyć ten sukces. Ustawił doskonale zamaskowane działa w pobliżu lotniska El Adem. O swoim planie poinformował dowództwo w Berlinie. Nie mógł przewidzieć, że jego zamiary są znane dowódcom brytyjskim. W Bletchley Park w Anglii zespół kryptologów odczytywał większość depesz Rommla, wysyłanych do Berlina i Rzymu, a przechwyconych przez brytyjskie stacje nasłuchowe. Były szyfrowane w maszynie Enigma; dzięki polskim kryptologom Brytyjczycy nauczyli się szybko i sprawnie poznawać ich treść.

W Bletchley Park po rozszyfrowaniu depeszy tłumaczono ją na angielski i utajniano treść przy użyciu szyfrów angielskich, a następnie przesyłano do kwatery generała Auchinlecka w Kairze. Konieczność zachowania jak najściślejszej tajemnicy nakazywała, aby jak najmniej oficerów wiedziało, z jakiego źródła pochodzą informacje o planowanych ruchach wojsk nieprzyjacielskich. W Kairze tylko trzech ludzie znali teksty niemieckich depesz: głównodowodzący, generał Auchinleck, dyrektor operacji wojskowych (Director of Military Operations) oraz szef wywiadu wojskowego (Director of Military Intelligence), pułkownik de Guingand. Przywilej ten nie obejmował dowódcy VIII armii, generała Neila Ritchiego. Jeżeli z depesz wynikała informacja istotna dla dowódcy VIII

armii, był on powiadamiany listownie przez generała Auchinlecka (z zastrzeżeniem, by natychmiast po przeczytaniu list spalił) lub też docierał do niego pułkownik Guingand, aby osobiście przekazać wiadomość bez podania jej źródła.

Tak też się stało w czerwcu 1942 r. Generał Auchinleck, dowiedziawszy się o planowanej przez Rommla zasadzce, wysłał natychmiast pułkownika de Guinganda z ostrzeżeniem dla generała Ritchiego. Szef wywiadu pełnił swoją misję skrupulatnie. Liczył na to, że generał Ritchie - który spędził wiele miesięcy w kwaterze głównej w Kairze jako zastępca szefa sztabu - zorientuje się bez zbędnych wyjaśnień, jakie jest źródło informacji.

Pomylił się. Ritchie uważał, że ostrzeżenie przywiezione przez szefa wywiadu Kairu pochodzi z jego własnych źródeł wywiadowczych lub z zeznań jeńców niemieckich czy włoskich, a on, dowódca VIII armii, nie mógł dopuścić myśli, że w Kairze wiedzą więcej o planach wroga niż on na polu bitwy. Jego wywiad nie meldował o żadnych poważniejszych ruchach wojsk niemieckich w rejonie El Adem. Dlatego też generał Ritchie nie uwierzył w ostrzeżenia i w sobotę 13 czerwca 1942 r. trzysta czołgów ruszyło w stronę El Adem. Pełną szybkością wjeżdżały w świetnie zamaskowane "wilcze doły" i pola minowe. Te, które, usiłując uniknąć zagłady, raptownie hamowały i zakręcały, stały się celem niemieckich dział kał. 88 mm. Obsługa doskonale zamaskowanych i rozstawionych armat czekała, aż brytyjskie czołgi obrócą się bokiem, wystawiając na strzał miejsca, gdzie pancerz był cieńszy; strzelali celnie z odległości od ośmiuset do tysiąca metrów. W ciągu kilku godzin Brytyjczycy stracili dwieście trzydzieści czołgów. Pozostało im jedynie szybkie wycofanie resztki oddziałów pancernych do Egiptu. Rommel parł na wschód, przekonany, że wkrótce przyjmie defiladę swoich wojsk pod piramidami.

Sekrety Kapitana Seebohma

Przez całą dobę w eterze rozbrzmiewały komunikaty, rozmowy, rozkazy. Oczywiście, najważniejsze informacje były zaszyfrowane czy też utajnione za pomocą dość prymitywnych kodów, ale doświadczony i uważny słuchacz nie miał większych kłopotów ze zrozumieniem tej wrzawy.

Kapitan Seebohm był mistrzem nad mistrzami. Po sposobie nadawania rozróżniał jednostki, lokalizował je i orientował w ich ruchach. Radiowe rozmowy żandarmów kierujących przejazdami kolumn pojazdów pozwalały mu orientować się w planach dowództwa jednostek VIII armii, lokalizować składy żywności i amunicji, dowiadywać się o terminach transportów z zaopatrzeniem, ich liczbie i zawartości. On i jego ludzie z Fernmeldeaufklarung Kompanie wsłuchiwali się codziennie w radiowe głosy brytyjskiej armii, obsługując aparaturę nasłuchową, zainstalowaną w kilku samochodach pancernych na wzgórzu nieopodal Tel-el-Eisa, nazwanym "Wzgórzem Jezusa". 16 czerwca o 10.30 zarejestrowali rozmowę między dowództwem 29. brygady hinduskiej i 7. dywizji pancernej, z której wynikało, że tej nocy garnizon fortu El Adem zaatakuje pozycje niemieckie. Rommel, poinformowany o brytyjskich planach, rzucił do akcji 90. dywizję lekką, która zaatakowała zaskoczoną załogę El Adem i zajęła fort, będący ważnym ogniwem obrony Tobruku.

Na początku lipca 1942 r. wywiad VIII armii zlokalizował posterunek nasłuchowy kapitana Seebohma. Rozkaz zlikwidowania go otrzymał 48. batalion australijski z 9. dywizji piechoty, dowodzony przez podpułkownika H.H. Hammera - hodowcę owiec z Australii - którego żołnierze nazywali "Hard-as-nails Hammer" - "młotek twardy jak skała". W nocy z 9 na 10 lipca batalion wyruszył na pozycje wyjściowe. Atak wydawał się trudnym zadaniem. Dookoła wzgórza rozciągały się stanowiska włoskiego 7. pułku Bersalierów. Liczono się z tym, że stuosobowa kompania Seebohma nie podda się bez walki. Podpułkownik Hammer nie chciał jednak, aby akcja została poprzedzona ostrzałem artyleryjskim. Sądził, że w samochodach posterunku obserwacyjnego można będzie znaleźć ważne dokumenty, które mogłyby zostać zniszczone wybuchami pocisków.

O 3.40 ruszyli do ataku. Susami przemierzali pustynię, aby jak najszybciej dotrzeć do włoskich okopów, gdy nagle przelatujący nisko samolot zrzucił flarę, której jasne światło zalało okolicę. Żołnierze przywarli do ziemi w oczekiwaniu gwałtownej kanonady, ale z włoskich pozycji nie padł żaden strzał. Bersalierzy spali. Dopiero gdy pierwsi żołnierze australijscy wdarli się do okopów, rozbudzone straże rozpoczęły ogień. Walka trwała krótko, ale odgłosy strzałów zaalarmowały Niemców, którzy naprędce zorganizowali obronę, chroniąc się za opancerzonymi samochodami.

Bitwa była niezwykle zacięta i krwawa. Żołnierze, którzy opróżnili magazynki pistoletów maszynowych lub nie zdążyli zarepetować karabinów, rzucali się do ataku z łopatkami lub bagnietami. Niemcy odpowiadali ogniem z karabinów maszynowych, ustawionych na samochodach, ale nie mogli celnie razić Australijczyków atakujących z dołu i mało widocznych na tle piasku. Zamknięci w niewielkim kręgu, chronionym burtami samochodów pancernych, nie mieli szans na wycofanie się. Zaledwie kilku żołnierzy niemieckich ze stuosobowej kompanii oddało się do niewoli. Pozostali zginęli lub odnieśli poważne rany. Seebohm, pchnięty bagnietem w brzuch i klatkę piersiową, żył jeszcze, ale po kilkunastu godzinach, przetransportowany do szpitala w Kairze, zmarł, nie ujawniwszy żadnego ze swoich sekretów. W samochodach jego posterunku nasłuchowego było jednak wystarczająco dużo dokumentów, aby uzmysłwić Brytyjczykom, jak dużo Rommel wiedział o

ich wojskach. Pułkownik Walter Scott, badający zdobyte meldunki i notatki, zwrócił uwagę na pojawiający się w dokumentach kryptonim “Kondor”, z którym dotychczas się nie spotkał.

Wszystko wskazywało na to, że posterunek Seebohma był jedną ze stacji szpiegowskich używających do szyfrowania książki Daphne du Maurier “Rebecca”; tylko tak można było wytłumaczyć obecność anglojęzycznej powieści w samochodzie Seebohma. Nic więcej pułkownik Scott nie mógł stwierdzić. Przejrzał zaledwie kilkadziesiąt dokumentów z tysięcy kartek zalegających duże, drewniane skrzynie, ale intuicja łowcy szpiegów podpowiadała mu, że “Kondor” to bardzo ważny trop. Nie mylił się...

“Kondor” Wzywa

- Stój! - patrol brytyjski niespodziewanie wynurzył się z ciemnego zaułka. Eppler obejrzał się nerwowo, ale długa, wąska uliczka nie stwarzała szans ucieczki przed czterema żołnierzami, mierzącymi z karabinów. Pozostawało tylko wierzyć, że Brytyjczycy nie dopatrzą się niczego podejrzanego w sfałszowanych dokumentach.

- O, przestraszył nas pan, kapralu - usiłował rozładować napięcie towarzysz Epplera, Peter Monkaster. - Nie sądziłem, że w takiej dziurze jak Assyut może być wojsko...

- Dokumenty! - kapral nie miał ochoty na rozmowę. - Dokąd zmierzacie?

- Do Kairu, podpisaliśmy kontrakt z koncernem BP - pośpiesznie wyjaśnił Eppler, którego belgijski dowód, na nazwisko Richard Tihon, kapral uważnie przeglądał.

- Pojutrze zaczynamy pracę - dodał Monkaster. Jego dokumenty wskazywały, że jest Francuzem.

Kapral nie znalazł w nich nic podejrzanego. Oddał papiery, zsalutował i zaczął oddalać się z żołnierzami wąską uliczką.

- O co chodziło? - zapytał Eppler, gdy przemierzali już dobry kawał drogi.

- Nie sądzę, żeby za tym się coś kryło. Po prostu rutynowa kontrola - uspokoił go Monkaster.

Od trzech tygodni podróżowali przez pustynię. Wyruszyli z oazy Gialo 11 maja 1942 r. Początkowo jechali, w mundurach żołnierzy brytyjskich, terenowym samochodem, eskortowani przez podobnie umundurowanych żołnierzy Afriki Korps. Ich przewodnikiem był węgierski książę Ladislaus de Almaszy, który od wielu lat poszukiwał na pustyni legendarnej oazy Zerazura. Znał doskonale drogi do Kairu i on to doprowadził ich do Assyut. Tam eskorta zawróciła. Monkaster i Eppler założyli cywilne ubrania i skierowali się na dworzec, skąd pociągiem mieli dotrzeć do Kairu. Rozpoczęła się ich wielka misja.

Johan Eppler urodził się w 1914 r. w Aleksandrii. Jego rodzice byli Niemcami i dlatego on również czuł się Niemcem, chociaż po śmierci jego ojca matka wyszła ponownie za mąż za bogatego prawnika egipskiego i przeszła na mahometanizm, skłaniając do tego i syna. Tuż przed wybuchem wojny młody Eppler poznał w Bejrucie prostytutkę Su Yan, która namówiła go do współpracy z Abwehrą. Służbę dla niemieckiego wywiadu uznał za obowiązek wobec ojczyzny rodziców. Wyjechał do Berlina, gdzie przeszedł staranne przeszkolenie w ośrodku Abwehry. Tam nadano mu pseudonim “Kondor”. W kwietniu 1942 r. przyłynął do Trypolisu, mając w bagażach dwie amerykańskie radiostacje Hallicrafter, 50 tysięcy fałszywych funtów szterlingów w banknotach pięcio- i jednofuntowych oraz książkę “Rebecca”.

W Trypolisie poznał Petera Monkastera - wysokiego blondyna, który od kilkunastu lat pracował w wieżach wiertniczych różnych kompanii naftowych w Libii. Eppler nie pytał go, w jaki sposób nawiązał współpracę z Abwehrą, ale szybko się zorientował, że Monkaster nie przeszedł szkolenia w

Berlinie. Musiał go nauczyć posługiwania się szyfrem "Rebecca". Praca nad utajnieniem tekstu rozpoczynała się od dodawania do przyznanego agentowi numeru osobistego, np. 46, numeru miesiąca i dnia miesiąca. I tak, wysyłając szyfrogram 4 czerwca, musieli do 46 dodać 4 (dzień) i 6 (czerwiec) otrzymując w ten sposób sumę 56. Ta liczba wskazywała stronicę książki, która była kluczem do szyfru. Eppler zaczynał szyfrować, wybierając pierwsze litery z pierwszej linii tekstu ze strony 56. Brzmiały one: "He would like..." Teraz literom tym musiał przyporządkować cyfry od 1 do 9:

He would like

12 34567 89

Szyfrogram rozpoczynał się więc od słów:

OYLXZ HUPOU WLDBF HELRR

4 6 15 45 367 128

co oznaczało: 4 (dzień miesiąca) 6 (czerwca) 15:45 (godzina nadania szyfrogramu) 367 (numer agenta) 128 (słów w depeszy). Pozostałe litery oznaczały zera i były dobierane z liter nie występujących w pierwszych słowach pierwszej linii wybranej stronicy. Po tym rozpoczynał się właściwy tekst depeszy, składający się ze 128 słów. "Kondor" szyfrował je, używając tabeli tworzonej z pierwszych liter 21 wierszy ze stronicy 56, z pominięciem akapitów. Każdą tak wybraną literę zastępował odpowiednią cyfrą z tabeli.

Pierwszy szyfrogram nadał 4 czerwca, gdy bezpiecznie dotarli do Kairu i zamieszkali na przedmieściu. Eppler zaczął natychmiast poszukiwać starych znajomych. Według zasad przyswojonych w czasie szkolenia w Niemczech, rozglądał się za ludźmi zajmującymi ważne stanowiska w armii lub władzach administracyjnych, wrogo nastawionymi do Brytyjczyków oraz takimi, którzy z racji zawodu stykali się z Brytyjczykami. Wszystkie te warunki spełniała tancerka Hekmeth Fahmy, którą Eppler poznał przed wojną w kabarecie "Kit Kat" i którą każdego wieczoru obdarowywał złotymi błyskotkami lub gotówką. Był przekonany, że Hekmeth pamięta go doskonale. Nie pomylił się. Gdy po zakończonym tańcu zbierała pieniądze za występ, zbliżyła się do niego i szepnęła:

- Miło cię znowu widzieć. Dzisiaj nie mogę się z tobą spotkać, ale przyjdź jutro tam, gdzie dawniej.

Wsunął jej za stanik kilka pięcioletnich banknotów, co było królewskim wynagrodzeniem. Uznał, że zapowiedź wznowienia kontaktów z piękną Fahmy jest dobrym początkiem misji w Kairze. Nie zamierzał jednak czekać do następnego dnia. Zastanawiało go, dlaczego nie miała czasu tego wieczoru. Po wyjściu z kabaretu wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do Zamalek, gdzie na Nilu cumowała mieszkalna łódź Hekmeth.

Nie czekał długo. Wkrótce na nabrzeżu zatrzymał się samochód z brytyjską rejestracją wojskową. Kierowca przez kilka minut niezbyt wprawnie manewrował, by ustawić wóz przy

krawężniku. Wreszcie wysiadł i w świetle ulicznych latarni Eppler dostrzegł wysokiego mężczyznę w płaszczu. Bez wątplenia był to oficer, co zdradzały wysokie, błyszczące buty i bryczesy. Mężczyzna szybko wszedł na łódź i otworzył drzwi do kabiny kluczem, który wyjął z kieszeni płaszcza. Po kilkunastu minutach przyjechała Hekmeth. Eppler nie czekał dłużej.

Wiedział, że jutrzejsze spotkanie z tancerką będzie bardzo ważne. Nie pomylił się. Hekmeth zaczęła wspominać dawne lata, zapewniając Epplera, że pozostał jej płomienną miłością. Przerwał jej:

- Kim był oficer, który przyjechał do ciebie wczoraj wieczorem?

- Jesteś zazdrosny?

- Nie, po prostu ostrożny - Eppler podniósł się z łóżka i podszedł do marynarki rzuconej na krzesło. Wydobył z niej rewolwer. - Poza tym bardzo interesują mnie brytyjscy oficerowie...

Odwiódł kurek i zbliżył lufę rewolweru do twarzy Hekmeth.

- Wiesz, co zrobią ze mną Anglicy, gdy powiesz im, że jestem niemieckim agentem? - Nie czekał na odpowiedź. - Oni są dżentelmenami tylko w powieściach Agaty Christie i to tylko dlatego, że staruszka zapomniała wspomnieć, jak ci emerytowani pułkownicy patroszyli Hindusów w czasie służby w kolonii...

- Przestań! - Hekmeth poderwała się z łóżka i odtrąciła rewolwer. - Nie musisz mnie straszyć. Nienawidzę Anglików tak samo jak ty!

- Kim jest więc major, który tu był wczoraj?

- Nie znam jego prawdziwego nazwiska. Służy w Sztapie Generalnym. Wiem, że podczas ofensywy angielskiej w listopadzie był razem z generałem Auchinleckiem. Mogę ci powiedzieć więcej! Jego teczka zawiera czasami bardzo ciekawe dokumenty.

- Skąd wiesz? - Eppler opuścił rewolwer. Nagle zrozumiał, że to wymachiwanie bronią przed nosem nagiej dziewczyny było w stylu kapitana Bohma, który uczył szpiegów cichego zabijania i godzinami rozprawiał o swoich doświadczeniach.

- Walkę z Anglikami zaczęłam znacznie wcześniej niż ty - powiedziała dumnie Hekmeth i uznała, że nagość nie przystoi tym słowom, więc szybko okryła się prześcieradłem. - To, co wyczytałam z dokumentów mojego majora, przekazywałam ludziom z organizacji Wolnych Oficerów.

- Teczka nie była zamknięta?

- Była, na małą kłódkę, ale dorobiłam kluczyk.

- Zależy mi na kontakcie z ludźmi, którym przekazywałaś informacje - powiedział Eppler spostrzegając, że ciągle jeszcze trzyma odbezpieczony rewolwer. Odłożył go na podłogę uznając, że dalsza rozmowa nie ma sensu. W czasie tego spotkania wydobył z Hekmeth więcej, niż się

spodziewał. Nad ranem wskazała mu łódź zacumowaną kilkadziesiąt metrów dalej, którą mógł wynająć i urządzić tam sobie wygodną siedzibę. Zaproponowała również, że zaprowadzi go do protestanckiego księdza, Austriaka, u którego będzie mógł ukryć radiostację i najważniejsze papiery.

Trzy dni po tym spotkaniu Hekmeth powiadomiła go, że ma się udać do dentysty, u którego spotka postawnego, szpakowatego Egipcjanina. W niewielkiej, brudnej poczekalni, gdzie jedynymi sprzętami było kilka stołków i leniwie kręcący się u sufitu wentylator, siedział samotnie mężczyzna czytający jakąś angielską gazetę. Eppler usiadł obok niego:

- Nazywam się Richard Tihon - powiedział cicho. - Jak się domyślam, Hekmeth powiedziała panu, że będę tutaj...

Patrzył badawczo na starszego mężczyznę. Według informacji, które przekazała Hekmeth, był to szef sztabu armii egipskiej, który, ze względu na otwartą wrogość wobec Anglików, został zwolniony ze stanowiska.

- Tak, jestem generał Aziz-el-Masri - mężczyzna odłożył gazetę i wyciągnął rękę. - Tutaj nie musimy się obawiać podsłuchu. Hekmeth powiedziała mi wszystko o panu, a ja postarałem się sprawdzić jej informacje. Wszystko się zgadza. Co pan oferuje?

- Zapewne słyszał pan o sukcesach wojsk generała Rommla? W niedługim czasie nasze dywizje wjadą do Aleksandrii i Kairu. Pomoc Egipcjan, którzy gotowi są zrzucić angielską niewolę, zostałyby w pełni doceniona przez generała Rommla, a zapewne również fuhrera. Mogę ustanowić kontakty między panem i generałem Rommlem. Nie jestem upoważniony do zaciągania zobowiązań.

- To niepotrzebne. Nie oczekuję zobowiązań, gdyż historia dowodzi, że wy, Niemcy, nie zwykliście ich dotrzymywać. To nam jest potrzebna wasza pomoc. Dlatego zostawmy tę sprawę i zastanówmy się nad wspólnym działaniem przeciw wspólnemu wrogowi...

- Uderzenie wojsk Rommla na Egipt powinno być wsparte ogólnonarodowym powstaniem Egipcjan - Eppler wyrecytował jedną z instrukcji, którą przekazano mu w sztabie Rommla przed rozpoczęciem misji. - Naszym zadaniem byłaby jak najdalej idąca pomoc dla tych działań...

- Nie potrzebujemy broni ani zachęty. Natomiast skoordynowanie działań mogłoby pomóc naszej sprawie - rzekł generał. - Te problemy będziemy omawiać wkrótce. Spotka pan bardzo ważnego człowieka. A teraz odstąpię panu kolejkę do doktora i niech pan się nie obawia, to bardzo dobry dentysta... - dodał generał widząc, że Eppler szykuje się do wyjścia.

Po kilku dniach Eppler trafił do szejka Hassana-el-Banna, przywódcy Bractwa Muzułmańskiego, fanatycznie oddanego religii i cieszącego się ogromnym autorytetem wśród współwyznawców. Każdego ranka obchodził okoliczne domy, wzywając ludzi do modlitwy, pisał patriotyczne poematy i prześladował kobiety nie zakrywające twarzy. Tworzył plany świętej wojny. Poparcie ze strony szejka oznaczało bardzo wiele - poparcie setek tysięcy fundamentalistów muzułmańskich, gotowych na skinienie przywódcy skoczyć do gardła Brytyjczykom.

Każdego dnia o północy Eppler siadał do radiostacji. Dwie stacje nasłuchowe - Seebohma i w

Atenach - odbierały jego szyfrogramy, w których informował centrale o swoich sukcesach: spotkaniu z szefkiem Hassanem-el-Banna i omówieniu planów powstania po wkroczeniu wojsk niemieckich do Egiptu, o kontaktach z przedstawicielem wojskowej organizacji Wolnych Oficerów, Anwarem Sadatem. Te rozmowy Eppler relacjonował szczegółowo, gdyż Sadat, pochłonięty wizją niemieckiego zwycięstwa, poszukiwał w Kairze odpowiedniej kwatery dla generała Rommla i znalazł ją na ulicy Pyramid w pobliżu hotelu Mena House.

Monkaster rzadko towarzyszył Epplerowi - pozostawał w odwodzie na wypadek aresztowania tamtego lub zdrady. Tylko wieczorami wyruszał z Epplerem, aby złożyć wizytę Hekmeth, gdy była ona zajęta majorem. Drzwi do kabiny sypialnej były dokładnie zamknięte, a major zostawiał teczkę i ubranie w niewielkiej kajucie, której bulaj był zawsze otwarty. Monkaster i Eppler nie musieli nawet wchodzić do środka. Wystarczyło wsunąć w bulaj rękę i wyciągnąć teczkę zamkniętą na kłódkę; otwierali ją kluczem dostarczonym przez Hekmeth i starannie fotografowali wszystkie dokumenty. Znajdowali w nich wiele cennych informacji o rozmieszczeniu wojsk brytyjskich, transportach z amunicją i nowymi czołgami, zamiarach dowództwa i tak dalej.

Eppler znał wartość tych dokumentów. Czuł smak sukcesu. W krótkich seansach łączności radiowej nie otrzymał podziękowań ani obietnic zaszczytów po wkroczeniu Rommla do Kairu, ale w marzeniach widział moment, gdy staje przed Rommlem, a ten dekoruje go najwyższymi odznaczeniami. A może nawet sam Hitler, który na pewno przyjedzie do Afryki, aby uświetnić wielkie zwycięstwo Rommla i... Epplera. Czuł się coraz ważniejszy i coraz bezpieczniejszy.

W połowie czerwca spotkał się z Anwarem Sadatem. Ten powiedział:

- Znam ostatnie doniesienia z frontu. Anglicy zostali zniszczeni i wycofują się w pośpiechu. Zbliża się czas naszego uderzenia.

Sadat i Eppler nie wiedzieli, że przygotowania do świętej wojny nie uszły uwagi Anglików. Kontrwywiad wzmocnił czujność.

Tego wieczoru Eppler postanowił zajrzeć do klubu "Turf", gdzie często przesiadywali brytyjscy oficerowie. Kilku znał już z widzenia i chętnie przysłuchiwał się ich rozmowom. Z urywanych zdań, zwierzeń, plotek można było czasami zbudować ważną informację o nastrojach w brytyjskiej armii, zmianach personalnych, atmosferze w dowództwie. Zamówił szklankę whisky i siedział przez kilkanaście minut przy barze. W klubie tego wieczoru było pusto i doszedł do wniosku, że dalsze przebywanie tu jest stratą czasu. Wyciągnął pięciofuntowy banknot i wręczył barmanowi.

- Przepraszam, sir, czy nie ma pan egipskich funtów? - barman był wyraźnie niezadowolony, że klient płaci walutą brytyjską.

- Dlaczego ci się nie podobają brytyjskie pieniądze? Są złe?

- Nie o to chodzi, sir, wszystko w porządku - barman oddalił się szybko i po chwili przyniósł na tacy resztę.

Eppler odliczył napiwek i wyszedł z baru, zapominając szybko o proteście barmana, któremu

nie chciało się wymieniać funtów brytyjskich na egipskie. Skierował się do klubu w hotelu "Metropolitan", gdzie można było spotkać korespondentów wojennych. Rozmowy z nimi Eppler uważał za równie interesujące jak z brytyjskimi oficerami. Tym razem jednak nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje, kto wygra tę wojnę. Podczas poprzedniego pobytu zauważył nową kelnerkę, Yvette. Przyglądał się jej uważnie i doszedł do wniosku, że pójście z nią do łóżka jest tylko sprawą ceny. Nie mylił się. Nad ranem wyciągnął portfel z kieszeni koszuli leżącej na krześle i zapłacił 20 funtów. Nie zwrócił uwagi, że dziewczyna bacznie przygląda się zwiłkowi banknotów w jego portfelu. Popęłił drugi błąd...

Tego samego ranka Yvette zameldowała się u swojego przełożonego, szefa żydowskiej agencji wywiadowczej, blisko współpracującej z brytyjskim kontrwywiadem MI-5.

- Jestem przekonana, że jest niemieckim szpiegiem - relacjonowała spotkanie z Epplerem.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Odnoszę wrażenie, że mówi z obcym akcentem. Jest bardzo bogaty. Widziałam w jego kieszeni portfel wypchany banknotami - dziewczyna zataiła fakt, że Eppler zapłacił jej za noc z nim spędzoną.

- Musisz mu się baczniej przyjrzeć. To, że ma dużo pieniędzy, nie oznacza jeszcze, że jest szpiegiem - szef, którego nazywano "Toik", zdawał sobie sprawę, że nie należy lekceważyć żadnego sygnału. Yvette nie miała dużego doświadczenia, ale jej dotychczasowe działania wskazywały, że jest bardzo bystra i ma intuicję. - Jeżeli twoje podejrzenia potwierdzą się, telefonuj natychmiast pod ten numer - napisał na kartce kilka cyfr. Gdy wyszła, rozważał jeszcze przez chwilę jej słowa i sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Chciałbym rozmawiać z majorem - nie podał nazwiska, ale sekretarka szefa kontrwywiadu, majora Anthony'ego Sansoma, wiedziała, że nie należy zadawać zbędnych pytań ludziom, których głos słyszała w słuchawce telefonu stojącego w pewnym oddaleniu od innych aparatów. Numer tego telefonu znali tylko dobrzy znajomi szefa.

Telefonuję do pana, majorze, w sprawie, która może być ważna. "Toik" nie znośił wymieniać swojego nazwiska. Podwładni twierdzili, że ma ich tyle, iż nie pamięta, komu którym się przedstawiał. W rozmowach z Sansomem było to niepotrzebne, gdyż ten poznawał go doskonale po głosie.

- Gdzie się spotkamy?

- Jak zwykle - "Toik" odłożył słuchawkę. Nie lubił rozmawiać długo, gdyż rodziło się niebezpieczeństwo ustalenia, z jakiego numeru telefonuje.

Widywali się rzadko i bardzo dbali, aby nie spotykać się w tym samym miejscu. Pod koniec każdego spotkania ustalali, gdzie zobaczą się ponownie. Tym razem była to niewielka smażalnia ryb nad brzegiem Nilu.

"Toik" zapoznał majora z podejrzeniami Yvette. Sansom słuchał uważnie, przekonany coraz

bardziej, że mężczyzna z portfelem wypchanym banknotami może być szpiegiem, którego poszukiwał. Kilka dni wcześniej przywieziono do Kairu dwóch jeńców, wziętych podczas szturm na posterunek nasłuchowy kapitana Seebohma. Nadano im nazwiska "Aberle" i "Weber" - to dla tajności całej akcji - i przystąpiono do przesłuchań. Trzymali się dzielnie i nie pisnęli ani słowa o przeznaczeniu angielskiej książki, znalezionej w samochodzie dowódcy Fernmeldeaufklarung Kompanie.

Dokładne oględziny książki ujawniły, że na okładce wymazano gumką cenę - 50 eskudos. Książkę kupiono więc w Portugalii, a tam nie było dużo księgarń sprzedających angielskie wydawnictwa. Można było przypuszczać, że uda się ustalić, gdzie ją kupiono, a może nawet - kto ją kupił. Wkrótce ludzie z MI-6 w Lizbonie powiadomili Kair, że znaleźli księgarnię, w której 3 kwietnia 1942 r. asystent attache wojskowego ambasady niemieckiej zakupił sześć książek. Podejrzenia, że "Rebecca" była kluczem do szyfru, potwierdzały się.

- To, oczywiście, niewielkie poszlaki - "Toik" kończył opowieść o Epplerze - lecz pomyślałem, majorze, że pana to zainteresuje.

- Tak, jak najbardziej - skwapliwie przytaknął Sansom, po chwili zreflektował się. - Pracujemy nad czymś podobnym. Pana uwaga może być nam pomocna. Poinformuje mnie pan o nowych rewelacjach tej dziewczyny? No, jak jej na..

- Oczywiście, poinformuję pana - "Toik" przerwał dość naiwną próbę poznania imienia dziewczyny.

Tego samego dnia na nabrzeżu, przy którym cumowała łódka Epplera i Monkastera, pojawił się nowy żebrak. Każdego dnia przychodziło tam wielu nędzarzy przeszukujących kosze z odpadkami wyrzucanymi z łodzi, siedzących w kucki w cieniu muru magazynu lub wylotu wąskich uliczek, gdzie piekące słońce nie zaglądało nigdy. Nowy żebrak usadowił się w miejscu, z którego było doskonale widać łódzie Epplera i Hekmeth. Dokładnie notował w pamięci każdy ruch obserwowanych. Nie uszło jego uwagi, że wieczorami podjeżdżał na nabrzeże Zamalek samochód, z którego wysiadał brytyjski oficer...

Major Sansom już następnego dnia po rozmowie z "Toikiem" otrzymał nowe materiały. Zgłosił się do niego intendent i wyjął z teczki kilkadziesiąt banknotów pięciofuntowych.

- Są fałszywe - powiedział, rozkładając je równo na stole. - Zostały podrobione bardzo dobrze i dlatego należy podejrzewać, że pochodzą z państwowej wytwórni w Niemczech...

Major wziął jeden z banknotów do ręki.

- Skąd je pan ma? - przyglądał się uważnie, ale nie mógł dostrzec śladów fałszerstwa.

- Ten, który pan trzyma... - intendent zawiesił głos, przyjrzał się numerowi banknotu i sprawdził w swoich notatkach - został wypłacony barmanowi w "Turf Club" dwa dni temu przez brytyjskiego kapitana. Barman nie zna go bliżej.

- Wie pan, skąd pochodzą inne banknoty?

- Tak, 300 funtów przyniósł do mojego biura grecki kupiec. Otrzymał je od człowieka mieszkającego na łodzi...

- W Zamalek - przerwał mu Sansom.

- Zgadza się. Dwaj mężczyźni zapłacili za dużą ilość jedzenia i picia. Wygląda na to, że przygotowywali przyjęcie...

- Dziękuję panu - Sansom wstał. - To wszystko jest bardzo ważne.

Po wyjściu intendenta major nakazał, aby cały rejon, w którym mieszkali Eppler i Monkaster, został otoczony przez żandarmerię.

- Odpowiada pan za to, żeby ci ludzie nie zniknęli w gorącym powietrzu pustyni, poruczniku - zakończył rozkaz.

Tego samego ranka Yvette weszła na pokład łodzi Epplera. Zapukała do drzwi kabiny, ale nikt nie odpowiedział. Weszła do środka. Na korytarzu walały się puste butelki po alkoholu, wszędzie widać było ślady nocnej libacji. Eppler spał w swojej kabine i próby obudzenia go nie powiodły się. Yvette usiadła przy niewielkim biurku, zastanawiając się, czy poczekać na przebudzenie Epplera. Doszła jednak do wniosku, że będzie trwało to za długo i postanowiła zostawić mu parę słów. Rozejrzała się po biurku w poszukiwaniu papieru i ołówka. Jej wzrok padł na książkę "Rebecca" i wystającą spomiędzy stronic kartkę. Widać było starannie zapisane długie kolumny cyfr. Yvette nie miała wątpliwości, że jest to szyfr. Zaczęła kartkować książkę, zwracając uwagę, że niektóre stronice są przybrudzone. Wynotowała dokładnie ich numery i spisała cyfry z kartki, którą następnie schowała z powrotem między stronice książki. Odłożyła ją na miejsce i upewniwszy się, że Eppler śpi, wymknęła się z łodzi. Przebiegła kilkanaście kroków i skręciła w uliczkę, gdzie powinny stać riksze.

- Nie tak szybko, panienko! - usłyszała za sobą. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła żebraka. Schwycił ją mocno za rękę.

- Policja, pójdziesz ze mną - wepchnął ją do rikszy. - Jedź na komisariat - powiedział kierowcy.

Major Sansom nie wiedział o aresztowaniu Yvette. Na 10 sierpnia zaplanował wielką obławę, w wyniku której w jego sieci mieli wpaść niemieccy agenci.

Dzielnica Zamalek została otoczona wojskiem i obława powoli zbliżała się do łodzi Epplera. Ten obudził się, gdy usłyszał tupot butów na pokładzie. Miał na tyle przytomności, że dopadł drzwi i podparł je dużą, ciężką sztabą przygotowaną wcześniej na podobną okazję.

- Wyrzuć radiostację i szyfry - krzyknął do Monkastera, który oszołomiony stał w korytarzu.

Drzwi zaczęły pękać pod ciosami kolb. Eppler schwycił dużą, mosiężną popielnicę, uchylił bulaj i wyrzucił ją na pokład. Łomot do drzwi gwałtownie ustał, a żołnierze brytyjscy, przekonani, że na pokładzie jest granat, czmychnęli na nabrzeże i do wody. Dało to szpiegom kilka bezcennych minut. Monkaster wyrzucił przez zawór denny radiostację, a Eppler w tym czasie podpalił książkę. Kartki zaczęły czernieć i zwijać się w płomieniach, gdy żołnierze rozpoczęli ponowny szturm do

drzwi. Eppler, obawiając się, że płomienie nie zniszczą całkiem książki, wyrzucił ją w ślad za radiostacją. Patrzył, jak tonie powoli, a żołnierze już sforsowali drzwi i wdarli się do korytarza.

- Zabijcie mnie! No, strzelajcie! - krzyczał. - Nie zastrzelicie mnie. Musicie wziąć żywego...

Przerwał mu silny cios kolbą w kręgosłup i nieprzytomny Eppler osunął się na ziemię.

Major Sansom nie torturował osobiście Epplera. Zadawanie bólu przesłuchiwanym traktował jako przykry obowiązek i zlecał go podwładnym. Mijały jednak dni, a z Niemców nie udawało się wydobyć ani słowa. Trzeciego dnia zaaplikowano im skopolaminę. Bez rezultatu. Pomoc nadeszła z najmniej spodziewanej strony. Z dna Nilu podniesiono łódź Epplera i przy tej okazji wygrzebano z mułu radiostację. Nie nadawała się do użytku, ale można było odczytać częstotliwość, na które nadawano szyfrogramy. Dokładniejsze poszukiwania umożliwiły odnalezienie "Rebecki". Ogień zniszczył wiele kartek, ale nie było to ważne, gdyż Brytyjczycy mieli nie naruszony egzemplarz, znaleziony w samochodzie kapitana Seebohma. Późnym wieczorem zadzwonił "Toik":

- Panie majorze, to sprawa nie cierpiąca zwłoki - mówił pośpiesznie.

- Koniecznie o tej porze? - Sansom był zmęczony po całym dniu pracy i nie miał ochoty na spotkanie.

- Niedokładnie się wyraziłem. Powinienem powiedzieć: na pana miejscu nie zwlekałbym ani sekundy...

Gdy się spotkali, "Toik" wyjaśnił, że jego agentka zaginęła kilka dni temu. Był przekonany, że popełniła jakiś błąd i ludzie, których śledziła, zlikwidowali ją. Skoro jednak zwłoki nie znalazły się przez dwa dni, zaczął rutynowo dowiadywać się w komisariatach, czy nie wiedzą nic na jej temat. W ten sposób trafił na ślad. Został poinformowany, że aresztowano ją pod zarzutem kradzieży na łodzi Epplera. Sprawdził datę - było to tuż przed angielską obławą.

Sansom natychmiast nakazał zwolnić dziewczynę z więzienia.

W jej torebce zachował się zwitek papieru, na którym zanotowała strony książki i kolumny cyfr gotowego szyfrogramu. Zeznania Epplera nie były już potrzebne. Kryptolodzy w ciągu kilku dni odtworzyli zasady szyfrowania przez "Kondora" depesz. 25 sierpnia "Kondor" wznowił nadawanie. Kto siedział przy radiostacji? Eppler, Monkaster czy może Brytyjczyk? Ostatnia możliwość jest najmniej prawdopodobna. Bez współpracy kogoś z Niemców nadawanie depesz byłoby niemożliwe, każdy ze szpiegów miał bowiem znaki, które wprowadzał do tekstu depeszy, aby ostrzec odbiorców, że został zdekonspirowany i zmuszony do nadawania. Brak w tekście pewnych sygnałów oznaczało z kolei, że jest ona nadawana przez nie wtajemniczoną osobę. Ponadto Brytyjczycy musieli liczyć się z niebezpieczeństwem, że odbiorcy depesz znali doskonale styl meldunków i szyfrów "Kondora". Nagła zmiana byłaby sygnałem dla Niemców, że ich agent został aresztowany, a nadawanie przejęli nieprzyjaciele.

Eppler stanął przed sądem, który wydał na niego wyrok śmierci. Był to sfingowany sąd i wyrok. Brytyjczycy mieli nadzieję, że niemiecki szpieg

“skruszeje” w celi śmierci i zgodzi się wyjawić tajemnice. Mijały dni, a Eppler nie zdradzał ochoty do mówienia. Nie wiadomo, jak o jego sprawie dowiedział się przebywający w Kairze premier Winston Churchill. Podobno zdecydował się osobiście przesłuchać Niemca. W czasie rozmowy zapewnił Epplera, że nie zostanie stracony, jeżeli zgodzi się podjąć współpracę z wywiadem brytyjskim. Męczony przez wiele dni, skazany na śmierć, Eppler załamał się, słysząc obietnicę szefa brytyjskiego rządu. Zgodził się na współpracę. I to prawdopodobnie on w dalszym ciągu wysyłał w eter szyfrogramy z podpisem “Kondor”. Ich treść dyktowali Brytyjczycy...

Premier Winston Churchill, rozsierdzony porażkami wojsk brytyjskich, uznał, że przyczyna klęsk tkwi w nieudolnym dowodzeniu. Przybył do Kairu, aby bezpośrednio zapoznać się z sytuacją na froncie, ale już wcześniej podjął decyzję o oddaniu dowodzenia w wojnie na pustyni generałowi Haroldowi Alexandrowi, który wyróżnił się sprawną organizacją ewakuacji wojsk brytyjskich spod Dunkierki, a potem dobrze zorganizował odwrót w Birmie. Kilka dni po mianowaniu nowy głównodowodzący otrzymał pisemną instrukcję od Churchilla:

1. Pana pierwszym i głównym obowiązkiem będzie zatrzymanie i zniszczenie przy najbliższej okazji niemiecko-włoskiej armii, dowodzonej przez marszałka polnego Rommla oraz linii zaopatrzeniowych i baz w Libii.

2. Odłóż Pan wszystkie inne obowiązki, łączące się z Pana stanowiskiem, jako drugorzędne wobec zadania przedstawionego w pkt. 1, które musi być uznane za najważniejsze w interesie Jego Królewskiej Mości.

Na drugiej stronie pustyni Rommel, awansowany przez Hitlera do stopnia feldmarszałka, z niepokojem obserwował stały wzrost potęgi aliantów. Wiedział, że musi jak najszybciej uderzyć, aby uniemożliwić rozbudowę alianckich pozycji w rejonie El Alamejn. Rozpoznanie i wywiad poinformowały, że brytyjskie pozycje są najsłabsze na południe od El Alamejn. Należało tam uderzyć, przebić się przez linie obronne i ruszyć w stronę Aleksandrii, aby opanować tę główną brytyjską bazę zaopatrzeniową. Powodzenie planu zależało od zaskoczenia, które można było osiągnąć, ukrywając przed Brytyjczykami wszelkie ruchy wojsk, grupowanych na pozycjach wyjściowych do ataku. Dlatego też Rommel przerzucał swoje oddziały w nocy, pozostawiając na miejscach, z których wyruszyły, tekturowe makiety czołgów i dział, namioty, stosy beczek i kilkudziesięciu żołnierzy, którzy mieli udawać, że jest ich kilkanaście tysięcy. Cała akcja przebiegała bardzo sprawnie. Brytyjskie samoloty rozpoznawcze nie widziały kolumn czołgów i ciężarówek posuwających się nocami na południe, a w dzień fotografowały “niemieckie wojska” tkwiące ciągle na północy.

Rommel potrzebował jednak więcej amunicji i paliwa, niż dotychczas zdołały dostarczyć włoskie konwoje. Wysłał depesze do Berlina i Rzymu, żądając dodatkowo zaopatrzenia, niezbędnego dla oddziałów, które miały przełamać brytyjskie linie obronne w rejonie Alam Haifa i podjąć natarcie w stronę Aleksandrii. Kilka godzin po wysłaniu szyfrogramów z kwatery głównej Rommla zostały one rozszyfrowane przez angielskich kryptologów w Bletchley Park i przesłane do generała Alexandra, który usytuował swoją kwaterę główną w pobliżu piramidy Cheopsa.

Tam, 21 sierpnia, odbyła się narada z udziałem premiera Winstona Churchilla. Wcześniej nowy dowódca VIII armii, generał Bernard Law Montgomery, zaprowadził premiera na skraj brytyjskich linii obronnych, aby pokazać czterysta dział wkopanych w piach i świetnie zamaskowanych. One to miały powstrzymać czołgi Rommla. Churchill nie był jednak przekonany co do skuteczności tej zapory. Zdawał sobie sprawę, że ofensywa, do której przygotowywał się Rommel, mogła przesądzić

o wyniku wojny w Afryce Północnej. Nastrój premiera poprawił się dopiero w czasie narady u generała Alexandra, gdy nowy szef sztabu VIII armii, generał de Guingand, rozłożył na stole kilka niemieckich map.

- Zdobyliśmy je w ciągu ostatnich trzech tygodni - wyjaśnił. - Nie przedstawiają większej wartości wojskowej, gdyż niewiele możemy się z nich dowiedzieć o rozlokowaniu sił nieprzyjaciela. Zawierają jednak niezwykle cenną wskazówkę...

Wszyscy pochylili się nad rozłożonymi mapami.

- ... dowodzą, że Rommel niewiele wie o terenie, w którym chce atakować - dokończył generał.

- Czy może zdobyć te wiadomości? - zapytał Churchill.

- W ciągu najbliższych dni nie będzie to możliwe. Może jedynie polegać na rozpoznaniu lotniczym, a z samolotu nie sposób dostrzec, gdzie są ruchome piaski.

- Co z tego wynika? - Pytał dalej Churchill czując, że rodzi się wspaniały plan. W jego przekonaniu zmylenie wroga miało większą wartość niż sto czołgów.

- Musimy skłonić Rommla, aby uderzył w rejonie dla nas dogodnym i skierował czołgi na ruchome piaski - wtrącił generał Montgomery, który nie mógł dopuścić do tego, aby Churchill uznał wyłącznie zasługi generała de Guinganda. - Podjąłem już odpowiednie działania...

Było to kłamstwo, ale bez większego znaczenia. Dopiero po naradzie Montgomery nakazał Guingandowi i szefowi specjalnej organizacji "A-force", pułkownikowi Dudleyowi Clarke'owi, aby opracowali plan wciągnięcia Rommla w zasadzkę. Należało go zachęcić do ataku w rejonie Alam Haifa i skierować na ruchome piaski.

"Kondor" ożył. 26 sierpnia niemiecka stacja nasłuchowa odebrała szyfrogram z Kairu:

"Kondor" wzywa. Potwierdzam wiadomość opartą na najbardziej wiarygodnych źródłach, że VIII armia przygotowuje się do ostatecznej obrony w rejonie Alam Haifa. Oczekuje na posiłki, ale obecnie nie jest zdolna do stawienia poważniejszego oporu.

W następnej depeszy "Kondor" podał, jakimi siłami dysponują alianci. Rommel nie sprawdzał informacji "Kondora", który wielokrotnie dowiódł, że ma dostęp do najtajniejszych brytyjskich wiadomości.

Pierwszy cel podstępu został osiągnięty: Rommel uzyskał potwierdzenie, że uderzenie na południu daje największe szansę powodzenia. Teraz należało osiągnąć cel drugi: skierować niemieckie czołgi i wojska na grząski, nieprzejezdny dla nich teren.

Pozostanie tajemnicą pułkownika Dudleya Clarke'a, w jaki sposób skłonił oficera zdradzającego wojskowe tajemnice tancerce Hekmeth Fahmy, aby założył mundur, wziął raportówkę,

w której znajdowały się odpowiednio spreparowane mapy, wszedł do samochodu i wyruszył w stronę niemieckich linii. Być może dał majorowi wybór między sądem wojennym i hańbiącą śmiercią przed plutonem egzekucyjnym - po której jego rodzina w Anglii dowiedziałaby się, że został rozstrzelany jako szpieg - a honorową śmiercią "za króla i ojczyznę", zmywającą z nazwiska plamę największego przestępstwa wojennego. Jeżeli tak było, to pułkownik Clarke dotrzymał słowa. Do dzisiaj znamy tylko pseudonim oficera: "major Smith". Nie ujechał daleko. Na ziemi niczyjej jego samochód wyleciał w powietrze, jakby uniesiony wybuchem miny. Niemcy wysłali natychmiast patrol, który znalazł poszarpane zwłoki brytyjskiego majora i osmaloną wybuchem, ale całą raportówkę. Wyjęte z niej mapy dostarczono do sztabu Rommla, który uznał, że szczęście mu sprzyja. W przeddzień planowanej ofensywy otrzymał mapy terenu, przez który miały przetoczyć się jego czołgi.

31 sierpnia o 2.00 w nocy czołgi 15. i 21. dywizji pancernej ruszyły w stronę brytyjskiej linii. Za nimi posuwał się włoski XX korpus. O godzinie 3.00 Rommel zorientował się, że sytuacja nie rozwija się zgodnie z planami. Przewidywał bowiem, że do świtu wojska posuną się o pięćdziesiąt kilometrów na wschód, a tymczasem z trudem przeszły piętnaście kilometrów. Rommel nie wiedział, że tam, gdzie spodziewał się oporu jednej brytyjskiej dywizji - walczyły trzy. Nie zrezygnował z kontynuowania natarcia. Zdecydował się jednak skrócić na północ znacznie wcześniej, niż planował. Liczył, że manewr ten wyprowadzi jego czołgi spod ostrzału brytyjskich armat przeciwpancernych i umożliwi ominięcie najsilniejszych punktów obrony. Czołgi niemieckie i włoskie ruszyły w kierunku wytyczonym na podstawie map znalezionych przy zwłokach majora. Nie ujechały daleko. Ich gąsienice zaczęły zapadać się w miękki piasek. Na odwrót było za późno, tym bardziej że próba skrętu pogarszała sytuację i czołgi pogrążyły się głębiej. Wtedy na niebie rozświetlonym flarami pojawiły się brytyjskie myśliwce. Pociski kal. 40 mm z działek podwieszanych pod skrzydłami samolotów Hurricane przechodziły przez pancerze czołgów z równą łatwością jak gwóźdź przez blachę puszkii konserw. Uderzenie niemieckie straciło impet.

Wkrótce Rommel odebrał wiadomość, że dowódca 21. dywizji pancerniej, generał Georg von Bismark, zginął od wybuchu miny. Dowódca Afrika Korps, generał Walther Nehring, którego czołg został ostrzelany przez brytyjskie samoloty, odniósł bardzo poważne rany. W południe 2 września zaczęło brakować paliwa. Następnego dnia Rommel musiał podjąć decyzję odwrotu. Pozostawił pod Alam Haifa 536 zabitych żołnierzy niemieckich i włoskich, 569 zaginionych, 49 czołgów, 55 dział i 395 ciężarówek. Straty Brytyjczyków też nie były małe: 1750 żołnierzy zabitych, rannych, zaginionych, 67 czołgów, 18 dział.

Rommel liczył jeszcze na sukces podczas ostatniego manewru, który stosował często: wycofał czołgi, a pozostawił zamaskowane działa kal. 88 mm. Ich pociski miały roznieść w puch ruszające w pościg czołgi brytyjskie. Generał Montgomery nie dał się jednak zwabić w zasadzkę i nie posłał czołgów w pogoń za uchodzącym nieprzyjacielem. Miał inne plany wykorzystania broni pancerniej. Nie zależało mu na nekaniu nieprzyjaciela uchodzącego z pola walki. Chciał zwyciężyć go w walnej bitwie.

Generał Montgomery bardzo starannie przygotowywał ofensywę, która miała ostatecznie przesądzić o losie wojsk niemiecko-włoskich i zażegnać niebezpieczeństwo wdarcia się w granice Egiptu. Siły brytyjskie rosły szybciej niż niemiecko-włoskie. W końcu października Brytyjczycy mogli wystawić sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy żołnierzy przeciwko stu czterem tysiącom Niemców i Włochów.

Porównanie sił (w nawiasach liczby dotyczące wojsk włoskich)

wojska "osi" VIII armia

Działa	460 (260)	908
działa ppanc.	850 (300)	1451
Czołgi	496	1029
Samochody pancerne	192	435

Przewagę aliantów ugruntowało tysiąc dwieście samolotów, w tym pięćset pięćdziesiąt lekkich bombowców i myśliwców bombardujących. Mieli wystarczająco dużo paliwa i amunicji, czego bardzo brakowało wojskom państw "osi". We wrześniu oddziały niemiecko-włoskie otrzymały 40 465 ton zaopatrzenia i 31 061 ton paliwa. W październiku już tylko 12 308 ton paliwa dotarło do Afryki Północnej. Drugie tyle poszło na dno Morza Śródziemnego - w cysternach statków zatopionych przez samoloty i okręty bazujące na Malcie.

Montgomery był jednak daleki od lekceważenia wroga. Znał wartość niemieckich czołgów i dział kał. 88 mm tak dobrze, jak umiejętności i bitność żołnierzy niemieckich. Wiedział, że duża przewaga liczebna daje mu tylko możliwość podjęcia walki i szansę, ale nie gwarancję, zwycięstwa. Montgomery postanowił przechytrzyć "Lisa pustyni"; uznał, że powinien zaatakować w miejscu i czasie, w którym Niemcy i Włosi nie byliby przygotowani do odparcia uderzenia. Wprowadzenie wrogów w błąd co do czasu rozpoczęcia ofensywy było dość proste; z ambasady amerykańskiej w Kairze nowy attache wysyłał raporty utajnione w "Czarnym kodzie", z których wynikało, że VIII armia po odniesieniu poważnych strat pod Alam Haifa odbuduje swoją siłę najwcześniej w końcu listopada i do tego czasu nie będzie zdolna do podjęcia poważniejszych działań zaczepnych. Podobne oceny nadsyłał "Kondor", któremu Rommel jeszcze ciągle ufał. Sądził, że rozpoczęcie przez Brytyjczyków ofensywy w końcu listopada jest mało prawdopodobne ze względu na złą pogodę. Należało się spodziewać ofensywy dopiero na wiosnę.

O wiele trudniejszym dla Brytyjczyków zadaniem było przekonanie Rommla, że uderzenie

nastąpi w innym miejscu niż planowano. Najdogodniejszy do rozwinięcia natarcia był teren nadmorski. Rommel zdawał sobie z tego sprawę i dlatego rozmieścił tam: 164. dywizję piechoty, dwa bataliony z brygady spadochroniarzy Ramckego oraz włoski XXI korpus. Na tyłach stała włoska dywizja pancerna "Ariete" i niemiecka 21. dywizja pancerna. Wzdłuż nadmorskiej drogi czekały w rezerwie: 90. dywizja lekka i włoska zmotoryzowana dywizja "Trieste". Niemiecko-włoskie pozycje obronne były chronione przez czterysta czterdzieści pięć tysięcy min, osiemdziesiąt sześć dział kal. 76,2 mm, zdobytych na froncie wschodnim, bardzo groźnych dla pancerzy brytyjskich czołgów.

Gdyby udało się Rommla przekonać, że Brytyjczycy szykują się do natarcia na południu, wówczas przetrzuciłby część swoich sił w tamtą stronę. Ale jak to zrobić, skoro ofensywa na północy wymagała skoncentrowania tam tysięcy ludzi, dział, czołgów i samochodów, przemieszczanych z południa. Wydawało się to zadaniem niewykonalnym. Pustynia w rejonie El Alamejn jest płaska, kamienista, pokryta niewielkimi krzaczkami. Z niemieckich okopów doskonale było widać brytyjskie pozycje, ruch tysięcy ludzi i pojazdów musiałby więc zostać zauważony.

Montgomery nie zrezygnował jednak z wprowadzenia w błąd Rommla. Szef sztabu VIII armii, generał de Guingand, wezwał pułkownika Dudleya Clarke'a i przedstawił mu założenia planu Montgomery'ego. Nie tań stopnia trudności przedsięwzięcia:

- Musisz ukryć sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi z tysiącem dział i tysiącem czołgów na pustyni twardej i płaskiej jak stół bilardowy, a Niemcy nie mogą nic o tym wiedzieć, chociaż obserwują każdy ruch, nasłuchują każdego odgłosu, tropią każdy ślad. Każdy cholerny arabski przybłęda będzie cię podglądał i doniesie Niemcom za paczkę herbaty. To jest niewykonalne zadanie, ale musisz je, do jasnej cholery, wykonać!

Pułkownik Clarke przywykł do wykonywania zadań niewykonalnych. Po to stanął na czele organizacji nazwanej "A-force". Był to najdziwniejszy zespół, jaki można było spotkać w armiach świata. W jego skład wchodził: kupiec, artysta-malarz, chemik, prestidigitator, naukowiec, scenarzysta i scenograf filmowy oraz parę innych równie niezwykłych, jak na służbę wojskową, postaci. Urządzili sobie kwaterę główną w nieczynnym domu publicznym, ale rzadko tam bywali uznając, że najlepsze pomysły przychodzą do głowy w czasie wypraw na pustynię.

Podczas pierwszej narady, którą odbyli tuż po rozmowie Clarke'a z de Guingandem, doszli do wniosku, że podstawowym i szczególnie trudnym zadaniem jest ukrycie przed niemieckimi obserwatorami magazynów z zapasami. Do rozpoczęcia ofensywy oddziały VIII armii potrzebowały 6 tysięcy ton paliwa, amunicji i żywności. Gdzie złożyć kanistry i beczki z benzyną i olejem, skrzynie z amunicją, paczki konserw i zasobniki z wodą? Przecież nie można było pod nosem Niemców budować magazynów.

Pułkownik Clarke wraz z podpułkownikiem Geoffreyem Barkasem - w cywilu scenografem filmowym - i majorem Jasperem Maskelynem - w cywilu prestidigitatorem - wybrali się w rejon oddalony o niecałe piętnaście kilometrów od linii frontu, gdzie powinny być złożone zapasy. Generał de Guingand miał rację: teren był płaski, porośnięty karłowatą roślinnością, kamienisty. Zatoczyli szeroki łuk i wracali już do kwatery, gdy podpułkownik Barkas wypatrzył transzeje. Wybudowano je ponad rok wcześniej, a ponieważ wojska przesunęły się w innym kierunku, transzeje zostały opuszczone. Rowy, głębokości od stu pięćdziesięciu do dwustu centymetrów, wydawały się

doskonaliśmy miejscem do zmagazynowania skrzyń i kanistrów.

Jeszcze tej samej nocy dowieźli kilkaset kanistrów, które starannie ułożyli przy ścianach transzei. Teraz należało sprawdzić, czy z powietrza będzie można dostrzec, że w transzejach coś się zmieniło. Rankiem Barkas długo i uważnie analizował zdjęcia lotnicze, zrobione przed napełnieniem i po napełnieniu rowów kanistrami. Nie było widać żadnej zmiany. Przez trzy następne noce w transzejach ułożono więc sto tysięcy kanistrów z paliwem dla czołgów. Ponowna inspekcja z powietrza nie wykazała żadnych zmian w biegu linii transzei. Niemcy nie mogli odkryć, że tuż pod ich bokiem powstał magazyn, który miał zasilić pancerne oddziały VIII armii. Nie wszystko jednak dało się zamaskować w rowach. Resztę zapasów rozlokowano na pustyni w namiotach, przed którymi posadzono kukły żołnierzy. Jeździło tam kilka samochodów pozorujących, że jest to normalny obóz wojskowy. W innych miejscach skrzynie i beczki układano w kształt ciężarówek i zakrywano siatkami maskującymi. W ten sposób w ciągu trzech nocy zgromadzono w odległości kilkunastu kilometrów od frontu sześć tysięcy ton zapasów.

Zespół Clarke'a wykonał w ten sposób część zadania. Najtrudniejsze jednak wciąż było przed nimi. Jak przenieść z południa tysiąc czołgów, aby wróg był przekonany, że wozy bojowe jadące na północ, zmierzają na południe? Podpułkownik Barkas znalazł rozwiązanie tego - wydawałoby się - nierozwiązalnego problemu. Wybrał trzy punkty koncentracji czołgów w pobliżu miejsca, gdzie biegła droga ze śladami prowadzącymi na południe. Tuż obok była druga droga, prowadząca na północ. W ciągu dnia czołgi wyruszały drogą ku południu, ale po zapadnięciu zmroku skręcały i wjeżdżały na tę drugą. Docierały nią do rejonu zgrupowania, nazwanego Martelle, gdzie każdy z wozów miał kryjówkę: wykonaną z dykty makietę 10-tonowej ciężarówki. W tym czasie w miejscu, z którego wyruszyły czołgi, żołnierze zacierali ślady gąsienic, a na stanowiskach opuszczonych przez czołgi montowano tekturowe makiety. Gdy nad ranem pojawiały się niemieckie samoloty, ich piloci nie mogli zauważyć żadnej zmiany. Zdjęcia, robione w czasie dnia, pokazywały zgrupowanie czołgów oczekujących na rozkaz wyruszenia na południe, lub też kolumny czołgów zmierzających w tamtym kierunku.

Feldmarszałek Rommel uzyskiwał coraz więcej dowodów, że Brytyjczycy szykują się do uderzenia na południu. Koronnym potwierdzeniem były zdjęcia lotnicze z budowy wodociągu wiodącego z północy na południe. Widać było wyraźnie, że każdego dnia Brytyjczycy układają od siedmiu do ośmiu kilometrów rur. To był genialny pomysł pułkownika Barkasa, który nakazał układanie pustych beczek w wykopach, co na zdjęciach z powietrza wyglądało dokładnie jak budowa rurociągu. Wieczorami wyjmowano beczki i zasypywano rowy, a następnego dnia te same beczki układano w nowo wykopanych rowach.

Rommel gotował się do obrony, ale zrezygnował z planów wdarcia się do Egiptu. Zdawał sobie sprawę, że najpierw będzie musiał odeprzeć brytyjskie uderzenie, a potem przejść do kontrofensywy. Obydwa działania wymagały odpowiedniego wyekwipowania jego Panzerarmee, a stan zapasów był alarmujący: paliwa starczało na sześć dni walki, amunicji na dziewięć dni, żywności na trzy tygodnie. Ze względu na brak opon i części zamiennych, jedna trzecia pojazdów była unieruchomiona. Rommel wysyłał ponagląjące depesze do Rzymu i Berlina. Domagał się zwiększenia dostaw, ale uzyskiwał niewiele. Im więcej statków wychodziło z portów sycylijskich, tym więcej szło na dno pod bombami i pociskami samolotów i okrętów z Malty. W sierpniu zatonała

jedna trzecia statków z zaopatrzeniem dla wojsk niemiecko-włoskich, we wrześniu - tyle samo, w październiku ponad 40% nie dotarło do portów przeznaczenia.

Dyktator Włoch, Benito Mussolini, zaniepokojony rosnącymi gwałtownie stratami, stwierdził, że jeżeli tempo wyniszczania jego floty handlowej utrzyma się, to wkrótce pozostaną tylko statki rybackie.

Włoskie ministerstwo żeglugi i dowództwo marynarki wojennej, czując poparcie Mussoliniego, niechętnie wysłało w morze nowe statki*.

[* Wg raportu przedstawionego Mussoliniemu przez ministra komunikacji, Vittorio Cini, 3 marca 1943 r. stan floty handlowej był następujący:

	liczba statków	tonaż BRT
stan floty 10.06.1940	772	3 292 584
do marca 1943 zwodowano	129	563 068
łącznie	901	3 855 652
straty do marca 1943	568	2 134 786
pozostało	333	1 720 866

Odliczając statki pływające na innych morzach, pozostające w stoczniach oraz używane wyłącznie do celów cywilnych, tonaż włoskiej floty handlowej na Morzu Śródziemnym w 1943 r. wynosił ok. 300 tys.] Rommel zdecydował się wyjechać do Europy i interweniować osobiście u Hitlera. Ponadto zamierzał odpocząć. Odczuwał wyraźnie ciężar dziewiętnastu miesięcy służby na pustyni. Nie sądził, aby jego kilkutygodniowa nieobecność mogła cokolwiek zmienić. Sytuacja na froncie wydawała mu się jasna. Wywiad Fremde Heere West potwierdzał oceny, że Brytyjczycy nie uderzą wcześniej niż w końcu listopada.

Rommel skierował część wojsk - niemiecką 21. dywizję pancerną i włoską dywizję pancerną "Ariete" - na południe, w rejon spodziewanej ofensywy Brytyjczyków, oddał dowództwo w ręce generała Georga Stummego i 23 września wyjechał do Rzymu, a następnie do Winnicy na Ukrainie, aby tam, w polowej kwaterze Hitlera, przedstawić mu sytuację w Afryce Północnej i uzyskać niezbędną pomoc materialną.

- Cieszę się, że pana widzę, feldmarszałku - Hitler serdecznie przywitał Rommla, chociaż tego dnia nie był w najlepszym nastroju. Wiadomości z Kaukazu wywołały napad furii. Fuhrer oskarżał

dowództwo o nieudolność i tchórzostwo. Adiutant Hitlera, generał von Belov, po przyjacielsku ostrzegł Rommla przed nastrojem wodza. Jednakże był on spokojny. Furia minęła lub ustąpiła miejsca respektowi wobec wybitnego dowódcy i zahartowanego w bojach żołnierza.

- Czy przynosi pan dobre wieści? - Hitler podszedł do dużego drewnianego stołu w rogu pokoju, gdzie leżały mapy.

- Mamy szansę odparcia uderzenia wroga i przejścia do kontrofensywy - Rommel nie ruszył się z miejsca, czekając aż Hitler zezwoli mu podejść do stołu.

- Proszę, niech pan przedstawi sytuację - powiedział wreszcie Hitler i przez kilka minut słuchał w skupieniu relacji.

- Stan zapasów jest katastrofalny, mein Fuhrer - Rommel zawahał się, obawiając wybuchu złości, ale ostatecznie zdecydował się przedstawić prawdę o położeniu swych wojsk. - W pierwszym tygodniu września Brytyjczycy zatopili siedem statków transportowych, w tym trzy tankowce. Zaopatrzenie, które dociera do Afryki, jest niewystarczające i zmniejsza się coraz bardziej.

- Jaka przyczyna?

- Sądzę, że w dowództwie włoskiej marynarki jest zdrajca lub nie potrafią tam pilnować tajemnicy...

- Tak, to bardzo prawdopodobne, ale proszę się nie obawiać. Zdecydowałem wysłać do Afryki wszelką niezbędną pomoc. W najbliższym czasie wyślę 10. dywizję pancerną oraz dywizję "SS Leibstandarte Adolf Hitler", która w tej chwili jest we Francji. Na Krete przetrucana jest z Krymu 22. dywizja powietrznodesantowa i wkrótce znajdzie się ona pod pana rozkazami. Wprowadzę na Morze Śródziemne nowe statki, tak szybkie, że angielskie okręty podwodne ich nie dopędzą. Dostarczę panu nowe czołgi Tiger. Nie widział pan ich zapewne, ale proszę je obejrzeć przy najbliższej okazji. Będzie pan oczarowany. Uzbrojone są w działa kal. 88 mm i mają pancerz stumilimetrowej grubości. Nie dorównują im czołgi rosyjskie, amerykańskie ani brytyjskie razem wzięte. W najbliższym czasie otrzyma pan czterdzieści tych czołgów. Angielską obronę zmieciemy w pył z pomocą wyrzutni sześciolufowych Nebelwerfer. Wyślę do Afryki brygadę tych wyrzutni raketowych. Może być pan spokojny. Dostaniemy Aleksandrię!

Hitler odwrócił się do okna i zamilkł. Rommel stał przez chwilę niezdecydowanie, nie znając obyczajów obowiązujących w kwaterze wodza. Obecny przy rozmowie feldmarszałek Keitel też się nie odzywał.

- Tak, to wszystko dotrze do Afryki już wkrótce, zanim Anglicy odważą się uderzyć - Hitler przerwał milczenie. - Może pan spokojnie oczekiwać na wzmocnienie sił. Uderzy pan na Aleksandrię i zdobędzie ją. A teraz życzę panu dobrego odpoczynku. Dokąd pan się wybiera?

- Do Semmering.

- Znam, to piękna miejscowość. Niech pan dobrze odpoczywa.

Rommel zasalutował i wyszedł z pokoju. Hitler patrzył za nim przez chwilę i powiedział do Keitla:

- Ten człowiek się zmienił. Obawiam się, że przestał wierzyć w zwycięstwo... - Po chwili dodał: - Nie powinno się trzymać tak długo człowieka na stanowisku związanym z tak dużą odpowiedzialnością. On chyba traci nerwy...

Rommel bezzwłocznie udał się na polowe lotnisko, gdzie czekał już He 111, aby zawieźć go do Wiener Neustadt w Austrii. W czasie lotu miał wystarczająco dużo czasu, by przeanalizować słowa Fuhrera. Nowe dywizje, nowe czołgi, nowe statki transportowe? Wszystko to wydawało się zbyt piękne, zbyt optymistyczne. Kiedy na lotnisku Wiener Neustadt przywitał się z żoną i wsiedli do samochodu, opowiedział jej krótko o spotkaniu z Hitlerem.

- Zastanawiam się, czy Fuhrer nie powiedział mi tego wszystkiego tylko po to, aby mnie uspokoić - zakończył relację. Postanowił jednak nie wracać już myślami do spotkania w Winnicy. Czekał go miesięczny wypoczynek w pięknych austriackich górach.

W tym czasie brytyjscy czołgiści rozpoczęli szkolenie na trzystu nowych czołgach amerykańskich M-4 Sherman, które w połowie września wylądowano w Aleksandrii. Wkrótce VIII armia dostała sto amerykańskich dział samobieżnych kal. 105 mm. W Suezie schodziły na ląd dwie nowe dywizje, przysłane z Wielkiej Brytanii: doświadczona w bojach 51. Highland Division i nowo sformowana 8. dywizja pancerna. W bazach lotniczych przygotowano do pustynnej służby cztery dywizjony bombowców B-25 Mitchell i Vickers Wellington. Brytyjczycy byli doskonale przygotowani do wielkiej operacji "Lightfoot"...

Kończył się 23 dzień października. Generał Georg Stumme przejrzał ostatnie raporty, ale nie znalazł w nich nic godnego uwagi. Schował papiery do kasy pancерnej i wyszedł z pokoju swojej kwatery głównej. Na schodach rzucił jeszcze adiutantowi, że idzie na kolację w kasynie i udał się tam pośpiesznie. Szef sztabu zapowiadał, że na kolację będzie mięso gazeli. Generał przeszedł przez wąską uliczkę, prowadzącą wprost do kasyna i wszedł w drzwi. Zauważył, że zegar nad wejściem pokazywał 21.40, co oznaczało, że generał jest spóźniony o dziesięć minut. Był człowiekiem bardzo skrupulatnym i skoro zapowiedział, że przyjdzie o 21.30, powinien być o tej porze. Powiesił czapkę na wieszaku i odpiął pas, gdy nagle doszły go głuchoe odgłosy z oddali. Minęło kilka sekund, a huk wybuchów utrzymywał się. To nie była przypadkowa wymiana strzałów... - Generał wybiegł na ulicę. Niebo rozjaśniały ognie strzałów i wybuchów.

- Jakie wiadomości?! - krzyknął do dyżurnego, gdy tylko przekroczył próg kwatery i, nie czekając na odpowiedź, kazał przygotować samochód.

- Dowódca 21. dywizji pancерnej melduje, że Brytyjczycy przystąpili do ataku - raportował żołnierz. Po chwili nadeszły nowe meldunki: 90. dywizja lekka donosiła, że znalazła się pod ogniem okrętów wojennych, co wskazywało, że między El Daba i Sidi Abd el Rahman wróg rozpoczął dużą operację inwazyjną. Stumme nakazał 90. dywizji natychmiastowe przystąpienie do kontruderzenia i odparcie oddziałów alianckich desantujących się na brzeg. Uznał, że sytuacja tam właśnie jest najgroźniejsza i postanowił osobiście pokierować walką z desantem. O 23.00 wyruszył w stronę kwatery 90. dywizji. Nie dojechał tam nigdy. W rejonie Wzgórza 21 jego samochód został ostrzelany przez brytyjską artylerię. Generał dostał ataku serca i wypadł z samochodu tak cicho i szybko, że kierowca nie zauważył tego. Wojska niemieckie zostały bez dowódcy...

W Semmering dzwonek telefonu zbudził Rommla w nocy. W słuchawce usłyszał głos feldmarszałka Keitla:

- Telefonuję z kwatery Hitlera w Rastenburgu - powiedział. - Na pustyni Brytyjczycy rozpoczęli ofensywę. Generał Stumme zaginął, prawdopodobnie nie żyje. Czy może pan natychmiast wrócić do Afryki?

- Oczywiście - automatycznie potwierdził Rommel, wyrwany z głębokiego snu. - Mogę wyruszyć natychmiast.

- Proszę czekać na następny telefon - powiedział Keitel i odłożył słuchawkę.

Powoli znaczenie wiadomości docierało do Rommla. Początkowo wydawało mu się wykluczone, by Brytyjczycy mogli rozpocząć ofensywę. Może chodziło o jakiś mało znaczący atak? Ubrał się szybko i po kilkunastu minutach był gotowy do drogi. Po północy telefon zadzwonił ponownie. Tym razem przy słuchawce był Hitler.

- Zna pan ostatnie doniesienia? - spytał.

- Wiem tylko, że Anglicy przystąpili do ofensywy...

- Czy jest pan gotów udać się do Afryki i objąć dowodzenie?

- Oczywiście, mein Fuhrer - Rommel był zaskoczony pytaniem.

- To dobrze. Po prostu czułem się zobowiązany zapytać pana o to. Niech pan jedzie jak najszybciej - powiedział Hitler.

Rommel nie mógł mieć już żadnych wątpliwości. Brytyjczycy rozpoczęli ofensywę i odnieśli pierwsze zwycięstwo - zaskoczyli Niemców.

Około południa samolot wylądował na lotnisku Ciampino. Powitał Rommla attache wojskowy ambasady niemieckiej, generał Enno von Rintelen.

- Co się dzieje na pustyni? - krzyknął Rommel, gdy tylko uścisnęli sobie dłonie.

Rintelen odciągnął go na bok, gdzie warkot silników nie zagłuszał rozmowy.

- Anglicy kontynuują ofensywę. Generał Stumme zmarł na atak serca! Brakuje paliwa - Rintelen szybko wymienił najważniejsze sprawy.

- Musi pan natychmiast skontaktować się z feldmarszałkiem Kesselringiem. On musi dotrzeć do Mussoliniego. Do samego Mussoliniego - podkreślił z naciskiem - aby ten bezzwłocznie wysłał konwój z paliwem i amunicją. Proszę powiedzieć mu, że w czasie rozmowy ze mną Hitler obiecał pomoc. Jeżeli Mussolini będzie się opierał, Kesselring powinien interweniować u Hitlera. Te statki muszą dotrzeć do Afryki jak najszybciej! Od tego zależy dalszy los wojny...

- Interwencja u Hitlera nie będzie potrzebna - uspokajał Rommla Rintelen. - Niech pan leci spokojnie do Libii. Zrobimy wszystko, aby w ciągu najbliższych dni otrzymał pan niezbędne materiały.

Wkrótce samolot Rommla wystartował do Darny w Libii, a generał Rintelen udał się na spotkanie z feldmarszałkiem Albertem Kesselringiem. Ten rozumiał doskonale powagę sytuacji. Zatelefonował natychmiast do Mussoliniego. Po kilkunastu minutach duce przesłał wiadomość, że w ciągu najbliższych trzech dni z Neapolu wyruszy pięć statków z amunicją i paliwem. Miały duże szansę dotarcia do portów przeznaczenia, gdyż nad morzem utrzymywała się gęsta mgła, która była najlepszą osłoną przed samolotami rozpoznawczymi i atakami brytyjskich bombowców i okrętów podwodnych. Kesselring natychmiast wysłał szyfrogram do Rommla informując, że pomoc wkrótce nadejdzie.

26 października feldmarszałek przybył do swojej kwatery głównej. Sytuacja była jeszcze trudniejsza, niż to wynikało z raportów, jakie otrzymał w Europie. Niemiecka 51. dywizja pancerna miała tylko trzydzieści dziewięć czołgów, włoska "Littoria" - sześćdziesiąt dziewięć czołgów, 90. dywizja lekka broniła się resztkami sił. Rommel nakazał przegrupowanie 21. dywizji pancerniej na północ; liczył, że sto sześć czołgów powstrzyma Brytyjczyków i umożliwi przejęcie inicjatywy na polu bitwy. Zdawał sobie jednak sprawę, że ma niewielkie szansę na zwycięstwo. Pisał w liście do

żony:

Sytuacja jest w dalszym ciągu bardzo poważna. Do czasu, gdy list ten dotrze do Ciebie, wyjaśni się, czy wytrzymamy, czy też nie. Nie mam wiele nadziei. W nocy leżę z oczami szeroko otwartymi, niezdolny zasnąć ze względu na ciężar, jaki spoczywa na moich ramionach. W dzień jestem śmiertelnie zmęczony. Co się stanie, jeżeli sprawy pójdą źle? To jest myśl, która zamęcza mnie dzień i noc. Nie widzę wyjścia, jeżeli to się stanie.

Liczył jeszcze na dostawy broni, amunicji i paliwa. Zapasy benzyny wystarczały na trzykrotne napełnienie zbiorników jego czołgów, co w warunkach pustyni dawało im zasięg około trzystu kilometrów. Szyfrogram Kesselringa budził nadzieję, że lada moment do Tobruku zawiną włoskie statki. Tak się nie stało. Los konwoju był przesądzony już w momencie, gdy Kesselring powiadomił Rommla, że z Neapolu wyjdzie pięć statków. Wkrótce potem depesza Kesselringa, odszyfrowana w Bletchley Park, znalazła się na biurku szefa Wywiadu Powietrznego MI-6, Fredericka Winterbothama. Wiedział doskonale, jakie znaczenie ma zawartość ładowni włoskich statków dla Rommla i jaki może mieć wpływ na zmagania w Afryce Północnej. Wystarczyło wysłać samoloty z Malty, aby zatopiły konwój, ale wówczas Niemcy zorientowaliby się, że skoro bombowce i myśliwce bez pomocy samolotów rozpoznawczych odnalazły konwój, to znaczy, że wiedział, gdzie i kiedy szukać statków z bronią. Winterbotham obawiał się, że w ten sposób można zdradzić Niemcom, iż system szyfrowania "Enigma" nie jest tajemnicą dla Brytyjczyków. Jeżeli jednak zachowałyby dla siebie wiadomość o konwoju z zaopatrzeniem, wówczas statki mogłyby dotrzeć do portu przeznaczenia i narazić na klęskę wojska VIII armii w Afryce Północnej. Wieczorem 27 października Winterbotham zatelefonował do premiera Winstona Churchilla i przedstawił mu problem. Premier zdecydował się podjąć ryzyko wysłania samolotów. Być może uznał, że Niemcy nie dopuszczą myśli, iż zawiodła "Enigma", lecz będą szukać zdrajców w dowództwie włoskiej marynarki wojennej.

O świcie 28 października z lotnisk Luga i Halfar na Malcie wzbiło się w powietrze dwadzieścia sześć samolotów Beaufort i Wellington, które szybko odnalazły włoskie transportowce.

Pierwszy statek, Prosperina, zatonął, trafiony brytyjskimi bombami w pobliżu Tobruku, ale okręty eskorty zestrzeliły sześć brytyjskich samolotów. Wkrótce poszedł na dno Tripolino. Następnego dnia zatonęły, trafione torpedami zrzuconymi przez samoloty, dwa statki: Ostia i Zara. Jedyne Brioni skrył się we mgle i uszedł pościgowi. Nie na długo. W Tobruku dopadły go amerykańskie Liberatory i posłały na dno, zanim zdążył wyładować broń i amunicję.

29 października Rommel dowiedział się, że nie otrzyma pomocy. Precyzja, z jaką działały brytyjskie i amerykańskie samoloty, wskazywała, że ich załogi wiedziały, gdzie szukać celów, 1 listopada Rommel wysłał w tej sprawie raport do feldmarszałka Kesselringa, zwracając uwagę, że los pięciu włoskich okrętów dowodzi, iż w sztabie włoskiej marynarki działają szpiedzy lub też szyfr "Enigma" przestał być dla Brytyjczyków tajemnicą. Gdy tylko kryptolodzy w Bletchley Park odszyfrowali depeszę Rommla, Winterbotham poszedł z nią natychmiast do szefa MI-6, Stewarda Menziesa.

- Stało się to, czego się obawiałem - powiedział pokazując tekst depeszy. - Niemcy mogą

zmienić system szyfrowania.

- Bez wątplenia zrobią tak, jeżeli uznają, że dowiedzieliśmy się o konwoju z ich szyfrogramów - Menzies jak zwykle zachowywał spokój, chociaż doskonale wiedział, jak poważna jest sytuacja. - Myślę, że bardziej są skłonni podejrzewać Włochów o zdradę, niż uznać, że niemiecki system jest zły...

- Musimy więc utwierdzić ich w tym przekonaniu.

- Proszę jutro wysłać depezę do grupy "Stavro". Oczywiście, użyje pan szyfru "K2" - polecił Menzies.

Następnego dnia niemieckie stacje nasłuchowe przechwyciły depezę, której treść utajniono za pomocą szyfru znanego niemieckim kryptologom. Szyfrogram zawierał gratulacje za przeprowadzenie sprawniej akcji zdobycia wiadomości o wyjściu w morze pięciu statków z Neapolu. Wszyscy członkowie grupy uzyskali gratyfikacje w wysokości 1,5 tysiąca funtów, które zostały wpłacone na ich konto w banku szwajcarskim. Dalej wypadki potoczyły się zgodnie z przewidywaniami Menziesa: Niemcy rozpoczęli poszukiwanie grupy "Stavro", która nigdy nie istniała...

Na pustyni generał Montgomery wycofał po jednej brygadzie z 44., 50. i 51. dywizji i skierował je do dywizji nowozelandzkiej, która miała dokonać decydującego uderzenia. 2 listopada wojska brytyjskie przystąpiły do natarcia. Rozpoczęła się walka o nieznaną dotychczas zaciekłość. Żołnierze obydwu stron zdawali sobie sprawę, że nadszedł czas przełomu i ta bitwa rozstrzygnie losy dwuletniej wojny na pustyni. Obsługi włoskich dział przeciwpancernych prowadziły ogień do angielskich czołgów, dopóki nie rozjechały one stanowisk artylerii albo nie zmieniły się w płonące wraki. Pod koniec dnia dowódca brygady pancerniej, generał Freyburg, raportował, że z dziewięćdziesięciu czterech czołgów pozostały tylko dwadzieścia cztery. Po drugiej stronie frontu sytuacja była jeszcze gorsza. Afrika Korps miał tylko trzydzieści dziewięć czołgów zdolnych do walki. Rommel wydał rozkaz odwrotu. I wtedy nadszedł telegram od Hitlera:

Do feldmarszałka Rommla!

W sytuacji, w jakiej się pan znalazł, nie może być innej myśli, jak tylko bronić się twardo i rzucić każde działo i każdego człowieka do walki. My czynimy największe wysiłki, aby panu pomóc. Pański wróg, mimo swej wyższości, musi także być u kresu sił. (...) Musi pan pokazać swoim żołnierzom, że nie ma innej drogi jak tylko zwycięstwo albo śmierć.

Rommel zdawał sobie sprawę, że rozkaz oznacza zgubę dla żołnierzy. Mógł liczyć, że Brytyjczycy, wyczerpani bojem, na krótko zwolnią nacisk, ale gdy tylko odbudują siły, zmiotą jego oddziały pozbawione możliwości odwrotu. Nie mógł jednak zlekceważyć rozkazu wodza. Oddziały niemiecko-włoskie okopały się. Na szczęście dla nich, Montgomery nie wykorzystał sytuacji i nie zamknął w okrążeniu tkwiących nieruchomo na pustyni żołnierzy "osi".

Po południu 4 listopada VIII armia przerwała front w rejonie Tell el Aqqaqir. Czołgi z X

korpusu rozbiły mężnie broniącą się włoską dywizję "Ariete". Dowódca Afrika Korps, generał von Thoma, został schwytany przez żołnierzy brytyjskich w chwili, gdy wyskakiwał z płonącego samochodu pancernego. Nadeszła godzina ostatecznej klęski wojsk niemiecko-włoskich. I dopiero wtedy Hitler zgodził się na wycofanie ocalałych jednostek na zachód. Zmechanizowane oddziały Panzerarmee ruszyły szybko w tamtym kierunku, pozostawiając za sobą tłumy żołnierzy włoskich, pozbawionych wystarczającej liczby środków transportu.

W bitwie pod El Alamejn wojska "osi" straciły 25 tysięcy żołnierzy zabitych i rannych oraz 30 tysięcy jeńców, 1000 dział i 320 czołgów. Alianci stracili 13 560 żołnierzy, w tym 4610 zabitych lub zaginionych, 500 czołgów zostało zniszczonych lub poważnie uszkodzonych.

Rommel uchodził na zachód, ale była to już droga donikąd. 7 listopada alianckie wojska inwazyjne wylądowały w kilku miejscach w Maroku i Algierii. Tymczasem niemieckie czołgi stawały z braku paliwa. 21. dywizja pancerna ugrzęzła w rejonie Marsa Matruh i jedyne, co mogła zrobić, to zakopać się w piach i oczekiwać, aż nadciągną jednostki VIII armii, aby stoczyć z nimi ostateczny bój. Rommel zdecydował się na krok rozpaczliwy. Nie czekając na zgodę Hitlera, wyruszył do kwatery głównej wodza w Gierłóży-Kętrzynie. Dotarł tam wczesnym popołudniem 28 listopada. Uzyskał zgodę na stawienie się przed Hitlerem i o 17.00 wszedł do niskiej sali sztabowej w bunkrze wodza. Hitler przez kilka minut zdawał się nie zauważać obecności Rommla, zajęty przeglądaniem dokumentów. Wreszcie odłożył papiery:

- Z czym pan przyjeżdża, feldmarszałku? - spytał oschle.

Rommel nie zamierzał bawić się w delikatność. Zwięźle, szybko przedstawił sytuację w Afryce Północnej.

- Dalsze pozostawanie naszych sił w Afryce Północnej grozi całkowitym ich zniszczeniem - zakończył.

- To jest defetyzm! - wybuchnął Hitler, którego słowa o możliwej klęsce wojsk niemieckich wyprowadziły z równowagi. - Niech pan zapamięta sobie, że w Rosji generałowie, którzy ośmielają się proponować wycofanie, stawiani są pod mur i rozstrzeliwani! - wrzeszczał.

- Mein Fuhrer - Rommel zachowywał spokój. - Trudno oceniać sytuację na afrykańskim froncie z kwatery w Prusach Wschodnich. Proszę, żeby pan zechciał wysłać generała Jodła lub feldmarszałka Keitla, aby dokonali inspekcji tam, na miejscu...

- Herr Generalfeldmarschall! - ryknął Hitler, tracąc już całkowicie panowanie nad sobą. - Kapituluj, jeżeli uważasz, że po to jesteś feldmarszałkiem. Jeżeli pan sądzi, że nie potrafi sobie poradzić, oznacza to, że pomyliłem się, dając panu stopień feldmarszałka. A teraz niech się pan wynosi! Precz!

Rommel bez słowa zsalutował i wyszedł z sali. W sekretariacie zatrzymał się na chwilę, aby ochłonąć. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Hitler. Podszedł do Rommla i położył mu rękę na ramieniu.

- Musi mi pan wybaczyć - mówił już zupełnie innym głosem. - To bardzo trudny okres dla mnie. Wszystko powinno być dobrze. Proszę przyjść do mnie jutro i wtedy porozmawiamy spokojnie. To niemożliwe... nie można pogodzić się z myślą, że Afrika Korps może być zniszczony.

Następnego dnia Hitler uznał argumenty Rommla, że sprawą najwyższej wagi jest dostarczenie oddziałom niemieckim w Afryce paliwa, broni i amunicji. Interweniował w tej sprawie u Mussoliniego, a ponadto postanowił, że do Rzymu udadzą się Rommel i marszałek Rzeszy Herman Goring, aby na miejscu dopilnować wysłania do Afryki niezbędnego zaopatrzenia.

Wyruszyli bezzwłocznie specjalnym pociągami Goringa, ale już pierwsze dni w Rzymie bardzo Rommla rozczarowały. Marszałek Rzeszy nie znajdował czasu na organizowanie konwojów. Bardziej zajmowało go zdobywanie obrazów i rzeźb do prywatnej kolekcji. Rommel uznał, że dalszy pobyt w Rzymie jest stratą czasu i powrócił do Afryki. Dostawy, które nadeszły, starczyły do zalecenia ran Panzerarmee, ale nie do rozbudowy sił niemieckich.

Jeszcze raz "Enigma" przesądziła o biegu bitew. Rommel nie informował już Berlina i Rzymu o planach. Dlaczego? Stracił wiarę w możliwość uzyskania pomocy większej niż to, co w skąpych ilościach napływało w ładowniach włoskich statków? A może przestał wierzyć "Enigmie"? W każdym razie nasłuch brytyjski i kryptolodzy w Bletchley Park nie znajdowali nic istotnego w jego depepszach.

To zmyliło szefa wywiadu amerykańskiego w kwaterze generała Dwighta Eisenhowera, brygadiera E. Mockler-Ferrymana, który nie miał żadnego doświadczenia w walkach z Niemcami. Uważał, że gdy gotują się do walki, to na prawo i lewo rozsyłają radiogramy. Ich brak uznał za potwierdzenie bezradności nieprzyjaciela i informował swoich przełożonych, że Rommel nie planuje ataku. Ten błąd kosztował Amerykanów wiele: pod Kasserine ponieśli bolesną porażkę.

Był to jednak ostatni sukces Rommla w wojnie na pustyni. 6 marca czołgi Panzerarmee uderzyły na wojska brytyjskie, które były dobrze przygotowane do odparcia ataku. Ogień ośmiuset dziesięciu dział, rozmieszczonych przez generała Montgomery'ego na froncie o długości czterdziestu trzech kilometrów, zniszczył osiemdziesiąt osiem czołgów ze stu czterdziestu, które rozpoczęły bitwę. Była to ostatnia bitwa Rommla na pustyni. Dwa dni później, na rozkaz Hitlera, w tajemnicy opuścił Afrykę. Jego miejsce zajął generał von Arnim. Niewiele mógł już zdziałać i w maju 1943 r. wojska niemiecko-włoskie skapitulowały. W Afryce zakończyła się wielka wojna szpiegów, szyfrów, fałszywych depepsz i oddziałów, których nigdy nie było.

Brytyjczycy doskonale zapamiętali, jak wielką rolę w zmaganiach pancernych dywizji odegrał podstęp. Wszystkie doświadczenia wykorzystali w organizacji największej operacji desantowej w historii świata: inwazji na Normandię.

Komandosi

Było jeszcze ciemno, gdy na lotnisku pod Kolonią spadochroniarze Batalionu Kocha wyszli z hangaru po ostatniej odprawie i rzędami ruszyli w stronę szybowców DFS 230, równo ustawionych na betonowych pasach.

Dowódca, porucznik Witzig, stanął pod skrzydłem i obserwował, jak żołnierze, objuczeni bronią i sprzętem, podchodzą do samolotów. Wielu niosło duże, okrągłe pudła, przypominające do złudzenia miny talerzowe. Były to nowe ładunki kumulacyjne, wypróbowane kilka miesięcy wcześniej na ścianach bunkrów pod Wizną w Polsce oraz w Czechosłowacji, gdzie spadochroniarze z oddziału Witziga przygotowywali się do nowej akcji.

Efekty działania min były zadziwiające: wybuch 50-kilogramowego ładunku przebijał 50-centymetrową warstwę betonu lub stalowy pancerz grubości 40 centymetrów. W czasie wybuchu wytwarzał się strumień gazu, którego cząsteczki, pod ciśnieniem 14 tysięcy atmosfer, “rozpychały” cząstki betonu lub stali i wpadały do wnętrza czołgu czy bunkra, zabijając wszystko co żywe.

Witzig spojrział na zegarek. Dochodziła 4.00 nad ranem 10 maja 1940 r. Za kilka minut, zgodnie z planem, 83 jego żołnierzy powinno zająć miejsca w ciasnych wnętrzach 11 szybowców.

- Ty, tam! - krzyknął do żołnierza stojącego przy stateczniku. W ciemnościach nie mógł rozpoznać twarzy, ale zauważył, że chłopak oparł się o kadłub i drzemie w oczekiwaniu na rozkaz wejścia do samolotu. - W domu sobie pośpisz! Ruszaj się, jeśli nie chcesz, żebym dobrał się do ciebie jeszcze przed startem!

Wszyscy w oddziale wiedzieli, że Witzig potrafi być bezwzględny i okrutny. Zjawiał się w najbardziej nieoczekiwanych momentach, aby sprawdzić, czy żołnierze utrzymują porządek w koszarowej sypialni albo też czy wykazują zapał, ćwicząc na torze przeszkód. Opieszałych karał z całą bezwzględnością, gdyż uważał, że los winowajcy musi być przykładem dla innych. W Czechach o mało nie zakałował na śmierć jednego z żołnierzy. Znalazł go śpiącego w cieniu bunkra, gdzie ćwiczyli wspinanie na pionowe ściany. Wpadł w furię i wyrwał bat z rąk woźnicy, który powoził połową kuchnią. Chłostał zaciekłe chłopaka, dopóki jeden z kaprali nie odciągnął go. Pobitego zabrano do szpitala, ale przełożeni, ceniący Witziga, szybko zatuszowali całą sprawę.

Żołnierz oparty o kadłub na dźwięk głosu dowódcy gwałtownie się wyprężył i poprawił oporządzenie. Witzig, widząc natychmiastowy efekt swych słów, skierował wzrok w inną stronę, ale nie znalazł nic nagannego.

Jego podwładni tworzyli grupę o kryptonimie “Granit”. Na dwóch lotniskach szykowali się do startu spadochroniarze z grup o kryptonimach “Beton”, “Stal” i “Żelazo”; łącznie 493 żołnierzy z jednostki nazwanej Batalionem Szturmowym Kocha - od nazwiska dowódcy kapitana Waltera Kocha. Mieli uderzyć na mosty na Kanale Alberta i opanować je, aby oddziały 6. armii, które 10 maja o 5.25 ruszały na Belgię, mogły szybciej wdrzeć się w głąb kraju. Jednakże sukces żołnierzy obsadzających mosty zależał od wykonania zadania przez żołnierzy Witziga, którzy powinni opanować fort Eben Emael. Jeżeli nie udałoby się im tego dokonać, działa fortu zniszczyłyby wszystkie znajdujące się w

ich zasięgu mosty na Kanale Alberta i Mozie, zmuszając oddziały 6. armii do długotrwałych przepraw pod ogniem dział oraz pod bombami angielskich i francuskich samolotów. A opanowanie fortu wydawało się wręcz nieprawdopodobne.

Bunkry fortu - rozłożone na obszarze 45 hektarów - połączono korytarzami wydrążonymi na głębokości 15-25 metrów w miękkiej skale wapiennej wznoszącej się nad Kanałem Alberta. Najdłuższy i najbardziej narażony na niemieckie ataki bok fortu, o długości 1300 metrów, biegł wzdłuż kanału. Znajdowało się tu najmniej bunkrów, ale też nie sposób sobie wyobrazić, żeby jakkolwiek dowódca skierował żołnierzy do ataku na obiekty znajdujące się za kanałem o szerokości 54 metrów, na szczycie pionowej niemal ściany wysokiej na 65 metrów.

Wzdłuż drugiego boku trójkąta biegła fosa o szerokości około 15 metrów i długości 1100 metrów. Zasilały ją wody Kanału Alberta. W bezpośrednim sąsiedztwie płynęła rzeka Geer, której sforsowanie w ogniu dział było bardzo trudne.

Dostępu do trzeciego boku, nie chronionego żadną przeszkodą wodną, broniła skarpa o wysokości od 6 do 12 metrów. Nad nią piętrzyły się bunkry z karabinami maszynowymi i działami przeciwpancernymi. Tej przeszkody nie mógłby sforsować żaden czołg.

Na powierzchni fortu wybudowano 4 bunkry, każdy z 3 działami kal. 75 mm. Strzelnice dwóch bunkrów skierowano na północ i pociski dział mogły razić nieprzyjaciela w Maastricht (dlatego bunkry te nazwano "Maastricht 1" i "Maastricht 2"), a dwa pozostałe, skierowane na południe, mogły ostrzeliwać Vise ("Vise 1" i "Vise 2") - Na terenie fortu znajdowały się ponadto 2 kopuły pancerne z 2 działami kal. 75 mm, które w czasie nieprzyjacielskiego ostrzału lub bombardowania opuszczano do poziomu gruntu, co doskonale chroniło je przed pociskami. Gdy ostrzał się skończył, wysuwały się niemalże 60 centymetrów nad powierzchnię, a ich działa mogły razić cele znajdujące się w odległości 11 kilometrów.

Pośrodku fortu ulokowano kopułę z dwoma działami kal. 120 mm o zasięgu 17 kilometrów. Ważyła 440 ton i nie mogła się opuszczać ani podnosić, a jedynie obracała się o 360 stopni. Rząd belgijski nie zgodził się na zainstalowanie dział większego kalibru, gdyż uznał, że nie przystoi to państwu neutralnemu.

Pod ziemią betonowe stropy o grubości 2,5 metra chroniły pomieszczenia, w których mieszkała 700-osobowa załoga fortu. Były tam: sypialnie, kuchnie, spichlerze z zapasem żywności na 3 miesiące, studnie, sięgające do źródeł wody na głębokości 60 metrów, 6 agregatów prądotwórczych, zapewniających oświetlenie i ogrzewanie, magazyny amunicji, centrale telefoniczne i kierowania ogniem.

Pomieszczenia o odmiennym przeznaczeniu były oddzielone od siebie długimi korytarzami. Załoga mogła szybko zablokować przejścia, umieszczając w przygotowanych miejscach stalowe belki, za którymi ustawiano worki z piaskiem, drugą ścianę ze stalowych belek, a na dodatek zamykano pancerne drzwi. Cała operacja odcięcia pomieszczeń, do których wdarłby się wróg, trwała nie dłużej niż kilkanaście minut.

Wydawałoby się, że nie ma takiej armii, która zdołałaby z marszu zająć twierdzę Eben Emael.

Jedynie wielotygodniowe oblężenie, zastosowanie ciężkich dział, czołgów i samolotów mogłoby zmusić obrońców do kapitulacji.

Niemcy nie mieli na to czasu i zdecydowali się użyć niewielkich sił, lecz działających z zaskoczeniem. Doświadczenia wskazywały na ogromną skuteczność takich operacji.

Już w 1933 r. Hermann Goring, ówczesny szef pruskiej policji, nakazał majorowi Weckemu utworzenie oddziału spadochroniarzy, którzy mieli za zadanie atakowanie siedzib partii komunistycznej. Obławy policyjne niewiele dawały, gdyż domy, w których przebywali przywódcy komunistyczni, były obstawione siecią obserwatorów. Ci, widząc nadjeżdżające samochody, wszczynali alarm i gdy policjanci przystępowali do akcji, zastawali puste pomieszczenia. Dlatego Goring uznał, że należy uderzać niespodziewanie, zanim ścigani zdążą zniknąć wśród pobliskich domów. Błyskawiczne akcje spadochroniarzy Weckiego okazały się bardzo skuteczne i oddział szybko rozrastał się, osiągając wkrótce wielkość regimentu; nazwano go "Regimentem Goringa".

1 lipca 1938 r. dowództwo Luftwaffe wydało rozkaz utworzenia 7. dywizji powietrznodesantowej. To jej oddziały miały opanować mosty na Kanale Alberta i Eben Emael.

- Do samolotów!

Komandosi sprawnie zajęli miejsca na twardej ławce. Huk silników bombowców nasilił się i Ju 5213m zaczęły kolejno odrywać się z pasa, ciągnąc za sobą szybowce.

Witzig wystartował w pierwszym szybowcu, ale w niewielkim oddaleniu widział na tle nieba sylwetki innych maszyn. Piloci wypatrywali na ziemi ognisk rozpalonych specjalnie po to, aby wskazywać lecącym kierunek.

W szybowcu Witziga było cicho. Nikt nie rozmawiał; być może żołnierze krępowali się obecnością dowódcy.

Nagle szybowiec szarpnął i dziób uniósł się do góry, ale po chwili opadł. Witzig zerwał się z miejsca i pobiegł do kabiny pilotów.

- Co się stało?! - krzyknął.

- Hol się zerwał, panie poruczniku - zameldował pilot.

- Zdołamy dolecieć do Eben Emael?

- Nie. - Pilot pokręcił głową i wskazał wysokościomierz. - Jesteśmy na wysokości 1100 metrów i cały czas opadamy. To oznacza, że wylądujemy 8-10 kilometrów przed celem. Żeby trafić do fortu, musimy osiągnąć wysokość co najmniej 2130 metrów.

- Wracajmy na lotnisko!

- Rozkaz! - powiedział z niepewną miną pilot i położył szybowiec w powolny skręt.

- Nie mamy wielkich szans dotarcia na lotnisko pod Kolonią - dodał po chwili. - Prawdopodobnie wylądujemy gdzieś na łące. Całe szczęście, że niedługo się rozwidni.

Witzig odwrócił się bez słowa i wściekły powrócił na miejsce. Przez wiele miesięcy przygotowywał się do tej misji, a nagła awaria sprawiła, że bitwa miała rozegrać się bez jego udziału.

Wkrótce drugi szybowiec zerwał się z holu. W stronę Eben Emael leciało już tylko 9 samolotów z 59 komandosami.

W forcie tuż po północy ogłoszono alarm. Naczelne dowództwo wojsk belgijskich od wielu miesięcy miało wszelkie powody, aby uważać, że Niemcy dokonają agresji.

Załogi bunkrów zajęły miejsca przy armatach i karabinach maszynowych, ale nikt nie wierzył, że ktoś mógłby zaatakować fort położony na niedostępnym wzgórzu. Żołnierze drzemali więc w spokoju.

W bunkrze "Maastricht 2" kapral Henri Lacluse wyjrzał przez szczelinę obserwacyjną. Wstawał pogodny, cichy dzień. Kapral ziewnął i wrócił do swojego miejsca, jakie wymościł sobie obok siodełka celowniczego działa kal. 75 mm. Zapadał znów w sen, gdy nagle zadzwieczał telefon. Odebrał go porucznik dowodzący załogą bunkra. Słuchał przez chwilę, a na jego twarzy widać było narastające napięcie. Odłożył słuchawkę.

- Mówią, że nadlatują samoloty - powiedział niepewnie. Przez chwilę panowała cisza.

- Nic przecież nie słychać... - zauważył któryś z żołnierzy.

- Nie nasza sprawa - odburknął porucznik. - W razie ataku wszystkie bunkry mają nawzajem osłaniać się ogniem.

- Jak to "ataku"?! Przecież ani samoloty, ani spadochroniarze nie mogą tu wylądować. Jakim cudem?! - dopytywał się Lacluse.

Miał rację. Na łące pagórka kryjącego fort nie mógłby wylądować samolot transportowy. Desant spadochroniarzy też był mało prawdopodobny. Spadochroniarze skakali z wysokości od 120 do 250 metrów, mając przy sobie tylko pistolety i granaty. Karabiny, broń ciężką, materiały wybuchowe zrzucano w oddzielnych zasobnikach. Tak więc nad Eben Emael samoloty ze spadochroniarzami musiałyby nadlatywać kolejno, wielu skoczków wiatr prawdopodobnie zniósłby poza teren fortu, wielu pozostałoby bez broni, nie mogąc odszukać pojemników, a cała operacja trwałaby tak długo, że załoga fortecy bez trudu uporałaby się z napastnikami.

Z tego względu na powierzchni fortu nie zamontowano żadnych zapór przeciwdesantowych. A przecież wystarczyłoby wkopanie kilkudziesięciu drewnianych słupów, by nie wylądował tam żaden desant. Belgijscy dowódcy, rozważając możliwość zaatakowania twierdzy z powietrza, nie wzięli pod uwagę tego, że na łące - za małej dla spadochroniarzy i samolotów transportowych - jest wystarczająco dużo miejsca dla szybowców. Ale przed wojną mało kto słyszał o spadochroniarzach;

o szybowcach w ogóle się nie mówiło.

- Bunkry mają nawzajem osłaniać się ogniem! To jest rozkaz, kapralu! - powtórzył porucznik, który nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję na temat możliwości zaatakowania fortu. Odwrócił się na pięcie i poszedł do radiotelegrafisty zamkniętego w oddzielnym pomieszczeniu. Po chwili jednak wyjrzał stamtąd.

- I dość tego spania. Uzupełnić amunicję przy działach! Alarm jest!

Żołnierze zajęli bez przekonania wyznaczone miejsca.

Lacluse zdjął słuchawkę telefonu i przez chwilę stukał w widelki.

- Co jest, do diabła?! - Usłyszał po chwili zaspany głos.

- Uzupełnić magazyny! Rozkaz porucznika! - powiedział Lacluse i powrócił do drzemki.

W korytarzu prowadzącym do każdego z bunkrów znajdowały się podręczne magazyny pocisków, do których trzeba było dowieźć naboje z głównego magazynu, umieszczonego kilka pięter niżej.

Po paru minutach z korytarza dobiegł szum windy. Znak, że na dole, w głównym magazynie amunicji, rozpoczęła się praca. Metalowe kraty windy rozsuwały się ze szcękaniem, żołnierze wyciągali metalowe skrzynie z nabojami, a następnie układali amunicję na półkach podręcznego magazynu.

Tymczasem na wysokości 2130 metrów bombowce odczepiły hole i wykonały ciasny skręt. 9 szybowców z żołnierzami grupy "Granit" wyrównało lot. Znajdowali się w odległości około 15 kilometrów od celu.

- Przygotować się! - krzyknął do żołnierzy w szybowcu nr 1 porucznik Delica, który pod nieobecność Witziga przejął dowodzenie grupą.

Szybko zbliżali się do celu. Po kilkunastu minutach zobaczyli wylaniające się z porannej mgły zarysy łąki, na której mieli wylądować. Piloci skierowali szybowce stromo w dół, aby do minimum skrócić dobieg przy lądowaniu. W odpowiednim momencie wyrównali lot i szybowce jeden po drugim zaczęły siadać na łące, z której wystawały kopuły i bunkry fortu. Było cicho - nieomylny znak, że obrońcy niczego się nie spodziewają.

- Otworzyć drzwi! Odrzucić pokrywy kabin! - krzyknął Delica.

Żołnierze wysypali się z maszyn. Zatrzymali się na chwilę, aby zlokalizować cele i natychmiast ruszyli przed siebie. Naraz z północnej strony rozległy się strzały. To poczwórnie sprzężony karabin maszynowy - jedyne stanowisko obrony przeciwlotniczej w potężnym forcie - rozpoczął ogień do lądujących szybowców. Kanonada nie trwała długo, gdyż niemiecka seria ścięła obsługę stanowiska. Po chwili jednak miejsce zabitych zajęli inni żołnierze i karabin ponownie zaczął ostrzeliwać szybowce. Nie na długo. Wybuchy kilku granatów, celnie rzuconych przez komandosów, wybiły

obsługę i zniszczyły karabin. Fort nie mógł już się bronić przed nadlatującymi szybowcami.

Delica spojrzął na zegarek; minęło 1,5 minuty od chwili, gdy jego szybowiec wylądował. Plany przewidywały, że dla całości akcji największe znaczenie będzie miało pierwsze dziesięć minut walki. Jeżeli w tym czasie komandosom uda się zniszczyć większość punktów obserwacyjnych i unieszkodliwić działa - wygrają.

Żołnierze skupili się wokół niego. Wskazał najbliższy cel, który w niemieckich planach oznaczono jako obiekt nr 12 - betonowy bunkier z trzema działami kal. 75 mm i pancerną kopułą obserwacyjną. Lufy obracały się już w ich stronę. Delica podbiegł w tamtym kierunku. Po kilkunastu sekundach padł tuż przed pancerną płytą osłaniającą lufy działa. Tu był bezpieczny, gdyż konstruktorzy bunkra nie umieścili w nim strzelnic, przez które obrońcy mogliby wyrzucić granaty. Nie mogli więc nic zrobić Niemcowi, ale on z kolei nie miał ładunków kumulacyjnych. Dał znak dwóm najbliższym znajdującym się żołnierzom. Zaczęli czołgać się w jego stronę, ciągnąc za sobą talerzowe puszkę. Mimo nasilającego się ognia karabinów maszynowych dotarli do miejsca, gdzie ukrył się Delica, i podsunęli mu dwa ładunki. Porucznik przyklęknął i umieścił na betonowym występie przy pancerniej płycie 12,5-kilogramowy ładunek. Wcisnął sworzeń zapalnika i odczołgał się o kilka metrów. Po 9 sekundach wybuch wepchnął płytę osłaniającą działą do wnętrza bunkra. Pozostałe dwa działa przerwały ogień.

Delica uznał, że załoga oszołomiona wybuchem albo uciekła w głąb schronu, albo pozostała na stanowiskach, lecz przez kilkadziesiąt sekund nie będzie w stanie się bronić. Wyskoczył z dołu chroniącego go przed pociskami, podbiegł do bunkra i schwycił lufę działa. Stopę wsunął w występ betonu i wspiał się na dach bunkra. Drugi żołnierz, który w tym czasie dopadł do ściany i oparł się o nią plecami, podał mu ciężką dwuczęściową minę kumulacyjną. Delica umieścił podstawę miny na pancerniej kopule obserwacyjnej. Nałożył na nią drugą część, z wystającym przyciskiem zapalnika. Uderzył go dłonią i zeskoczył z bunkra. Po 9 sekundach mina eksplodowała, przepalając pancerną kopułę. Fort stracił jeden z punktów obserwacyjnych.

Dalej - w kierunku zachodnim - widniała pancerna wieżyczka z dwoma działami kal. 75 mm. Wysunięta tuż nad ziemię, ostrzeliwała łąkę, na której stały szybowce. Nie można się było do niej podczołgać, gdyż drogę odcinał grad pocisków z karabinów maszynowych któregoś z północnych bunkrów. Delica przyglądał się celowi przez lornetkę. Działa strzelały metodycznie, bez pośpiechu. Co prawda nie mogły wyrządzić wiele szkody komandosom, którzy już wylądowali, ale można się było spodziewać, że lada moment dotrą następne szybowce, a wówczas ogień dwóch dział mógł spowodować wiele szkód.

- "Granit" wzywa "Orła"! - Delica zaczął wywoływać przez radiostację dowództwo operacji w Niemczech.

- "Orzeł", zgłaszam się - usłyszał po chwili.

- Potrzebujemy wsparcia lotniczego. Obiektu nr 23 nie udało się zniszczyć. Powtarzam: obiekt 23.

- Zrozumiałem, obiekt nr 23. Wysyłamy samoloty.

Po kilkunastu minutach nad fortem Eben Emael pojawiły się bombowce nurkujące Ju 87. Zatoczyły ciasne koło i przez chwilę krążyły poszukując celu, aż nagle runęły w dół z wyciem silników. Na niewielkiej wysokości spod ich kadłubów oderwały się bomby, które z niezwykłą precyzją trafiły w najbliższe sąsiedztwo pancernerj wieżyczki. Jedna z bomb eksplodowała w odległości 3 metrów, wyrwijąc kawał betonu z podstawy wieży. Załoga natychmiast zamknęła wieżyczkę. Kopulasty dach zrównał się z ziemią, a betonowy kołnierz zakrył strzelnice. Belgijscy żołnierze byli bezpieczni, gdyż 250-kilogramowe bomby Ju 87 nie mogły przebić 40-centymetrowego pancerza. Do końca walki Belgowie nie odważyli się podnieść wieżyczki i ostrzeliwać napastników.

W północnej części fortu grupa komandosów, dowodzona przez sierżanta Wenzela, niszczyła kopuły obserwacyjne i bunkry artyleryjskie. Systematycznie stosowano tę samą taktykę: najpierw strzelano w stronę celu z miotaczy ognia. Strugi płonącej cieczy rozlewały się na pancerzach i otworach strzelniczych; nie mogły zaszkodzić belgijskim żołnierzom, dobrze chronionym przez stalowe płyty i wielometrowe betonowe ściany, ale zmuszały ich do odejścia od strzelnic. Wtedy grupy atakujące podbiegały do bunkrów i zakładały ładunki kumulacyjne, które z niezwykłą siłą niszczyły cele.

Po pierwszych 10 minutach większość dział fortu zamilkła, zniszczona wybuchami ładunków kumulacyjnych. Ale do zwycięstwa było jeszcze daleko.

Delica wiedział, że w schronach i bunkrach podziemnych jest 700 żołnierzy. Gdyby wyszli na powierzchnię, z łatwością rozprawiliby się z 59 komandosami. W dodatku - w bezpośrednim sąsiedztwie fortu stała dywizja wojsk belgijskich: kilkanaście tysięcy żołnierzy gotowych do walki. Co prawda niewielkie oddziały tej dywizji ruszyły na pomoc załodze fortu i podjęły atak od strony północno-zachodniej, ale karabiny maszynowe komandosów zatrzymały ich skutecznie.

W każdej bitwie przychodzi chwila, w której obrońcy czują się zmęczeni, a atakujący zaczynają wątpić w zwycięstwo. Jest to czas, który może mieć decydujące znaczenie dla dalszej walki. W Eben Emael napięcie zaczęło słabnąć koło godziny 8.00. Większość dział była zniszczona, a kopuły obserwacyjne w większości rozbite, ale fort wciąż się bronił.

Karabiny maszynowe bunkrów nad Kanałem Alberta ostrzeliwały pozycje niemieckie w rejonie mostu na przedmieściach Canne. Tam belgijscy żołnierze na widok lądujących szybowców wysadzili jedno z przęseł, zamykając drogę niemieckim oddziałom idącym wspomóc komandosów walczących w forcie. 51. batalion saperów zaległ na prawym brzegu kanału pod ogniem bunkrów Eben Emael.

I wtedy nad fortem pojawiły się dwa szybowce. To przybywali komandosi Witziga, którzy po zerwaniu się holu wylądowali na polu pod Kolonią, zarekwirowali samochody w pobliskiej wsi i dojechali na lotnisko, skąd ponownie wyruszyli w rejs.

O 8.30 szybowce z 24 komandosami wylądowały. Ich przybycie dodało atakującym sił. Poderwali się do walki. Witzig z kilkoma komandosami pobiegli w stronę skarpy opadającej do Kanału Alberta. Tam na dole był bunkier blokujący ogniem przejście przez zniszczone przęsło mostu w Canne. Niemcy nie mieli lin, aby opuścić się na dół. Witzig umieścił więc ładunki wybuchowe na szczycie skarpy i zdetonował je. Masa ziemi wyrwana wybuchem spadła w dół, zakrywając wieżyczkę obserwacyjną. Bunkier zamilkł.

Na górze kilku komandosów podczołgało się do strzelnic bunkra artyleryjskiego "Maastricht I". Ładunki wybuchowe wyrwały pancerną osłonę działa i przez ten otwór Niemcy wpadli do środka. Belgowie po metalowych schodach zbiegli kilkanaście metrów na dół, gdzie mieściły się magazyny amunicji i korytarze prowadzące do pozostałych części fortu. Zamknęli pancerne drzwi i zasunęli stalowe przegrody. Nie zdążyli jednak ułożyć worków z piaskiem, które wzmocniłyby barykadę. Zasunęli rygle w drugich drzwiach pancernych. Za nimi ustawili karabin maszynowy na wypadek, gdyby Niemcy sforsowali przeszkody. Nie potrafili sobie wyobrazić siły ładunków wybuchowych, którymi dysponowali napastnicy.

Komandosi w ślad za obrońcami zeszli po schodach i stanęli przed zaryglowanymi drzwiami. Domyślali się, że tędy prowadzi droga do wnętrza fortu. Założyli ładunki wybuchowe i wycofali się do bunkra na górze. Po kilkudziesięciu sekundach potężna eksplozja wyrwała drzwi, rozsadziła stalowe belki i wyważyła drugie pancerne drzwi. Trzymały się wprawdzie na zawiasach, ale otworzyły się z takim impetem, że wycisnęły w betonie ślad. Fala wybuchu, niosąca setki metalowych strzępów, zabiła pięciu belgijskich żołnierzy, którzy za prowizoryczną barykadę szykowali się do odparcia ataku. Podmuch eksplodującego ładunku poszedł także w drugą stronę i zmiotł metalowe schody wiodące do bunkra. Już nikt nie mógł przecisnąć się przez poskręcane, porozrywane pręty i blachy klatki schodowej.

Tymczasem bunkier "Maastricht 2" się bronił. Żadne z dział nie zostało zniszczone.

- Niemcy zeszli na dół, do podstawy "Maastricht I" - krzyknął w pewnym momencie telefonista, który wychylił się ze swojej kabiny. Ludzie przy działach odwrócili się w jego stronę.

- Pięciu zginęło w korytarzu! - informował dalej.

- Zamknij się! - krzyknął porucznik. - Na stanowiska!

- Panie poruczniku! Powinniśmy się poddać! - krzyknął któryś z działonowych.

- Pod sąd! - zagroził dowódca wymachując pistoletem.

Zdawał sobie sprawę, że po kilku godzinach walki wieść o losie załogi bliźniaczego bunkra może podziałać demoralizująco. Dotychczas jego żołnierze osłonięci pancierzami i betonem czuli się bezpiecznie i dzielnie walczyli. Dochodziły wprawdzie informacje o zniszczeniu kilku dział, ale było wiadomo, że straty w ludziach nie są duże. I nagle się okazało, że zabezpieczenia nie wystarczają. Morale żołnierzy broniących fortu, i tak niewysokie, nagle się załamało.

Wieść o losie załogi "Maastricht I" rozniosła się błyskawicznie po fortecy. Walka zaczęła słabnąć.

Fort Eben Emael, broniony przez 700 żołnierzy, kapitulował przed kilkudziesięcioma niemieckimi spadochroniarzami.

Zwycięstwo kosztowało Niemców 6 zabitych i 15 rannych. Załoga fortu, chroniona wielometrową warstwą betonu i stali, straciła 23 zabitych i 59 rannych.

Jeńców przez wiele miesięcy trzymano w ścisłym odosobnieniu, aby nie zdradzili efektów działania nowej broni niemieckiej - ładunków kumulacyjnych, które przepalały pancierz i beton...

Pierwszy Komandos Jego Królewskiej Mości

Podpułkownik Dudley Clarke zbiegł po schodach prowadzących do wyjścia z Ministerstwa Wojny. Zatrzymał się na dziedzińcu zastanawiając się, w którą stronę iść. Z reguły kierował się do Westminster Bridge, aby tam wsiąść do metra. Mieszkał na pograniczu bogatej dzielnicy Hamsted, oddalonej od miejsca jego pracy o dobrą godzinę marszu, ale tym razem postanowił skorzystać z możliwości spaceru.

Ostatnie dni spędzał w ogromnym napięciu. Z Francji ewakuowano jednostki Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego i wojsk francuskich, a Clarke - jako asystent generała Johna Dilla, szefa Imperialnego Sztabu Generalnego - był bezpośrednio zaangażowany w koordynowanie tej wielkiej akcji o kryptonimie "Dynamo". Tego dnia, 4 czerwca, o godzinie 14.23 ewakuacja spod Dunkierki oficjalnie się zakończyła.

Ponad 380 tysięcy żołnierzy dotarło do brytyjskich portów, ale na francuskim brzegu pozostał cały ciężki sprzęt: działa, 63 tysiące samochodów, czołgi, pół miliona ton paliwa, amunicja, medykamenty. Była to poważna strata dla Brytanii, całkowicie nie przygotowanej do prowadzenia wojny, a wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie zatrzymają się nad brzegiem kanału La Manche, lecz zechcą dokonać inwazji na Anglię.

Clarke skręcił na Trafalgar Square i skierował się do góry, w stronę kościoła St. Martin. Przez ostatnie dni rzadko opuszczał gabinet i był przekonany, że Londyn opanowała atmosfera wojenna. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że na ulicach życie biegło normalnym trybem, a jedyną oznaką zagrożenia były torby masek gazowych, noszone przez przechodniów. Jednakże dawała się odczuć atmosfera przygnębienia. Klęska wojsk Francji, najbliższego sojusznika na kontynencie, uświadamiała Brytyjczykom, jaką potęgą jest Wehrmacht.

Społeczeństwo, które stawało wobec największego w swojej historii zagrożenia, musiało zebrać siły, umocnić się w przekonaniu, że potrafi zwyciężyć.

Premier Winston Churchill mówił w parlamencie: "Wszystko, co mogę wam dać to krew, pot, łzy i trud". Anglicy skłonni byli podejmować takie wyzwania, ale potrzebowali przy tym odrobiny nadziei, przypomnienia swej potęgi. Jednakże potęga należała do przeszłości... Wojska lądowe były nieliczne i za słabo uzbrojone, aby mogły stawić czoło Wehrmachtowi. Królewskie Siły Powietrzne miały za mało samolotów, by powstrzymać Luftwaffe. Jedynie Royal Navy była wystarczająco potężna, by pokonać wroga, ale Niemcy, wiedząc o tym, nie kwapili się do walnej bitwy morskiej. Wysyłali jedynie okręty podwodne, które wyrządzały Anglikom coraz większe straty.

Clarke pamiętał swą służbę w Palestynie, gdzie brytyjskie wojska usiłowały utrzymać w ryzach i Palestyńczyków, i Żydów. Mimo zdecydowanej przewagi ponosiły dotkliwie straty zadawane przez niewielkie oddziały wyposażone w zdobyczną broń i prawie w ogóle nie wyszkolone, ale działające z determinacją, a nawet fanatyzmem.

Dlaczego więc nie wykorzystać tego przykładu i nie rzucić przeciwko Niemcom niewielkich jednostek uderzających w najczulsze punkty dniem i nocą? Niemcy nie mogli przecież upilnować

wszystkich granic Rzeszy, granic, które po ostatnich podbojach rozciągnęły się na wiele tysięcy kilometrów. Co więcej, dywersanci dobijający do brzegów Francji w niewielkich grupach mogliby liczyć na pomoc ludności z okupowanych terenów i współpracować z miejscowymi oddziałami ruchu oporu, a to bardzo ułatwiłoby zadanie.

W Wielkiej Brytanii nie było jednak żołnierzy, którzy potrafiliby przebyć kanał i zaatakować niemieckie stanowiska. Jedynie Royal Marines byli szkoleni w tym celu, lecz wobec groźby niemieckiej inwazji skierowano ich do obsługi dział na pokładach okrętów strzegących i pilnowania rodzimych brzegów. Należało stworzyć dopiero specjalne jednostki.

Clarke dotarł do domu około godziny 18.00 i usiadł do pisania memorandum dla swego szefa. Przedstawił w nim ideę zorganizowania jednostek komandosów.

6 czerwca Clarka wezwał generał John Dill.

- Twój projekt spodobał się Churchillowi - powiedział, gdy tylko podpułkownik zameldował się w jego gabinecie.

- Bardzo się cieszę, sir.

- Twoim zadaniem będzie zorganizowanie takich jednostek i przygotowanie operacji na francuskim brzegu. Liczę, że nastąpi to wkrótce, choć rozumiem skalę trudności. Dzisiaj wyślę rozkaz do dowódców z Home Command, aby zebrali ochotników. Proszę przygotować wskazówki, którymi powinni się kierować przy wyborze kandydatów.

*Ochotnicy powinni być przygotowani do dłuższej służby, cięższej pracy i krótszego odpoczynku niż rekruci innych rodzajów sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości. Będą szkoleni do prowadzenia zwiadu, przebywania przez dłuższy czas w terenie, niewidocznego poruszania się w dzień i w nocy, podkradania się do nieprzyjaciela i donoszenia o jego działaniach - pisał Clarke *.*
[Dalsze losy podpułkownika Clarke'a w rozdziale pt: "Pojedynek na pustyni".]

Taka perspektywa bardzo przypadła do gustu kapitanowi Durnfordowi Slaterowi z 23. pułku Royal Artillery w Plymouth. Zaraz po zapoznaniu się z pismem Clarke'a pobiegł do dowódcy.

- To jest dokładnie to, co chciałbym robić - oświadczył. - Czy zwolni mnie pan ze służby w swoim pułku?

Pułkownik spojrzał na niego z niechęcią. Nie mógł zabronić kapitanowi odejścia do oddziału komandosów, a jednocześnie nie miał zamiaru pozbywać się najlepszego oficera w jednostce.

- Napiszcie pismo w tej sprawie - powiedział po namyśle. Uważał, że gra na zwłokę przynosi dobre rezultaty w każdej sytuacji. - Rozpatrzę je i dam wam odpowiedź.

Slater nie miał jednak zamiaru czekać. Uznał, że wyczerpał drogę służbową - jak to określał regulamin - i szybko dotarł do podpułkownika Clarke'a. Ten wysłał list do dowódcy 23. pułku Royal

Artillery:

Kapitan J.F. Durnford Slater, RA, wyznaczony został do zorganizowania i dowodzenia No 3 Commando w stopniu podpułkownika. Proszę udzielić mu wszelkiej pomocy i jak najszybciej zwolnić [z dotychczasowych obowiązków - B W].

W ten sposób kapitan J.F. Durnford Slater został pierwszym brytyjskim komandosem II wojny światowej i rozpoczął podróż po garnizonach południowej Anglii, poszukując oficerów do swojego oddziału. Uporał się z tym zadaniem szybko i już 5 lipca jego oddział przemaszerował ulicami Plymouth.

Półowiczny Sukces

Winston Churchill machnął ręką na powitanie policjantowi stojącemu przy drzwiach budynku na Downing Street 10 i wszedł do hallu, gdzie oddał kamerdynerowi kapelusz.

- Piękny dzień, nieprawdaż, sir? - Kamerdyner wypowiedział na powitanie żelazną formułkę.

- Chyba oszalałeś, Bates - ofuknął go Churchill i skierował się w stronę schodów prowadzących do gabinetu na pierwszym piętrze.

Zamknął za sobą starannie drzwi i podszedł do okna. Dzień był rzeczywiście piękny. Na niebie nie pojawiła się ani jedna chmura. Jemu zaś wydawało się, że to najgorszy dzień, jaki mógł przydarzyć się w życiu premiera Wielkiej Brytanii. 22 czerwca 1940 r. przyniósł fatalne wiadomości: najbliższy i najpotężniejszy sojusznik na kontynencie - Francja - podpisała zawieszenie broni! Churchill mógł spodziewać się tego od dawna, ale oficjalne potwierdzenie złych oczekiwań podziało na niego przygnębiająco. Wielka Brytania pozostała teraz jedynym państwem w Europie, gotowym stawiać opór niemieckiej potędze.

Premier obciął koniec cygara gilotynką, zapalił je i usiadł niezgrabnie na w fotelu za biurkiem.

Leżały przed nim równo ułożone papiery, które powinien przejrzeć, ale nie miał na to najmniejszej ochoty. Pomyślał jednak, że lektura może rozproszyć czarne myśli i zabrał się do wertowania kartek. Nagle wzrok jego padł na dokument zatytułowany "Operacje desantowe specjalnych oddziałów Wehrmachtu". Premier nie sprawdził, kto jest autorem tego opracowania, ale tytuł przyciągnął jego uwagę. Uwielbiał niekonwencjonalne działania i uważał, że przy ogromnej dysproporcji sił Wehrmachtu i British Army działania jednostek specjalnych mogą mieć wielkie znaczenie.

Dokument zawierał dość ogólnikowy opis działania niemieckich spadochroniarzy w Polsce*[* We wrześniu 1939 r. Niemcy, chcąc zachować w tajemnicy istnienie wojsk powietrzno-desantowych, przeprowadzili na terenie Polski tylko niewielkie akcje: 1. batalion 2. pułku 22. dywizji dokonał desantu na lotnisku w Dęblinie, a 2. batalion desantował się w rejonie Przełęczu Dukielskiej. Ponadto żołnierze 2. batalionu 1. pułku walczyli w rejonie Woli Gułoskiej, gdzie zginął pierwszy niemiecki spadochroniarz w II wojnie światowej.] we wrześniu 1939 r., w Holandii w maju 1940 r. oraz w belgijskim forcie w Eben Emael.

Churchill złożył równo kartki i sięgnął po pióro. Pisał:

Do gen. Hastingsa Ismaya [szefa oddziału wojskowego sekretariatu Gabinetu Wojennego - B W]. Powinniśmy mieć oddział co najmniej 5 tysięcy spadochroniarzy (...). Proszę mi przedstawić raport na ten temat.

Generał Ismay wiedział doskonale, że zwrot "przedstawić raport" oznacza "poinformować, co już zrobiono", a premier słynął z żelaznej konsekwencji. Generał zaczął działać. Dwa dni później

przekazał majorowi Johnowi Rockowi rozkaz zorganizowania brytyjskiego oddziału powietrznodesantowego.

Rock nie był zachwycony. Nie wiedział, jakie zadania ma wykonywać nowa jednostka, nigdy nie skakał ze spadochronem, nie wiedział, skąd ściągnąć ludzi, samoloty i niezbędny sprzęt.

Pomogło mu dowództwo Royal Air Force, które oddelegowało instruktorów uczących pilotów samolotów myśliwskich i bombowych, jak ratować się na spadochronach, dostarczyło niezbędny sprzęt treningowy, a nawet oddało sześć samolotów bombowych Armstrong-Whitworth Whitley.

Już 13 lipca 1940 r. pierwsi ochotnicy mogli przeżyć emocje skoków z samolotów, w których zdemontowano tylną wieżyczkę. Spadochroniarz stawał tyłem do wąskiego otworu w ogonie samolotu, a instruktor pociągał za rączkę jego spadochronu. Z zasobnika na plecach wypadała czasza, którą natychmiast wypełniało powietrze, rozwijająca się czasza wyrwała skoczka z kadłuba. Wkrótce ułatwiono życie nieszczęśnikom narażonym na bardzo nieprzyjemne wyszarpywanie z samolotu, zmieniając technikę skoku. W podłodze kadłuba wycięto otwór o średnicy 90 centymetrów, przez który mógł się przecisnąć żołnierz ze spadochronem.

Niebawem inny problem zaprzętnął uwagę dowództwa nowego oddziału: bezpieczeństwo skoków. 25 lipca jeden ze skoczków zginął, gdyż jego spadochron się nie otworzył. W ciągu następnych dni zdarzyło się kilka mniej groźnych wypadków, których przyczyną była niewłaściwa konstrukcja spadochronów używanych dotychczas przez pilotów do awaryjnego opuszczania samolotu, ale nie przystosowanych do skoków żołnierzy obciążonych sprzętem i bronią. Podstawowy problem polegał na tym, że skoczek po opuszczeniu samolotu musiał pociągnąć za rączkę, która otwierała zasobnik na plecach, a pęd powietrza rozwijał wówczas czaszę. Było oczywiste, że przy masowym szkoleniu żołnierzy taka technika skoków będzie przyczyną wielu wypadków.

Jednakże wkrótce sir Raymond Quilter i James Gregory wymyślili nowy typ spadochronu, w którym nylonowa linka, przytwierdzona do uchwytu w kabine, wyciągała z zasobnika na plecach skoczka wewnętrzny pojemnik ze złożonym spadochronem; linki łączące pojemnik z uprzężą skoczka rozwijały się całkowicie i wtedy odpadał pokrowiec czaszy, która już bez przeszkód mogła swobodnie się rozwinąć. Czasza z naturalnego lub sztucznego jedwabiu miała średnicę 8,53 setne metra i przymocowana była do szelek spadochroniarza za pomocą 28 linek. Stabilność opadania zapewniał otwór o średnicy 56 centymetrów, wycięty pośrodku czaszy. Te spadochrony - nazwane "X-Type" okazały się bardzo dobre, aczkolwiek ich wadą była wrażliwość na wilgoć, utrudniająca lub nawet uniemożliwiająca otwarcie mokrego spadochronu.

Skoczkowie nie mieli spadochronu zapasowego, gdyż otwór w podłodze Whitleya był za mały, aby mógł przez niego przecisnąć się żołnierz z dodatkowym pojemnikiem na brzuchu. A ponadto sprzęt ten kosztował 60 funtów i był zbyt drogi, aby można było pozwolić sobie na zdublowanie go.

Inny problem, który musieli rozwiązać dowódcy jednostki powietrznodesantowej, polegał na wyposażeniu lądujących żołnierzy w broń niezbędną do podjęcia natychmiastowej walki. Było oczywiste, że spadochroniarze nie mogą opadać na ziemię objuczeni karabinami maszynowymi,

amunicją, granatami, zapasem żywności, medykamentów, nie mówiąc już o moździerzach, rusznicach przeciwpancernych itd. Najbardziej niezbędne wyposażenie ważyło kilkadziesiąt kilogramów; tak obciążony żołnierz, uderzając o ziemię mógłby doznać kontuzji. Początkowo próbowano dawać skoczkom tylko pistolety i noże, a resztę wyposażenia ładowano do oddzielnie zrzuconych pojemników przewożonych w komorach bombowych lub podczepionych na zewnątrz samolotu. Pozostawało jednak pytanie, czy żołnierze po wylądowaniu będą mieli czas, aby odnaleźć zasobniki, zidentyfikować je, rozpakować i przygotować się do wykonania zadania. A jeżeli będą musieli natychmiast podjąć walkę?

Postanowiono więc, że każdy spadochroniarz będzie wyskakiwał z samolotu z brezentowym pojemnikiem (tzw. LMG valise), zawierającym niezbędne wyposażenie. Brezentowe pasy pojemnika obejmowały szyję i kolana skoczka, który w prawej ręce trzymał klamrę zwalniającą zapięcia pasów. Kilkadziesiąt metrów nad ziemią szarpał za klamrę, powodując rozpięcie obydwu pasów, i zasobnik połączony sześciometrową linką z uprzężą spadochronu opadał tuż obok lądującego.

21 listopada 1940 r. grupa żołnierzy trenujących w Ringway została przemianowana na II Batalion Specjalnej Służby Powietrznej (II Special Air Service Battalion), w którym utworzono oddział spadochronowy oraz oddział szybowców.

O ile spadochronów starczyło dla wszystkich, o tyle na samoloty trzeba było trochę poczekać. Dowództwo złożyło zamówienie w dwóch zakładach lotniczych. General Aircraft Company opracowała szybowiec Hotspur Mk I, o rozpiętości 18 metrów, który mógł pomieścić 10 komandosów, i po udanych próbach wprowadzono do produkcji model MkII o mniejszej rozpiętości skrzydeł (14 m).

Po kilku miesiącach szkolenia nastroje w oddziale SAS zaczęły się pogarszać. Wprawdzie co pewien czas organizowano pokazy sprawności dla delegacji z Londynu, ale nic nie wskazywało na to, że w najbliższym okresie żołnierze zostaną skierowani do walki. Wielu zniechęconych złożyło podania o zgodę na powrót do rodzinnych jednostek. Premier Churchill też niecierpliwie oczekiwał na pierwsze dowody skuteczności jednostki, która powstała z jego inspiracji.

Zapewne głównie z tych powodów dowództwo zdecydowało się przystąpić do realizacji pierwszego bojowego zadania o charakterze sabotażowym. Jako cel ataku wybrano akwedukt Tragino we Włoszech. Zniszczenie tego obiektu mogłoby na pewien czas przerwać dostawy wody do południowej części kraju. Taki był oficjalny cel operacji, którą opatrzono kryptonimem "Colossus". W rzeczywistości chodziło o sprawdzenie przydatności wyszkolonych spadochroniarzy i możliwości organizowania większych akcji dywersyjnych na tyłach wroga.

Był dżdżysty styczniowy poranek 1941 r., gdy komandosi ustawili się w szeregu na placu apelowym. Zaskoczyło ich nagle wezwanie na zbiórkę, ale nie spodziewali się żadnych rewelacji, co najwyżej informacji o nowych ćwiczeniach.

Po kilku minutach z budynku dowództwa wyszedł podpułkownik Jackson i niespiesznie skierował się w stronę niewielkiej trybunki.

- Wiem, że rwiecie się do walki! - powitał żołnierzy. Odpowiedział mu pomruk potwierdzenia.

- Nadszedł czas, aby spełnić to marzenie. Wzywam ochotników do wykonania rajdu na głębokim zapleczu wroga... - Pułkownik zawiesił głos i spojrział z góry na żołnierzy, którzy, jak na komendę, wystąpili o krok do przodu; zgłosili się wszyscy.

Do grupy nazwanej "Oddział X II SAS" wybrano 7 oficerów i 31 żołnierzy, których wyniki szkolenia dawały gwarancję, że potrafią sprawnie przeprowadzić pierwszą akcję.

Przygotowano się do niej bardzo starannie. Na podstawie analizy zdjęć lotniczych na poligonie w Tatton Park w Ringway wybudowano dokładną kopię odcinka akweduktu i makietę terenu, w którym mieli poruszać się komandos. Mogli poznać najłabsze miejsca konstrukcji i nauczyć się instalowania ładunków wybuchowych.

Nocą 7 lutego 1941 r. z lotniska Mildenhall w Suffolku wystartowało 6 bombowców Whitley z 91. dywizjonu RAF, na których pokładach było 38 komandosów. Polecieli na Maltę. W tym samym czasie do ujścia rzeki Sele dotarł okręt podwodny Triumph, który miał oczekiwać na powrót komandosów, aby bezpiecznie ewakuować ich z wrogiego terenu. Innej możliwości powrotu do Anglii nie przewidziano, o czym dowódca okrętu wiedział.

10 lutego bombowce z komandosami wystartowały z Malty i skierowały się do Włoch. Późnym wieczorem znalazły się nad rejonem Tragino i rozpoczęły zrzuty spadochroniarzy i zaopatrzenia. Niestety nawigator pierwszego samolotu zmylił kurs i grupa saperów wylądowała zbyt daleko od wyznaczonego miejsca, aby dotrzeć na zbiórkę oddziału. Dowódca akcji major T. Protchard musiał zdecydować, czy pozostali żołnierze zdołają przeprowadzić atak. Mieli ze sobą 450 kilogramów ładunków wybuchowych, co powinno wystarczyć do wysadzenia rurociągu. O godzinie 00.30 laski dynamitu umocowano na przesłach akweduktu, a parę ładunków podłożono pod słupy pobliskiego drewnianego mostu.

O godzinie 00.45 obydwie obiekty wyleciały w powietrze.

Zadanie zostało wykonane, ale rozpoczęła się część akcji znacznie trudniejsza niż wysadzenie niebronionego obiektu; komandosi musieli przemierzyć 80 kilometrów nieprzyjaznego terenu i dotrzeć do ujścia Sele, gdzie miał oczekiwać okręt podwodny. Podzielili się na trzy grupy i rozpoczęli marsz, który przewidziano na 4 doby. Żadna z grup nie dotarła do wyznaczonego miejsca. Wszyscy żołnierze zostali schwytani przez policję i wojsko, zaalarmowane przez okoliczną ludność. Podobny los spotkał grupę saperów, którzy uznali, że nie warto mozolnie przedzierać się przez górzisty teren i w pierwszej napotkanej wsi zgłosili się do wójta, żądając udostępnienia środków transportu. Wójt zdołał zawiadomić pobliski oddział wojska, który otoczył i rozbroił nierozważnych saperów.

Komandosi i tak nie uniknęliby włoskiej niewoli, gdyż okręt podwodny oczekujący u ujścia Sele musiał przedwcześnie odpłynąć. Na brzegu rozbił się samolot i dowódca oczekującego Triumphu - obawiając się, że na miejsce wypadku lada moment przybędzie wojsko - zdecydował się ujść w morze, pozostawiając spadochroniarzy własnemu losowi.

Znaczenie militarne działań 38 żołnierzy było nieznaczące, ale wiadomość o akcji na tyłach wroga wzmocniła morale spadochroniarzy z Ringway oraz społeczeństwa brytyjskiego

przyłoczonego wiadomościami o katastrofalnej sytuacji na froncie.

Kilka miesięcy wcześniej komandosi podpułownika Slatera wyruszyli do walki, ale ich wypad na Guernsey - niewielką wyspę na kanale La Manche - miał charakter treningowy. Otrzymali rozkaz zlikwidowania nabrzeżnego stanowiska karabinu maszynowego i przecięcia linii łącznościowych, a w tym czasie druga grupa - 11. Independent Company - miała zaatakować lotnisko wojskowe i zniszczyć co się da.

W niedzielę 14 lipca 1940 r. o godzinie 18.00 obydwie działy wyruszyły do akcji z portu w Dartmouth na pokładach niszczycieli Scimitar i Saladin. Za nimi płynęły barki RAF, używane na co dzień do ratowania rozbitków, ale wobec braku jednostek desantowych, miały w ostatniej fazie podróży przewieźć komandosów z niszczycieli na ląd.

Gdy tylko armada wyszła z portu, zaczęły się kłopoty. Dwie barki zawróciły ze względu na awarie silników. Te, które kontynuowały rejs, mogły zaalarmować Niemców, gdyż silniki pracowały tak głośno, że słychać je było z odległości wielu mil. Ale to był dopiero początek złej passy.

Koło północy niszczyciele zbliżyły się do północnego krańca wyspy i komandosi przesiedli się do barek. Jednakże zamiast w stronę wyspy popłynęli z powrotem do Wielkiej Brytanii, gdyż kompas dowódcy źle wskazywał strony świata. Błąd wykryto po wielu minutach, gdy barki przebyły już spory kawał. Zawróciły i dopiero po 1.00 zbliżyły się do brzegu, gdzie tymczasem zaczął się przyływ. Żołnierze musieli wskakiwać do wody głębokiej na półtora metra. Próby przetransportowania na brzeg moździerzy i ciężkich karabinów maszynowych zakończyły się niepowodzeniem; cały ciężki sprzęt zatonął. W dodatku pogoda gwałtownie się popsowała. Deszczowe chmury skryły księżyc i komandosi, błędząc po ciemku, mieli ogromne kłopoty z odnalezieniem celu. Gdy wreszcie zlokalizowali stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego, które mieli zniszczyć, okazało się, że nie ma tam ani broni, ani żołnierzy. Nagle Durnford Slater przewrócił się, a jego odbezpieczony thompson wystrzelił serię, która zaalarmowała Niemców. Na szczęście nie potrafili oni zlokalizować napastników i Brytyjczycy bez strat wycofali się do miejsca zbiórki. Tam z kolei okazało się, że barki kołyszą się na falach kilkadziesiąt metrów od brzegu i trzeba do nich dopłynąć. Czterech komandosów przyznało się, że nie umie pływać. Pozostawiono ich na brzegu.

Żołnierze z 11. Independent Company też nie mieli szczęścia. Złe kompasy naprowadziły jedną z łodzi na skałę, gdzie zatonęła. Pozostali dotarli co prawda do brzegu, ale nie zdołali odnaleźć lotniska i powrócili na niszczyciel.

Premier Winston Churchill na wieść o fiasku pierwszego rajdu powiedział: “Niech już nie będzie takich głupich niepowodzeń jak na Guernsey”.

Durnfordowi Slaterowi okazja do zrehabilitowania się żołnierzy trafiła się kilka miesięcy później, 1 marca 1941 r. 500 komandosów z Commando 3 i 4 oraz saperów z Royal Engineers wyruszyło na pokładach promów kursujących w czasie pokoju po kanale La Manche - Princess Emma i Princess Beatrix - na norweskie wyspy odległe o 900 mil morskich - Lofoty. Powodzenie tak dalekiego rajdu musiałyby wywołać wiele hałasu w świecie i to był główny powód zorganizowania tej wyprawy. Wyspy nie miały bowiem większego znaczenia militarnego. Znajdowały się tam

przetwórnice tranu, których zniszczenie postawiono za główny cel misji. Ponadto komandosi mieli zachęcić Norwegów zdecydowanych do walki z Niemcami do wstąpienia do oddziału. Mieli także aresztować kolaborantów.

W czterech portach, do których komandosi dobili na nowych okrętach LCA, opuszczonych przed akcją z promów, ludność zgotowała im owacyjne powitanie. Jedynie niemiecki trawler narobił trochę kłopotu, rozpoczynając ogień do konwoju, ale szybko został zatopiony pociskami z niszczyciela HMS Somali, osłaniającego operację. Komandosi wysadzili przetwórnice tranu, zabrali ze sobą 300 ochotników, którzy zdecydowali się podjąć walkę z Niemcami w szeregach British Army i nie niepokojeni wrócili do kraju. Ich najchlubniejszy czas miał dopiero nadejść...

Cieszę się, że pan się zgodził - generał wyciągnął rękę w stronę sierżanta Coxa. Ten, zaskoczony, wymamrotał jakąś formułkę. Zupełnie nie wiedział, o co chodzi generałowi. Na nic się nie zgadzał. Kazano mu stawić się w Ministerstwie Lotnictwa 1 lutego 1942 r. o godzinie 9.00, więc wykonał rozkaz nie mając pojęcia, o co chodzi.

- To trudna i niebezpieczna misja. Nie mogę teraz oczywiście wyjawić panu szczegółów. Pozna je pan w odpowiednim czasie - mówił dalej generał.

Tak rozpoczął się długi i zmudny trening sierżanta Coxa, który po paru dniach doszedł do wniosku, że jego zadaniem będzie zniszczenie lub zdemontowanie stacji radiolokacyjnej.

Niemcy, którzy w czasie bitwy o Anglię w 1940 r. nie mieli pojęcia, jak skuteczną bronią są radary, i jak bardzo ułatwiły Brytyjczykom obronę, w 1941 r. poczynili znaczące postępy w konstruowaniu stacji radiolokacyjnych i budowie sieci posterunków na brzegach Francji. Zdjęcia lotnicze wykazały, że w Normandii wybudowano 15 stacji, a najnowocześniejsza mieściła się we wsi Bruneval, około 20 kilometrów na północ od Le Havre.

Prostokątna antena, otoczona niskim murkiem, została umieszczona na wysokich skałach, w odległości 100 metrów od brzegu. Dalej, w głębi lądu, znajdowała się piękna normandzka willa, w której mieszkała obsługa licząca prawdopodobnie dziesięciu specjalistów.

To miejsce wydawało się doskonale zabezpieczone przed atakami. Od strony morza dostępu broniła skalista ściana wznosząca się na wysokość 100 metrów nad wąskim skrawkiem kamienistej plaży. Łodzią można było dobić do wsi Bruneval, ale nad drogami prowadzącymi ze wsi do stacji radiolokacyjnej zlokalizowano 15 stanowisk karabinów maszynowych. Nie dało się podejść niepostrzeżenie do willi, a na głos alarmu do walki włączyłby się 100-osobowy oddział strażniczy, kwaterujący w budynkach farmy La Presbytere, odległych o około 350 metrów od radaru. Kilometr dalej stacjonował pułk piechoty, a w odległości kilku kilometrów batalion dysponujący samochodami pancernymi.

Jednakże dowódca operacji, major John D. Frost, analizując zdjęcia lotnicze doszedł do wniosku, że teren nadaje się doskonale dla spadochroniarzy. Mogli wylądować w wielu punktach równocześnie i podjąć symultaniczny atak na niemieckie stanowiska. Latarnia morska na Cap d'Antifer była doskonałym drogowskazem. Plan zaakceptowano. Komandosi mieli być zrzućeni z pokładu bombowców RAF, a po wykonaniu zadania zabrałyby ich z plaży Bruneval okręty Royal Navy.

Noc z 27 na 28 lutego 1942 r. przyniosła wymarzoną pogodę do przeprowadzenia operacji tego rodzaju. Księżyc świecił jasno przez rzadkie chmurki.

W kabinach bombowców Whitley, nie przystosowanych do transportu ludzi, panowało przenikliwe zimno. Dlatego też wyposażono komandosów w śpiwory, które rozłożyli na podłodze, gdy tylko weszli na pokłady bombowców.

O godzinie 23.30 dowodzący grupą 12 bombowców Wing Commander Pickard nadał sygnał: "Przygotować się do akcji". Samoloty zbliżały się do francuskiego brzegu.

Komandosi zwinęli śpiwory i ustawili się w szeregach.

Zielone światło na kabinie pilotów i przenikliwy brzęczyk oznaczały, że samoloty znajdują się w pobliżu celu. Jeden po drugim spadochroniarze wysuwali się przez dziurę w podłodze w czarną przepaść.

Sierżant Cox wylądował sprawnie. Godziny spędzone na treningach nie były zmarnowane. Zwinął spadochron i zaczął rozglądać się za pojemnikiem z ciężką bronią, materiałami wybuchowymi i narzędziami niezbędnymi do demontażu urządzeń stacji radiolokacyjnej. Znalazł go bez trudu w śniegu pokrywającym pola Bruneval i tuż potem dołączył do oddziału porucznika Younga mającego opanować radar. Major Frost dowodził drugą grupą, która skierowała się w stronę normandzkiej willi. Trzeci oddział blokował drogę prowadzącą z farmy La Presbytere, a czwarty powinien przebić się do skał i oczyścić drogę do plaży.

Niemcy - całkowicie zaskoczeni atakiem - porzucili nietknięte urządzenia elektroniczne i schronili się na farmie. Cox dopadł do radaru i, nie zważając na strzelaninę, przystąpił do demontażu. Ostrzał nasilał się. W pewnym momencie pocisk wytrącił sierżantowi z ręki część, którą właśnie wymontował. Nie przerwał jednak pracy i po kilkunastu minutach elementy stacji leżały na betonowym cokole. Trzej saperzy zaczęli przygotowywać ładunki wybuchowe.

- Wycofujemy się! - Z oddziału majora Prosta nadszedł sygnał odwrotu. Na drodze prowadzącej do La Presbytere dostrzeżono światła pojazdów. Niemcy mogli przystąpić do kontrataku, a jeżeli udałoby im się ściągnąć na pomoc samochody pancerne, mieliby możliwość odciąć Brytyjczykom drogę odwrotu. Teraz wszystko zależało od grupy, która miała zlikwidować stanowiska ogniowe broniące zejścia na plażę. Wydawało się, że droga jest czysta; gdy komandosi dotarli do wąskiej drogi, usłyszeli nawoływania:

- Łodzie są tutaj. Wszystko w porządku. Schodźcie na dół!

Kilku komandosów poderwało się, ale natychmiast grad pocisków przycisnął ich do ziemi. Domyślili się, że któryś z Niemców, znający angielski, krzychał z plaży, aby wciągnąć ich w pułapkę.

Dopiero ponieważ Frost się zorientował, że grupa, która miała utorować drogę do miasta, została zrzucona za daleko i nie zdążyła dotrzeć na czas.

- Lucky, bierz sześciu ludzi i atakuj bunkier na zboczu! - krzyknął do sierżanta.

Wszelkie wysiłki opanowania niemieckiego stanowiska okazały się bezowocne. Czas uciekał. Lada moment z tyłu mogły nadjechać niemieckie samochody pancerne. I wtedy w ciemnościach rozbłysły nagle latarki. Nadchodziła spóźniona grupa porucznika Charterisa. Tylko dzięki błyskom latarni na Cap d'Antifer odnaleźli drogę i sprawnie dotarli na miejsce. Ich przybycie dodało ducha komandosom tulącym się do skał, nad którymi świstały niemieckie pociski. Jeden z nich celnym rzutem granatu wybił załogę karabinu maszynowego, co otworzyło drogę do bunkra, który wkrótce

potem został zniszczony.

Komandosi rozciąli druty kolczaste i zsunęli się na dół, na plażę. O godzinie 2.30 do brzegu zaczęły dobijać łodzie, które zabrały Brytyjczyków. Po drodze dołączyły do nich dwa niszczyciele, które miały osłonić kolumnę niewielkich jednostek przed atakiem niemieckich okrętów.

Komandosi zostawili na francuskim brzegu jednego zabitego i 7 zaginionych. W ciągu dwugodzinnej akcji odnieśli wielkie zwycięstwo: zabili 30-35 niemieckich żołnierzy, zniszczyli stanowisko radarowe, zdobyli kompletny radar i trzech jeńców.

Anglicy bali się tego kolosa. Pancernik Tirpitz, zwodowany 1 kwietnia 1939 r. w stoczni w Wilhelmshafen, rozpoczął służbę 16 stycznia 1942 r. rejssem do Trondheim.

Jego kadłub chroniły pancerze o grubości 32 centymetrów, pokład - 12 centymetrów, a wieże artyleryjskie osłaniane były przez płyty grube na 37 centymetrów. Główna artyleria składała się z ośmiu dział kał. 380 mm, zgrupowanych w czterech wieżach. Każdy z 960 pocisków zgromadzonych w magazynach pod pokładem ważył tonę i mógł razić cele odległe o 36 kilometrów. W 6 wieżach na śródokręciu zamontowano 12 dział kał. 150 mm. Artyleryjską potęgę Tirpitz uzupełniało 16 dział kał. 105 mm, 32 do 74 działek przeciwlotniczych kał. 37 i 20 mm oraz 8 wyrzutni torped 533 mm.

Wydawałoby się, że Brytyjczycy mający ogromną przewagę na morzu - jako że ich flota liczyła 15 pancerników i 6 lotniskowców - nie muszą obawiać się samotnych niemieckich pancerników. Jednakże Admiralicja zdawała sobie sprawę, ile szkód może poczynić niemiecki kolos, gdy wyruszy na Atlantyk. Jedyne pancerniki mogły stawić mu czoło, a każdy konwój chroniony nawet przez krążowniki nie miał żadnych szans spotkania z Tirpitzem. Salwy z jego dział dziesiątkowałyby statki i okręty eskorty, zanim te zdołałyby zbliżyć się na odległość, z której mogłyby rozpocząć skuteczny ogień.

Obawa przed potęgą niemieckiego okrętu zamieniła się w strach, gdy inny niemiecki pancernik, Bismarck, wraz z towarzyszącym mu ciężkim krążownikiem Prinz Eugenem, zadał flocie brytyjskiej na Atlantyku poważne straty: na dno poszedł ciężki krążownik Hood (z 1419 marynarzy stanowiących załogę Hooda uratowało się tylko trzech), a pancernik Prince of Wales został uszkodzony.

Anglicy zatopili w końcu Bismarcka, ale kosztowało ich to ogromnie wiele wysiłku. Musieli rzucić do walki (oprócz pancernika Prince of Wales, lotniskowca Victorious, ciężkich krążowników Suffolk i Norfolk, pozostających od początku w kontakcie z niemieckim okrętem) pancerniki King George V, Rodney, Revenge i Ramillies, lotniskowiec Ark Royal, krążowniki liniowe Repulse i Renown, lekki krążownik Sheffield oraz wiele mniejszych jednostek (wśród których był polski niszczyciel Piorun). Cała ta potężna armada z największym trudem dopadła niemiecki pancernik, zanim dotarł do portu, i zatopiała go.

Bismarck poszedł na dno, ale rolę pogromcy brytyjskiej żeglugi mógł przejąć Tirpitz.

W końcu sierpnia 1941 r. Pierwszy Lord Admiralicji pisał do premiera Churchilla:

Jak długo istnieje "Tirpitz" konieczne jest posiadanie dwóch okrętów typu "King George V", zdolnych do wspólnego działania.

Aby te dwa okręty mogły skutecznie działać, musimy mieć trzy okręty tej klasy na naszych wodach, istnieje bowiem możliwość uszkodzenia jednego z nich przez torpedę, bombę lub minę. Może także zaistnieć konieczność poddania remontowi.

Dwa dni później premier opowiedział:

“Tirpitz” jest dla nas dokładnie tym, czym na Oceanie Indyjskim jest dla japońskiej marynarki “King George V”. Wywołuje lęk i poczucie zagrożenia we wszystkich punktach jednocześnie. Pojawia się i znika, powodując bezpośrednią reakcję i zakłócenia po naszej stronie.

Churchill odgadł intencje Hitlera, który chciał, aby największe okręty Kriegsmarine, zbyt nieliczne, by stanąć do otwartego boju z Royal Navy, były tylko postrachem brytyjskiej marynarki.

Na wieść o wyjściu Tirpitz z macierzystego portu Wilhemshaven i przejściu do Norwegii, Churchill pisał:

Od trzech dni wiadomo, że “Tirpitz” przebywa w Trondheim. Zniszczenie lub nawet uszkodzenie tego okrętu jest obecnie naszym największym zadaniem na morzu.

Jednakże zniszczenie pancernika kotwiczącego w norweskim fiordzie stanowiło niezwykle trudne zadanie. Był za daleko, aby mogły go osiągnąć bombowce startujące z lotnisk w Anglii lub Szkocji. Samoloty z lotniskowców musiałyby przedzierać się przez bardzo silną naziemną i powietrzną obronę przeciwlotniczą. Strome brzegi fiordu utrudniłyby atak, a gęsta zasłona dymna wypuszczana na pierwszy sygnał alarmu, zakryłaby dokładnie sylwetkę pancernika, uniemożliwiając bombowcom odnalezienie celu. Tirpitz nie mogłyby osiągnąć torpedy okrętów podwodnych. Wejście do przystani zamykały sieci, a wody fiordu patrolowane były przez ścigacze z hydrofonami i bombami głębinowymi. Okręt, który pokonałby wszystkie zapory i ominął polujące nań jednostki, miał niewielkie szanse skutecznego strzału, gdyż kadłub pancernika osłaniały sieci zatrzymujące torpedy.

Anglicy, nie mogąc zniszczyć pancernego kolosa, zdecydowali się uderzyć tak, aby ograniczyć możliwości poruszania się Tirpitz. Wiedzieli, że okręt wychodzący w morze musi mieć zagwarantowaną możliwość remontu i usunięcia ewentualnych uszkodzeń, które mogłyby powstać w czasie rejsu i walki. Jedyne takie miejsce znajdowało się w porcie St. Nazaire, gdzie Francuzi wybudowali ogromny suchy dok Formę Ecluse, nazywany również Formę Louis Joubert lub Formę Normandie, gdyż wybudowano tam wielki liniowiec pasażerski Normandie. Dok umożliwił budowę i naprawę okrętów o wyporności do 85 tysięcy ton.

Wydawałoby się, że najprostszym sposobem likwidacji doku jest wysłanie bombowców, ale taki plan został szybko zarzucony. Uznano, że nalot spowodowałby poważne ofiary wśród francuskich mieszkańców miasta, a prawdopodobnie nie udało się trafić w najważniejsze miejsca doku: stację pomp, uruchamiających ogromne wrota wodoszczelne, i same wrota, bez których dok nie mógłby funkcjonować. Dlatego też zadanie zniszczenia Formę Ecluse powierzono komandosom, których akcja miała największe szanse powodzenia.

Było wcześniej rano, gdy Charles Newman wysiadł z pociągu na dworcu King's Cross w

Londynie. Rozejrzał się niezdecydowanie po peronie. Rzadko bywał w stolicy i zawsze czuł się tu niepewnie. Gubił się w plątaniu uliczek, nie potrafił zapamiętać nazw placów i dotrzeć pod właściwy adres. Z tego też powodu postanowił nie ryzykować jazdy po stolicy autobusem, lecz skierował się na postój taksówek, których rząd czernił się przed dworcem.

Podróż ze Szkocji była długa, monotonna, i Newman miał wystarczająco dużo czasu, aby rozważyć, dlaczego wezwano go nagle do Sztabu Generalnego. Sądził, że pozna tam plany walki, do której zostanie wysłany wraz ze swymi komandosami.

Był urodzonym żołnierzem, choć przed wojną los skazał go na wykonywanie zawodu przedsiębiorcy budowlanego. Zarabiał nieźle, mieszkał w pięknym domu w Szkocji, żonie i córce zapewniał komfortowe życie, ale ciągnęło go do wojaczki. Przez dwa wieczory w tygodniu oraz w pierwszy i trzeci weekend każdego miesiąca wyciągał mundur z szafy i udawał się na ćwiczenia Armii Terytorialnej. Mijały lata, aż 3 września 1939 r. Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom.

Newman, już w stopniu majora, włożył mundur na stałe, a gdy w czerwcu 1940 r. zapadła decyzja o utworzeniu oddziałów komandosów, jemu powierzono zorganizowanie i dowodzenie No 2 Commando. Zabrał się do tego z ogromnym zapałem i w marcu 1941 r. oddział rozpoczął szkolenie. Mordercze szkolenie. Newman nie żałował potu własnego ani żołnierzy. Najpierw trenowali w Devonshire, gdzie przechodzili - jak to nazywał dowódca - "proces utwardzania".

W wydanej przez siebie instrukcji major przewidywał, że żołnierze muszą utrzymywać najwyższy stan fizycznej kondycji. Żołnierze wszystkich stopni muszą być przygotowywani do pokonania dystansu 5-7 mil w ciągu godziny [8-10 km - BW] w terenie każdego rodzaju, w pełnym oporządzeniu bojowym.

Przykładowe ćwiczenie:

a) 7 mil [11,2 km - B W] w ciągu godziny (marsz i bieg),

b) 15 mil [24 km - BW] w ciągu 4 1/4 godziny, a po przebyciu ww. dystansów być gotowym do walki natychmiast (ćwiczenie a) lub po dwugodzinnym odpoczynku (ćwiczenie b).

Po kilku miesiącach "utwardzania" komandosi pojechali do zamku w Achnacarry w Szkocji, gdzie tuż za bramą musieli przemaszerować przed rzędem grobów z tabliczkami: "Źle przygotował linię do wspinaczki"; "przebiegł przed karabinem maszynowym w czasie zajęć strzeleckich" itp. Oczywiście groby były puste, ale widok cmentarnej alei miał być ostrzeżeniem, że nowo przybyli nie mogą liczyć na łatwe sukcesy. Rzeczywistość przeszła jednak najgorsze obawy.

Każdego dnia trenowali wspinaczkę, walkę w mieście, wyjeżdżali nad morze ćwiczyć desantowanie z okrętów albo po prostu odbywać przejażdżki, tyle że po wzburzonym morzu lub w czasie lodowatych wichrów. Po paru miesiącach Newman zyskał pewność, że jego oddział jest pod każdym względem przygotowany do akcji, ale o żadnej jakoś nie było słyhać.

Komandosi zaczęli się nudzić. Tracili ochotę do dalszych ćwiczeń, skoro ich wysiłek nie był wykorzystany. Dochodziło do bójek i awantur w pubach; w ten sposób uchodziła z żołnierzy gromadzona przez całe miesiące agresja. Newman uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie nowa porcja treningu i zabrał swoich chłopców na Hebrydy, aby tam w mroźnej pogodzie ćwiczyli desantowanie na kamieniste plaże. Miał jednak świadomość, że długo nie utrzyma oddziału w ryzach. Wezwanie do Londynu przyjął z ulgą i nadzieją na operację, w której chłopcy będą mogli wykazać swe umiejętności.

Konferencja w Sztabie Generalnym rozpoczęła się o godzinie 11.00. Prowadził ją generał Charles Haydon, dowódca Special Service Brigade, w której skład, obok 11 innych oddziałów, wchodziło No 2 Commando.

Pierwsze słowa generała wcisnęły Newmana w fotel, Haydon zaproponował bowiem omówienie planów letniego treningu. Jednakże zniechęcenie, jakie ogarnęło majora, szybko zostało zastąpione ekscytacją, gdy po skończonej naradzie Haydon wziął go na bok i polecił, aby wytypował 100 żołnierzy na kurs walk w mieście. Newman spojrział ze zdziwieniem. Jego żołnierze od wielu miesięcy uczyli się zdobywania domów, budowania stanowisk obronnych i przyswajali skomplikowaną wiedzę na temat miejskich bitew. Nie było potrzeby wysyłania ich na kurs tego typu. Nie zaprotestował jednak przeciwko projektowi. - Skoro chcą przygotowywać żołnierzy do walki w mieście, to znaczy, że chodzi o konkretną akcję, w konkretnym mieście - pomyślał.

- Za dwa dni przybędę do pana jednostki - oznajmił generał i ta zapowiedź rozwiała wszelkie wątpliwości Newmana.

Wracał do Szkocji w doskonałym nastroju. Był pewien, że generał przywiezie plan operacji, choć zastanawiała go tajemniczość, która towarzyszyła zachowaniu dowódcy Special Service Brigade: po co wzywano majora na konferencję w sprawie szkolenia? Dlaczego generał zdecydował się przyjechać do Szkocji?

Sprawa wyjaśniła się, gdy w kwaterze Newmana w Ayr generał położył na biurku plik dokumentów dotyczących francuskiego portu w St. Nazaire. Chodziło o największą z dotychczasowych operacji sił specjalnych. Aby ukryć przygotowania do niej przed niemieckimi szpiegami, oficjalnie zorganizowano konferencję w sprawie treningu komandosów.

Tego dnia Newman, mianowany dowódcą ataku na port, siedział do późna w nocy nad zdjęciami lotniczymi i meldunkami wywiadu.

Port Nazaire położony był u ujścia Loary, w odległości około 10 kilometrów od morza. Dok Formę Ecluse odgrywał podwójną rolę: służył naprawie i budowie dużych jednostek, a gdy nie był potrzebny do tego celu, wykorzystywano go jako służbę między Loarą a basenem "Penhouet".

Jego długość wynosiła około 350 metrów, szerokość 50 metrów. Zamykały go ogromne, przesuwane wrota o długości 54 metrów, wysokości 16,8 metra i grubości 10,5 metra. Tylko tak potężna konstrukcja mogła wytrzymać ogromny napór wody. Tuż obok wrót, na zachodnim brzegu, umieszczono maszyny uruchamiające je. Na południowym brzegu znajdowała się stacja pomp opróżniających dok z wody.

Mniejsze statki i okręty mogły dostać się do basenów portowych przez śluzy tzw. Starego Wejścia lub przez awanport, skąd kanał z czterema śluzami prowadził do basenu "St. Nazair", gdzie Niemcy przystąpili do budowy ogromnych bunkrów przeznaczonych na przystanie dla okrętów podwodnych. W wielu punktach ustawiono stanowiska dział kał. 20, 37 i 40 mm. Wdarcie się do portu wydawało się zadaniem samobójczym.

Newman poznał wkrótce dowódcę morskiej części operacji - komandora Roberta E.D. Rydera, nazywanego z racji inicjałów RED. Był to człowiek o bogatej przeszłości. Przed wojną służył na okręcie podwodnym, później dowodził statkiem badawczym działającym w rejonie Antarktydy. Tuż po wybuchu wojny powierzono mu dowodzenie okrętem-pułapką (tzw. Q-Ship); był to frachtowiec uzbrojony w wiele starannie zamaskowanych dział. Jego zadaniem było krążenie po Morzu Północnym w poszukiwaniu U-bootów. Autorom tego planu wydawało się, że niemiecki okręt, widząc samotny statek, nie zechce posłać go na dno za pomocą torpedy, lecz wynurzy się, aby ostrzelać z działa, a wówczas Q-Ship zrzuci pokojową maskę i rozpocznie ogień ze swej pokładowej artylerii. Ryder miał jednak pecha: U-boot nie wynurzył się, lecz strzałem z torpedy posłał na dno jego okręt. Komandor, któremu się udało w ostatniej chwili uchwycić jakiejś belki, spędził w wodzie cztery doby bez jedzenia i picia, aż odnalazł go jakiś okręt.

Wkrótce potem oddano pod jego komendę okręt transportowy Prince Philippe, ale i ten u wybrzeży Szkocji poszedł na dno po zderzeniu we mgle z innym okrętem. Ryder ponownie stanął na mostku kapitańskim statku transportowego, który w tajemniczych okolicznościach też zatonął.

Tego było już za dużo i Admiralicja odesłała szczęśliwego pechowego komandora do pracy na lądzie, gdzie został ekspertem do spraw zwalczania niemieckich wojsk inwazyjnych, gdyby pojawiły się one u brzegów Anglii.

Pewnego lutowego dnia RED wyruszył na wezwanie do Londynu, do dowództwa operacji połączonych (Combined Operations), na którego czele od października 1941 r. stał lord Mountbatten.

- Panowie, to jest cel największej z dotychczasowych akcji komandoskich - rozpoczął wyjaśnienia Mountbatten, wskazując makietę stojącą na dużym stole pośrodku pokoju. - Nadaliśmy jej kryptonim "Chariot". Do portu wedrą się nasze jednostki z komandosami, którzy desantują się na nabrzeża i przystąpią do niszczenia najważniejszych urządzeń. Główne zadanie wykona okręt z ładunkami wybuchowymi. Staranuje on wrota suchego doku, niszcząc je całkowicie...

Był to pomysł kapitana J. Hughes-Halleta, szybko zaakceptowany przez Mountbattena.

Ryder rozglądał się po sali. Kazano mu przyjechać do Londynu, więc uczynił to, ale nie pojmował, w jakim celu.

- Oczywiście cały rejon jest strzeżony przez silne niemieckie oddziały. Przejście okrętu, który staranuje wrota, oraz jednostek z komandosami odbywać się będzie prawdopodobnie pod ogniem dział nabrzeżnych. Sądzę jednak, że uda nam się odwrócić uwagę ich obsługi przez równoczesny nalot bombowy - kontynuował lord. - To oczywiście tylko główne zarysy planu, którego szczegóły przygotuje zespół ekspertów z Combined Operations. Dowódcą całej operacji będzie podpułkownik Charles Newman...

- Tak jest! - Newman wstał i skinął głową.

- Morską częścią operacji dowodzić będzie komandor Robert Ryder... - Mountbatten zawiesił głos, aby dać czas na podniesienie się i przedstawienie zebranym wymienionego oficera. Ale Ryder nawet nie drgnął.

- Komandor Ryder! - powtórzył Mountbatten dobitnie.

- Ja?! Sir, to chyba jakieś... - Ryder wstał powoli, a na jego twarzy malowało się tak bezgraniczne zdumienie, że Mountbatten uśmiechnął się.

- Czy ma pan coś przeciwko tej nominacji? - zapytał.

- Ależ nie, sir! - wykrzyknął Ryder. - To zaszczyt...

Narada zakończyła się szybko. Rozpoczął się najtrudniejszy okres szczegółowego przygotowania akcji. Przede wszystkim należało wybrać okręt. Specjaliści nie mieli wątpliwości, że powinien być to niszczyciel, gdyż tylko taki okręt można było opancerzyć tak, by miał szansę przedrzeć się przez ogień nabrzeżnych baterii. Pierwotnie wybór padł na polski niszczyciel Burza. Na początku roku 1942 okręt ten wszedł do Portsmouth, gdzie miał być poddany gruntownemu remontowi. Anglicy narzekali, że Burza jest jednostką nietypową w ich flocie, co powoduje ogromne kłopoty z dobraniem części zamiennych i uzupełnianiem wyposażenia. Dlatego właśnie zaproponowali, żeby to polski niszczyciel staranował bramę doku. Kierownictwu Marynarki Wojennej nie odpowiadała jednak zamiana pięknego okrętu w taran i zdecydowanie odmówiło zgody na użycie jednostki stanowiącej polską własność. Wtedy Newman i Ryder wypatrzyli przy nabrzeżu portu w Portsmouth HMS Campbeltown, stary eks-amerykański niszczyciel USS Buchanan, dostarczony Wielkiej Brytanii wraz z 50 innymi okrętami w zamian za zgodę na korzystanie przez USA z baz w rejonie Karaibów.

Należało oczywiście niszczyciel przygotować do niezwyklej misji i Newman postanowił osobiście dokonać inspekcji. Wczesnym rankiem wyruszył do portu, ale przy trapie drogę zagroził mu Ryder.

- Wybierasz się na pokład?

- Tak. Chcę się rozejrzeć po tym okręcie - odparł Newman, zdziwiony takim powitaniem.

- A jeżeli w pobliżu jest jakiś niemiecki szpieg, to sądzisz, że nie zwróci uwagi, iż po pokładzie niszczyciela chodzi sobie oficer wojsk lądowych?...

Newman cofnął się skonfundowany.

- Od razu będzie wiadomo, że przygotowujemy jakąś akcję - mówił wyraźnie zadowolony z siebie Ryder. - Ach, te szczury lądowe! - dodał, gdy Newman oddalił się o parę kroków, i podążył za nim.

10 marca Campbeltown przeszedł do Devonportu, gdzie został poddany koniecznym zmianom.

Przede wszystkim trzeba mu było ująć nieco ciężaru, by w ten sposób zmniejszyć o 1,2 metra zanurzenie; z 4,4 do 3,2 metra. Było to konieczne, gdyż zakładano, że niszczyciel będzie musiał dostać się do doku przez płytkie wody ujścia Loary, gdzie było wiele mielizn. Po 9 dniach, gdy zdemontowano 3 działa kał. 100 mm, wyrzutnie torpedowe, bomby głębinowe itp.⁷ okazało się, że zanurzenie zmniejszyło się tylko o 90 cm. Oznaczało to, że przy prędkości 15 węzłów między kilem okrętu a dnem pozostanie tylko 60 centymetrów. Nie było jednak rady.

Campbeltown zmienił się całkowicie. Mostek obłożono pancernymi płytami o grubości 12 milimetrów, chroniącymi załogę przed pociskami z broni maszynowej i działek kał. 20 mm. Na pokładzie przyspawano cztery rzędy stalowych płyt o tej samej grubości, za którymi mogli skryć się komandosi. W miejsce zdemontowanych dział wstawiono 8 działek Oerlikona kał. 20 mm, a na dziobie ustawiono działo 12-funtowe.

Zmieniła się również sylwetka okrętu. Z pocziwego czterokominowca wycięto dwa kominy, a pozostałe dwa skrócono. Dzięki tym wszystkim zmianom eks-amerykański niszczyciel upodobił się do niemieckich okrętów typu Mowę, które często zawijały do St. Nazaire. Można więc było liczyć na to, że wygląd niszczyciela zmyli w pierwszej chwili załogi nabrzeżnych baterii.

Pozostał problem zamontowania ładunku wybuchowego. Była to bardzo trudna sprawa. Eksplozja musiała nastąpić po paru godzinach od staranowania wrót, tak aby załoga i komandosi mieli czas opuścić okręt i oddalić się na bezpieczną odległość. Ładunek powinien znajdować się możliwie najbliżej dziobu, który wryje się we wrota, a jednocześnie należało zabezpieczyć go przed eksplozją w wyniku zderzenia. Jak nie dopuścić do zdemontowania zapalników przez niemieckich saperów, którzy na pewno wejdą na pokład po opuszczeniu go przez Brytyjczyków?

Te problemy rozwiążali dwaj eksperci od broni: porucznik Nigel Tibbits i kapitan Pritchard. Uznali, że najlepsze miejsce na założenie materiałów wybuchowych znajduje się tuż za stalowym słupem podtrzymującym pokład w miejscu zamontowania wieży artyleryjskiej; konstrukcja dawała pewność, że ta sekcja kadłuba nie zostanie zgnieciona przy taranowaniu wrót doku. Tam też złożono 24 bomby głębinowe zawierające łącznie 4,25 ton materiału wybuchowego. Wszystkie zostały połączone za pomocą *cordtex* - wodoodpornych zapalników zespolonych z głównym zapalnikiem, *tzw. ołówkowym, uzbrajającym się w wyniku uderzenia i działającym z ośmiogodzinnym opóźnieniem. Całość zamknięto w stalowym pudle oblanym betonem, co dawało pewność, że Niemcy po wejściu pod pokład nie zorientują się szybko, co zawiera betonowy kloc.*

Gdyby Campbeltown zawiódł i nie udało mu się dotrzeć do doku, do akcji miał przystąpić ścigacz torpedowy MTB-74. Dowodził nim podporucznik Wynn i według jego projektu przebudowano okręt. Dwie wyrzutnie torpedowe, umieszczone normalnie wzdłuż burt, przeniesiono na dziób i uzbrojono w specjalne torpedy wyposażone w zapalniki zegarowe, a nie, jak w tego typu broni - uderzeniowe. Te zmiany miały umożliwić MTB-74 atakowanie okrętów w portach chronionych sieciami przeciwtorpedowymi. Ścigacz podpływał do sieci i dopiero wtedy wystrzeliwał torpedy. Umieszczenie wyrzutni na dziobie umożliwiało torpedom przeskoczenie sieci. Torpeda tonęła w pobliżu zaatakowanego obiektu i po pewnym czasie eksplodowała, kierując na kadłub słup wody pod ogromnym ciśnieniem.

Podstawowym problemem był jednak wadliwie zaprojektowany napęd ścigacza wyposażonego

w pięć silników. Gdy tylko jeden szwankował, cztery pozostałe - jakby na znak solidarności - również odmawiały posłuszeństwa. W tej sytuacji zbyt ryzykowne byłoby wyprawianie okrętu w samodzielny rejs do St. Nazaire i zdecydowano, że odbędzie podróż na holu za Campbeltownem.

W skład armady miały wejść ponadto ścigacze ML - "B" Class z dodatkowymi zbiornikami paliwa (2250 litrów), umożliwiającymi tym jednostkom - przeznaczonym do przybrzeżnej służby - odbycie morskiej podróży, oraz ścigacz MGB "C" Class silnie uzbrojony w 2-funtowe działko Vickersa wystrzeliwujące 120 pocisków na minutę, 2-funtowe działko Rollsa oraz dwa najcięższe karabiny maszynowe kal. 12,7 mm. Ten okręt przysparzał załodze sporych kłopotów; jego dwa silniki uniemożliwiały utrzymanie stałej prędkości; wahała się ona od 15 do 40 węzłów. Nie było innej rady - też musiał płynąć na holu za jednym z niszczycieli eskorty.

Broń była gotowa. Nadchodził czas akcji.

26 marca 1942 r. o 14.00 z portu Falmouth wyszedł w morze konwój. Okręty uformowały szyk w postaci szeroko rozwartego, odwróconego "v". Na czele szły dwa ścigacze torpedowe. Pozostałe ścigacze tworzyły ramiona osłaniające idący w środku niszczyciel Campbeltown (ciągnący na holu MTB) oraz dwa niszczyciele eskorty: Tynedale i Atherstone z przyczepionym MGB. Na ich pokładach było 611 komandosów.

Okręty przyjęły typowy szyk stosowany przez Royal Navy w czasie polowania na niemieckie okręty podwodne. Uczyniły to specjalnie, aby nie wzbudzać podejrzeń przypadkowo napotkanych niemieckich jednostek pływających lub samolotów. Przystępując do ataku, miały zmienić szyk.

Już na kanale La Manche wydawało się, że szczęście nie sprzyja śmiałkom. 27 marca o godzinie 7.29 oficer wachtowy z Tynedale zameldował, że w odległości kilku mil znajduje się dziwny obiekt.

Komandor Ryder podszedł do radiostacji, wezwany przez oficera, który odebrał sygnał.

- Zapytajcie ich, co to może być - polecił.

- Kiosk niemieckiego okrętu podwodnego lub łódź rybacka, sir - zameldował po chwili radiotelegrafista.

- Przekaż im, że mają ruszyć w tamtą stronę i sprawdzić, co to jest naprawdę - rozkazał Ryder, ale zaraz okazało się, że sprawdzenie nie jest konieczne.

- U-boot przed nami! - doszedł z mostka głos marynarza obserwującego morze przez lornetkę.

Ryder wybiegł na zewnątrz. Nie było już żadnych wątpliwości. W odległości około 7,5 mili na powierzchni morza szedł U-boot. Tynedale i tuż za nim Atherstone ruszyły pełną parą w jego stronę.

Niemcy z nieznanymi powodów nie obserwowali morza. Tynedale zbliżył się na odległość 3800 metrów i rozpoczął ogień z dział dziobowych. Jednakże artylerzyści nie popisali się, gdyż wśród fontann wzbijanych przez pociski, niemiecki okręt skrył się pod wodą. Z pokładu niszczyciela wystrzelono kilka bomb głębinowych. Tym razem salwa była celniejsza i zmusiła U-boota do wynurzenia się. Znowu jednak zawiedli artylerzyści i okręt skrył się pod wodą. Dwugodzinne prawie

polowanie, w którym brały udział dwa niszczyciele, na nic się zdało i około 9.30 powróciły do szyku.

- Sądziysz, że nadali sygnał ostrzegawczy? - Newman odłożył na bok lornetkę, przez którą obserwował nieudany pojedynek z U-bootem.

- Tak myślę. - Ryder wiedział, że na nim spoczywa ciężar decyzji. Jeżeli port w St. Nazaire został ostrzeżony o nadciąganiu brytyjskiej flotylli, to w tej chwili ruszyło w tę stronę kilka okrętów. Jednakże RED uznał, że nie należy przerywać akcji. - Jesteśmy w odległości około 100 mil na południowy zachód od Brestu. Jeżeli nawet załoga U-boota zawiadomiła bazę, to nie mają żadnych podstaw sądzić, że zmierzamy do St. Nazaire. Będą przekonani, że jesteśmy zwykłym zespołem polującym na U-booty.

- Dość nieudolnie - mruknął Newman, mając na myśli niedawną potyczkę niszczycieli z niemieckim okrętem.

- Poza tym pogoda nam sprzyja - dodał Ryder, wpatrując się w niskie deszczowe chmury, które zakrywały horyzont. - Możemy mieć pewność, że samoloty nas nie dostrzegą.

Sprawdziły się obawy dowódców, że załoga niemieckiego okrętu ostrzegła port w St. Nazaire. Jednakże, na szczęście dla Brytyjczyków, radiotelegrafista pomylił się i podał, że wrogie okręty zmierzają na zachód, co nie wzbudziło większego zainteresowania w niemieckich bazach.

O godzinie 11.35 z niskich, wiszących tuż nad wodą chmur wyłoniła się flotylla francuskich kutrów rybackich wracających z połowu na przybrzeżnych wodach.

- Jest ich sześć - zameldował wachtowy.

- Jeżeli mają radiostację, mogą powiadomić Niemców - zmartwił się Newman. - A nie możemy rozwalić tylu francuskich kutrów, bo będzie to niesłychana gratka dla niemieckiej propagandy.

- Ale możemy zabrać załogi na pokład...

Tynedale ruszył w stronę dwóch płynących najbliżej kutrów, wzywając je do zatrzymania. Załogi nie stawiały oporu i potulnie weszły na pokład niszczyciela. W tym samym czasie Atherstone zatrzymał trzeci z kutrów, którego szyper zapewnił Brytyjczyków, że żadna z łodzi nie ma radiostacji, a załogi składają się z Francuzów nienawidzących Niemców.

- Czy wie pan, że musimy zatrzymać pana i zatopić łódź? - Ryderowi było wyraźnie przykro.

- C'est la guerre! - Szyper wzruszył ramionami. Nie ukrywał jednak satysfakcji, widząc jak przez wiele minut brytyjscy artylerzyści strzelają z odległości kilkudziesięciu metrów do łódki, a ta wciąż kołysze się na falach.

- Podpalić tę krypę! - krzyknął Ryder rozłoszczony kolejnymi nieudanymi popisami artylerzystów.

Dalszy rejs przebiegł już spokojnie.

O godzinie 22.00 na Campbeltownie, który z nadejściem ciemności wysunął się na czoło szyku, dostrzeżono dwa błysnięcia lampy. Ten sygnał nadawano z pomostu okrętu podwodnego Sturgeon, który wcześniej dotarł do ujścia Loary. Błyski oznaczały, że po przebyciu 450 mil zespół komandosów znalazł się dokładnie w miejscu określonym jako "Point Z".

Porucznik Tibbits zszedł pod pokład Campbeltowna i uruchomił zapalnik ładunku wybuchowego. Ze zgniecionej szklanej kapsuły zaczął wyciekać kwas, który po ośmiu godzinach miał przeżreć miedziany drut podtrzymujący iglicę. Akcja się rozpoczęła, ale komandosi musieli czekać, aż nadlecą samoloty, które, bombardując port, miały zająć uwagę Niemców. O 23.30 dobiegł szum silników. Bombowce zbliżały się do portu.

- Na stanowiska! - Kapitan Mecke, dowódca niemieckiej morskiej brygady obrony przeciwlotniczej ogłosił alarm, gdy tylko stacja radiolokacyjna zameldowała o zbliżaniu się alianckich samolotów.

Zbiegł wąskimi schodami na dół bunkra, w którym pracowała obsługa stacji radiolokacyjnej.

- Około 30 maszyn z północnego zachodu, na wysokości 2000 metrów - zameldował operator.

- Jak mogą atakować przy takiej pogodzie?! Przecież nic nie widzą?! - zdziwił się Mecke. Wieczorem pogoda się pogorszyła i gruba warstwa deszczowych chmur zasłoniła niebo. W takich warunkach alianci nie dokonywali dotąd nalotów...

- W dalszym ciągu na 2000 metrów - meldował operator.

Po kilku minutach rozległ się odległy wybuch, po chwili drugi.

- Są nad nami, ale nic z tego nie rozumiem! - Mecke zaczynał podejrzewać, że nalot ma inny cel niż zniszczenie bronionej przez niego placówki. Brytyjskie samoloty zrzucały bomby z wysokości 2000 metrów rzadko i niecelnie. Jedna z bomb eksplodowała pośrodku rzeki, inna trafiła w port, wznecając pożar. Słychać było jeszcze dwa wybuchy.

- Przekazać meldunek! - Mecke obrócił się do radiotelegrafisty. - Zachowanie nieprzyjacielskich samolotów jest niewytłumaczalne i wskazuje na możliwość lądowania spadochroniarzy.

Pół godziny później samoloty odleciały, ale Mecke nakazał wszystkim załogom dział przeciwlotniczych pozostanie na stanowiskach. Miały zwracać szczególną uwagę na brzeg morza.

15 minut później w bunkrze Meckego zadzwieczał telefon.

- Kapitan Mecke, słucham.

- Stanowisko nr 3. Od morza zbliża się 17 jednostek. Idą obok awanportu.

- Połączcie mnie z dowódcą portu - rozkazał Mecke. - Jeśli jest w domu i śpi, to go obudźcie.
- Tak, kapitanie... - Głos dowódcy był wyraźnie zaspany. - Czy dzieje się coś niezwykłego?
- Jeszcze nie wiem. Czy dzisiejszej nocy spodziewany jest jakiś większy konwój?
- Nie!

O godzinie 1.22 fala światła z nabrzeżnych reflektorów zalała niszczyciel Campbeltown i podążające po jego bokach ścigacze. Widać je było jak na dłoni, ale Niemcy nie rozpoczęli ognia. Prawdopodobnie zmyliła ich sylwetka brytyjskiego niszczyciela: komin Campbeltowna znakomicie upodabniał go do niemieckiego torpedowca. Mijały minuty, a z brzegu nie padł żaden strzał.

Komandor Robert Ryder, który wraz z Newmanem urządził stanowisko dowodzenia na Starym Molo, obliczał, że do celu pozostało jeszcze półtorej mili. Przebycie tej trasy powinno zająć około 10 minut. Jednakże cisza nie trwała długo. Niemcy przez radio zażądali podania znaków rozpoznawczych.

Radiotelegrafista z niszczyciela nie stracił głowy i odpowiedział: "Czekajcie". Tuż potem podał, znany Anglikom, znak jednego z niemieckich torpedowców. Tym razem jednak Niemcy nie dali się zwieść. Z brzegu padły pierwsze strzały.

Campbeltown przekazał następny sygnał: "Dwie jednostki uszkodzone w wyniku akcji nieprzyjacielskiej proszą o bezzwłoczne wydanie zgody na wejście do portu". Strzały ucichły. Do bramy doku pozostała jeszcze mila. Z mostka brytyjskiego niszczyciela nadawano za pomocą lampy międzynarodowy sygnał informujący, że okręt znalazł się pod ogniem zaprzyjaźnionych sił, ale Niemcy nie mieli już wątpliwości, że to nie ich jednostka zbliża się do portu.

Jednostki patrolowe i baterie nadbrzeżne wznowiły kanonadę. Campbeltown odpowiedział ogniem, zatapiając jedną z małych jednostek straży przybrzeżnej i parł do przodu z szybkością 19 węzłów. Płyty osłaniające mostek i pancerce przyspawane do pokładu znakomicie osłaniały załogę i komandosów. Nie wytrzymałyby ognia cięższych dział, ale przy doku znajdowały się jedynie stanowiska obrony przeciwlotniczej z działkami kal. 20 mm. Tysiące pocisków z oerlikonów i karabinów maszynowych leciało w stronę niszczyciela; żaden jednak nie był tak celny, by zatrzymać szarżujący okręt. Straty na pokładzie nie były duże: ranny został sternik i dwaj marynarze z obsługi działek. Dopiero tuż przed bramą pocisk dużego kalibru trafił w stanowisko 12-funtowego działa i zabił obsługę. Jednakże już nic nie mogło powstrzymać niszczyciela przed uderzeniem w bramę doku.

- Przygotować się do taranowania! - krzyknął przez megafon dowódca Campbeltowna.

Kadłub zadygotał, gdy okręt wrył się w stalową sieć chroniącą dostępu do wrót. Liny, które miały za zadanie powstrzymać torpedy, nie wytrzymały impetu okrętu i pękły. Jednakże prędkość Campbeltowna spadła wyczuwalnie, a do bramy pozostało jeszcze kilkadziesiąt metrów. Zapalający pocisk rozerwał się na dziobie, wznecając pożar. Campbeltown, płonąc jak pochodnia, wbił się w stalowe wrota. Dziób uniósł się do góry ze straszliwym zgrzytem zgniatanych blach, a po chwili opadł o kilkadziesiąt centymetrów. Była godzina o 1.34.

W czasie gdy niszczyciel szarżował na wrota, komandosi dopłynęli na motorówkach do brzegu i założyli ładunki wybuchowe w maszynowni doku, magazynach, dźwigach i stacji pomp. Wybuchy i następujące po nich pożary powiększały dezorientację Niemców, którzy zdołali jednak zatopić 11 ścigaczy. Do pozostałych pięciu załadowano część załogi Campbeltowna i rannych komandosów. Żołnierze, dla których zabrakło miejsca, otrzymali rozkaz przebicia się do miasta i dalej - do lasu, gdzie czekał już na nich oddział partyzancki.

W czasie operacji zginęło 144 komandosów.

Ci, którzy odpływali w stronę czekających na morzu niszczycieli, i ci, którzy przedarli się do St. Nazaire, przeżyli gorzkie chwile rozczarowania. Minął czas, na jaki były nastawione zapalniki ładunku wybuchowego, lecz eksplozja nie nastąpiła. Wydawało się, że bohaterska akcja, która pochłonęła tak wiele ofiar, zakończy się fiaskiem, gdyż zawiodły zapalniki, lub też Niemcy odkryli je w porę i rozbili. Jednakże Niemcy nie wiedzieli, że pod pokładem okrętu wbitego we wrota doku znajduje się ładunek wybuchowy. Uznali, że zadanie Brytyjczyków polegało na staranowaniu bramy.

Nad ranem kilkudziesięciu oficerów niemieckich weszło na pokład Campbeltowna.

Dokonywali pomiarów, sprawdzali stopień zniszczenia wrót, fotografowali. Zapewne wielu zeszło pod pokład, ale nikt nie zwrócił uwagi na betonową skrzynię za stalowym filarem. Być może uznali, że to balast, który miał wzmocnić siłę taranowania. I wtedy zadziałały zegarowe zapalniki. Było to prawdopodobnie po godzinie 11.00.

Straszliwa eksplozja ponad 4 materiałów wybuchowych zmiotła 40 oficerów znajdujących się na pokładzie i zabiła kilkuset żołnierzy zebranych na nabrzeżu. Ofiarą wybuchu padło około 400 oficerów i żołnierzy. Dok, który mógł służyć Tirpitzowi powracającemu z atlantyckich łowów, przestał działać. Było oczywiste, że naprawa zajmie wiele miesięcy.

Jednakże opóźniony wybuch na pokładzie Campbeltowna nie był jedyny. W poniedziałek 30 marca o godzinie 16.30 potężna eksplozja wstrząsnęła służą Starego Wejścia, a po półgodzinie - druga. 60 godzin po akcji komandosów eksplodowały głowice dwóch torped wystrzelonych przez MTB. Francuscy robotnicy pracujący w tym rejonie, nie wiedząc, co się dzieje, zaczęli uciekać w stronę wielkiego doku. Przejście przez most nad służą zamykał posterunek, ale żołnierze, widząc tłum uciekających, ustąpili im drogi. Następny posterunek otrzymał rozkaz zatrzymania biegnących. Długie serie z karabinów maszynowych dziesiątkowały robotników. W ciągu kilkunastu minut zginęło 280 Francuzów. Wkrótce strzały rozległy się w innych punktach portu. O zmierzchu zdezorientowani niemieccy żołnierze strzelali do własnych patroli; te odpowiadały ogniem. W chaotycznej strzelaninie zginęło kilkunastu żołnierzy oraz robotników z organizacji Todta, gdyż ze względu na mundury khaki, często byli brani za brytyjskich komandosów.

Oddziały Stirlinga

Do generała Ritchiego! - podpułkownik krzyknął do wartownika stojącego przy drzwiach budynku kwatery zastępcy głównodowodzącego wojskami brytyjskimi na Bliskim Wschodzie. Minął żołnierza i chwycił za klamkę uważając, że pewnośc siebie jest najlepszą przepustką. Ale wartownik nie dał się zbić z tropu.

- Chwileczkę, sir! Czy ma pan przepustkę?

Pułkownik się zawahał. Z tonu, jakim żołnierz zadał pytanie, wynikało, że nie zamierza zadowolić się niczym innym jak tylko starannym przestudiowaniem przepustki.

- Nie. A gdzie jest biuro przepustek?

- Tam, w oficynie, sir. - Wartownik odprowadził przybysza badawczym wzrokiem aż do drzwi biura przepustek, a potem machnął ręką w stronę innego żołnierza, nakazując zwrócenie uwagi na pełnego tupetu oficera.

- Jestem pułkownik David Stirling. Chciałbym zameldować się u generała Ritchiego.

- Czy jest pan wezwany? - sierżant podniósł wzrok znad papierów rozłożonych na biurku. Przycisnął je kamieniem, aby podmuch powietrza z dwóch wentylatorów nie rozwiał dokumentów po pokoju.

- Nie, ale to ważna sprawa...

- Przykro mi, sir. Obowiązuje droga służbowa. - Sierżant opuścił głowę, uznając wyjaśnienia za zakończone.

Stirling patrzył na niego przez chwilę, ale doszedł do wniosku, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Obrócił się na pięcie i szybko wyszedł z brudnego pokoju, z niewiadomych powodów nazwanego biurem. Stał bezradnie przed budynkiem, unikając wzroku wartownika, z którym rozmawiał przed chwilą.

- Cholerne szczęście! - powiedział półgłosem.

Poprzedniego dnia wyszedł ze szpitala, gdzie przez trzy tygodnie leczono mu ramię zranione wybuchem granatu. Jeszcze przez ten jeden dzień mógł pozostać w Kairze i postanowił wykorzystać tę okazję i dostać się do zastępcy naczelnego dowódcy. Był tak blisko; kilkadziesiąt metrów od niego siedział generał Ritchie...

Pułkownik skręcił w wąską, pustą uliczkę. Przeszedł wolno kilkanaście kroków, zanim się zorientował, że wybrał złą drogę, gdyż drugi kraniec ulicy grodziły zwoje drutów kolczastych rozpiętych na kozłach. Zatrzymał się i spojrzał na wysoki biały mur okalający budynki kwatery. W pobliżu nie widać było wartownika, ale ściana była za wysoka, by bez drabiny lub sznura dała się sforsować. Stirling postanowił zaopatrzyć się w ten sprzęt. Nagle jego wzrok padł na bramę

zastawioną kozłami z drutem kolczastym. Między ostatnim kozłem a murem widniała szpara na tyle szeroka, że mógł przecisnąć się przez nią człowiek.

Stirling rozejrzał się uważnie i ruszył w stronę bramy. Ryzykował, gdyż gdzieś w pobliżu mógł być wartownik, który skrył się w cieniu przed palącymi promieniami słońca. Jednakże zmysł myśliwego podpowiadał Stirlingowi, że zaułek nie jest pilnowany. Zdawał sobie sprawę z tego, iż w razie schwytania spędzi kilkanaście dni w areszcie, ale w jego żołnierskiej karierze parę razy zdarzyło mu się wpaść w gorsze tarapaty.

Przecisnął się przez szparę, wspiał na drewnianą bramę i zeskoczył do ogrodu. Przycupnął za kępą wysokiej trawy, dostrzegając na szczycie muru wartownika, ten jednak nie zwrócił na niego uwagi. W głębi Stirling zauważył wejście do budynku i uznał, że jego jedyną szansą jest szybkie dopadnięcie drzwi. Szczęście mu dopisało. Nacisnął klamkę i znalazł się w ciemnej, wilgotnej sieni. Odetchnął z ulgą, choć nie wiedział, czy trafił do budynku, w którym mieści się gabinet generała Ritchiego, czy też do któregoś z zabudowań gospodarczych. Po chwili jednak poczuł przyływ nadziei, gdyż wąska sień doprowadziła go do szerokiego korytarza wyłożonego czerwonym dywanem.

Obciągnął mundur, otrzepał spodnie z kurzu i okruchów zaprawy wapiennej. Nagle usłyszał kroki na schodach. Spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł oficera w mundurze generalskim.

W kwaterze generała Ritchiego nie powinno być innego generała poza nim... - pomyślał Stirling i sprężystym krokiem udał się w kierunku nadchodzącego oficera.

- Panie generale, melduje się pułkownik Stirling. Proszę wybaczyć, że nie salutuję, ale dopiero wyszedłem ze szpitala, po kontuzji prawego ramienia.

Generał spojrzał zaciekawiony.

- Czy ja was wzywałem, pułkowniku?

- Nie, panie generale. Właśnie przedostałem się przez zaskieki w bramie, aby się panu zameldować. Nie mam przepustki. Złamałem regulamin i wiem, że zostanę ukarany. Najpierw jednak proszę mnie wysłuchać. - Stirling wyrzucał z siebie słowa w takim tempie, że generał nie zdążył mu przerwać. Uśmiechnął się tylko.

- Dobrze, proszę do mnie - wskazał ręką na piętro.

- Kto pana skrzywdził? - zapytał, gdy weszli do pokoju.

- Nie o to chodzi, sir - Stirling, po raz pierwszy od chwili podjęcia decyzji o przedarciu się do generała, poczuł się zmieszany. - Zdecydowałem się dotrzeć do pana, aby przedstawić plan utworzenia nowych oddziałów...

- No, no. Niech pan mówi. - Generał gestem zaprosił Stirlinga do zajęcia miejsca przed biurkiem. Sam zapalił cygaro i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Dziękuję, sir - Stirling nie usiadł. - Z moich doświadczeń wynika, że użycie dużych grup do pojedynczego wypadu jest marnotrawieniem sił. Znacznie lepsze efekty da operowanie niewielkimi oddziałami. Obliczyłem, że sześciu żołnierzy zrzuconych na spadochronach w pobliżu nieprzyjacielskiego lotniska może łatwo dotrzeć do któregoś z samolotów i założyć ładunki wybuchowe. Oznacza to, że sześćdziesięciu ludzi z 12 ładunkami mogłoby w równoległe prowadzonych akcjach zniszczyć całe lotnictwo państw osi w Afryce Północnej. Osiągnięcie tego celu przy zastosowaniu klasycznych metod prowadzenia walki naraziłoby nas na poważne straty i nie wiem, czy byłoby w ogóle możliwe... - Stirling zawiesił głos. Czekał na reakcję generała.

Ten milczał przez chwilę. Widać było, że pomysł pułkownika podoba mu się. Jego realizacja wymagała oddelegowania do oddziałów specjalnych kilkudziesięciu żołnierzy. Nie był to problem dla 8. armii brytyjskiej.

- Dostaje pan tydzień urlopu na wykurowanie ramienia, a potem proszę się zająć tworzeniem takich oddziałów. We wszystkich trudniejszych sprawach proszę się zwracać do mnie.

Stirling zasalutował i wyszedł z pokoju. Dłużej nie zdołał powstrzymać wybuchu radości i na korytarzu krzyknął na cały głos "hurra!", aż kilku oficerów spojrzało się na niego ze zdumieniem. Nie zwracał jednak na nich uwagi. Zbiegł po schodach i wypadł na ulicę.

Generał Ritchie przypatrywał mu się z okna. Pomysł stworzenia niewielkich oddziałów atakujących niespodzianie wroga wydał mu się bardzo interesujący. Dysproporcja sił między armiami włoskimi i brytyjskimi była ogromna.

Głównodowodzący wojskami włoskimi, marszałek Ugo Graziani, stał na czele 200-tysięcznej armii, której Wielka Brytania mogła przeciwstawić zaledwie 36 tysięcy żołnierzy. W takiej sytuacji każde działanie, które miało szansę osłabić siły wroga i morale jego żołnierzy, było bardzo ważne. W walkach na pustyni sprzęt, taki jak: czołgi, ciężarówki, ciągniki artyleryjskie odgrywał rolę pierwszoplanową.

Winston Churchill pisał:

Czołgi zastąpiły kawalerię z poprzednich wojen. Siła bojowa oddziałów pancernych, tak jak na morzu flotylli krążowników, była decydującym czynnikiem. Dywizje lub brygady czołgów mogły utworzyć front w każdym kierunku tak szybko, że niebezpieczeństwo oskrzydlenia lub odcięcia nie było szczególnie duże. Z drugiej strony wszystko zależało od punktualności zaopatrzenia w paliwo i amunicję, a to było bardziej skomplikowaną sprawą niż zaopatrzenie okrętów na morzu.

Zniszczenie magazynów z paliwem i amunicją czy nawet rozbicie konwoju ciężarówek z wodą mogło przesądzić o zwycięstwie. Generał Ritchie uznał, że niewielkie grupy komandosów lepiej wykonają dywersyjne zadania niż najsilniejsze nawet jednostki regularnego wojska.

Nowy oddział otrzymał nazwę "L Detachment of the special Air Force Brigade"(choć nie miał nic wspólnego z SAS szkolonym w Anglii), która miała sugerować, że z Wielkiej Brytanii

przerzucono do Afryki Północnej część sił powietrznodesantowych.

Pierwsza operacja, przeprowadzona 17 listopada 1941 r., zakończyła się kompletnym fiaskiem. Spadochroniarze mieli zaatakować myśliwce i bombowce na lotniskach w Tmimi i Gazali. Żaden z nich nie dotarł do celu. Silna burza piaskowa zmusiła do zrzucenia komandosów w terenie odległym o wiele kilometrów od wyznaczonych obiektów. Z 63 ludzi, którzy wyruszyli do akcji, przeżyło tylko 22. Od tego czasu SAS nie próbowała atakować na spadochronach.

Podpułkownik David Stirling rozwijał inną technikę walki, tworząc patrole komandosów operujących na jeepach. Samochody zostały pozbawione wszelkich części, które uznano za zbędne, a w zamian obudowano je kanistrami z wodą, benzyną, pojemnikami na naboje i materiały wybuchowe. Na każdym jeepie ustawiano po dwa karabiny maszynowe Vickers K, wymontowane z samolotów myśliwskich Gladiator. Wystrzeliwały 1200 pocisków na minutę i były niezwykle groźną bronią w walce z nieruchomymi samolotami, niemieckimi ciężarówkami i lekko opancerzonymi pojazdami.

Od grudnia 1941 r. do marca 1942 r. jeepy SAS dokonały 20 rajdów poza linię frontu; zniszczyły w tym czasie 115 samolotów i kilkadziesiąt pojazdów. SAS zdobyła sławę, która przetrwała dziesiątki lat po wojnie.

Prywatna Armia Popskiego

Słońce skryło się za horyzontem i chłód zaczął ogarniać pustynię. Nagrzany piach szybko oddawał ciepło. Vladimir Peniakoff zapiął kurtkę i zduślił papierosa o koło samochodu.

- Przygotujcie się - powiedział do żołnierzy, którzy zaczęli ściągać z ciężarówki siatki maskujące.

Tydzień wcześniej Peniakoff zebrał 11 ochotników i ruszyli z Kabritu w Egipcie w stronę Tobruku. Jego komandosi należeli do najdziwniejszej jednostki na świecie, jednostki, której oficjalna nazwa brzmiała: Prywatna Armia Popskiego. Peniakoff - Belg rosyjskiego pochodzenia, mieszkający od połowy lat 30. w Egipcie, gdzie prowadził plantację trzciny cukrowej - na początku 1942 r. ochotniczo wstąpił do armii brytyjskiej i uzyskał zgodę na sformowanie niewielkiego oddziału, złożonego z 23 Arabów i brytyjskiego sierżanta. Nadano mu nazwę No 1 Long Range Demolition Squadron (Numer 1 Eskadra Niszczycielska Dalekiego Zasięgu) i już po pierwszych rajdach dał się poznać jako utalentowany dowódca, prowadzący akcje z fantazją, ogromną znajomością terenu i brawurą.

Ponieważ nazwisko "Peniakoff" było za trudne dla brytyjskich radiotelegrafistów, upraszczali je mówiąc "Popski". Wkrótce pułkownik Hackett z Naczelnego Dowództwa brytyjskich wojsk na Bliskim Wschodzie dla żartu nazwał oddział Peniakoffa "Popski's Private Army", co szybko przyjęło się wśród żołnierzy, a nawet zostało zaakceptowane przez władze.

W czasie jednej z akcji, na południe od Mareth, 4 jeepy oddziału zostały zniszczone przez niemieckie samoloty, a żołnierze cudem uniknęli śmierci. Pozostawieni sami sobie, z niewielkim zapasem wody i żywności, przeszli blisko 200 kilometrów, zanim napotkali oddział wojsk brytyjskich.

W lipcu 1942 r. 11 żołnierzy z Prywatnej Armii Popskiego wyruszyło w stronę niemieckiego lotniska w pobliżu Tobruku. Wywiad donosił, że każdej niedzieli wieczorem dociera tu konwój ciężarówek, prawdopodobnie z paliwem i amunicją dla samolotów. Peniakoff uznał, że niewielki oddział może przedostać się do bazy i dokonać wielu zniszczeń. Tym razem zrezygnował z podstawowego środka komunikacji, jakim był dla jego chłopców jeep. Miał inny pomysł.

Załadowali na ciężarówkę kanistry z wodą oraz paliwem, amunicję do pistoletów maszynowych, karabin maszynowy, miny magnetyczne i wyruszyli. Pokonanie drogi liczącej 700 kilometrów na skrzyni pojazdu o resorach twardych jak skała było męczące nawet na asfaltowej szosie i przy dobrej pogodzie. Podróż przez pustynię stała się koszmarem. W temperaturze przekraczającej 50°C podążali kamienistymi szlakami i bezdrożami. Nie spotkali żołnierzy niemieckich ani włoskich, ale kilkakrotnie nadlatywały samoloty. Komandosi Peniakoffa mieli jednak szczęście. Zawsze w porę dostrzegali zbliżające się myśliwce i zdążyli naciągnąć na samochód siatki maskujące, dzięki którym ciężarówka wyglądała z góry jak sterta kamieni. Piątego dnia podróży udało im się trafić na starą drogę karawan i dzięki temu na czas dotarli do Tobruku. Znaleźli wawóz na poboczu drogi, wystarczająco głęboki na zamaskowanie samochodu, i czekali. Całą niedzielę przespali w cieniu skal; dopiero gdy zapadł zmierzch, zaczęli zbierać się do akcji.

- Jada! - zameldował jeden z żołnierzy, który z lornetką przy oczach umieścił się na krawędzi wąwozu. - Widać 12 świateł w odległości około półtorej mili.

- Czekamy, aż przejedzie 11 ciężarówek i dopiero wtedy wjedziemy do kolumny. Między jedenastą i dwunastą ciężarówkę - poinformował Peniakoff.

- Może byłoby lepiej, sir, gdybyśmy doczepili się na koniec konwoju?

- Nie! - dowódca uciął dyskusję. - Kierowca ostatniej ciężarówki na pewno zauważyłby, że ktoś za nim jedzie. Jeżeli uda nam się wjechać w kolumnę, wówczas kierowca jedenastego samochodu będzie przekonany, że widzi w lusterku światła dwunastego, a ten z dwunastego uzna, że przed nim jedzie jedenasty. Ruszamy!

Zjechali ostrożnie po kamienistym podłożu w stronę zakrętu i zatrzymali się w miejscu, gdzie skalna ściana skrywała ich przed wzrokiem jadących w konwoju.

Przyciemnione światła niemieckich ciężarówek pojawiły się na zakręcie. Jechały w odległości około 130 metrów od siebie, co sprzyjało włączeniu się Brytyjczyków w kolumnę.

- Dziewięć... dziesięć... jedenaście! - liczył kierowca Sam Barret.

- Teraz! - krzyknął Peniakoff.

Kierowca trochę za gwałtownie dodał gazu i koła bedforda zaszurały na kamienistym podłożu.

- Oni nie używają tylnych świateł! Zgaś nasze! - jeden z żołnierzy jadących na skrzyni nachylił się do szoferki.

- Spokojnie, już to zrobiłem - odpowiedział Sam. Płynnie pokonał płytki rów oddzielający miejsce, w którym stali, od drogi i ruszył za znikającą w mroku ciężarówką. Dowódca się obejrzał. Po paru sekundach na zakręcie ukazały się światła ostatniej ciężarówki niemieckiej.

Komandosi ściskali w dłoniach thompsony, gotowi rozpocząć ogień na sygnał alarmu, ale nic nie zakłócało równego warkotu silników. Kolumna z mozołem pięła się stromym podjazdem. Niemcy się nie zorientowali, że między nich wcisnął się intruz.

Po kilku minutach napięcie opadło. Brytyjczycy odnieśli pierwszy sukces, ale prawdziwe niebezpieczeństwo było jeszcze przed nimi.

- Mamy około 40 minut do celu - Peniakoff zwrócił się do kierowcy. - Nie będziemy ryzykować wjazdu do bazy w kolumnie, gdyż któryś ze strażników mógłby doliczyć się, że wjeżdża 13 ciężarówek zamiast 12. Gdy zobaczymy światła lotniska, zatrzymaj się na środku drogi i udawaj, że samochód się zepsuł. Musimy zdobyć tę ciężarówkę, która jedzie za nami.

- Czy możecie dostrzec, ilu szkopów jest na tamtym samochodzie? - Peniakoff, wychylając się z szoferki, zadał pytanie żołnierzom siedzącym z tyłu.

- Chyba tylko dwóch, sir! - odpowiedział któryś. - Widać dwie sylwetki w kabinie, a na skrzyni mają jakiś ładunek. Tam chyba nie ma żołnierzy.

Po półgodzinnej jeździe zobaczyli w oddali blade światła Tobruku. Konwój zaczął zjeżdżać z niewielkiej pochyłości i znikł za zakrętem.

- Teraz! - krzyknął dowódca.

Kierowca nacisnął gwałtownie hamulec i skręcił w bok. Ciężarówka zatrzymała się, wzbijając tuman kurzu. Komandosi, przyczajeni w skrzyni, zeskoczyli i rozpierzchli się po bokach drogi. Przy samochodzie pozostał tylko Peniakoff, kierowca i Etienne Latour, Alzatzczyk mówiący płynnie po niemiecku. On to wybiegł na drogę i zaczął nadawać znaki światłem latarki.

- Co jest?! - niemiecka ciężarówka zatrzymała się z piskiem hamulców.

- Wał chyba się rozpadł! - odkrzyknął Etienne. - Będziecie musieli nas holować!

Niemcy wyskoczyli z samochodu. Jeden badawczo patrzył na Etienne'a, ale Peniakoff starał się kierować światło latarki prosto w ich twarze, aby niewiele mogli dostrzec. Gdyby nie ten wybieg, mogliby zauważyć brytyjskie mundury.

- A ty kim jesteś? - Niemiec zaczął coś podejrzewać i sięgnął do kabury luźno wiszącej na pasku. Nie zdążył jednak wyjąć pistoletu, gdyż z boków drogi poderwały się cienie komandosów. Pierwszy dopadł Niemca, schwycił go od tyłu za brodę i wbił nóż w plecy. Drugi żołnierz niemiecki puścił się pędem w stronę samochodu, ale przebiegł zaledwie kilka kroków, gdy Sam Barret skoczył jak dziki kot i schwycił poniżej kolan. Upadli na ziemię.

- Jestem Ślązakiem! Nie zabijajcie mnie!

- Barret z nożem w ręku zawahał się. Spojrzał w stronę Peniakoffa.

- Zostaw go. Może nam się przydać. - Dowódca podszedł bliżej. - Wrzucie go na ciężarówkę i ruszamy. Do wozu! - rozkazał, gdy odciągnięto na bok zwłoki. Spojrzał na zegarek. Akcja trwała zaledwie pół minuty.

Przy bedfordzie pozostało trzech żołnierzy, którzy mieli osłaniać odwrót komandosów z bazy. Peniakoff i siedmiu żołnierzy w niemieckiej ciężarówce pełnym gazem ruszyli za oddalającym się konwojem. Szybko udało im się nadrobić opóźnienie i po kilku minutach, gdy ciężarówki zbliżały się do bramy lotniska, samochód z komandosami ustawił się za nimi w przepisowej odległości. Bez kłopotów minęli pierwszy posterunek. Okazało się, że Peniakoff miał rację, nie chcąc ryzykować wjazdu trzynastej ciężarówki. Wartownik dokładnie policzył samochody i badawczo przyglądał się każdemu mijającemu jego budkę. W oddali migotało światelko drugiej strażnicy.

- Jones, skacz! - Peniakoff wychylił się z szoferki. Po chwili cień oderwał się od samochodu i tylko stuk kolby, która zawadziła o część ciężarówki, świadczył, że komandos zeskoczył na ziemię.

- Następni! - Czterech komandosów zeskoczyło w pełnym biegu tuż przed linią zasieków.

Wartownik przy drugiej bramie powiódł światłem latarki po burcie ciężarówki i machnął ręką, dając znak, by jechali dalej. Skierowali się w stronę blaszanych baraków.

- Nie dojeżdżaj tam. Zatrzymaj się w najciemniejszym miejscu - powiedział kapitan do kierowcy, gdy oddalili się na bezpieczną odległość od strażnika.

Zjechali na bok i zgasili światła. Czekali. Było cicho. Oznaczało to, że pięciu komandosów, którzy zeskoczyli z samochodu przed drugą linią zasieków, zdołało już niepostrzeżenie przedostać się przez druty kolczaste i - zgodnie z ustalonym planem - posuwali się na zachód lotniska. Mieli przyczepić ładunki wybuchowe do samolotów stojących na obrzeżu. Peniakoff wraz z trzema żołnierzami postanowił dotrzeć do bombowców ustawionych we wschodniej części lotniska.

Czekali kilkadziesiąt sekund, aby dać kolegom czas na dojście do wyznaczonego rejonu, i ruszyli w stronę wału z opon, beczek i piasku. Tuż za wałem było 9 samolotów. Równo ustawione trójkami, niemal stykały się skrzydłami. Dowódca i jeden z komandosów zsunęli się po wale i przemykając między skrzydłami, zaczęli przyczepiać magnetyczne ładunki do każdego z środkowych samolotów w trójkach.

- Teraz tam! - Peniakoff wskazał niewielki barak. Wyglądało na to, że trzymano w nim części zamienne do samolotów.

Dwaj komandosi, którzy pozostali na wale, aby osłaniać kolegów w razie pojawienia się niemieckiego patrolu, zaczęli zsuwać się po pochyłości. Nagle któryś zaczepił nogą o pustą metalową beczkę, która z łoskotem sturlała się w dół.

- Kto tam jest? - niemiecki żołnierz, który wyrzał z blaszanego baraku, dostrzegł sylwetkę Brytyjczyka. - Alarm! - zaczął krzyczeć.

Trwało kilkanaście sekund, zanim dopadł go Peniakoff i zatopił nóż w jego karku. Ale było już za późno. Fala światła zalała lotnisko. Z okolicznych baraków zaczęli wybiegać lotnicy i strażnicy.

Peniakoff rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł żadnego ze swoich ludzi. Nie było czasu na poszukiwania. Wystrzelił z thompsona długą serię w kierunku nadbiegających żołnierzy i puścił się pędem w stronę drogi. Ścigający na chwilę zatrzymali się, w obawie przed następnymi strzałami, a Peniakoff przebiegł tymczasem drogę i skręcił w stronę zasieków. Domyślał się, że gdzieś w tym rejonie pierwsza grupa komandosów przeszła przez zasieki, a to była jego jedyna szansa. Musiał w biegu odnaleźć przecięte druty, aby tamtędy wydostać się na pustynię. W przeciwnym wypadku wpadłby w ręce pościgu lub zostałby zastrzelony. Przywarł na moment do ziemi i ciężko dysząc wyciągnął zza paska granat. Obejrzał się. Na tle nieba widział wyraźnie nadbiegających Niemców. Byli w odległości 20 może 30 metrów. Rzucił granat na oślep za siebie. Wybuch rozjaśnił okolicę i w tym błysku Peniakoff dostrzegł poszarpane druty. Nie był pewien, czy rzeczywiście znajduje się tam przejście, czy też światło wybuchu wydobyło z mroku jakiś przedmiot, który rzucił cień na druty, sprawiając wrażenie, że w tym miejscu istnieje wyrwa. Nie miał jednak wyboru. Poderwał się i ruszył do ogrodzenia. Światło reflektora przesunęło się po zasiekach i wtedy uciekający zobaczył, że rzeczywiście w miejscu, do którego biegł, druty są rozcięte. Przesadził je jednym susem i pomknął na pustynię.

Odgłosy pogoni cichły. Niemcy bali się wybiec w ciemność. Jeszcze przez chwilę słyszał serie z broni maszynowej, ale i one po chwili umilkły. Peniakoff upadł na piasek i leżał tak przez kilka minut, aż myśl, że ścigający zbiorą posiłki i z psami wyruszą jego śladem, zmobilizowała go. Zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Dochodziła 23.30. Według planu o tej godzinie ciężarówka miała wyruszyć w drogę powrotną, bez względu na to, kto zdoła do niej dotrzeć.

Rozejrzał się uważnie. Uznał, że znajduje się o kilkaset metrów na wschód od miejsca, gdzie został samochód. Gdyby chciał tam dojść drogą, zajęłoby to kilkanaście minut, a wówczas na pewno nie zdążyłby. Postanowił iść na przełaj. Potykając się w ciemnościach, zmierzał w stronę, w której powinien znajdować się bedford. Nagle usłyszał cichy świst. Ktoś gwizdał angielską melodię. A jednak czekali...

- Jesteśmy tutaj - usłyszał po chwili. Światełko zapalniczki zajaśniało jak gwiazda w ciemnościach.

Któryś z żołnierzy wyciągnął w stronę dowódcy manierkę z wódką. Łyknął duży haust.

- Trzech brakuje, sir! - zameldował jeden z komandosów. - Nie ma potrzeby szukać ich. Dzielnie walczyli. Widziałem. Zostali okrążeni i nie zdołali się wyrwać. To wszystko, sir.

Peniakoff, jeszcze dysząc ciężko, zobaczył, że za kierownicą siedzi Connolly. Nie zapytał o Sama Barreta. Jeżeli ktoś inny usiadł w szoferce, oznaczało to, że Sam zginął.

Samochód wolno wytoczył się z rozpadliny. Jechali w milczeniu; nikt nie miał ochoty na rozmowę. Oni wyrwali się śmierci, ale dopadła trzech kolegów.

- Zatrzymaj się! - powiedział cicho Peniakoff. - Dużo zapłaciliśmy za bilety na to przedstawienie. Musimy obejrzeć je do końca.

Wyłączyli silnik. Czekali. Po kilku minutach horyzont rozświetlił błysk.

- To Jones - powiedział któryś z żołnierzy. - To on założył pierwszy ładunek.

Tuż potem rozległy się następne wybuchy. Niebo nad Tobrukiem zajaśniało ponurą łuną. W ciągu kilkunastu minut 20 samolotów stanęło w płomieniach. Wyleciał w powietrze skład amunicji, zbiornik benzyny i barak z częściami zapasowymi.

- Niemcy szybko odbudują to lotnisko - powiedział Peniakoff - ale my już wiemy, jak się tutaj dostać. Za 10-15 dni wrócimy. A teraz do domu, Connolly...

Do maja 1943 r. komandosi Peniakoffa atakowali Niemców i Włochów. Po kapitulacji wojsk "osi" w Afryce Północnej Prywatna Armia Popskiego wylądowała w Tarencie we Włoszech. Jej zadaniem była ocena sił Niemców i Peniakoff ze swymi ludźmi wykonał wszystko wzorowo, tyle że na swój sposób. Zebrał kilku włoskich oficerów i kazał im dzwonić po kolegach z pytaniem o liczebność niemieckich oddziałów. Po kilku godzinach miał niezbędne informacje.

Wkrótce Armia Popskiego rozrosła się i poruszała na 6 jeepach uzbrojonych w karabiny

maszynowe. Tak jak na pustyni, komandosi jeździli obładowani kanistrami z benzyną, dzięki czemu mogli pokonywać dystans 1000 kilometrów bez tankowania.

Walczyli do chwili kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech, w końcu kwietnia 1945 r., ale ostatnie miesiące wojny okazały się tragiczne dla Peniakoffa. Gdzieś zniknęło jego niezwykle dotąd szczęście i w czasie walki w północnych Włoszech pocisk urwał mu lewą rękę.

Peniakoff po kilku tygodniach spędzonych w szpitalu powrócił do oddziału i razem ze swoimi 118 komandosami dotarł do Austrii. Tam zakończył się szlak bojowy ostatniego komandosa II wojny światowej.

Polscy Komandosi

W historii niespodziewanych uderzeń, brawurowych ataków, wielogodzinnych bitew z przeważającymi siłami wroga jest i polski rozdział.

28 sierpnia 1942 r. generał Władysław Sikorski wydał rozkaz sformowania polskiej kompanii Commando. Do końca września trwało przyjmowanie ochotników i 9 października kompania odjechała do północnej Walii, aby tam dołączyć do międzynarodowego oddziału No 10 Commando LA. - skrót ten oznaczał "Inter-Alied", tj. "międzyaliancki", gdyż w skład oddziału wchodził Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Norwegowie i Jugosłowianie - pod nazwą 6 Troop (6. kompania). Jednakże dowództwo brytyjskie nie zdecydowało się wykorzystać polskich komandosów w żadnej ze spektakularnych akcji podejmowanych na kontynencie. Być może rezerwowało chwałę efektywnych ataków dla własnych oddziałów, trzymając komandosów innych narodowości w odwodzie.

W sierpniu 1943 r. dowódca Operacji Połączonych (Combined Operations) lord Louis Mountbatten zdecydował o włączeniu kompanii polskiej i belgijskiej do 2 Special Service Brigade walczącej na froncie włoskim. We wrześniu polska kompania (91 żołnierzy) odpłynęła do Algierii, skąd 1 grudnia przybyła do Tarentu.

Dwa tygodnie później polski patrol przekroczył rzekę Sangro. Tak rozpoczęła się żmudna i mało widowiskowa służba we Włoszech. Do 10 stycznia 1944 r. polscy komandosi prowadzili rozpoznanie, staczając wielokrotnie potyczki z przeważającymi siłami wroga.

17 stycznia polska kompania, przerzucona na zachodnie wybrzeże Włoch, przeszła rzekę Garigliano, rozpoczynając w ten sposób tzw. pierwszą bitwę o Monte Cassino. Gdy do Włoch przybył II Korpus Polski, komandosi zostali przydzieleni do niego jako oddział specjalny do dyspozycji dowódcy korpusu.

17 maja o świcie komandosi wraz ze szwadronem szturmowym 15. pułku ułanów rozpoczęli marsz w kierunku San Angelo, ale huraganowy ogień niemieckiej artylerii zatrzymał ich. Musieli się wycofać na wzgórze 706, później na Widmo, skąd podejmowali następne ataki. Uporczywe, krwawe walki trwały do 19 maja, kiedy to komandosi odeszli na stoki Castellone.

Do drugiej połowy lipca polscy komandosi walczyli we Włoszech, ponosząc bardzo poważne straty. Walki o Polverigi, Agugliano, Cassero, Castelferreti, wdarcie się do Ascony pochłonęły 18 zabitych i 80 rannych, co stanowiło 80% stanu osobowego oddziału. Dlatego naczelny wódz, generał K. Sosnkowski, zdecydował wycofać komandosów z walki i przystąpić do reorganizacji oddziału. 15 sierpnia 1944 r. powstało polskie Commando, składające się z pięciu kompanii, do których zgłaszali się ochotnicy z francuskich i greckich oddziałów partyzanckich oraz Polacy wcieleni wcześniej do Wehrmachtu.

Charakter walk na froncie włoskim wskazywał, że nie będą tam prowadzone operacje typowe dla komandosów i z tego względu w listopadzie 1944 r. przekształcono Commando w oddział zmotoryzowany pod nazwą 2. batalion komandosów. 7 i 8 kwietnia zmotoryzowani komandosi wyruszyli na front i wkrótce w ramach Grupy "Rak" generała Rakowskiego przełamywali obronę na

rzece Gaiana, przekraczali rzeki Quaderno i Idice. Doszli do Bolonii, gdzie ich piękna i bohaterska walka, choć bez spektakularnych wyczynów, dobiegła końca.

Całkiem Inna Wojna

Do drzwi rozległo się energiczne pukanie.

- Wejść! - Generał Archibald Wavell odłożył raporty, które przeglądał od kilkunastu minut i spojrzał na żołnierza przy drzwiach.

- Co jest?

- Zameldował się pułkownik Clarke, sir!

- Wprowadźcie go natychmiast. - Wavell uniósł się z fotela za biurkiem i podszedł do drzwi, w których stanął szczupły, smagły mężczyzna.

- Melduje się pułkownik Dudley Wrangler Clarke z... - Oficer zamierzał podać wszystkie informacje o swojej jednostce i celu przybycia, ale Wavell przerwał mu:

- Wszystko wiem, pułkowniku. Czekałem na pana. Niech pan siada. - Wskazał fotel przy niewielkim stoliku pod ścianą, na której wisiała ogromnych rozmiarów mapa Afryki Północnej. - Znam przebieg pana służby i pańskie osiągnięcia. To może nam się bardzo przydać...

Wavell wiedział, że przyszedł do niego nietuzinkowy żołnierz.

Clarke - oficer artylerii - przed wybuchem II wojny światowej pełnił służbę w Palestynie, gdzie interesował się organizacją i metodami walk partyzanckich. Po powrocie do Anglii, w końcu 1939 r., zaczął studiować taktykę działania Burów. W czerwcu 1940 r., gdy Niemcy zajęli Francję, postanowił wykorzystać swą wiedzę i pomyślał o organizowaniu wypadów niewielkich oddziałów komandosów, którzy przeprowadziliby się przez kanał La Manche na kutrach i motorówkach, atakowali niemieckie bazy i szybko się wycofywali. Swoje propozycje Clarke wysłał do Generalnego Sztabu Imperialnego, skąd trafiły do premiera Winstona Churchilla. Ten nakazał przystąpić do natychmiastowego organizowania jednostek komandosów. Zadanie to otrzymał Clarke i wywiązał się z niego bez zarzutu. Już 26 czerwca 1940 r. 115 żołnierzy zaatakowało francuskie wybrzeże między Boulogne i Berek Plage. Wyniki rajdu nie były budujące. Komandosi zabili dwóch żołnierzy niemieckich i wycofali się bez strat. Jedynym pokrzywdzonym był pułkownik Clarke, którego kula zadrasnęła za uchem.

- Tak, jestem pewien, że pana wiedza i doświadczenie mogą być nam bardzo potrzebne - mówił generał Wavell. - Myślę, że dobrze orientuje się pan w sytuacji. Jeżeli w obecnym stanie brytyjskiej gospodarki i sił zbrojnych możemy marzyć o utrzymaniu Bliskiego Wschodu, bez którego imperium rozpadnie się jak domek z kart, to zadanie musimy wykonać my, tutaj! Myślę, że nie uważa mnie pan za megalomana?...

Clarke gwałtownie zaprzeczył i nie był to tylko kurtuazyjny gest.

Wiedział, że od lipca 1939 r. Wavell był głównodowodzącym wojskami brytyjskimi na Bliskim Wschodzie. Jego rozkazom podlegały jednostki w Egipcie, Sudanie, Palestynie, Jordanii, na Cyprze,

w Brytyjskiej Somalii, Iraku, Adenie, państewkach nad Zatoką Perską w Kenii, Ugandzie, Tanganice, Syrii i Libanie. Jednakże liczebność tych wojsk była znikoma jak na skalę potrzeb i ogrom terytorium; Wavell dysponował zaledwie 100 tysiącami żołnierzy (z czego w Egipcie stacjonowało 36 tysięcy) i niekompletną 7. dywizją pancerną. Wzmocnienie sił nie było możliwe. Na terenie Wysp Brytyjskich stacjonowało 1650 tysięcy żołnierzy w 29 dywizjach i 8 niezależnych brygadach. 12 dywizji sformowano dopiero w pierwszych miesiącach 1940 r. i nie osiągnęły jeszcze gotowości bojowej. Wszystkim jednostkom brakowało artylerii i czołgów. Co więcej - po klęsce we Francji w 1940 r. - morale żołnierzy było niskie. Te siły nie wystarczyłyby nawet do skutecznej obrony wybrzeży przed niemiecką inwazją. Generał Wavell nie mógł również liczyć na wzmocnienie swoich wojsk żołnierzami z Indii, gdyż ich wartość bojowa nie była duża; nadawali się wprawdzie do utrzymywania kolonialnego porządku, ale nie do boju z dywizjami niemieckimi. Państwa Wspólnoty - Australia i Nowa Zelandia, które chlubnie zadeklarowały udział w wojnie i zbrojną pomoc - nie były jeszcze w pełni gotowe do jej udzielenia. Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja ze sprzętem. Przemysł brytyjski potrzebował czasu, aby przestawić się na produkcję zbrojeniową, a pierwszeństwo w dostawach miały nowe dywizje, formowane dla obrony Wielkiej Brytanii przed niemiecką inwazją. Zakłady produkowały od 9 do 15 czołgów tygodniowo, ale były to pojazdy powolne, słabo opancerzone i uzbrojone. Nie mogłyby toczyć równorzędnej walki z czołgami niemieckimi. Wavell zdawał sobie sprawę, że lada moment ruszą do ataku armie państw, którym szczególnie zależało na opanowaniu rejonu Morza Śródziemnego. Włochy utrzymywały duże oddziały wojska w Libii (236 tysięcy żołnierzy) i Afryce Wschodniej (100 tysięcy żołnierzy). Oddziały te dysponowały 1811 działami, 339 lekkimi czołgami i 151 samolotami w gotowości bojowej. Należało się spodziewać, że wkrótce uderzą na Egipt z zachodu i wschodu. Do walki o ten niezwykle ważny strategicznie i gospodarczo rejon mogły włączyć się Niemcy i Związek Radziecki. Wavell przewidywał, że te dwa mocarstwa, działając wspólnie, zechcą opanować również Bałkany, a następnie Malte, Cypr i Kretę, aby umocnić swą pozycję w tym rejonie Morza Śródziemnego. Obawiał się, że Związek Radziecki zajmie też pola naftowe w Iraku i Persji.

- Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, jest krytyczna - mówił generał. - 10 czerwca Mussolini wypowiedział nam wojnę i pewnie już niebawem ruszą jego armie z Libii i Włoskiej Afryki Wschodniej. Możemy przeciwstawić im tylko 36 tysięcy ludzi. Powie pan, że lepiej od razu skapitulować... - Wavell zawiesił głos.

- Nie, nie sędzę, sir. - Clarke był wyraźnie zbity z tropu. - Nie mogę sobie jednak wyobrazić, co w tej sytuacji, wobec tak ogromnej przewagi nieprzyjaciół, możemy zrobić...

- Mamy tylko jeden atut. Wrogowie nie wiedzą, jacy jesteśmy słabi. Powiem więcej: do głowy im nie przyjdzie, że jesteśmy aż tak słabi. I to musimy wykorzystać. Musimy przekonać ich, że jesteśmy wystarczająco silni, by odeprzeć każdą ofensywę. To będzie pana zadanie, pułkowniku! Oczekuję, że w ciągu najbliższych pięciu dni przedstawi mi pan propozycje.

- Tak jest! Sir... - Clarke podniósł się z fotela. Nie miał pojęcia, co można zrobić, aby przekonać wroga o potędze oddziałów brytyjskich.

28 czerwca 1940 r. włoskie Naczelne Dowództwo - Comando Supremo - rozkazało marszałkowi Italo Balbo, głównodowodzącemu wojskami włoskimi w Afryce, uderzyć na Egipt wszystkimi siłami. Marszałek nie odebrał rozkazu, gdyż tego dnia zginął w samolocie zestrzelonym

omyłkowo przez własną artylerię przeciwlotniczą.

Jego zastępca, marszałek Rodolfo Graziani - dotychczasowy szef sztabu wojsk lądowych - otrzymał rozkaz rozpoczęcia ofensywy 15 lipca. Nie zamierzał jednak podporządkować się poleceniom Naczelnego Dowództwa. Zdawał sobie sprawę, że najpierw musi przygotować zapasy amunicji, żywności i wody dla swoich wojsk. Ponadto uznał, że rozpoczynanie ofensywy w środku afrykańskiego lata nie jest dobrym pomysłem. Nie mógł jednak otwarcie sprzeciwić się rozkazowi, więc postanowił grać na zwłokę, co bardzo zdenerwowało Mussoliniego.

19 sierpnia duce nadesłał telegram: *Marszałku Graziani, jak wspominałem w czasie naszej ostatniej dyskusji, czas pracuje przeciwko nam. Dla Wielkiej Brytanii utrata Egiptu byłaby coup de grace, a dla nas podbicie tego bogatego kraju, niezbędnego do ułatwienia komunikacji z Etiopią, będzie wielką nagrodą, na jaką Włochy czekają. Pan tego dokona, jestem tego pewien.* Mimo tego wezwania i wielu innych ponagleń Graziani rzucił wojska do ataku dopiero 13 września 1940 r.

Cztery dywizje i grupa pancerna, dowodzone przez generała Annibale'a Bergonzoliego, 3 dni później zdobyły Sidi Barrani. Od następnego celu - twierdzy Marsa Matruh - dzieliło włoskich żołnierzy zaledwie 120 kilometrów, a od głównej brytyjskiej bazy w Aleksandrii nieco ponad 40 tysięcy. Jednakże Graziani, dowódca doświadczony w pustynnych walkach, nie dał się zwieść mirażowi łatwego zwycięstwa i zatrzymał wojska, aby uzupełnić straty (530 zabitych i rannych) i podreperować stan zapasów.

Pułkownik Clarke zaś rozpoczął wielką grę. Według jego przewidywań, wojska włoskie powinny kontynuować natarcie, posuwając się główną nadmorską drogą do Aleksandrii. Postanowił więc upozorować zgromadzenie w tym rejonie poważnych sił brytyjskich. Na południe od Sidi Barrani brytyjskie wojska inżynieryjne zaczęły budowę drogi, a specjalnie skonstruowane pojazdy szybko i sprawnie odciskały ślady czołgowych gąsienic, prowadzące do zgrupowań jednostek pancernych. Drogi te wskazywały załogom włoskich samolotów rozpoznawczych rejony zgrupowań, gdzie mogły sfotografować dziesiątki czołgów, samochodów pancernych, armat i ciągników artyleryjskich. Na zdjęciach, robionych z wysokości kilku tysięcy metrów (silny ogień brytyjskiej obrony przeciwlotniczej uniemożliwiał obniżenie lotu), nie było widać linek kotwiczących działa i czołgi do piasku, aby... nie porwał ich wiatr. Wszystkie pojazdy wykonano bowiem z gumy i nadmuchano jak balony. Na zdjęciach pustynnych dróg widać było kłęby pyłu, co dla włoskich oficerów, analizujących te obrazy, stanowiło nieomyślny dowód, że jadą tam kolumny czołgów i ciężarówek kierujących się na południe. Oficerowie nie mogli wiedzieć, że kurz wzbijały brony ciągnięte przez wielbłądy.

Marszałek Graziani czytał raporty sporządzane na podstawie takich meldunków. Wynikało z nich, że drogi do Marsa Matruh broni co najmniej 200 tysięcy żołnierzy brytyjskich, wspieranych przez silne oddziały pancerne, lotnictwo i artylerię. Duże zgrupowanie broni pancernej na południe od drogi do Aleksandrii oznaczało, że Brytyjczycy szykują się do uderzenia na prawe skrzydło wojsk włoskich, gdy te ruszą do natarcia na Marsa Matruh. W tej sytuacji Graziani nie widział możliwości kontynuowania ofensywy. Jego oddziały dysponowały jedynie lekkimi czołgami, które słabo opancerzone i uzbrojone w karabiny maszynowe kal. 6,5 mm - nie mogłyby podjąć równorzędnego boju z brytyjskimi czołgami Matilda lepiej opancerzonymi i uzbrojonymi w działa, których pociski

bez trudu przechodziły przez panczerze włoskich czołgów. Postanowił więc czekać na posiłki i nie zmienił decyzji, mimo że Mussolini słał ponagląjące telegramy, a nawet groził zwolnieniem go ze stanowiska.

Generał Wavell, przy pomocy pułkownika Clarke'a, odniósł pierwszy sukces, gdyż uzyskał czas potrzebny na wzmocnienie wojsk i przygotowanie kontruderzenia. Oczywiście nie omieszkał przesłać do Londynu szczegółowego raportu na temat sposobu, w jaki przechytrzył wroga. Choć premier Churchill nie lubił Wavella i czekał tylko na sposobność odebrania mu stanowiska, z upodobaniem wczytywał się w raport. Wavell pisał: *Każdy dowódca powinien stale rozważać metody wprowadzania w błąd swojego przeciwnika, wykorzystując jego obawy i zakłócając jego równowagę psychiczną. Podstawową metodą wprowadzenia w błąd jest zwrócenie uwagi wroga na obiekt, który chcesz, aby zobaczył i odwrócenie jego uwagi od obiektu, którego widzieć nie powinien. Wavell wymieniał środki osiągnięcia tak pożądanego rezultatu: fałszywa informacja lub maskowanie, pozorny odwrót, który w rzeczywistości jest przygotowaniem do ataku, wspieranie zdrady, osłabianie morale wroga.*

Churchill w słowach generała znajdował potwierdzenie własnej koncepcji prowadzenia wojny. Uważał bowiem, że: *bitwy wygrywa się w wyniku krwawego starcia i manewru. Im większy generał, tym więcej stosuje manewru, a mniej krwawych starć. Niemalże wszystkie bitwy uznane za mistrzowskie przykłady sztuki wojennej były bitwami manewru, w którym wróg został pokonany w wyniku zastosowania nowatorskiego fortelu lub broni. (...) W takich bitwach straty zwycięzców były małe. (...) W wojnach jest wiele rodzajów manewru, z których tylko część znajduje zastosowanie na polach bitew. To są manewry na polu dyplomacji, techniki, psychologii; prowadzone są daleko od pól bitewnych, ale często mają na nie decydujący wpływ.*

W grudniu 1940 r., gdy generał Wavell uznał, że zgromadził wystarczające siły, uderzył na włoskie pozycje. Do lutego 1941 r. jego wojska wdarły się na 1000 kilometrów w terytorium Libii i za cenę: 500 zabitych oraz 1400 rannych zdobyły 400 czołgów, 1290 dział, a do niewoli wzięły 130 tysięcy jeńców. W tym samym czasie we Włoskiej Afryce Wschodniej nieliczne wojska brytyjskie, tracąc 44 żołnierzy, rozgromiły Włochów i wzięły do niewoli 50 tysięcy jeńców.

Premier Churchill doskonale rozumiał rolę podstępów w udanych operacjach. Natychmiast postanowił zastosować w Europie metody sprawdzone w Afryce. W kwietniu 1941 r. powołał niewielką organizację o nazwie London Controlling Section. W rękach jej szefa, pułkownika Olivera Stanleya, zbiegały się nici, prowadzące do jednostek brytyjskich i amerykańskich w różnych rejonach świata, gdzie tworzone były Committees of Special Means - komitety środków specjalnych, których celem było wprowadzanie wroga w błąd.

Kapitan Woerner ze złością patrzył na dwóch mężczyzn, nieporadnie ześlizgujących się po kłamrach kiosku na pokład okrętu podwodnego.

- Mają szczęście, że morze jest spokojne - powiedział do oficera wachtowego.

- My też; gdyby bujało, to zarzygaliby nam cały okręt. Skąd ci z Abwehry biorą takie oferty? - Oficer przytknął lornetkę do oczu. 350 metrów dalej rozciągała się plaża angielskiego wybrzeża, rozjaśniona promieniami brzasku. Kończyła się spokojna, bezwietrzna noc.

Dwaj mężczyźni w czarnych nieprzemakalnych kombinezonach, idąc nieporadnie po wąskim pokładzie okrętu podwodnego, zbliżyli się do miejsca, gdzie marynarz przytrzymał ponton. Podali mu tobołki, a następnie zsunęli się po obłości blachy burty i z wyraźnym zadowoleniem, że najtrudniejsza część operacji opuszczenia U-boota udała się bez większych przykrości, schwycili za wiosła. Ponton, kręcąc się to w jedną, to w drugą stronę, zaczął się oddalać w kierunku brzegu.

- Mam nadzieję, że dopłyną - mruknął kapitan, patrzący z wyraźnym niesmakiem na morskie popisy agentów Abwehry. Zaraz potem krzyknął na dół: - Zapisać w dzienniku: "Godzina 5.17. Operacja wysadzenia agentów zakończona. Bez uwag".

Woda za rufą okrętu skłębiła się. U-boot zaczął się wycofywać, aż po kilku minutach zniknął pod wodą. W tym samym czasie dwaj mężczyźni dotarli do plaży, gdzie poprzecinali pływak pontonu i zdjęli kombinezony. Spakowali starannie ekwipunek i złożyli go w dole, mozolnie wygrzebanym małymi łopatkami. Następnie zatarli ślady, wrzucili łopatki do morza i ruszyli wąską ścieżką między wydiami. Było już widno.

- Stój! - W porannej ciszy okrzyk zabrzmiał jak wystrzał. Zza wysokiej trawy wyłonił się brytyjski żołnierz z karabinem wycelowanym w stronę wędrowców. Zdawało się, że młodzieńki szeregowiec jest bardziej niż oni zaskoczony spotkaniem.

- Co tu robicie tak rano? - zapytał jednak groźnie. No właśnie! Co dwaj spokojni brytyjscy obywatele, za jakich mieli uchodzić niemieccy agenci, mogli robić o 6.00 nad morzem? Podczas szkolenia nikt nie przygotowywał ich na taką ewentualność.

- Idziemy do miasta - wydukał niepewnie starszy. Zaraz potem, aby ukryć niepokój, dodał: - Opuść tę strzelbę. Tak mnie przestraszyłeś, że zapomniałem, w którym hrabstwie jestem...

- Do jakiego miasta idziecie? - nie ustępował żołnierz.

Otóż to! Jakiego? Przed rozpoczęciem szpiegowskiej misji tłumaczono im, że wylądują w rejonie... Hybe? A może Hythe? Starszy agent spojrział z nadzieją na kolegę, licząc, że ten przypomni sobie trudną angielską nazwę.

- No, tego tutaj... tego najbliższego - usiłował ratować sytuację młodszy, ale skutek był kiepski.

Żołnierz nabierał coraz większych podejrzeń. Ochłonał z zaskoczenia i zapewne przypomniał sobie punkty regulaminu, które instruowały, co brytyjski żołnierz powinien zrobić, gdy napotka niemieckiego szpiega.

- Jesteście zatrzymani do wyjaśnienia - powiedział, unosząc karabin. - Położyć ręce na głowie i iść przede mną. Przy próbie ucieczki będę strzelał! Kierować się tam - wskazał lufą w stronę zabudowań, widocznych zza wydm.

Misja agentów Abwehry, którzy na początku września 1940 r. wylądowali na angielskim wybrzeżu w rejonie Hythe, zakończyła się fiaskiem, zanim okręt podwodny, którym przyплыnęli, zdążył powrócić do bazy. Podzielili los jedenastu innych, równie źle przygotowanych do swej misji, którzy w tym samym czasie dostali się do Anglii. Większość szpiegów, przemycanych w ramach planu "Lobster", została aresztowana w kilka godzin po wylądowaniu na angielskiej ziemi. Inni, którym udało się dotrzeć do miast i znaleźć schronienie u brytyjskich faszystów, zostali szybko wykryci przez policję i kontrwywiad. Zdradzały ich wysyłane z Hamburga szyfrogramy "Enigmy", które Brytyjczycy potrafili odczytywać. Agenci demaskowali się nieumiejętnym nadawaniem meldunków radiowych, umożliwiającym brytyjskim służbom goniometrycznym namierzenie miejsc ustawienia nadajnika; kilku zgłosiło się na policję, proponując współpracę. Niemal wszyscy zostali skazani na śmierć.

Dwaj agenci, schwytani w rejonie Hythe, uniknęli tego losu. Nie byli lepsi ani gorsi od swoich towarzyszy. Mieli po prostu szczęście. Pewnego dnia w ich celach w londyńskim Tower zjawił się miły major, który każdemu z nich powiedział to samo:

- Stwierdził się ponad wszelką wątpliwość, że jest pan niemieckim szpiegiem. Został pan co prawda przypadkowo aresztowany przez żołnierza, ale ten chłopak tylko popsuł nam szyki. Zasadzka była bowiem przygotowana w domu pani Clarton, u której miał pan wraz z towarzyszem znaleźć bezpieczne schronienie. Nie dziwi pana, skąd to wiemy? Abwehra was zdradziła. Za kilka dni stanie pan przed sądem, a nasze dowody wystarczą, by skazać pana na śmierć. Wyrok "powieszenia za szyję aż do śmierci" - jak to określa nasze prawo - zostanie wykonany bezzwłocznie. Czy chce pan przekazać jakieś wiadomości rodzinie w Niemczech? Możemy przesłać je za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Ale proszę się zastanowić, czy naprawdę nie ma pan ochoty dożyć starości? Jedzenie w więzieniu Jego Królewskiej Mości nie jest wprawdzie najlepsze, ale za to bardzo zdrowe. Będzie pan tu siedział do końca wojny, co gwarantuje panu przeżycie tego strasznego czasu. Zapewniam, że miliony żołnierzy niemieckich zazdrościłyby panu takiego losu.

- Co mam zrobić w zamian?

- Opowiedzieć nam wszystko o swojej misji, a później co pewien czas przekazywać do centrali w Hamburgu depeche, które przygotujemy. Proszę to przemyśleć. Przyjdę jutro.

Agenci nie zastanawiali się długo. Rzeczywiście czuli się zdradzeni przez przełożonych, którzy źle ich przygotowali do szpiegowskiej misji. Szybko zgodzili się na współpracę z wywiadem brytyjskim. Starszy otrzymał pseudonim "Summer", a młodszy - "Tate". Ich zadaniem było przesyłanie do centrali w Hamburgu fałszywych informacji. "Tate" i "Summer" stali się trybikami pracującej z coraz większym rozmachem maszyny, kierowanej przez London Controlling Section. W

czerwcu 1942 r. otrzymali polecenie informowania centrali o przygotowaniach do inwazji na Francję.

Stali się częścią wielkiej gry, mającej na celu utrzymywanie wojsk niemieckich w zachodniej i północnej Europie w stałym napięciu i gotowości do odparcia inwazji. Przeświadczenie o jej bliskości miało skłonić Hitlera do skierowania w rejony zagrożone uderzeniem wojsk alianckich poważnych sił, wycofanych z frontu wschodniego, i do rozpoczęcia prac fortyfikacyjnych.

Już w kilka miesięcy po podboju Francji Niemcy rozpoczęli nad kanałem La Manche budowę umocnień. Świadomość zagrożenia, zżęcznie podsycana przez Brytyjczyków, nakazała Hitlerowi wydać w marcu 1942 r. dyrektywę nr 40 - o budowie wału atlantyckiego. To było pierwsze zwycięstwo brytyjskich służb specjalnych: plan budowy umocnień, ciągnących się przez tysiące kilometrów - od granicy z Hiszpanią do północnych krańców Norwegii - wymagał zaangażowania ogromnego potencjału gospodarczego, dziesiątków tysięcy robotników, a później żołnierzy do obsadzenia bunkrów, stanowisk dział i karabinów maszynowych.

W jednej z depech "Tatę", wykonując polecenia brytyjskich mocodawców, podał miejsce przewidywanej inwazji: francuskie miasto Dieppe.

Operacja Dieppe

Był ciepły, wiosenny poranek 10 kwietnia 1942 r. Duży, czarny bentley i jadący tuż za nim jeep z żołnierzami skręciły z mostu Lambeth w stronę Whitehallu. Przemknęły obok gmachu Parlamentu, zwolniły na moment przed skrzyżowaniem, ale policjant, poinformowany o przejeździe samochodów, wstrzymał ruch pojazdów z Westminster Bridge. Tuż za skrzyżowaniem samochody skręciły z Whitehallu w prawo, w wąską uliczkę, utworzoną z wysoko ułożonych worków z piaskiem, i zatrzymały się przed szlabanem zagradzającym drogę do Ministerstwa Wojny. Wartownik obejrzał dokładnie dokumenty, które podał mu oficer siedzący obok kierowcy bentleya, zasalutował i otworzył zapórę, zezwalając tym samym na wjazd na dziedziniec ministerstwa.

Przed schodami, prowadzącymi do głównego wejścia ogromnego, szarego gmachu, stał oficer, który odczekawszy, aż samochód się zatrzyma, podszedł sprężystym krokiem i otworzył drzwiczki.

- Major Taylor - zameldował się wysokiemu, postawnemu mężczyźnie, który wysiadł z samochodu. - Panie generale, mam zaszczyt towarzyszyć panu na spotkanie, które rozpocznie się zgodnie z ustaleniami.

Ta zawiła forma powitania oznaczała, że major został wysłany po to, aby sprawnie przeprowadzić gości przez wszystkie punkty kontrolne, których w gmachu Ministerstwa Wojny było bez liku. Zaczekali chwilę, aż z samochodu wysiądą dwaj inni mężczyźni i ruszyli w stronę wejścia.

Punktualnie o 10.30 generał George Marshall, szef sztabu amerykańskich wojsk lądowych, i Harry Hopkins, doradca prezydenta Stanów Zjednoczonych, weszli do sali konferencyjnej na pierwszym piętrze. W głębi, pod ogromnym obrazem, przedstawiającym wyprawę Kitchenera przeciwko Mahdiemu, stał gospodarz spotkania - generał Alan Brooke, szef Sztabu Imperialnego.

- Witam pana, generale - wyciągnął rękę w stronę Marshalla. Ten patrzył badawczo na Brooke'a. Zawsze zaskakiwał go niepozorny wygląd najślawniejszego brytyjskiego żołnierza.

- Cieszę się z tego spotkania, generale. - Uścisnął rękę Brooke'a.

- Mam nadzieję, że podróż panów minęła bez większych komplikacji - Brooke kontynuował obowiązkową wymianę grzeczności. - Londyn wita was piękną pogodą. O tej porze roku nie zawsze tak jest.

Członkowie obydwu delegacji zajęli miejsca za długim, mahoniowym stołem. Rozpoczynały się negocjacje na temat amerykańskiego planu prowadzenia wojny w Europie. Marshall przyjechał, by uzyskać od Brytyjczyków zapewnienie, że wspólnie z Amerykanami przygotują inwazję na kontynent. Plan był następujący: 15 września 1942 r. 6 dywizji (w tym 5 amerykańskich: 3 - piechoty i 2 pancerne) na pokładach brytyjskich okrętów wyruszy do ataku na brzeg Francji. Wspomagać je będzie 5800 samolotów (w tym 2550 brytyjskich). Po wdarciu się na brzeg żołnierze wojsk desantowych utworzą silnie bronione przyczółki. Wkrótce wspomogłoby ich 12 dywizji dosłanych z Anglii. Na tym zakończyłby się pierwszy etap operacji wyzwolenia Europy, któremu nadano nazwę "Sledgehammer". Przez następne miesiące siły we Francji byłyby rozbudowywane o 100 tysięcy

żołnierzy tygodniowo. Gdy liczebność wojsk alianckich osiągnęłaby milion żołnierzy (30 dywizji), wówczas uderzyliby w głąb Francji, wyzwolili to państwo i ruszyli do stolicy Trzeciej Rzeszy. Ten etap operacji, który miał być decydujący dla losów II wojny, nazwano "Roundup".

Brooke słuchał tych planów z irytacją trudno skrywaną. W jego ocenie była to operacja niemożliwa do przeprowadzenia. Dobrze pamiętał, jak zakończyła się podobna operacja, podjęta przez Brytyjczyków w 1915 r. Wówczas to Pierwszy Lord Admiralicji Winston Churchill doszedł do wniosku, że desant dużego oddziału wojska na tureckim brzegu zmusi Niemców do przerzucenia z Francji całych jednostek do odległego rejonu, a wtedy żołnierze Ententy uderzą na froncie francuskim i zwyciężą osłabione wojska niemieckie. 25 kwietnia 1915 r. oddziały angielskie, australijskie i nowozelandzkie podjęły próbę opanowania brzegu w rejonie Gallipoli. W czasie desantu zginęło kilka tysięcy żołnierzy, zdziiesiątkowanych ogniem karabinów maszynowych i dział. Ci, którzy zdołali wdrzeć się na brzeg, przez kilka miesięcy bronili się dzielnie, ale w nocy z 8 na 9 stycznia 1916 r. musieli się ewakuować. Ta operacja kosztowała życie 30 tysięcy żołnierzy, 4 tysiące odniosło rany, 8 tysięcy dostało się do niewoli lub zginęło. Ogromne ofiary poszły na marne; desant nie zmienił sytuacji na froncie. Winston Churchill musiał podać się do dymisji, choć podobno zawinili dowódcy oddziałów inwazyjnych, działający niezdecydowanie i bez wyobraźni.

Co prawda inny desant - przeprowadzony 23 kwietnia 1917 r. na bazę niemieckich okrętów podwodnych w Zeebrugge w Belgii - zakończył się sukcesem, ale była to operacja na niewielką skalę: kilkudziesięciu żołnierzy z 4. batalionu Royal Marines zdołało zniszczyć lub zablokować urządzenia portowe.

Przez całą I wojnę Brytyjczycy rozbudowywali wojska inwazyjne, które w 1918 r. liczyły 55 tysięcy żołnierzy, ale w czasie pokoju siły te zmalały do 15 tysięcy żołnierzy piechoty morskiej - Royal Marines. W latach trzydziestych w Fort Cumberland działało centrum rozwoju i szkolenia (Inter-Service Training and Development Centre), które opracowało trzy typy nieudanych okrętów desantowych. Ćwiczenia przeprowadzone w rejonie Slapton Sands w 1938 r. zakończyły się kompletnym fiaskiem, ale niepowodzeniami rząd brytyjski się nie zrażał. W 1939 r. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny sprawnie wylądował we Francji i wydawało się, że wojska amfibijne nie będą potrzebne. Dopiero klęska Francji i ewakuacja spod Dunkierki nakazały Brytyjczykom powrót do idei stworzenia pojazdów i wojsk zdolnych dokonać inwazji na kontynent. Do 1942 r. niewiele jednak w tej dziedzinie osiągnięto.

Brooke, doskonale znając słabość brytyjskiej armii, nie wierzył też, aby Amerykanie, którzy zaledwie kilka miesięcy wcześniej ocknęli się z błędnego snu o pokoju, mogli wystawić silną, odpowiednio wyszkoloną i wyposażoną armię. Generał pamiętał raport brytyjskiego przedstawiciela wojskowego w Waszyngtonie, generała Johna Dilla, który pisał: *Ten kraj [Stany Zjednoczone - BW] jest najlepiej przygotowany do pokoju, jak tylko możesz sobie wyobrazić. (...) Obecnie ten kraj nie ma - powtarzam: nie ma - najmniejszego pojęcia, co oznacza wojna. Prawdopodobnie w przyszłości dokonają rzeczy wielkich, ale (...) obecnie cała organizacja [sił zbrojnych - BW] pochodzi z czasów George'a Washingtona.*

Dill nie wspominał w raporcie o niskim morale amerykańskich żołnierzy po dotkliwych klęskach na Pacyfiku. Trudno było sobie wyobrazić, że - w atmosferze przygnębienia po Pearl Harbor i utracie Filipin - setki tysięcy młodych ludzi wyruszą ochoczo, z wiarą w zwycięstwo, do

Europy. Wyruszą? Jak? Wody Atlantyku roiły się od niemieckich okrętów podwodnych. Brytyjczycy mieli wszelkie podstawy, aby się obawiać, że niemieckie okręty podwodne skutecznie zablokują szlaki żeglugowe i doprowadzą wyspy do gospodarczego załamania.

Royal Navy i US Navy nie miały odpowiedniej liczby jednostek eskortowych, by skutecznie zwalczać U-booty i zapewnić bezpieczeństwo konwojom. Z setek statków z żołnierzami i milionami ton zaopatrzenia dla wojsk inwazyjnych, wychodzących z amerykańskich portów, niewiele dotarłoby do Wielkiej Brytanii. Wilcze stada, samoloty Luftwaffe i wielkie okręty nawodne, działające z baz w Norwegii, zbierałyby krwawe żniwo.

Jak wdrzeć się na francuski brzeg? Chroniły go wprawdzie bunkry wału atlantyckiego, nie one jednak były najgroźniejsze. W połowie 1942 r. Luftwaffe miała 4942 samoloty bojowe, z których 69% - w gotowości bojowej. Mniej więcej połowa z nich stacjonowała na froncie wschodnim, reszta - w Niemczech, Europie Zachodniej i w rejonie Morza Śródziemnego. Była więc to siła zdolna rozgromić flotę inwazyjną i zmiażdżyć oddziały, którym udałoby się stanąć na francuskiej ziemi. Mogłyby tam zostać tylko do czasu, w którym Niemcy rzuciliby do walki pancerne dywizje z czołgami Panzer II i IV. Tym pojazdom nie mógł bowiem dorównać żaden czołg brytyjski ani amerykański. Brytyjczycy dotkliwie odczuli siłę Wehrmachtu w Norwegii, Grecji, Francji, na Krecie i w Afryce Północnej.

Na podstawie tych doświadczeń Brooke uznał, że plan wojny z Niemcami nie może zakładać frontalnego ataku. Inwazja musiała być poprzedzona długotrwałymi przygotowaniem: pracą tajnych służb, które wprowadziłyby nieprzyjaciół w błąd co do miejsca lądowania; nalotami na niemieckie fabryki, aby obezwładnić przemysł zbrojeniowy i wyniszczyć Luftwaffe; opanowaniem wybrzeży Morza Śródziemnego w celu zmuszenia Niemców do rozproszenia sił.

Amerykanie byli innego zdania. Uważali, że siła dywizji sprzymierzonych będzie tak duża, iż złamie opór Niemców. Generał Marshall żądał więc - a prezydent Franklin D. Roosevelt popierał go "z całego serca" - aby wojska anglo-amerykańskie ruszyły do frontalnego ataku na Francję.

Brooke w swoim pamiętniku zapisał: W świetle obecnej sytuacji plan [inwazji - BW] na wrzesień 1942 r. jest po prostu fantastyczny. Nie mógł jednak powiedzieć Amerykanom: - "nie". Wielka Brytania była silnie uzależniona od szczodrości zamorskiego krewnego; dostawy ze Stanów Zjednoczonych miały istotne znaczenie dla brytyjskiej gospodarki i obronności.

Kredyty i transport materiałów w ramach lend-lease'u ratowały Wielką Brytanię w najtrudniejszym dla niej okresie wojny - w roku 1941, a później nabierały coraz większego znaczenia. I tak np. w 1941 r. co dziesiąty pocisk, wystrzelony przez żołnierza brytyjskiego, pochodził z fabryk amerykańskich; w 1943 r. już co trzeci. W 1942 r. brytyjska VIII armia w Egipcie z utęsknieniem oczekiwała na transport amerykańskich czołgów M3 Grant, a wkrótce połowa wszystkich czołgów w brytyjskich dywizjach pancernych została sprowadzona z USA. Royal Navy potrzebowała amerykańskich okrętów i amerykańskich stoczní, aby w nich budować i remontować swoje jednostki. Fleet Air Arm (Powietrzna Broń Floty) była całkowicie uzależniona od dostaw samolotów myśliwsko-bombowych Corsair i rozpoznawczych Catalina. Royal Air Force wyczekiwała na dostawy doskonałych samolotów transportowych Dakota, lekkich bombowców, szturmowców i myśliwców. Obydwa państwa splotły się w ogromnym wysiłku wojennym i każdy z

brytyjskich generałów rozumiał, że splotu tego nie może naruszyć bez narażenia na szwank interesu ojczyzny.

Brooke nie mógł więc powiedzieć: “nie”. Nie mógł również zgodzić się na przedsięwzięcie, które uważał za szaleństwo. Wydawałoby się, że nie ma wyjścia. A jednak Brooke i Churchill, znając wcześniej zapędy Amerykanów, opracowali plan, który pozwalał uniknąć sporu, a w każdym razie odsunąć podjęcie ostatecznej decyzji o inwazji na kontynent europejski. Brooke chciał osiągnąć odroczenie inwazji na Francję, zgadzając się na lądowanie w tym kraju, ale według jego planów nie miały to być masy wojsk inwazyjnych - jak tego chcieli amerykańscy autorzy planu “Sledgehammer” - tylko stosunkowo niewielki oddział realizujący zadania rozpoznawcze.

Takim rozstrzygnięciem zakończyła się konferencja w gmachu Ministerstwa Wojny. Generał Marshall był przekonany, że przełamał niechęć sojuszników do swych propozycji; a ugruntował się w tym przekonaniu podczas spotkania z premierem Churchilllem 14 kwietnia. Wkrótce potem wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie natychmiast poinformował prezydenta o pozytywnych wynikach londyńskich rokowań.

W Londynie zaś brytyjscy planiści, pod dowództwem generała Bernarda Law Montgomery’ego, przystąpili do planowania rajdu kilku tysięcy żołnierzy na wybrzeże francuskie w rejonie portu Dieppe. Atak miały przeprowadzić dwie brygady z kanadyjskiej 2. dywizji, wspomagane przez niewielki oddział komandosów brytyjskich i 28 nowych czołgów Churchill. Wsparcie z morza miało zapewnić 200 okrętów (wśród których największymi jednostkami były niszczyciele), a z powietrza 200 samolotów RAF.

Co mogły zdziałać dwie brygady i 28 czołgów na francuskim wybrzeżu, gdzie Niemcy w ciągu 6 godzin byli w stanie wprowadzić do walki dywizję pancerną (tj. około 300 czołgów)? Plan zakładał zniszczenie urządzeń w niewielkim porcie, schwytanie pewnej liczby Niemców; ewentualne zdobycie maszyny szyfrującej “Enigma”, zorientowanie się w terenie i w organizacji obrony wybrzeża; a po 1,5 lub 2 dniach powrót do Anglii.

Tymczasem w Waszyngtonie generał Marshall określał główne kierunki zakrojonej na szeroką skalę operacji “Bolero”, polegającej na przetrzuceniu do Wielkiej Brytanii żołnierzy i sprzętu niezbędnego do zwycięskiego podboju wybrzeży Francji. Prezydent Roosevelt natychmiast powiadomił Stalina, że alianci zachodni planują na wrzesień utworzenie drugiego frontu. W czerwcu do Londynu przybył generał Dwight Eisenhower, który - jako głównodowodzący europejskiego teatru działania armii USA (European Theater of Operations US Army - ETOUSA) - miał doglądać przygotowań do wielkiej operacji inwazyjnej “Sledgehammer”. Brytyjczycy przyjęli go chłodno. Nie wywarł na nich dobrego wrażenia oficer, którego doświadczenie bojowe było równe zeru. Największą jednostką, którą dowodził, był pułk czołgów, który nie oddał ani jednego strzału w walce, a znajomość problemów europejskich generała Eisenhowera sprowadzała się do wiedzy nabytej w czasie zbierania materiałów do książki o amerykańskich pomnikach wojennych w Europie.

Eisenhower nie przejmował się jednak pełnym wyższości dystansem brytyjskich oficerów. Uważał ich za dziwaków, przeczulonych na punkcie tajemnicy wojskowej i operacji specjalnych. To przekonanie nasiliło się, gdy poznał działalność London Controlling Section. Zapisał w pamiętniku: W pierwszych dniach wojny, zwłaszcza gdy Wielka Brytania stawiała samotny opór w 1940 i 1941

r., Brytyjczycy niewiele mieli do przeciwstawienia Niemcom z wyjątkiem podstępów. (...) Takie postępowanie stało się jednak zwyczajem, którego nie mogli się pozbyć.

Tymczasem generał Bernard Law Montgomery - wsławiony sprawnym przeprowadzeniem ewakuacji swojej dywizji spod Dunkierki w maju 1940 r. - przygotował założenia planu "Rutter". Uznał, że powodzenie operacji zależy od utrzymania całego przedsięwzięcia w jak najgłębszej tajemnicy, co warunkowało całkowite zaskoczenie niemieckiego garnizonu na francuskim wybrzeżu. Na naradzie w Sztabie Generalnym brytyjscy sztabowcy słuchali jak urzeczeni słów Montgomery'ego. Zastanawiające, że żaden z doświadczonych żołnierzy nie zwrócił uwagi, iż morskie wsparcie desantu jest wprost symboliczne. Pociski najcięższych dział kal. 120 mm, którymi dysponowały niszczyciele, mające osłaniać lądowanie wojsk desantowych, były zbyt małe, aby skruszyć niemiecką obronę. Najgroźniejsza broń lądujących oddziałów - czołgi Churchill - była stanowczo za ciężka (38,5 ton) do walki na kamienistej plaży, stromo opadającej do morza, a ponadto, wprowadzona niedawno do uzbrojenia, miała wiele wad. Liczne zastrzeżenia można było mieć również do planu wsparcia oddziałów przez samoloty RAF. Plan Montgomery'ego został jednak zaaprobowany. Ruszyły przygotowania do rajdu na francuskie wybrzeże w rejonie Dieppe.

W tym samym czasie agent "Tate", pod okiem specjalisty z London

Controlling Section, szyfrował depezę do centrali Abwehry: Z najlepszych źródeł uzyskałem informacje o tajnych przygotowaniach dużych sił alianckich do desantu na francuskie wybrzeże w rejonie Le Havre - Dieppe. Termin jeszcze nie jest znany. Polecenie wysłania takiej depezy dał szef LCS, pułkownik Stanley. Dla niego był to tylko element wielkiej gry, która miała przekonać Niemców, że alianci szykują się do inwazji na wybrzeże francuskie. Dlaczego wskazał Dieppe? Czyżby nie znał planu Montgomery'ego? Bardzo możliwe, że wymóg zachowania tajemnicy wojskowej uniemożliwił poinformowanie szefa dywersyjnej organizacji LCS o planach Sztabu Generalnego. Jednakże zadziwiająca to zbieżność...

Dowództwo wojsk niemieckich we Francji nakazało wzmocnienie garnizonu we wskazanym mieście. Pod kamieniami plaży ułożono dodatkowo 14 tysięcy min przeciwpiechotnych i przeciwpancernych. Budynek kasyna - zasłaniający widok na część plaży, najbardziej narażoną na atak z morza - został zaminowany i miał być wysadzony, gdy tylko pojawiłyby się alianckie okręty, przez co poszerzyłoby się pole ostrzału niemieckich dział.

Sojusznicy i Wrogowie

Późnym majowym wieczorem premier Winston Churchill zszedł do schronu pod masywnym budynkiem obok Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jasno oświetlony, wąski korytarz, z metalowymi drzwiami do poszczególnych pomieszczeń schronu, przywodził mu zawsze na myśl najtrudniejsze dni 1940 r., gdy na Londyn sypały się niemieckie bomby... Naloty w 1942 r. były już rzadsze, ale Churchill lubił spędzać czas w podziemnym bunkrze. Cisza i nastrój tego pomieszczenia stwarzały atmosferę sprzyjającą skupieniu.

Wszedł do swojego pokoju, wyłożonego zielonkawym dywanem, i skierował się w stronę dużego biurka, nad którym wisiała ogromna mapa Europy. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Generał Brooke, sir. - Młody żołnierz czekał na pozwolenie wpuszczenia gościa.

- Tak, tak, niech wejdzie. - Premier uniósł pokrywkę drewnianego pudełka, w którym przechowywał cygara. Wybrał jedno, obciął koniec w mosiężnej gilotynie i zapalił. Wkrótce pokój wypełniły kłęby dymu.

- Panie premierze - zameldował się generał.

- Niech pan siada - Churchill wskazał fotel przy biurku. - Czy zna pan ostatnie doniesienia z Waszyngtonu?

- Myśli pan o opinii generała Marshalla?

- Tak. On uważa, że Rosjanie nie przetrzymają niemieckiej ofensywy. - Churchill odwrócił się w stronę mapy i zaczął wyszukiwać wzrokiem rejony niemieckich uderzeń. - Faktem jest, że daleko zaszli... - dodał po chwili.

- Według naszych ocen, Armia Czerwona straciła w maju i czerwcu tego roku około 250 tysięcy żołnierzy, ale jednocześnie jej liczebność niemalże się podwoiła w stosunku do końca 1941 r., kiedy to Rosjanie mieli pod bronią około 2,5 miliona żołnierzy. Bardzo szybko rośnie u nich produkcja zbrojeniowa, ponieważ zakłady ewakuowane za Ural już podjęły normalną pracę. Oczywiście, postępy wojsk niemieckich mogą być niepokojące, ale im dalej zapuszczają się w głąb Rosji, tym trudniejsza staje się ich sytuacja logistyczna. Oddziały partyzanckie, działające na tyłach, liczą obecnie około 250 tysięcy ludzi, kierowanych przez Kreml. Niemieckie linie komunikacyjne wydłużają się, a jednocześnie dywizje są rozpraszane wzdłuż ogromnego frontu o długości około 2,5 tysiąca mil. Panie premierze, nie zgadzam się z opinią generała Marshalla, że Rosjanom grozi klęska - zakończył swój wywód Brooke.

- Uważa pan więc, że inwazja naszych wojsk na kontynent, która zmusiłaby Niemców do przzerwycenia z frontu wschodniego części wojsk, nie jest koniecz-

- Uważam - powiedział z naciskiem Brooke - że przedwczesne otwarcie frontu zachodniego może zakończyć się jedynie straszliwą jatką, która zredukuje do minimum naszą szansę na ostateczne

zwycięstwo.

- Roosevelt nalega...

- Bez wątpienia pod wpływem Marshalla! - W tonie, jakim Brooke wymawiał nazwisko swego adwersarza, można było wyczuć wyraźną antypatię. - Lub Hopkinsa. Jestem zdania, że możemy najwyżej przeprowadzić duży rajd na francuskie wybrzeże. W ten sposób odciągniemy z frontu wschodniego część sił Luftwaffe. Sądzę jednak, że rozwój sytuacji w Afryce Północnej skłoni Roosevelta do przyjęcia naszego projektu, związanego z inwazją w tamtym rejonie.

To był plan, który Churchill pieczołowicie hołubił. Inwazja wojsk anglo-amerykańskich na wybrzeże Afryki Północnej pozwoliłaby osiągnąć wiele celów za jednym zamachem. Przede wszystkim dawała szansę rozgromienia wojsk niemiecko-włoskich, zagrażających Kairowi; pozwalała Brytanii objąć w mocne władanie wybrzeże Morza Śródziemnego, przez które prowadziły najważniejsze szlaki komunikacyjne do brytyjskich kolonii na Bliskim i Dalekim Wschodzie; dawała też bazę, z której mogłyby wyruszyć wojska do Europy - najpierw do Włoch, a później na Bałkany, aby stamtąd z kolei rozpocząć zwycięski marsz do Berlina.

Przeszkodę w realizacji tego przejrzystego planu stanowili Roosevelt i Stalin. Radziecki dyktator zdawał się odgadywać plany Churchilla, a nie miał zamiaru mu ich ułatwiać. Chciał, aby zachodni alianci jak najszybciej uderzyli na Francję. Co na tym zyskiwał? Przekreślał możliwość inwazji na Bałkany, grożącą wejściem wojsk alianckich na Węgry, do Czechosłowacji i Polski. Państwa te chciał widzieć jako radzieckie zdobycze wojenne. Bitwa na wybrzeżach Francji zmusiłaby Niemców do skierowania tam części sił z frontu wschodniego. Gdyby nawet Niemcy odnieśli zwycięstwo, i tak musieliby pozostawić wiele dywizji we Francji w obawie przed następnymi inwazjami. Przegrana i duże straty zachodnich aliantów nie martwiły Stalina. Wolał, żeby wojska anglo-amerykańskie nie były za silne. Uważał, że Związek Radziecki może wygrać wojnę sam, byle tylko alianci odciągnęli co nieco Niemców i tym samym dali Armii Czerwonej czas na mobilizację rezerw i uzupełnienie zaopatrzenia.

Stalin musiał wzmóc presję na Roosevelta, aby skłonił on Churchilla do jak najszybszej inwazji we Francji. Z taką misją wyruszył z Moskwy Wiaczesław Mołotow, ludowy komisarz spraw zagranicznych. Pierwszym etapem jego podróży był Londyn, gdzie osobisty samolot Mołotowa Pe-8 wylądował po południu 20 maja 1942 r.

Churchill nie starał się nawet ukryć niechęci wobec planu szybkiego utworzenia drugiego frontu w Europie:

- Czynimy przygotowania do lądowania na kontynencie w sierpniu lub wrześniu 1942 r. - Słowa Churchilla nie miały żadnego znaczenia. Szybko przeszedł do sedna sprawy: - Głównym czynnikiem ograniczającym wielkość operacji inwazyjnej jest brak specjalnych okrętów desantowych. Zrozumiałe jest, że nie byłoby korzystne dla Rosjan ani aliantów podejmowanie akcji inwazyjnej za wszelką cenę. Akcji, która zakończyłaby się katastrofą, dając nieprzyjacielowi okazję do chwały z powodu naszej klęski. Jest niemożliwe określenie, kiedy sytuacja dojrzeje do przeprowadzenia takiej operacji. Nie możemy więc składać żadnych obietnic, ale jeżeli będzie to możliwe i uzasadnione, nie zawahamy się przed wprowadzeniem planów w życie.

Mołotow liczył na to, że prezydent Roosevelt podejmie inną decyzję i zmusi krnąbrnego sojusznika z Londynu do przyśpieszenia ataku.

Z Londynu udał się do Waszyngtonu. W czasie rozmowy w Białym Domu stwierdził:

- Jeżeli przesunie pan termin inwazji na Europę, będzie musiał pan ewentualnie przejąć cały ciężar wojny, a jeśli Hitler stanie się niekwestionowanym władcą kontynentu, przyszły rok będzie bez wątpienia znacznie gorszy niż obecny [do przeprowadzenia inwazji - B W].

Mołotow wiedział doskonale, które argumenty wysuwać. Wywiad radziecki informował go bowiem, że Roosevelt obawia się załamania Związku Radzieckiego...

- Upoważniam zatem pana do poinformowania Stalina, że oczekujemy utworzenia drugiego frontu jeszcze w tym roku - powiedział prezydent.

Churchill wiedział, że nie może pozostawić Roosevelta pod wrażeniem rozmowy z Mołotowem. Wysłał natychmiast do Waszyngtonu lorda Louisa Mountbattena, aby wyjaśnił on brytyjskie stanowisko. Raport, który przekazał brytyjski wysłannik, wskazywał, że prezydent ulega wpływowi Marshalla i ministra wojny Henry'ego Stimsona, przekonanych o konieczności inwazji. By jak najszybciej przeciwstawić się tej koncepcji, Churchill i generał Brooke wyruszyli 17 czerwca do Stanów Zjednoczonych. Brytyjski premier wychodził z założenia, że odrzucając możliwość inwazji na Europę, musi przedstawić prezydentowi alternatywę. Przygotował w związku z tym memorandum: *Jesteśmy przekonani, że tego roku nie powinno dojść do dużej akcji inwazyjnej na francuskim wybrzeżu. (...) Ale co innego możemy zrobić? Czy możemy pozwolić sobie na bezczynność na atlantyckim teatrze wojny przez cały 1942 r.? Czy nie powinniśmy przygotować, w ramach struktury "Bolero", operacji, w wyniku której uzyskalibyśmy przewagę, a także bezpośrednio lub pośrednio przejęlibyśmy ciężar prowadzenia wojny w Rosji? Powinniśmy przestudiować operację (Torch) we Francuskiej Afryce Północno-Zachodniej.*

Spotkanie w Białym Domu rozpoczęło się 21 czerwca o 16.30. Za owalnym stołem sali konferencyjnej zasiedli po jednej stronie: prezydent Roosevelt, generał Marshall i Harry Hopkins. Po drugiej stronie zajęli miejsca: Churchill, Brooke i generał John Dill. Gdy ucichły już grzecznościowe formułki, do sali wszedł jeden z sekretarzy. Podał prezydentowi kartkę. Roosevelt przebiegł ją wzrokiem i bez słowa przekazał Churchillowi. Ten długo wpatrywał się w tekst. Widać było, że legła w gruzach misterna konstrukcja negocjacji, które chciał prowadzić. Kartka zawierała kilka słów: "Tobruk został zdobyty". Było to ważne zwycięstwo wojsk niemiecko-włoskich, tworzące niebezpieczeństwo, że w najbliższym czasie wojska "osi" mogą wdrzeć się do Egiptu. W takiej sytuacji planowanie inwazji na Francuską Afrykę Północno-Zachodnią było nierealne. Ponadto Churchill odczuł boleśnie fakt, że o klęsce swoich wojsk dowiedział się od Amerykanów. Po tej wiadomości niewiele pozostało mu do powiedzenia. Mógł jedynie roztaczać wizję totalnej klęski i "rzeki krwi", w jaką zamieni się kanał La Manche. Nie przekonał jednak prezydenta.

Porozumienie w sprawach militarnych, ustalone przez Roosevelta i Churchilla głosiło: *Operacje we Francji lub w Belgii i Holandii w 1942 r. mogłyby, gdyby zakończyły się sukcesem, doprowadzić do osiągnięcia ważniejszych celów politycznych i strategicznych niż operacje prowadzone na jakimkolwiek innym teatrze wojny. Plany i przygotowania do takich operacji będą prowadzone z całą możliwą szybkością, energią i pomysłowością. (...) Jeżeli opracowany zostanie mądry plan, nie powinniśmy wahać się, aby go zrealizować. Jeżeli, z drugiej strony, szczegółowe sprawdzenie wykaże, że mimo wszystkich wysiłków sukces jest mało prawdopodobny, musimy być gotowi przyjąć alternatywne rozwiązanie* [podkreślenie - B W].

To ostatnie zdanie było niezwykle ważne. Dawało Churchillowi możliwość wycofania się z operacji inwazyjnej, pod warunkiem że udowodniłby, iż "sukces jest mało prawdopodobny". Od dawna już myślał o wysłaniu na francuski brzeg "próbnego" desantu, choć zdawał sobie sprawę z ryzyka, które mogło wzrosnąć, gdyby Niemcy - poinformowani o możliwości desantu - byli gotowi

do jego odparcia.

Przygotowania do operacji "Rutter" trwały. Wystarczyło więc wysłać kilka tysięcy żołnierzy na francuski brzeg (najlepiej, gdyby wśród nich byli Amerykanie - prasa amerykańska ubóstwiała opisy bohaterskich śmierci obywateli tego państwa), a potem zliczyć trupy i rannych. Niechby wtedy Roosevelt odważył się nalegać na posłanie do Francji kilkuset tysięcy żołnierzy!... Nie! To był prosty plan. Gdyby Churchill zagrał tą kartą, straciłby wszystko. Opozycja oskarżyłaby go o wysłanie na śmierć brytyjskich żołnierzy tylko w celu przekonania Roosevelta o nierealności inwazji; straciłby zaufanie prezydenta USA, co bez wątplenia natychmiast wykorzystałby Stalin; wreszcie mógł stracić chwalebne miejsce w historii.

8 lipca 1942 r. Churchill nakazał przerwanie przygotowań do operacji "Rutter", a do prezydenta Roosevelta wysłał depeszę: *Żaden odpowiedzialny brytyjski dowódca wojsk lądowych, morskich lub powietrznych nie jest przygotowany do rekomendowania operacji "Sledgehammer" jako możliwej do przeprowadzenia w 1942 r. (...) Szefowie sztabów raportują: "Niewielkie są szanse, na wystąpienie warunków, w których "Sledgehammer" mógłby być rozsądnym przedsięwzięciem.*

Waszyngton zareagował ostro. Prezydent powiadomił Churchilla, że wysłała do Londynu swoich przedstawicieli: generała Marshalla, Hopkinsa i admirała Ernsta J. Kinga. Informacji o przyjeździe delegacji towarzyszyła depesza, w której prezydent pisał, że obrót wydarzeń nakazuje rządowi Stanów Zjednoczonych zmienić dotychczasową strategię i skoncentrować siły amerykańskie na Pacyfiku, pozostawiając Wielkiej Brytanii tylko niewielką pomoc.

Churchill znalazł się w sytuacji bez wyjścia. W jego ocenie zgoda na szybką inwazję była szaleństwem. Po nieudanej próbie opanowania francuskiego wybrzeża Roosevelt zostałby zapewne zmuszony do rezygnacji z urzędu prezydenta. W Stanach Zjednoczonych zwyciężyliby wówczas zwolennicy zaangażowania wszystkich sił w wojnę z Japonią. Ameryka wycofałaby swoje poparcie dla Wielkiej Brytanii, a bez tego zwycięstwo w Europie było niemożliwe. Efekt byłby ten sam, gdyby Churchill nie zgodził się na dokonanie inwazji - obrażony prezydent groził, że Ameryka zajmie się wtedy wojną na Pacyfiku!

Premier postanowił jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Musiał pokazać Amerykanom, co przyniesie próba wdarcia się na francuski brzeg. Delegacja amerykańska miała przybyć 18 lipca. Trzy dni wcześniej Churchill wydał polecenie przeprowadzenia rajdu na wybrzeże francuskie. Operacji nadano kryptonim "Jubilee". Jej dowódcy - kapitan J. Hughes Hallett (operacje morskie), generał J.H. Roberts (działania lądowe), generał T. Leigh Mallory (działania powietrzne) - byli zgodni co do jednego: oddziały inwazyjne nie mają szans wdarcia się na brzeg, jeżeli nieprzyjaciel zostanie uprzedzony o inwazji. Podstawowym warunkiem powodzenia operacji było więc zachowanie ścisłej tajemnicy.

W tym samym czasie Adolf Hitler podpisał rozkaz: *Jako rezultat na szczytach zwycięstw, osiągniętych gładko, Anglia może zostać zmuszona do natychmiastowego przeprowadzenia inwazji w celu stworzenia drugiego frontu lub też ryzykuje utracenie Rosji Sowieckiej jako politycznego i militarne elementu. Z tego względu jest wysoce prawdopodobne, że wkrótce nastąpią nieprzyjacielskie inwazje w rejonie OB West. (...) Przede wszystkim na brzegu kanału La Manche, w rejonie między Dieppe i Le Havre, w Normandii, gdyż obszary te znajdują się w zasięgu*

nieprzyjacielskich samolotów myśliwskich oraz ze względu na to, że leżą w zasięgu większości okrętów inwazyjnych.

Skąd fuhrer wiedział, że alianci planują uderzenie w rejonie Dieppe?

Przesyłka z Dieppe

Pociąg osobowy z Paryża zatrzymał się na niewielkiej stacji Veules-les Roses. Z ostatniego wagonu wysiadł wysoki, smukły mężczyzna. Rozejrzał się po peronie i po chwili ruszył w stronę budynku dworca. Wszedł do poczekalni, w której był tylko jeden człowiek, drzemający na ławce pod oknem. Przybyły obcesowo szarpnął go za ramię.

- Spać to powinien pan w domu, Raoul - powiedział.

- Przepraszam, niewiele miałem czasu na sen, kapitanie. - Mężczyzna z ławki potarł twarz i oczy dłońmi. - Poza tym pociąg się spóźnił...

- Nie nazywaj mnie kapitanem! Idziemy... Wyszli na niewielki plac przed dworcem.

- Daleko stąd? - zapytał mężczyzna nazwany kapitanem. Był to oficer Abwehry Heinz Eckert.

- Około dwóch kilometrów - odpowiedział jego przewodnik, członek francuskiego ruchu oporu, Raoul Kiffer, noszący pseudonim "Kiki", od ponad roku współpracujący z wywiadem niemieckim.

- To dobrze. Z Paryża co prawda nie jest daleko, lecz z przyjemnością rozprostuję kości. Co nowego?

"Kiki" obejrzał się, ale na wąskiej wiejskiej drodze, wijącej się między kamiennymi murkami, nie było nikogo.

- Powtarzają się ostrzeżenia z Londynu, żebyśmy nie podejmowali działań zbrojnych na własną rękę, lecz czekali na wyraźne polecenie.

Jak to rozumiesz?

- Przygotowują inwazję. - "Kiki" wzruszył ramionami. - To oczywiste. I nie chcą mieć bałaganu. Myślę, że dowie się pan znacznie więcej od madame Jeanette.

- Opowiedz mi o niej.

- Jeanette Dumoulins, około 45 lat. Kieruje miejscową siatką ruchu oporu. Ma podobno ważne materiały do przekazania do Londynu. Obiecałem, że prześlemy je przez kanadyjskiego lotnika o nazwisku Evans, którego będziemy tam przerzucać.

- Ten Evans to ja?

- Tak. Wygląda pan odpowiednio. Musi pan tylko niemiecki akcent zmienić na angielski i madame Jeanette niczego nie będzie podejrzewać. Poza tym najważniejsza jest moja rekomendacja. To już tutaj. - Raoul wskazał szary, jednopiętrowy budynek, położony na uboczu.

Jeanette Dumoulins przyjęła ich gościnnie. Obecność Raoula, którego znała od wielu lat,

usuwała wszelkie wątpliwości na temat kanadyjskiego pilota. Madame nie mogła wiedzieć, że Raoul pracuje dla Niemców. Za tę niewiedzę w roku 1944 zapłaciła życiem.

- Wiem, że będzie pan wkrótce w Londynie - zagała rozmowę, gdy usiedli w saloniku. - Mam do pana prośbę. Ostatnio odebrałam wiadomość z radia BBC: "Georges wkrótce obejmie Jeanette". To od mojego męża, który od 1940 r. jest w Anglii. Jak rozumiem, wkrótce przybędzie tutaj z wojskami amerykańskimi. Gdyby pan zechciał odszukać Georgesa w Londynie i dowiedzieć się od niego czegoś więcej...

- Ależ oczywiście!

- Mam też przesyłkę, o której wspomniałam Raoulowi. - Pani Dumoulins wyszła z pokoju. Przez nie domknięte drzwi Heinz zauważył, że odsunęła parapet i wydobyła spod niego pakunek. Wróciła do gości i podała "Evansowi" paczkę, starannie owiniętą w gazetę.

- Proszę pamiętać, że to bardzo ważne dla naszej sprawy - zaznaczyła.

- Oczywiście. Nie miałem dotąd, co prawda, nic wspólnego z konspiracją, ale sądzę, że zdołam wykonać zadanie - uśmiechnął się Heinz.

- Wyruszy pan dziś wieczorem. "Moineau" przyjdzie około dziewiątej. Teraz pewnie maluje morze. - Pani Dumoulins mówiła o człowieku, którego Heinz dobrze znał. Malarz Andre Lemoin, pseudonim "Moineau", kilka miesięcy wcześniej został zmuszony do współpracy z Niemcami. - Przygotowałam pokój dla panów, abyście mogli wypocząć. Gdyby były inne czasy, zaproponowałabym wyprawę nad morze; stąd do Dieppe tylko 25 kilometrów. Ale teraz nie pora na wycieczki.

Weszli wąskimi, krętymi schodami do pokoju na górze.

- Możemy rozmawiać? - Heinz czekał, aż ucichną kroki pani Dumoulins, a widząc przyzwolenie Raoula, położył paczkę na stole. - Co to jest?

- Dokumenty od Niemca pracującego w Dieppe - odpowiedział Raoul. - Dowiedziałeś się o nim czegoś bliższego?

- Tylko tyle, że nie bierze pieniędzy za materiały, które nam przekazuje. Prawdopodobnie pracuje w organizacji Todta, ale nie wiem, na jakim stanowisku ani też, jak się nazywa. Nie mogę zadawać wielu pytań.

- Muszę znać jego nazwisko. Masz na to tydzień. - Heinz wyciągnął z kieszeni scyzoryk, ale zanim wbił ostrze w brezent paczki, upewnił się: - Czy tam nie ma jakiegoś mechanizmu niszczącego?

- Na pewno nie.

Rozciął więc ostrożnie materiał i wyciągnął plik papierów. Przyglądał się im dokładnie; były to zdjęcia nabrzeży portu i suchego doku w Dieppe, stanowisk karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych. Heinz przejrzał też kartki dołączone do fotografii. Na jego twarzy odbijała się

narastająca wściekłość.

- Ten drań ma dostęp do wszystkiego. Muszę dowiedzieć się, kto to jest - powiedział.

Schował pakunek do teczki i rzucił się na łóżko. Późnym wieczorem rozległo się delikatne pukanie. Raoul podniósł się z fotela, na którym drzemał.

- Przybył "Moineau" - powiedziała przez drzwi madame Jeanette.

Mężczyźni spakowali się i zeszli na dół, gdzie czekał na nich niski, niepozorny człowiek. Na podwórzu stał wóz zaprzężony w dwa muły.

- Karetą to nie jest, ale pomyślałem, że lepiej będzie jechać choćby czymś takim, niż pokonać dwadzieścia parę kilometrów na piechotę.

Heinz wszedł do obszernej skrzyni.

- Niech pan pamięta o moim mężu - poprosiła pani Dumoulins. - Na pewno go pan znajdzie...

Gdy tylko zostawili za sobą światła Veules-les-Roses, Heinz zeskoczył z pojazdu.

- Daleko stąd do mostka? - zapytał.

- Zaraz za zakrętem. - "Moineau" wskazał zakole drogi, odległe o kilkaset metrów.

- Dojdę piechotą. A gdzie jest prawdziwy kapitan Evans?

- Nad morzem. Czekaj, aż przybije kuter, który zabierze go do Anglii - wyjaśnił "Moineau".

- Posłuchaj uważnie - Heinz wydobyl z teczki niewielki pakunek, podobny do tego, który odebrał od pani Dumoulins. - Dziewczyna, która wręczy Evansowi tę paczkę, ma powiedzieć, że nazywa się Jeanette. Musi zapytać go o swojego męża, tak jak prawdziwa Jeanette pytała mnie. Evans po przybyciu do Anglii musi przekazać ten pakunek jako bardzo ważny. Dzisiaj w nocy nadacie do Londynu potwierdzenie, że w Dieppe stacjonuje batalion 110. dywizji. Powodzenia.

Heinz ruszył w stronę zakrętu. Za nim dostrzegł samochód ze zgaszonymi światłami. Wszedł.

- Kapitan Eckert - przedstawił się. - Jedziemy do Paryża. Następnego dnia raport z przebiegu tej akcji dotarł do kwatery feldmarszałka Gerda von Rundstedta, głównodowodzącego wojskami niemieckimi na Zachodzie. Oficer wywiadu, który referował dotychczasowe ustalenia, stwierdził, że z materiałów uzyskanych przez Abwehrę wynika niezbicie, iż alianci uderzą na Dieppe w ciągu 3 może 4 tygodni. Rundstedt polecił wzmocnić tempo operacji "Porto II", której celem było wprowadzenie aliantów w błąd co do wielkości i dyslokacji sił niemieckich w rejonie Dieppe. Niemcy przekonali Brytyjczyków, że stacjonuje tu 1400 żołnierzy ze 110. dywizji piechoty, która poniosła ogromne straty na froncie wschodnim i miała rzekomo we Francji zostać zrekonstruowana. Fałszywe raporty informowały też, że w mieście stacjonuje batalion rekrutów nie mających obycia z bronią. W rzeczywistości jednak w rejonie Dieppe rozłożyła się doskonale wyposażona i

wyćwiczona 302. dywizja piechoty; w samym mieście stacjonowało 5 tysięcy żołnierzy, batalion artylerii, kompania czołgów, a cała dywizja pancerna mogła przybyć na pomoc w ciągu 6 godzin.

18 lipca na lotnisku Prestwick w Szkocji wylądował samolot, na którego pokładzie przybyli ze Stanów Zjednoczonych: generał George Marshall, admirał Ernst J. King i Harry Hopkins. Wsiadli natychmiast do specjalnego pociągu, który miał ich zawieźć do posiadłości premiera w Chequers pod Londynem. Tam oczekiwał ich Winston Churchill. Amerykanie nie zgodzili się jednak na postój i zażądali jazdy do Londynu. Był to afront wobec Churchilla, ale członkowie delegacji nie mieli nastroju do uprzejmych gestów.

Pierwsze spotkanie w sali konferencyjnej siedziby rządu przy Downing Street 10 odbyło się 20 lipca. Do delegacji amerykańskiej dołączył przebywający w Londynie - ze względu na przygotowania do inwazji - generał Eisenhower oraz dowódcy wojsk lądowych, morskich i powietrznych. Już pierwsze słowa wskazywały, że strony nie osiągną kompromisu. Amerykanie byli zdecydowani na jak najszybsze przeprowadzenie operacji "Sledgehammer"; jedynie admirał Harold Stark skłonny był przyznać, że warunki atmosferyczne w ciągu najbliższych tygodni nie będą sprzyjać morskim akcjom. Brytyjczycy byli niewzruszeni. Ich zdaniem, próba opanowania francuskiego wybrzeża musi zakończyć się klęską. Dwudniowe negocjacje nie przyniosły rozstrzygnięcia.

22 lipca w sali konferencyjnej panował przygnębiający nastrój. Amerykanie byli wyraźnie poirytowani. Marshall napisał coś na kartce i podsunął ją Hopkinsowi. "Czuję się cholernie przygnębiony" - odczytał Hopkins. Spojrzał na Marshalla i pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: "A kto w tej sali czuje się dobrze?..." Brytyjczycy również sprawiali wrażenie zdenerwowanych. Rychło okazało się, iż żadna ze stron nie zamierza zmienić stanowiska. W pewnym momencie Hopkins poprosił Churchilla o zarządzanie przerwy.

- Zanim podejmiemy ostateczne decyzje, musimy skontaktować się z prezydentem Rooseveltem...

Churchill zgodził się. Hopkins wyszedł z sali i skierował się do pokoju łączności, skąd powrócił po kilkadziesiąt minutach. Przez chwilę rozmawiał z innymi członkami swej delegacji, a gdy przyszedł Churchill, Hopkins przekazał mu tekst depeszy Roosevelta: *Dowódcy amerykańskich sił zbrojnych mają podjąć prace nad przygotowaniem alternatywnej operacji przeciwko Niemcom, która to operacja pozwoli na ofensywne zaangażowanie wojsk amerykańskich w 1942 r.* Kryzys został zażegnany.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zgodził się na odłożenie inwazji na kontynent europejski i rozpoczęcie przygotowań do uderzenia na Afrykę Północną. Na czele wojsk alianckich miał stanąć generał Eisenhower. Było to wyraźne ograniczenie roli dowódców brytyjskich, ale Churchill nie protestował. Każde zwycięstwo ma swoją cenę. Wygrał długą i męczącą batalię. Operacja "Jubilee" nie była już potrzebna. Można było odwołać przygotowania do ataku na Dieppe; Churchill nie mógł i nie chciał jednak zrezygnować z ataku na francuski brzeg. Wzbudziłoby to podejrzania Amerykanów, że cała akcja była przygotowana jedynie w celu wykazania im, że nie umieją prowadzić wojny. Ponadto dowódcy alianccy potrzebowali doświadczeń w przygotowaniu i kierowaniu wojskami lądowymi, morskimi i powietrznymi w ataku na brzeg zajęty przez nieprzyjaciół. Te doświadczenia miały się przydać za kilka lat do przeprowadzenia inwazji w Europie.

Ślady Na Piasku

Plaża w Barfleur, w pobliżu Dieppe, pogrzyła się w ciemnościach. Kapral Anton Kappe ściągnął ze stojaka karabin, zapiął pas z ładownicami i wyszedł przed koszarowy barak. Czterech szeregowców wyprężyło się na jego widok. Przyjrzał się ich oporządzeniu. Wszystko było w idealnym porządku.

- Za kilka minut przejdziemy posterunek "Gelb". Zwracać uwagę na wszelkie odgłosy od strony morza: warkot silników samolotowych, a także okrętów i motorówek. Nie lekceważyć odgłosów kroków, dźwięku słów angielskich. O wszystkich spostrzeżeniach natychmiast meldować. Są pytania?

Żaden z czterech żołnierzy nie drgnął.

- Hasło "Berlin", odzew "Bajonett". Zapamiętano?

- Tak jest!

- W razie mojej śmierci zastąpi mnie szeregowy Lutz! W prawo zwrot! Marsz!

Grupa żołnierzy ruszyła w stronę bramy. Minęli ją, przeszli przez pustą drogę i skierowali się w stronę latarni morskiej, której wyniosła sylwetka wyraźnie rysowała się na tle nieba. Szli wąską ścieżką między łąkami. Kappe zerkał na morze widoczne w oddali. Było czarne, ciche, pulsujące srebrnymi odblaskami księżyca. "Złowrogie" - pomyślał. Od kilku tygodni nakazywano im wzmożoną czujność. Widział, jak przyjeżdżały ciężarówki z minami do Dieppe. Wzmocniono posterunki, zainstalowano dodatkowe karabiny maszynowe i działka przeciwlotnicze. Garnizon w Dieppe szykował się do odparcia inwazji.

Dwa tygodnie temu w pobliżu drogi, którą szli, znaleziono dwóch pracowników organizacji Todta. Zapewne wracali późnym wieczorem do domu, gdy zostali napadnięci i zabici. Leżeli na rżysku, z poderżniętymi gardłami. Śledztwo nie wykazało nic, ale gestapo uważało, że to robota ruchu oporu. Kappe nie wierzył w to. Partyzanci nie atakowali pracowników Todta.

Za ostatnimi budynkami patrol skręcił w stronę plaży. "Gdzieś tu powinien być posterunek" - pomyślał Kappe, wpatrując się w ciemne zarysy kozłów, podtrzymujących druty kolczaste. Odnalazł przejście i zatrzymali się.

- Kto idzie? - Głos dobiegał ze szczeliny w betonowych kręgach bunkra strażniczego.

- Zmiana - odpowiedział Kappe.

- Hasło?

- Berlin.

- Odzew: Bajonett - odparł niewidoczny strażnik. - Możecie wejść.

Żołnierze precyzyjnie się między kołkami i wskoczyli do dołu wyłożonego workami z piaskiem.

- Uważajcie - nakazał dowodzący posterunkiem. - Coś tu dzisiaj niespokojnie. Pół godziny temu słyszeliśmy motorówkę, ale nie zbliżyła się do brzegu. Nie sądzę, żeby to była nasza. Coś się dzieje...

- W porządku - Kappe zarepetował karabin. Dwa lata służby nauczyły go nie lekceważyć żadnego ostrzeżenia. Na froncie mógł liczyć na to, że podniesie ręce do góry i pójdzie do niewoli. Tutaj, w nocy, na plaży, atak mógł przyjść nagle. Wiedział, że komandosi angielscy skakali z tyłu, chwytając ofiarę za kolana i rozpędem przewracali na ziemię. Potem wbijali nóż w podstawę czaszki i obracali go, aby rozbełtać mózg. Na podniesienie rąk nie było czasu. Kappe podniósł lornetkę do oczu; morze było spokojne. Godziny mijały powoli. Zwykle pozwalał żołnierzom palić papierosy, ale tym razem się nie zgodził. Minęła trzecia, gdy jeden z żołnierzy szturchnął go w ramię.

- Panie kapralu! - Kappe ocknął się gwałtownie. Nie zauważył, kiedy zmorzył go sen.

- Co jest?...

- Coś tam słychać - powiedział niepewnie żołnierz. - Może to nic, ale kazał pan meldować...

Kapral zerwał się na nogi. Z brzegu dochodziły odgłosy, których nie potrafił jednoznacznie określić: stuk metalu, szorowanie dużego przedmiotu po piasku. Wpatrywał się w ciemność, ale nie mógł dojrzeć niczego. Zastanawiał się przelotnie, czy nie wystrzelić rakiety, by oświetlić teren, ale bał się przedwczesnego alarmu. Odgłosy się zbliżały...

- Stój? Podać hasło! - krzyknął Kappe.

Kilka sekund później w ich stronę rozległy się strzały; krótkie urywane serie pistoletów maszynowych.

Karabin maszynowy z bunkra odpowiedział natychmiast długą serią. Tuż obok eksplodował granat i płomień na kilka sekund rozświetliły plażę, co wystarczyło, by dostrzec kilka sylwetek.

- W nich! - krzyknął Kappe do obsługi drugiego karabinu maszynowego w okopie. - Zamelduj do garnizonu! - polecił żołnierzowi, chociaż widział, że tamten już kręci korbą telefonu.

Wystrzelił raketę, której jaskrawobiałe światło zalało plażę. Jak na dłoni ujrzał sylwetki kilku żołnierzy, którzy przywarli do piasku. Po chwili serie z dwóch karabinów przecięły powietrze. Strzały z pistoletów umilkły. Kappe wystrzelił drugą flarę. Widział, jak komandosi poderwali się, pobiegli w stronę wody i wskoczyli do motorówki. Po chwili zniknęli w ciemnościach.

- Wstrzymać ogień! - rozkazał. Nasłuchiwał przez chwilę. Odgłos motorówki milkł w oddali.

Nie ruszali się z okopu. W każdej chwili napastnicy mogli ponowić atak. Po kilkunastu minutach usłyszeli jedynie warkot nadjeżdżających samochodów pancernych. Gdy wzeszło słońce, żołnierze zaczęli przeszukiwać plażę. Nie widać było śladów krwi, a więc żaden z napastników nie został ranny. Wyraźnie odcisnięte ślady wojskowych butów prowadziły do miejsca, gdzie widniała bruzda wyłobiona mieczem motorówki. Na piasku leżały łuski, które potem zidentyfikowano jako

pochodzące z pistoletów maszynowych Thompson. A więc nocnymi przybyszami byli komandosi angielscy. Zapewne chodziło o nękający wypad, który miał Niemcom przypomnieć, że mogą być zaatakowani w każdej chwili. Dopuszczono również możliwość, że "wizyta" była próbą zlokalizowania niemieckich punktów oporu. Tak czy inaczej, na cztery dni przed lądowaniem wojsk alianckich garnizon w Dieppe został postawiony w stan gotowości.

Już wcześniej zresztą dowództwo niemieckie nie miało wątpliwości, że inwazja nastąpi właśnie tu. Pułkownik von Wedel z Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu sporządził raport, w którym napisał: *Wybór tego punktu wypadowego do utworzenia drugiego frontu jest łatwo zrozumiały. Dieppe jest portem położonym najbliżej francuskiej stolicy. Jego urządzenia umożliwiają wylądowanie czołgów i ciężkiego sprzętu, a tym samym pozwalają na dobiecie do lądu wojsk następnych rzutów. Utworzenie przyczółka w rejonie Dieppe stworzyłoby możliwość rozbudowywania go na całym odcinku wybrzeża między Sommą i Sekwaną, a później - przez zajęcie Abbeville i Le Havre - zdobycia portów koniecznych do prowadzenia dalszej ofensywy.*

18 sierpnia z portów brytyjskich wyszło w morze 250 jednostek floty inwazyjnej. Na okręcie desantowym, przeznaczonym do przewozu czołgów (LTS-Landing Tank Ship), porucznik Andrew B. Patterson zaczął notować swoje spostrzeżenia. Po raz pierwszy wyruszał do akcji bojowej i pomyślał, że jeżeli zginie, to może zeszyt z zapisem ostatnich dni trafi jakoś do jego narzeczonej...

Był Szkotem i wszystko - poza wyglądem i kanadyjskim obywatelstwem - było w nim szkockie: akcent - nabyty w domu, gdzie mówiło się tylko po szkocku - twardy charakter i niedźwiedzia siła. Zapewne niewielki wzrost zdecydował, że we wrześniu 1939 r. komisja poborowa skierowała chłopaka do jednostki pancernej, co bardzo go ucieszyło. Entuzjazm stracił, gdy po raz pierwszy wsiadł do przysłanego z Wielkiej Brytanii lekkiego czołgu Mk VIB, w którym było straszliwie ciasno i głośno. Podczas pierwszej jazdy, na poligonie, Patterson poobtłukiwał sobie głowę i ramiona. Jak tylko mógł najdłużej, trzymał otwartą klapę wjazdu, aby nie dopuścić do torsji, które wywoływały opary oleju i benzyny, zmieszane ze spalinami. Gdy po raz pierwszy nacisnął spust karabinu maszynowego Vickers 5, dym prochowy wypełnił niewielką wieżyczkę, a wentylator nie zdołał usunąć gryzących oparów. Chłopak miał wrażenie, że za chwilę się udusi. Szybko jednak przyzwyczyił się do służby w tych warunkach. Później jego brygada czołgów, wchodząca w skład I armii kanadyjskiej, wyruszyła do Wielkiej Brytanii, gdzie we wrześniu 1941 r. został dowódcą pięcioosobowej załogi nowego czołgu Churchill. Były to ogromne, ciężkie pojazdy, imponujące grubością pancerza i dwoma działami, z których jedno, kal. 40 mm, umieszczono w wieżyczce, a drugie - haubicę kal. 76,2 mm - w kadłubie. Podziw dla nowych czołgów rozwiązał się szybko. Kierowcy klęli, mocując się z sprzęgłem, silnik Bedforda zatykał się co chwila, a gdy pracował normalnie, nie mógł rozwinać pełnej mocy, co dawało się odczuć przy próbie pokonania każdego większego wzniesienia. Po dłuższej jeździe gotowała się w chłodnicy woda. Co kilka tygodni do jednostki przyjeżdżali specjaliści z zakładów Vauxhall, zbierający opinie użytkowników Churchillów. Obiecywali szybkie usunięcie usterek i odjeżdżali. Na szczęście warsztaty polowe miały zapasy części zamiennych i mechanicy szybko nauczyli się poprawiać szwankujące mechanizmy. Uwagi jednak na coś się przydały, gdyż wkrótce przywieziono do jednostki czołgi Churchill II C.S. Mechanizmy napędu, zawieszenia i kierowania pozostały te same, ale zamieniono działa miejscami, instalując haubicę w wieżyczce, a armatę w kadłubie, co wydawało się rozsądne.

Wiosną 1942 r. rozpoczęły się intensywne ćwiczenia na plażach. Czołgi z Calgary Regiment musiały przejeżdżać przez betonowe bloki, rozsądzone wybuchami ładunków założonych przez saperów, wspinać się na strome pagórki tuż za wydmami, niszczyć ogniem dział nabrzeżne bunkry i stanowiska karabinów maszynowych. Nie było wątpliwości, że szykuje się akcja desantowa... Przerobiono układy wydechowe wszystkich czołgów. Rurę przedłużono i wypuszczono wysoko do góry, aby woda nie zalała wlotu. Druga rura, sterująca nad kadłubem czołgu, miała doprowadzać powietrze do silnika, gdyby woda zalała pojazd.

17 sierpnia 1942 r. żołnierze spakowali plecaki, pobrali amunicję do czołgowych dział, naboje do pistoletów i granaty. Następnego dnia czołgi załadowano na platformy ciężarówek, które wyruszyły do portu.

Pattersona niepokoiło, że nie rozumiał celu tych wielkich przygotowań. Wielu oficerów uważało, że szykują się do inwazji na kontynent. Jedni twierdzili, że uderzą na Norwegię, inni byli przekonani, że na północną Francję, a jeszcze inni dowodzili, że wylądują w Afryce Północnej. Wszyscy gubili się w domysłach.

Czołg Pattersona załadowano, wraz z pięcioma innymi, na pokład okrętu desantowego LTS. Na ławkach biegnących wzdłuż burt usiedli saperzy, którzy po przybyciu na brzeg mieli torować drogę czołgom - usuwać miny i wysadzać zapory.

Patterson opisał dokładnie wszystkie wydarzenia ostatnich godzin, ale nie zdradził żadnej tajemnicy wojskowej. Pamiętnik, zamiast do rąk narzeczonej, mógł trafić do Niemców... Zamknął zeszyt. Wspiął się na wieżyczkę czołgu i zajrzał do środka, by jeszcze raz sprawdzić, czy załoga umocowała wszystkie przedmioty. Potem przyjrzał się linkom mocującym czołg do pokładu okrętu i uznał, że wykonał wszystkie swe obowiązki. Kierowca i ładowniczy z jego załogi ulokowali się wygodnie z tyłu czołgu i tasowali karty. Przyłączył się do nich.

Atak O Świcie

“Trzy armaty z dobrej baterii, odpowiednio ustawione, mogą zniszczyć każdy okręt świata” - twierdził admirał Nelson. Brytyjscy dowódcy, którzy opracowali plan uderzenia na Dieppe, wierzyli morskiemu geniuszowi. Dlatego też dwa oddziały komandosów, którym postawiono za zadanie zniszczenie dwóch baterii dział kal. 150 mm, miały pierwsze dotrzeć do francuskiego brzegu. Jedna z baterii znajdowała się w Berneval, w odległości 9 kilometrów na wschód od Dieppe, a druga w Varengeville Sur-Mer, około 9 kilometrów na zachód.

W stronę Berneval zmierzały jednostki desantowe 1. i 24. flotyli. Prowadził je ścigacz dowodzony przez komandora D.B. Wyburda, który był jednocześnie dowódcą całej grupy. Rejs przebiegał zgodnie z planem i od momentu wyjścia z portu nic nie zakłócało podróży.

Komandor spojrział na zegarek; dochodziła 3.47. Obliczał, że do brzegu pozostało jeszcze 7 mil, a więc za kilkadziesiąt minut powinni rozpocząć atak. Było cicho. Nic nie wskazywało na to, że nieprzyjaciel wykrył zbliżającą się flotyllę. Nagle w niebo wystrzeliła flara, która zaalała jaskrawym światłem wszystkie okręty brytyjskie. Chwilę potem w ich stronę pomknęły smugowe pociski.

W pierwszym momencie Wyburd pomyślał, że strzelają działa i karabiny maszynowe z nabrzeżnych stanowisk obrony. Do brzegu było jednak za daleko. Musieli napotkać niewielki konwój niemiecki, w którym nie było dużych jednostek, a jedynie trawlerzy uzbrojone w karabiny maszynowe i lekkie działa. - Trzymaj kurs, będziemy się przebijać! - krzyknął do sternika. Ścigacz wysforował się na czoło jednostek desantowych, co zapewne skłoniło niemieckie okręty do skoncentrowania na nim ognia. Po pierwszych niecelnych salwach pociski zaczęły trafiać coraz bliżej pędzącego ścigacza. Wkrótce uderzyły w pokład i ścięły przednie działko. Chwilę później zdruzgotały antenę radiową. Wyburd patrzył z mostka, jak marynarze ciągną na bok pokrwawionych kolegów. Meldowali, że nikt nie zginął, co wydawało się cudem i dlatego uwierzył, że uda im się wymknąć z tego piekła. Jeszcze przez kilka minut strzelało działko rufowe, ale wkrótce i ono zamilkło, trafione niemieckimi pociskami. Prędkość ścigacza - podziurawionego odłamkami i pociskami - spadła do sześciu węzłów. Wyburd, ranny odłamkiem w ramię, zaczął tracić nadzieję. Widział, jak działa pięciu niemieckich jednostek strzelają do nich, a malejąca prędkość sprawiała, że ścigacz stawał się coraz lepszym celem. Wybawienie przyszło nagle. Brytyjski okręt osłony, który miał wspierać ogniem wychodzących na brzeg komandosów, ruszył na pomoc pokiereszowanemu dowódcy. Kilkoma salwami zatopił jeden z trawlerów oraz uszkodził inne. Wkrótce do akcji włączył się polski kontrtorpedowiec Ślązak. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane; ale konwój rozproszył się, a wiele jednostek poważnie uszkodzono.

Było już jasno, gdy 6 okrętów desantowych, przewożących żołnierzy z oddziału 6 No 3 Commando zbliżyło się do brzegu Berneval.

Niemcy byli gotowi do odparcia ataku. Załogi bunkrów i stanowisk ogniowych zajęły miejsca, oczekując alianckich okrętów. Gdy dostrzegły je w brzasku świtu, rozpoczęły ogień. Pociski z dział, moździerzy i karabinów maszynowych utworzyły trudną do przebycia barierę. Wkrótce do walki włączyły się samoloty.

ORP Ślązak przejął ciężar obrony desantu przed atakami niemieckich bombowców. Niedługo artyleria przeciwlotnicza okrętu straciła pierwszy samolot. Jednakże siły przeciwnika były zbyt wielkie, aby działa i karabiny maszynowe polskiego okrętu mogły je pokonać. Wybuch jednej z bomb spowodował poważne straty, ale załoga Ślązaka walczyła wciąż z samolotami i ostrzeliwała nabrzeżne stanowiska. Okręty desantowe dobiły do brzegu; komandosi zaczęli wybiegać na plażę. Kapitan Richard Willis - jako najstarszy rangą oficer - objął komendę. Prowadził żołnierzy w stronę, gdzie wysoka skarpa za plażą obniżała się, tworząc możliwość najszybszego wdarcia się w głąb lądu. Miał nadzieję, że dotrą tam, zanim niemiecka obrona okrzepnie. Mylił się. Cała moc ognia karabinów maszynowych z doskonale zamaskowanych bunkrów, moździerzy i dział została skoncentrowana na plaży. Komandosi rozpierzchli się i przyłgnęli do ziemi, szukając schronienia przed morderczym ogniem. Willis zdawał sobie sprawę, że każda chwila ułatwia Niemcom sytuację i niebawem ogień moździerzy stanie się tak celny, że żaden z żołnierzy nie pozostanie żywy. Poderwał się i strzelając na oślep z thompsona, zaczął biec w stronę skał. Nagle złapał się ręką za gardło i runął na piasek. Kapral Halls, podczołgał się do niego i z trudem odciągnął za niewielką fałdę gruntu.

- Atakujcie, atakujcie - mamrotał kapitan, dopóki nie stracił przytomności. Ogień się nasilał. Żołnierze kulili się za każdą nierównością terenu, za skałą.

- No, to przegraliśmy, kapitanie - powiedział Halls do nieprzytomnego Willisa.

Na drugim krańcu Berneval dobił do brzegu okręt desantowy dowodzony przez porucznika Henry'ego Bucke'a. Wykorzystali moment, w którym niemieckie trawlerzy skoncentrowały ogień na ścigaczu komandora Wyburda i oderwali się od konwoju, aby niepostrzeżenie dobić do plaży.

O 4.55 rampa okrętu LCA* [* LCA - Landing Craft Assault (desantowa jednostka szturmowa) - płaskodenny, niewielki okręt z 4-osobową załogą, przewożący do 30 żołnierzy. Rozwijał prędkość do 6 węzłów.] opadła i na brzeg zeszło 18 komandosów. Nikt do nich nie strzelał. W pobliżu nie było stanowisk obrony - może dlatego, że tuż za wąską plażą piętrzyła się pionowa ściana skał i Niemcy nie podejrzewali, że w tym miejscu Anglicy mogą zaatakować. Dowódca grupy, major Peter Young, był zdezorientowany; spodziewał się zaciętej walki...

Na wysokim brzegu znajdowała się bateria dział kał. 150 mm, której opanowanie lub zniszczenie mogłoby mieć decydujące znaczenie dla całej operacji, ale siły komandosów były bardzo szczupłe: oddział Younga liczył 18 żołnierzy, uzbrojonych w 10 karabinów, ciężki karabin maszynowy, 6 pistoletów maszynowych Thompson, 3 pistolety i 2 moździerze z niewielką ilością amunicji. W tej sytuacji szaleństwem był atak na stanowiska niemieckiej artylerii, obsługiwane przez co najmniej 200 żołnierzy. Ale Young podjął wyzwanie. Zostawili moździerze na okręcie desantowym, gdyż były za ciężkie, aby taszczyć je ze sobą, i zaczęli mozolnie wspinać się na skałę. Gdy dotarli do pewnej wysokości, okazało się, że dalszej drogi bronią druty kolczaste. Nie mieli ani ładunków wybuchowych, którymi mogliby wysadzić tę przeszkodę, ani też nożyc, by przeciąć druty. Wydawało się, że to koniec wyprawy, ale jeden z komandosów oparł but na drucie, między kolcami, podciągnął się, chwycił za drut umieszczony wyżej i centymetr po centymetrze zaczął pięć się do góry. Jego śladem poszli inni i - wykorzystując zasieki jako szczeble drabiny - po 45 minutach dotarli na szczyt.

Young przytknął lornetkę do oczu i zaczął lustrować okolicę. Przed nimi były szare, kamienne

domy wsi Berneval, pośrodku której wznosiła się pękata wieża kościoła. Z lewej strony, między wioską a brzegiem, strzelały działa niemieckiej baterii. Young naprowadził lornetkę na wieżę kościoła. Pod stromym dachem, pokrytym czerwoną dachówką, widać było niewielkie okienka.

- Gdyby tam ustawić karabin maszynowy, to moglibyśmy narobić niezłego spustoszenia w tej baterii - powiedział. - Idziemy.

Ruszyli w dwóch rzędach przez pole. Szli pochyleni, rozglądając się bacznie. Niemcy mogli się pojawić w każdej chwili. Jednakże środki ostrożności okazały się niepotrzebne. Niemcy byli zbyt zajęci walką z lądującymi oddziałami, aby patrolować okolicę. Po kilkunastu minutach komandosi dotarli do pierwszych zabudowań. Okiennice były pozamykane, a na ulicy nie spotkali żywego ducha. Przeszli kamienistą drogą do kościoła. Przeskoczyli niski mur i podeszli do wieży. Zza drzew okalających kościół wyszedł starzec, prawdopodobnie organista.

- Jesteśmy angielskimi żołnierzami - powiedział Young, ale starzec pokręcił tylko głową. Nie rozumiał ani słowa, choć wydawało się, że poznaje mundury.

- Drzwi... - major wskazał ręką wejście do wieży. - Na górę! - Starzec zrozumiał, ale gwałtownie pokręcił głową i zaczął coś tłumaczyć.

- Otwórz... - major wykonał ręką ruch przekręcania klucza. Starzec znowu oponował, ale widząc zniecierpliwienie oficera, nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Żołnierze weszli do wnętrza i Young pojął zachowanie starca. W wieży nie było schodów. Niemcy zdemontowali je, by nikt nie dostał się na górę.

Nie pozostało nic innego, jak zaatakować baterię z bezpośredniej odległości. Przez pola dotarli do skarpy, z której rozciągał się widok na stanowiska artylerii. Działa były doskonale zamaskowane i osłonięte ziemnymi wałami od strony morza. Young uważał, że próba wdarcia się do baterii jest niemożliwa. Było tam około 200 żołnierzy, a więc dziesięciokrotnie więcej, niż liczyła ich grupa. Mogli jedynie strzelać do obsługi armat. Z tyłu działa nie miały osłon, które mogłyby chronić obsługę przed pociskami. Strzelali aż do wyczerpania amunicji. Wyniki nie są znane. Prawdopodobnie ranili kilku żołnierzy niemieckich i zmusili ich do obrócenia jednego z dział w stronę strzelaniny. Jednakże niemieckie pociski szybowały wysoko i eksplodowały daleko w polu, nie czyniąc nikomu szkody. Young uznał, że działania jego żołnierzy zakończyły się sukcesem, gdyż dość skutecznie przeszkadzali Niemcom w strzelaniu do floty inwazyjnej. Cóż więcej mógł zrobić osiemnastoosobowy oddział komandosów bez ciężkiej broni, w obliczu dziesięciokrotnie liczniejszego wroga? Rozpoczęli odwrót. W drodze do plaży jeden z żołnierzy został ranny w wyniku wybuchu miny. I to była jedyna ofiara wypadu na baterię w Berneval.

Kiedy wrócili do okrętu desantowego, oczekującego ich na plaży, major Young powiedział do porucznika Bucke'a:

- Zabrałem na brzeg 18 żołnierzy, zrobiliśmy swoją robotę i wracam z 18.

Na drugim skrzydle, w rejonie wsi Varengeville, wylądowały dwie grupy z No 4 Commando. Oddział majora Dereka Mills-Roberts'a sprawnie dotarł do brzegu. Z wąskiej plaży komandosi

ruszyli w stronę jednej z trzech wyrw w skałach. Saperzy założyli ładunki wybuchowe, aby utworzyć drogę przez zasieki z drutów kolczastych. Eksplozje nastąpiły w momencie, w którym nadleciały samoloty myśliwskie ze 129. dywizjonu i rozpoczęły atak na stanowiska niemieckiej artylerii, co zagłuszyło odgłos wybuchu ładunków. Dzięki temu komandosi mogli niepostrzeżenie podejść bardzo blisko niemieckich stanowisk. Okopali się w odległości dwustu metrów od 6 dział kał. 150 mm oraz dwóch bunkrów z działami przeciwlotniczymi.

O 5.50 rozpoczęli ogień z moździerzy. Już po kilkunastu strzałach trafili w podręczny magazyn amunicji. Potężny wybuch wstrząsnął powietrzem i działa baterii Varengeville zamilkły. Niemcy rzucili się do gaszenia ognia, który groził kolejnymi wybuchami. W niebo wystrzeliła biała rakietka; znak, że z drugiej strony baterii nadchodzi oddział podpułkownika Lorda Lovata. Wylądowali o pół kilometra dalej na zachód niż grupa Mills-Roberts. Szybko poradzili sobie z bunkrem, strzegącym plaży i rozpoczęli marsz na południe, wzdłuż rzeki Saane. Po przebyciu półtora kilometra skręcili w lewo i dotarli do lasu Blancmenil-le-Bas, skąd już było blisko do stanowisk niemieckiej artylerii. Podpułkownik Lord Lovat rozdzielił swe siły na dwa oddziały, które zajęły stanowiska na skraju lasu. Gdy pojawiły się myśliwce ze 129. dywizjonu i, obniżając lot nad lasem, rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich stanowisk, komandosi wykorzystali ten moment.

Niemieccy żołnierze nie zdążyli wyjść ze schronów, w których schowali się przed pociskami brytyjskich myśliwców. Komandosi ruszyli więc z lasu w stronę zasieków otaczających baterię. W kilka minut dotarli do drutów, ale Niemcy zdołali zorganizować obronę. Serie karabinów maszynowych ścięły biegnących na przedzie dowódców grup: kapitana Richarda Pettiwarda i porucznika Iana MacDonalda. Dowodzenie przejął kapitan Pat Porteous. Nie było czasu na rozcinanie drutów ani zakładanie ładunków. Na zasieki rzucono ciała zabitych kolegów i po nich komandosi wdarli się do baterii. Pierwszy do dział dobiegł kapitan Porteous, nie miał jednak w magazynku pistoletu naboju. Wyciągnął bagnet; pchnął Niemca, który zastąpił mu drogę, ale zaraz padł, ranny w obydwie uda. W ciągu kilkunastu minut opór Niemców zdławiono i wszystkie działa wysadzono w powietrze. O 6.50 komandosi ułożyli na ziemi zabitych kolegów, zebrali rannych i ruszyli w drogę powrotną. O 9.00 komandosi z No 4 Commando rozpoczęli powrót do Anglii. Pozostawili we Francji 12 zabitych kolegów.

Oddziały żołnierzy kanadyjskich ponosiły ogromne straty. Royal Regiment of Canada zaległ w Puits na plaży, nie mogąc przedrzeć się przez bardzo silny ogień zaporowy. W Pourville walczyli żołnierze South Saskatchewan Regiment. Tutaj także niemiecka obrona była zbyt twarda.

Do plaży w Dieppe - ciągnącej się przez półtora kilometra między portem a skałami, na których wznosił się zamek Vieux Chateau - podpłynęły okręty desantowe z żołnierzami Essex Scottish Regiment i Royal Hamilton Light Infantry. Ich zadaniem było opanowanie plaży, aby mogły wjechać na nią czołgi, które miały osłaniać atak na miasto. Pierwsze minuty nie zapowiadały tragedii. Silne bombardowanie z morza i naloty myśliwców przydusiły niemiecką obronę. Okręty ukryte za gęstym dymem zasłony, postawionej przez samoloty, dotarły do kamienistej plaży bez większych strat. Jednakże pociski z dział niszczycieli i samolotów myśliwskich były za małe, by skruszyć dobrze zabezpieczone niemieckie stanowiska obronne. Gdy tylko wiatr zwiął zasłonę dymną, na podpływające do plaży okręty spadły pociski z setek dział, moździerzy, karabinów. Kanadyjczykom, mimo bardzo wysokich strat, udało się rozbić schrony, usytuowane najbliżej plaży i pokonać zasieki.

Kilkudziesięciu wdarło się na bulwar Verdun, biegnący wzdłuż morza. Nie mieli jednak dość sił na dalszy marsz. Czekali na czołgi, które mogłyby zniszczyć punkty oporu i osłonić komandosów w wąskich uliczkach portowej dzielnicy.

Silnik czołgu porucznika Pattersona był już rozgrzany, gdy okręt desantowy dobił do brzegu. Gwałtowny wstrząs dał znać, że za chwilę będą wjeżdżać do wody. Rampa opadła powoli i Patterson krzyknął do kierowcy:

- Pamiętaj! Trzymaj gaz, bo inaczej utoniemy! - Obawiał się, że kierowca, młody chłopak z Calgary, który po raz pierwszy znalazł się w ogniu bitwy, może zapomnieć o teoretycznych wskazaniach. Czołg zanurzył się gwałtownie, woda chlusnęła na wieżyczkę, ale po chwili zaczął wspinać się na plażę. Patterson obrócił peryskop w lewo, aby zobaczyć, jak przebiega wyładunek z innych okrętów. Jeden z LST dymił, ale z jego opuszczonej rampy zjeżdżały czołgi. Drugi okręt tonął; porucznik zobaczył, jak z burt skaczą żołnierze. Tępy huk uzmysłowił mu nagle, że lada moment staną się celem niemieckich dział przeciwpancernych. Czołg powoli posuwał się w stronę bulwaru. Wypatrywali niemieckich dział. Udało im się zniszczyć jedną z barykad. Czołg jadący przed nimi zakołysał się i skręcił gwałtownie w prawo. Patterson ujrzał, jak rozerwana wybuchem gąsienica osuwa się na kamienie. Drugi pocisk eksplodował z tyłu kadłuba, nie czyniąc szkody. Wieżyczka uszkodzonego czołgu obróciła się w lewą stronę obwałowanego workami stanowiska i po chwili działo bluznęło ogniem. Pocisk musiał trafić w magazyn amunicji, gdyż w oślepiającym wybuchu zniknęło działo i jego obsługa.

- Dom na prawo od kasyna! W oknie na parterze! Odłamkowym! - krzyknął Patterson, dostrzegłszy w peryskopie sylwetki żołnierzy niemieckich, ustawiających działko przeciwpancerne. Dwa kolejne pociski zawały piętro, grzebiąc w ruinach Niemców.

Posuwali się wolno w stronę bulwaru. Patterson wyraźnie widział betonowe bloki zamykające podjazd do ulicy. Żadnemu z saperów nie udało się dotrzeć do tego miejsca, aby wysadzić zapory. Zdał sobie sprawę, że nie przejadą tędy. 200 metrów na prawo zaporą była wysadzona, ale gdyby porucznik skierował tam czołg, musieliby jechać niemalże równolegle do domów na bulwarze, wystawiając słabiej opancerzony bok czołgu na niemieckie pociski. Z lewej strony stał niewielki dom, ziejący ogromną dziurą na wysokości parteru. Patterson uznał, że to jedyna droga, którą można dostać się do miasta. Wjechali w dom, roznieśli ocalałą ścianę i znaleźli się na bulwarze. Tuż za nimi podążały dwa następne czołgi. Nie było jednak piechoty. Chłopak zdawał sobie sprawę, że nie mają większych szans wdarcia się głębiej w ulice miasta. Nie mógł się jednak zatrzymać ani wydać rozkazu odwrotu, gdyż taki manewr zakończyłby się zniszczeniem czołgu przez niemieckich artylerzystów. Pozostało im jedynie dalsze posuwanie się i niszczenie kolejnych punktów oporu. Ta droga nie była długa. Na końcu ulicy znajdowały się betonowe zapory, najeżone działami przeciwpancernymi. Były za daleko, aby mogły kierować skutecznym ogniem, ale zbliżenie się mogło być groźne. Patterson spojrział przez peryskop w tył. Tylko jeden czołg podążał za nimi. Z wieżyczki drugiego wydobywał się gęsty, czarny dym.

- Koniec amunicji - zameldował ładowniczy haubicy.

- Ile mamy jeszcze pocisków? - Patterson zwrócił się do ładowniczego działka kal. 40 mm. Tamten schylił się nad półkami przymocowanymi do burty czołgu.

- Tylko trzy przeciwpancerne zostały - odpowiedział. Niewiele mogli już zdziałać.

- Wykonaliśmy swoje zadanie - powiedział Patterson. - Teraz niech każdy ratuje się na własną rękę. Powodzenia! Załoga opuściła czołg, ale tylko Pattersonowi udało się dotrzeć na plażę i powrócić do Anglii.

Dowódcy operacji na pokładzie niszczyciela HMS Calpe nie bardzo wiedzieli, co dzieje się na lądzie. Dymy zasłaniały widok, z wieloma jednostkami nie było łączności, a meldunki napływające od oddziałów, które miały sprawne radiostacje, były sprzeczne. Jednakże wiadomość, że czołgi wdarły się na bulwar, wydawała się zwiastować przesilenie.

Z brzegu informowano, że udało się opanować budynek kasyna, piętrzący się nad plażą. Dowódca wojsk lądowych, generał J.H. Roberts, zdecydował się rzucić do walki rezerwy. O 7.00 okręty z żołnierzami Fusiliers Mont-Royale ruszyły do akcji. Pierwszym impetem udało im się wdrzeć na bulwar. Jedenastu żołnierzy dotarło do portu. Wkrótce jednak ci, którzy wdarli się najgłębiej w ulice Dieppe, wystrzelali cały zapas naboju i - nie mając możliwości uzupełnienia amunicji - musieli poddać się lub wycofać na plażę. Niemiecka obrona pozostała nienaruszona.

O 11.00 samoloty brytyjskie zaczęły zrzucać na plażę granaty dymne, aby wycofujący się żołnierze mogli skryć się w nieprzeniknionej zasłonie.

Wymęczeni walką, ranni, obciążeni ciężkim sprzętem komandosi uchodzili przed niemieckimi pociskami na plażę. Wielu nie zdołało przejść tego ostatniego odcinka...

W operacji wzięło udział 6018 żołnierzy (4961 kanadyjskich, 100 brytyjskich, 50 amerykańskich). 4 506 zginęło, zaginęło lub dostało się do niewoli. Straty poniosła również marynarka wojenna i lotnictwo: pod Dieppe zginęło, zaginęło lub dostało się do niewoli 550 marynarzy oraz 190 lotników.

Niemcy stracili 600 żołnierzy oraz 58 samolotów.

8 września premier Winston Churchill, przemawiając w Izbie Gmin, powiedział: *Rajd na Dieppe musi być uważany za rozpoznanie walką. To było twarde, bezwzględne starcie, jakich będzie coraz więcej, gdy wojna pogłębi się. Musieliśmy uzyskać informacje, niezbędne do przygotowania inwazji na dużą skalę. Ten rajd, poza jego wartością rozpoznawczą, przyniósł także niezwykle zadowalające wyniki starć powietrznych: wyniki, jakie dowództwo lotnictwa myśliwskiego chciałoby uzyskiwać każdego tygodnia.* Tak premier bronił swojej decyzji.

Alan Brooke na wieść o stratach pod Dieppe zareagował słowami: *To jest lekcja dla ludzi, którzy podnosili taką wrzawę, aby jak najszybciej dokonać inwazji na Francję. Nigdy potem nie powtórzył tych słów...*

Kryptonim "Cycero"

Późnym popołudniem Stalin wyszedł z budynku ambasady Związku Radzieckiego w Teheranie, aby powitać brytyjskich gości przybywających na uroczysty obiad. Pierwszy wysiadł z dużego czarnego bentleya premier Winston Churchill, który machnął ręką do wyprężonych na baczność żołnierzy i pochylony, ciężko opierając się na lasce, skierował się w stronę Stalina. Tuż za nim podążyli tłumacz i reszta brytyjskiej delegacji.

Po zdawkowej wymianie zdań, których sens przełożyli stojący o pół kroku w tyle tłumacze, obydwaj mężowie stanu zaczęli wspinać się na schody prowadzące do ogromnego białego domu.

Winston Churchill był wyraźnie w złym humorze. Kilka godzin wcześniej, gdy ubierał się na przyjęcie, mruknął do swojego lekarza Sir Charlesa Wilsona Morana: "Już nic więcej nie można zrobić". A potem powtórzył parę razy, cedząc przez zęby: "cholerni", nie wyjawiając, kogo ma na myśli.

W podobnym nastroju byli inni członkowie brytyjskiej delegacji. Generał Alan Brooke - którego doktor Moran spotkał na korytarzu, gdy spocony kierował się do swojego pokoju, aby zmienić koszulę - powiedział:

- Powinienem przyjść do pana z prośbą o skierowanie do domu wariatów. Dłużej już tego nie wytrzymam...

- A co się stało? - zapytał współczująco Moran.

- Siedem godzin obrad i nie posunęliśmy się nawet o cal... - Brooke machnął ręką i wszedł do swego pokoju.

Konferencja przywódców trzech mocarstw: Franklina D. Roosevelta, Józefa Stalina i Winstona Churchilla, która rozpoczęła w Teheranie 17 listopada 1943 r., już od pierwszych chwil przybrała niekorzystny dla Brytyjczyków obrót.

Zacząło się od wiadomości, że prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin D. Roosevelt postanowił zamieszkać w ambasadzie radzieckiej i Churchill nie mógł temu przeszkodzić, gdyż Stalin rozegrał sprawę bardzo sprytnie. Powiedział Rooseveltowi, że radziecki agent Nikołaj Kuzniecowa wykrył niemiecki spisek. W górach Elburz, na północ od Teheranu, mieli wkrótce wylądować dowodzeni przez Ottona Skorzenego spadochroniarze, których zadaniem było dokonanie zamachu na Roosevelta w chwili, gdy jechałby z ambasady amerykańskiej do radzieckiej lub brytyjskiej.

Ostrzeżenie brzmiało groźnie. Pułkownik SS Otto Skorzeny wsławił się we wrześniu 1943 r. błyskawiczną i bezkrwawą akcją uwolnienia Benita Mussoliniego, włoskiego dyktatora uwięzionego w hotelu na szczycie niedostępnej góry Grand Sasso w masywie Abruzzów. Wskazanie Skorzeny'ego jako dowódcy grupy, która miała dokonać zamachu na prezydenta, zmuszało Amerykanów do podjęcia jak największych środków ostrożności, tym bardziej że zamachowcy mieliby ułatwione zadanie, gdyż budynki ambasady amerykańskiej położone były w odległości około 3 kilometrów od

centrum Teheranu, gdzie sąsiadowały ze sobą ambasady brytyjska i radziecka, a przejazd wąskimi zatłoczonymi uliczkami Teheranu dawał dziesiątki okazji do ostrzelania samochodu prezydenta lub podłożenia bomby.

Roosevelt przyjął zaproszenie do zamieszkania w ambasadzie radzieckiej uznając, że jest to najlepsza gwarancja bezpieczeństwa, choć Churchill usiłował wpłynąć na zmianę tej decyzji twierdząc, że informacja o zamachu jest wyssana z palca. Bezskutecznie. Prezydent prawdopodobnie chciał zostać ze Stalinem, aby bez świadków przedyskutować problemy podziału powojennego świata i nie miało znaczenia, czy ostrzeżenie przed zamachem było prawdziwe, czy zostało wymyślone przez Rosjan. Doradca Churchilla generał Alan Brooke, na wieść o decyzji Roosevelta westchnął: "Ta konferencja skończyła się, zanim się rozpoczęła".

Churchill liczył jednak, że uda mu się uzyskać poparcie aliantów dla planu dokonania inwazji na Bałkanach, a nie w północnej Francji. Sądził, że poprze go Stalin. Brytyjska misja wojskowa donosiła z Moskwy, że od początku wojny w Związku Radzieckim zginęło 7 milionów żołnierzy i ponad 10 milionów cywilów, 12 milionów ludzi odniosło rany, największe miasta legły w ruinach, fabryki, linie kolejowe, drogi, mosty zostały zniszczone. Churchill uznał więc, że dyktator - w obawie przed buntem doprowadzonego do ostateczności społeczeństwa - gotów będzie poprzeć każdy plan prowadzący do szybkiego zakończenia wojny.

Mylił się w dwójnasób.

Stalin mocno trzymał w ręku stery państwa i nie obawiał się, że ktokolwiek może zagrozić jego władzy. Wszelka opozycja została zlikwidowana już w 1937 i 1938 r., a w warunkach wszechobecnego terroru, jaki od tamtego czasu panował w ZSRR, nie było możliwości ukształtowania się grupy, która mogłaby sięgnąć po władzę.

Stalinowi zależało na jak najszybszym utworzeniu drugiego frontu, ale nie za każdą cenę. Doskonale zdawał sobie sprawę z zamiarów Churchilla. Wiedział, że do istnienia imperium brytyjskiego konieczne jest opanowanie przez Brytyjczyków wybrzeży Morza Śródziemnego. Operacja "Torch", w wyniku której wojska alianckie znalazły się w Algierii, Maroku i Tunezji, była pierwszym krokiem w tę stronę. Następny stanowiła inwazja na Sycylię, później na Półwysep Apeniński i marsz w górę włoskiego buta. Tak ukształtowało się jedno ramię alianckich kleszczy, które miały objąć Europę. Drugie ramię powstałoby po wylądowaniu wojsk anglo-amerykańskich na wybrzeżu Grecji, skąd ruszyłyby na północ Europy.

Stalinowi nie odpowiadała koncepcja zajęcia przez wojska alianckie Bałkanów, a później Węgier, Czechosłowacji i Polski. W jego planie państwa te miała wyzwolić Armia Czerwona, aby zaprowadzić tam rządy komunistyczne. Równie niemiła radzieckiemu dyktatorowi była wizja opanowania przez Brytyjczyków wybrzeży Morza Śródziemnego, co umacniałoby wpływy brytyjskie na Bliskim Wschodzie oraz zapewniało bezpieczeństwo szlakom komunikacyjnym do Indii i na Daleki Wschód.

Dlatego właśnie Stalin nie poparł Churchilla, gdy ten podczas pierwszej sesji rozmów w Teheranie przedstawił propozycję uderzenia na Bałkany.

Prezydentowi Rooseveltowi również nie podobała się wizja wzmocnienia brytyjskich wpływów w tym rejonie świata, a zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, gdzie chętnie widziałyby amerykańskie firmy naftowe i bazy wojskowe.

Za główny cel postawił sobie najszybsze pokonanie Niemiec, co byłoby ukoronowaniem trzeciej kadencji prezydenckiej i dawało pewność zwycięstwa w wyborach w 1944 r. Z amerykańskiego punktu widzenia najkrótsza droga do Berlina prowadziła z północnych wybrzeży Francji, przez Ren i przemysłowe serce Niemiec - Zagłębie Ruhry. Być może Roosevelt uwzględnił to, czego - zapatrzony w konieczność utrzymania imperialnej potęgi - nie widział Churchill: wojska alianckie lądując na Bałkanach i zdobywając Jugosławię, Bułgarię i Węgry, pozostawiłyby Armii Czerwonej wolną drogę do Berlina i do gigantycznego przemysłu Niemiec skupionego w Zagłębiu Ruhry.

Roosevelt zastanawiał się, czy ma prawo zmusić najbliższego sojusznika i przyjaciela - Winstona Churchilla - do zmiany planów. Jeszcze w czasie pierwszego etapu podróży do Teheranu, gdy na pokładzie pancernika Iowa płynął przez Atlantyk do Egiptu (gdzie przesiadł się na samolot, który zabrał go do stolicy Persji) rozważał w gronie najbliższych doradców sposób postępowania wobec brytyjskiego premiera. Wątpliwości rozwiązał szef Sztabu Generalnego generał George Marshall, wyraźnie niechętny angielskim planom. W jego opinii należało zachować "szczególnie ostrożne podejście" do brytyjskich propozycji działań na Bałkanach.

- Brytyjczycy powinni zostać zmuszeni do honorowania porozumień zawartych w czasie konferencji w Waszyngtonie i Quebecu - powtarzał w czasie rozmów z prezydentem. - Jedyną akcją odwracającą uwagę Niemców od głównej inwazji powinna być operacja "Anvil" - lądowanie w południowej Francji, a nie na Bałkanach.

- Czy sądzisz, że możemy sprawę stawiać tak arbitralnie? - zapytał Roosevelt.

- Panie prezydecie, 1 stycznia 1944 r. liczebność naszych sił zbrojnych zaangażowanych w walkach na całym świecie wyniesie 10,7 miliona żołnierzy. W tym czasie liczebność wojsk brytyjskich nie przekroczy 4,4 miliona - twardo odpowiedział Marshall.

Roosevelt milczał przez chwilę, ale widać było, że ta odpowiedź zrobiła na nim duże wrażenie.

- Tak, generał Marshall powinien być naczelnym dowódcą alianckich wojsk walczących z Niemcami i objąć swoją komendą oddziały brytyjskie, francuskie, włoskie i amerykańskie, które wezmą udział w tym przedsięwzięciu! - wykrzyknął prezydent. Zrobił ogromną przyjemność Marshallowi, który bardzo liczył, że przypadnie mu zaszczyt dowodzenia wojskami alianckimi wyzwalającymi Europę.

Premier Churchill spodziewał się amerykańskiego sprzeciwu wobec koncepcji lądowania na Bałkanach. Był jednak zbyt wytrawnym politykiem, aby przy pierwszych trudnościach zrezygnować ze swoich planów - tak ważnych dla istnienia imperium brytyjskiego. Upierał się przy nich, ale widząc niechęć sojuszników, twierdził, że akcja na Bałkanach ma być jedynie działaniem odwracającym uwagę Niemców od głównego kierunku inwazji, czyli od lądowania w północnej Francji. Było to rozsądne tłumaczenie, gdyż pojawienie się wojsk anglo-amerykańskich na greckim

brzegu zmusiłoby Niemców do przesłania tam wielu dywizji z Francji. Żadna z nich nie mogłaby już wrócić do Normandii w dniu, w którym pojawiłyby się tam główne siły inwazyjne. Jednakże ani Roosevelt, ani Stalin nie chcieli zaakceptować takiego planu wyczuwając, że Churchillowi w rzeczywistości chodzi o skupienie wszystkich sił w tamtym rejonie Europy. Amerykanie zgadzali się, że należy przeprowadzić operację odwracającą uwagę Niemców, ale uparli się, że powinna nastąpić na południu Francji. Takiego zdania był również Stalin. Argumenty Churchilla trafiały więc w próżnię. Dlatego premier Wielkiej Brytanii stał się nerwowy i rozdrażniony. Wybuch nastąpił w czasie uroczystego obiadu wydanego w ambasadzie ZSRR.

Jak to było w radzieckim zwyczaju, przez całe przyjęcie Stalin i minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow wznosili nie kończące się toasty. Być może nadmiar rosyjskiej wódki rozwiązał język Stalinowi, który nagle podniósł się z kieliszkiem w dłoni i stwierdził, że po wojnie niemiecki Sztab Generalny musi zostać zlikwidowany, co zapobiegnie odrodzeniu się w przyszłości militarnej potęgi Niemiec.

- Funkcjonowanie hitlerowskich armii zależy od 50 tysięcy oficerów i naukowców. Jeżeli oni zostaną wyłapani i rozstrzelani, niemiecka potęga militarna będzie zniszczona - mówił.

Churchill zareagował bardzo ostro.

- Brytyjski parlament ani społeczeństwo nie będą tolerować masowej egzekucji. Zwrócą się gwałtownie przeciwko ludziom za nią odpowiedzialnym, gdy tylko rzeźnia się rozpocznie. Związek Radziecki nie powinien mieć żadnych złudzeń co do tego.

- Pięćdziesiąt tysięcy musi zostać rozstrzelanych - powtórzył Stalin.

Churchill poczerwieniał.

- Raczej zastrzeliłbym się w ogrodzie i to zaraz, niż naraziłbym honor własny i mojego kraju na taką niesławę!

- No, powiedzmy, nie pięćdziesiąt lecz czterdzieści dziewięć tysięcy - wtrącił się Roosevelt, wyraźnie zmierzając do rozładowania napiętej sytuacji. Wtedy podniósł się syn prezydenta pułkownik Elliott Roosevelt, który nie wiadomo w jaki sposób znalazł się na przyjęciu, gdyż nikt go tam nie zaprosił.

- Zgadzam się z propozycją pana Stalina i jestem pewien, że armia amerykańska poprze ten plan.

Churchill, który nie znosił pyszałkowatego młodego Roosevelta, poderwał się z krzesła, odłożył serwetkę na stół i wyszedł do przedpokoju. Tam usiadł ciężko na fotelu i zapalił cygaro. Po chwili drzwi do jadalni się otworzyły i stanął w nich Stalin z tłumaczem.

- On tylko żartował - skomentował wyskok Elliotta Roosevelta. - Wróćmy do sali. Podszedł do Churchilla i objął go ramieniem.

Premier, który zdążył już ochłonać, skierował się do drzwi. Być może uświadomił sobie, że przeciąga strunę. Nie sposób jednak określić, na ile gwałtowna reakcja na słowa syna prezydenta

była wykalkulowaną manifestacją niezadowolenia z postawy delegacji amerykańskiej, na ile zaś premierowi puściły nerwy. Zapewne doszedł do wniosku, że sytuacja, która dawno już wymknęła się spod jego kontroli, zmierza w bardzo niebezpiecznym kierunku.

Następnego dnia, 30 listopada, postanowił porozmawiać w cztery oczy ze Stalinem. Napisał później:

Czułem, że przywódca rosyjski nie miał prawdziwej oceny brytyjskiego podejścia. W głowie Stalina narodziła się fałszywa idea, że (mówiąc najkrócej) Churchill i brytyjski Sztab Generalny, jeżeliby mogli, zastopowaliby realizację "Overlord", ponieważ chcieli dokonać inwazji na Bałkanach, a nie we Francji.

W czasie rozmowy przed południem Churchill długo mówił o planach brytyjskich. Podkreślał, że działalność brytyjskich służb specjalnych ma jedynie wprowadzić Niemców w błąd co do miejsca i terminu lądowania wojsk alianckich, aby zapewnić w ten sposób powodzenie akcji i do minimum ograniczyć ofiary wśród żołnierzy.

Stalin zdawał się przyjmować argumentację brytyjskiego premiera, ale postawił zdecydowany warunek: akcja wprowadzania w błąd Niemców musi być prowadzona wspólnie przez wszystkich aliantów. Innymi słowy, radzieckie służby specjalne miały zostać wtajemniczone w grę wywiadów i kontrwywiadów, prowadzoną przez aliantów zachodnich. Churchill zgodził się bez chwili namysłu, choć wiedział, że jest to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

Od powstania Związku Radzieckiego do chwili wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej wywiady Wielkiej Brytanii i ZSRR toczyły bezwzględną walkę. Zawieszono ją na czas wojny z Niemcami, ale nie było wątpliwości, że tuż po zakończeniu II wojny światowej wywiady obu mocarstw znowu staną przeciwko sobie, a wówczas Rosjanie wykorzystają wiedzę przekazaną im przez Brytyjczyków.

Już raz, 22 czerwca 1941 r., gdy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, Churchill musiał zapomnieć o swoich antykomunistycznych przekonaniach w imię zjednoczenia wszystkich sił przeciwko Niemcom. W Teheranie znów musiał pójść na kompromis i dopuścić Rosjan do wielkiej akcji wywiadu i kontrwywiadu prowadzonej od 1942 r., której nadano kryptonim "Jael".

Tuż przed rozpoczęciem konferencji w Teheranie utworzona przez Churchilla organizacja London Controlling Section przygotowała dokument zawierający zaledwie 7 stron maszynopisu. Był to plan ochrony tajemnic operacji "Overlord" (lądowania alianckich wojsk inwazyjnych na kontynencie europejskim i wprowadzenia Niemców w błąd co do daty i miejsca inwazji). Na pierwszej stronie tego dokumentu, pod pięcioma zielonymi paskami mającymi zwrócić uwagę na jego niezwykle charakter, widniały napisy "Najbardziej tajne!" i "Ograniczony obieg!" Na następnych stronach określono pięć głównych płaszczyzn działania.

Pierwsza - realizowana przez wywiad brytyjski MI-6 i amerykański Office of Strategic Services (OSS) - obejmowała rozpoznanie niemieckich sił obrony i kontrolowanie stanu wiedzy niemieckiego dowództwa o przygotowaniach aliantów do inwazji.

Druga - której realizację przekazano kontrwywiadowi brytyjskiemu MI-5 i amerykańskiemu biuru FBI - zawierała wytyczne działalności kontrwywiadowczej i ochrony tajemnic planów inwazji.

Trzecia - realizowana przez Kierownictwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive - SOE) i amerykański wydział operacji specjalnych OSS - dotyczyła działalności sabotażowej Kierownictwa Działań Politycznych

Czwarta - oddana w ręce brytyjskiego (Political Warfare Executive) i amerykańskiego Biura Informacji Wojennej (Office of War Information) - obejmowała działania propagandowe.

W piątej, najważniejszej, nakreślono strategię działań, które miały przekonać Niemców, że inwazja nastąpi w innym miejscu, niż rzeczywiście planowali alianci (w południowej Francji, w Zatoce Biskajskiej, Norwegii lub Pas de Calais).

Realizacja tych zamierzeń miała być gigantyczną operacją przeprowadzoną przez tysiące agentów, członków ruchu oporu, naukowców, żołnierzy, sztaby wywiadu i kontrwywiadu.

Ten siedmiostronicowy dokument stał się przedmiotem dyskusji przywódców trzech mocarstw w czasie ostatniej plenarnej sesji, która rozpoczęła się 30 listopada po południu. W dokumencie końcowym konferencji zapisano:

Uzgodniono, że sztaby wojskowe trzech mocarstw powinny pozostawać we wzajemnym kontakcie w sprawie stosownych operacji w Europie. W szczególności uzgodniono, że plan ukrycia przed wrogiem i wprowadzenia w błąd wroga, związany z tymi operacjami, powinien być koordynowany przez zainteresowane sztaby sojuszników.

Trzej przywódcy złożyli podpisy pod dokumentem*.[* W następnym miesiącu ostatecznie sformułowany plan wysiano z Londynu do Waszyngtonu w celu zatwierdzenia go przez Szefów Połączonych Sztabów, co wobec wcześniejszej decyzji szefów państw i rządów było czystą formalnością. Nazwa planu została wówczas zmieniona z "Jael" na "Bodyguard". Był on tak tajny, że ujawniono go dopiero po 29 latach, w 1972 r.] Następnego dnia Churchill i Roosevelt odlecieli do Kairu, gdzie zamierzali dyskutować o wielu ważnych sprawach związanych z organizacją inwazji na kontynent europejski, a jedną z najważniejszych był wybór głównodowodzącego wojskami alianckimi. Generała Marshalla, który kilkanaście dni wcześniej miał pewność, że to on poprowadzi amerykańskich i angielskich żołnierzy do boju o wolność Europy, spotkał głęboki zawód. Przywódcy dwóch mocarstw uzgodnili w Kairze, że zaszczyt ten przypadnie generałowi Dwightowi Eisenhowerowi. Czyżby w ten sposób Churchill zemścił się na, niechętnym jego bałkańskiemu planowi, doradcy prezydenta Roosevelta? Jeżeli nawet tak było, to wybór Eisenhowera okazał się bardzo trafny.

Czy brytyjski premier zrezygnował ze swojej koncepcji lądowania na Bałkanach? Wydawałoby się, że ustalenia konferencji teherańskiej przekreśliły możliwość skierowania wojsk alianckich do Grecji i przesądziły ostatecznie o uderzeniu na Francję. Jednakże ta decyzja musiałaby ulec zmianie, gdyby np. okazało się, że Niemcy tak bardzo wzmocnili obronę wybrzeży, iż inwazja zakończy się

klęską. A mogli to zrobić łatwo - przerzucając tam dywizje z innych rejonów Europy.

Prezydent Roosevelt, któremu przedstawiono by dowody wzmocnienia niemieckiej obrony (zdjęcia lotnicze, raporty wywiadu), musiałby przyznać, że inwazja na Francję nie jest możliwa i zgodzić się na dokonanie jej w innym miejscu Europy, np. w Grecji. Doskonale rozumiał, jaką katastrofą zakończyłoby się nieudane lądowanie aliantów: przygotowanie ponownej operacji zajęłoby wiele miesięcy, a może w ogóle Stany Zjednoczone wycofałyby się z udziału w wojnie w Europie, gdyż amerykańscy zwolennicy skoncentrowania wysiłku militarnego na Pacyfiku zyskaliby niepodważalny argument.

Czy więc autorzy planu "Jael" opracowali jeszcze jeden plan tajnej gry, w której przeciwnikiem nie byli Niemcy, lecz... sojusznicy? Tak po wojnie twierdził Józef Stalin, ale nikt nie zwracał uwagi na podejrzenia dyktatora uznając, że jest to zabieg propagandowy. A może jednak miał on rację?...

Gdy w Teheranie przywódcy trzech mocarstw dyskutowali o polityce, w niezbyt odległej Ankarze zaczęły się dziać dziwne rzeczy...

Tajemniczy Człowiek

W połowie października 1943 r. ambasador brytyjski w Ankarze Sir Hughe Montgomery Knatchbull-Hugessen zatrudnił jako kamerdynera Turka Elyesa Baznę. Wydawałoby się, że w ambasadzie mógł pracować tylko człowiek sprawdzony, gdyż niebezpieczeństwo wprowadzenia obcego agneta było w Turcji ogromne.

W latach II wojny Ankara i Istanbuł roiły się od szpiegów wszystkich wywiadów świata, prowadzących cichą, ale krwawą walkę, w której nie obowiązywały żadne zasady, a szantaż, uprowadzenie, tortury i skrytobójcza śmierć były powszechnie stosowane.

Wszystkie placówki dyplomatyczne, które wszędzie na świecie zajmują się tropieniem tajemnic politycznych i wojskowych, w Ankarze nie kryły się ze swoimi powiązaniem z wywiadem i kontrwywiadem, a ich łączność radiowa była starannie nasłuchiwana przez przeciwników, liczących na złamanie szyfru i poznanie najściślej strzeżonych tajemnic. W tej grze szczególne miejsce przypadało ambasadam brytyjskiej i niemieckiej, które usilnie zabiegały o przeciągnięcie Turcji na stronę swoich państw.

Turcja, która w 1939 r. podpisała umowę o wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią, wkrótce zaczęła przechylać się na stronę państw faszystowskich. 18 czerwca 1941 r. rząd turecki podpisał z Niemcami układ o przyjaźni, jednakże nie zdecydował się wystąpić zbrojnie po stronie państw "osi"*. [* 2 sierpnia 1944 r. Turcja zerwała stosunki dyplomatyczne z Niemcami, 3 stycznia - z Japonią, a 1 marca 1945 r. wypowiedziała wojnę Niemcom.] Wielka gra o zdobycie względów Turcji - państwa ludnego (ponad 17 milionów mieszkańców w 1938 r.), zasobnego w surowce strategiczne i położonego w bardzo ważnym miejscu świata, trwała bez przerwy. Dlatego każdy krok dyplomatów brytyjskich był szczególnie starannie strzeżony przez agentów Abwehry i Sicherheitsdienst, a pracownicy Secret Intelligence Service bacznie obserwowali placówkę niemiecką.

W tej atmosferze pojawienie się obcego człowieka w bezpośrednim otoczeniu ambasadora wydaje się co najmniej dziwne, tym bardziej że Bazna nie tylko nie miał odpowiednich referencji, ale był osobnikiem bardzo podejrzanym. Bliższe poznanie jego życiorysu nakazywało trzymanie się za portfel w momencie, gdy wchodził do pokoju.

Urodził się w 1904 r. w Pristinie w Jugosławii (w tym czasie państwo to było częścią Imperium Otomańskiego). Podobno pochodził z przyzwoitej rodziny. Jego ojciec był mułłą (duchownym muzułmańskim). Bazna twierdził, że studiował przez pewien czas w akademii wojskowej Fatih, ale nie ukończył nauki z bliżej nie znanych powodów. Potem jego życie skomplikowało się tak bardzo, że w Marsylii trafił do więzienia za kradzież. Po odbyciu kary miał się różnych zawodów, które nie pasowały do jego wykształcenia. Był kowalem w zakładach

Berlieta we Francji, pracował jako urzędnik w Istanbule, w Jozgat dowodził oddziałem straży pożarnej, jeździł jako kierowca taksówki, aż wreszcie został służącym, a potem kamerdynierem, w domach dyplomatów. Pracował u ambasadora Jugosławii, konsula Wielkiej Brytanii, attache militarnego Stanów Zjednoczonych, sekretarza niemieckiej ambasady i w końcu trafił do ambasadora

Wielkiej Brytanii.

W życiorysie Bazny było wiele białych plam, a on sam, pytany o konkrety, szybko zmieniał temat lub mówił wprost, że wolałby nie rozmawiać o bolesnych dla niego wydarzeniach.

Już w kilkanaście dni po rozpoczęciu pracy w domu Sir Hughe'a nowy kamerdyner zdobył pełne zaufanie pracodawcy. Wydaje się niezrozumiałe, że stary angielski dyplomata zezwalał Baznie asystować przy porannej toalecie lub pilnować drzwi gabinetu, gdy wypoczywał. Jeszcze dziwniejsze były wspólne domowe koncerty kamerdynera i jego pana; Bazna, mając ładny głos, śpiewał arie operowe, gdy Sir Hughe akompaniował mu na fortepianie. Przedstawiciele dwóch światów - służący i arystokrata - bardzo zbliżyli się do siebie, co było nie do pomyślenia nie tylko w służbie dyplomatycznej Jego Królewskiej Mości, ale w żadnym angielskim domu wyższych sfer. Być może wyjaśnienia tej niecodziennej sytuacji należy szukać wiele lat wcześniej.

Było późne popołudnie, gdy kapitan Arthur Leslie Nicholson przyszedł do swojego biura w budynku brytyjskiego poselstwa w Rydze. Cały dzień upłynął mu na ważnych spotkaniach z ludźmi zatrudnionymi w łotewskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i z pracującymi dla niego agentami. Kapitan był człowiekiem bardzo obowiązkowym; uważał, że nie może zaniedbywać osobistych kontaktów, gdyż w ten sposób najlepiej poznawał środowisko.

Mimo niewątpliwych zalet charakteru i ogromnej pracowitości Nicholson nie zrobił kariery. Miał 52 lata i wciąż był kapitanem. W 1932 r. wysłano go do Rygi, która nie cieszyła się uznaniem dyplomatów. Nicholson nie przejął się jednak decyzją szefów z Secret Intelligence Service i z niezmienną skrupulatnością przystąpił do wykonywania swoich obowiązków. Po czterech miesiącach pracy w Rydze mógł uważać, że poznał teren całkiem nieźle i zdobył kilku ważnych informatorów, dobrze wprowadzonych w tamtejsze środowisko.

Wszedł do swojego gabinetu i zapalił lampę na biurku, gdyż do pokoju wpadało niewiele światła przez grubą firankę i ciężkie pluszowe story, ledwo odsunięte na boki. Nicholson uznał, że takie zabezpieczenia są konieczne, aby ustrzec się wścibskich oczu agentów obcego mocarstwa. Usiadł na krześle i zaczął wertować codzienne raporty, przygotowywane przez współpracowników. Jego uwagę zwróciła notatka, że o godzinie 17.30 w kawiarni na rogu czekać będzie August Lepstein, dziennikarz gazety "Promień". Nicholson spojrzął na zegarek. Minęła 17.00, a więc bez pośpiechu zamknął papiery w sejfie, założył palto i skierował się do wyjścia.

Lepstein był człowiekiem doskonale zorientowanym zarówno w sprawach rządowych, jak i towarzyskich. Spotkania z nim były zawsze owocne i Nicholson, choć podejrzewał, że dziennikarz z równą ochotą sprzedaje informacje Niemcom i Rosjanom, nie zaniedbywał okazji do spotkań. Fundusze, które wyznaczono mu na opłacanie informatorów, nie były duże, ale Lepstein nie żądał wiele, a zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia.

Drobny człowiek z gęstą czarną brodą, zasłaniającą pół twarzy, zamachał gazetą, gdy tylko Anglik wszedł w drzwi kawiarni.

- To rozkosz widzieć pana - powtórzył słowa, których używał zawsze przy powitaniach.

- Dla mnie również, panie Lepstein - odwzajemnił grzeczność Nicholson, ale zaraz przeszedł do sedna sprawy. - Musi pan mieć coś szczególnego, skoro nie czekał pan do naszego ustalonego spotkania, lecz zatelefonował do biura...

- Ależ tak, szlachetny panie! - Kwiecisty styl Lepsteina drażnił Anglika, ale starał się nie zwracać na to uwagi. - Powiem więcej. Mam wiadomość wartą co najmniej 80 funtów... - zawahał się na moment, ale zaraz dodał: - a może nawet 100.

- Dobrze, dobrze - przerwał Nicholson. - Wie pan, że zawsze dobrze płacę, lecz nigdy więcej niż 50 funtów.

- Może pan przekazać wyrazy szacunku dla Tony'ego... - mówił dalej Lepstein, co wskazywało, że zaakceptował cenę.

- Jeśli za 50 funtów, to mów pan do rzeczy - przywołał go do porządku kapitan.

- Ależ szlachetny pan niecierpliwy, ale ja na te 50 funtów muszę zapracować. - uśmiechał się chytrze Lepstein, a jego oczy niespokojnie lustrowały otoczenie. Nie znajdując nic podejrzanego w zachowaniu ludzi przy pobliskich stolikach, mówił dalej: - Tony to kamerdyner zatrudniony w waszej ambasadzie, którego pan zna jako Tomasza. Pseudonim "Tony" nadał mu rezydent wywiadu niemieckiego.

- Skąd ta wiadomość?

- Słuchaj, dobroczyńco, dalej. - Lepstein nie zwrócił uwagi na pytanie o źródło informacji. - Ten wasz kamerdyner jest męską prostytutką bardzo wziętą w tutejszym towarzystwie. Nie wiem jeszcze, jaka jest jego stawka, ale chyba wysoka. Chłopczyna ma jedną wadę: nie umie trzymać języka za zębami i ostatnio pochwalił się pewnemu swojemu wielbicielowi, że do ambasady przysłano jakieś ważne dokumenty. Podobno miał je w ręku. Ja tam nie wiem, co to było... - Lepstein uznał, że powiedział już dosyć.

Nicholson skinął na kelnerkę i przy okazji odliczania pieniędzy za kawę i koniak wsunął pod tacę 50-funtowy banknot. Wstał bez słowa i chciał wyjść, ale zatrzymał się na moment.

- Dziękuję panu, to była bardzo ważna rozmowa, o której pan już zapomniał...

- Oczywiście, szlachetny dobroczyńco - Lepstein wrócił do swojego stylu. - Nasze spotkania są niewypowiedzianą radością dni moich... - Mówiąc to, szybko wydobył banknot spod tacy i wsunął do kieszeni.

Nicholson już go nie słuchał.

Wrócił do ambasady rozważając, co ma począć z tak niezwykłą informacją. Nie mógł przecież pójść do ambasadora i oskarżyć kamerdynera, skoro nie miał żadnych dowodów. Zaczął przypominać sobie fakty: ambasador Hughe Knatchbull-Hugessen rozpoczął pracę w ryskiej placówce w 1930 r. i wkrótce zaangażował nowego kamerdynera Tomasza. Nicholson przyjechał do Rygi dwa lata później i nie mógł już ustalić, w jakich okolicznościach zatrudniono kamerdynera, czy miał stosowne referencje i czy przeszedł odpowiednie sprawdziany.

Przez następny miesiąc kapitan nie spuszczał Tomasza z oka. Kilka razy widział jak nocami do jego pokoju przemykali się mężczyźni i jak uchodzili nad ranem.

W kalendarzyku, który każdego wieczoru pieczołowicie chował do sejfu, notował wszystkie fakty. Pewnej nocy zauważył, że Tomasz wyszedł ze swojego pokoju i skierował się na piętro, gdzie znajdowały się apartamenty ambasadora. Nicholson nie mógł pójść za nim, gdyż by się zdekonspirował, więc ukrył się wśród płaszczy wiszących pod schodami i czekał na powrót kamerdynera. Po kilkunastu minutach Tomasz zszedł na dół, wyraźnie coś ukrywając pod marynarką

narzuconą na ramiona. Wszedł do swojego pokoju, gdzie pozostał przez kilka minut. Gdy znów wyszedł, rozejrzał się uważnie po korytarzu. Nie mógł dostrzec Nicholsona, który - omotany ciężką pelisą, czując strużki potu ciekące mu po plecach - obserwował, jak kamerdyner szybko ruszył na górę, skąd niebawem powrócił do swojego pokoju, nie ukrywając już niczego pod marynarką.

Nicholson nie miał żadnych wątpliwości, co oznaczała nocna wycieczka. Wiedział, że ambasador lubił przed snem przeglądać dyplomatyczne papiery. Nie krył się z tym zwyczajem i kazał nawet zainstalować sejf pod łóżkiem, aby nie musiał wstawać w celu zabezpieczenia dokumentów, gdy poczuje senność.

Nicholson postanowił działać, przekonany, że w 52 roku życia odniesie wielki sukces, który da mu co najmniej stopień majora.

- Proszę, niech pan siada - ambasador, siedzący za ogromnym stylowym biurkiem, wskazał sofę pod ścianą. - Zaraz skończę przeglądanie dokumentów...

- Panie ministrze... - Nicholson nie czekał, aż ambasador wstanie zza biurka. - Przychodzę do pana w niezmiernie ważnej sprawie. Kamerdyner jest homoseksualistą i niemieckim agentem. Wczoraj w nocy widziałem, jak zakradł się do pana sypialni i wyniósł z niej dokumenty, które sfotografował w swoim pokoju - wypalił jednym tchem wyraźnie zdenerwowany kapitan.

Ambasador poderwał się z fotela.

- Czy pan jest tego pewien? - zapytał, wyraźnie zmieszany i zdziwiony.

- Absolutnie tak - twardo odparł Nicholson.

- Czy widział pan Tomasza wchodzącego do mojej sypialni?

- No, nie całkiem. Widziałem, że wszedł na pierwsze piętro... - zaczął plątać się Nicholson.

- Czy widział pan, że Tomasz wynosi dokumenty z mojej sypialni? - Pytał dalej podniesionym głosem ambasador.

- Widziałem, że ukrywa coś pod marynarką; zapewne były to dokumenty - Nicholson zaczynał tracić pewność siebie.

- Chciałbym, żeby pan wiedział, że wczorajszego wieczoru w moim sejfie nie było żadnych dokumentów. Pańskie spostrzeżenia są więc czystym nieporozumieniem. Doceniam, że wypełnia pan swoje obowiązki, oczekuję jednak przy tym pełnej odpowiedzialności. Czy poinformował pan Londyn o swoim "odkryciu"?

- Nie, jeszcze nie. - Nicholson zrozumiał, że ambasador - bojąc się wplątania w szpiegowską aferę, co mogłoby zaważyć na jego karierze - zrobi wszystko, żeby obalić oskarżenia, nawet za cenę ocalenia szpiega. - Chciałem się podzielić tymi podejrzeniami z panem...

- Dziękuję panu. - Ambasador wstał, dając w ten sposób znać, że nie mają już o czym

rozmawiać. - Proszę informować mnie o wszystkich pana odkryciach, a wówczas razem zastanowimy się nad dalszymi krokami. Podał rękę Nicholsonowi i odprowadził go do drzwi.

Kapitan nie zastosował się jednak do polecenia ambasadora. Jeszcze tego samego wieczoru wysłał do swoich szefów w SIS szyfrogram informujący o poczynaniach kamerdynera. Odpowiedź nigdy nie nadeszła...

Był to czas beztróskiego pokoju w Europie. W Niemczech uważano Hitlera za ulicznego krzykacza i nikt nie traktował go poważnie. W Związku Radzieckim Stalin - zajęty kolektywizacją i umacnianiem władzy - nie zdradzał chęci anektowania innych państw.

Głównym problemem świata był kryzys gospodarczy i nikt nie bał się szpiegów. Być może dlatego ostrzeżenia kapitana Nicholsona utkwily w biurku któregoś z urzędników SIS.

Rok później Nicholson został odwołany do Londynu. Sir Hughe Knatchbull-Hugessen opuścił placówkę w Rydze w 1934 r. i wkrótce został mianowany ambasadorem w Chinach.

Tony pozostawał w dalszym ciągu na służbie w brytyjskim przedstawicielstwie. Kiedy (w 1940 r.) do Łotwy wkroczyli Rosjanie i państwo to zostało włączone do ZSRR, Brytyjczycy zamknęli ambasadę w Rydze. Dalsze losy Tony'ego nie są znane.

Zwykły Początek

Parnego październikowego wieczoru 1943 r. przed ciężkimi, kutymi w brązie drzwiami do niemieckiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Ankarze stanął wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Mimo gorąca nosił kapelusz z dużym rondem, które osłaniało twarz. Niecierpliwie szarpał rączkę dzwonka, starając się zmusić służbę do jak najszybszego otwarcia drzwi, co skróciłoby czas wystawania na ulicy, czego najwyraźniej chciał uniknąć.

Po chwili w małym zakratowanym okienku pojawiła się twarz odźwiernego.

- Ja do pana sekretarza Jenkego. To ważne - powiedział przybyły.

Drzwi otworzyły się, co wskazywało, że ludzie z ochrony ambasady wiedzieli, że nie należy trzymać na ulicy gości sekretarza. Po chwili w korytarzu pojawił się Albert Jenke w szlafroku.

- Pan do mnie?

- Tak, przychodzę z ważną sprawą - mężczyzna zdjął kapelusz, starając się stać tyłem do pracownika ambasady, który pozostał przy drzwiach.

- Ach, poznaję. Proszę tutaj - Jenke wskazał drzwi prowadzące do niewielkiego, stylowo umeblowanego gabinetu.

- Tak, tak! Pan Bazna. Co pana sprowadza do starych znajomych? - podszedł do dużego biurka przy oknie i oparł się o jego krawędź. Stamtąd mógł uważnie śledzić twarz Bazny, podczas gdy sam, stojąc tyłem do światła rzucanego przez wielką lampę na biurku, pozostawał ciemną sylwetką. Znał Baznę z czasów, gdy pracował on jako służący w jego domu.

- Interesy... - odpowiedział Bazna. - Po starej znajomości chciałem panu zaoferować parę rolek filmu ze zdjęciami tajnych dokumentów angielskich.

- Za jaką cenę? - spytał Jenke.

- 20 tysięcy funtów szterlingów - odparł Bazna, a w jego głosie można było wyczuć pewność sprzedawcy, który wie, że ma towar najwyższej jakości. - Za pierwszą rolkę, z 52 zdjęciami 20 tysięcy funtów, za każdą następną po 15 tysięcy...

To była ogromna suma. 20 tysięcy funtów szterlingów równało się 80 tysiącom dolarów, a za tę kwotę można było kupić w Ankarze ładny domek.

- Nie jestem upoważniony do zawierania tak poważnych transakcji... - Jenke nie wiedział, co zrobić. Nie miał najlepszego zdania o byłym służącym. Podejrzewał, że chce go oszukać lub jest angielskim agentem.

- Jeśli pan nie chce, to nie będę namawiać. Rosjanie zapłacą mi więcej - Bazna nie robił wrażenia zmartwionego oschłością sekretarza. - Zapomnijmy o tej rozmowie. Wie pan, przyszedłem

tutaj, a nie do Rosjan, ze względu na zaufanie, jakie mam do pana. Poza tym byłem przekonany, że potrafi pan docenić niezwykłą wartość dokumentów. Teraz jednak proszę, żeby pan zapomniał o wszystkim. - Podniósł się z krzesła i skierował do wyjścia.

- Niech pan zaczeka! - zatrzymał go Jenke, zbity z tropu pewnością siebie dawnego służącego.

Wyszedł z pokoju i z aparatu w hallu zatelefonował do szefa miejscowego oddziału Służby Bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst - SD) Ludwiga Moyzicha. Na szczęście zastał go w mieszkaniu w budynku naprzeciw ambasady i po paru minutach Moyzisch pojawił się w drzwiach.

- W pokoju jest kamerdyner z angielskiego poselstwa. Nazywa się Bazna i chce nam sprzedać filmy ze zdjęciami tajnych dokumentów - poinformował Jenke.

- Czy sądzi pan, że ten... Bazna może mieć dostęp do takich dokumentów? - upewniał się Moyzisch

- Nie jest to wykluczone - ostrożnie odparł Jenke.

Obydwóch zastanawiała ogromna suma, której zażądał Bazna. Takie pieniądze płaci się tylko za informacje najwyższej wagi. Czy kamerdyner mógł uzyskać dostęp do takich dokumentów?

Obydwaj Niemcy wiedzieli, że ambasador Knatchbull-Hugessen miał doskonałe kontakty w Londynie. Pochodził ze znakomitej rodziny, kształcił się w college'u Eaton, skąd wywodziło się wielu członków najwyższych władz brytyjskich. Studiował w Oksfordzie razem z ministrem spraw zagranicznych Anthonym Edenem*.[* Nie wiedzieli jednak, że ambasador był szkolnym kolegą Stewarta G. Manziesa - szefa brytyjskich tajnych służb, oraz pik. Johna H. Bevana - szefa tajnej organizacji London Controlling Section.] Już tylko te fakty wskazywały, że mógł być dobrze zorientowany w zamierzeniach brytyjskiego rządu. Co ważniejsze, w jego rękach były główne nici delikatnej gry, którą prowadził rząd brytyjski, mający nadzieje na przeciągnięcie Turcji na stronę aliantów; musiał więc być informowany o wszystkich najważniejszych decyzjach i zamierzeniach rządu w sprawach europejskich oraz na temat sojuszków ze Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Jeżeli więc kamerdynerowi rzeczywiście udało się dotrzeć do dokumentów ambasadora, to kwota, jakiej żądał, mogła być tego warta.

- Wejdzmy tam - powiedział Moyzisch, wskazując drzwi gabinetu. - Chciałbym poznać tego człowieka. Proszę jednak nie podawać mojego nazwiska ani funkcji.

- Panie Bazna! Nie wracam sam, proszę jednak nie zadawać zbędnych pytań, lecz obdarzyć mojego kolegę takim samym zaufaniem, jakie okazał pan mi - oświadczył Jenke.

Bazna, który wstał z krzesła na widok wchodzących, skinął głową i ponownie usiadł.

- Dzisiaj nie możemy podjąć decyzji - mówił dalej sekretarz. - Kwota, której pan spodziewa się za filmy, jest tak duża, że musimy się zastanowić.

- Ale nie później niż do jutra - przerwał Bazna.

- To zbyt krótki termin - zaprotestował Jenke. - Proszę przyjść trzydziestego o 22.00. Wówczas zakończymy sprawę.

- Wie pan, przychodzenie do niemieckiego poselstwa jest dość ryzykowne. Ktoś mógłby mnie zobaczyć i rozpoznać...

- Możemy się spotkać w warsztacie, w ogrodzie naszej ambasady. Wejdzie pan przez boczną furtkę. Na ulicy jest tak ciemno, że nikt pana nie rozpozna - wtrącił się Moyzisch.

- Dobrze, będę o 22.00 - Bazna wstał i szybko skierował się do wyjścia. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Moyzisch obrócił się w stronę Jenkego.

- I co pan o nim sądzi?

- Prawdę mówiąc, nigdy nie ufałem temu człowiekowi. Gdy był u mnie zatrudniony, nie miałem żadnych podstaw, aby podejrzewać go o współpracę z innym wywiadem, ale czasami odnosiłem wrażenie, że przeszedł przeszkolenie wywiadowcze. Proszę jednak pamiętać, że było to wiele lat temu - powiedział niepewnie Jenke. - Jest człowiekiem, dla którego liczą się tylko pieniądze, ale sądzę, że chętnie będzie je dostawał za działania przeciwko Anglikom. Wielokrotnie demonstrował nienawiść wobec nich. Podobno jego ojciec został zastrzelony przez angielskiego oficera w czasie polowania w Albanii. To był wypadek, ale wywołał nienawiść do Anglików. Bazna powiedział mi kiedyś, że siedział w więzieniu, ale nie za pospolite przestępstwo, lecz za akt polityczny, jakim była kradzież angielskiego sprzętu wojskowego.

- Może to być trudny orzech do zgryzienia, ale i tak decyzja nie należy do nas. Na szczęście ten Bazna chce za dużo. - Moyzisch powiedział to z wyraźną ulgą. - Musimy całą sprawę przedstawić ambasadorowi.

Franz von Papen też wietrzył podstęp wywiadu brytyjskiego, ale uznał, że wszystkie okoliczności należy skrupulatnie sprawdzić. Gdyby oferta Bazny okazała się ważna, Hitler nie wybaczyłby im, że wypuścili z rąk cenne materiały. Jeszcze tego samego wieczoru Moyzisch, na polecenie ambasadora, wysłał do ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa telegram:

Do ministra spraw zagranicznych Rzeszy. Do rąk własnych. Najtajniejsze.

Otrzymaliśmy ofertę od pracownika ambasady brytyjskiej, podającego się za służącego ambasadora. Wykonał fotografie tajnych oryginalnych dokumentów. Za pierwszą dostawę, która ma nastąpić 30 października, żąda 20 tysięcy funtów w banknotach. 15 tysięcy funtów za każdą następną rolkę filmu. Proszę doradzić, czy możemy przyjąć tę ofertę. Jeżeli tak, to żądana kwota musi być dostarczona przez specjalnego kuriera, który musi dotrzeć tutaj nie później niż 30 października. Służący był zatrudniany kilka lat temu przez pierwszego sekretarza [ambasady Niemiec, tj. Alberta Jenkego - BW]. Nic więcej nie wiadomo.

Telegram o tej samej treści otrzymał Walter Schellenberg, szef sekcji wywiadu SD. Nie spodobała mu się ta sprawa, ale uznał, że można zaryzykować 20 tysięcy funtów. Podobnego zdania był Ribbentrop.

Szyfrogram dotarł na biurko jeszcze jednego człowieka - Fritza Kolbego*.(albo Kolpe) Był to asystent ambasadora Karla Rittera, prowadzącego dyplomatyczne sprawy Wehrmachtu i z tej racji rutynowo informowanego o ważniejszych depeuszach z ambasad. Kolbe, antynazista z przekonania, już na początku wojny nawiązał kontakt z wywiadem amerykańskim. Pod pseudonimem George Wood dostarczał Amerykanom najcenniejsze dokumenty niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

27 października do ambasady niemieckiej w Ankarze dotarł szyfrogram z Berlina:

Do ambasadora von Papena. Do rąk własnych. Ścisłe tajne. Oferta brytyjskiego służącego do zaakceptowania przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności. Specjalny kurier przybędzie do Ankary 30. przed południem. Oczekujemy natychmiastowego raportu po przejęciu dokumentów.

30 października, punktualnie godzinie 22.00, Bazna zastukał do drzwi drewnianej przybudówki ambasady. Otworzył mu Moyzisch.

- Zgoda na pańskie warunki - powiedział, wskazując gościowi krzesło pod ścianą z narzędziami. - Czy przyniósł pan filmy?

- Tak. Spodziewałem się, że wyrazi pan zgodę - Bazna wyjął z kieszeni dwie rolki. - Pierwsza za 20 tysięcy, druga za 15 tysięcy funtów...

- To się rozumie, ale najpierw muszę zobaczyć, co zawierają.

Bazna uśmiechnął się.

- Boi się pan, że za takie pieniądze sprzedam zdjęcia tancerek kabaretowych? Nie ma obawy. Proszę sprawdzić...

W ciemni fotograficznej w piwnicy laborant czekał już na filmy. Po kilkadziesiąt minutach wyjął spod powiększalnika zdjęcia dokumentów. Moyzisch rozłożył je na stole pod lampą i za pomocą silnego szkła powiększającego zaczął im się przyglądać. Nie miał czasu na drobiazgową analizę, ale daty zamieszczone na górze sfotografowanych pism wskazywały, że dokumenty są aktualne. Wszystkie opatrzone były nagłówkami: "Ścisłe tajne" lub "Najbardziej tajne". Już pobieżna lektura wskazywała, że dokumenty zawierają wiele ściśle strzeżonych tajemnic rządu brytyjskiego. Zrozumiał wtedy, że cena, jakiej zażądał kamerdyner, nie była wygórowana...

Powrócił do warsztatu, trzymając w ręku plik banknotów, zawinięty w francuską gazetę "La Republique". Bazna nie przeliczył pieniędzy. Schował cały zwitek do wewnętrznej kieszeni marynarki i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Chwileczkę! - zatrzymał go Moyzisch. - Niech mi pan powie, jak pan robił te zdjęcia?

- Ustawiłem aparat na statywie, który sam skonstruowałem, i fotografowałem dokumenty w świetle 100-watowej żarówki.

- Gdzie to było?

- U mnie, w pokoju. Miałem pewność, że mogę tam pracować spokojnie.

- Ryzykował pan, że ktoś może zauważyć brak dokumentów...

- Nie! - zaprzeczył energicznie Bazna. - To wszystko zajęło mi niewiele ponad 3 minuty.

To był pierwszy sygnał wskazujący, że Bazna kłamie. Moyzisch znał plan ambasady brytyjskiej. Wszystkie miejsca, z których Bazna mógł wykraść dokumenty, były odległe od pokoju służącego o mniej więcej 150 metrów. Było więc bardzo mało prawdopodobne, aby w ciągu tak krótkiego czasu zdążył przejść ten dystans bez pośpiechu wzbudzającego podejrzenia domowników, rozłożyć dokumenty, sfotografować je i odnieść na miejsce.

- A co z następnymi filmami? Bierze pan? - zapytał Bazna

- Skontaktujemy się - uciął rozmowę Moyzisch.

Całą noc spędził na analizie zdjęć. Ich wartość wydawała się bezcenna. Nad ranem poszedł do von Papena. Ambasadora też zaskoczyło znaczenie dokumentów sfotografowanych przez Baznę. Wtedy to, podczas porannej rozmowy z Moyzischem, polecił mu prowadzenie dalszych transakcji z nowym agentem, któremu nadał kryptonim "Cycero".

Tego samego dnia kurier zabrał dokumenty do Berlina. Walter Schellenberg patrzył z niedowierzaniem na zdjęcia.

- Zbyt dobre, żeby mogły być prawdziwe - stwierdził. Był przekonany, że ma do czynienia z grą inspirowaną przez wywiad angielski. Postanowił jednak uczestniczyć w tej grze, zwłaszcza że (jak się później okazało) nie kosztowało to wiele.

Jeśli nawet się okaże, że materiał był oszustwem nieprzyjacielskiego Secret Service, to i tak wiedza na ten temat ma określoną wartość. Poznaje się w ten sposób środki, którymi wróg usiłuje wprowadzić w błąd - napisał w pamiętniku Schellenberg.

W Ankarze Moyzisch, na wyraźne polecenie z Berlina, w dalszym ciągu odbierał filmy od Cycera i płacił bajońskie sumy. Poznał już sposób, w jaki Cycero dobierał się do tajnych dokumentów.

Ambasador, który zapewne nie pamiętał o swoich doświadczeniach z Rygi, gdzie Tony wyciągał z jego sejfów w sypialni tajne papiery, w dalszym ciągu zabierał dokumenty do sypialni, aby czytać je przed snem. Bazna powiedział Moyzischowi, że pewnego wieczoru wszedł do sypialni ambasadora, gdy ten był w łazience, i zobaczył klucze od sejfów leżące na stoliku. Odcisnął w mydle i szybko dorobił nowy komplet. Od tej chwili zakradał się do sypialni ambasadora, wyjmował dokumenty, zabierał je do swojego pokoju, fotografował i odnosił z powrotem.

Oczywiście ta operacja - przeprowadzana pod nosem śpiącego ambasadora - była bardzo ryzykowna. Dlatego tak działał tylko w ostateczności. Z reguły wybierał dogodniejsze chwile.

Najbezpieczniejszy czas był wtedy, gdy ambasador wyjeżdżał z domu. Bazna miał wówczas całkowitą swobodę. Nie groził mu niespodziewany powrót Sir Hughe'a, gdyż czarny ambasadorski rolls-royce musiał przejechać pod jego oknami, zanim zatrzymał się przy wejściu. Słyszając warkot motoru, Bazna wiedział, że ma wystarczająco dużo czasu na dojście do sypialni i odłożenie papierów na miejsce.

Równie bezpieczny był czas wieczornych koncertów, gdy ambasador siadał do pianina w saloniku na parterze. Dźwięki muzyki słyhać było w całym domu. Nagła cisza oznaczała, że Sir Hughe za chwilę zamknie instrument, odłoży nuty, dopije filiżankę herbaty i dopiero potem skieruje się na piętro. Trwało to wystarczająco długo, aby kamerdyner mógł odłożyć dokumenty.

Wersja przedstawiona przez Baznę wydawała się bardzo prawdopodobna, ale tylko na pierwszy rzut oka... Moyzisch zorientował się, że Bazna dość słabo zna angielski. Jak więc mógł ocenić zawartość dokumentów? Roilo się w nich od dyplomatycznych zwrotów, skrótów i określeń, których nie potrafiliby zrozumieć człowiek nie znający się na polityce, nawet posługując się słownikiem. Trudno, jednak było sobie wyobrazić, że po wykradzeniu papierów Bazna przeglądał je w swoim pokoju, zerkając co chwila do słownika. Jak więc wybierał materiały, które mogły być najbardziej interesujące dla Niemców? Klatki filmu wskazywały, że nie fotografował wszystkich papierów, które wpadły mu w ręce, lecz dokonywał selekcji. Jak więc, działając w ogromnym pośpiechu, mógł wybierać te najbardziej wartościowe, skoro nie miał żadnego doświadczenia dyplomatycznego?

Następne tygodnie przyniosły dalsze odkrycia bardzo niepokojące Moyzischa.

Na jednym ze zdjęć widać było wyraźnie dwa palce. Bazna nie mógł tego zauważyć w wizjerze aparatu ze względu na inne pole widzenia celownika i obiektywu; widać to było dopiero na odbitce. Moyzisch bez trudu rozpoznał, czyje to palce, gdyż widoczny był fragment sygnetu z rubinowym oczkiem, który kamerdyner nosił na środkowym palcu. Było to niemożliwe, aby szpieg naciskał spust migawki aparatu jedną ręką, drugą podtrzymując papiery, gdyż odległość między obiektywem a fotografowanymi dokumentami była zbyt duża. Moyzisch natychmiast zaalarmował Berlin i do Ankary przysłano eksperta od fotografii.

Ten przeanalizował wszystkie odbitki. Ustalił, że zdjęcia robione były aparatem o dobrym obiektywie z odległości około 1,2 metra, przy użyciu silnych lamp fotograficznych. Ostrość odbitek wskazywała, że aparat umieszczony był na solidnym statywie, a fotograf działał bez pośpiechu. Przed każdym naciśnięciem migawki robił krótką przerwę, w czasie której korygował ostrość.

Moyzisch postanowił wyjaśnić sprawę do końca. Wezwał Baznę do swojego gabinetu, w którym za kotarą ukrył się berliński ekspert.

- Wiem, że w tej dziedzinie trudno mówić o jakichkolwiek planach, ale przebieg wydarzeń międzynarodowych zmusza mnie do zadania pytania o przyszłość... - zaczął dość okrężnie Moyzisch.

- Chodzi panu o to, kiedy dostarczę następne zdjęcia? - Bazna wyraźnie nie rozumiał rozmówcy.
- To nie zależy ode mnie...

- Nie! Chodzi mi o to, czy ambasador lub ktoś z jego otoczenia nie zorientował się, że pan

wynosi dokumenty z sejfu.

- O to może się pan nie martwić. Z całą pewnością nie! - odrzekł Cycero.

- Nie chce pan skorzystać z naszej pomocy?

- Niby w jakiej sprawie?

- Techniki wydobywania dokumentów i fotografowania. Musi pan uznać, że w wywiadzie niemieckim mamy lepszych specjalistów niż pan.

- O, na pewno. Ja jestem tylko amatorem - skwapliwie zgodził się Bazna. - Chętnie wysłucham wszystkich rad.

- Niech mi pan powie, w jaki sposób robi pan zdjęcia?

- Już mówiłem: w moim pokoju ustawiam aparat na zrobionym przeze mnie statywie, oświetlam lampą 100-watową i pstrykam leicą. Czy są jakieś zastrzeżenia do ostrości? - zaniepokoił się Bazna.

- Nie, nie. Na razie wszystko w porządku. Czy używa pan centymetra do mierzenia odległości między obiektywem a kartką? - Moyzisch zaczął zadawać wiele bardzo szczegółowych pytań, pamiętając o ukrytym za kotarą ekspercie. Bazna skrupulatnie, bez wahania, wszystko wyjaśnił.

- Jest cień szansy na to, że ten człowiek pracuje samotnie - orzekł ekspert, gdy Bazna opuścił gabinet. - Ale jest to szansa jedna na tysiąc.

- Jeżeli miałby pan kategorycznie stwierdzić, czy ten człowiek sam robi zdjęcia, czy też korzysta z czyjejś pomocy, jaka byłaby pana opinia? - Moyzisch chciał usłyszeć jednoznaczną ocenę.

- Nie działa sam! - oświadczył stanowczo ekspert.

Moyzisch nie mógł już mieć wątpliwości. Bazna był agentem angielskim lub pracował pod nadzorem agentów, ale dokumenty, które dostarczał, były ponad wszelką wątpliwość autentyczne! Chociażby dlatego warto było poznać ich treść, jeżeli nawet selekcjonował je wywiad angielski.

Z punktu widzenia wywiadu niemieckiego miały jeszcze jedną ogromną zaletę: część z nich docierała do ambasady w Ankarze przez kurierów, część - drogą radiową. Te radiogramy znaczyły bardzo wiele: pozwalały złamać brytyjski szyfr dyplomatyczny. Być może tylko z tego względu SD zdecydowało się skorzystać z usług Cycera, choć nikt nie miał już wątpliwości, że pracuje on pod nadzorem wywiadu brytyjskiego.

Moyzisch nie zwrócił jednak uwagi na wiele innych okoliczności; nie zastanawiał się, dlaczego ambasador, który objął placówkę w Turcji w 1939 r., nagle w 1943 r. zaangażował nowego kamerdynera... Jeżeli nawet Sir Hughe okazał się tak nieostrożny i naiwny, to w ambasadzie był człowiek, przed którym Cycero nie mógłby długo ukryć swojej działalności.

Co Wiedział Pułkownik Chidson

Za bezpieczeństwo brytyjskiego poselstwa w Ankarze odpowiadał pułkownik Montague Reaney Chidson. Trudno sobie wyobrazić lepszego fachowca. Był jednym z najbardziej doświadczonych oficerów kontrywiadu, w którym pracował od końca I wojny światowej. Jego kariera składała się ze sromotnych klęsk i niezwykłych sukcesów.

W 1937 r. wysłano go do Hagi, gdzie jako urzędnik paszportowy miał śledzić migrację młodych Żydów z Polski i Niemiec do Palestyny. Był to czas, gdy rząd brytyjski sprzeciwiał się rozbudowywaniu kolonii żydowskiej na Ziemi Obiecanej i liczył, że nowy "urzędnik paszportowy" odniesie sukcesy w zwalczaniu nielegalnej migracji. Jednakże po kilku miesiącach zwierzchnik Chidsona uznał, że całkowicie nie nadaje się on do tego zadania, gdyż jest zbyt pedantyczny i oczekuje "100% sukcesu, gdy w tej robocie 40% to już dużo".

Majorowi Chidsonowi zlecono więc inne zadanie, ale pozostawiono go w Hadze, ze względu na biegłą znajomość języka i żonę Holenderkę, dzięki której doskonale wrósł w tamtejsze środowisko. Wkrótce odniósł wielki sukces.

W 1940 r. wsławił się brawurową akcją. Do jego zadań należała wówczas penetracja rynku brylantów w Amsterdamie. Gdy Niemcy wkroczyli do miasta, Chidson (już w stopniu pułkownika) postanowił wykraść cały zapas holenderskich diamentów przemysłowych. Przez 24 godziny manipulował przy zamkach sejfu, zanim udało mu się pokonać zabezpieczenia i otworzyć drzwi. Pakował diamenty do worka, słysząc dochodzące z parteru głosy żołnierzy niemieckich zajmujących budynek. W ostatniej chwili przedostał się na strych i unosząc pakunek niezwyklej wartości, przemknął się dachami do bezpiecznego miejsca.

Innym wyczynem dzielnego pułkownika było zorganizowanie przerzutu do Anglii królowej Wilhelminy, księcia Bernharda i członków rządu holenderskiego.

Tak więc jego droga życiowa wskazywała, że jest człowiekiem odważnym, drobiazgowym, a nade wszystko doświadczonym pracownikiem wywiadu i kontrwywiadu.

W Ankarze pułkownik Chidson zajął się ochroną tajemnic ambasady. Przed wyjazdem z Londynu otrzymał szczegółowe instrukcje, z których wynikało, że nowa praca będzie szczególnie trudna - ze względu na charakter miasta i politykę Wielkiej Brytanii wobec Turcji.

Bazna nie mógł ujść jego uwagi. Jak pies wyczuwa trop zająca, tak doświadczony pracownik kontrwywiadu dostrzega fałsz w człowieku ukrywającym zdradę. Chidson, który początkowo podejrzliwie przyglądał się kamerdynerowi tylko dlatego, że "coś mu się nie podobało", szybko odkrył kartę życiorysu kamerdynera, którą starał się on zataić. Ustalił, że przed wojną Bazna został zwerbowany przez wywiad włoski SIM i przeszedł bardzo staranne przeszkolenie. Włosi zwracali szczególną uwagę na przygotowanie techniczne swoich agentów: umiejętność dorabiania kluczy, posługiwania się wytrychami i otwierania najtrudniejszych zamknięć. To wyjaśniałoby łatwość, z jaką Bazna radził sobie z zamkami sejfu ambasadora.

Chidson, czuwający nad bezpieczeństwem ambasady, mógł być pierwszym, który przyłapał Baznę w czasie wykradania lub fotografowania tajnych dokumentów. Nie był wszakże jedynym, który odkrył zdradę.

Anglicy dowiedzieli się o istnieniu Cycera w półtora miesiąca po pierwszej transakcji, którą zawarł z Moyzischem, a więc w połowie grudnia 1943 r. Wówczas to do Szwajcarii przybył Fritz Kolbe, asystent ambasadora Rittera, który jako jeden z pierwszych otrzymał telegram von Papena, informujący o kamerdynerze gotowym przekazywać niemieckiemu wywiadowi tajemnice ambasady brytyjskiej. Kolbe był jednym z najcenniejszych agentów amerykańskich. Allan Dulles tak go ocenił:

Nasze najlepsze źródło wywiadowcze w Niemczech pojawiło się w lecie 1943 r. w osobie dyplomaty mającego dostęp do materiałów, o jakich może śnić oficer wywiadu. George Wood (taki nosił pseudonim) był nie tylko naszym najlepszym źródłem w Niemczech, ale bez wątpienia jednym z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

Kolbego bardzo często wysyłano w kurierskich misjach do Bema, co ułatwiało mu kontakty z Amerykanami. Gdy okoliczności nie pozwalały mu na spotkanie z Dullesem, wykorzystywał innego antynazistę, doktora Hansa Giseviusa, pracownika szwajcarskiego oddziału Abwehry, znanego Amerykanom pod pseudonimem "Doktor Bernd". Działał on, podobnie jak Kolbe, na polecenie antyhitlerowskiej organizacji spiskowej "Schwarze Kapelle", której współzałożycielem był szef wywiadu wojskowego admirał Wilhelm Canaris.

Tego dnia Kolbe mógł osobiście wypełnić misję. Gdy tylko oddał służbowe dokumenty i trafił do przygotowanego dla niego pokoju na ostatnim piętrze poselstwa niemieckiego, otworzył walizkę i podważył ostrzem scyzoryka jeden z zamków. Z cichym trzaskiem odskoczyła boczna ścianka walizki, gdzie pod materiałem obicia schowana była niewielka szara koperta. Wydobył ją i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Z kieszeni płaszcza wyjął gazety, które kupił na dworcu. Starannie zaczął wertować kolumny ogłoszeń. Znalazł dość szybko przeznaczoną dla niego wiadomość: "Mój Ch.14. To już tak długo, ale ciągle czekam - GW". Uśmiechnął się. "Ch.14" oznaczało, że tego dnia wysłannik Allana Dullesa - szefa amerykańskiego biura OSS, będzie oczekiwał na kontakt w kościele na Bubenberg Platz przez dwie godziny, poczynając od 14.00. "GW" to inicjały jego pseudonimu "George Wood" i zamieszczono je, aby upewnić Kolbego, że wszystko jest w porządku. Takie ogłoszenia Dulles zamieszczał każdego dnia w miejscowej prasie, wskazując za każdym razem inne z czterech wcześniej ustalonych miejsc.

Kolbe złożył gazetę i skierował się do wyjścia.

- Nazywam się Kolbe - powiedział portierowi. - Wychodzę trochę pospacerować, bo nogi mi zdrętwiały w czasie podróży, a potem pójdę coś zjeść. Gdyby ktoś o mnie pytał, proszę powiedzieć, że wrócę za godzinę.

Portier skinął głową na znak, że zapamiętał polecenie.

Przed ambasadą Kolbe rozejrzał się bacznie, ale nie zauważył nic podejrzanego. Krążył przez kilkanaście minut po ulicach, przyglądając się ludziom, domom i wystawom. Każdy, kto śledziłby go, musiałby dojść do wniosku, że rzeczywiście, zmęczony podróżą, postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Skierował się w stronę mostu Nydeggbucke, z którego rozciągał się widok na Berno. Stał tam chwilę i ruszył w stronę kościoła.

Dochodziła 14.30, gdy dotarł na miejsce. Kilka osób siedziało w ławkach, oczekując na nabożeństwo. Usiadł tuż przy drzwiach. Po chwili usłyszał skrzypnięcie ławki z tyłu. Nie odwracał się jednak.

- Szef dziękuje za ostatnie przesyłki. Zrobiły duże wrażenie. - Kobieta za jego plecami mówiła szeptem, co mogło uchodzić za cichą modlitwę. W czasie poprzedniego spotkania Kolbe dostarczył mikrofilmy z raportami na temat wyników nalotów brytyjskich i amerykańskich. - Czy ma pan coś dzisiaj?

Kolbe pochylił głowę. Niemal niedostrzegalnie wysunął z kieszeni kopertę i położył ją na ławce.

- Widzę - stwierdziła nieznajoma. - Czy jakieś życzenia...? Kolbe pokręcił przecząco głową.

- Następne spotkanie w sklepie z pamiątkami na Aegertenstrasse przy Alpines Museum; litery "AM". Ogłoszenie o sprzedaży zabytkowej figury - informowała kobieta.

Oznaczało to, że w kościele nie będą się już spotykać; aktualne pozostawały trzy wcześniej ustalone miejsca kontaktów i to nowe, w sklepie. Podczas następnego pobytu w Bernie miał odnaleźć ogłoszenie o sprzedaży figury, a litery na końcu wskazywałyby miejsce, w którym oczekiwać będzie łącznik.

Kolbe wstał i niespiesznie ruszył w stronę wyjścia. Kątem oka zauważył, że kobieta również podniosła się, zsunęła kopertę i poszła w stronę ołtarza. W kopercie - która kilkadziesiąt minut później znalazła się na biurku szefa amerykańskiej placówki OSS, Allana Dullesa - były kopie trzech telegramów wysłanych z Ankarę przez von Papena. Wszystkie dotyczyły działalności Cycera.

Dulles przez kilka godzin rozważał, co dalej ma począć z takim materiałem. Uznał wreszcie, że wywiad amerykański nie powinien zajmować się tą sprawą i postanowił powiadomić Brytyjczyków. Skontaktował się z przedstawicielem wywiadu brytyjskiego, księciem Vandenem Huyvelem, proponując natychmiastową rozmowę.

Spotkali się w kawiarni w budynku ratusza w małej szwajcarskiej miejscinie Bollingen.

- Dziękuję, że przybył pan tak szybko - powiedział Dulles, gdy tylko Brytyjczyk usiadł przy stoliku.

- Domyśliłem się, że sprawa musi być poważna. Czy tutaj możemy rozmawiać swobodnie? - Huyvel rozejrzał się po sali pustej o tej porze dnia. Jedyne przy stoliku blisko wejścia siedział krępy mężczyzna w ciemnym garniturze w paski.

- To człowiek z mojej ochrony - wyjaśnił Dulles. - Drugi pozostał w samochodzie.

- Ach tak, nie przypuszczałem - powiedział Huyvel, co było wyraźną grzecznością z jego strony, gdyż krępego mężczyzny o wyglądzie chicagowskiego gangstera nie można było wziąć ani za mieszkańca wioski, ani za niemieckiego agenta.

- Właściciel kawiarni jest zaprzyjaźniony z nami i da znać, jeśli ktoś podejrzany pojawi się w okolicy, co oczywiście jest mało prawdopodobne, gdyż ci z Abwehry i SD uważają, że Szwajcaria kończy się na Genewie i Bernie. - Dulles wydawał się nie wyczuwać ironii w głosie rozmówcy.

- O co więc chodzi? - Anglik położył kapelusz i laseczkę na krześle i skinął na kelnera, prosząc o herbatę.

- W tej gazecie... - Dulles zerknął wzrokiem na gazetę, którą wcześniej położył na stoliku - znajdzie pan kopie telegramów przesłanych do Berlina przez ambasadora niemieckiego w Turcji. Wszystkie mówią o działalności niemieckiego agenta w waszej ambasadzie. Londyn musi się dowiedzieć o tym jak najszybciej!

- To całkowicie zrozumiałe - pokiwał głową Huyvel.

- Przeciek w tak czułym punkcie jak brytyjska ambasada w Ankarze może naruszyć bezpieczeństwo naszych spraw w wielu innych miejscach - mówił Dulles.

Huyvel przytakiwał skwapliwie. Wziął ze stolika gazetę i schował ją do kieszeni. Nie zamierzał zwlekać z wysłaniem do Londynu wiadomości otrzymanej od Amerykanina. Doskonale rozumiał, jak wielkim niebezpieczeństwem może być działalność niemieckiego szpiega w ambasadzie, do której przesyłano najtajniejsze informacje.

Dulles przekazał mu depezę z 27 października, a więc pierwszą, jaką wysłano z Ankary do Berlina, oraz kolejne, wysłane 3 i 4 listopada, informujące o przebiegu transakcji i wartości materiałów dostarczonych przez Baznę. W każdej z nich znajdowało się wystarczająco dużo informacji, by zidentyfikować Cycera. Wielkie było więc zaskoczenie Dullesa, gdy po trzech dniach Huyvel zjawił się w jego berneńskim biurze.

- Chciałem podziękować panu w imieniu moich szefów, którzy bardzo cenią współpracę naszych wywiadów - mówił wyraźnie zmieszany Brytyjczyk.

- Nie po to chyba pan tu przyszedł? - z uśmiechem zapytał Dulles.

- Nie, oczywiście, że nie. Londyn prosił mnie o przekazanie, że działalność agenta o pseudonimie "Cycero" jest znana, a sytuacja całkowicie kontrolowana.

Dulles patrzył z niedowierzaniem, ale milczał.

- Moi szefowie proszą, by wywiad amerykański nie podejmował żadnych akcji w związku z tą sprawą - kontynuował Huyvel. - Jak pan doskonale rozumie, mogłoby to skomplikować nasze działania. Krótko mówiąc, moi szefowie uważają, że byłoby najlepiej, gdyby pan zapomniał o

wszystkim.

- To wasza sprawa - stwierdził oschle Dulles. - I mnie nic do tego. Już o niej zapomniałem. A co ciekawego w Londynie?

Dulles całą sytuację tak przedstawił w swoim pamiętniku:

Natychmiast przekazałem ostrzeżenie moim brytyjskim kolegom i kilku brytyjskich specjalistów do spraw bezpieczeństwa wyruszyło do ambasady w Ankarze, gdzie zmienili sejfy i kombinacje zamknięć. W ten sposób uniemożliwili działalność Cycera. Ani Niemcy, ani nawet Cycero nie wiedzieli, co kryło się za wizytą specjalistów, która wydawała się rutynowa i normalna. W ten sposób ograbienie przez naszego agenta sejfów Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie zakończyło ograbianie sejfu brytyjskiego ambasadora przez niemieckiego agenta w Turcji.

Te słowa wskazują wyraźnie, że Dulles nie znał dalszego przebiegu akcji, gdyż Cycero działał jeszcze przez wiele miesięcy, mimo ostrzeżenia, które przekazał brytyjskiemu wywiadowi. Czy oznaczało to, że Dullesa wprowadzono w błąd?

Czy Brytyjczycy mogli wcześniej, zanim poinformował ich o tym Dulles, wiedzieć o istnieniu "Cycera"? Tak, i to co najmniej z dwóch źródeł.

W czerwcu 1943 roku pracownik Abwehry w Istambule, doktor Erich Vermehren spotkał się z Dusko Popowem - "Tricycle" - wysłannikiem brytyjskiej organizacji XX-Committee, zajmującej się kierowaniem działalnością niemieckich szpiegów, którzy z własnej woli lub pod przymusem zgodzili się pracować dla Brytyjczyków. Vermehren zdecydował się nawiązać współpracę z wywiadem brytyjskim nie dla pieniędzy. Na tym mu nie zależało: był majątnym człowiekiem, a jego żoną była księżna Elisabeth von Plettenberg. On chciał walczyć z nazizmem, którego nienawidził. Od wielu lat należał do tajnej organizacji antyhitlerowskiej "Schwarze Kapelle".

We wrześniu 1943 r. w Berlinie odbyło się towarzyskie spotkanie w domu pani Hanny Wolf, wdowy po doktorze Wilhelmie Wolfie, b. ministrze ds. kolonii w rządzie cesarskim. Wśród gości, którzy uczestniczyli zwykle w takich przyjęciach, był m.in Ludwig Gehre z Abwehry, Otto Kiep, były konsul generalny w Nowym Jorku i bliski przyjaciel doktor Vermehrena, z którym snuł plany obalenia Hitlera, hrabia Helmuth von Moltke, wysoki oficer Oberkommando der Wehrmacht i nowy gość - doktor Joachim Reckzeh, lekarz ze słynnej kliniki profesora Maxa de Crinisa. Nikt nie podejrzewał, że został on przysłany przez Służbę Bezpieczeństwa, która odkryła, że towarzyskie spotkania u pani Wolf są w istocie posiedzeniami grupy spiskowców.

Lekarz zdołał zdobyć zaufanie zebranych i został dopuszczony do największych nawet tajemnic: planów zamachu na Hitlera. Wkrótce gestapo aresztowało nieudolnych spiskowców. Wieść o zatrzymaniu pracownika Abwehry, Ottona Kiepa, szybko dotarła do Istambułu. Vermehren, znając metody gestapo, obawiał się, że szybko wydobędą tam z Kiepa nazwiska współpracowników, i zdecydował się uciekać. Zwrócił się do MI-6 o ochronę i na początku 1944 r., razem z żoną, został przetrzucony do Kairu, a stamtąd do Londynu.

Brytyjska propaganda nadała całej sprawie tak wielki rozgłos, że zainteresował się nią Hitler, który wysłał do Istambułu śledczego z poleceniem wyjaśnienia wszelkich okoliczności działalności i ucieczki Vermehrena. 20 lutego 1944 r. otrzymał raport, z którego wynikało, że uciekinier znał najważniejsze sekrety niemieckich służb wywiadowczych na terenie Turcji. Musiał więc wiedzieć sporo o agencji Cycero i bynajmniej nie zwlekał z powiadomieniem Brytyjczyków do momentu, aż znajdzie się w Londynie. Już na początku grudnia 1943 r. matka Vermehrena spotkała się, na jego prośbę, w Lizbonie z Tricycle 'em i przekazała informację o Cycerze. Tricycle natychmiast powiadomił swoich szefów w Londynie.

W tym samym czasie w biurze Ludwiga Moyzyscha w Ankarze podjęła pracę nowa sekretarka. Kobieta, która dotychczas pełniła tę funkcję, obcięła sobie palce zamykając ciężkie drzwi kasy pancерnej w gabinecie szefa i została odesłana do Berlina.

Nowa pracownica - Cornelia Kapp - miała doskonale referencje: była córką niemieckiego dyplomaty z ambasady w Sofii. Nikt nie wiedział, że poznała tam młodego oficera z amerykańskiej misji. Zakochała się jednak i zdradzała mu sekrety, o których mówił ojciec. W marcu 1941 r., gdy Bułgaria przystąpiła do wojny po stronie Niemiec, Amerykanie zamknęli misję, a personel odesłali do Ankary. Kochanek Cornelii Kapp przyjechał do Turcji jako asystent attache wojskowego. Dziwnym zrzędzeniem losu, wkrótce dotarła tam i Cornelia. Zapewne nie był to przypadek, lecz wynik działania wywiadu amerykańskiego. Faktem jest, że podróż z Sofii do Ankary Cornelia odbyła pod opieką Ewarta Seagera, agenta OSS.

Gdy podjęła pracę w biurze Moyzyscha, przez jej ręce zaczęły przechodzić tajne dokumenty SD. Przepuszczalnie nie miała wglądu we wszystkie, ale najwięcej dowiadywała się z depeesz, które pisała pod dyktando szefa. Wkrótce uzyskała dodatkowe źródło informacji - Moyzisch nakazał jej sortowanie poczty dyplomatycznej.

Po wojnie, będąc już żoną ukochanego oficera amerykańskiego, Cornelia stwierdziła:

Moim zadaniem w ambasadzie było otwieranie poczty, przywożonej każdego wieczoru przez kuriera z Berlina. Miałam wystarczająco dużo czasu, aby skopiować dokumenty, z których jasno wynikało, że Cycero działa w ambasadzie brytyjskiej. Przekazywałam kopie dokumentów Amerykanom. (...) Moim zadaniem było również ustalenie tożsamości Cycera.

Cornelia Kapp nigdy nie przyznała się, czy ustaliła, kim był Cycero. Być może nie udało jej się to, gdyż poza pierwszymi depeeszami do Berlina, w których wyraźnie podawano, kim jest nowy agent, nigdy nie ujawniono jego tożsamości.

Swe spostrzeżenia Cornelia przekazywała miejscowemu agentowi OSS. Bez wątplenia szefowie tej organizacji ostrzegali Brytyjczyków o niebezpieczeństwie, chociażby w czasie posiedzeń Ankara Committee, anglo-amerykańskiego komitetu koordynującego działania wywiadowcze, kontrwywiadowcze, polityczne i sabotażowe na terenie Turcji.

Może Bazna w przeszłości za niewielkie pieniądze oddawał drobne usługi różnym wywiadam,

może dał się zwerbować Włochom i po pobieżnym przeszkoleniu dostarczał im pewnych informacji? Nie ma jednak wątpliwości, że Bazna nie był niemieckim szpiegiem. Nie był również szpiegiem brytyjskim, gdyż wywiad nie zatrudniałby własnego agenta w swej ambasadzie. Musiał więc wykorzystać okazję, jaką były pozostawione bez dozoru - w sypialni ambasadora - tajne dokumenty lub klucze do sejfu. Zrobił zdjęcia i zaniósł odbitki tam, gdzie spodziewał się otrzymać za nie duże pieniądze.

Kwota 35 tysięcy funtów, którą otrzymał od Moyzyscha za pierwsze dwie rolki, oszołomiła go. Uznał, że dostarczając następne filmy, zarobi krocie i zwinie działalność, zanim kontrwywiad brytyjski wpadnie na jego trop. Rachuby zawiodły go jednak. Pułkownik Chidson szybko odkrył działalność Cycera, ale nie podjął żadnych kroków w celu unieszkodliwienia go. Poinformował Londyn, a członkowie London Controlling Section postanowili wykorzystać okazję i włączyli Cycera do wielkiego planu "Jael". Odtąd pracował już pod dyktando Chidsona lub agenta przysłanego specjalnie z Londynu. On to selekcjonował autentyczne dokumenty napływające do ambasady i pomagał je fotografować. Anglicy zdawali sobie sprawę, że pewnej granicy w tej grze nie wolno im przekroczyć: autentyczności dokumentów. Gdyby Niemcy spostrzegli, że Cycero dostarcza im spreparowane dokumenty, natychmiast zakończyliby grę, po której Anglicy musieli sobie obiecywać wiele, skoro skłonni byli ją prowadzić, nie zważając na ogromne koszty. Stawką było bezpieczeństwo szyfrów ambasady, które autorzy wielkiej akcji "Cycero" zdecydowali się oddać w niemieckie ręce.

Najcenniejsze Odkrycie

Pierwsze dni listopada były w Berlinie wyjątkowo zimne. Zacinał deszcz i drobny nieprzyjemny śnieg. Miasto - jeszcze niedawno pięknie oświetlone, bogate w zdobyczne dobra - stawało się coraz bardziej ponure, a mieszkańcy dotkliwie odczuwali skutki wojny. Gdy nadchodził zmierzch, latarnie gasły, a patrole policyjne starannie pilnowały, aby z żadnego okna nie przedostawało się światło, które mogłoby ułatwiać orientację załogom alianckich bombowców, pojawiających się coraz częściej nad stolicą Rzeszy.

Nieco lżejsza atmosfera panowała na przedmieściach, gdzie - wśród ogrodów i jednorodzinnych domów - nie odczuwało się złowrogiej pustki, a rygory zaciemnienia nie były tak surowo przestrzegane.

Mimo później pory w budynku przy ulicy ImDol na berlińskim przedmieściu Dahlem trwała praca, o czym świadczyła struga jasnego światła, przedzierająca się chwilami przez tkaninę zasłony. Ktoś otwierał i zamykał okno, zapewne w celu przewietrzenia pomieszczeń.

W domu tym pracowało kilkunastu kryptologów z organizacji nazwanej "Pers Z". Powstała w 1919 r. pod nazwą Referat I Z Departamentu Kadr i Budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pierwszym i jedynym do końca wojny szefem był Kurt Selchow, który w czasie I wojny światowej pracował w wywiadzie. W 1936 r. zmieniono nazwę na "Pers Z", co łączyło się z reorganizacją w ministerstwie, w wyniku której wydział kryptologiczny włączono do Departamentu Kadr i Administracji. Nazwa pochodziła od pierwszego członu nazwy departamentu (PERSonnel), do którego dodano literę "Z", co nie miało żadnego znaczenia, a jedynie ładne brzmienie, pasujące do tajnej służby.

W 1939 r. kadrę "Pers Z" podzielono na dwie grupy: pierwsza - kierowana przez wybitnego matematyka - doktora Wernera Kunzego - zajęła się badaniem szyfrów, druga - prowadzona przez Rudolfa Schaufflera i Adolfa Paschkego - problemami kodów i lingwistycznymi. Szefowie mieli ogromne doświadczenie w tej pracy, a Kunze był wręcz mistrzem w swoim fachu.

Wstąpił do służby kryptologicznej w styczniu 1918 r. i w ciągu kilku miesięcy udało mu się złamać jeden z brytyjskich szyfrów. W 1921 r. przystąpił do zmagania z francuskim kodem dyplomatycznym i rozpracował go po dwóch latach. Największy sukces odniósł w lipcu 1936 r., gdy po trzech miesiącach tytanicznej pracy złamał japoński szyfr pomarańczowy powstający w maszynie nazwanej czerwoną. Nie udało mu się jednak rozpracować, później wprowadzonego, japońskiego szyfru purpurowego, czego dokonali kryptolodzy amerykańscy.

Paschke miał również duże doświadczenie. Urodzony w St. Petersburgu w 1915 r., został zatrudniony w wywiadzie ze względu na znakomitą znajomość języka rosyjskiego. Później specjalizował się w rozpracowywaniu kodów rosyjskich, włoskich i brytyjskich.

Schauffler rozpoczął karierę w 1916 r., a po wojnie - ze względu na znajomość języków wschodnich - specjalizował się w łamaniu tajemnic japońskich.

W 1933 r., gdy Hitler doszedł do władzy, w "Pers Z" pracowało 30 osób. Powoli szeregi oddziału rosły, aż stare pomieszczenia - na ostatnim piętrze budynku biblioteki na tyłach Ministerstwa Spraw Zagranicznych na Wilhelmstrasse - okazały się za ciasne. W 1940 r., gdy kadra liczyła ponad 200 osób, podzielono ją na grupy i przeniesiono w różne miejsca. Na jedną z siedzib wybrano przestronną willę w Daniem. Tam trafiał materiał dla kryptologów: depesze wojskowe i dyplomatyczne, przechwycone przez niemieckie stacje nasłuchu radiowego lub Deutsche Reichspost*.[* W Deutsche Reichspost istniał oddział zajmujący się nasłuchiowaniem alianckiej łączności telefonicznej i telegraficznej. Jego największym sukcesem było podsłuchiwanie i odkodowanie od marca 1942 r. radiowej łączności premiera Churchilla i prezydenta Roosevelta.]

Był to początek bardzo żmudnej pracy wymagającej absolutnej koncentracji i niezwyklej energii. Ważną pomocą dla kryptologów były materiały zbierane przez zespół kobiet, kierowanych przez pastora Joachima Ziegenriickera. Czytały alianckie gazety, broszury, książki, słuchały audycji radiowych. Musiały jak najwięcej wiedzieć o tym, co działo się w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych i umiejętnie kojarzyć wszystkie informacje. Podobno często zdarzały się sytuacje, gdy któryś z kryptologów, pracując nad zaszyfrowanym tekstem, zgłaszał się z pytaniem: "Kto o nazwisku zaczynającym się na »W« rozmawiał z kimś o nazwisku kończącym się na »N« w miejscu, w którego nazwie jest »PO«, w ostatni czwartek?". Odpowiedź mogła znajdować się w artykule angielskiej gazety, a kryptolog, otrzymawszy brakujące litery nazwiska zaczynającego się na "W", mógł poczynić znaczne postępy w pracy nad szyfrem.

Odczytane materiały wędrowały na biurko szefa grupy, a od niego do szefa "Pers Z". Kurt Selchow odsyłał je z kolei do ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa, który decydował, czy należy przekazać je Hitlerowi. W późniejszych latach wojny coraz mniej rozszyfrowanych depeesz odsyłał na biurko wodza, gdyż wiedział doskonale, że fuhrer nie lubi złych wiadomości i nie wierzy w nie.

Na początku listopada 1943 r. kryptolodzy z "Pers Z" otrzymali zdjęcia z Ankary od szefa Sicherheitsdienstu Waltera Schellenberga. Przez kilka dni ociągał się z przekazaniem tych materiałów organizacji, która bezpośrednio mu nie podlegała. Sicherheitsdienst utworzyło bowiem własną służbę kryptologiczną. Początkowo głównym celem jej działania było rozpracowywanie opozycji, a nawet obywateli o nieco odmiennych poglądach politycznych. Na przykład w czasie wyborów pisano za pomocą mleka (prostego, ale skutecznego atramentu sympatycznego) cyfry na odwrocie kart do głosowania. Obywatel, który otrzymywał od komisji wyborczej tak naznaczoną kartę, nie wiedział, że na liście przy jego nazwisku pojawiał się taki sam numer. Gdy odważył się napisać coś obraźliwego pod adresem fuhrera lub nazizmu, można było znaleźć go bez trudu. W 1936 r. SD poszerzyła działalność o sprawy międzynarodowe, a tuż po Anschlussie Austrii w ręce Schellenberga dostały się tajne dokumenty wywiadu tego państwa. Wynikało z nich, że generał Andreas Figi, szef Deciffrierdienst, miał bardzo duże osiągnięcia w pracy kryptologicznej. Bezwzględnie zwolniono go z gestapo - dokąd trafił objęty falą terroru, który ogarnął Austrię po wkroczeniu wojsk niemieckich - i nakazano przystąpić do zorganizowania służby kryptologicznej SD. Nigdy jednak ta organizacja nie odniosła większych sukcesów. Co prawda w 1940 r. potrafiła odczytywać część jugosłowiańskich, tureckich, portugalskich i brazylijskich kodów, ale tylko dlatego, że zakupiła je za 28 tysięcy koron szwedzkich (tj ok. 80 tysięcy dolarów) od Yamato Ominaty, szefa japońskiego wywiadu w Europie. Była to całkowicie zbędna transakcja, gdyż "Pers

Z” już wcześniej kody te złamał.

Schellenberg, który został szefem wywiadu zagranicznego RSHA, wybrał się do marszałka Hermanna Goringa, aby uzyskać zgodę na przyłączenie Forschungsamtu - służby wywiadowczej Luftwaffe. Od pewnego czasu między organizacjami tymi istniała jakaś forma współpracy, głównie ze względu na księcia Christopha of Hesse, szefa Forschungsamtu, będącego członkiem SS, ale nie oznaczało to, że Goring zgodziłby się na wypuszczenie z ręki podległej sobie organizacji wywiadowczej.

Marszałek Rzeszy przyjął Schellenberga w swoim pięknym domu Karinhall, ubrany w rzymską togę, z grubymi złotymi sygnetami na palcach i w sandałach wyszywanych cekinami. Uprzejmie wysłuchał argumentów i powiedział tylko: “Porozmawiam o tym z Himmlerem”.

Nigdy do obiecaney rozmowy nie doszło. SD musiało więc poskromić swoje apetyty i w dalszym ciągu polegać na własnych kryptologach, a ponieważ niewiele im się udawało, Schellenberg odsyłał najważniejsze sprawy do fachowców z “Pers Z”.

W nocy z 4 na 5 listopada w willi w Dahlem przystąpiono do pracy nad dokumentami z Ankary. Do tego czasu wiele dni kryptolodzy spędzili nad brytyjskim kodem dyplomatycznym; depeche dostarczane przez nasłuch radiowy nie dawały się jednak odczytać. Fachowcy zorientowali się wkrótce, że są one podwójnie utajniane; tekst depechy był kodowany, a później szyfrowany. Brytyjczycy stosowali również szyfry jednorazowe, a więc nawet po złamaniu ich próba dobrania się do kodu nic nie dawała, gdyż następna depecha miała już inny szyfr. Szafy pancerne w piwnicach willi były zapełnione równo ułożonymi stosami kartek, a codziennie przybywały nowe, zapisane kolumnami cyfr brytyjskiego szyfru dyplomatycznego.

Gdy specjalny wysłaniec z Berlina dostarczył zdjęcia dokumentów z sejfu ambasadora brytyjskiego, wystarczyło odnaleźć w szafach w piwnicy ich zaszyfrowane wersje i porównać odszyfrowany tekst ze zdjęć Bazny z szyfrogramami. System utajniania korespondencji do Ankary i kilku innych brytyjskich poselstw szybko przestał być dla Niemców tajemnicą i mogli odczytywać większość brytyjskich pism dyplomatycznych.

Jak wiele tajemnic dostało się dzięki temu w ręce niemieckie?

“Im większy jest sukces, tym większą cenę trzeba za niego zapłacić” powiedział kiedyś John Masterman, jeden z szefów XX-Committee. Jaki więc był sukces operacji “Cycero”, skoro zdecydowano się płacić tak wysoką cenę jak ujawnienie szyfrów? Tego nie wiemy do dzisiaj...

Bohaterowie Są Zmęczeni

Cycero przybył tego dnia na spotkanie później niż zwykle. Od początku roku 1944 r. Moyzisch przestał spotykać się z nim w budynku swojej ambasady. Obydwaj uznali bowiem, że jest to zbyt ryzykowne i umawiali się w samochodzie (zakupionym specjalnie do tego celu), zaparkowanym w umówionym miejscu.

- Spóźnił się pan, czy coś się stało? - zapytał Moyzisch.

- To tylko drobne utrudnienia - Bazna wyglądał na zdenerwowanego.

- Niech pan powie, o co chodzi. W naszym fachu nawet drobiazgi mają czasami ogromne znaczenie - nalegał Moyzisch.

- Dobrze, powiem panu, choć to pewnie bez znaczenia. Może jestem po prostu zmęczony, ale wydaje mi się, że od pewnego czasu chodzi za mną mężczyzna...

- Skąd takie wrażenie?

- Zwróciłem uwagę, że siedział w samochodzie, gdy wychodziłem z brytyjskiej ambasady. Innym razem dostrzegłem go na ławce w parku, gdy wyprowadzałem psa ambasadora. Dzisiaj widziałem go znowu. W Ankarze nie można przypadkiem spotkać tego samego człowieka trzy razy. A ponadto odnoszę wrażenie, że gdzieś go już widziałem.

- Jak wygląda?

- Wysoki, szczupły, z twarzą bez wyrazu. Mógł być Niemcem, Francuzem albo Amerykaninem. A może to wasz człowiek? - Bazna spojrzał podejrzliwie na Moyzischa.

- Nie! - stanowczo zaprzeczył tamten. - Jeżeli zobaczy go pan znowu, to proszę dać mi znać jak najszybciej. Przyniósł pan film?

Bazna wysupłał z kieszeni rolkę owiniętą w papier. Szybko schował pieniądze i wysiadł z samochodu.

W kilka dni później w dużym sklepie usłyszał kobiety rozmawiające po niemiecku. Zatrzymał się udając, że ogląda towar, i zaczął się przysłuchiwać. Kobiety były za daleko, aby mógł uchwycić wszystkie słowa, ale szybko zorientował się, że jedna z nich pracuje w ambasadzie, gdyż mówiła o przygotowaniach do przyjęcia. Przyjrzał się jej uważnie. Była wysoką, zgrabną blondynką o wydatnych ustach i kościach policzkowych.

- A twój szef też będzie? - zapytała koleżanka.

- Czy widziałaś kiedykolwiek przyjęcie bez Moyzischa. On nie opuszcza żadnej okazji, gdzie można się napić darmowej wódki - zaśmiała się blondynka.

Bazna nie miał wątpliwości, że nazwisko usłyszał dobrze. Blondynka była więc pracownicą Ludwiga Moyzyscha. Wydawało mu się, że poznaje jej głos, gdyż kilkanaście dni wcześniej telefonował do Moyzyscha i rozmawiał z jego sekretarką. Jeszcze raz spojrzął w jej stronę, starając się zapamiętać twarz, ale kobiety skierowały się już na piętro sklepu. Wkrótce zapomniał o tym spotkaniu, które nie miało dla niego większego znaczenia. Dowiedział się tylko, że jego partner lubi wódkę...

Była połowa marca, gdy Bazna wyszedł ze swojego pokoju i pośpieszył na spotkanie z Moyzischem. Poprzednio ustalili, że samochód będzie stał przed kinem. Było to wygodne i bezpieczne miejsce, gdyż w tłumie ludzi wychodzących po projekcji nikt nie zwróciłby uwagi na kamerdynera wsiadającego do samochodu z turecką rejestracją. Do umówionej pory pozostało jeszcze kilkanaście minut, więc Bazna przeszedł na drugą stronę ulicy, aby poczekać w cieniu drzewa. Nagle zobaczył mężczyznę “wysokiego szczupłego, z twarzą bez wyrazu”. Bazna rozpaczliwie rozejrzał się dookoła, ale nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo. Ulica była pustawa. Mężczyzna po drugiej stronie zdawał się pochłonięty swoimi sprawami. Rozglądał się wokół, jakby na kogoś czekał. Po kilku minutach podeszła do niego kobieta. Obydwoje byli jasno oświetleni kolorowymi żarówkami. Bazna zdrętwiał. Bez najmniejszych wątpliwości rozpoznał sekretarkę Moyzyscha. Widział jej twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i wydatnymi ustami. Para oddaliła się po chwili. Bazna zastanawiał się, czy nie ruszyć jej śladem, ale zdecydował pozostać na miejscu w oczekiwaniu na Moyzyscha. Sądził, że ten lada moment nadjedzie, a wówczas samochodem łatwo dogonią ludzi znikających właśnie za rogiem ulicy. Jednakże Moyzisch nie przyjechał.

Bazna podejrzewał, że wysoki mężczyzna może być alianckim agentem. Rzeczywiście był pracownikiem OSS, któremu zlecono śledzenie kamerdynera. Stało się to wówczas, gdy Dulles dowiedział się z kopii telegramów o działalności Cycera i stwierdził, że Brytyjczycy zachowują się dziwnie. Postanowił na własną rękę dowiedzieć się, o co chodzi i zwrócił się do ekspozytury w Ankarze o wyjaśnienie tajemnicy kamerdynera. Agenci OSS zaczęli inwigilować Baznę, a jednym z nich był “wysoki, szczupły człowiek o twarzy bez wyrazu” - kochanek Cornellii Kapp.

Następnego dnia Bazna zatelefonował do ambasady. Dowiedział się jednak, że szef komórki SD wyjechał “w ważnych sprawach służbowych”. Takie informacje otrzymywał przez kilka kolejnych dni, aż wreszcie Moyzisch odezwał się.

- To niezwykle ważne - oświadczył zdenerwowany Bazna. - Musimy natychmiast porozmawiać.

Gdy się spotkali, Moyzisch sprawiał wrażenie człowieka bardzo zmartwionego.

- Widziałem mężczyznę, o którym panu wspominałem, że mnie śledzi. Był z pana sekretarką!

- Skąd pan wie, że z moją sekretarką?

- Zwróciłem na nią kiedyś uwagę w sklepie. Rozmawiała ze swoją koleżanką i padło pana nazwisko.

- Moja sekretarka zniknęła - odparł spokojnie Moyzisch, choć był wyraźnie przygnębiony.

- Co to wszystko znaczy?

- To, że była agentem alianckim i teraz prawdopodobnie jest już w Londynie albo Nowym Jorku.

- Czy wiedziała o mnie?

- Nie - skłamał Moyzisch. - Pewnie teraz odwołają mnie z Ankary. Niewykluczone, że lada moment będę musiał stawić się w berlińskim gestapo na przesłuchaniu.

- Operacja "Cycero" dobiegła końca - pokiwał głową Bazna. - Życzę panu wiele szczęścia.

Podali sobie ręce i ruszyli w przeciwne strony ulicy. Moyzisch nie wiedział, że nikt w Berlinie nie uwierzył w treść dokumentów przekazywanych przez Cycera. Być może zawierały one dane na temat miejsca i terminu alianckiej inwazji, ale Hitler był przekonany, że Cycero jest angielskim agentem i na tej podstawie odrzucał wszystkie informacje z Ankary.

Rozwiązane złudzenia

W kwietniu 1944 roku Bazna zrezygnował z funkcji kamerdynera ambasadora Jego Królewskiej Mości. Spod dywanu wydobył 300 tysięcy funtów, które wypłacili mu Niemcy. Był bardzo bogaty. Niewielu szpiegów w historii zdołało w ciągu 5 miesięcy zbić taki majątek.

Tuż po wojnie założył dużą firmę handlującą używanymi samochodami, a ponieważ interes rozwijał się doskonale, postanowił popробować szczęścia w branży budowlanej. Powojenny rozmach inwestycyjny zdawał się zapowiadać obfite zyski. Sute łapówki, które dawał wysokim urzędnikom, pozwoliły mu uzyskać ogromny kontrakt na budowę municypalnych domów w kurorcie Bursa.

Pewnego lipcowego dnia Bazna udał się do nowej siedziby swej firmy. Tuż za Ankarą wyprzedził go samochód policyjny, a siedzący za kierownicą funkcjonariusz zaczął dawać znaki do zatrzymania się.

- Chyba przekroczyłeś przepisy - powiedział Bazna do kierowcy, gdy zjechali na kamieniste pobocze drogi.

Podeszło dwóch policjantów.

- Pan Bazna?

- Tak.

- Proszę wsiąść do naszego samochodu - powiedział funkcjonariusz trzymający dłoń na otwartej kabinie.

Wtedy, na rozpalonej słońcem szosie, prysnął sen o bogactwie. Policjanci założyli Baznie kajdanki i wpełnęli do samochodu. W komisariacie dowiedział się, że jest podejrzany o fałszowanie banknotów. Natychmiast zbiegli się wierzyciele, żądający spłaty zaciągniętych kredytów lub wynagrodzenia szkód, jakie ponieśli, przyjmując od niego fałszywe funty. W tajemniczy sposób Bazna uniknął więzienia za długi, ale od tej pory żył bardzo skromnie w niewielkim, wynajętym mieszkaniu, gdzie udzielał lekcji śpiewu, zarabiając w ten sposób na życie.

W latach 60. postanowił zaskarżyć rząd Republiki Federalnej Niemiec; uznał, że honorarium za usługi dla SD powinno być wypłacone autentycznymi pieniędzmi. Żaden sąd nie chciał jednak rozpatrzyć tej skargi.

Elyas Bazna zmarł w 1972 r. jako nędzarz.

Według innej wersji, zatrzymany przez policję za rozprowadzanie fałszywych pieniędzy, w tajemniczy sposób zniknął z Ankary. Zmarł podobno w Albanii.

Do dzisiaj nikt nie rozwiązał zagadki Cycera...

Tajemnica "Overlord"

Bitwa przed Bitwą

30 stycznia 1944 r. o godzinie 12.50 Adolf Hitler wszedł na mównicę w Staat Palast w Berlinie. Zgodnie z od dawna stosowanym scenariuszem, pozwolił widowni wiwatować na swą cześć przez 2 minuty, a następnie podniósł rękę, dając znak, że chce rozpocząć przemówienie. Zbliżył się do mikrofonów ustawionych rzędem na brzegu trybuny i zaczął mówić o dziejowej roli narodu niemieckiego.

W brytyjskich stacjach nasłuchowych taśma przewijająca się na wielkich szpulach magnetofonów rejestrowała wszystkie słowa. Transmitowano je natychmiast do Waszyngtonu, gdzie specjaliści z Foreign Broadcasting Intelligence Service (Służba Analiz Zagranicznych Audycji Radiowych) przystąpili do analizy przemówienia. Fuhrer po raz pierwszy od wielu miesięcy stanął przed mikrofonami. Stało się to okazją dla wywiadu alianckiego do zebrania informacji na temat stanu psychicznego i fizycznego wodza narodu niemieckiego. Z doboru słów, sposobu konstruowania zdań, ekspresji wypowiedzi można było wiele wywnioskować o stanie jego umysłu, sił witalnych, woli walki. Te informacje zaś mogły mieć pierwszorzędne znaczenie w zbliżającym się starciu, które miało zadecydować o losach II wojny światowej: operacji "Overlord" - inwazji na Europę.

Hitler przemawiał przez 40 minut, co dało amerykańskim ekspertom materiał wystarczający do wydania opinii o psychicznych i fizycznych możliwościach fuhrera. Psychologowie nie wykryli śladów osłabienia woli wodza, zmniejszenia energii ani zaufania do społeczeństwa i wojska.

Mimo wielu lat napięcia i stresów, dochodzących do granicy ludzkiej wytrzymałości, fuhrer mówił pewnie, płynnie, z właściwą sobie siłą, z której wylaniało się przekonanie, że naród niemiecki i Wehrmacht są przygotowane do odparcia każdego ataku. Niepowodzenia na froncie wschodnim, w Afryce Północnej i we Włoszech traktował jako zmienne koleje wojny, które lada moment mogą obrócić się na korzyść Rzeszy. Miał przecież wszelkie podstawy, aby tak sądzić.

Na początku 1944 r. Niemcy wciąż były potęgą przemysłową i militarną, która mogła opierać się siłom alianckim. Produkcja przemysłu zbrojeniowego, kierowanego przez bardzo utalentowanego ministra Alberta Speera, stale wzrastała. W 1943 r. fabryki niemieckie dostarczyły na front 2,25 miliona ton amunicji, tj. ponad dwuipółkrotnie więcej niż w 1940 r. (wtedy wyprodukowano 865 tysięcy ton amunicji). W 1943 r. wyprodukowano 27 000 dział i moździerzy - czterokrotnie więcej niż w 1940 r. (5500 sztuk), 22 050 samolotów, tj. ponad dwukrotnie więcej niż w 1940 r. (8070 egzemplarzy). Broń dostarczana Wehrmachtowi była lepsza i skuteczniejsza niż broń produkowana przez zakłady alianckie. Wojska niemieckie otrzymywały broń nowej generacji: pociski V-1 i rakiety V-2, pociski V-3, przed którymi nie było obrony, myśliwskie i bombowe samoloty odrzutowe oraz raketowe, którym nie mogły dorównać żadne z samolotów alianckich, okręty podwodne - ciche, szybkie, o ogromnym zasięgu - które mogły przez wiele dni pozostawać w zanurzeniu i atakować bez wystawiania peryskopu.

Sytuacja strategiczna też była korzystniejsza dla Niemców niż aliantów, którzy, aby wtargnąć do Europy, musieli przepłynąć morze i wdrzeć się na brzeg Norwegii, pomocnej lub południowej Francji, Grecji albo Turcji. Wszędzie tam oddziały desantowe musiałyby walczyć przez kilkanaście godzin, pozbawione ciężkiej artylerii i czołgów. Byłyby wówczas najbardziej podatne na kontratak.

Jedna niemiecka dywizja pancerna mogła zgnieść słabą obronę na plażach i zepchnąć oddziały inwazyjne do morza.

Hitler nie miał wątpliwości, że tak się stanie. Pod jego rozkazami na zachodzie Europy stało półtora miliona żołnierzy (w tym 350 tysięcy z doborowych jednostek Waffen-SS), ugrupowanych w 10 dywizji pancernych, 2 dywizje spadochronowe, 17 dywizji zmechanizowanych i 31 dywizji piechoty. Była to siła wystarczająca do odparcia inwazji, a klęska wojsk alianckich zmieniłaby los wojny. Hitler doskonale to rozumiał. 20 marca 1944 r., podczas narady w rezydencji w Berchtesgaden, powiedział:

Gdy inwazja zostanie odparta, wróg nigdy jej nie powtórzy. Chodzi nie tylko o wysokość strat, które poniesie, lecz o czas, jaki musi minąć, zanim odtworzy siły. Nie jest to jedyny czynnik, który będzie powstrzymywać Anglo-Amerykanów przed ponowną próbą. Nieudana inwazja będzie druzgoczącym uderzeniem w ich morale. To właśnie zapobiegnie ponownemu wyborowi Roosevelta na prezydenta w Ameryce i skończy on gdzieś w więzieniu. W Anglii (...) Churchill, ze względu na swój wiek i stan zdrowia, nie będzie w stanie zorganizować nowej operacji inwazyjnej. Dlatego właśnie od każdego żołnierza walczącego na froncie zachodnim zależy wynik tej wojny i los Rzeszy.

Ostatnie słowa były chwytem propagandowym. Wynik batalii, która mogła zadecydować o losach II wojny światowej, zależał od odpowiedniego rozmieszczenia dywizji Wehrmachtu, a to z kolei uzależnione było od ustalenia, kiedy i gdzie alianci uderzą. Wywiady obu stron rozpoczęły bitwę przed bitwą.

Długi sznur samochodów oczekiwał na znak policjanta kierującego ruchem na zawałonej gruzami ulicy. Robotnicy bez pośpiechu starali się przesunąć ogromny kawał betonu, z którego wystawały pogięte pręty zbrojeniowe.

Major Hermann Sandel patrzył zirytowany na bezowocne wysiłki ludzi, dla których wynik i tempo pracy pozostawały całkowicie obojętne.

- Przekłęci cudzoziemcy - mruknął Sandel i wyciągnął gazetę z poprzedniego dnia. Uznał, że to jedyne, co może zrobić w oczekiwaniu na odblokowanie ulicy. W "Volkischer Beobachter" informowano o hekatombach ofiar w Londynie po ostatnim nalocie Luftwaffe i zapowiadano wzmożenie odwetowych ataków powietrznych na Wielką Brytanię.

Major zmiął gazetę i ze złością wetknął ją pod fotel. Powrócił do obserwowania opieszających ruchów przymusowych robotników, walczących z betonowym blokiem.

Ulica sprawiała przygnębiające wrażenie. Ośnieżone kikuty domów wznosiły się na wysokość kilku pięter i choć minęło już parę dni od ostatniego nalotu, z ruin wydobywał się dym i czuć było duszący zapach spalenizny. Każdy podmuch wiatru podrywał strzępy zwęglonych szmat i papiery zwisające z poręczy rozwalonych klatek schodowych.

Sandel spojrzął na zegarek. Minęła 8.15, a wszystko wskazywało na to, że spędzi na zniszczonej ulicy jeszcze kilkanaście minut, zanim przejazd zostanie otwarty. Śpieszył się. Dwie godziny wcześniej nadawał z Londynu najlepszy agent Abwehry - A.3725. Pod tym kryptonimem krył się Hans Hansen, młody Duńczyk, który w lecie 1940 r. wyskoczył ze spadochronem w rejonie Salisbury i w następnych miesiącach udało mu się dotrzeć do bardzo interesujących i wiarygodnych informacji. Oczywiście centrala nie wypytywała swoich agentów, skąd pochodzą ich dane, gdyż to narażałoby na niebezpieczeństwo całą siatkę szpiegowską w wypadku, gdyby wróg złamał szyfr i zaczął odczytywać treść depeesz. Jednakże starannie sprawdzono 934 meldunki Hansena, przysłane przez niego do stycznia 1944 r. - większość okazała się prawdziwa i ważna. Major Sandel z niecierpliwością oczekiwał na najnowszy raport A.3725. Przypuszczał, że będzie on dotyczył generała Dwighta Eisenhowera; takie bowiem zadanie otrzymał A.3725.

Gwizdek policjanta wyrwał Sandela z rozmyślań. Robotnikom udało się wreszcie usunąć betonową zawadę i policjant, niecierpliwie machając pałką, przepuszczał samochody.

Major dotarł jednak do siedziby Abwehry dopiero przed 10.00. Piękny niegdyś budynek wywierał przygnębiające wrażenie. Na dachu wiatr poruszał szarozielonymi płachtami brezentu, które rozłożono, aby zasłonić dziury powstałe w wyniku bombardowań. Cegły nad licznymi oknami wytrawił ogień, wzniecony przez odłamki bomby zapalającej, która eksplodowała nie opodal. Mimo tych szkód, wszystkie biura mieszczące się w budynku działały bez zakłóceń, a major, patrząc na trzypiętrowy szary gmach, zastanawiał się, jaka to siła chroni Hitlera i jego urzędy, skoro bomby oszczędziły siedzibę Abwehry, równając z ziemią tysiące domów i zabijając dziesiątki tysięcy ludzi...

Na widok majora wchodzącego do pokoju porucznik Knuppe poderwał się z krzesła. Miał na sobie wojskowy płaszcz, a dookoła szyi owinął gruby wełniany szalik, gdyż przez okna zabite deskami wpadał lodowaty wiatr, dokuczliwy mimo rozżarzonego do czerwoności piecyka w rogu pokoju.

- Nadszedł meldunek od A.3725 - wręczył Sandelowi teczkę.

- Kiedy wstawią okna?

- Prawdopodobnie za dwa lub trzy dni. Czekają na transport szyb. - Knuppe wzruszył ramionami.

Sandel wszedł do swego gabinetu i niecierpliwie otworzył teczkę, którą dał mu 'porucznik. Wewnątrz było kilka kartek, ale major sięgnął od razu po tę z dopiskiem "Anglia". Przeczytał: "Słysząc, że Eisenhower przyjedzie do Anglii 16 stycznia".

- Knuppe, proszę do mnie! - Major podniósł słuchawkę telefonu. - O której godzinie jest sesja łączności z A.3725?

- Codziennie o 20.30 - odpowiedział wezwany.

- Przekażcie mu: "Specjalne podziękowania za nr 935. Informuj nas o ruchach Eisenhowera w związku z przygotowaniem do inwazji".

Knuppe zanotował treść depezy i wstał.

- A to przekażcie natychmiast do "Belindy". - Major podał mu teczkę z meldunkiem nr 935. - Oczywiście jako SSD - dodał, co oznaczało, że depezę należy oznaczyć jako "bardzo, bardzo pilną".

"Belinda" był to kryptonim tajnej kwatery mieszczącej się w bunkrze w Zossen, na przedmieściach Berlina. Tam meldunek z Hamburga, przesłany za pomocą G-Schreiber - dalekopisu połączonych bezpośrednio linią, co uniemożliwiało przechwytywanie depezy przez niepowołane osoby - trafił na biurko pułkownika Alexisa von Roennego, szefa Fremde Heere West, odpowiedzialnego za zbieranie informacji o przygotowaniach aliantów do inwazji na Europę. Ten człowiek zrobił szybką karierę dzięki swym niezwykłym umiejętnościom organizacyjnym i ogromnej wiedzy.

Pochodził z jednej z najstarszych niemieckich rodzin arystokratycznych. W czasie I wojny światowej walczył w słynnym 9. Pułku Poczdamskim. W 1919 r., gdy rodzina straciła posiadłości w Kurlandii, musiał zrezygnować ze służby wojskowej, aby zająć się zarabianiem na życie. Został bankierem, ale gdy Hitler zaczął odbudowywać siły zbrojne, von Roenne uznał, że jego miejsce jest w Wehrmachcie. Ukończył akademię wojskową i rozpoczął służbę w sztabie generalnym. W 1939 r. skierowano go do Fremde Heere West, gdzie zajmował się analizą francuskich sił zbrojnych. W 1940 r. jego zwierzchnik - ówczesny szef Fremde Heere West, generał Ulrich Liss - wystawił mu entuzjastyczną wręcz opinię:

To człowiek wspaniały pod każdym względem; człowiek, który potrafi postawić bardzo wysokie wymagania sobie i podwładnym. Sposób, w jaki wyczuwa sprawy polityczne i militarne, mógłby mu zyskać miano geniusza. Ma analityczny umysł i potrafi podejmować decyzje z szybkością błyskawicy.

Nie odmówił mu również uznania szef sztabu generalnego wojsk lądowych, generał Franz Haider, który publicznie stwierdził, że von Roenne obdarzony jest umiejętnością wnikliwej oceny sił wroga i jest zdolny wskazać wszystkie słabe punkty, które dostrzegał nawet tam, gdzie najwyżsi oficerowie Wehrmachtu widzieli tylko zalety.

W 1942 r. - po krótkiej służbie na froncie wschodnim (dokład udał się, aby walczyć o odzyskanie rodzinnego majątku, lecz odniósł ciężką ranę i powrócił do Niemiec) - został szefem Fremde Heere West (Armie Obce "Zachód"). Sprawa przygotowań aliantów do inwazji na Europę stała się najważniejsza ze wszystkich, którymi zajmował się pułkownik i jego organizacja.

Depesza z Hamburga, wysłana przez porucznika Knuppego, dotarła do rąk pułkownika von Roennego tuż po 11.00.

Informacja o rychłym przybyciu Dwighta Eisenhowera do Londynu była bardzo ważna. Od kilku miesięcy FHW zbierał wszelkie wiadomości o poczynaniach amerykańskiego generała, dowodzącego wojskami aliantów w Afryce Północnej. Pułkownik nie wiedział jednak, że 7 grudnia 1943 r. prezydent Franklin D. Roosevelt w czasie podróży powrotnej z Kairu, gdzie konferował z premierem Churchillem, zatrzymał się w Tunisie. Na lotnisku powitał go generał Eisenhower.

W samochodzie zmierzającym do kwatery naczelnego dowódcy prezydent, który zajął miejsce obok kierowcy, odwrócił się nagle do siedzącego z tyłu generała i rzekł:

- Ike, będziesz dowodził "Overlordem".

- Panie prezydencie, mam nadzieję, że nie będzie pan zawiedziony - powiedział, zaskoczony nagłą nominacją, Eisenhower.

31 grudnia Eisenhower wyjechał z Afryki i ślad po nim zaginął. Jednakże wkrótce wywiad niemiecki (który miał w USA doskonale funkcjonującą siatkę) doniósł, że generał w Waszyngtonie spotkał się z szefem Sztabu Generalnego, generałem George'em Marshalllem. Agenci informowali również, że podróż otoczona jest ścisłą tajemnicą, a generał porusza się po Waszyngtonie w mundurze z zakrytymi gwiazdkami na pagonach. Po oficjalnych rozmowach w stolicy Eisenhower udał się na krótki wypoczynek do domu.

3 stycznia 1944 r. o 7.00 wszedł na pokład samolotu, który z lotniska w Waszyngtonie wystartował w nieznanym kierunku. Von Roenne przeczuwał jednak, że dalszych tropów należy szukać w Anglii. Rzeczywiście, 14 stycznia o 11.00 samolot generalski wylądował na szkockim lotnisku Prestwick, skąd w specjalnej salonce, nazwanej przez generała "Bayonette" ("Bagnet"),

Eisenhower wyruszył do stolicy. 7 godzin przed przybyciem salonki do Londynu A.3725 poinformował centralę w Hamburgu o przybyciu Eisenhowera.

Pułkownik von Roenne doceniał wagę meldunku, tym bardziej że następnego dnia Agencja Reutersa (której depesze wywiad niemiecki czytał bardzo starannie) poinformowała o przybyciu alianckiego gościa do Anglii, starając się jednak ukryć fakt pobytu generała w USA. Reuter pisał:

Otrzymałmy wiadomość, że generał Eisenhower podjął w Zjednoczonym Królestwie obowiązki przekazane mu przez szefów Połączonych Sztabów. W czasie podróży z rejonu Morza Śródziemnego do Wielkiej Brytanii generał odbył konferencję z prezydentem [Stanów Zjednoczonych - BW] oraz premierem [rządu brytyjskiego - B W].

Przyjazd generała Eisenhowera do Wielkiej Brytanii, która miała być bazą sił inwazyjnych, stanowił dowód, że przygotowania do desantu na kontynent weszły w decydującą fazę. Pułkownik von Roenne musiał teraz dowiedzieć się, gdzie i kiedy alianci uderzą. Od tej informacji zależał los III Rzeszy; żadna, nawet najpotężniejsza, armia nie zdołałaby po wyjściu z morza okopać się na brzegu, gdyby Niemcy zgromadzili w pobliżu oddziały pancerne. Jeżeli jednak aliantom udało się uderzyć w miejscu niedostatecznie bronionym, wówczas w ciągu paru dni zbudowaliby przyczółek, którego nie mogłyby z kolei skruszyć wojska niemieckie.

Pułkownik von Roenne podszedł do szafy pancernej, skąd wydobył plik raportów, zebranych przez Abwehrę, a dotyczących przygotowań do inwazji. Pierwsze meldunki pochodziły z początku 1942 r. Najcenniejsze przysłał "Baron".

Koneksje Barona

Baron Waldemar von Oppenheim walczył bohatersko w szeregach armii cesarskiej podczas I wojny światowej. Wtedy nikt nie zwracał uwagi na fakt, że był Żydem. Tuż po wojnie porzucił służbę wojskową; zajął się finansami i poślubił pannę von Goldschmidt, łącząc w ten sposób dwa bogate i stare rody żydowskie. Baron nie czuł się Żydem. Uważał się za Niemca, do tego stopnia, że w lipcu 1932 r. wstąpił do NSDFB - oddziału partii narodowosocjalistycznej działającej w środowisku bankierów. Hitlerowcy uznali go jednak za "bękartą drugiego stopnia", aczkolwiek zapewne przynależność partyjna i hojne wsparcie finansowe partii uchroniły barona przed losem większości jego współpracowników.

Oppenheim musiał wszakże przenieść działalność swojego banku do Szwecji, gdzie nawiązał kontakty z potężnym "Enskilda Banken", prowadzonym przez braci Jacoba i Marka Wallenbergów. Umożliwili mu oni dostęp do finansjery międzynarodowej, co zwróciło uwagę Abwehry.

W czerwcu 1941 r. baron przyjechał w interesach do Kolonii i zatrzymał się w hotelu "Excelsior". Wracał późnym wieczorem z jakiegoś spotkania, gdy recepcjonista wręczył mu kartkę z informacją: "Proszę mi wybaczyć, że proponuję spotkanie o tak późnej porze, ale sprawa jest szczególnie ważna. Zechce pan przyjąć zaproszenie na kieliszek koniaku w hotelowym barze, gdzie będę czekał na pana. Kapitan Druisenberg".

Oppenheim uznał, że propozycja ta wiąże się z jego nazistowską przeszłością i bez wahania skierował się w stronę baru. Na jego widok podniósł się zza stolika niski, krępy mężczyzna o szpakowatych włosach, krótko przyciętych na modłę wojskową, z wąsami i bródką, które wyglądały na sztuczne.

- Jestem kapitan Druisenberg - powiedział. Nie było to prawdą; jego prawdziwe nazwisko brzmiało Driessen, ale nie miało to większego znaczenia. - Dziękuję, że przyszedł pan. - Kapitan wskazał krzesło, które przed chwilą odsunął od stolika. - Zastanawia się pan zapewne, skąd to zaproszenie - mówił dalej, gdy baron usiadł. - Nie ma to nic wspólnego z pańską działalnością w partii narodowosocjalistycznej. Ja reprezentuję Abwehrę. Pańska pozycja w świecie międzynarodowej finansjery zwróciła naszą uwagę, a znając pana sympatię dla rządu Trzeciej Rzeszy uznaliśmy, że zechciałby pan wspomóc jego działania.

- Nie przeszkadza panom, że jestem Żydem? - drwiąco zapytał Oppenheim.

- Absolutnie nie! - stanowczo zaprzeczył kapitan, który wydawał się nie dostrzegać drwiny.

- Nie sądzę, żeby człowiek o żydowskim pochodzeniu mógł zostać włączony w działalność tak delikatną, jaką prowadzi Abwehra. - Oppenheim przedstawiał swe wątpliwości już w poważnym tonie. - Jestem przekonany, że nigdy nie będziecie mi w pełni ufać.

- Zapewniam, że wśród naszych agentów jest wielu Żydów, co przynosi obopólne korzyści...

- W jaki sposób zwróciłem waszą uwagę? - Oppenheim chciał wiedzieć jak najwięcej przed

podjęciem decyzji.

- No cóż, jest pan znaną osobistością - wymijająco odparł Druisenberg.

Nie mógł zdradzić źródła wiedzy o koneksjach barona. Był nim zaś bankier pracujący dla Abwehry pod kryptonimem F.2371*, [* "F" w kryptonimach współpracowników Abwehry oznaczało, że są oni kurierami lub naganiaczami.] bacznie obserwujący Oppenheima, którego określił w raporcie jako "silną osobowość z dużym doświadczeniem i wieloma wspaniałymi powiązaniem zagranicznymi".

- Panie kapitanie, nie spodziewa się pan chyba, że natychmiast udzielę odpowiedzi. Traktuję tę propozycję bardzo poważnie, co zmusza mnie do starannego rozważenia wszystkich za i przeciw. - Baron wstał. - Jeżeli zdecyduję się na współpracę z Abwehrą, zostawię dla pana jakąś wiadomość w recepcji.

Rozmowa się skończyła, ale Druisenberg, patrząc za oddalającym się baronem, miał pewność, że zgodzi się on zostać agentem. Znał dobrze ten typ mężczyzn, których w takim samym stopniu pociągało ryzyko jak służenie sprawie narodowosocjalistycznej.

Rzeczywiście, dwa dni później w recepcji otrzymał kopertę zawierającą czystą kartkę. To była "jakaś wiadomość". Druisenberg napisał na niej miejsce i datę następnego spotkania i oddał kopertę recepcjoniście.

Spotkali się znów 23 czerwca 1941 r. w restauracji hotelu "Hildmanns" w Bremie. Oppenheim dowiedział się, że został tzw. działającym agentem Abwehry o kryptonimie A.2408. W czasie kilku rozmów, prowadzonych przy stoliku w tej samej restauracji, Druisenberg przekazał nowemu szpiegowi Fadenzaehler - urządzenie do szyfrowania, pełną instrukcję wielkości znaczka pocztowego, którą mógł spokojnie ukryć w kopercie zegarka, poduszki do marynarki, które po namoczeniu wytwarzały niewidzialny atrament, adres w Bremie, dokąd baron miał kierować listy zawierające szpiegowskie informacje, oraz liczne instrukcje na temat nowej działalności.

Próbna misja odbyła się w Holandii. Oppenheim działał pod okiem fachowców z Abwehry, którzy analizowali jego postępowanie i wskazywali błędy, które popełnił; udzielali rad na temat sposobów zdobywania informacji oraz zacierania śladów. Ogólna ocena działań nowego agenta była bardzo wysoka.

Druga misja miała już charakter poważny: baronowi polecono dotrzeć do Stanów Zjednoczonych i zebrać wiadomości na temat przygotowań tego państwa do wojny. Oppenheim wykorzystał swe powiązania z nie podejrzewanymi niczego Wallenbergami i uzyskał od nich poparcie i kontakty w USA. Wrócił po dwóch miesiącach i przedstawił 5 dokładnych raportów, które przeszły oczekiwania jego szefów: jeden dotyczył rozwoju amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego; inne zawierały dane o rozmiarach produkcji czołgów i samolotów oraz konstrukcji statków handlowych. Raport oznaczony numerem G4089 przedstawiał metody szkolenia załóg statków biorących udział w konwojach, o czym Oppenheim dowiedział się od pierwszego oficera pewnego amerykańskiego statku.

Do końca 1941 r. nowy agent odbył 4 podróże do Szwecji, po których sporządził szczegółowe meldunki na temat wielkości brytyjskiej floty handlowej na Atlantyku, norweskich statków w służbie wroga, produkcji czołgów i pojazdów pancernych w USA oraz stosunków japońsko-amerykańskich.

Rok 1942 był jeszcze bardziej owocny. W czasie kilku podróży do Waszyngtonu i Nowego Jorku Oppenheim zawarł interesujące znajomości. Mając rekomendacje Wallenbergów, dotarł do osób ustawionych najwyżej w amerykańskim establishmencie, dzięki czemu nie musiał wykradać tajnych dokumentów ani dorabiać kluczy do sejfów. Wystarczało, że uważnie słuchał odpowiedzi na swe pytania.

22 grudnia 1941 r. do Stanów Zjednoczonych przybył premier brytyjski Winston Churchill. Konferencja z prezydentem Franklinem D. Rooseveltem (oznaczona kryptonimem "Arcadia") dotyczyła działań obydwu państw, które postanowiły połączyć swe wysiłki wojenne.

Do czasu konferencji polityka amerykańska wobec Europy nie była jasno określona. Co prawda 11 grudnia Hitler wypowiedział Stanom Zjednoczonym wojnę, ale kraj ten był zaabsorbowany głównie rozwojem wydarzeń na Pacyfiku. Zniszczenie Roty Pacyfiku w Pearl Harbor ugodziło amerykańską dumę, a szybkie postępy wojsk japońskich zagrażały wpływom USA w tej części świata. Wielu wysokiej rangi dowódców, którym przewodził admirał Ernest J. King, kongresmanów i członków rządu opowiadało się za skoncentrowaniem wszystkich sił na walce z Japończykami.

Premierowi Churchillowi udało się - mimo to - uzyskać deklarację prezydenta, że Stany Zjednoczone skierują główny wysiłek militarny na pokonanie Niemców. Porozumienie zawarte w Waszyngtonie stanowiło, że *dwa mocarstwa [USA i Wielka Brytania – BW] utrzymają na Dalekim Wschodzie pozycję, która pozwoli ochronić żywotne interesy i uniemożliwi Japończykom dostęp do surowców ważnych dla ich wysiłków wojennych, skoncentrują się zaś na pokonaniu Niemiec.*

Dalsza część dokumentu zawierała plany na najbliższy okres, m.in.: ograniczonej ofensywy lądowej w 1942 r. i opanowania wybrzeża Afryki Północnej w 1943 r. Przywódcy obydwu mocarstw zdecydowali się przystąpić do niezwłocznego gromadzenia sił i środków do inwazji (operacja "Bolero"). Idea rychłego rozgromienia Niemców tak spodobała się prezydentowi Rooseveltowi, że uznał, iż już we wrześniu 1942 r. dywizje amerykańskie i brytyjskie będą mogły wdrzeć się na francuski brzeg*.[* Realizacja tego planu została przedstawiona w rozdziale pt.: Skazani.]

Baron von Oppenheim nadesłał do oddziału Abwehry w Bremie raport (nr 4097/41/IH) zawierający pierwsze informacje o przebiegu i ustaleniach konferencji "Arcadia" w kilka dni po jej rozpoczęciu. W styczniu 1942 r. przekazał dwa kolejne raporty (308/42/IH i 573/42/IH), szczególnie omawiające treść porozumienia Roosevelt-Churchill.

Z Waszyngtonu raportował również inny agent Abwehry, hiszpański attache wojskowy, pułkownik Jose Carlos Garcia, 1 lutego jego przesyłka dotarła w bagażu dyplomatycznym do szefa hiszpańskiego wywiadu, generała Camposa Martineza. On z kolei przekazał ją komandorowi Wilhelmowi Leissnerowi (vel Gustawowi Lenzowi), szefowi oddziału Abwehry w Madrycie, a stamtąd specjalny kurier zawiózł dokument do Berlina, gdzie doręczono go admirałowi Canarisowi.

W tym samym czasie szef Abwehry otrzymał z innych źródeł informacje o planach aliantów. Włosi przechwycili depeszę, wysłaną do Ankary przez ambasadora Turcji w Londynie, zawierającą streszczenie rozmowy z amerykańskim attache wojskowym, pułkownikiem Robertem Leesem, na temat znaczenia konferencji "Arcadia" dla stosunków amerykańsko-tureckich.

Agent Abwehry, działający w szwajcarskim sztabie generalnym, przekazał oddziałowi Abwehry w Bernie zdobytą przez siebie kopię analizy wyników konferencji, sporządzoną przez szwajcarskiego attache wojskowego w Waszyngtonie.

Zaledwie 20 dni po zakończeniu konferencji "Arcadia" szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris, przedstawił Adolfowi Hitlerowi szczegółowy raport na temat zamierzeń aliantów. Zapewne pod wpływem tych informacji Hitler wydał 23 marca 1942 r. dyrektywę nr 40, o budowie systemu umocnień wału atlantyckiego.

Nieprzyjacielskie siły, które wylądują [na wybrzeżu Francji - BW], muszą być zniszczone lub odrzucone do morza przez bezpośredni kontratak - głosił rozkaz wodza.

Festung Europa

Pierwsze umocnienia na wybrzeżu francuskim Niemcy zaczęli wznosić już w końcu czerwca 1940 r. w okolicach miasta Calais. Hitler nie myślał wówczas o obronie wybrzeży. Jego dywizje szykowały się do podboju Wielkiej Brytanii i działa, osadzone w betonowych bunkrach na skalistych brzegach, miały wspierać wojska inwazyjne. We wrześniu 1940 r., gdy Luftwaffe przegrała bitwę o panowanie nad Anglią (co było podstawowym warunkiem dokonania inwazji, gdyż w przeciwnym wypadku samoloty RAF i okręty Royal Navy zatopiłyby niemiecką flotę inwazyjną) i Hitler zrezygnował z planów podboju wyspy, nie przzerwano budowy umocnień. W rejonie Calais powstawały gigantyczne bunkry, które mieściły działa kal. 380 i 406 mm. Ich pociski mogły razić ważny brytyjski port Dover, odległy od Calais zaledwie o 37 kilometrów.

W 1942 r. Niemcy przystąpili do budowy umocnień obronnych. Hitler planował, że pas schronów, zapór przeciwdesantowych, zasieków i pól minowych ciągnąć się będzie przez tysiące kilometrów wzdłuż wybrzeży od granicy francusko-hiszpańskiej do północnych krańców Norwegii.

Do Francji przybył feldmarszałek Gerd von Rundstedt, stary żołnierz, który - po okresie niełaski za krytykowanie koncepcji strategicznych Hitlera w wojnie ze Związkiem Radzieckim - został przywołany do służby, otrzymując zadanie obrony Europy przed alianckimi wojskami inwazyjnymi. Uznał on, że rejonem najbardziej narażonym na uderzenie wojsk anglo-amerykańskich jest Calais. Przekonanie to oparł na analizie sytuacji geograficznej i strategicznej: - najkrótsza droga z Wielkiej Brytanii na kontynent prowadziła przez rejon Calais, gdzie szerokość kanału La Manche nie przekraczała 40 kilometrów; z Calais było najbliżej do przemysłowego serca Niemiec - Zagłębia Ruhry; uderzenie na ten rejon pozwalało aliantom rozdzielić siły niemieckie we Francji; w Pas de Calais wybudowano wyrzutnie V-1, V-2, V-3, które mogły zniszczyć Londyn - było więc oczywiste, że dowództwo brytyjskie podejmie decyzję o jak najszybszym ich unicestwieniu.

Po rajdzie komandosów alianckich na Dieppe, w sierpniu 1942 r., von Rundstedt uznał, że dowództwo wojsk sprzymierzonych wyciągnie wnioski z tej operacji i zrezygnuje z bezpośredniego uderzenia na silnie bronione porty, gdyż walki trwałyby zbyt długo, stwarzając niebezpieczeństwo zniszczenia urządzeń przeładunkowych. Uważał, że alianci będą raczej starali się opanować okolice portu, okrążyć go, odciąć od zaplecza i zmusić załogę do kapitulacji. Dlatego też zdecydował się na rozbudowę umocnień w sąsiedztwie portu.

Do 1944 r. powstał pas potężnych zapór, na których musiałyby wykrwawić się każda armia inwazyjna.

Pierwsze przeszkody ułożono na dnie morskim, kilkaset metrów od brzegu. Były to ostro zakończone stalowe szyny, osadzone w betonowych fundamentach. Ukryte tuż pod powierzchnią wody, mogły rozpruć poszycie kadłuba każdego okrętu, który usiłowałby zbliżyć się do plaż. Do zapór montowano ładunki wybuchowe, eksplodujące w zetknięciu z okrętem. 500-tonowa barka, która usiłowała pokonać pas tych zapór podczas prób, zatонуła w ciągu 3 minut.

Na plażach rozmieszczono rzędy zasieków z drutów kolczastych, miny przeciwpiechotne i przeciwpancerne, wzniesiono betonowe mury, uniemożliwiające czołgom jazdę w głąb lądu.

Następną barierę stanowiły niewielkie bunkry, obsadzone przez 2 żołnierzy obsługujących ciężki karabin maszynowy. Ustawione co kilkadziesiąt metrów, miały stworzyć ścianę ognia, przez którą nie mógłby przedrzeć się żaden żołnierz ani lżejszy pojazd.

Na wydmach zbudowano większe bunkry, mieszczące działa kl. 75-120 mm, które miały razić okręty desantowe podchodzące do brzegu, a także bunkry z działami przeciwpancernymi, niszczącymi czołgi zjeżdżające z ramp okrętów desantowych oraz pojazdy amfibijne wiozące żołnierzy.

Gdyby wrogowi udało się przebić i przez tę linię obrony, zostałyby zatrzymany ogniem z bunkrów ulokowanych wśród pól, w odległości 1-2 kilometrów od plaż Calais.

Niemcy wykorzystali również francuskie budowle obronne z XIX wieku. Forty, wcinające się 2, może 3 kilometry w głąb lądu, zostały zamienione na koszary dla załóg bunkrów obserwacyjnych, artyleryjskich, stanowisk strzeleckich i dziesiątków punktów ogniowych rozmieszczonych wzdłuż wybrzeża Calais.

Jednakże von Rundstedt wiedział, że umocnienia wału atlantyckiego, tak potężne w rejonie Calais, są znacznie słabsze na innych odcinkach francuskiego wybrzeża. Pamiętał o doświadczeniach z kampanii 1940. w Belgii i Francji, gdzie gigantyczne budowle obronne - wryte dziesiątki metrów pod ziemię, doskonale zabezpieczone przed wybuchami najcięższych bomb i pocisków - nie spełniły swojego zadania. Linia Maginota okazała się bezużyteczna, gdyż wojska niemieckie po prostu obeszły ją.

Belgijska twierdza Eben Emael - obsadzona przez 700 żołnierzy, obsługujących wieże pancerne z działami kał. 37, 75 i 120 mm, dysponująca bunkrami z karabinami maszynowymi - została opanowana w ciągu kilku godzin przez 50 spadochroniarzy niemieckich, gdyż obrońcy bali się wyjść na powierzchnię, a napastnicy niszczyli za pomocą ładunków kumulacyjnych jeden bunkier po drugim.

Taki sam los mógł spotkać najpotężniejsze umocnienia na wybrzeżu Francji. Umocnienia spełniłyby swoją funkcję tylko wtedy, gdyby stanęły za nimi silne dywizje. Tymczasem głównodowodzący wojskami niemieckimi na Zachodzie nie był zadowolony ze swych wojsk. Mówił:

Wał jest mitem. Nic przed nim i nic za nim; po prostu dekoracja. Można mieć nadzieję, że wytrzyma atak 24-godzinny, ale każde dobrze zaplanowane uderzenie doprowadzi do przełamania wału w ciągu jednego dnia. A gdy zostanie on przełamany w jednym miejscu, cała reszta może zostać wzięta od tyłu.

Pozostawało więc pytanie, jak rozmieścić wojska, aby w decydującym momencie alianckiego uderzenia przyszły z natychmiastową odsieczą załogom bunkrów powstrzymującym pierwszą falę wojsk inwazyjnych. Największą siłą stojącą za wałem atlantyckim były dywizje pancerne. Każda z nich (z ok. 400 czołgami) była śmiertelnym zagrożeniem dla oddziałów inwazyjnych, pozbawionych w pierwszym okresie walk broni pancernej i ciężkiej artylerii. Należy przy tym pamiętać, że w 1943 i 1944 r. niemieckie dywizje otrzymały tygrysy i pantery, przewyższające pod każdym względem

czołgi brytyjskie oraz amerykańskie.

Hitler i Feldmarszałek

6 stycznia 1943 r. admirał Canaris i pułkownik Roenne zostali wezwani na naradę do generała Alfreda Jodła, szefa sztabu dowodzenia w Naczelnym Dowództwie Sił Zbrojnych (OKW). Sądziło się, że będą mogli przedstawić swe poglądy na temat miejsca inwazji. Jodl szybko wyprowadził ich z błędu.

- Żądam, aby panowie zwrócili większą niż dotychczas uwagę na rejon Morza Śródziemnego - powiedział, gdy tylko przybysze zajęli miejsca za długim stołem stojącym pod wielką mapą Europy i wybrzeży Afryki Północnej. - To, co dzieje się tam, jest nie tylko odbiciem intencji naszych wrogów, lecz dostarczyć nam może bezcennych danych na temat anglo-amerykańskich planów strategicznych w innych rejonach.

Canaris milczał. Von Roenne niespokojnie kręcił się na krześle, zamierzając wygłosić własną opinię, ale widok kamiennej twarzy Canarisa powstrzymywał go przed wdaniem się w dyskusję z pyszałkowatym Jodlem, który zapewne nie miał zamiaru słuchać argumentów gości.

Generał mówił dalej o przegrupowaniach alianckich jednostek desantowych, wycofanych z Afryki Północnej, gdzie znalazły się w wyniku akcji "Torch".

- Ruchy te - mówił Jodl - wskazują, że główny wysiłek wojenny aliantów nastąpi w rejonie Morza Śródziemnego...

Canaris spojrzał wymownie na von Roennego. Pochylił się w jego stronę i szepnął:

- Sądzę, że nie są to jego poglądy.

Jodl potwierdził to spostrzeżenie, mówiąc:

- Dyskutowałem tę sprawę z fuhrerem w ciągu ostatnich dni. On przewiduje ze strony aliantów serię dezorientujących nas posunięć, które Anglicy i Amerykanie zechcą wykonać, zanim zdecydują się na prawdziwą inwazję. Fuhrer spodziewa się lądowania w Portugalii lub gdzieś na wybrzeżu Hiszpanii, a jeżeli we Francji, to na północ od Żyrondy*.[* Ujście do Atlantyku rzek Garonny i Dordogne.]

Po naradzie u Jodła pułkownik von Roenne był wyraźnie poirytowany.

- Czy fuhrer naprawdę sądzi, że alianci będą tracić siły na próbne rajdy w Portugalii lub Hiszpanii?

- Sytuacja na Zachodzie nie jest jeszcze na tyle poważna, że brak jednoznacznej decyzji co do rozmieszczenia naszych wojsk mogłoby mieć decydujące znaczenie - odpowiedział wymijająco Canaris. - Sądzę, że wydarzenia najbliższych miesięcy pozwolą nam zebrać więcej wskazówek na temat miejsca inwazji.

Miał rację.

W maju 1943 r. hiszpański attache wojskowy w Waszyngtonie nadesłał informacje na temat wyników konferencji "Trident", w czasie której Winston Churchill i Franklin D. Roosevelt po raz pierwszy omawiali szczegóły inwazji na kontynent europejski. Od października 1943 r. z Turcji zaczęły nadchodzić informacje, które Sicherheitsdienst kupowała od kamerdynera brytyjskiego ambasadora*.[* Rozdział pt.: Kryptonim Cycem.]

Zapewne pod wpływem tych ustaleń Hitler uznał ostatecznie, że inwazja nastąpi w północnej Francji. W listopadzie 1943 r. wydał więc dyrektywę nr 51:

Wszystkie znaki wskazują, że ofensywa na froncie zachodnim nastąpi na wiosnę lub może nawet wcześniej. Z tego powodu nie mogę dłużej godzić się na osłabienie wojsk na Zachodzie na korzyść innych teatrów wojny. Dlatego zdecydowałem się wzmocnić obronę na Zachodzie, szczególnie w miejscach, w których rozpoczniemy naszą dalekosieżną wojnę przeciwko Anglii. Z tego powodu nieprzyjaciel musi zaatakować te punkty; tam (...) prowadzona będzie decydująca walka.

Hitler miał na myśli rejon Pas de Calais, gdzie w lasach montowano wyrzutnie pocisków V-7, a w miękkich wapiennych wzgórzach budowano gigantyczne montownie i wyrzutnie rakiet V-2 (eperlecaques i wizernes) oraz drążono wyrzutnie pocisków V-3 (mimoyeques).

Inspekcję stanu przygotowań do odparcia inwazji Hitler zlecił feldmarszałkowi Erwinowi Rommlowi.

Wszystko było w porządku, dopóki Rommel wizytował jednostki i umocnienia w Danii. Jednakże przed świętami Bożego Narodzenia w 1943 r. przybył do Francji i znalazł się na obszarze, który najbardziej interesował von Rundstedta. Wizytator, nie przejmując się kompetencjami dowódcy OB-West, wydawał jego podwładnym - dowódcom armii i dywizji - polecenia dotyczące konkretnych działań obronnych. Ci przyjmowali ze zdziwieniem dwuwładzę w Wehrmachcie. Feldmarszałek von Rundstedt rozwiązał problem, mianując Rommla dowódcą Grupy Armii "B", choć nie miał o nim najlepszego zdania. Mówił: *To dzielny człowiek i bardzo zdolny dowódca niewielkich operacji, ale nie ma kwalifikacji odpowiednich do dowodzenia dużymi jednostkami.*

Problem podwójnych poleceń zniknął, ale pozostały kontrowersje co do użycia jednostek pancernych - decydującej siły, która mogła przesądzić o losach wojny na Zachodzie. Wśród 58 dywizji, jakie Wehrmacht miał na Zachodzie wiosną 1944 r., było 10 dywizji pancernych, z których 3 przydzielono do Grupy Armii "G" broniącej południa Francji i nie można było brać ich pod uwagę przy odpieraniu inwazji na północy kraju. Jedna dywizja pancerna stacjonowała w rejonie Antwerpii. Pozostawało więc 6 dywizji i von Rundstedt uznał, że najlepiej będzie, gdy staną one w rejonie Paryża, to jest w odległości około 150 kilometrów od wybrzeży. Uważał, że w tamtejszych lasach będą w miarę bezpieczne przed atakami z powietrza. Mogłyby szybko uderzyć na wojska powietrznodesantowe, gdyby te wylądowały w głębi Francji, a w wypadku inwazji morskiej, zdołałyby w porę dotrzeć do każdego miejsca na wybrzeżu. Pogląd von Rundstedta podzielał generał Geyr von Schweppenburg, dowodzący wojskami pancernymi.

Feldmarszałek Rommel nie zgadzał się jednak na takie rozwiązanie. Jego doświadczenie nakazywało rozmieścić oddziały pancerne jak najbliżej spodziewanego miejsca inwazji. Mówił:

Lepiej mieć jedną dywizję w miejscu lądowania w dniu lądowania niż trzy dywizje w trzy dni później.

Dowódcę wojsk pancernych oceniał mało pochlebnie:

W przeciwieństwie do mnie, generał von Schweppenburg, który prawdopodobnie dobrze zna Brytyjczyków z czasów pokojowych, nigdy nie spotkał się z nimi w boju.

Rzeczywiście, Rommel miał ważne doświadczenia z walk z Brytyjczykami na pustyni Afryki Północnej, kiedy to przekonał się, jak zabójczą dla czołgów bronią są pociski działek i bomby rzucane z samolotów. Pod El-Alamejn myśliwce RAF zdziesiątkowały czołgi Afrika Korps, które ugrzęzły w piasku*. Obawiał się, że podobna sytuacja może się powtórzyć, gdy czołgi wyruszą spod Paryża w stronę kanału La Manche. Alianci, mając zdecydowaną przewagę w powietrzu, mogliby uniemożliwić niemieckim czołgom dotarcie do miejsc lądowania swych wojsk.

Spór między dowódcami zaognił się do tego stopnia, że Hitler zdecydował się wysłać do Francji rozjemcę - inspektora wojsk pancernych, generała Heinza Guderiana. Przybył on do kwatery feldmarszałka Rundstedta w marcu 1944 r. Po wysłuchaniu argumentów obu stron przyznał rację von Rundstedtowi, co jednak nie położyło kresu sporom. Dopiero sam Hitler przeciął dyskusję, podejmując decyzję, najgorszą z możliwych: cztery dywizje pancerne zostały wyjęte spod dowództwa Rundstedta i oddane pod bezpośrednią kontrolę naczelnego dowództwa Wehrmachtu (OKW); aby dywizje te skierować do boju, dowódcy we Francji musieli uzyskać zgodę fuhrera.

Feldmarszałek von Rundstedt mógł mieć jeszcze nadzieję, że wywiad zdoła dostarczyć w porę wiadomość na temat miejsca i czasu uderzenia aliantów. Abwehra zdawała się bardzo bliska zdobycia upragnionych wieści.

Pułkownik von Roenne okazał przepustkę esesmanowi strzegącemu pancernych drzwi wiodących do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie admirał Canaris stał przed mapą świata pokrywającą całą ścianę.

- Proszę mi wybaczyć, admirale, ale w ostatniej chwili...

- Nie, nie spóźnił się pan. - Canaris odwrócił się w stronę przybyłego. - To ja przyszedłem wcześniej. Nie traćmy czasu. Przejdźmy do pańskich ustaleń.

Był 2 lutego 1944 r. Szef wywiadu, admirał Canaris, zaprosił pułkownika do bunkra w Zossen, aby zapoznać się z ustaleniami dotyczącymi spodziewanej inwazji. Von Roenne rozłożył na stole mapę Europy, zwiniętą dotąd w rulon pod pachą.

- Na tej mapie starałem się zobrazować sytuację wynikającą z naszych ustaleń... To kierunki ewentualnych pozornych uderzeń, które mają odwrócić naszą uwagę - wyjaśniał, wskazując strzałki nakreślone zieloną kredką, biegnące przez Dardanele i Morze Czarne w stronę Odessy. Inne, złożone z przerywanych kresek niebieskich, przecinały Adriatyk, kierując się w stronę Chorwacji, a stamtąd do Budapesztu. Kilka żółtych strzałek celowało w południowe wybrzeże Francji - między Marsylią i Riwierą Włoską.

- To, domyślam się, kierunek głównego uderzenia - Canaris wskazał grubą czerwoną strzałkę, wymierzoną w brzeg północnej Francji.

- Tak - potwierdził pułkownik. - Założyłem, że wyruszą z baz w okolicach Manchesteru i w rejonie Dover-Folkstone przekroczą kanał La Manche w najwęższym miejscu...

- To ryzykowne przypuszczenie - przerwał Canaris.

- Dlaczego mieliby wybrać dłuższą drogę, na przykład z Portsmouth, kiedy mogą przeskoczyć z Dover do Calais, w miejscu gdzie kanał ma niespełna 40 kilometrów szerokości?

- Nie dyskutujmy na ten temat - Canaris pokręcił głową. - Myślę, że zanim inwazja dojdzie do skutku, Abwehra będzie mogła podać precyzyjnie jej miejsce i czas.

- To prawda, że ostatnie raporty A.3725 wnoszą wiele nowego - powiedział Roenne, mając na myśli meldunek nr 937 z 16 stycznia, w którym agent informował, że do Wielkiej Brytanii przybyło około 7 tysięcy oficerów amerykańskich, działających w najrozmaitszych organizacjach przygotowujących inwazję. - Zastanawiam się jednak, czy nasze siły w Anglii są wystarczająco duże, abyśmy mogli liczyć na uzyskanie tej najlepiej chyba strzeżonej informacji...

- Może pan być spokojny, pułkowniku. - Canaris usiadł przy stole, na którym leżała mapa. - To, że w ogóle mamy w Wielkiej Brytanii agentów, z których kilku działa od wielu lat, należałoby uznać za ewenement w historii szpiegostwa. A jednak, mimo bardzo sprawnie działającego brytyjskiego kontrwywiadu i szczególnego charakteru tamtejszego społeczeństwa, udało nam się stworzyć sieć

rozciągającą się od Bristolu na południu do Glasgow i Aberdeen na północy... - Canaris przerwał na chwilę, aby następnym słowom nadać większą wagę. Wstał i przechadzając się po pokoju, kontynuował:

- Codziennie otrzymujemy z Anglii od 30 do 40 raportów. Na początku wojny mieliśmy tam tylko agenta A.3504. Teraz - mimo niemałych strat, poniesionych w ostatnim okresie - mamy ich 130. Wspomniał pan z uznaniem o A.3725; proszę pamiętać również o "Trampie", przesyłającym ważne informacje wojskowe, chociaż jest to tylko kobieta. Oprócz agentów kierowanych przez ośrodki w Hamburgu, Bremie, Wiesbaden, Paryżu i Brukseli, cennych informatorów mają nasze oddziały w Madrycie, Lizbonie i Bernie. Na przykład Madryt kieruje siatką "Arabal", złożoną z siedmiu agentów, wspomaganych przez kurierów oraz pięciu innych naszych ludzi w hiszpańskiej służbie dyplomatycznej w Londynie. Lizbona kieruje siatką, na której czele stoi "Ostro" - portugalski handlowiec, zarządzający dużą firmą międzynarodową w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Sztokholm przesyła raporty od "Josephine", Berno - od "Banty". W kwaterze generała Bradleya mamy polskiego oficera łącznikowego, a wkrótce będą dysponować meldunkami od jednego z prywatnych sekretarzy premiera Churchilla. Poza tym, nie ma co ukrywać, że sami alianci zdradzą nam termin inwazji... - Canaris zawiesił głos. Von Roenne patrzył na niego zdziwiony.

- Oto meldunek jednego z najzdolniejszych oficerów Abwehry sekcji III F w Paryżu, podpułkownika Oscara Reilego. - Admirał podał pułkownikowi kartkę z raportem datowanym 14 października 1943 r.

Oscar Reile informował o aresztowaniu 3 października przywódcy organizacji sabotażowej, kierowanej z Anglii. W czasie przesłuchania wyznał on, że centrala w Londynie przekazała hasło, które - nadane przez radio - miało informować francuski ruch oporu o terminie inwazji. Były to słowa wiersza Paula Verlaine'a: *Les sanglots longs des violons de l'automne blessent mon cœur d'une langueur monotone*. Pierwsze wyrazy, do słowa l'automne włącznie, nadane 1 lub 15 dnia miesiąca oznaczały, że inwazja nastąpi w danym miesiącu. Nadanie drugiej części tekstu było równoznaczne z informacją, że lądowanie odbędzie się w ciągu 48 godzin, licząc od północy w dniu wyemitowania tej części hasła.

- Jak pan widzi, wiemy bardzo wiele - stwierdził Canaris, gdy Roenne zakończył lekturę raportu Reilego. - Sygnał ten został przekazany w 23 kopiach do najważniejszych ogniw dowodzenia Wehrmachtu. Myślę, że możemy spać spokojnie...

Ta rozmowa wywarła duże wrażenie na pułkowniku von Roenne. Jednakże obraz, jaki kreślił w Zossen admirał Wilhelm Canaris, niewiele miał wspólnego z rzeczywistością. Szef Abwehry budował zamki na lodzie, ale do dzisiaj nie wiadomo, czy wiedział, że jego potężna sieć wywiadowcza w Anglii jest mitem, czy też rzeczywiście wierzył w skuteczność swoich agentów, nie zdając sobie sprawy, że wpadł w pułapkę, zastawioną przez brytyjski kontrwywiad... W kilkanaście dni po konferencji w Zossen straciło to zresztą znaczenie.

19 lutego 1944 r. admirał Canaris przestał być szefem Abwehry. Przegrał walkę o pozycję w strukturach władzy, toczoną od lat z ministrem spraw zagranicznych, Joachimem von Ribbentropem i Reichsführerem SS, Heinrichem Himmlerem. W wyniku intryg Hitler pozbawił admirała stanowiska, litościwie mianując go szefem departamentu wojny ekonomicznej Oberkommando der Wehrmacht*.[*]

Rozdział pt. “Czarna orkiestra”.] Abwehra została zamieniona w Urząd Wywiadu Wojskowego (Amt Mil) i włączona do RSHA.

Zmiany sparaliżowały działalność wielu agentów, osobiście związanych z Canarisem. Jednakże taki obrót spraw nie był ważny dla siatek działających w Wielkiej Brytanii, gdyż od wielu lat pozostawały pod nadzorem brytyjskich tajnych służb.

“Brutus” i inni

Szczęknięta zasława i drzwi celi więzienia we Fresenes otworzyły się szeroko. Więzień Roman Czerniawski poderwał się z pryczy, ale zaraz usiadł z powrotem. Nie mogło go spotkać nic gorszego niż śmierć, a z nią zdołał się pogodzić po kilku miesiącach oczekiwania na wykonanie wyroku. Jednakże, z nie znanych mu powodów, Niemcy na razie dawali mu spokój.

Kapitan dypl. pilot Roman Czerniawski we wrześniu 1939 r. odbywał służbę w Dowództwie Wojsk Powietrznych. Gdy Niemcy podeszli pod Warszawę, otrzymał rozkaz obsadzenia ocalałych samolotów oficerami rezerwy i przelotu do Rumunii. Tam został internowany, ale udało mu się zbiec i w listopadzie 1939 r. dotarł do Paryża. Odbył kurs w Ecole Superieur de Guerre i został oficerem wywiadu w 1. dywizji grenadierów. Po klęsce Francji wyjechał do Tuluzy, gdzie przypadkowo spotkany rodak, pułkownik Wincenty Zaremski, wciągnął go do pracy wywiadowczej na rzecz Wielkiej Brytanii.

Czerniawski był odważny, przedsiębiorczy, a nade wszystko pragnął walki z Niemcami. Wydawało mu się, że zbliżone poglądy prezentuje trzydziestokilkuletnia Matylda Carre, którą poznał w kawiarni. Udał się z nią do Paryża, gdzie Liii wyszukała mieszkanie na Boulevard du Port Royal i razem zaczęli tworzyć organizację wywiadowczą o nazwie “Interallie”. Zbierali wiadomości o wojskach niemieckich stacjonujących w Paryżu i okolicach. 28 listopada 1940 r. Czerniawski, który przyjął pseudonim “Armand”, przesłał pierwszy raport do pułkownika Zaremskiego, a ten przez radiostację mógł nadać meldunek do Londynu. Grupa szybko się rozwijała. W połowie 1941 r. liczyła 64 członków, którzy umieli zdobywać tajemnice Wehrmachtu.

18 listopada 1941 r. do domu Czerniawskiego wtargnęli Niemcy. Kto był zdrajcą? Prawdopodobnie Liii, zazdrosna o pewną współpracownicę przystojnego szefa grupy “Interallie”. Została również aresztowana i na pewno wtedy rozpoczęła współpracę z Niemcami; pod pseudonimem “Victoire” podjęła działalność w innej organizacji, a później przerzucono ją do Londynu.

Niemcy oszczędzili kapitanowi Czerniawskiemu tortur; traktowali go dość dobrze. Z więzienia w Paryżu został przewieziony do Fresenes, gdzie - jak przypuszczał - miał być wykonany wyrok śmierci.

W drzwiach celi stanął oficer Abwehry w stopniu pułkownika.

- Mogę wejść? - zapytał z uśmiechem.

- Wątpliwy żart, panie pułkowniku - opowiedział Czerniawski, wznosząc ramionami. - Proszę siadać, jeżeli ten stółek nie wyda się panu za twardy.

- Jestem pułkownik Reile. - Oficer położył czapkę na stole i przysunął sobie taboret. - Czy wie pan, że po pana aresztowaniu komendant Paryża polecił, aby w Saint Germain zorganizowano wystawę materiałów znalezionych w pańskim mieszkaniu i nakazał zwiedzanie tej ekspozycji? Rzeczywiście, było co oglądać... - To miła wiadomość. Ale chyba nie przyszedł pan, aby złożyć mi

gratulacje - przerwał kapitan.

Reile zaczął mówić o sytuacji na świecie. Przedstawiał sukcesy wojsk niemieckich, dochodzących do Morza Czarnego i Morza Kaspijskiego.

- To już ostatnie stadium wojny, w którym każda pomoc może okazać się ważna. Jeżeli pan i pana przyjaciele z Anglii pomogą nam, będzie to uznane za cenny wkład Polski w zwycięstwo, co niewątpliwie wpłynie na jej los po wojnie - mówił Reile.

Od kilku miesięcy przeszukiwał francuskie więzienia, wyłuskując z nich ludzi, którzy chcieliby podjąć współpracę z Abwehrą. Wybrał Czerniawskiego zapewne z tego względu, że jako fachowiec potrafił docenić grupę zorganizowaną przez kapitana.

- Znając moją przeszłość, nie spodziewa się pan chyba, że zgodzę się na współpracę z wami? - zareagował gwałtownie Czerniawski.

Pułkownik zdawał się nie dostrzegać determinacji więźnia.

- Proponuję panu współpracę z Abwehrą w zamian za darowanie życia. To korzystna oferta. Nie oczekuję natychmiastowej odpowiedzi. Proszę się zastanowić... - Reile wstał i skierował się do drzwi. Zatrzymał się jednak. - Jeszcze jedno: na razie jest to moja prywatna propozycja - dodał.

Po kilkunastu dniach znów się zjawił.

- Byłbym skłonny do współpracy, ale pod pewnymi warunkami - oświadczył Czerniawski.

- Jakimi?

- Po pierwsze, członkowie mojej organizacji otrzymają status jeńców wojennych i po zakończeniu wojny zostaną zwolnieni. Po drugie, od chwili zwolnienia z więzienia będę rzeczywiście wolny i nikt nie będzie mnie śledzić ani wymagać danych o kontaktach z podziemną organizacją, która wprawdzie poniosła duże straty, ale jestem przekonany, że wciąż istnieje. Po trzecie, jakkolwiek potoczą się losy wojny, Polska pozostanie państwem niezależnym.

- Nie mogę przyjąć tych warunków - stwierdził Reile. - Mówiłem panu, że propozycja współpracy jest moim prywatnym pomysłem. Jednakże przekażę te warunki przełożonym. Myślę, że wyrażą zgodę. Cieszę się, że pan dostrzegł możliwość porozumienia.

Czerniawski rozegrał tę partię bezbłędnie. Potrafił stworzyć wrażenie, że jego decyzja współpracy z Abwehrą zapadła po długim namyśle, a fakt, że została podjęta w śmiertelnym zagrożeniu, nadawał jej pozór prawdopodobieństwa.

- Mam dla pana dobrą wiadomość - powiedział Reile, gdy po raz kolejny przyszedł do celi Czerniawskiego. - Szef niemieckiego wywiadu wojskowego zgadza się na pańskie warunki. A teraz zechce pan wysłuchać naszych: podejmie pan działania mające na celu nakłonienie rządu polskiego w Londynie do współpracy z nami, a po zorganizowaniu wywiadu na terenie Anglii będzie pan przekazywał nam drogą radiową wszystkie interesujące nas informacje.

Porozumienie zostało zawarte. Czerniawski, który przyjął swój stary pseudonim "Armand", musiał "wydostać się" z więzienia. Początkowo rozważano plan ucieczki z samochodu w czasie podróży na przesłuchanie. Bulwar Saint Germain w Paryżu miała zablokować zepsuta niemiecka ciężarówka. Kierowca samochodu, w którym jechałby Czerniawski, musiałby zwolnić, a wówczas więzień wyskoczyłby i znikł w tłumie. Był to jednak bardzo ryzykowny plan, gdyż któryś z niemieckich żołnierzy, widząc uciekającego człowieka, mógłby strzelić i zabić nowego agenta. Dlatego Reile postanowił, że 14 lipca Czerniawski zostanie przewieziony do Paryża, gdzie w pomieszczeniu Abwehry na bulwarze Messena zapozna się z obsługą sprzętu radiowego, metodami pracy i z szyframi, a potem wyruszy do Anglii.

Dwa tygodnie później "Armand" przedostał się do Tuluzy, skąd - zaopatrzony w fałszywe dokumenty na nazwisko Juan Garcia Luengo - dotarł przez Pireneje do Madrytu. Tam spotkał się z oficerem Abwehrkriegsorganisation*, [* Abwehra tworzyła w zagranicznych przedstawicielstwach niemieckich placówki o takiej nazwie.] generałem Erichem Kuhlenthałem. Otrzymał od niego listę zadań w Anglii, instrukcję na temat budowy radiostacji z części dostępnych w angielskich sklepach, książkę "The Story of St. Michele" Axela Munthe'a, na podstawie której miał szyfrować swe depesze.

Zaraz potem w ambasadzie brytyjskiej spotkał się z oficerem o pseudonimie "Monday", organizującym przerzut uciekinierów z Francji do Londynu.

W listopadzie 1942 r. kapitan Czerniawski przybył do stolicy Wielkiej Brytanii. Natychmiast skierowano go do Royal Patriotic School w Battersea. Było to miejsce przesłuchań i obserwacji ludzi podejmujących współpracę z wywiadem. Brytyjczycy początkowo nie wierzyli nowo przybyłemu. Obawiali się, że Niemcy, wiedząc o jego wcześniejszej współpracy z MI-6, mogą uznać, że zdradzi ich i ponownie podejmie współpracę z Anglikami, a co za tym idzie, mogli nie traktować poważnie wiadomości nadsyłanych przez Czerniawskiego; mogli go poza tym wykorzystywać do podsuwania Brytyjczykom fałszywych informacji. Jednakże szybko przekonali się, że charakter zadań zleconych "Armandowi" przez Abwehrę w Madrycie świadczy o bezwzględnym zaufaniu. Dlatego też zdecydowali się wykorzystać umiejętności polskiego kapitana w wielkiej grze o "Overlord".

Czerniawskiemu nadano kryptonim "Brutus" i przyznano funkcję oficera łącznikowego przy dowództwie RAF. W decydującym momencie przygotowań do operacji "Overlord" został mianowany przedstawicielem polskich sił zbrojnych w kwaterze generała Pattona, dowódcy First United States Army Group. Takie samo zadanie wykonywali z ogromnym powodzeniem inni agenci, których Abwehra obdarzyła zaufaniem.

Wyróżniał się wśród nich "Garbo", oznaczony kryptonimem V-319, pod którym krył się hiszpański dziennikarz Luis Calvo. Przez wiele miesięcy wykonywał swe zadania, aż w lutym 1942 r. hiszpańska siatka została zlikwidowana przez kontrwywiad brytyjski MI-5 i "Garbo" znalazł się w więzieniu. Człowiek, który wsadził go tam, Thomas Harris, zorientował się, że Niemcy wiedzą o likwidacji siatki, ale nie mają pojęcia, że sam "Garbo" również wpadł. Postanowił więc wykorzystać uwięzionego agenta do zorganizowania nowej grupy, licząc, że Niemcy zaakceptują wybór szpiegów, dokonany rzekomo przez "Garbo". Tak też się stało.

Nowa organizacja otrzymała w centrali Abwehry kryptonim "Arabal" i była tak liczna, że podzielono ją na trzy mniejsze: "Alaric", "Benedict" i "Dagobert". Jeszcze w czerwcu 1944 r. Niemcy wierzyli, że w grupach tych działają następujący agenci:

V-217 - w rejonie Bedfordu w USA; uznano, że jest "dobry";

V-303 - urzędnik z Londynu; ocena: "odpowiedzialny, ale zdolny wykonywać tylko drobniejsze polecenia";

V-305 - komiwojażer z południowej Anglii: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-308 - handlowiec z Londynu: "odpowiedzialny";

V-314 - urzędnik londyński: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-315 - kupiec z Londynu: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-316 - urzędnik rządowy z Bristolu: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V 322 - oficer lotnik, Londyn: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-337 - bezrobotny: "nic specjalnego";

V-372 - pracownik z Liverpoolu: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-373 - student wenezuelski z Glasgow: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-374 - student wenezuelski z Aberdeen: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-377 - hotelarz z Londynu: "sprawdzony i odpowiedzialny";

V-392 - handlowiec podróżujący po USA: "dobre raporty";

V-1239 - technik z Londynu: "nowy, jeszcze nie sprawdzony".

Agent A.3725 - Hans Hansen, duński kreślarz, który latem 1940 r. został przerzucony do Anglii - już jesienią tego roku znalazł się pod kontrolą brytyjskich służb specjalnych i wypełniał zleczone przez nie zadania jako "Tatę". Informację o przybyciu Eisenhowera do Anglii otrzymał od swoich opiekunów ze specjalnej organizacji "XX-Committee", nadzorującej działania agentów, którzy zdecydowali się współpracować z Brytyjczykami. Kobieta-szpieg, którą szczyił się Canaris, dla Niemców miała pseudonim "Tramp", dla Brytyjczków - "Treasure". Jej prawdziwe nazwisko brzmiało: Lily Siergiejew. W 1932 r. poznała w Warszawie dziennikarza Felixa Dassela, który jej się zwierzył, że pracuje dla Abwehry. W 1940 r. odnalazła go w Paryżu i poprosiła o wciągnięcie do pracy w wywiadzie. Dassel przedstawił ją majorowi Emilowi Kliemannowi, jednemu z szefów paryskiego oddziału Abwehry. Ten zdecydował się przyjąć Lily i nadał jej pseudonim "Tramp". W 1943 r. pojechała do Londynu, gdzie ujawniła kontrwywiadowi swoje zajęcie i rozpoczęła pracę pod kontrolą "XX - Committee". W 1944 r., gdy zadania wyznaczone przez Brytyjczyków wymagały

szybkiego przekazywania licznych wiadomości, "Tramp" wyjechała do Lizbony, dokąd ściągnęła majora Kliemanna. Nie mógł on oprzeć się urokowi agentki i zgodził się jej przyznać - jako jedynej kobiecie-szpiegowi w Abwehrze - nadajnik radiowy. Odtąd "Tramp" - "Treasure" mogła przekazywać szybciej i więcej fałszywych informacji...

Czy admirał Canaris zdawał sobie sprawę, że większość z jego wspaniałej listy 130 agentów w Wielkiej Brytanii działa pod kontrolą Brytyjczyków? Prawdopodobnie tak, gdyż to on sam wysyłał do Anglii najgorszych ludzi, całkowicie nie przygotowanych do funkcjonowania w trudnych tamtejszych warunkach. Lista agentów Abwehry, którzy wpadali w ręce brytyjskiego kontrwywiadu tuż po wylądowaniu na angielskim brzegu, była bardzo długa. Przykładowy wręcz był los 15 szpiegów przerzuconych do Anglii w ramach operacji "Lobster". Z pierwszych czworga, którzy wylądowali 2 września 1940 r. na angielskim brzegu, dwoje zostało aresztowanych przez samotnego żołnierza patrolującego nadmorskie skałki. Trzeci wpadł po 12 godzinach, gdy zgłosił się pod adresem wskazanym przez agenta działającego w Anglii, nadzorowanego przez kontrwywiad. Czwarty - Rudolf Waldberg (nawiasem mówiąc, jedyny z całej czwórki, który znał język angielski) - wszedł o 9.00 do pubu w małym mieście Lydd i poprosił o jabłecznik, nie wiedząc, że w angielskich piwiarniach napoje alkoholowe sprzedaje się od 10.00. Był na tyle naiwny, że - zgodnie z radą właściciela pubu - powrócił o tej porze i został aresztowany przez czekających już policjantów. Jedenastu pozostałych agentów zostało schwytyanych, zanim zdążyli nadać jakąkolwiek wiadomość do Niemiec.

Człowiek, na którego rozkaz wyruszyli do Wielkiej Brytanii, szef Abwehry, Wilhelm Canaris - zagorzały przeciwnik hitleryzmu, współtwórca i członek konspiracyjnej antyhitlerowskiej organizacji "Schwarze Kapelle" - prowadził swą prywatną wojnę z nazistami. Blokowanie działań wywiadowczych przeciwko Wielkiej Brytanii i wysyłanie tam marnych agentów było jednym ze sposobów tej wojny.

Wysiłki Canarisa, zmierzającego do obalenia Hitlera, wsparł inny zagorzały przeciwnik nazizmu... pułkownik von Roenne, choć nie wiadomo, czy wiedzieli oni o sobie.

W styczniu 1944 r. u pułkownika von Roenne zameldował się podpułkownik Roger Michel, szef Grupy Anglii.

- Muszę zwrócić pana uwagę na fakt, że nasze oceny i analizy są zniekształcane przez Sicherheitsdienst - powiedział.

Roenne zdawał sobie z tego sprawę. Fremde Heere West musiał przedstawiać swoje raporty SD, aby tam, zanim trafią na biurko Hitlera, zostały sprawdzone i skorygowane. Chodziło o uniknięcie większych różnic w ocenach przedstawianych przez poszczególne ośrodki wywiadu. Tymczasem Sicherheitsdienst, walcząca o palmę pierwszeństwa wśród służb wywiadowczych, zmieniała liczby podawane przez FHW, z reguły zmniejszając je o połowę.

- Mam pełną świadomość, jeśli o to chodzi i rozmawiałem na ten temat z Kaltenbrunnerem, ale, jak słyszę, nie zmieniło to w niczym sytuacji.

- Hitler otrzymuje więc sfalszowane dane. Obawiam się, że to na podstawie naszych raportów,

w których SD zaniża szacunek sił alianckich, wycofał część jednostek z Zachodu...

- Czy widzi pan jakieś wyjście? - przerwał mu von Roenne.

- Tak - oświadczył Michel. - Musimy zawyżać dane w raportach tak, by po korekcie SD były zbliżone do prawdy.

- To bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Zdaje sobie pan z tego sprawę?

- Owszem, ale nie widzę innego rozwiązania - twardo odpowiedział Michel.

- Jeżeli SD przestanie raptem zaniżać szacunki, Hitler otrzyma całkowicie nierealny obraz stanu sił alianckich...

- Teraz też nie zna prawdy, a co gorsza, uważa, że siły wroga są znacznie słabsze - nie ustępował podpułkownik Michel.

- Dobrze, rozważę tę sprawę. - Von Roenne postanowił zakończyć rozmowę. Nie widział możliwości fałszowania raportów, gdyż mogłoby go kosztować to głowę.

Jednakże w marcu 1944 r. sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Abwehra została wchłonięta przez Sicherheitsdienst, która poczyniała sobie już zupełnie dowolnie z raportami oceniającymi liczebność sił alianckich. Wtedy von Roenne zdecydował się skorzystać z rady podpułkownika Michela. Nigdy się nie dowiemy, czy kierowała nim chęć przedstawienia Hitlerowi prawdziwego obrazu sytuacji, czy też w radzie podwładnego dostrzegł jeszcze jedną możliwość oszukania fuhrera. Należy chyba przyjąć tę drugą wersję, zważywszy, że von Roenne był aktywnym członkiem "Schwarze Kapelle", za co zapłacił w końcu życiem.

Gdy zdecydował się zawyżać dane dotyczące sił alianckich, wiedział, że nie może nakazać podwładnym fałszowania dokumentów. SD i gestapo dowiedziałyby się o tym zaraz. Znalazł więc inne rozwiązanie. Przyjął, że brytyjskie służby specjalne, wprowadzając w błąd niemieckich agentów, podsuwają im dane zawyżone o 50%. Wystarczyło nie weryfikować tych raportów, nie porównywać liczb pochodzących z różnych źródeł, a wskaźniki natychmiast zaczęłyby piąć się w górę. Tak się też stało.

Wkrótce z raportów przygotowywanych przez Fremde Heere West wynikało, że w Wielkiej Brytanii stacjonuje 85-90 dywizji (w rzeczywistości było ich 35), w tym 7 dywizji powietrznodesantowych (w rzeczywistości - 3).

Nagle jednak stało się coś, czego się obawiał von Roenne: SD przestała zaniżać dane FHW, gdyż oficer SD, który uważał, że wywiad celowo zawyża liczebność wrogich wojsk, został przesunięty do innej służby i do Hitlera zaczęły płynąć raporty wyolbrzymiające z kolei siły aliantów.

Ta gra kosztowała pułkownika von Roennego życie: 11 października 1944 r. został aresztowany i wkrótce rozstrzelany. W ostatnim liście do matki napisał, że umiera jako "łotr na krzyżu obok Chrystusa"*. [* Autor pomysłu, ppłk Michel, uratował się. Był prawdopodobnie agentem

amerykańskim, o czym świadczą jego powojenne losy: został wcześniej niż inni zwolniony z obozu jenieckiego i pojawił się w Heidelbergu w mundurze US Counter-intelligence Corps. Wkrótce potem uciekł do radzieckiej strefy okupacyjnej; prawdopodobnie był również agentem radzieckim.]

Jego działalność miała dezorganizujące znaczenie dla obrony wału atlantyckiego. Hitler i Oberkommando der Wehrmacht uwierzyli w liczby podawane przez FHW i w istnienie armii, których w rzeczywistości nie było.

Armie których nie było

W mglisty poranek 26 stycznia 1944 r. transportowa dakota zatoczyła kilka kręgów nad lotniskiem amerykańskiej bazy w Cheddingtonie, zanim wieża kontrolna wyraziła zgodę na lądowanie. Opóźnienie było spowodowane zablokowaniem pasa startowego przez bombowiec 5-77, który złamał podwozie podczas nieudanego lądowania. Wreszcie dakota, prowadzona ręką doświadczonego pilota, płynnie usiadła na pasie i podkołowała pod główny barak, przed którym stało kilka osób. Drzwi w kadłubie otworzyły się i po metalowej drabince zszedł sprężystym krokiem generał George Patton. Wyciągnął rękę w stronę generała Lee, kwatermistrza wojsk amerykańskich w Wielkiej Brytanii, potem przywitał się z dowódcą bazy. Wymienili kilka zdawkowych uwag na temat podłej pogody angielskiej, a w tym czasie adiutant generała umieścił jego walizkę w bagażniku packarda, na którego drzwiach nie było generalskiej gwiazdki. Wkrótce samochód wyruszył w stronę Londynu.

- Czy już wie pan, po co jedziemy do Londynu, sir? - zapytał adiutant, gdy tylko samochód minął strażników przy bramie lotniska.

- Nie mam pojęcia, ale co innego ten cholerny Ike mógłby mi zaproponować jak nie dowodzenie armią? - Patton wzruszył ramionami. - Ostatecznie nie ma tak dobrych i doświadczonych dowódców jak ja.

Adiutant skwapliwie przytaknął; parę miesięcy służby u boku generała nauczyło go, że nie należy mu się sprzeciwiać, gdyż może to wywołać furję. Patton był rzeczywiście dobrym dowódcą, ale zarazem nieobliczalnym człowiekiem. Bez wątpienia miał wielki udział w sukcesie wojsk alianckich na Sycylii podczas 39-dniowej kampanii, w której Włosi i Niemcy stracili 167 tysięcy żołnierzy. Jednakże własny temperament niszczył go. Tam, na Sycylii, spoliczkował amerykańskiego żołnierza, o czym wrogowie generała (a miał ich sporo) powiadomili prasę. Zachowanie dowódcy lejącego po twarzy podwładnych wzburzyło opinię publiczną, która zażądała postawienia Pattona przed sądem wojennym. Wiele wysiłku kosztowało przyjaciół uchronienie zdolnego dowódcy przed najgorszymi konsekwencjami.

- Dobrze cię znowu widzieć, George - Eisenhower wstał zza biurka, gdy tylko Patton dotarł do jego gabinetu w Hayes Lodge w Londynie. Jesteś zmęczony, głodny?

- Nigdy nie bywam zmęczony, a zjeść coś zdążyłem w samochodzie. Śpieszyłem się bardzo, żeby dowiedzieć się, z jakiego powodu ściągasz mnie do Londynu.

- Dobrze wiesz! Potrzebuję doświadczonych dowódców najwyższej klasy.

- A co mi proponujesz? - Widać było, że Patton niecierpliwie oczekuje odpowiedzi.

- Dowodzenie 3. armią.

- U tego cholernego Bradleya! - wybuchnął Patton, którego oburzyła myśl, że mógłby podlegać niedawnemu podwładnemu.

Eisenhower, nie zważając na ten komentarz, mówił dalej:

- Twoja armia jest jeszcze w Stanach i zanim przybędzie tutaj, minie trochę czasu. My zaś nie możemy czasu marnować, George. Dlatego musisz przejąć dowodzenie grupą armii, których nie ma...

Patton uspokoił się i z wyraźnym zaciekawieniem słuchał dalszych słów Eisenhowera.

- First United States Army Group, istniejąca jedynie w meldunkach niemieckich szpiegów, uderzy w rejonie Pas de Calais. Niemcy muszą w to uwierzyć - oświadczył Eisenhower z naciskiem. - Tej grupy wprawdzie nie ma, ale dowódca musi istnieć naprawdę. Wybrałem ciebie, gdyż Niemcy doskonale cię znają. Twoja osoba przyciągnie ich uwagę silniej niż milion żołnierzy. Muszę jednak zaznaczyć, że byle błąd z twojej strony może zniweczyć całą grę.

Eisenhower zastanawiał się długo przed tą rozmową, jak przekonać Pattona o potrzebie absolutnej dyskrecji. Wiedział, że generał rzadko panuje nad językiem i nie zastanawia się, co można powiedzieć, a czego nie. Uznał więc, że nie pora na dyplomatyczne ostrzeżenia:

- Wielokrotnie odrzucałeś moje uwagi na temat nie przemyślanych wypowiedzi dla prasy. Teraz nie udzielam ci rady. To jest rozkaz. Pomyśl, zanim coś chlapniesz, George, gdyż nie będziesz mógł winić nikogo poza sobą za konsekwencje nierozważnego gadania.

- Oczywiście! Będę ostrożny - obiecał Patton, który, bezwzględny w stosunku do podwładnych, zwykł okazywać uległość wobec przełożonych.

Wkrótce jednak złamał zakaz Eisenhowera, dotyczący publicznego pokazywania się i udzielania wywiadów. W kwietniu 1944 r. przyjął zaproszenie "Welcome Club" - organizacji zajmującej się uprzyjemnianiem żołnierzom amerykańskim służby w Anglii - do złożenia wizyty w niewielkiej wsi Knutsford, leżącej kilkanaście kilometrów od jego kwatery. Eisenhower ostrzegwał: "Żadnej prasy i żadnych zdjęć". Ufny, że słowa, skierowane do mieszkańców wioski, nie będą znane nikomu więcej, Patton stwierdził: *Odkąd stało się oczywiste, że przeznaczeniem Brytyjczyków i Amerykanów jest rządzić światem, powinniśmy się lepiej poznać, aby wykonać lepszą robotę.* Mieszkańcy przyjęli wypowiedź gromkimi oklaskami, gdyż miła jest myśl o rządzeniu światem, nawet w Knutsfordzie. Jednakże generał nie wspominał o najbliższych sojusznikach: Rosjanach i Francuzach, co było ogromną niezręcznością.

Następnego dnia główne gazety angielskie i amerykańskie zacytowały wypowiedź Pattona. W Londynie w budynku przy Downing Street premier Churchill bardzo niepolitycznie wyrażał się o pyskатым generale; w Moskwie Kreml zadrżał od gniewu Stalina, a w Algierze w St. George's Hotel kipiał z gniewu generał Charles de Gaulle.

Szef Sztabu Generalnego, generał George Marshall, napisał do Eisenhowera sugerując, aby rozważył przydatność Pattona do "sprawowania funkcji dowódczych". Takie sformułowanie oznaczało nieformalne polecenie zwolnienia Pattona, ale generał Eisenhower zachował spokój. Wysłał do Pattona list:

Jestem szczerze zmęczony kłopotami wynikającymi z twojego braku kontroli nad językiem i zaczynam mieć wątpliwości co do słuszności oceny twej osoby. A ma to istotne znaczenie w przypadku zajmowania wysokiej pozycji w hierarchii wojskowej.

Burza trwała, a Patton zadawał sobie pytanie, skąd prasa dowiedziała się o wydarzeniu w Knutsfordzie, skoro nie było tam dziennikarzy? Jakim cudem wypowiedź została opublikowana, skoro cała prasa podlegała rygorystycznej cenzurze wojennej? W jaki sposób informacja wydostała się poza granice Wielkiej Brytanii? Przecież wszelka korespondencja (nawet dyplomatyczna) była starannie sprawdzana! Patton odpowiedział sam sobie na te pytania w liście do Eisenhowera:

Jesteś prawdopodobnie cholernie zawiedziony (...), ale mój ostatni rzekomy wyskok śmierdzi prowokacją, jeśli się zważy, że impreza była pod kontrolą [brytyjskiego - BW] Ministerstwa Informacji, którego przedstawiciel był obecny [w Knutsfordzie - B W].

Bez wątpienia Patton miał rację, dopatrując się nieuczciwej gry Brytyjczyków. Wiele wskazywało na to, że redakcje dowiedziały się o wszystkim od przedstawiciela Ministerstwa Informacji o nazwisku Mould. Telegramy korespondentów prasy zagranicznej na temat przemówienia amerykańskiego generała zostały początkowo wstrzymane przez brytyjską cenzurę, lecz wkrótce szef departamentu cenzury wyraził zgodę na ich wysłanie.

Można przypuszczać, że niefortunną wypowiedź wykorzystano do wywołania afery, która musiała zwrócić uwagę Niemców na Pattona. Skoro wywiad niemiecki zacząłby śledzić gadatliwego generała, tym samym zacząłby bacniej przyglądać się wojskom, którymi on dowodził, czyli FUSAG. O to właśnie aliantom chodziło.

Patton był rozzalony i tak przekonany, że jego kariera dobiegła końca, iż polecił ordynansowi, aby zaczął pakować walizki. Niespodziewanie wezwał go Eisenhower i najspokojniej w świecie powiedział, by już się nie martwił tą sprawą. Patton zapisał w pamiętniku:

Ten incydent był tak trywialny w swojej naturze, lecz tak straszny w skutkach, że nie mógł być wynikiem przypadku.

W maju 1944 r. rozpoczęto ostentacyjną koncentrację jednostek FUSAG w trójkącie Dover-Cambridge-King's Lynn. Na drogach pojawiły się długie kolumny samochodów i czołgów.

Farmer ze wsi Chaul End w Kencie zobaczył przez okno swojego domu kilkanaście ciężarówek, wspinających się z mozołem pod górę. Zastanowiło go, że pojazdy nie poruszają się po drodze, lecz zjechawszy na pobocze, ruszyły przez pole. Ponieważ nie było to jego pole, nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Jednakże następnego dnia ujrzał kilkadziesiąt czołgów, przetaczających się przez jego łąkę. Nasunął na głowę czapkę, wybiegł z domu i wskoczył na rower, aby jak najszybciej dotrzeć do oficera dowodzącego kolumną. Chciał zaprotestować przeciwko dewastacji łąki. Zanim

dotarł na miejsce, czołgi zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, a farmer ze zdziwieniem stwierdził, że trawa w ogóle nie ucierpiała pod gąsienicami ciężkich pojazdów. Raptem dostrzegł, że w dolinie ruszył na czołgi byk rozsierdzony niecodziennym widokiem. Zaatakował pierwszy z brzegu pojazd. Zaczepił rogiem o kadłub i nagle... czołg z hukiem rozpadł się jak balon przekłuty szpilką. Na szczęście kilkunastu żołnierzy osaczyło byka i zapobiegło zniszczeniu batalionu czołgów wykonanych z gumy.

W nocy na poboczach dróg wschodniej Anglii i Kentu pobłyskiwały światła. Z wysokości kilku tysięcy metrów - na której latały niemieckie samoloty zwiadowcze - lampki wyglądały dokładnie tak samo jak reflektory ciężarówek wojskowych. Prowadziły do obozowisk, w których dymiły wojskowe kuchnie, pracowały radiostacje i kręcili się żołnierze. Niemcy nie mogli wiedzieć, że są to tylko rezerwiści z 10. Worcestershires i 4. Northamptonshires; wszyscy gorąco oddani służbie przypominającej im lata młodości, spędzone pod koniec XIX wieku w koloniach.

W zatoczkach, ujściach rzek i portach morskich zaroilo się od jednostek desantowych, kutrów i statków. Z ich kominów unosił się dym; na sznurach rozciągniętych nad ładowniami suszyła się bielizna; wokół kadłubów widoczne były plamy ropy oraz resztki jedzenia, wyrzucane przez załogi. Niemieckie samoloty rozpoznawcze robiły zdjęcia, na których widać było 400 jednostek floty inwazyjnej. Jednakże nawet pod najsilniejszym szkłem powiększającym najlepszy niemiecki oficer, analizujący zdjęcia, nie mógłby dostrzec, że okręty zrobione są z płótna rozciągniętego na drewnianych szkieletach, a unoszą się na wodzie dzięki pływakom z beczek po oleju. Wszystkie powstały w pracowniach wytwórni filmowej w Sheppertonie pod Londynem.

Dodatkowym elementem dezorientującym był hałas w eterze, którego Niemcy słuchali bardzo uważnie. Co pewien czas nierozważnym radiotelegrafistom FUSAG wrywały się meldunki: "1/5 Queen's Royal Regiment melduje o kilku cywilnych kobietach, prawdopodobnie nie upoważnionych, w wagonie bagażowym. Co mamy z nimi zrobić? Zabrać je do Calais?" FUSAG - armie, których nie było - przejęły część łączności radiowej 21. Grupy Armii. Z rejonu jej stacjonowania w Portsmouth przeciągnięto kable do Dover i tam ustawiono anteny. Niemieckie stacje pelengacyjne lokalizowały nadajniki 21. Grupy Armii jako nadajniki FUSAG, a stacje nasłuchowe przypisywały nie istniejącym jednostkom meldunki wysyłane przez rzeczywiste jednostki.

Lokalna prasa zamieszczała listy księży, oburzonych "upadkiem moralności", wywołanym wtargnięciem do miejscowych społeczności dużej liczby żołnierzy, "zwłaszcza amerykańskich spadochroniarzy oraz francuskich i polskich pancerniaków". Jedna z kobiet skarżyła się, że "prezerwatywy zaśmiecają okolicę w rejonie baz spadochroniarzy amerykańskich w Marham i Coggeshall".

Brytyjskie dowództwo potrzebowało jednak ostatecznego argumentu, który przekonałby Niemców, że inwazja nastąpi w rejonie Pas de Calais: Taką opinię powinien wyrazić człowiek, którego autorytetu nikt nie śmiałby podważyć. Był nim generał Hans Cramer, ostatni dowódca Afrika Korps. Dostał się on do niewoli w maju 1943 r. i z Afryki Północnej przewieziono go do obozu w Anglii. Tam się okazało, że stan jego zdrowia pogarsza się w szybkim tempie, więc Brytyjczycy zgodzili się na odesłanie go do Niemiec. W maju 1944 r. z obozu w południowej Walii przewieziono go do Londynu. Była to dziwna podróż; przebiegała bardzo okrężną trasą, prowadzącą przez okolice Portsmouth, gdzie stacjonowały jednostki 21. Grupy Armii. Generał mógł obserwować maszerujące

oddziały żołnierzy, sznury ciężarówek, zmierzające w kierunku portów, magazyny z zaopatrzeniem i cysterny z paliwem, ale nie mógł dostrzec żadnej tablicy z nazwą miasta, ani jednego drogowskazu - usunięto je przed paru laty, gdy Anglia szykowała się do odparcia niemieckiej inwazji. Gdzieś natomiast ustawiono fałszywe tablice, które miały zasugerować generałowi Cramerowi, że znajduje się w rejonie Dover, a nie Portsmouth.

Po drodze jeniec jadł lunch z "głównodowodzącym FUSAG", generałem Pattonem, i dowódcami kilku dywizji, z których dwóch - nie zachowując należytej ostrożności - wspomniało, że ich żołnierzy czeka walka w rejonie Calais.

23 maja 1944 r. general Cramer dotarł na pokładzie szwedzkiego statku Gripsholm do jednego z niemieckich portów, skąd pojechał prosto do Berlina. Został przyjęty przez generała Kurta Zeitzlera, szefa sztabu, któremu zapewne zrelacjonował dokładnie podróż przez Anglię...

Po krótkiej kuracji został przydzielony do sztabu generała Geyra von Schweppenburga jako doradca. Wrażenia, jakie wywiózł z Anglii, przekonanie, że widział wojska grupy armii Pattona, musiały wpłynąć na decyzje ludzi odpowiedzialnych za przygotowanie wojsk niemieckich do odparcia inwazji.

Gdzie i kiedy

18 maja 1944 r. wojskowe kolumny, z których wiele rozciągało się na 100 kilometrów, rozpoczęły powolne przemieszczanie się z rejonów zgrupowań do portów Kornwalii, Devonu, Somerset, Gloucestershire, Wiltshire, Dorsetu, Sussexu i Surrey.

Dniem i nocą na wąskich drogach warczały silniki bedfordów i studebakerów, załadowanych żołnierzami, skrzyniami z amunicją, beczkami z paliwem i olejami. Ambulanse, jeepy z karabinami maszynowymi, ciągniki artyleryjskie, czołgi, dziesiątki typów najrozmaitszych pojazdów zmierzały na południe. Rozpoczynała się decydująca faza przygotowań. Dowództwo wojsk inwazyjnych musiało się upewnić co do wiedzy Niemców o terminie i celu uderzenia. Eisenhower miał pełną świadomość, iż informacja z Francji, że stacjonujące tam niemieckie dywizje przemieszczają się w rejon planowanej inwazji, oznaczałaby konieczność odwołania wielkiej akcji.

29 maja z Francji napłynęły niepokojące sygnały: 91. dywizja, przygotowana do zwalczania desantu powietrznego, oraz 6. pułk spadochronowy zostały przemieszczone w rejon St. Mere-Eglise, gdzie alianci planowali zrzucić spadochroniarzy.

Głównodowodzący alianckimi siłami powietrznymi, generał Leigh-Mallory, w liście do generała Eisenhowera ostrzegł, że przemieszczenie 91. dywizji do rejonu planowanego zrzutu rodzi niebezpieczeństwo zdziesiątkowania spadochroniarzy i zestrzelenia ok. 50% samolotów biorących udział w akcji. Brytyjski Połączony Komitet Wywiadu (British Joint Intelligence Committee) nadesłał raport stwierdzający, że:

Główne uderzenie jest oczekiwane [przez Niemców - BW] na północnym wybrzeżu Francji od Boulogne do Cherbourga włącznie. (...) Istnieją dowody, że obszar Le Havre-Cherbourg [a więc rejon planowanej inwazji - BW] uznawany jest za możliwy, a nawet pewny uderzenia.

Decyzja należała do jednego człowieka - generała Eisenhowera. Nie uwierzył on w ostrzeżenia. Oparł się jedynie na informacjach wywiadu, wskazujących, że Niemcy nie spodziewają się uderzenia w Normandii. Taka była opinia francuskiego ruchu oporu, który rozmieścił swoich ludzi w najlepszych miejscach, skąd można było obserwować ruch niemieckich jednostek - w... pralniach. Każdy oddział Wehrmachtu w czasie przewidzianym regulaminem musiał oddać do prania pościel i bieliznę żołnierzy. Gdy nadchodził rozkaz wyjazdu, a bielizna nie była gotowa, w pralni zjawiał się żołnierz i zostawiał adres, pod którym należało odesłać czyste rzeczy. Żaden z francuskich agentów ulokowanych w pralniach nie zameldował o takiej sytuacji. Dywizje pancerne pozostawały więc na swoich miejscach - daleko od plaż Normandii.

W niedzielne popołudnie 28 maja 1944 r. Hitler wszedł do sali konferencyjnej swojej willi "Berghof" w Berchtesgaden. Podkrążone oczy i ziemista cera wskazywały, że nie czuł się dobrze. Od kilkunastu dni osobisty lekarz, doktor Morel, aplikował coraz silniejsze środki nasenne lub pobudzające, by utrzymać fuhrera w znośnej kondycji.

Baron Oshima, ambasador japoński, jeszcze nie przybył i Hitler, oczekując na niego, krążył

nerwowo po pokoju, aż wreszcie skierował się do dużego hallu, z którego prowadziły drzwi na kamienny taras. Stał obok wyprężonych na baczność esesmanów w czarnych galowych mundurach. U wylotu drogi widocznej z tarasu pojawił się czarny mercedes.

- To nasz japoński gość - powiedział stojący obok fuhrera generał Jodl. Hitler zszedł nieco niżej, aby powitać ambasadora, który wysiadł z samochodu.

W ostatnich miesiącach przedstawiciel rządu Jego Cesarskiej Mości był dość częstym gościem Hitlera, który uważał, że wymiana informacji o wysiłkach wojennych obu państw ma istotne znaczenie.

Po krótkim powitaniu, gdy baron kłaniał się, przytrzymując szablę przypiętą do boku, rozmówcy przeszli do sali konferencyjnej. Hitler lubił zapraszać swoich gości do reprezentacyjnego pomieszczenia willi "Berghof", z którego rozciągał się wspaniały widok na Alpy.

Rozmowa skoncentrowała się na przewidywanej inwazji. Oshima był szczególnie zainteresowany tym tematem, gdyż zdawał sobie sprawę, że porażka aliantów może spowodować w Stanach Zjednoczonych głębokie zmiany, w wyniku których nowy prezydent zajmie się wyłącznie wojną na Pacyfiku, uznając Europę za drugorzędny front.

- Alianci uderzą w tym rejonie - Hitler wskazał na mapie rejon Pas de Calais. - Mają aż nadto powodów, aby inwazji dokonać tutaj. Oczywiście mogą podejmować ataki odwracające naszą uwagę. Sądzę, że taka pozorna inwazja nastąpi w rejonie Le Havre-Cherbourg. Nie uda im się jednak wprowadzić nas w błąd. Będziemy cierpliwie czekać, aż ich główne siły uderzą w innym miejscu, trafiając pod gaśienice naszych czołgów.

Dwa dni później brytyjska stacja nasłuchowa przechwyciła depezę barona Oshimy, wysłaną z Berlina do Tokio. Kryptolodzy pracujący w Bletchey Park szybko ją odszyfrowali. Baron informował swój rząd o wynikach rozmów w "Berghofie", z których wynikało, że Niemcy oczekują inwazji w rejonie Pas de Calais.

Jedynie feldmarszałek Erwin Rommel i jego oficer wywiadu pułkownik Anton Staubwasser przewidzieli intencje aliantów. 31 maja ci dwaj ludzie spotkali się w gabinecie Rommla w Chateau de La Roche Guyon.

- Aliantów nie stać na to, żeby zorganizować dwa lądowania wojsk inwazyjnych - twierdził Rommel. - Nie będzie żadnych "kilku lądowań lub akcji pozornych", jak to przewiduje OKW. Nastąpi jedno uderzenie, najprawdopodobniej w rejonie ujścia Sommy lub Sekwany.

- Zarówno OKW, jak i OB-West przewidują, że inwazja rozpocznie się od desantu powietrznego, który nastąpi o świcie lub za dnia, a główne akcje desantu morskiego zostaną przeprowadzone w ciemności, w czasie przypływu. - Staubwasser cytował tajny dokument nadesłany z kwatery feldmarszałka Rundstedta.

- Bzdura! - Rommel wstał z fotela. - Okręty desantowe będą mogły dotrzeć do brzegu tylko wtedy, gdy saperzy utorują im przejścia wśród zapór podwodnych, a to można zrobić jedynie w

czasie odpływu, gdy widać zapory. Dlatego możemy być pewni, że jednostki desantu powietrznego wylądują w nocy, aby chronić skrzydła desantu morskiego, natomiast główne siły dobiją do brzegu o świcie.

- Pozostaje pytanie: kiedy? - Staubwasser odłożył niewiele warte dokumenty OB-West.

- Alianci mogą uderzyć w każde miejsce, jakie tylko sobie wybiorą, ale jeśli chodzi o czas, muszą podporządkować się pogodzie. Potrzebne im co najmniej sześć dni dobrej pogody...

- ... a w czerwcu będą tylko dwa okresy, gdy wszystkie warunki będą aliantom sprzyjać - Staubwasser uzupełnił słowa Rommla. - Między 5 a 7 oraz między 12 a 14 tego miesiąca.

- Wtedy właśnie możemy spodziewać się uderzenia - mówił dalej Rommel. - Dla nas najistotniejsze jest odzyskanie możliwości jak najszybszego rzucenia do walki wszystkich dywizji pancernych. Muszę spotkać się z Hitlerem i przekonać go, że jest to sprawa najważniejsza.

- Miejmy nadzieję, że sentyment, jaki fuhrer żywi do pana, feldmarszałku, przesądzi o pańskim zwycięstwie.

- Obawiam się, że w ostatnich miesiącach Hitler kieruje się wyłącznie sentymentami, a nie rzeczową oceną sytuacji. - Rommel powiedział te słowa z wyraźną ironią. - Pojadę do Berchtesgaden, gdy tylko uznamy, że pogoda wyklucza możliwość inwazji.

Decyzję swą feldmarszałek zrealizował 5 czerwca, uznając, że pogoda jest tak zła, iż alianci mogą wyjść w morze dopiero za tydzień. Z niewiadomych powodów nie dotarł do niego meldunek pułkownika Reilego o nadaniu przez angielską radiostację sygnału alarmowego dla francuskiego ruchu oporu.

1 czerwca od godziny 13.30 do 14.30 radiostacja w Daventry kilkakrotnie wysłała do pięciu oddziałów partyzanckich pierwsze słowa wiersza Paula Verlaine'a.

Pułkownik Oscar Reile wiedział, że jest to sygnał do podjęcia przez Francuzów przygotowań do przyjęcia inwazji. Natychmiast wysłał (w 23 kopiach) raporty do OKW, Fremde Heere West, naczelnego dowództwa OB-West, dowódców grup armii oraz armii stacjonowanych na terenie Francji, Belgii, Holandii i Danii.

2 czerwca o godzinie 7.55 w kwaterze generała Jodła meldunek został odebrany przez kapitana Henkela, który zanotował ten fakt w odpowiednich dokumentach, nie przekazując dalej informacji.

3 czerwca niemieckie stacje nasłuchowe we Francji zarejestrowały między 12.00 i 14.30 drugą część wiersza Verlaine'a, nadaną piętnastokrotnie przez radiostację w Daventry.

Reile natychmiast wysłał raporty. Dołączył do nich notatkę:

Podobnie jak dotychczas, Unia Skalda-Normandia-Bretania uważana jest za najbardziej prawdopodobny teren ataku, jakkolwiek natychmiastowa inwazja nie jest jeszcze oczywista.

4 czerwca o 11.37 w biurze Jodła raport przyjął major Cranz. Z nieznanego powodu nie przekazał go jednak szefowi.

W biurze pułkownika Roennego w Zossen ostrzeżenie utkwilo gdzieś w stercie papierów.

W kwaterze Rundstedta we Francji raport dotarł do rąk pułkownika Wilhelma Meyer-Dietringa, który natychmiast powiadomił oficerów wywiadu w armiach dwóch grup armii.

W 15. armii, stacjonowanej w rejonie Calais, podpułkownik Helmuth Meyer zaraz po odszyfrowaniu raportu schował go do teczki i wyruszył na poszukiwanie dowódcy armii, generała Hansa von Salmutha. Zgodnie z informacją adiutanta, znalazł go na przyjęciu, gdzie generał grał w brydża.

- Dobrze, ogłoście Alarmstufe II [stan najwyższej gotowości bojowej - B W], ale nie widzę specjalnych powodów do niepokoju. Za stary ze mnie wyjadacz - skwitował generał treść meldunku i wrócił do gry.

Wkrótce 15. armia była gotowa do odparcia alianckich wojsk inwazyjnych, gdyby wylądowały one w okolicach Calais.

7. armia, stacjonowana w Normandii, nie została postawiona w stan pogotowia. W St. Ló oficerowie sztabu 84. korpusu brali udział w urodzinowym przyjęciu dowódcy, generała Ericha Marcksa. W Le Mans, gdzie znajdowała się siedziba dowództwa, nie było generała Friedricha Dollmanna, gdyż wyruszył on, podobnie jak wielu dowódców dywizji, na ćwiczenia sztabowe do Rennes. Przed wyjazdem nakazał szefowi sztabu, generałowi Maxowi Pemselowi, odwołanie próbnego alarmu, wyznaczonego na noc z 5 na 6 czerwca, gdyż - jak stwierdził - "żołnierze potrzebują snu".

Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego żołnierze armii wyznaczonej do obrony brzegów Normandii zostali zerwani z łóżek dopiero 6 czerwca o 2.15. Po wojnie pułkownik Staubwasser zeznał przed amerykańską komisją:

Okolo godziny 22.00 oficer sztabowy z 15. armii poinformował mnie przez telefon, że przechwycono jedno z kodowych słów [fragment wiersza Verlaine'a - B W] i że z tego powodu 15. armia postawiła w stan gotowości swoich żołnierzy. Natychmiast przekazałem tę informację Speidlowi, [* Gen. Hans Speidel - szef sztabu Grupy Armii "B".] ale uwzględniając, że dowództwo Grupy Armii, J3" **nie miało żadnych** (podkreślenie Staubwassera) wskazówek, na podstawie których można byłoby ocenić znaczenie przechwyconych słów, rozkazał mi on uzyskanie decyzji [o ogłoszeniu alarmu - BW] z kwatery głównej Rundstedta.*

Najciekawsze, że generał Speidel przekazał ten rozkaz pułkownikowi Staubwasserowi w czasie przyjęcia, którego uczestnicy - członkowie antyhitlerowskiej organizacji "Schwarze Kapelle" - dyskutowali 22-stronicowy projekt zawieszenia broni, przygotowany podobno na żądanie feldmarszałka Rommla.

Pułkownik Staubwasser skontaktował się natychmiast z kwaterą feldmarszałka Rundstedta, ale tam “oficer sztabowy” przekazał mu rozkaz OB-West, powstrzymania się od alarmowania oddziałów.

Kim był ten “oficer sztabowy”? Czyżby alianckim agentem, który w decydującej chwili nie dopuścił do ogłoszenia alarmu? Nie wiemy tego do dziś. Adolf Hitler był przekonany, że to generał Speidel zdradził i nie postawił w stan gotowości bojowej jednostek 7. armii. Został aresztowany przez gestapo, ale udało mu się uratować życie, a w wiele lat po wojnie mianowano go wysokim urzędnikiem NATO. Czyżby w uznaniu zasług w gorącą noc 6 czerwca?...

D-Day

Jedenaście minut po północy porucznik Noel Poole wysunął się przez luk w podłodze stirlinga lecącego na wysokości 3 tysięcy stóp nad półwyspem Cotentin. Spadał przez chwilę jak kamień w czarną przepaść, aż poczuł gwałtowne szarpnięcie. To automatycznie rozwijający się spadochron przywrócił mu poczucie rzeczywistości.

Tuż nad nim, po lewej i prawej stronie, rozwinęły się trzy kolejne spadochrony skoczków grupy "Titanic". Po 5 minutach wszyscy wylądowali bezpiecznie na łące w pobliżu drogi prowadzącej do odległego o 8 kilometrów St. Lô.

Kilkanaście minut później do czterech skoczków, wypakowujących broń i amunicję z brezentowych pojemników, dołączyło 4 następnych spadochroniarzy. Razem zaczęli poszukiwać dużych skrzyń, również zrzuconych na spadochronach. Nie minęło pół godziny, gdy niebo nad ich głowami pokryły setki spadochronów. Każdy, kto obserwowałby tę scenę, musiałby uznać, że alianci przystąpili do zmasowanego desantu oddziałów, których zadanie polegało na opanowaniu St. Lô. Jedyne z bliska można było dostrzec, że z samolotów zrzucono gumowe 60-centymetrowe lalki, które po uderzeniu o ziemię wydawały odgłos imitujący ogień karabinowy prawdziwych spadochroniarzy.

Porucznik Poole i jego grupa zamontowali głośniki emitujące dźwięki wybuchających pocisków, strzelających moździerzy, odgłosy komend dowódców i okrzyki żołnierzy. Po trzydziestu minutach Poole i pozostali żołnierze porzucili aparaturę i rozpoczęli odwrót.

Podobne "desanty", przeprowadzone w kilkunastu innych miejscach, spełniły zamierzone zadanie: niemieckie oddziały, przeświadczone, że rozpoczyna się walka, zajęły pozycje obronne. Zabrakło ich w miejscach, gdzie rzeczywiście wylądowali alianccy spadochroniarze. Gumowe kukły zmyliły nawet głównodowodzącego wojskami niemieckimi na Zachodzie.

Feldmarszałek Gerd von Rundstedt poszedł spać o 23.00. W jego kwaterze nie spodziewano się tej nocy problemów, gdyż zła pogoda wydawała się przekreślać możliwość inwazji. Najwyżsi niemieccy oficerowie byli przekonani, że żaden dowódca nie wydałby rozkazu wyjścia okrętów w morze przy wietrze, którego siła przekraczała 6 stopni w skali Beauforta.

O godzinie 2.15 w kwaterze von Rundstedta zadzwonił telefon. Szef sztabu 7. armii, generał Pemsel, informował o desantach spadochronowych.

Kilkanaście minut później USS Bayfeld, na którego pokładzie płynął dowódca oddziałów, mających atakować plażę oznaczoną kryptonimem "Utah", rzucił kotwicę w odległości 11,5 mili od brzegu. O 2.51 USS Ancon, okręt dowodzenia jednostkami amfibijnymi, zakotwiczył w odległości 11 mil od plaży określonej przez Amerykanów kryptonimem "Omaha".

O 2.55 generał Pemsel przekazał do kwatery von Rundstedta informację, że z morza na wschód od Cotentin dobiega hałas silników okrętowych (chodziło o USS Ancon), a w rejonie Cherbourga dostrzeżono kilka nieprzyjacielskich okrętów. Rundstedt, wyrwany z głębokiego snu, w szlafroku przechadzał się po gabinecie.

- Nie mam pewności, czy nie jest to główna operacja aliantów - powiedział do generała Bodą Zimmermanna, który nie zdążył położyć się spać, gdyż na tę noc zaplanował sobie urlop, ale nie odjechał daleko; adiutant szybko go odnalazł. - Proszę udać się natychmiast do Berchtesgaden i przedstawić sytuację w kwaterze fuhrera.

Feldmarszałek wziął prysznic i wypił filiżankę mocnej kawy. O 3.15 wszedł do pokoju operacyjnego, aby na bieżąco obserwować rozwój wydarzeń - na podstawie meldunków nanoszonych na mapy przez dyżurnych zbierających informacje z całego wybrzeża.

Już po godzinie zorientował się, że desant spadochronowy był początkową fazą wielkiej operacji inwazyjnej. Wiedział, że skierowanie do boju dywizji pancernych przesądzi o rozwoju sytuacji. Gdyby czołgi wyruszyły natychmiast, to w ciemnościach - chroniących je przed samolotami - szybko dotarłyby do miejsca lądowania wojsk alianckich...

O godzinie 4.05, na dwie godziny przed wschodem słońca, z amerykańskich okrętów w rejonie "Omaha" żołnierze zaczęli przesiadać się do pojazdów amfibijnych i jednostek desantowych.

Feldmarszałek wahał się. Zdawał sobie sprawę, że rozkaz skierowania dywizji pancernych do walki z desantem może mieć dla niego bardzo poważne konsekwencje. Jednakże o 4.30 rozkazał dwóm dywizjom: 12. SS "Hitler Jugend" stacjonowanej między Paryżem i Caen - oraz Panzer Lehr (między Orleans i Caen) wyruszyć w stronę wybrzeża Normandii. Jednocześnie wydał rozkaz dowódcy 12. dywizji SS, generałowi Kurtowi Meyerowi, aby połowę sił skierował na północ od Lisieux w celu zniszczenia spadochroniarzy. Nie domyślał się nawet, że nie było tam żadnych spadochroniarzy, a jedynie gumowe kukły...

Mimo rozproszonych sił jednostki pancerne, które zmierzały do Normandii, stanowiły siłę wystarczającą do zmiecenia żołnierzy zbiegających z okrętów desantowych.

O 5.30 alianckie okręty, które zajęły pozycje wzdłuż 60-milowego odcinka wybrzeża, rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich punktów dowodzenia i stanowisk ciężkiej artylerii. 600 okrętów salwa po salwie wstrzeliwało się w bunkry.

O 6.30 pierwsze dwadzieścia okrętów desantowych LCVP (Landing Craft, Vehicle or Personnel) - z których każdy przewoził 30 żołnierzy z 8. pułku 4. dywizji - otworzyło rampy w odległości około 90 metrów od plaży oznaczonej kryptonimem "Utah". Żołnierze zeskakiwali do morza i brnąc po pas w wodzie, zbliżali się do brzegu.

Opór niemiecki był znikomy, gdyż kilkanaście minut wcześniej bomby i działka 276 bombowców B-26 Marauder zniszczyły najsilniejszy punkt oporu - bunkier W5, uzbrojony w 5 dział.

Feldmarszałek von Rundstedt nie był pewny, czy właściwie ocenia sytuację. A jeżeli meldunki o zbliżaniu się floty inwazyjnej do Normandii są wynikiem sprytnego podstępu aliantów, zastosowanego po to, aby ściągnąć tam główne siły niemieckie, gdy właściwa inwazja rozpocznie się gdzie indziej? Był przekonany, że atak nastąpi w Pas de Calais. Nie chciał brać na siebie ciężaru

odpowiedzialności i do OKW wysłał meldunek:

OB-West zdaje sobie sprawę, że jeżeli [podkreślenie moje - BW] jest to nieprzyjacielska operacja na pełną skalę, to może być ona zniszczona jedynie przez bezpośrednią akcję naszych sił. To wymaga zaangażowania tego dnia dostępnych strategicznych rezerw (...) 12. dywizji SS i Panzer Lehr. Jeżeli wyruszą szybko, mogą przystąpić do bitwy na wybrzeżu w ciągu dnia.

Oficer dyżurujący w OKW nie odważył się jednak obudzić generała Jodła.

W rezydencji Hitlera w Berchtesgaden admirał Karl Jesko von Puttkamer odebrał telefon z OKW, około 5.00, i dowiedział się, że nadszedł "niejasny meldunek o jakiejś próbie inwazji we Francji". Puttkamer zdecydował się nie budzić Hitlera, gdyż niewiele miał mu do powiedzenia, poza tym istniała obawa, że obudzenie wodza o tej porze spowoduje jedną z nie kończących się scen, które często prowadziły do podejmowania najdzikszych decyzji.

Tymczasem niemieckie dywizje pancerne, zgodnie z rozkazem feldmarszałka von Rundstedta, zbliżyły się do normandzkiego wybrzeża.

O godzinie 6.00 obudził się Jodl, którego natychmiast poinformowano o napływających meldunkach: że we Francji nastąpiła inwazja i feldmarszałek von Rundstedt rzucił do walki dwie dywizje pancerne. Jodl wpadł we wściekłość. Był przekonany, że inwazja nastąpi w rejonie Pas de Calais i tam należy skierować odwody pancerne. Wydał rozkaz natychmiastowego zatrzymania czołgów. O 7.30 osobiście poinformował o tym Rundstedta. Ten mógł odwołać się tylko do Hitlera. Nie zrobił tego jednak. Być może dlatego, że miał bardzo słaby słuch i korzystał z telefonu najrzadziej, jak mógł. Być może dlatego, że nienawidził Hitlera i uważał, że feldmarszałkowi nie wolno się poniżać telefonowaniem do kaprała.

W sytuacji gdy Jodl zatrzymał dwie dywizje, w Normandii do walki z amerykańskimi, kanadyjskimi i brytyjskimi oddziałami wychodzącymi na brzeg mogło stanąć 146 czołgów i 51 dział samobieżnych 21. dywizji pancerniej, zamiast 500 czołgów, 100 dział samobieżnych oraz 40 tysięcy grenadierów pancernych trzech dywizji.

Hitler obudził się o 10.00. Do jego pokoju weszli admirał Puttkamer i drugi adiutant, generał Rudolf Schmundt. Przynieśli mapę północnego wybrzeża Francji z naniesionymi znakami, obrazującymi rozwój sytuacji w ciągu ostatnich godzin. Hitler, ubrany w szlafrok, wysłuchał ich uważnie i nakazał wezwać feldmarszałka Wilhelma Keitla, szefa naczelnego dowództwa Wehrmachtu, oraz generała Jodła. Stawili się po kilku minutach. Jodl wyjaśnił, że wydał już rozkaz zatrzymania dywizji pancernych, uruchomionych przez Rundstedta.

- Aprobuję tę decyzję - powiedział Hitler. - Użycie rezerw strategicznych musi poczekać na wykrystalizowanie się sytuacji.

Tę opinię powtórzył kilkakrotnie.

Na Zachodzie tymczasem 1600 pojazdów pancernych z napełnionymi zbiornikami i załadowanych amunicją na darmo oczekiwało rozkazu wyruszenia do Normandii.

Około 11.00 pułkownik Roenne został powiadomiony, że w czasie porannej narady Hitler nakazał przygotowanie oceny sytuacji we Francji. Pułkownik zebrał ostatnie meldunki, jakie nadeszły od agenta "Arabel", i zamknął się w swoim gabinecie, aby do 12.00, na którą wyznaczona była konferencja w "Berghofie", przygotować raport.

Siły użyte w inwazji stanowią relatywnie małą część dostępnych sił alianckich. Z 60 dużych formacji [dywizji - BW], stacjonowanych w południowej Anglii, wydaje się, że użyto zaledwie 10 lub 12, w tym powietrznodesantowe - pisał pułkownik Roenne. I ostrzegł: - Żadna z jednostek First United States Army Group, składająca się z ok. 25 dużych formacji, stacjonowanych na północ i południe Tamizy, nie została dotychczas użyta. To wskazuje, że wróg planuje dalszą, na pełną skalę, operację w rejonie kanału La Manche, jedna z nich może być oczekiwana w sektorze Pas de Calais.

Biuletyn zawierający tę notatkę wręczono uczestnikom konferencji, która rozpoczęła się w zamku Klessheim, dość daleko od ośrodków dowodzenia Wehrmachtem. O wyborze tego miejsca zdecydował rozkład zajęć Hitlera, który tam właśnie podejmował nowego premiera Węgier, generała Dome Sztójaj. Z tego też powodu fuhrer nie dotrwał do końca narady; musiał powitać gościa.

Jednakże tuż po godzinie 14.00 Hitler wyszedł z sali, w której podano uroczysty obiad na cześć węgierskiego gościa, aby polecić generałowi Schmundtowi przekazanie zgody na użycie dwóch dywizji pancernych; z zastrzeżeniem, że nie wolno użyć do walki w Normandii żadnej z jednostek 15. armii z Pas de Calais.

Około 16.00 czołgi i działa samobieżne dwóch dywizji pancernych rozpoczęły ponowny marsz w stronę normandzkich wybrzeży. Straciły prawie 12 bezcennych godzin, podczas których - korzystając z osłony ciemności, a później porannych mgieł, chroniących przed alianckimi samolotami - mogły szybko dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Obecnie ich szansę na rychłe przemieszczenie były znacznie mniejsze.

Samoloty alianckie przystąpiły do blokowania wszelkich dróg, jakie pozostały po wysadzeniu przez ruch oporu mostów i torów kolejowych.

Generał Eisenhower zdecydował się wprowadzić w życie plan opracowany przez generała Montgomery'ego, a określany stworzeniem "duszących punktów" ("choke points"). Początkowo dowództwo amerykańskiej 8. armii lotniczej protestowało przeciwko zniszczeniu miast leżących na trasie przejazdu niemieckich czołgów, jednakże musiało ustąpić wobec rozkazu głównodowodzącego - generała Eisenhowera.

Francuskie miasta i wsie zostały obrzucone gradem amerykańskich bomb. Wieś Bocage, licząca 1500 mieszkańców, została starta z powierzchni ziemi. St. L6 zamieniono w kupę gruzów. W sześciotysięcznym Coutances bomby "latających fortów" oszczędziły tylko piękną katedrę neogotycką. Również w Lisieux ocalała jedynie katedra. Podobny los spotkał dziesiątki normandzkich miast.

Czołgi z trudem przedzierały się przez gruzy, musiały godzinami oczekiwać, aż saperzy utworzą przejazd w stertach ruin blokujących ulice, albo kierowały się na wielokilometrowe objazdy. Ruch 500 czołgów i około 50 tysięcy żołnierzy został spowolniony, a każda godzina dawała aliantom szansę na wzmocnienie sił, ściągnięcie większej liczby dział przeciwpancernych, amunicji, czołgów, ciężkiej artylerii.

W tej sytuacji najniebezpieczniejsze dla wojsk inwazyjnych pozostawały oddziały 15. armii w Pas de Calais. Mogły one w ciągu jednego dnia dotrzeć do Normandii. Należało więc za wszelką cenę umocnić Hitlera w przekonaniu, że desant w Normandii jest pułapką, a właściwe uderzenie nastąpi w Pas de Calais, gdy tylko stacjonowane tam oddziały zostaną skierowane do wsparcia jednostek walczących w Normandii.

8 czerwca 1944 r. radiostacja w Paryżu odebrała szyfrogram nadany pr/ez "Andre" z Londynu. Kilkanaście minut później w Zossen pułkownik Roenne otrzymał odszyfrowany tekst:

Na własne oczy widziałem, jak oddziały grupy armii Pattona przygotowują się do wyruszenia z rejonów zgrupowań do portów na wschodnim i południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Według słów generała Pattona, operacja odwracająca uwagę w Normandii rozwija się dobrze i w tej sytuacji nadszedł czas, aby przystąpić do akcji w rejonie Calais.

Pułkownik Roenne nie miał powodów, by wątpić w meldunek agenta "Andre", który kilka tygodni wcześniej został mianowany oficerem łącznikowym przy dowództwie FUSAG, a więc miał bezpośredni dostęp do najważniejszych decyzji podejmowanych przez generała Pattona.

Roenne kazał przynieść wszystkie materiały, które w ciągu ostatnich kilku dni zebrano na temat FUSAG. Gdy na biurku pojawiła się gruba teczka, wyjął z niej kilka wycinków z prasy angielskiej, informujących, że 9 i 10 czerwca do zamku w Dover przybędzie szef Sztabu Generalnego US Army, generał George Marshall. Bez wątpienia, takie wydarzenie łączyło się z czymś szczególnym. A co szczególnego działo się w tych dniach? Oczywiście - wyruszenie oddziałów FUSAG do walki.

Teczka zawierała również raport z rozpoznania lotniczego. Z analizy zdjęć wynikało, że w Orwellu i Debenie następuje koncentracja okrętów inwazyjnych. Nasłuch radiowy meldował o gwałtownym zaniku normalnej łączności, co z reguły poprzedzało wyruszenie oddziałów do akcji. Pułkownik Roenne wysłał depezę do wszystkich dowódców wojsk niemieckich na Zachodzie:

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, główna operacja inwazyjna na wybrzeżu belgijskim jest oczekiwana 10 czerwca. Wycofanie jednostek z rejonu 15. armii jest niewskazane.

Następnego dnia, tuż przed południową konferencją Hitlera z najwyższymi dowódcami, do "Berghofu" zadzwonił pułkownik Roenne. Telefon odebrał pułkownik Friedrich-Adolf Krummacher, oficer wywiadu podlegający bezpośrednio Hitlerowi.

- Musi pan przekazać fuhrerowi - mówił Roenne, wyraźnie podekscytowany - że decyzja skierowania do Normandii jednostek 15. armii będzie niewybaczalnym błędem. Nasłuch radiowy przechwycił właśnie depezę dla belgijskiego ruchu oporu, nakazujące podjęcie na masową skalę działań sabotażowych nocą z 9 na 10 czerwca. Musi pan też poinformować fuhrera, że najnowsze doniesienia wywiadu wskazują, iż wróg jest już gotowy do rozpoczęcia wielkiej operacji inwazyjnej.

- Oczywiście. Zaprezentuję pański punkt widzenia z pełnym zaangażowaniem z mojej strony - zapewnił Krummacher odkładając słuchawkę. Nie była to pusta obietnica, która miała uspokoić

podeksycytowanego szefa Fremde Heere West. Oficer wywiadu Hitlera również był przekonany, że alianci uderzą w rejonie Calais.

Hitler bardzo uważnie wysłuchał opinii Jodła i raportu Roennego. Zdecydował jednak, że nie podejmie decyzji w sprawie użycia jednostek 15. armii wcześniej niż podczas konferencji o północy. Tak więc najbliższe 12 godzin miało przesądzić o losach inwazji.

Tuż przed konferencją generał Jodl przekazał Hitlerowi meldunek, który nadszedł z Madrytu od generała Ericha Kuhlenthala, kierującego najcenniejszymi agentami niemieckimi w Wielkiej Brytanii (w tym również "Andrem").

- Sądzę, mein Fuhrer, że w obecnej sytuacji jest to dokument szczególnie ważny - powiedział Jodl, podsuwając tekturową teczkę zawierającą raport z Madrytu.

Hitler sięgnął po szkło powiększające, którego musiał używać ze względu na bardzo słaby wzrok, i zagłębił się w lekturze.

Po osobistej wymianie poglądów z moimi agentami (...) i uwzględnieniu zmasowanej koncentracji wojsk we wschodniej i południowo-wschodniej części Anglii, nie biorących udziału w dotychczasowej operacji, doszedłem do wniosku, że [normandzka - BW] operacja jest manewrem odwracającym naszą uwagę. Jej celem jest ściągnięcie naszych rezerw w rejon przyczółków, aby przeprowadzić decydujące uderzenia w innym miejscu...

Być może dokument ten zadecydował o losach wojny na Zachodzie...

Następnego dnia w Storey's Gate w centrum Londynu zebrali się najwyżsi dowódcy amerykańscy i brytyjscy, którzy pozostali jeszcze w Wielkiej Brytanii. Przybył również generał Marshall. Wszyscy doskonale rozumieli, jak ważne chwile nadeszły. Na razie rozwój sytuacji można było uznać za pełny sukces. Plany przewidywały, że czwartego dnia inwazji alianci przerzucą na wybrzeże normandzkie 16 dywizji, które będą musiały stawić czoło 21 i pół dywizji niemieckiej. Tymczasem 10 czerwca Niemcy mieli w Normandii 10 i pół dywizji. Taki był efekt zmasowanego bombardowania, zablokowania szlaków komunikacyjnych przez francuski ruch oporu i wielkiej gry wywiadu, która wprowadziła w błąd niemieckie dowództwo. Jednakże ta korzystna dla aliantów sytuacja mogła zmienić się z godziny na godzinę. Czołgi i żołnierze 15. armii potrzebowali zaledwie jednego dnia, żeby dotrzeć do Normandii.

W pewnej chwili do pokoju weszła Joan Bright - sekretarka, której pieczy powierzono najtajniejsze dokumenty. Trzymała w ręku czarną teczkę. Wszyscy rozpoznali "Black Book" - teczkę, w której przechowywano rozszyfrowane depesze "Enigmy". Miss Bright położyła teczkę na stole mówiąc, że są tam dokumenty, które mogą zainteresować zebranych.

Generał Marshall i generał Brooke podeszli do stołu. Uważnie czytali dokument i po chwili ich twarze rozjaśniły się. Teczka zawierała rozszyfrowaną depeszę, informującą o wynikach północnej konferencji w Berchtesgaden: Hitler nie tylko nie zdecydował się skierować do walki w Normandii jednostek 15. armii, lecz, przewidując rychłe uderzenie w rejonie Pas de Calais, uznał za konieczne wzmocnienie 15. armii.

Obecny w pokoju pułkownik Ronald Wingate napisał później: Wygraliśmy i cóż to był za wspaniały moment! Wiedzieliśmy, że musimy wygrać; mogły być jeszcze ciężkie bitwy, ale wygraliśmy! W pokoju nie było nikogo tak zaskoczonego jak Bevan*, [* Płk. John Bevan - b. szef organizacji dywersyjnej London Controlling Section] który zapewne nie sądził, że cała ta gra się uda. Reakcja Brooke'a*[*Gen. Alan Brooke - Szef Sztabu Imperialnego, doradca Churchilla.] była dziwna. Powiedział, że jeżeli Hitler był takim cholernym głupcem, to dlaczego tak dużo czasu zajęło nam pokonanie go. (...) Wszedł premier z Stewartem Menziesem [szefem tajnych służb - BW] i powiedział, że było to koronne osiągnięcie w długiej i chwalebnej historii brytyjskich tajnych służb - lub coś podobnego...

Pierwsza Odpowiedź

Po dotkliwej, kompromitującej klęsce w Pearl Harbor, w grudniu 1941 r., Amerykanie chwycili za broń; ale żołnierze nie umieli walczyć ani też nie byli odpowiednio uzbrojeni. Dowódcy nie mieli doświadczenia, które w Europie od wielu miesięcy zbierali walczący. Na wyspach Pacyfiku japońska potęga rozlewała się szeroką falą, zmywając amerykańskie garnizony. Generał Douglas Mac Arthur raportował z Filipin: *Sukcesy nieprzyjaciela wynikają z naszej słabości na morzu i w powietrzu. Nawodne elementy Floty Azjatyckiej zostały wycofane, a efekty działań okrętów podwodnych są bez znaczenia. Brak lotnisk dla nowoczesnych samolotów pościgowych pozwala Japończykom bombardować w dzień. Nieprzyjaciel uzyskał swobodę operacji morskich i powietrznych.*

Admirał Chester Nimitz, który 31 grudnia 1941 r. objął dowództwo Floty Pacyfiku, stosował taktykę “uderz i uciekaj”. Wypadki samolotów, startujących z lotniskowców, nie odgrywały jednak większej roli militarnej i propagandowej. Amerykanie potrzebowali sukcesu, o którym można by pisać na pierwszych stronicach wszystkich gazet.

Nalot na Tokio! To byłby sukces! Ale jak dotrzeć do stolicy Japonii? Bazy ciężkich bombowców B-1 7 były zbyt daleko, aby startujące z nich samoloty mogły dolecieć do Japonii, zrzucić bomby i powrócić na macierzyste lotniska. Poza tym wątpliwe, czy udałoby się im przedrzeć przez japońską powietrzną obronę przeciwlotniczą. Atak samolotów z lotniskowców też był mało prawdopodobny, gdyż okręty Imperialnej Marynarki patrolujące wody 400-500 mil od brzegów wyspy Honsiu utworzyły barierę nie do przezwyciężenia. Lotniskowiec poszedłby na dno, zanim zdążyłby wypuścić samoloty. Ponadto bazujące na lotniskowcach jednosilnikowe myśliwce bombardujące i bombowce zabierały tak niewielki ładunek bomb, że nie wyrządziłyby większej szkody japońskiemu miastu.

A jednak admirał Ernest J. King nie rezygnował z przeprowadzenia spektakularnej akcji. W końcu stycznia 1942 r. wezwał na naradę członków swego sztabu i kilku dowódców jednostek sił powietrznych.

- Jeżeli nie można posłać jednosilnikowych bombowców, to dlaczego nie skorzystać z bombowców o dużym zasięgu? - zapytał komandor F. Low ze sztabu admirała Kinga. Kilka dni wcześniej oglądał, jak załogi dwusilnikowych bombowców ćwiczyły zrzucanie bomb na pokład lotniskowca, wyrysowany na pasie startowym lotniska. - Mogłyby wystartować z pokładu lotniskowca, ale nie musiałyby tam wracać. Po zbombardowaniu celów w Japonii mogłyby dolecieć do Chin i tam lądować. Podobną metodę ataku zastosowano, gdy bombowce brytyjskie w 1940 r. atakowały obiekty we Włoszech, a nie mając paliwa na powrót do rodzimych baz, lądowały we Francji.

Admirałowi Kingowi spodobała się ta myśl. Powiadomił generała Henry’ego “Hap” Arnolda, głównodowodzącego siłami powietrznymi wojsk lądowych US Army Air Force. Temu zaś nie trzeba było dwa razy powtarzać. Pięćdziesięcioletni generał był entuzjastą broni powietrznej; głęboko wierzył w idee teoretyków wojny powietrznej: Włocha Giulio Douheta i Amerykanina Williama Mitchella, utrzymujących, że ciężkie bombowce, o dużym zasięgu i potężnym uzbrojeniu

obronnym, mogą przedrzeć się przez każdą zaporę i niszczyć miasta oraz zakłady przemysłowe wroga, zmusić go do kapitulacji. Milionowym armiom lądowym pozostałoby tylko zajmowanie terytorium poddających się nieprzyjaciół i likwidowanie oporu oddziałów, które chciałyby uniknąć niewoli. Generał Arnold przystał od razu na pomysł szaleńczego rajdu na Tokio i zasugerował, aby nalotu dokonały bombowce L-25 Mitchell.

Te dwusilnikowe samoloty miały zasięg 2 tysięcy kilometrów, który można było zwiększyć, instalując dodatkowe zbiorniki paliwa i usuwając z kadłubów wszystko, co nie było niezbędne. I tak zdemontowano ciężkie celowniki bombowe Norden i karabiny maszynowe tylnego strzelca, wstawiając w ich miejsca kije od szczotek, aby przestraszyć japońskich pilotów, którzy chcieliby atakować od ogona. Ładunek bomb zmniejszono do 900 kilogramów. Załogi, które ochotniczo zgłosiły się do tej misji (choć nie wiedziały, dokąd polecą), musiały opanować cyrkową sztukę startu z pasa o długości stu kilkudziesięciu metrów. Ich dowódca, weteran I wojny światowej, pułkownik James H. Doolittle, przyglądał się z niepokojem pierwszym próbom na lotnisku na Florydzie.

Na pasie startowym zaznaczono linię oznaczającą koniec pokładu lotniskowca. Samoloty, jeszcze bez bomb i ze zbiornikami paliwa napełnionymi do połowy, musiały wzbić się w powietrze dokładnie po 140 metrach. Początkowo wznosiły się daleko za wyznaczoną linią. W bojowych warunkach oznaczałoby to rozbitcie na falach oceanu. Wkrótce jednak udało się opanować tę trudną sztukę i wybrano 24 najlepsze załogi. 16 z nich dopuszczono do udziału w przygotowywanej akcji.

Na początku lutego załoga nowiutkiego lotniskowca Hornet ze zdziwieniem patrzyła, jak na pokład okrętu władowano dwa duże bombowce B-25. Wyglądały monstrualnie na wąskim pasie startowym. Odległość ich skrzydeł od krawędzi burt wynosiła tylko 1,8 metra! Najbardziej doświadczeni marynarze nie umieli wyjaśnić, po co znalazły się na pokładzie lotniskowca tak duże i ciężkie samoloty. Z jeszcze większym niedowierzaniem patrzono, jak okręt po wypłynięciu w morze w pobliżu Norfolku (Wirginia) ustawił się dziobem pod wiatr i dwa samoloty, z których każdy ważył 15 ton, wzbiły się w powietrze.

W marcu 1942 r. Hornet przeszedł przez Kanał Panamski i skierował się do portu w San Francisco. Tam w największej tajemnicy załadowano na jego pokład 16 bombowców. Nawet prezydenta nie powiadomiono o rejsie, w który wyruszał lotniskowiec. Tylko kapitan Marc A. Mitscher i 134 lotników znali cel wyprawy.

2 kwietnia 1942 r. Hornet, eskortowany przez krążowniki Vincennes i Nashville, skierował się w stronę Midway, gdzie dołączył do niego lotniskowiec Enterprise ze swoją eskortą. Jego 27 myśliwców Wildcat miało zapewnić całemu zespołowi osłonę powietrzną, gdyż myśliwce Horneta były zablokowane pod pokładem i mogły wystartować dopiero po wypuszczeniu wszystkich bombowców.

17 kwietnia okręty znalazły się w odległości około 1000 mil od Tokio. Zatankowały paliwo i pozostawiając za sobą niszczyciele i zbiornikowce, wyruszyły w stronę wyspy Hokkaido.

Następnego dnia, gdy do wybrzeża było jeszcze około 500 mil, dostrzeżono japoński okręt patrolowy. Był daleko poza pasem ochrony, stworzonym przez japońskie jednostki. Krążownik Nashville natychmiast zaczął strzelać. Kolejne salwy nie trafiały w niewielki cel i dopiero po

wystrzeleniu 938 pocisków kal. 150 mm japoński okręt poszedł na dno. Japończycy zdążyli jednak nadać radiogram ostrzegający przed amerykańskim zespołem. Co robić? Przerwać misję czy poderwać samoloty, mimo 900-kilometrowej odległości od Tokio? Admirał William F. Halsey, dowódca zespołu, zdecydował się na drugie rozwiązanie.

18 kwietnia o 8.00 pułkownik Doolittle usiadł za sterami pierwszego z 16 bombowców. Przed kabiną było tylko 140,1 metra wolnego pokładu. Silniki wyły pełną mocą, aż pilot zwolnił hamulce i samolot ruszył do przodu. Pułkownik wpatrywał się w białą linię na pokładzie, po której należało prowadzić przednie koło samolotu. Gdyby zoczył o kilkadziesiąt centymetrów, skrzydło mogło zawadzić o pomost okrętu. Wszyscy wstrzymali oddech widząc, jak obciążona bombami i paliwem maszyna toczy się po pokładzie. Start był dobrze wyliczony i bombowiec Doolittle'a dojechał do końca pasa w momencie, gdy dziób lotniskowca, uniesiony przez fale, osiągnął najwyższy punkt i zaczynał opadać, przez co działał jak katapulta, ułatwiając ciężkiej maszynie wzbicie się w powietrze. Już nad wodą samolot na moment obniżył lot, ale po chwili uniosły go silniki pracujące na maksymalnych obrotach. Doolittle wyprowadził samolot na odpowiednią wysokość i zaczął zataczać koła, oczekując na kolejne bombowce. Po godzinie i 20 minutach 16 samolotów uformowało przepisowy szyk i z prędkością 400 km/h skierowało się w stronę japońskiego wybrzeża. 13 samolotów miało zaatakować Tokio, a 3 pozostałe kierowały się do Nagoi, Kobe i Osaki.

Japończycy, zaalarmowani przez okręt patrolowy, nie śpieszyli się z postawieniem w stan pogotowia obrony powietrznej. Nie przypuszczali, że na pokładzie lotniskowca mogą znajdować się dwusilnikowe bombowce średniego zasięgu. Sądziło, iż amerykańskie okręty będą musiały znacznie zbliżyć się do wybrzeża i wyliczyli, że wrogie samoloty pojawią się nad Japonią za co najmniej 7 godzin.

Tego ranka w Tokio odbywał się próbny alarm przeciwlotniczy. Na dźwięk syren ludzie niespiesznie podążali do schronów. Widok kilkunastu bombowców nikogo nie zaniepokoił. Obsługi dział przeciwlotniczych podejrzewały, że dowództwo skierowało nad miasto samoloty, aby dodać ćwiczeniom autentyzmu.

Doolittle prowadził samolot na wysokości 450 metrów. Wypatrywał zakładów zbrojeniowych, na które powinien rzucić bomby.

- Zbliżamy się do celu - powiedział do bombardiera, sierżanta Freda Braemera, gdy dostrzegł w oddali zarys hal fabrycznych.

- Wszystko gotowe, pułkowniku - usłyszał w odpowiedzi. Po chwili na pulpicie mignęła czerwona lampka - znak, że pierwszy stukilogramowy ładunek zapalający opuścił komorę bombową. Zaraz potem lampka zamrugnęła trzykrotnie, a bombowiec, pozbawiony 900-kilogramowego ciężaru, skoczył raptownie do góry.

Doolittle, zajęty naprowadzaniem samolotu na cel, nie dostrzegł, że dookoła unoszą się białe i szare dymki rozrywających się pocisków przeciwlotniczych. Japońska obrona ochłonęła z zaskoczenia.

- Wszystko w porządku, Paul? - zwrócił się do sierżanta Leonarda.

- Wszystko w porządku - odparł zapytany.

- Mijają nas o milę - zaśmiał się Doolittle, myśląc o niecelnych strzałach japońskiej artylerii przeciwlotniczej. W tym momencie pocisk rozerwał się 100 metrów przed nimi, a odłamki przebiły w wielu miejscach kadłub, nie czyniąc jednak szkody.

- Pułkowniku, myślę, że to nie była mila - skomentował sierżant Paul Leonard, ale już mniej pewnym głosem.

- No, uciekamy stąd! - Doolittle zwiększył prędkość i obniżył lot do wysokości 30 metrów.

Wszystkie bombowce przeleciały nad Japonią bez strat. Niektóre dotarły do bezpiecznych lotnisk w Chinach; jeden skierował się do Władywostoku, a załoga została internowana przez władze radzieckie (później uciekli do Iranu).

Ośmiu pilotów, którzy wpadli w Chinach w ręce Japończyków, oskarżono o zbrodnie przeciwko ludzkości. Trzech rozstrzelano.

Doolittle miał jednak szczęście. Z Chin powrócił do USA, gdzie odznaczono go Medalem Honoru.

Szkody, wyrządzone przez samoloty z Horneta, były minimalne, ogromne natomiast było psychologiczne znaczenie rajdu. Amerykanie zyskali nadzieję, że mogą w tej wojnie zwyciężyć. Marynarka japońska została skompromitowana wpuszczeniem na swe terytorium powietrzne wrogich samolotów. Co najważniejsze zaś, dowódcy japońscy uznali, że samoloty amerykańskie startowały z bazy Midway i postanowili uderzyć na tę wyspę, aby nie dopuścić do ponownego nalotu na Tokio. Bitwa o Midway stała się zwrotnym punktem wojny na Pacyfiku.

Generał Henry Arnold był zadowolony, gdyż po udanym nalocie na Japonię zwierzchnicy i politycy łaskawiej patrzyli na jego próby stworzenia wielkiej armady powietrznej. Trzon armii lotniczej, która mogłaby wygrać wojnę z Japonią, zaczął bowiem tworzyć trzy lata wcześniej.

Narodziny Superfortecy

W 1939 roku generał Henry Arnold wystąpił do dowództwa wojsk lotniczych z propozycją zamówienia bombowca o bardzo dalekim zasięgu (VLR - Very Long Range). Szefowie US Army Air Corps uznali, że taki samolot może się przydać i opracowano parametry, jakim powinien odpowiadać; jego zasięg planowano na 5333 mile, tj. 8533 kilometrów, a prędkość i udźwig bomb miały przewyższać osiągi największego dotychczas bombowca amerykańskiego B-17.

Zakłady Boeinga - widocznie lepiej niż dowódcy amerykańskiego lotnictwa wyczuwające potrzeby nowych czasów - już wcześniej przygotowały model samolotu (Model 341), który z 12-osobową załogą miał latać na odległość 8 tysięcy kilometrów z ładunkiem dwóch ton bomb. Gdy tylko generał Arnold przesłał zamówienie, na podstawie wspomnianego modelu opracowano prototyp XB-29 i zgłoszono do konkursu, w którym wziął też udział prototyp zakładów Consolidated, B-32 Dominator. Boeing zwyciężył konkurenta.

Rozwiązania konstrukcyjne, które zastosowano w samolocie B-29, wyprzedziły czasy, w jakich powstał. Jego twórcy zdecydowali się utrzymać stałe ciśnienie w całym kadłubie, bez względu na wysokość lotu. Dotychczas rozwiązanie takie zastosowali konstruktorzy niemieccy w Ju-86, hermetyzując kabinę, aby na dużej wysokości piloci nie musieli używać masek tlenowych. Amerykanie przewidzieli hermetyzację całego kadłuba, co w wypadku bombowca wydawałoby się niemożliwe, gdyż w pewnym momencie samolot musiał otworzyć drzwi bombowe. Rozwiązano ten problem, dzieląc kadłub na 3 szczelne części: dziobową, środkową - z ładunkiem bomb, i ogonową.

Hermetyzacja kadłuba pozwalała zachować na wysokości 10 tysięcy metrów warunki, jakie panują na 3 tysiącach metrów, dzięki czemu załoga nie musiała używać masek tlenowych niewygodnych i powiększających zmęczenie.

Innym osiągnięciem był system kierowania karabinami maszynowymi. W końcu 1941 r. General Electric Company wyprodukowała niewielkie urządzenie automatycznie przeliczające odległość i wysokość celu, szybkość wiatru i temperaturę powietrza. Dzięki temu aparatowi możliwe stało się zamontowanie systemu zdalnego kierowania karabinami maszynowymi. Bombowce zostały uzbrojone w dziesięć karabinów kał. 13 mm i jedno działko kał. 20 mm. Całą tę artylerię obsługiwało tylko 4 ludzi.

W maju 1941 r., na 4 miesiące przed pierwszym lotem prototypu XB-29, zakłady Boeinga otrzymały zamówienie na 250 bombowców. Tuż po japońskim ataku na Pearl Harbor zwiększono zamówienie do 500 maszyn, a we wrześniu 1942 r. o kolejne 500.

Musiało minąć wiele długich miesięcy, nim B-29 uzyskał zdolność bojową. Trzeba było usunąć wady, których nie uniknęli konstruktorzy, ulepszyć mechanizmy, a następnie wyszkolić załogi. Czas naglił. Stacjonowane na Hawajach i Filipinach bombowce B-17 okazały się mało przydatne; w pierwszych miesiącach wojny zatopiły zaledwie dwa japońskie okręty. Straty własne natomiast były bardzo wysokie.

Generał "Hap" Arnold tworzył pośpiesznie strukturę powietrznej armii. Zorganizował XX

Dowództwo Bombowe, które miało kierować strategicznymi akcjami Superfortec 5-29.

Jesienią 1943 r. jednostki lotnicze w USA otrzymały pierwsze samoloty i na 4 lotniskach rozpoczęło się szkolenie załóg i próby.

Najwięcej kłopotów nastęrczały nowe 18-cylindrowe, chłodzone powietrzem, silniki Wright R-3350. Ich awarie były przyczyną katastrofy drugiego prototypu, który rozbił się na lotnisku, a cała załoga zginęła. W następnych miesiącach podobny los spotkał 19 innych samolotów.

W pierwszych 175 produkowanych seryjnie bombowcach trzeba było usunąć 9900 usterek.

Przeciągało się szkolenie pilotów, którzy musieli nauczyć się obsługi całkowicie nowego sprzętu. Wyszukolenie pilota trwało 27 tygodni, nawigatora - 15, tylnego strzelca - 12. Kolejne tygodnie mijały na nauce współdziałania załogi przy wykonywaniu zadań.

Generał Arnold wierzył jednak, że Superfortece zmienią bieg wojny. W połowie 1943 r. opracował niesłychanie śmiały "Powietrzny plan pokonania Japonii", w którym założył, że wiosną 1944 r. jego samoloty rozpoczną naloty na cele w Japonii, startując z baz w pobliżu chińskiego miasta Czengtu. Zanim jednak do tego doszło, na początku maja 1944 r. grupa 130 bombowców wylądowała w bazach indyjskich, oczekując na przygotowanie lotnisk w Chinach. Tam, pod Czengtu, tysiące Chińczyków mozolnie budowało 4 lotniska. Wyrównywanie i utwardzanie pasów startowych, z których każdy liczył 2200 metrów długości, było nie lada wyczynem, zwłaszcza że budowniczowie dysponowali tylko łopatami, taczkami i prymitywnymi maszynami. Problem najważniejszy stanowiło zgromadzenie zapasów paliwa i amunicji dla setek bombowców.

Wspaniałe osiągi Superfortec: prędkość maksymalna 586 km/godz., pułap 9750 m, zasięg 6750 km i udźwig bomb 9071 kg pozostawały teoretycznymi danymi i w praktyce nigdy nie wykorzystywano możliwości samolotów.

Wyliczenie zużycia paliwa w czasie lotu do celu odległego o 2768 kilometrów przedstawiało się następująco: w czasie rozgrzewania silników i kołowania na start samolot spalał 225 kg benzyny. Start pochłaniał 108 kg. Osiągnięcie wysokości 1500 m - 150 kg. W locie na wysokości 1500 m, z prędkością podróżną 328 km/godz., B-29 zużywał 7308 kg paliwa. Na 265 km przed celem samolot wzbijał się na wysokość 6000 m - spalając przy tym 1097 kg paliwa. Po osiągnięciu wysokości zużycie paliwa wynosiło nieco poniżej 3,1 kg na 1 km lotu. Po wyrzuceniu bomb zużycie zmniejszało się do 2,8 kg na 1 km lotu. Samolot rozpoczynał podróż powrotną: po oddaleniu się o około 90 km od celu, gdy nie istniało już niebezpieczeństwo rażenia przez artylerię przeciwlotniczą, obniżał stopniowo lot do wysokości 4500 m. Zużycie paliwa zmniejszało się do 2,19 kg na 1 km. W odległości 384 km od bazy rozpoczynała się operacja lądowania, podczas której silniki spalały zaledwie 1,85 kg na 1 km. W czasie akcji trwającej 15 godzin i 28 minut B-29 pokonywał trasę 5536 km, ze średnią prędkością 358 km/godz. Zużywał 15 550 kg paliwa, a w zbiornikach pozostawało 2500 kg rezerwy.

Ile tysięcy ton benzyny trzeba było zgromadzić w zbiornikach w Czengtu, aby umożliwić start setek Superfortec do rajdów na Japonię? Jak to zrobić? Chińskie wojska Kuomintangu, przyjazne Amerykanom, same były uzależnione od amerykańskich dostaw.

General Arnold zdecydował się na przerzucanie do Chin paliwa, części zamiennych i amunicji z Indii.

B-29 z cysternami w kadłubach musiały odbywać niesłychanie niebezpieczne i kosztowne podróże nad szczytami Himalajów. Przy dobrej pogodzie dostarczenie jednego galona paliwa wymagało zużycia dwóch galonów. Proporcje gwałtownie się zmieniały, gdy samoloty napotykały niekorzystny czołowy wiatr lub musiały zbaczać z kursu ze względu na warunki atmosferyczne. Zużywały wówczas 12 galonów paliwa na każdy galon dostarczony do Czengtu. Załogi nazwały trasę nad Himalajami "Aluminiowym szlakiem" ze względu na dużą liczbę rozbitych samolotów, których szczątki srebrzyły się w skalnych rozpadlinach.

Do maja 1944 roku udało się przetrzymać tylko 1400 ton zaopatrzenia. Było to bardzo niewiele, lecz general Arnold nie zamierzał czekać dłużej. Pragnął wygrać wojnę sam, z pomocą swoich Superfortec. Dlatego też utworzył oddzielną 20. armię lotniczą (20 Air Force), której awangardę miały stanowić samoloty XX Dowództwa Bombowego. Domagał się od dowódcy, generała Wolfe'a, jak najszybszego wysłania bombowców na japońskie obiekty. Ponieważ zapasy w Czengtu były za małe, pierwsze formacje wystartowały 5 czerwca 1944 r. z lotnisk indyjskich. 98 Superfortec skierowało się w stronę Bangkoku z zamiarem zniszczenia japońskich zakładów kolejowych. Raid zakończył się fiaskiem. Tylko 18 bomb spadło w rejonie wyznaczonego obiektu, ale żadna nie trafiła bezpośrednio w cel. 14 maszyn musiało przerwać lot ze względu na awarie silników, 5 rozbiło się przy lądowaniu, a 42 osiadły na przygodnych lotniskach, gdyż kończyło im się paliwo. Dziewięć dni później general Wolfe po raz pierwszy wysłał bombowce z Czengtu, aby zniszczyły obiekt w Japonii.

Wystartowało 68 B-29. Nad cel: hutę na wyspie Kiusiu - doleciało 47 samolotów, lecz tylko jedna bomba spadła w pobliżu wyznaczonego obiektu. Sześć bombowców rozbiło się w wyniku awarii silników lub zostało zestrzelonych przez japońską obronę. Efekty pierwszych działań nie były więc krzepiące. Zapasy paliwa w Czengtu kurczyły się w zastraszającym tempie. Po rajdzie na hutę pozostało tylko 5 tysięcy galonów, co nie wystarczało nawet dla jednego samolotu na lot do Japonii i powrót.

- Góra urodziła mysz, ale poród kosztował bardzo dużo - powiedział jeden z wyższych oficerów Pentagonu na wieść o wynikach pierwszych działań Superfortec.

Pentagon poczynił jednak odpowiednie kroki. General Wolfe został wezwany do Waszyngtonu, skąd nie powrócił już na swoje stanowisko. Zastąpił go general Curtis LeMay, który szybko zaprowadził nowe porządki. Zabronił nocnych nalotów, ponieważ w ciemnościach szansę na odnalezienie i trafienie w cel były mniejsze niż za dnia. Wprowadził szyk samolotów wypracowany i sprawdzony w czasie walk w Europie: 54 samoloty, podzielone na 3 grupy, formowały w powietrzu "pudełka" rozłożone po przekątnej prostopadłościanu o wymiarach 890 x 400 x 2538 m. W ten sposób tworzyły bardzo zwartą formację obronną (zajmującą w powietrzu zaledwie 26,5% przestrzeni, w jakiej leciały samoloty poprzednich ugrupowań), w której każdy z samolotów, broniąc się ogniem karabinów maszynowych przed atakiem myśliwców, osłaniał jednocześnie sąsiednie.

LeMay zmienił również technikę naprowadzania samolotów na cel. Cała formacja naśladowała samolot prowadzący, w którym podczas zbliżania się do celu pilot włączał urządzenie zwane Automatic Flight Control Equipment (automatyczna kontrola lotu), połączone z celownikiem Nordena.

Od tego momentu bombardier, naprowadzając celownik na wyznaczony obiekt, powodował zarazem, że samolot automatycznie kierował się w odpowiednią stronę. Gdy znalazł się nad celem - wystrzeliwał racę dymną, dając znak pozostałym załogom formacji, że mają zrzucić bomby. Oczywiście, gdy prowadząca załoga pomyliła się, wszystkie załogi kopiowały błąd. Jednakże prowadzący samolot obsadzany był zawsze przez najlepszych i najbardziej doświadczonych lotników, a tym samym prawdopodobieństwo błędu było niewielkie.

Już najbliższe miesiące przyniosły lepsze rezultaty. W październiku udało się poważnie uszkodzić zakłady lotnicze Omura na wyspie Kiusiu, a straty wśród załóg były mniejsze niż w czasie poprzednich rajdów.

Superfortece miały dopiero pokazać, co potrafią, gdy wojska amerykańskie zajęły kilka wysp leżących w odległości około 2500 kilometrów od Tokio: Saipan, Guam i Tinian. Bombowce B-29 mogły z nich dolecieć do Tokio.

Bombowce Podpalają Tokyo

Generał Arnold śpieszył się. Na wysepkach trwały jeszcze walki, a z okrętów już wylądowywano buldożery, ciężarówki, walce drogowe i ekipy saperów, które natychmiast przystąpiły do przygotowania pasów startowych.

W październiku 1944 r. pierwsze bombowce wylądowały na Saipanie, chociaż jedyny pas startowy nowego lotniska był jeszcze o 1000 metrów krótszy niż planowano, a prace przy drugim dopiero trwały; brakowało miejsc do kołowania oraz baraków dla załóg. Nie zważano jednak na te niedogodności i w listopadzie na wyspę przyleciało z baz treningowych 100 samolotów.

Wydano rozkaz ataku na zakłady lotnicze, ale młodzi piloci nie bardzo sobie radzili z prowadzeniem samolotów w formacjach i z precyzyjnym bombardowaniem. Sytuację pogarszały częste defekty silników.

Od listopada 5-29 startowały wielokrotnie, aby zniszczyć położone na przedmieściach Tokio zakłady Nakajima, które produkowały 1/3 silników dla japońskich samolotów. W czasie pierwszego nalotu silny wiatr rozproszył formacje i bombowce, które dotarły w okolice Tokio, zrzuciły bomby na chybił trafił.

W czasie następnych 10 nalotów zaledwie 2% bomb trafiło w budynki zakładów. Straty Amerykanów były natomiast wysokie: 40 bombowców uległo zniszczeniu w ogniu obrony przeciwlotniczej lub rozbiło się w czasie lądowania. Nie wiadomo, jak długo trwałyby próby zniszczenia zakładów Nakajima, gdyby dowództwo lotnictwa marynarki wojennej nie wysłało w lutym 1945 r. swoich samolotów. Myśliwce i bombowce z Zespołu Operacyjnego 58 (Task Force 58) wyrządziły w czasie jednego nalotu znacznie większe szkody niż wszystkie akcje Superfortec.

Generał Arnold miał jednak w zanadrzu inny plan. Wywiad donosił, że Japończycy przystąpili do rozpraszania zakładów przemysłowych narażonych na ataki amerykańskich samolotów. Wszędzie, gdzie było to możliwe, z dużych fabryk wynoszono maszyny i instalowano je w salach kinowych, teatralnych, sportowych, a nawet domach mieszkalnych.

Generał zwrócił uwagę na jeszcze jedną informację z raportu o zmianach organizacji japońskiego przemysłu: W miastach występuje głównie zabudowa drewniana, szczególnie podatna na atak środkami zapalającymi; obszarowe ataki mogą być 5-krotnie efektywniejsze niż precyzyjne bombardowanie wyznaczonych celów.

Superfortece, uzbrojone w bomby zapalające, zostały skierowane przeciwko miastom, które miały doznać losu, jaki spotkał w Europie Lubekę, Hamburg, Darmstadt i Berlin: nalotów dywanowych. 3 stycznia 1945 r. 5-29 zrzuciły 2-tonowe bomby zapalające na Nagoję. Wkrótce potem 3 tysiące ton bomb zapalających spadło na Kobe, gdzie spłonęły zakłady produkujące gumę syntetyczną. Bardzo poważnie została uszkodzona stocznia; produkcja przemysłowa w mieście spadła o połowę.

Od tego czasu 75% zawartości komór bombowych stanowiły ładunki zapalające.

Najskuteczniejsza okazała się bomba zapalająca M 76, zawierająca mieszaninę galaretki olejowej, ciężkiego oleju, benzyny, proszku magnezowego i azotanu sodu. Ze względu na zawartość utleniacza, jej płomieni nie można było ugasić wodą ani piaskiem.

Curtis LeMay zmienił również taktykę działania bombowców. Zrezygnowano z ataków dziennych z dużej wysokości, wprowadzając nocne naloty z wysokości zaledwie 2 tysięcy metrów. Z pokładów Superfortec usunięto komputery GEC i wszystkie karabiny maszynowe, pozostawiając jedynie działko w ogonie, dla obrony przed japońskimi myśliwcami.

Pierwszy “zapalający” nalot na Tokio nastąpił w nocy z 9 na 10 marca 1945 roku.

Nad miasto nadleciało 279 samolotów, które przez 2 godziny zrzuciły bomby na centralne dzielnice. Ładunki zapalające eksplodowały na wysokości kilkunastu lub kilkudziesięciu metrów nad ziemią; w ten sposób zasięg rażenia płonącej mieszaniny był znacznie większy. Małe domy, stłoczone wzdłuż wąziutkich uliczek, zamieniały się w pochodnie, gdy tylko gorejące krople o temperaturze setek stopni Celsjusza padały na ich drewniane ściany. Ogień przerzucał się z jednego domu na drugi z szybkością biegnącego człowieka. Ludzie, którzy nie zdążyli wydostać się z krętych zaułków, ginęli w płomieniach. Inni padali z braku tlenu lub zatruci gazami wydzielanymi przez fosfor; każdy kilogram mieszaniny zapalającej pochłaniał około 40 m³ tlenu. Płytkie schrony, piwnice murowanych budynków, które dotąd dawały ochronę przed odłamkami, przestały być bezpiecznym miejscem. Na większych ulicach tłumy ludzi, którzy uszli z płomieni, kierowały się w stronę rzeki. Skakali z mostów albo zsuwali się po betonowych nabrzeżach nie bacząc, że wczesną wiosną temperatura wody jest niewiele wyższa od zera.

Prąd powietrza, wytworzony szalejącymi w mieście pożarami, wznosił się na wysokość tysięcy metrów. Odczuwały go nawet załogi bombowców. Pilot z 20. Bomber Group powiedział, że było to gorsze niż burza, którą przeżył za sterami samolotu w Teksasie: *Wszędzie unosiły się słupy dymu zmieszanego ze śmieciami, podrywanymi do góry prądem powietrza. Czuć było zapach spaliny i umierającego miasta.* W czasie jednej z wypraw gwałtowny podmuch powietrza wyrzucił samolot do góry kołami i w ostatniej chwili pilotowi udało się uniknąć zderzenia z górami otaczającymi miasto.

Tamtej nocy zginęło w Tokio co najmniej 84 tysiące ludzi. Spłonęły domy na 4150 hektarach. Amerykanie zaś stracili 14 samolotów i 154 lotników...

Kilka dni później 285 bombowców zrzuciło 1700 ton ładunków zapalających na Nagoję. Pięćset hektarów miasta zrównano z ziemią. W nocy z 13 na 14 marca bomby spaliły w Osace zabudowania na obszarze dwóch tysięcy hektarów. Z 16 na 17 marca w płomieniach stanęło 770 hektarów Kobe. Trzy dni później znowu płonęło centrum Nagoi.

W ciągu 2 tygodni zginęło około 120 tysięcy Japończyków. Amerykanie stracili 22 bombowce i 242 ludzi...

Generał LeMay dysponował już 700 samolotami. Mógł podzielić siły tak, aby część Superfortec

wspomagała lądowanie wojsk inwazyjnych na Okinawie, bombardując stanowiska obrońców, a druga grupa kontynuowała ofensywę przeciwko największym miastom: Tokio, Nagoi, Osace, Kawasaki, Kobe i Jokohamie.

13 kwietnia 327 B-29 zrzuciło na Tokio 2000 ton ładunków zapalających. Zniszczeniu uległy domy na obszarze 3 tysięcy hektarów. 23 maja 510 Superfortec ponownie nadleciało nad miasto. Dwa dni później powróciły 464 bombowce, by uderzyć na dzielnice, które ocalały z dotychczasowych pogromów. Do końca miesiąca stolica Japonii zamieniła się w gruzowisko. Połowa miasta, około 14 500 hektarów, została całkowicie zrównana z ziemią.

Samobójcza Obrona

Japończycy usiłowali się bronić, ale ich siły lotnicze były już bardzo nikłe.

W maju 1945 r. Japonia mogła przeznaczyć do ochrony miast zaledwie 500 samolotów myśliwskich, w tym dwie grupy nocnych myśliwców, wyposażonych w dość prymitywne radary. Zakłady lotnicze, które ocalały, nie były już w stanie produkować dużej liczby samolotów, choć konstruktorzy opracowywali projekty bardzo dobrych i szybkich myśliwców. Zakłady Kawasaki Kokuli Kogyo KK stworzyły świetny myśliwiec przechwytyjący Ki-102a. Uzbrojony w działo kał. 37 mm i dwa działka kał. 20 mm mógł latać z prędkością 580 km/h. Udało się jednak wyprodukować zaledwie 20 tych maszyn, z których 15 trafiło do jednostek bojowych.

Los nocnej wersji tego myśliwca - Ki-102c - był jeszcze gorszy. Wyprodukowano tylko 2 prototypy wyposażone w 2 działka kał. 30 mm i 2 działka kał. 20 mm oraz radar.

W sierpniu 1945 r. wystartował do dziewiczego lotu japoński odrzutowiec Nakajima Kikka, zbudowany w zakładach Nakajima. Prototyp rozwinął prędkość 712 km/h, a konstruktorzy opracowywali myśliwiec przechwytyjący, wyposażony w dwa silniki o dwukrotnie większym ciągu. Jednakże do końca wojny uruchomiono produkcję zaledwie 18 samolotów, z których żaden nie opuścił zakładów. Inżynierowie z zakładów Mitsubishi gorączkowo pracowali nad raketowym myśliwcem przechwytyjącym, wykorzystując niemiecki projekt Me 163B, ale do końca wojny zdołano wyprodukować tylko 7 prototypów J8M Shusui.

W fabryce Kyushu Hikoki powstał oryginalny projekt myśliwca 7W1, szokujący kształtem skrzydeł, kadłuba, podwozia i umieszczeniem śmigła z tyłu kadłuba. Wyposażony w potężny silnik spalinowy o mocy 2130 KM, wystartował w kwietniu 1943 r. W czasie prób osiągnął prędkość 50 km/h. Konstruktorzy planowali, że będzie uzbrojony w 4 działka kał. 30 mm i bomby. Do końca wojny powstały jednak tylko 2 prototypy. Japończycy nie byli już w stanie zatrzymać fal Superfortec nadlatujących nad miasta. Brakowało im samolotów i doświadczonych lotników. Program szkolenia pilotów ograniczono do minimum. W rezultacie za sterami siadali ludzie młodzi z niewielkimi umiejętnościami. Szybko więc ginęli.

Sytuację pogarszał fatalny system organizacji obrony powietrznej. Każda z grup myśliwskich miała wyznaczony obszar obrony i nie mogła udzielić pomocy sąsiedniemu rejonowi, choćby go bombardowało setki Superfortec.

Tymczasem B-29 otrzymały silną ochronę Mustangów, które - zaopatrzone w dodatkowe zbiorniki paliwa - mogły towarzyszyć bombowcom w czasie całego lotu.

29 maja nad Jokohamę nadleciały 454 bombowce, osłaniane przez Mustangi, które wystartowały z lotnisk Zwodzimy. Straty japońskie wyniosły 26 myśliwców. W tym rajdzie Amerykanie stracili 4 Superfortece i 3 myśliwce. Dla Amerykanów utrata samolotów nie oznaczała nic. Dla Japończyków zaś w tym okresie brak 26 myśliwców był szkodą nie do naprawienia*.[* Do końca sierpnia 1945 r. japońskie zakłady wyprodukowały 11 066 samolotów - w tym 5 474 myśliwce i 1934 bombowce (w 1944 r. - 28 180, w tym 13 811 myśliwców i 5100 bombowców). W

tym okresie Amerykanie wyprodukowali 47 714 samolotów (w tym 21 696 myśliwców i 16 492 bombowce).]

Już od czerwca 1945 r. amerykańskie wyprawy bombowe nie były niepokojone przez japońskie myśliwce.

Generał Curtis LeMay stosował coraz to inną taktykę bombardowania. Jedne grupy, latając nisko, pustoszyły całe dzielnice japońskich miast. Inne specjalizowały się w precyzyjnym bombardowaniu z dużej wysokości zakładów lotniczych. 313 Bomber Wing zrzucił 13 tysięcy min morskich na przybrzeżne wody, wejścia do portów i kanały portowe. Największe japońskie porty - w Hiroszynie, Kure, Tokio, Nagoi, Tokujamie, Aki i Nodzie - zostały zablokowane. W czasie prób sforsowania pól minowych zatonięły statki o łącznym tonażu 213 tysięcy BRT. Ruch zamierał, a zakłady przemysłowe odczuwały rosnący z dnia na dzień brak surowców. Gdy największe miasta zostały wypalone bombami, LeMay rzucił swoje eskadry na mniejsze, liczące od 100 000 do 200 000 mieszkańców. Tojama została zniszczona w 99,5%. Amerykanie panowali na niebie. Zanim wystartowały bombowce, nad cel nadlatywał pojedynczy samolot, który zrzucił ulotki ostrzegające mieszkańców, że za dwa dni ich miasto zostanie zbombardowane. W zapowiedzianym czasie na niebie pojawiały się samoloty z zapalającymi bombami.

Japonia dogorywała. Nie była w stanie stawić skutecznego oporu potędze zza oceanu. Ale broniła się. Premier Kantaro Suzuki wydał polecenie sporządzenia tajnego raportu o sytuacji gospodarczej państwa. Lektura tego dokumentu była przygnębiająca. Transport kołowy był niemalże całkowicie sparaliżowany. Zapasy paliw malały zastraszająco, a jedynymi dostawcami były małe destylarnie, gdzie wyciskano benzynę z korzeni sosny. Produkcja zakładów zbrojeniowych, z powodu zniszczeń wyrządzonych przez naloty i braku surowców, spadła o 50-70%.

Raport nie uwzględniał sytuacji militarnej i strategicznej, a ta była jeszcze gorsza.

Premier i minister spraw zagranicznych uznali, że dalsze prowadzenie wojny jest samobójstwem, jednakże minister wojny i trzech najwyższych dowódców odrzucili możliwość podjęcia pertraktacji pokojowych. Wierzyli, że mają jeszcze dość wojska i broni, aby odwrócić losy wojny. Zwycięstwo miał przynieść plan "Ketsu - Go" ("Decyzja").

Jego autorzy uznali, że Amerykanie dokonają najpierw inwazji na wyspę Kiusiu, skąd po kilku tygodniach uderzą na wyspę Honsiu, w rejonie Tokio. Do odparcia ataku przeznaczono 65 dywizji piechoty, 2 dywizje pancerne, 25 brygad, 3 brygady gwardyjskie i 7 brygad pancernych. Siły obrońców miały liczyć 2 350 000 żołnierzy i 32 miliony członków milicji i organizacji paramilitarnych. W sumie - 34 350 000 ludzi; było to więcej, niż liczyły armie USA, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego razem wzięte! Do oddziałów samoobrony rekrutowano wszystkich mężczyzn w wieku od 15 do 60 lat i wszystkie kobiety w wieku od 17 do 45 lat. Ci, dla których nie starczyło karabinów, mieli uzbroić się w strzelby myśliwskie, muzealne muszkiety, bambusowe lance, szable i łuki. Nawet dzieci trenowano do zwalczania czołgów. Obwieszane granatami, miały wpęłzać pod czołgi i ginąć w samobójczej eksplozji rozrywającej dno wozu bojowego. Te dziecięce oddziały nazywano "dywanem shermanów", od nazwy amerykańskich czołgów.

Na morzu Japonię miało chronić 19 niszczycieli (każdemu z nich pozostało tylko 3500 ton

paliwa), 38 okrętów podwodnych oraz flotylla składająca się z 32 jednostek wybranych z 94 jednostek najrozmaitszych typów, wśród których było 300 "żywych torped" kaiten i 2000 motorówek wypełnionych dynamitem. W powietrzu najgroźniejszą bronią miały być samoloty samobójców - kamikaze. Szef nowo utworzonego dowództwa wojsk powietrznych generał M. Kawabe, opierając się na doświadczeniach z walk o Okinawę, uznał, że kamikaze będą najgroźniejszą bronią; liczył, że do końca czerwca zgromadzi 2000 samolotów dla pilotów-samobójców, a w ciągu następnych dwóch miesięcy siły te zwiększą się o dalszy tysiąc. W najbardziej optymistycznych planach liczył, że 10 tysięcy samolotów zaatakuje amerykańską flotę inwazyjną.

Nie trzeba być żołnierzem, aby zrozumieć, czym zakończyłoby się starcie armii samobójców z doskonale wyposażonymi i zahartowanymi w bojach dywizjami amerykańskimi. W dotychczasowych, niezwykle zażartych, walkach na wyspach, gdzie wojska amerykańskie musiały łamać opór wyszkolonych, dobrze wyposażonych i przygotowanych do obrony japońskich garnizonów, straty obrońców były wielokrotnie wyższe niż atakujących. Np. na Iwodzimie zginęło bez mała 20 000 Japończyków i 5391 Amerykanów, na Saipanie 31 000 żołnierzy (oraz 22 000 cywilów) i 3426 Amerykanów, na Okinawie 110 071 Japończyków i 12 500 Amerykanów. Tam żołnierze walczyli z żołnierzami. Teraz z żołnierzami amerykańskimi walczyliby kobiety, dzieci, starcy.

Członkowie rządu japońskiego, którzy nie chcieli dopuścić do realizacji tego obłąkańczego planu, podjęli starania o nawiązanie negocjacji z Amerykanami. W Moskwie poseł Sato zwrócił się do rządu radzieckiego z prośbą o mediację. Cesarz był zdecydowany wysłać do stolicy ZSRR członka swojej rodziny, księcia Konoye, jako emisariusza pokoju. Japoński attache morski w Szwajcarii przekazał szefowi amerykańskiego wywiadu w Europie, Allenowi Dullesowi, wiadomość, że gotów jest podjąć u swojego rządu starania o zaakceptowanie warunków kapitulacji.

Szwedzki bankier Per Jacobson zrelacjonował Dullesowi przebieg spotkania z japońskimi osobistościami, wśród których był generał Seigo Okamoto. Ustalono wówczas warunki kapitulacji.

Na Drodze do Śmierci

W Stanach Zjednoczonych szefowie Połączonych Sztabów nie mieli jednolitego poglądu na temat sposobu prowadzenia dalszych działań przeciwko Japonii. Jedni opowiadali się za kontynuowaniem bombardowań miast, inni uważali, że należy utrzymać blokadę portów. Wszyscy rozumieli, że wcześniej czy później musi dojść do inwazji z morza i niezwykle zaciętej walki na japońskiej ziemi.

14 czerwca 1945 r. w biurze prezydenta Trumana w Omaha sekretarz obrony Henry Stimson przedstawił dwuetapowy plan inwazji na Japonię. Plan "Olimpie" przewidywał, że 1 listopada 1945 r. (tzw. X-Day), po ośmiodniowym bombardowaniu z morza i powietrza, 815 tysięcy żołnierzy dokona inwazji na wyspę Kiusiu i zajmie jej południową część, by założyć tam bazy lotnicze i morskie. Obliczano, że w pierwszym etapie walk może zginąć 30-40 tysięcy żołnierzy amerykańskich. Straty obrońców były nieprzewidywalne, ale mogły sięgać setek tysięcy. Plan "Cornet" zakładał, że 4 miesiące później, 1 marca 1946 r., na wyspie Honsiu wyląduje 1170 tysięcy żołnierzy. Oddziały 1. i 8. armii amerykańskiej miały desantować się na równinie Kanto na pomocny wschód od Tokio. Wybrano ten rejon z kilku powodów. Szeroka i łagodna dolina pozwalała rozwinąć duże jednostki pancerne, a bliskość Tokio dawała szansę szybkiego opanowania miasta, co miało skłonić obrońców w innych rejonach wysp do zaniechania oporu. Plan "Cornet" przygotowano na razie w ogólnych zarysach.

Prezydent Harry Truman myślał z niepokojem o przedłużającej się wojnie na Dalekim Wschodzie; obawiał się, że wkrótce włączy się do niej Związek Radziecki. Z jednej strony zabiegał o pomoc Armii Czerwonej, z drugiej obawiał się jej nadmiernych sukcesów w kontynentalnej Azji.

Zaakceptował obydwa plany inwazji, ale miał wszelkie podstawy przypuszczać, że do ich realizacji nie dojdzie.

Naukowcy przygotowali broń zdolną zmienić bieg wojny w bardzo krótkim czasie, i to w sposób korzystny dla USA pod każdym względem: zmusić Japończyków do kapitulacji bez ogromnych strat, jakie niosła ze sobą konieczność zdobywania wysp japońskich z morza, i zademonstrować Stalinowi niezwykłą broń Stanów Zjednoczonych.

Trudno ustalić gradację celów. Wszystkie były równie ważne dla Trumana, który musiał rozwiązać skomplikowaną sytuację wojenną, myśląc jednocześnie o układzie sił, jaki zacznie się kształtować po wojnie. Bomba atomowa, w której moc uwierzył zbyt gorliwie i naiwnie, dawała mu taką możliwość. Latem 1943 r. generał Arnold otrzymał polecenie dostarczenia specjalnie przygotowanego bombowca B-29, który miał wykonać próbne loty z nową bombą.

W grudniu tegoż roku w zakładach Boeinga przystąpiono do modyfikowania bombowców. Pierwszy próbny lot samolotu wyposażonego w nowe urządzenia odbył się 28 lutego 1944 r. Próby wypadły pomyślnie i zakłady przystąpiły do produkcji 46 samolotów przeznaczonych do przenoszenia nowych bomb.

W czerwcu 1945 r. do bazy na wyspie Tinian przybyła eskadra 10 bombowców - "Composite

Group 509”, dowodzona przez weterana walk w Europie, 29-letniego pułkownika Paula Tibbetsa. Codziennie samoloty startowały w stronę wybranych miast: Hiroszimy, Kokury, Nigaty i Nagasaki. W kadłubie każdego z nich spoczywała tylko jedna bomba, pomalowana na jaskrawożółty kolor. Nad celami samoloty zawracały, nie atakując. Po kilku rajdach obrona przeciwlotnicza tak przywykła do widoku samotnych 5-29, że obsługi dział nie zdejmowały nawet siatek maskujących; nie podnoszono zapór balonowych ani nie ogłaszano alarmu. Władze wojskowe uznały, że miasta nie będą celem bombardowań, a samoloty wykonują jedynie zadania rozpoznawcze. Wracając do bazy, Superfortece przelatywały nad małymi miastami i dopiero tam zwalniały bomby. Natychmiast po ataku musiały wykonać trudny manewr: pełny zwrot w ciągu 28 sekund. Żaden z pilotów nie rozumiał, dlaczego muszą trenować tak dziwną figurę...

W nocy z 12 na 13 lipca 1945 r. tajną drogą - zbudowaną na wypadek konieczności szybkiej ewakuacji załogi z laboratorium nuklearnego w Los Alamos, gdzie powstawała bomba atomowa - przejechał konwój ciężarówek i jeepów. W skrzyniach znajdowały się części mechanizmu wybuchowego bomby. Umieszczono je na szczycie 33-metrowej wieży, wzniesionej na pustyni w rejonie nazywanym Jordana del Muerto (Droga Śmierci). Nie było tam jeszcze ładunku uranu, nad miejscem próby często przechodziły bowiem gwałtowne burze i trafienie pioruna w stalową konstrukcję z bombą atomową mogłoby spowodować wybuch nuklearny, zanim naukowcy i personel zdolaliby oddalić się na bezpieczną odległość. Dlatego też uran miał być umieszczony na szczycie wieży tuż przed próbą.

Dzień pierwszej eksplozji nuklearnej oznaczono kryptonimem “Trinity” (“Święta Trójca”). Dlaczego wybrano tę nazwę? Nie wiadomo. Jedni twierdzą, że w pobliżu miejsca wybuchu znajdowała się opuszczona kopalnia szmaragdów o tej właśnie nazwie, inni dowodzą, że “Święta Trójca” oznaczała trzy gotowe bomby nuklearne: dwie uranowe i jedną plutonową.

16 lipca, o 2.00, 425 osób z załogi Los Alamos oraz zaproszeni goście zajęli miejsca w głębokim wykopie 15,5 kilometra od wieży.

Żaden naukowiec nie potrafił określić siły wybuchu. Generał Leslie Groves, wojskowy szef projektu, uważał, że będzie równa eksplozji 100 do 500 ton trotylu. To i tak było ponad wszelkie wyobrażenia. Najcięższe bomby lotnicze “Tallboy” ważyły 5 ton, a wybuch takiej bomby wywoływał lokalne trzęsienia ziemi i zdruzgotał np. wiadukt w niemieckim mieście. Najbliższy prawdy był Robert Oppenheimer, szef zespołu naukowców, którzy stworzyli bombę. Twierdził, że siła wybuchu równa będzie eksplozji kilku tysięcy ton trotylu. Nikt mu nie wierzył...

O godzinie 5.20 nad pustynią zajaśniała ognista kula. W ułamku sekundy stalowa wieża znikła z powierzchni gruntu. Wyparowała. Przyrządy pomiarowe, ustawione zbyt blisko punktu zerowego, przestały działać. Te, które funkcjonowały, przekazywały oszałamiające informacje: siła wybuchu równa 17-20 tysiącom ton trotylu, temperatura trzykrotnie wyższa niż na powierzchni Słońca, w promieniu 1600 metrów zginęło wszelkie życie biologiczne, wrzący piasek utworzył wokół miejsca, gdzie stało rusztowanie szklistą płytę o średnicy 500 metrów. Dalsze badania wskazywały, że były to efekty reakcji łańcuchowej, jaka zaszła zaledwie w kilogramie uranu, gdyż pozostałe 3 kilogramy ładunku nuklearnego zostały zniszczone, zanim rozpoczęła się w nich reakcja.

Tego dnia o 19.30 prezydent Truman, przebywający na konferencji pokojowej w Poczdamie,

otrzymał telegram: *Operowany dziś rano. Diagnoza jeszcze niepewna, ale rezultaty wydają się zadowolające i już przekraczają oczekiwania.*

Truman przesłał odpowiedź: Najserdeczniejsze gratulacje dla lekarza i jego pacjenta. Następnego dnia z Waszyngtonu dotarł do Poczdamu specjalny kurier. Do lewej ręki miał przykutą kajdankami teczkę. Znajdował się w niej film z przebiegu próbnej eksplozji. Truman był tak zadowolony, że nie odmówił sobie przyjemności napomknięcia Stalinowi, iż USA dysponują bronią o niezwykłej sile. Stalin nie zareagował; zapewne dlatego, że doskonale orientował się w postępach nad stworzeniem nowej broni. Przez całą wojnę jeden z naukowców zatrudnionych w Los Alamos - Klaus Fuchs - informował ambasadę radziecką w Waszyngtonie o przebiegu prac.

24 lipca prezydent otrzymał następną depezę, informującą, że zgodnie z jego decyzją z 2 kwietnia 1945 r. nalot nuklearny na jedno z japońskich miast zostanie przeprowadzony 4 lub 5 sierpnia.

W tym samym czasie do portu na wyspie Tinian zmierzał krążownik Indianapolis.

Flagowy okręt głównodowodzącego V Flotę wyruszył z portu w San Francisco 16 lipca 1945 r. Kapitan McVay nie wiedział, co się znajduje w długim, wiklinowym koszu pod pokładem okrętu. Rozkaz, który otrzymał, niewiele wyjaśniał: *Okręt flagowy weźmie na pokład majora Roberta Furmana i doktora Jamesa Nolana z małym, ale niezwykle ważnym ładunkiem. W poniedziałek "Indianapolis" wyruszy z największą szybkością do Pearl Harbor. Cała akcja ma mieć pozory wyprawy inspekcyjnej.*

Tego samego ranka z japońskiego portu Kure wyszły w morze okręty podwodne, tworzące grupę "Tamon"; wśród nich był 7-58, dowodzony przez kapitana Mochitsura Haszimota. Wszystkie okręty, oprócz torped załadowanych w wyrzutniach, miały na pokładach po kilka "żywych torped" - kaitenów, z pomocą których zamierzano niszczyć statki w amerykańskich konwojach.

Indianapolis w rekordowym tempie 3 dób i 3 godzin przebył 2100 mil, dzielących San Francisco od Pearl Harbor. Tam zatankował paliwo i skierował się w stronę Tinianu.

1-58 przeciął jego kurs w odległości 30 mil. Nikt z japońskiej załogi nie zdawał sobie sprawy, że cel był tak blisko.

26 lipca Indianapolis zakończył swą misję. W porcie Tinian przekazano kosz z tajemniczą zawartością generałowi Farrelowi i krążownik wyruszył natychmiast w drogę powrotną.

27 lipca 7-58 wypuścił dwa kaiteny przeciwko amerykańskiemu tankowcowi. Załoga japońskiego okrętu usłyszała dwie eksplozje, ale prawdopodobnie były to wybuchy "żywych torped", trafionych amerykańskimi bombami głębinowymi lub pociskami z działek. Na pokładzie okrętu podwodnego pozostały jeszcze 4 "żywe torpedy". Dowódca nie był zadowolony. Samobójcze pojazdy, przymocowane na pokładzie tuż za kioskiem, bardzo ograniczały manewrowość i szybkość okrętu, przez co zmniejszały szansę umknięcia amerykańskim niszczycielom i utrudniały

przeprowadzanie skutecznych ataków przy użyciu torped klasycznych.

Trzy dni później marynarz, pełniący wachtę przy peryskopie 7-58, dostrzegł sylwetkę amerykańskiego okrętu. Kapitan Haszimoto rozważał przez chwilę, czy użyć torped Typ 95, czy też wypuścić kaiteny. Zdecydował się w końcu odpalić sześć torped. Po 75 sekundach trzy stalowe cygara rozpruły kadłub krążownika, który zatonął w ciągu 19 minut. Z 1199 marynarzy kilkuset zginęło już w czasie wybuchu; inni umierali przez wiele godzin - w wodzie. Pomoc nadeszła dopiero po 80 godzinach. Uratowano zaledwie 316 ludzi.

O godzinie 3.00 kapitan Haszimoto nadał do bazy wiadomość, że 3 godziny *wcześniej wystrzelił 6 torped, z których 3 trafiły w pancernik klasy Idaho (...), zatapiając go definitywnie*. Tekst depeszy wskazywał, że załoga 7-58 nie zdawała sobie sprawy, iż zatopiła Indianapolis. Nie mogli też wiedzieć, że gdyby dokonali tego 3 dni wcześniej, zmieniliby bieg historii...

30 lipca samoloty transportowe C-54 dostarczyły na Tinian uranowy ładunek, podzielony na kilka części. W ściśle strzeżonym bunkrze naukowcy i technicy przystąpili do montowania w kadłubie bomby skomplikowanych zapalników i ładunku nuklearnego: 38 kilogramów uranu. Zapalnik miał zacząć działać, gdy bomba - zrzucona z wysokości około 9 tysięcy metrów - znalazłaby się na wysokości 560 metrów.

1 sierpnia prace montażowe dobiegły końca. Na wózku, przypominającym bagażową przyczepę samochodu osobowego, leżała bomba atomowa o długości 4,20 m, średnicy 1,5 m i wadze około 5 ton. Brakowało tylko zapalników.

2 sierpnia generał Nathan F. Twinning, szef 20. Armii Lotniczej, wydał rozkaz nr 13. Rozkaz przeprowadzenia 6 sierpnia ataku atomowego. Komunikat meteo zapowiadał na ten dzień piękną, bezchmurną pogodę. Był to niezbędny warunek, gdyż skutki eksplozji nuklearnej musiały być zarejestrowane z największą dokładnością.

Na lotnisku wszystko przygotowano do akcji. I wtedy zdarzył się wypadek. 4 sierpnia cztery bombowce, startujące do lotu treningowego, nie wzbiły się w powietrze. Pilotom nie udało się zahamować rozpędzonych maszyn przed końcem pasa startowego i roztrzaskali się na nadmorskich skałach. Pułkownik Tibbets zdawał sobie sprawę, co stałoby się z wyspą, gdyby takiemu wypadkowi uległ samolot z uzbrojoną bombą atomową na pokładzie. Dlatego wydał rozkaz zamontowania zapalników dopiero po starcie.

Kapitan William Parson rozpoczął trening na 16 godzin przed startem. Setki razy powtarzał te same czynności, wiedząc, że w czasie lotu w ciasnej komorze bombowej, w świetle latarki, będzie musiał złączyć wiele kabli skomplikowanego zapalnika. Po godzinach treningu miał palce pościerane do krwi.

- Na miłość boską, niech pan założy rękawiczki! - powiedział generał Farrel na widok pokaleczonych rąk eksperta ds. uzbrojenia.

- Nie mogę - pokręcił głową Parson. - Przy tej robocie muszę mieć pełne czucie w palcach.

5 sierpnia pułkownik Tibbets zwołał odprawę załóg i przedstawił plan. O 1. 15 wystartują 3 samoloty zwiadowcze, kierując się w stronę Hiroszimy, Kokury i Nagasaki*.[* Nigaty zostało skreślone z listy celów, gdyż wywiad doniósł, że znajduje się tam obóz jeńców amerykańskich.] Stamtąd miały przekazać informacje o pogodzie, od których zależeć będzie wybór celu. Półtorej godziny później wystartuje grupa uderzeniowa trzech samolotów 5-29: jeden z nich zrzuci bombę, drugi instrumenty pomiarowe, a trzeci wykona zdjęcia.

Kiedy pułkownik skończył omawiać plan nalotu, jego miejsce na podwyższeniu zajął kapitan Parson.

- Gdy w słuchawkach zabrzmi długi, ostry dźwięk, należy bezwarunkowo założyć ciemne

okulary - powiedział do załóg zgromadzonych w sali drewnianego baraku. - Ślepi piloci nie doprowadzą maszyn z powrotem na lotnisko. W razie strącenia któregoś z samolotów, żaden z członków załogi nie może dostać się żywy do niewoli japońskiej. W torebkach oznaczonych czarnymi krzyżykami znajdują się ampułki.

O 23.00 wytoczono z bunkra przyczepę, na której leżała bomba osłonięta brezentem. Drzwi komory bombowej samolotu, z wymalowanym na kadłubie napisem "Enola Gay", okryto plandekami. Mechanicy przystąpili do mocowania nuklearnego ładunku. Dookoła błyskały flesze lamp fotograficznych i świeciły reflektory ekip filmowych, uwieczniających przygotowania do niezwykłego lotu.

6 sierpnia o godzinie 1.15 wystartował bombowiec nazwany "Straight Flush", biorąc kurs na Hiroszimę. W kilkuminutowych odstępach wzbiły się dwa samoloty zwiadowcze. O 2.27 włączono silniki "Enoli Gay", stojącej już na pasie startowym. Na prawo przygotowywała się do lotu załoga samolotu "Great Artist" z przyrządami pomiarowymi. Z lewej strony stał bombowiec z kamerami filmowymi i fotograficznymi. O 2.45 "Enola Gay" ruszyła. W dwuminutowych odstępach wzniósł się w powietrze pozostałe samoloty.

W 6 minut po starcie radiotelegrafista głównego bombowca przekazał wiadomość: Judge - A-1. Nikt poza kapitan Parsonem i generałem Farrelem nie rozumiał, co oznaczały te słowa, gdyż kod ułożyli ci dwaj oficerowie specjalnie w celu przekazywania wiadomości o locie "Enoli Gay". Pierwszy meldunek, nadany z pokładu bombowca, oznaczał: "Na pokładzie wszystko w porządku, przygotowuję się do następnego etapu".

Kapitan Parson zanotował w dzienniku: *Po starcie wszystko przebiega normalnie. Musimy lecieć na niewygodnej wysokości 4 tysięcy metrów, aby uniknąć zderzenia z jednym z 600 bombowców, powracających z nalotu na Japonię.*

O 4.00 kapitan przeszedł do przedziału bombowego i w zupełnych ciemnościach przystąpił do montowania zapalników. Radiotelegrafista "Enoli Gay" przekazał meldunek: Judge, A-2, co oznaczało: "Parson planowo uzbraja bombę".

O 7.30 Parson powrócił do kabiny. Bomba była gotowa do zrzucenia.

Zwiadowczy samolot "Straight Flush" znajdował się nad Hiroszimą. Jego dowódca, major Eatherly, przesłał informację do "Enoli Gay": Widoczność nad Hiroszimą 10 mil. O godzinie 7.41 napłynęły meldunki o stanie pogody nad innymi celami: nad Nigaty świeciło słońce i nie było chmur, nad Kokurą i Nagasaki panowało duże zachmurzenie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pułkownik Tibbets skierował samolot w stronę Hiroszimy. Gdyby tam nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, musiałby lecieć w stronę następnego celu: Nigaty. Okazało się to jednak niepotrzebne. Drugi pilot "Enoli Gay" zapisał w dzienniku: *Gdy znaleźliśmy się w odległości 50 mil od japońskiego wybrzeża, radiotelegrafista Nelson odebrał wiadomość: nad głównym celem widoczność znakomita.*

Kapitan Parson zanotował: *Tibbets odwrócił się do mnie i zapytał: Czy zgadza się pan ze mną,*

że jest to nakazany cel? Odpowiedziałem: Tak jest. Jeden z towarzyszących nam B-29 pozostał z tyłu i zaczął krążyć, będzie robić zdjęcia. Drugi leci za nami. Zrzuci przyrządy pomiarowe natychmiast po zwolnieniu bomby. Sygnałem będzie długi dźwięk w słuchawkach. Po 20 sekundach sygnał ucichnie, wtedy zrzucimy bombę.

Major Eatherly, dowódca "Straight Flush", krążącego w odległości 65 kilometrów od centrum Hiroszimy, zapisał: *W słuchawkach zabrzmiał wysoki, długi ton. To już. Grennans podaje mi okulary ochronne. Nic przez nie nie widzę. Zrzucam okulary na podłogę. Długi ton się urwał...*

Bombardier "Enoli Gay" major Thomas Ferebee widział w okularze celownika most Aioi, o charakterystycznym kształcie litery "T", gdyż ze środkowego przęsła odchodziła droga na wyspę. Bombardier wcisnął niklowany spust z boku celownika. Pod kadłubem "Enoli Gay" z otwartych wcześniej drzwi komory bombowej wysunęła się bomba atomowa. Samolot, uwolniony od 5-tonowego ciężaru, wzbił się gwałtownie. Pilot natychmiast wykonał manewr, który tak długo trenował: pełny skręt.

Nad Hiroszimą, na wysokości 580 metrów i w odległości 300 metrów od mostu, w który celował major Ferebee, rozbłysła ognista kula, która błyskawicznie zwiększała swą objętość. W ciągu 0,00001 sekundy jej średnica wyniosła 28 metrów. Temperatura sięgnęła 300 tysięcy stopni C. Po sekundzie średnica kuli wynosiła już 280 metrów. Fala rozpalonego powietrza dotknęła ziemi. Ludzie w odległości 300-400 metrów od centrum wybuchu wyparowali. Na dachówkach domów oddalonych o 600 metrów pojawiły się szkliste bąble. W odległości 1000 metrów ciała ludzi zapalały się. Osoby znajdujące się 3,5 kilometra od wybuchu doznały poważnych oparzeń.

Powietrze, nagrzane od eksplozji, rozszerzało się jak balon, tworząc huraganowy wicher, który w pobliżu centrum wybuchu osiągał prędkość 1500 km/h. Jego siła szybko malała, ale zanim ucichł, zmiotł wszystkie drewniane domy w promieniu 2 kilometrów, a solidne, betonowe budynki zostały poważnie uszkodzone.

W ciągu minuty od wybuchu ludzie, którzy nie schronili się za grubymi murami, zostali napromieniowani i wkrótce zmarli.

Po eksplozji na Hiroszimę spadł czarny deszcz. W kroplach wody były sadze, piasek, pył - uniesione podmuchem zmieszały się z chmurami. Były w nich również cząsteczki radioaktywne.

W mieście zginęło około 80 tysięcy osób. Dokładnej liczby nie zna nikt. Do końca grudnia 1945 r. zmarło jeszcze prawie 60 tysięcy ludzi. Skala zniszczeń i ofiar nie była większa niż w Tokio w czasie nalotu w nocy z 8 na 9 marca, gdy od wybuchów bomb burzących, odłamkowych i zapalających zginęło i odniosło rany niemalże 135 tysięcy ludzi, jednak siła ataku nuklearnego polegała na tym, że jeden samolot, zrzucając jedną bombę, dokonał zniszczeń równie dużych jak setki bombowców.

Następnego dnia o 9.00 najwybitniejszy japoński fizyk atomowy, profesor Joszio Niszina został zaproszony do Sztabu Generalnego, gdzie powitał go generał M. Kawabe.

- Zaprosiłem pana po otrzymaniu niepojętej wiadomości - powiedział generał i podał Niszinie kartkę papieru: Całe miasto Hiroszima zostało zniszczone w ciągu jednej chwili, przez jedną bombę.
- Pamiętam, że kilka tygodni temu mówił pan o możliwości skonstruowania takiej bomby.

- Tak. To wynikało z doniesień wywiadu morskiego, który informował, że Amerykanie prowadzą prace nad nową bronią. Rozumiałem, że nie chodzi o zwiększenie ciężaru ładunku bomby lotniczej, lecz skonstruowanie jakościowo nowej broni - wyjaśnił profesor.

- Czy mógłby pan zbudować bombę atomową w przeciągu sześciu miesięcy? Tyle możemy w obecnych warunkach poczekać...

Profesor spojrział z niedowierzaniem na generała, zdając się pytać: "Czy pan nie widzi, co dzieje się dookoła: spustoszone miasta, spalone fabryki, unieruchomiony transport? Jak w tych warunkach można podjąć realizację projektu, wymagającego ogromnych nakładów finansowych, rzesz naukowców, budowy laboratoriów?..."

- W obecnych warunkach nie starczyłoby mi nawet sześciu lat na zbudowanie takiej bomby. Poza tym nie mamy uranu - odpowiedział spokojnie.

- Czy istnieje jakakolwiek skuteczna broń przeciwko bombom atomowym? - nie ustępował generał.

- Tylko jedna - odrzekł Niszina. - Zestrzelić każdy samolot, który pojawi się nad Japonią...

Generał Kawabe nie zadawał więcej pytań. Odpowiedzi najwybitniejszego japońskiego atomisty nie pozostawiały żadnych wątpliwości: Amerykanie mogą bezkarnie bombardować japońskie miasta. Los państwa zależy tylko od tego, jak dużo bomb atomowych wyprodukowali i wyprodukują w najbliższej przyszłości. Taką opinię wyraził generał Kawabe w raporcie, który wysłał do ministra wojny.

W tym samym czasie, gdy profesor Niszina uzmysłowił szefowi Sztabu Generalnego bezradność japońskich sił zbrojnych wobec nowej broni, w bazie na wyspie Tinian rozpoczęto przygotowania do drugiego nalotu atomowego. Plan przewidywał, że druga bomba zostanie zrzucona 11 sierpnia, ale prognoza pogody nie była dobra. Meteorolodzy zapowiadali mgły, deszcze i niski pułap chmur w dniach od 9 do 15 sierpnia. W tej sytuacji generał Farrel zdecydował przyśpieszyć termin nalotu i wyznaczył 9 sierpnia. O 3.47 z lotniska na Tinianie wystartował samotny B-29, nazwany "Bock's Car", prowadzony przez majora Charlesa Sweeneya. Początkowo nie towarzyszył mu żaden z samolotów obserwacyjnych. Miały one dołączyć później. O 9.15 "Bock's Car" doleciał na miejsce spotkania z innymi samolotami i zaczął zataczać duże koła. Po 5 minutach zauważono, że zbliża się jeden z oczekiwanych B-29. Mijały minuty, a drugi samolot nie nadlatywał. O godz 9.50 major Sweeney zakończył oczekiwanie i skierował samolot w stronę Kokury. Prognozy pogody nadesłane z bazy wskazywały, że nad tym miastem chmur nie ma. Meteorolodzy pomylili się. Gdy o 10.44 "Bock's Car" znalazł się nad Kokurą, załoga nie mogła dostrzec przez gęstą warstwę chmur celu. Major Sweeney dwukrotnie nadlatywał nad miasto, ale za każdym razem bombardier meldował, że nie widzi celu. Po 45 minutach dowódca skierował samolot w stronę celu zapasowego: Nagasaki.

O 11.50 znaleźli się w rejonie tego miasta. Chmury w dalszym ciągu zasłaniały ziemię. Major Sweeney był zdecydowany zrzucić bombę na cel widziany jedynie na ekranie radaru, ale nagle w gęstej zasłonie ukazała się dziura, przez którą było widać zabudowania. Sweeney skierował natychmiast samolot w tamtą stronę. Tylko przez 20 sekund widzieli miasto, lecz wystarczyło to, by naprowadzić samolot na cel. O godz. 11.58 bombardier kapitan K.K. Beahan nacisnął spust zwalniający zaczepy bomby o nazwie "Fat Man". Pilot położył samolot w gwałtownym skręcie i po chwili zwiększył maksymalnie moc silników. Za nimi zajaśniała ogromna kula, a gdy przygasła, w górę wystrzelił słup dymu szeroki na kilometr, który już po minucie osiągnął 10 tysięcy metrów wysokości. W Nagasaki zginęło prawdopodobnie 70 tysięcy ludzi.

Kapitulacja

9 sierpnia w Mandżurii wojska radzieckie przystąpiły do ofensywy. Stacjonująca tam japońska Armia Kwantuńska, choć liczyła 1,5 miliona żołnierzy, nie przedstawiała wielkiej wartości bojowej. Młodzi żołnierze, źle wyszkoleni i jeszcze gorzej wyekwipowani, nie mieli wielkich szans w starciu z dywizjami dobrze uzbrojonymi i zahartowanymi w bojach w Europie. Jednakże dopóki na kontynencie azjatyckim stacjonowało półtora miliona żołnierzy, zwolennicy kontynuowania wojny powoływali się na możliwość wykorzystania tej siły do walki z wojskami amerykańskimi, gdyby wdarły się one na wyspy japońskie. Przewidywali też możliwość ewakuacji cesarza i rządu do Chin lub Mandżurii i prowadzenia stamtąd walki z Amerykanami i Rosjanami. Klęski w Mandżurii przekreśliły te plany i stawiały pod znakiem zapytania sens dalszego oporu.

9 sierpnia o 23.30 w niewielkim schronie głęboko pod pałacem cesarskim w centrum Tokio zebrali się na naradę członkowie rządu i najwyżsi dowódcy wojskowi. Zwykle to oni doradzali cesarzowi. Teraz cesarz miał przedstawić im swoją opinię na temat dalszego prowadzenia wojny. Po 20 minutach do sali wszedł cesarz Hirohito w mundurze generalskim. Gdy wszyscy zajęli miejsca, sekretarz generalny gabinetu, Hisatsune Sokomidzu, odczytał tekst deklaracji poczdamskiej, podpisanej przez Trumana, Churchilla i Stalina, wzywającej władzę Japonii do bezwarunkowej kapitulacji. Premier Suzuki przeprosił cesarza za to, że ani rząd, ani Najwyższa Rada Wojenna nie potrafią podjąć jednomyślniej decyzji co do dalszego prowadzenia wojny. Politycy i żołnierze kolejno prezentowali swoje stanowiska. Minister Togo zdecydowanie opowiedział się za kapitulacją. Podobnego zdania byli admirał Jonai i baron Hiranuma. Najwyżsi dowódcy opowiadali się za dalszą walką.

- Sto milionów Japończyków gotowych jest polec w obronie honoru naszej rasy. I to przejdzie do historii - zakończył krótkie przemówienie generał Anami.

- Gromadzimy siły do przyszłych operacji i w swoim czasie przejdziemy do kontrataku - oświadczył szef Sztabu Generalnego, generał Umedzu.

- Nie można stwierdzić, że zwycięstwo jest pewne, ale nie wierzymy, że będziemy całkowicie pokonani - powiedział głównodowodzący marynarką wojenną admirał Tojoda.

Dyskusja trwała do 2.00. Wtedy wstał premier Suzuki. Złożył głęboki ukłon cesarzowi i rzekł:

- W tych warunkach z całą pokorą staję u stóp tronu, aby błagać dostojną mądrość cesarską o rozsądzenie sporu zgodnie z decyzją jego cesarskiej mości. - Premier doskonale rozumiał, że cesarz jest jedyną osobą, której autorytet może zmusić armię do podporządkowania się decyzji o kapitulacji. Aby tak się stało, cesarz musiał otwarcie powiedzieć, że należy zakończyć wojnę.

Hirohito mówił krótko.

- Przemyślałem sprawę z całą powagą i uznałem, że kontynuowanie wojny może oznaczać tylko ruinę dla narodu, dalszy rozlew krwi i okrucieństwo. - Cesarz mówił o wielkich ofiarach, które żołnierze i naród japoński złożyli w tej wojnie, ale nie widział możliwości kontynuowania walki.

- Nadszedł czas, kiedy musimy znieść to, co wydaje się nie do zniesienia. Kiedy sięgam do przeszłości, kiedy myślę o uczuciach mego przodka, cesarza Meidzi, o tym, co przeżywał w czasie interwencji trzech mocarstw, to dławię łzy i aprobuję propozycję przyjęcia sojuszniczej deklaracji, przedstawionej przez ministra spraw zagranicznych.

Narada była skończona...

14 sierpnia 1945 r. 804 bombowce B-29 wystartowały do ostatniego nalotu na Japonię. Tego dnia prezydent Truman wydał zakaz dokonywania dalszych nalotów. Przywódcy Kraju Wschodzącego Słońca szykowali się do kapitulacji.

2 września 1945 r. o 5.00 w zniszczonej rezydencji nowego premiera Japonii, Toszihiko Higaszikuni, zebrali się wojskowi i dyplomaci, którym przewodził 64-letni minister spraw zagranicznych Mamoru Szigemitsu. Obok niego stał szef Imperialnego Sztabu Generalnego, generał Josziji Umedzu. Dotychczas odmawiał udziału w ceremonii kapitulacji, ale został do tego zmuszony osobistym poleceniem cesarza. Brakowało głównodowodzącego marynarką wojenną admirała Soemu Tojody, który nie usłuchał polecenia cesarza i przysłał w zastępstwie oficera ze swego sztabu, Sadatoszi Tomioke.

Zanim delegacja opuściła Jokohamę, jej uczestnicy odpięli szable, a z samochodów, którymi jechali, zdjęto proporczyki. Żołnierze bez broni i dyplomaci bez flag wyruszali poddać imperium. W porcie zobaczyli niszczyciel Hatsuzabura. Jeden z nielicznych okrętów tak potężnej niegdyś marynarki wojennej stał przycumowany przy nabrzeżu z opuszczonymi lufami dział, jakby oddawał pokłon...

O 8.55 delegacja dobiła do burty pancernika Missouri. Pierwszy do trapu podszedł minister Szigemitsu. Z trudem wspinał się po stromych stopniach, gdyż kilka lat wcześniej stracił nogę w zamachu bombowym w Szanghaju. Jeden z Amerykanów wyciągnął rękę. Minister zawahał się, ale przyjął pomoc. Na pokładzie byli już alianccy dowódcy. Anglicy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Chińczycy, Rosjanie, Holendrzy i Amerykanie uformowali szereg w kształcie litery U, w otwarciu której stał mikrofon oraz stół, wyciągnięty z mesy i przykryty zielonym suknem.

Nad nim piętrzyło się rusztowanie dla operatorów i korespondentów wojennych. Na wieżach artyleryjskich i lufach potężnych dział pancernika tłoczyli się marynarze.

Gdy Japończycy stanęli w miejscach wskazanych przez komandora Birda, na pokład wszedł naczelny dowódca Zjednoczonych Sił, generał Douglas MacArthur. Przybył znacznie wcześniej i w admirałskiej kabinie oczekiwał na rozpoczęcie ceremonii. Podszedł do mikrofonu. Trzymał w dłoni kartkę papieru, ale ręce złożył za plecami. Mówił krótko o znaczeniu aktu, który miał zostać podpisany. *Nie otrzymałem żadnych instrukcji, co mówić ani co robić - przyznał się później MacArthur. - Stojąc na pokładzie, byłem pozostawiony sam sobie, tylko z Bogiem i własną świadomością, i to miało mnie prowadzić.*

Na stole leżały dwie kopie aktu kapitulacji: amerykańska - oprawiona w skórę - i japońska - w okładkach z płótna. MacArthur, gdy skończył przemawiać, skinął do ministra Szigemitsu. Ten kulejąc

podszedł do stołu. Usiadł i zaczął nerwowo przekładać laseczkę, rękawiczki i cylinder. MacArthur, czując, że minister jest całkowicie zagubiony, powiedział do stojącego obok komandora Sutherlanda:

- Pokaż mu, gdzie podpisać!

Po Japończykach nadeszła pora na aliantów. Podchodzili kolejno składać podpisy. Ostatni usiadł przy stole MacArthur. Położył przed sobą 5 wiecznych piór i z ich pomocą złożył podpisy na dokumentach. Ostatnie, tanie czerwone pióro należało do jego żony Jane. Prosiła, aby zachował je dla syna.

O 9.25 ceremonię zakończono. MacArthur, wyraźnie odprężony, objął ramieniem dowódcę pancernika Missouri i rozglądając się po niebie zapytał:

- Bili, gdzie, do diabła, są wszystkie samoloty? Jakby na ten sygnał pojawiły się formacje myśliwców i bombowców B-29. Defilada zwycięzców wojny na Pacyfiku...

Testament Marszałka Tuchaczewskiego

Był późny wieczór 21 czerwca 1941 r., gdy trzech najwyższych dowódców Armii Czerwonej: komisarz obrony Siemion Timoszenko, szef Sztabu Generalnego Gieorgij Żukow i jego zastępca Nikołaj Watutin weszli do gabinetu Stalina. W pomieszczeniu panował półmrok i tylko lampa na biurku przy oknie oświetlała duży pokój. Stalin krążył wokół biurka, ale na widok przybyłych podszedł do dużego stołu konferencyjnego, na którym rozłożono mapy.

- Prawdopodobnie niemieccy generałowie wysłali następnego dezertera, aby sprowokować konflikty - powiedział.

Stalin nawiązywał do ostatniej informacji przekazanej przez Żukowa, o dotarciu niemieckiego kaprała do jednego z radzieckich oddziałów pogranicza. Żołnierz ów stwierdził, że wojska niemieckie zajmują rejony wyjściowe do natarcia, które miało rozpocząć się następnego dnia we wczesnych godzinach porannych.

- Nie! - Komisarz Timoszenko odezwał się stanowczym głosem, jakby w ten sposób chciał przekonać Stalina o tym, że niemieckie przygotowania do ataku są już bardzo zaawansowane. - Uważamy, że człowiek ten mówił prawdę!

W tym czasie do gabinetu weszli członkowie Biura Politycznego.

- Co mamy robić? - zapytał Stalin, po zapoznaniu ich z sytuacją.

- Trzeba natychmiast wydać wojskom rozkaz postawienia wszystkich jednostek okręgów przygranicznych w stan pełnej gotowości bojowej! - Timoszenko, zdesperowany, wiedział, że nie może pozwolić na rozpętanie dyskusji. Już nie było na to czasu. - Tak się złożyło, że szef Sztabu Generalnego, Żukow, przygotował odpowiednie zalecenia.

- Przeczytajcie - powiedział Stalin.

Dyrektywa nie zyskała jednak uznania.

- Na wydanie takich rozkazów jest jeszcze za wcześnie. Być może problem uda się rozstrzygnąć postępowaniem pokojowym. Trzeba wydać krótką dyrektywę, zwracając w niej uwagę na to, że napaść może się zacząć od prowokacyjnych działań oddziałów niemieckich. Wojska okręgów przygranicznych nie powinny pod żadnym pozorem dać się sprowokować - zaproponował Stalin.

Żukow i Watutin opracowali takie zalecenia i Stalin, po wprowadzeniu paru poprawek, podpisał je. Watutin natychmiast zabrał dokument, aby przekazać dowódcom okręgów. O godzinie 0.30 jego treść została wysłana w eter. Było to na 135 minut przed niemieckim atakiem. Za późno, aby dyrektywa mogła cokolwiek zmienić. Co gorsze dla Rosjan, dowódcy wielu okręgów nie odebrali depechy z Moskwy, gdyż niemieckie oddziały dywersyjne przecięły linie telefoniczne.

O północy ekspres Moskwa-Berlin przemknął, dudniąc po moście w Brześciu Litewskim. Gdy zniknął w odali, uniósł się semafor, otwierając drogę przed pociągiem towarowym, wiozącym

ukraińskie zboże do Niemiec.

W tym samym czasie Żukow ponownie zatelefonował do Stalina.

- Towarzyszu Stalin, kolejny dezterter informuje o ataku przygotowywanym na wczesne godziny poranne.

- Co to za jeden?

- Robotnik, komunista. Nazywa się Alfred Liskov z 222. pułku piechoty 74. dywizji. Około 21.00 przepłynął Prut, żeby przedostać się do naszych oddziałów.

- Rozstrzelać za sianie dezinformacji - powiedział spokojnie Stalin i odłożył słuchawkę.

Chwilę potem przeszedł przez korytarz wyłożony czerwonym dywanem. Wsiadł do windy i zjechał na parter. Przed wejściem do budynku stał już wyprostowany na baczność szef osobistej ochrony, generał Własik. Na widok Stalina otworzył drzwi do opancerzonej limuzyny.

- Do Kuncewa, towarzyszu Stalin? - zapytał, zanim Stalin zniknął w przepastnym wnętrzu samochodu.

Czarna limuzyna i towarzyszące samochody ochrony ruszyły w stronę Bramy Borowieckiej, przemknęły przez ulice uśpionej Moskwy i po kilkudziesięciu minutach dojechały do willi Stalina w podmoskiewskiej miejscowości Kuncewo. Dyktator ułożył się na sofie w salonie, przykrył wojskowym kocem i zasnął. Była godzina 3.30.

Generał Żukow siedział w swoim gabinecie w Sztabie Generalnym. On wierzył w informacje dezterterów, potwierdzone przez oddziały obserwujące niecodzienny ruch po niemieckiej stronie. Był przekonany, że niemieckie armie lada moment uderzą. Nie mógł jednak nic zrobić. Pozostało mu tylko czekać...

O 3.30 zadzwieczył telefon na jego biurku.

- Tu generał Klimowski - zgłosił się szef sztabu Zachodniego Okręgu Wojskowego. - Samoloty niemieckie bombardują miasta na Białorusi.

Trzy minuty później szef sztabu Kijowskiego Okręgu Wojskowego generał Purkajew meldował o nalotach na miasta Ukrainy.

Nie można już było mieć żadnych wątpliwości. Wojna!

Tuż przed godziną 4.00, 22 czerwca 1941 r., Żukow zadzwonił do komisarza obrony i przekazał meldunki, które nadeszły z okręgów wojskowych. Timoszenko nakazał skontaktować się ze Stalinem.

W Kuncewie nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie zgłosił się zaspany generał z ochrony Stalina.

- Kto mówi?

- Szef Sztabu Generalnego, Żukow. Proszę natychmiast połączyć mnie z towarzyszem Stalinem.

- Co? Teraz?! Towarzysz Stalin śpi.

- Proszę go obudzić nie zwlekając! Niemcy bombardują nasze miasta!

Po kilku minutach do telefonu podszedł Stalin. Wysłuchał meldunku, lecz nie odpowiadał. Cisza w słuchawce przedłużała się.

- Czy zrozumieliście mnie? - zdecydował się zapytać Żukow.

Milczenie trwało. Dopiero po długiej chwili Stalin zapytał:

- Gdzie jest ludowy komisarz?

- Rozmawia z Kijowskim Okręgiem Wojskowym.

- Przyjedźcie na Kreml z Timoszenką. Powiedzcie Proskrebyszewowi [sekretarz Stalina - BW], żeby wezwał wszystkich członków Biura Politycznego.

O godzinie 4.30 Żukow i Timoszenko weszli do gabinetu na Kremlu. Byli tam już wszyscy członkowie Biura Politycznego. Stalin, błydy jak ściana, siedział nieruchomo za biurkiem z wygasłą fajką w ręku. Nie wierzył jeszcze, że wybuchła wojna. Wszyscy czekali na powrót komisarza spraw zagranicznych, Wiaczesława Mołotowa, który miał się spotkać z ambasadorem niemieckim. Wrócił po kilkunastu minutach, wyraźnie roztrzęsiony, i oświadczył:

- Rząd niemiecki wypowiedział nam wojnę.

Stalin, który na widok wchodzącego Mołotowa poderwał się zza biurka, opadł na krzesło. Przez wiele minut nic nie mówił. Nikt się nie odważył przerwać ciszy. Wreszcie odezwał się Żukow i zaproponował, aby wszystkie siły przygranicznych okręgów wojskowych rzucić do walki z nieprzyjacielem i powstrzymać napór.

- Nie powstrzymać, lecz zniszczyć - powiedział komisarz Timoszenko

- Wydajcie rozkaz - odezwał się Stalin.

Rozkaz odparcia wojsk niemieckich i przejścia do kontrofensywy na całym froncie, przekazany do okręgów wojskowych o godzinie 7.15, był wyrazem absolutnego niezrozumienia sytuacji w armii i na froncie. Tam ruszyła do boju niemiecka tzw. Armia Wschodnia (Ostheer), wspierana przez armie rumuńską i węgierską - łącznie ponad 120 dywizji piechoty, 2,5 miliona ludzi, 3350 czołgów, 48 tysięcy dział i moździerzy i 2200 samolotów.

Siły Armii Czerwonej w zachodnich okręgach pogranicznych liczyły 2,9 miliona ludzi w 170 dywizjach, 38 tysięcy dział i moździerzy, 1470 czołgów nowych typów (T-34 i KW-1) z posiadanych

ogółem 22-24 tysięcy czołgów, oraz około 1500 samolotów nowych typów, z ponad 3 tysięcy stacjonowanych w tym rejonie. Stosunek sił nie zapowiadał kataklizmu. Te wojska, postawione odpowiednio wcześniej w stan pogotowia, mądrze rozlokowane w rozbudowanych liniach obronnych, mogły zatrzymać napastników. A jednak na całym długim froncie ponosiły ciężkie straty i cofały się, podejmując rozpaczliwe próby zorganizowania obrony. Wszędzie panował nieopisany chaos.

48. dywizja piechoty Bałtyckiego Specjalnego Okręgu Wojskowego maszerowała z Rygi w stronę frontu, gdy nisko nad drzewami nadleciały samoloty Messerschmitt Bf 109. Wystrzeliły pierwsze serie w stronę całkowicie zaskoczonych żołnierzy. Żaden z oficerów nie pomyślał o zorganizowaniu obrony przeciwlotniczej. Tuż potem wysoko na niebie pojawiły się Ju 87 Stuka. Z niezwykłą precyzją lokowały 250-kilogramowe bomby na zatłoczonej drodze. W ciągu 20-minutowego nalotu dywizja poniosła tak duże straty, że gdy nadciągnęły niemieckie oddziały, nie mogła już się bronić i została całkowicie zniszczona.

Dywizje: 5. i 126. były na poligonach w odległości około 100 kilometrów od koszar i nie mogły dotrzeć do wyznaczonych rejonów. Jednostki obrony przeciwlotniczej Mińska kończyły ćwiczenia na poligonach znajdujących się w odległości 430 kilometrów od miasta. W rejonie Tilsit 125. dywizja piechoty stawiała czoło całej niemieckiej 4. grupie pancernej, z której 3 dywizje pancerne i 2 dywizje piechoty rozniosły radziecką jednostkę.

Na lotniskach sytuacja była wprost rozpaczliwa. Część kadry z Zachodniego Okręgu Wojskowego przebywała na krótkoterminowych urlopach. W większości baz samoloty stały równo ustawione, tak że były znakomitym celem dla niemieckich myśliwców. W innych rejonach, gdzie przerzucono już samoloty na lotniska zapasowe, nie dowieziono amunicji i paliwa.

Luftwaffe zbierała przerażające zniwo: w czasie ośmiopółgodzinnych walk lotnictwo niemieckie zniszczyło około 1200 samolotów radzieckich (z czego 70-80% na lotniskach), uzyskując całkowite panowanie w powietrzu. Straszliwy chaos, w którym gubiły się dywizje, pogłębiali oficerowie nie umiejący ani zorganizować obrony, ani opanować spanikowanych żołnierzy. Kadra nie wiedziała, gdzie znajdują się podlegające jej oddziały. Dowódcy kompanii i batalionów - z których wielu nie umiało czytać map - w obliczu sprzecznych rozkazów, lub braku wszelkich wskazówek, prowadzili swoje wojska wprost pod lufy niemieckich czołgów. Takie były następstwa wielkiej czystki, która pochłonęła Tuchaczewskiego i wielu innych najwybitniejszych, najbardziej doświadczonych dowódców; w wojsku od 40 do 85 tysięcy oficerów zostało zabitych, uwięzionych lub zwolnionych ze służby. Z 5 marszałków - 3 zamordowano, z 15 dowódców armii uratowało się tylko 2, z 85 dowódców korpusów - ocalało tylko 28, z 195 dowódców dywizji - 85, z 406 dowódców brygad - ocalało 186.

Ci, którzy zajęli miejsca uwięzionych i pomordowanych, nie mieli doświadczenia i przygotowania. Oficerowie, zaledwie radzący sobie z dowodzeniem pułkiem, dostawali pod swoje rozkazy dywizje. Ci, którzy nie sprawdzili się w dowodzeniu dywizjami, stawali na czele armii, a nawet frontów. Efektem była jedynie przelana krew.

Żukow, jako szef Sztabu Generalnego, ponosił bezpośrednią odpowiedzialność za nieprzygotowanie wojsk do obrony. Jednakże przyszło mu działać w wyjątkowo nie sprzyjających warunkach. Dyktator nie wierzył w agresywne plany Niemiec i uważał, że wszelkie informacje na ten

temat są inspirowane przez wywiad brytyjski, który zmierzał do sprowokowania wojny między dwoma zaprzyjaźnionymi państwami, tj. Związkiem Radzieckim i Niemcami. Dezinformację pogłębiał... radziecki wywiad. W lipcu 1940 r. szefem wywiadu wojskowego GRU został generał lejtnant Fiodor Golikow, który niewiele wiedział o funkcjonowaniu wywiadu - jego wiedza pochodziła z konfidenckiej współpracy z NKWD, w czasach gdy donosił na kolegów. Po awansie obawiał się, że jego niekompetencja wyjdzie na jaw i, w celu zamaskowania braku wiedzy, rozpętał kampanię poszukiwania w wojsku szpiegów, dywersantów i wrogów ludu. Odwracał w ten sposób uwagę wojska od najważniejszych problemów i zmuszał kadre do poszukiwania sprawców wymyślonych aktów sabotaży: na przykład dodania szkła do filcu, z którego produkowano walonki, umieszczania gwoździ w butach lub dostarczania zatrutych bochenków chleba. Efekty były paradoksalne. Na przykład w czasie manewrów morskich na Bałtyku okręty podwodne nie zanurzały się, gdyż nadeszła informacja, że zostały uszkodzone przez sabotażystów; pływając po powierzchni zachowywały się tak, jakby poruszały się w głębinach, a podniesienie peryskopu oznaczało atak torpedowy. W takiej atmosferze Golikow mógł być spokojny, że nikt nie będzie sprawdzał jego kompetencji, ani też oczekiwał sukcesów w innych dziedzinach pracy wywiadowczej. Jednakże największy problem stanowiły raporty radzieckich szpiegów, którzy, jak doktor Richard Sorge w Tokio, uzyskali dostęp do największych tajemnic rządu III Rzeszy i przesyłali precyzyjne meldunki o przygotowaniach do wojny. Golikow nie mógł wyrzucić ich do kosza, wysyłał więc do Stalina z adnotacjami: “zaprzedał się Brytyjczykom” lub “podwójny agent”.

20 marca 1941 r. przekazał raport wywiadowczy, w którym informował, że uderzenie wojsk niemieckich ma nastąpić 15 maja*[* Była to pierwotna data rozpoczęcia wojny z ZSRR. Hitler przesunął termin na czerwiec ze względu na podjęcie działań przeciwko Jugosławii.] oraz podawał organizację sił niemieckich. Golikow napisał w podsumowaniu raportu: *Pogłoski i dokumenty, mówiące o nieuchronnej na wiosnę tego roku wojnie z ZSRR, należy oceniać jako dezinformacje pochodzące od angielskiego, a może nawet od niemieckiego wywiadu.*

W podobnym tonie wypowiadali się najwyżsi dowódcy wiedząc, że słowo o autentycznym zagrożeniu może przynieść straszliwe konsekwencje. Komisarz marynarki wojennej admirał Nikołaj Kuzniecowa, przesyłając Stalinowi raport na temat niemieckich planów, napisał: *Przypuszczam, że informacje są fałszywe i specjalnie skierowane na tę drogę, ażeby sprawdzić, jak zareaguje Związek Radziecki.*

Stalin nie uwierzył nawet w szokujące wyznanie niemieckiego ambasadora, hrabiego Friedricha Wernera von Schulenburga, który na początku czerwca 1941 r. powiedział do radzieckiego dyplomaty Władimira Diekanozowa: “Hitler podjął decyzję o rozpoczęciu wojny ze Związkiem Radzieckim 22 czerwca. Dlaczego was o tym informuję? Wychowano mnie w duchu Bismarcka, który był zawsze przeciwny wojnie z Rosją”.

Dyktator uznał jednak, że to szokujące wyznanie jest częścią gry politycznej, której celem jest uzyskanie od Związku Radzieckiego większych ustępstw w stosunkach gospodarczych. Wkrótce miał już dość wszelkich informacji o nadchodzącej wojnie i postanowił sprawę zakończyć definitywnie.

16 czerwca wezwał do swojego gabinetu szefa Wydziału Wywiadu Zagranicznego OGPU, Pawła Fitina.

- Słuchaj, szefie wywiadu - powiedział. - Nie musicie przedstawiać mi ostatnich raportów naszych agentów, znam je na pamięć [chodziło o meldunki agentów z Berlina i Sorgego z Tokio - BW]. Zapamiętaj, szefie wywiadu, nie ma Niemców, którym można byłoby wierzyć poza Wilhelmem Pieckiem [organizator Komunistycznej Partii Niemiec i od 1935 r. jej przewodniczący - BW]. Czy to jest jasne?

- Jasne, towarzyszu Stalin - odpowiedział Fitin.

Szef Sztabu Generalnego generał Żukow (i zapewne komisarz obrony) nie otrzymywał nawet tych okrojonych, opatrzonych komentarzami raportów wywiadowczych, gdyż trafiały bezpośrednio do Stalina, a ten, bez wątpienia, nie przekazywał swoim oficerom ostrzeżeń przed niemiecką agresją.

Czy Stalin zdał sobie sprawę, że wielkie klęski, jakie ponosiła Armia Czerwona w pierwszych dniach wojny z Niemcami, są efektem wielkiej czystki? Zapewne nie. Był przekonany, że nie udało się zlikwidować wszystkich jego wrogów wśród oficerów, że wielu dowodzących armiami i frontami to poplecznicy Trockiego i Tuchaczewskiego, osobnicy, którym udało się ukryć przed NKWD. To przekonanie tym bardziej skłaniało go do otoczenia się wąskim gronem oficerów, którym bezgranicznie wierzył. Jednym z nich był Gierogij Żukow. Stalin pozwolił mu zostać bohaterem.

Bieda panowała w chałupie wiejskiego szewca w Strielkowce w kałuskiej guberni, gdzie 19 listopada 1896 r. urodził się Gieorgij.

“Gdy skończyłem 5 lat, a siostra zaczynała już siódmy rok, matka urodziła jeszcze jednego chłopca, któremu nadano imię Aleksiej. Był on bardzo chudziutki i wszyscy się bali, że nie wyżyje. Mama płacząc nieraz powtarzała: »A od czegoż to dziecko będzie silne? Od samej wody i chleba?« Zaledwie w kilka miesięcy po urodzeniu syna matka postanowiła znów pojechać do miasta na zarobek. Sąsiedzi odradzali jej, namawiali, żeby bardziej troszczyła się o chorowite maleństwo, które potrzebowało karmienia piersią. Ale groźba głodu, wisząca nad całą rodziną, zmusiła matkę do wyjazdu. Alosza pozostał zaś pod naszą opieką. Żył niedługo, niecały rok. Jesienią pochowaliśmy go na cmentarzu w Ugodzkim Zawodzie. Oboje z siostrą, nie mówiąc już o matce i ojcu, bardzo żalowaliśmy Aloszy i często chodziliśmy na jego grób. W tym samym czasie nawiedziło nas inne nieszczęście - ze starości zawalił się dach naszej chałupy. »Trzeba stąd uciekać - postanowił ojciec - bo wszystkich nas zagniecie. Dopóki ciepło, zamieszkamy w szopie, a później zobaczymy. Może ktoś pozwoli skorzystać z wolnej łaźni lub stodoły«. Pamiętam dobrze, jak matka, roniąc gęste łzy, mówiła do nas: »No cóż, nie ma rady, dzieci, zabierajcie manatki i przenoście wszystko do szopy«”.

Szczęście uśmiechnęło się jednak do Żukowów. Odnaleźli brata matki, bogatego kuśnierza, i ubłagali go, żeby wziął na naukę 12-letniego Gieorgija. I zapewne przez całe życie przyszywałyby futrzane kołnierze do pelis bogatych chłopów, gdyby nie wojna. 7 sierpnia 1915 r. 19-letni chłopak stanął przed komisją poborową, która skierowało go do kawalerii. Był cierpliwy, zdyscyplinowany i odważny, a w dodatku miał szczęście. Zdobył sympatię przełożonych, którzy skierowali go do szkoły podoficerskiej. Wrócił na front. Dzielnie walczył. Był ranny. Dwukrotnie nagrodzono jego brawurę i dzielność Krzyżami Św. Jerzego.

Tak jak wojna niespodziewanie odmieniła jego życie, tak równie niespodziewanie wtargnęła w nie rewolucja. O świcie 27 lutego 1917 r. szwadron Żukowa stacjonujący we wsi Łageria został postawiony w stan gotowości. Wkrótce wyprowadzono go do pobliskiego miasteczka, gdzie na placu ćwiczeń przed budynkiem sztabu stały już inne oddziały kawalerii. Żołnierze nie czekali długo. Zza rogu ulicy usłyszeli krzyki, a potem wyłoniła się grupa ludzi z czerwonymi sztandarami. Zapewne zgromadzono konnicę, aby rozpędziła tłumy demonstrantów, ale wydarzenia przybrały inny obrót. Z budynku sztabu wyszło kilku żołnierzy. Zaczęli krzyczeć, że wojsko nie uznaje już cara Mikołaja, że lud nie chce wojny, władzy kapitalistów i obszarników. Kawalerzyści odpowiedzieli im gromkim “hurra”.

Żołnierze mieli już dość wojny, klęsk, widoku zniszczeń, śmierci, życia w okopach wśród szczurów i wszy. Wojsko buntowało się przeciwko nieudolnym dowódcom i rządowi, który zdecydowany był prowadzić wojnę, chociaż nikt nie widział już jej celu. Komunistyczni agitatorzy wzywali do obrócenia broni przeciwko dowódcom i zakończenia wojny. To podobało się żołnierzom. Nie protestowali, gdy bolszewicy aresztowali dowódcę pułku i innych najwyższych oficerów.

Żukow poddał się fali buntu, która ogarnęła wojsko. Wybrano go na delegata do rady pułkowej.

Szwadron Żukowa został rozformowany we wrześniu 1917 r., a on sam, z papierem w kieszeni, potwierdzającym, że został zwolniony ze służby, powrócił na rodzinną wieś.

Przewrót październikowy oddał władzę bolszewikom, a Lenin, który jeszcze w kwietniu 1917 r. uważał, że nowej władzy nie będzie potrzebna armia, policja i służba bezpieczeństwa, gdyż rewolucja ogarnie świat i zniesie granice, przekonał się nagle, że naród nie kocha bolszewików. W wyborach do Zgromadzenia Ustawodawczego, które odbyły się 8 grudnia 1917 r., opowiedziało się za nimi 9 milionów z 36 milionów głosujących, a więc niecałe 25%, co dało bolszewikom 175 miejsc w Zgromadzeniu. Zdecydowaną większość zdobyli rewolucyjni socjaliści, lewicowi socjalrewolucjoniści i mienszewicy, zajmując 370 miejsc w Konstytuancie. Lenin nie zamierzał jednak oddawać władzy, ani dzielić jej w koalicyjnym rządzie. Na pierwszym posiedzeniu Konstytuanty 18 stycznia 1918 r. zgłosił wniosek o przyznanie rządowi specjalnych uprawnień. Zostało to odrzucone przez większość posłów, którzy argumentowali, że zadaniem Zgromadzenia Ustawodawczego jest uchwalenie konstytucji. Dzień później bolszewicki rząd rozwiązał Konstytuantę. Żołnierze zamknęli wejścia do sali obrad i odpędzili posłów.

Lenin zrozumiał, że zdobędzie i utrzyma władzę tylko wtedy, gdy będzie miał do dyspozycji duże siły policyjne i wojskowe. Z jego rozkazu 20 grudnia 1917 r. Feliks Dzierżyński przystąpił do organizowania tajnej policji politycznej, a w styczniu 1918 r. Lew Trocki zaczął tworzyć siły zbrojne. Żukow, gdy tylko wydobrzeł po tyfusie, w sierpniu 1918 r., stawiał się w Moskwie, gdzie wstąpił do 4. pułku kawalerii 1. Moskiewskiej Dywizji. Ten wybór był oczywisty: chłopak z wiejskiej rodziny, przez lata przymierającej głodem, w naturalny sposób wybrał tych, którzy obiecali mu dostatnie życie.

Bolszewicy tracili jednak kontrolę nad sytuacją. Rosja pogrążyła się w ogniu wojny domowej. Na zachodzie, mimo zawarcia traktatu pokojowego w Brześciu w marcu 1918 r., wojska niemieckie posuwały się naprzód; na południu Turcy podeszli do wybrzeży Morza Czarnego i kierowali się w stronę Baku; Kozacy dońscy pod wodzą Piotra Krasnowa wzniesili bunt przeciw bolszewikom i wkrótce z wojskami generała Antona Denikina zajęli ogromny obszar od frontu niemieckiego do Wołgi; na wschodzie zbuntowany Korpus Czechosłowacki opanował południową część Uralu i przejął kontrolę nad transsyberyjską linią kolejową; w Samarze powstał rząd opozycyjny; w Omsku powstał rząd admirała Aleksandra Kołczaka; w Murmańsku wylądowały wojska brytyjskie, aby nie dopuścić do opanowania przez Niemców składów amunicji; w maju 15-tysięczny brytyjski korpus ekspedycyjny przejął kontrolę nad półwyspem Kola i Archangielskiem; we Władywostoku wylądowały wojska brytyjskie i japońskie. Wydawałoby się, że wobec takich potęg władza bolszewicka niewielkie ma szansę przetrwania, ale okoliczności jej sprzyjały: Brytyjczycy nie kwapili się do wychylania nosa poza rejony portów, które łatwo i szybko opanowali. Wystarczyłoby przysłanie 3 dywizji, które przełamałyby opór bolszewików i doszły do Moskwy. Jednakże zakończenie wojny w Europie w listopadzie 1918 r. podziałało tak demobilizująco na armię brytyjską, że żaden polityk ani dowódca nie odważyłby się zaproponować zebrania wojsk i wysłania ich do Rosji.

Biali generałowie, choć mieli pod swoimi rozkazami około miliona żołnierzy, nie potrafili skoordynować działań podlegających im wojsk, nie potrafili również zawrzeć sojuszu z Polską*.[* 26 listopada 1919 r. generał Anton Denikin zwrócił się o pomoc do Józefa Piłsudskiego, jednakże

podtrzymał nieustępliwie stanowisko w sprawie granicy polsko-rosyjskiej, co ostatecznie przesądziło o powstrzymaniu się Piłsudskiego przed udzieleniem pomocy.] To dawało szansę zwycięstwa bolszewikom, których szeregi rosły szybko, a dobrze organizowane przez Lwa Trackiego stawały się poważną siłą bojową.

Żukow, z pułkiem 1. Dywizji Moskiewskiej, wyruszył na front wojny domowej. Dowódcą brygady był Siemion Timoszenko, a dywizją dowodził Siemion Budionny. Pod Uralskiem Żukow poznał Michaiła Frunzego - dowódcę południowego zgrupowania wojsk Frontu Wschodniego. W guberni tombowskiej walczył razem z Michaiłem Tuchaczewskim i Hieronimem Uborewiczem przeciw oddziałom Antonowa. Gdy wygasła wojna domowa, ci ludzie przejęli dowodzenie Armią Czerwoną, a znajomości i przyjaźnie z pola bitwy zawsze były decydujące w powojennych żołnierskich karierach.

Żukow od 1923 r. dowodził pułkiem, przeszedł liczne przeszkolenia, przełożeni mieli o nim jak najlepsze zdanie. Prawdopodobnie te względy zadecydowały o skierowaniu go do Akademii Wojennej w Berlinie. W żadnym radzieckim źródle nie ma wzmianki o nauce w Niemczech (Żukow również nie wspominał nic na ten temat), choć potwierdzało ją kilku niemieckich wyższych oficerów, a wśród nich generał F. W. von Mallenthin. Jest to bardzo prawdopodobne, zważywszy, że po zawarciu traktatu w Rapallo w 1922 r. obydwa państwa nawiązały ścisłą współpracę wojskową. Najwyżsi oficerowie widzieli w tym możliwość szybkiej modernizacji Armii Czerwonej, a przede wszystkim szkolenia kadry. Niemcy szukali okazji obejścia zakazów traktatu wersalskiego, co znakomicie umożliwiały radzieckie poligony, nie podlegające żadnej kontroli zwycięskich mocarstw, których inspektorzy bacznie obserwowali wszystkie poligony w Niemczech. Dlatego wysyłano do Kazania i Lipiecka tajnie produkowane czołgi i tam można było je swobodnie testować. Na niemieckich poligonach natomiast, gdzie odbywały się ćwiczenia dozwolone traktatem wersalskim, szkolili się radzieccy oficerowie.

Dojście Hitlera do władzy przerwało kwitnącą współpracę, a Rosjanie szybko się zorientowali, że nowy rząd stawia na mechanizację i rozwój wojsk pancernych. Michaił Tuchaczewski, gorący zwolennik takich zmian w Armii Czerwonej, korzystając wówczas z poparcia Stalina, przystąpił do modernizacji radzieckich sił zbrojnych. W korpusach kawaleryjskich w Białoruskim Okręgu Wojskowym zaczęto wprowadzać jednostki pancerne. Pierwsze dwa pułki pancerne miały otrzymać szczególnie wyróżniających się dowódców. Wyboru dokonał sam Józef Stalin, który chętnie wtrącał się w sprawy wojska i osobiście podejmował decyzje nawet w błahych sprawach; pierwszymi dowódcami zostali Dmitrij Pawłow i Gieorgij Żukow. Ta nominacja zdaje się potwierdzać informacje o studiach Żukowa w niemieckiej szkole wojennej, gdzie mógł być odpowiednio przygotowany do dowodzenia jednostką pancerną.

Nowe zadania okazały się bardzo trudne. Wszystko było nowe, żołnierze nie obyci ze sprzętem, nie przyzwyczajeni do innych warunków służby. Kadra nie umiała sobie poradzić z codziennymi problemami, liczne awarie i wypadki tworzyły chaos, w którym nowy dowódca łatwo mógł stracić władzę i... głowę.

Żukow odniósł sukces. Żołnierze z eksperymentalnej jednostki zapamiętali go jako dowódcę bardzo wymagającego, konsekwentnego, sprawiedliwego i unikającego stosowania surowych kar, które były na porządku dziennym w Armii Czerwonej.

Pewnego razu późnym wieczorem jednostka powróciła z ćwiczeń. Czołgiści, mając za sobą cały dzień służby w ciasnych i dusznych wnętrzach czołgów, gdy tylko wjechali do koszar i ustawili swoje maszyny na placu, poszli, za zgodą oficera dyżurnego, spać. Wkrótce zjawił się Żukow. Popatrzył na zabłocone czołgi i kazał wezwać oficera.

- Solidarność z towarzyszami broni to cenna cecha, ale, widzicie, w ten sposób im nie pomogliście, a wprost przeciwnie, złamaliście regulamin i doprowadziliście swoich towarzyszy do przekroczenia wojskowej dyscypliny i rozkazu. Wiem równie dobrze jak wy, że ludzie byli zmęczeni i że to było trudne dla nich [tj. umycie czołgów - BW], ale oni zostali powołani do służby, by się wyszkolić i przygotować do wojny, do jej trudności i wyrzeczeń. Zmęczenie podczas ćwiczeń to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co czeka nas w czasie wojny. Powinniście zostać zwolnieni ze służby i ukarani, ale w drodze wyjątku nie zrobię tego dzisiaj. Organizacja partyjna oceni wasze działanie i osądzi was. Później zobaczymy, co z wami zrobić.

Po chwili żołnierze, wyciągnięci z łóżek, musieli pod okiem dowódców kompanii i batalionów myć czołgi. Dwie godziny później Żukow sprawdził, czy pojazdy są w należyтым stanie i pozwolił żołnierzom udać się na spoczynek. Na placu pozostali dowódcy.

- Odnoszę wrażenie, że nie dorośliście do dowodzenia kompaniami. Przemyślcie to poważnie, możecie jeszcze zrezygnować, zanim nie jest za późno. Następnym razem nie pójdzie tak łatwo. Ostrzegam was.

Żukow do końca pozostał dowódcą wyrozumiałym i troszczącym się o żołnierzy, dbałym o to, aby nadaremnie nie przelewać ich krwi, co nie było cechą często spotykaną wśród radzieckich dowódców. Charakteryzował go jednak bezwzględny stosunek do oficerów. Dowódcy kompanii i batalionów, którzy zezwolili na pozostawienie brudnych czołgów, mieli ogromne szczęście, że skończyło się tylko na połajance. W czasie wojny za przewinienia tego rodzaju wysyłał oficerów do karnej kompanii, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Stawał się dowódcą wielkiego formatu: doskonale prowadził pułk, świetnie rozgrywał działania na manewrach, wybornie znał swój rodzaj broni. Stalin doceniał jego zdolności i lojalność do tego stopnia, że w 1936 r. odznaczył go Orderem Lenina. Jednakże w najważniejszym okresie nie zdecydował się wysłuchać jego rad.

W lipcu 1936 r. w Hiszpanii wybuchła wojna domowa. Przeciwno rządowi sojuszu stronnictw lewicowych, zapowiadającemu radykalne reformy społeczne, wystąpiły ugrupowania prawicowe mające oparcie w kadrze oficerskiej i części garnizonów. Siły obydwu stron były mniej więcej wyrównane i żadna z nich nie mogłaby odnieść zwycięstwa. O przebiegu wojny miał przesądzić udział innych państw. Najpierw włączyły się do niej Włochy i Niemcy, popierając buntowników. Do listopada 1936 r. niemiecki kontyngent lotniczy w Hiszpanii stał się tak liczny, że nadano mu nazwę Legionu Kondor: dysponował 30 samolotami bombowymi Ju 52/3m, 27 dwupłatowymi myśliwcami He 51 i 12 - He 70 oraz 16 innymi samolotami. Do tego trzeba jeszcze dodać jednostki artylerii polowej, oraz grupę czołgów "Drohne".

Włosi utworzyli Corpo Truppe Volontare - Korpus Oddziałów Ochotniczych - który bez lotnictwa liczył około 50 tysięcy ludzi.

Związek Radziecki przez wiele miesięcy po wybuchu wojny domowej pozostawał bierny. Stalin

nie kwapił się do pomocy, a wiele wydarzeń wskazywało, że śladem Francji i Wielkiej Brytanii zachowa neutralność w konflikcie na Półwyspie Iberyjskim. W sierpniu 1936 r. ZSRR podpisał pakt o nieinterwencji. Pierwsze dostawy broni i amunicji dla wojsk republikańskich rozpoczęły się dopiero wówczas, gdy hiszpański rząd przesłał do Odessy większość swoich rezerw złota o ogromnej, jak na owe czasy, wartości 500 milionów dolarów. W zamian Rosjanie dostarczali republikańskiemu wojsku samoloty myśliwskie I-16, bombowce SB-2, czołgi, amunicję, a także ochotników i instruktorów wojskowych. W czasie wojny w Hiszpanii służyło około 2 tysięcy instruktorów radzieckich, ale jednorazowo ich liczba nigdy nie przekraczała 500*.[* W brygadach międzynarodowych w czasie całej wojny służyło około 40 tysięcy ochotników z różnych państw świata. Najwięcej było Francuzów - około 18 tysięcy (zginęło 3 tysiące), Niemców i Austriaków - 5 tysięcy.]

Pomoc materiałowa była doskonałym interesem dla Związku Radzieckiego. Wywiad radziecki zorganizował sieć firm w ośmiu stolicach europejskich, które zajmowały się sprzedażą broni do Hiszpanii - nieźle na tym zarabiając. Co ciekawe: głównym dostawcą broni dla tych firm były Niemcy. Dodatkowy zysk dla Związku Radzieckiego polegał na tym, że wywiad tworzył w ten sposób swoje agencje, licząc na wykorzystanie ich w przyszłości.

W Hiszpanii przebywała grupa radzieckich obserwatorów, którymi dowodził generał Jan Berzin, szef wywiadu wojskowego Sztabu Generalnego. Oficerowie, wśród których znalazł się Żukow, bacznie obserwowali przebieg bitew, starając się zbierać jak najwięcej doświadczeń dotyczących użycia wojsk. Wielokrotnie musieli przełykać gorzkie pigułki z powodu kompromitujących działań radzieckich jednostek. Np. w rejonie Fuente de Ebro radziecki dowódca, mimo protestów oficerów republikańskich, skierował 40 czołgów na grząski teren. Zaledwie 12 zdołało powrócić, a reszta zagrzebała się w miękkim gruncie i została później zniszczona.

Generał Dmitrij Pawłow, który, jak należy sądzić, był głównym znawcą broni pancерnej, każdego dnia pisał długie raporty, jednakże doszedł do błędnych wniosków, że czołgi nie mogą działać samodzielnie na polu bitwy. Bezpośrednim następstwem takiej oceny działań w Hiszpanii było rozwiązanie w ZSRR dużych związków pancерnych - korpusów - i sprowadzenie udziału czołgów do wsparcia piechoty.

Żukow był innego zdania. Podczas dowodzenia pułkiem pancерnym, a potem w trakcie obserwacji działań czołgów radzieckich, włoskich i niemieckich w Hiszpanii, miał okazję ocenić przełamującą siłę nowej broni, ale niewiele mógł jeszcze powiedzieć. Tym bardziej że nadszedł czas, w którym każde nieopatrzone słowo mogło oznaczać śmierć: wielka czystka.

Georgij Żukow, który po powrocie z Hiszpanii objął stanowisko dowódcy 3., a później 6. korpusu kawalerii w Białoruskim Okręgu Wojskowym, przeżył ten straszny czas bez szwanku. Co więcej: w 1938 r. awansował na stanowisko zastępcy dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego. Dlaczego los (i NKWD) był dla niego tak łaskawy? Jest tylko jedno wyjaśnienie: miał szczęście, że w czasie wojny domowej był kawalerzystą i służył pod rozkazami ludzi, których Stalin darzył szczególną sympatią: Budionnego i Woroszyłowa. Na skutek tej sympatii Kliment Woroszyłow - prostak, gbur i głupiec - doszedł do stanowiska komisarza spraw wojskowych i przez wiele lat Stalin tolerował jego, aż nadto widoczną, niekompetencję. Z tego samego powodu Siemion Budionny nie poniósł żadnych konsekwencji za wyjątkowo nieudolne dowodzenie w 1941 r. wojskami Kierunku

Południowo-Zachodniego (obejmującego Front Południowo-Zachodni i Front Południowy oraz Flotę Czarnomorską).

Tak więc kawaleryjski rodowód sprawił, że Stalin patrzył na Żukowa łaskawym okiem. Kiedy zdecydował się zniszczyć starą kadre oficerską, musiał równocześnie przygotowywać nową. Mając dostęp do kartotek komisariatów obrony i spraw wewnętrznych, mógł wybrać młodych oficerów, wolnych od podejrzeń o powiązania z opozycją, którzy po przyjęciu awansów z jego rąk pozostaliby mu wierni. W tej grupie znaleźli się: Żukow, Pawłow, Markian Popów, Timoszenko, Andriej Jerjomienko, Apanasienko, Tiuleniew, Koniew i Stern. Wśród tych 9 oficerów 6 wywodziło się z 1. Armii Konnej.

1 czerwca 1939 r. w sztabie 3. korpusu kawalerii w Mińsku do Żukowa dotarł rozkaz bezzwłocznego stawienia się u komisarza obrony w Moskwie. Następnego dnia w gabinecie Woroszyłowa dowiedział się, że musi niezwłocznie udać się do Mongolii, gdzie powtarzające się starcia z wojskami japońskimi niepokoiły sowieckie władze. Pierwszy atak niewielkich sił japońskich (około 300 żołnierzy) nastąpił 11 maja 1939 r. Bez wątplenia było to rozpoznanie, gdyż 28 maja do boju ruszyło 5500 żołnierzy wspieranych przez 40 samolotów, ale zostali zmuszeni do odwrotu. Było oczywiste, że Japończycy ponowią uderzenia, a dowództwo Armii Czerwonej negatywnie oceniało możliwości oficerów dowodzących wojskami w Mongolii.

W sztabie 57. korpusu Żukow zastał grupę przerażonych oficerów, bojących się podjąć jakąkolwiek decyzję i z niecierpliwością oczekujących na telefon z Moskwy. Dlatego nie opuszczali sztabu, choć ich wojska znajdowały się w odległości 120 kilometrów i niewiele wiedzieli, co tam się dzieje. Dowódca 57. korpusu komdyw (dowódca dywizji) N. Feklenko szczerze przedstawił sytuację:

- Siedzimy tu rzeczywiście trochę za daleko, lecz rejon wydarzeń bojowych nie jest przygotowany pod względem operacyjnym. W terenie nie mamy ani jednego kilometra linii telefoniczno-telegraficznej, brak odpowiednio urządzonego stanowiska dowodzenia oraz lądowisk dla samolotów.

- A co się robi, żeby to wszystko zorganizować? - zapytał Żukow, wyraźnie zdziwiony bezradnością człowieka, który lada moment miał poprowadzić swoje wojska do walki z bardzo groźnym wrogiem.

- Mamy zamiar wysłać odpowiednią ekipę po materiał budowlany i przystąpić do urządzania stanowiska dowodzenia.

Już po kilku dniach, zapewne w wyniku dokładnego raportu, przesłanego przez Żukowa do Moskwy, dowódca 57. korpusu został zwolniony, a jednocześnie Sztab Generalny zdecydował się wzmocnić siły, nad którymi komendę powierzono Żukowowi, i wysłał 3 dywizje piechoty, brygadę pancerną, artylerię i samoloty myśliwskie. Stalin powiedział później: Żukow jest moim George'em B. McClellanem*.[* George Brianton McClellan (1826-1885), amerykański generał, głównodowodzący w latach 1861-1862 wojskami Unii w wojnie domowej. Zwolniony przez prezydenta Abrahama Lincolna za niewykorzystanie zwycięstwa nad konfederatami nad Antietam. W 1854 r. kandydował bezskutecznie na stanowisko prezydenta.] Tak jak McClellan, zawsze chce

więcej żołnierzy, więcej dział, więcej karabinów. Także więcej samolotów. Nigdy nie ma dość. Ale Żukow nigdy nie przegrał bitwy.

Bitwa nad rzeką Chałchyn-goł była rzeczywiście powodem dumy Żukowa. Bardzo sprawnie i sprytnie przeprowadził koncentrację wojsk. Jednocześnie zastosował środki, które zmyliły Japończyków: fałszywe rozmowy telefoniczne, fałszywe depesze, które łatwo było odszyfrować, maskowanie. Na podstawie tych sygnałów przeciwnicy byli przekonani, że wojska radzieckie szykują się do obrony, podczas gdy one przygotowywały się do ataku.

2 lipca 1939 r. wojska japońskie liczące 38 tysięcy żołnierzy, 310 dział, 135 czołgów i 225 samolotów sforsowały rzekę Chałchyn-goł. W rejonie góry

Bain-Cagan doszło do boju spotkaniowego, w którym Japończycy stracili wszystkie czołgi, większość artylerii i 10 tysięcy żołnierzy. Ponowny atak 8 lipca znowu zakończył się klęską.

W sierpniu Japończycy wzmocnili siły; nowo utworzona 6. armia liczyła 75 tysięcy żołnierzy, 182 czołgi i 300 samolotów. Jednakże Żukow potrafił wykorzystać swoją dobra passę: Moskwa zgodziła się na przysłanie dodatkowych oddziałów i nowego sprzętu. Na początku sierpnia wojska Żukowa liczyły 57 tysięcy żołnierzy, 498 czołgów, 542 działa i 515 samolotów.

20 sierpnia ruszyły do natarcia poprzedzonego nalotami 153 bombowców i blisko trzygodzinnym przygotowaniem artyleryjskim. Po 4 dniach walk wojska japońskie zostały okrążone, a po tygodniu zniszczone. Straty radzieckie i mongolskie w ciągu 3-miesięcznych walk wyniosły 18,5 tysiąca zabitych i rannych; straty japońskie (wg danych radzieckich): 61 tysięcy zabitych, rannych i wziętych do niewoli, 600 samolotów, 200 dział*.[* Klęska nad Chałchyn-gołem przesądziła o kierunku dalszej ekspansji japońskiej. Stratedzy japońscy uznali, że uderzając na radziecką Syberię napotkają zbyt duże siły. Jednocześnie brak rozstrzygnięcia w Chinach, gdzie japońskie dywizje nie potrafiły osiągnąć ostatecznego zwycięstwa, zadecydował o zwrocie na południe z zamiarem opanowania krajów zasobnych w surowce mineralne oraz odcięcia Chin od pomocy materiałowej państw zachodnich.]

Nagrodą za wielkie zwycięstwo nad Chałchyn-gołem był stopień generalski (dopiero co przywrócony w Armii Czerwonej) i spotkanie ze Stalinem, w maju 1940 r., w czasie którego Żukow dowiedział się, że został mianowany dowódcą największego Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego.

Zwycięstwa na Dalekim Wschodzie mogły utwierdzać Stalina w przekonaniu, że Armia Czerwona stanowi siłę, przed którą ugięła się Japonia i która będzie mogła opanować Europę. Działania w Polsce we wrześniu 1939 r., choć ograniczały się do niewielkich potyczek, też przyniosły sukces. Jednakże były to fałszywe dowody. Słabość ogromnej maszyny, jaką była Armia Czerwona, licząca w owym okresie 5 milionów żołnierzy, ujawniła się z całą siłą w czasie wojny z Finlandią.

Plany agresji na ten kraj od lutego 1939 r. przygotowywał generał Kirył Miereckow, dowódca Leningradzkiego Okręgu Wojskowego. To on zapewniał Stalina, że do podboju Finlandii wystarczą wojska jego okręgu.

30 listopada 1939 r. wojska radzieckie rozpoczęły działania wojenne pod fałszywym pretekstem ostrzelania przez artylerię fińską nadgranicznych posterunków radzieckich. Mimo ogromnej dysproporcji sił (ZSRR - 27 dywizji piechoty, 1 dywizja kawalerii, 1 korpus zmechanizowany, 3 brygady czołgów i około 800 samolotów. Finlandia - 14 dywizji piechoty, 1 brygada kawalerii - łącznie 400 tysięcy żołnierzy wspieranych przez słabe lotnictwo, bez broni pancernej i ciężkiej artylerii) wojska radzieckie zostały zatrzymane przez dywizje fińskie - doskonale przygotowane do obrony, świetnie dowodzone i wykorzystujące warunki terenowe i klimatyczne. Dopiero na początku 1940 r., poważnie wzmocnione (w lutym liczyły 55 dywizji, 2 tysiące czołgów i 2500 samolotów), przełamały przednią pozycję wojsk fińskich we wschodniej i centralnej jej części i, kontynuując ofensywę, przełamały główną pozycję obrony na zachodnim odcinku linii Mannerheima. W nocy z 12 na 13 marca ogłoszono zawieszenie broni. W wyniku działań wojennych wojska fińskie straciły 24 923 żołnierzy zabitych i około 35 tysięcy rannych; straty radzieckie wyniosły około 250 tysięcy zabitych, rannych i zaginionych, 800 samolotów i prawie 2300 czołgów.

Stalin wyjątkowo łagodnie obszedł się z tymi, którzy ponosili bezpośrednią winę za ogromne straty i kompromitujący Armię Czerwoną przebieg walk z małą armią fińską. Usunął ze stanowisk ludzi decydujących o sprawach armii: wierny Kliment Woroszyłow objął tytularne stanowisko przewodniczącego Komitetu Obrony oraz jednego z wiceprzewodniczących Rady Komisarzy Ludowych. Być może Stalin zdał sobie sprawę, że główną winę ponosi on sam (co Woroszyłow w chwili szczerości powiedział wprost: "Sam jesteś wszystkiemu winien. Wyniszczyłeś stare kadry w wojsku. Zabiłeś najlepszych generałów"). Jednakże zmiany, które nastąpiły w dowództwie Armii Czerwonej, niczego w rzeczywistości nie przeobraziły. W dalszym ciągu decyzje należały do ludzi niekompetentnych, acz bezgranicznie oddanych Stalinowi.

2 stycznia 1941 r. w Moskwie rozpoczęła się wielka gra wojenna, której założenia opracował generał Nikołaj Watutin, szef Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego. Przewidywał, że atak "niebieskich" (czyli Niemców), dysponujących niewielką przewagą w stosunku 6:5, nastąpi na froncie ciągnącym się od Bałtyku do Polesia. 11 stycznia, gdy gra dobiegła końca, było oczywiste, że "czerwoni" ponieśli druzgoczącą klęskę.

13 stycznia na Kremlu rozpoczęła się dyskusja nad wnioskami wynikającymi z gry. Główny referent generał Kiriłł Miereckow, szef Sztabu Generalnego, był wyraźnie zmieszany, nie potrafił jasno formułować myśli, a spotykając się z ostrymi docinkami Stalina, coraz bardziej tracił grunt pod nogami. Było oczywiste, że Stalin w nim widział głównego winowajcę niepowodzenia "czerwonych" w grze wojennej.

W dyskusjach brał udział Żukow. Być może jego wystąpienia, jasne, logiczne, przypadły do gustu Stalinowi. Rozmowy na temat wyniku gry wojennej zakończyły się 13 stycznia, a 14 stycznia Żukow został wezwany na Kreml.

- Biuro Polityczne postanowiło zwolnić Miereckowa ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego i na to miejsce wyznaczyć was.

Żukow był wyraźnie zaskoczony. Nie spodziewał się takiej decyzji, choć dla wszystkich było oczywiste, że dni Miereckowa są policzone.

- Nigdy nie pracowałem w sztabach. Zawsze byłem liniowcem. Nie potrafię być szefem Sztabu Generalnego - usiłowałem się bronić. Jednakże żadne argumenty nie mogły wpłynąć na zmianę decyzji Stalina. Czystka objęła również oficerów sztabowych i trudno było znaleźć odpowiedniego kandydata: absolwenci Akademii Sztabu Generalnego nie mieli niezbędnego doświadczenia i wymaganych stopni, a wśród dowódców okręgów jedynie Żukow wydawał się najbardziej odpowiedni.

- Biuro Polityczne postanowiło wyznaczyć właśnie was - powtórzył Stalin, wymawiając słowo "postanowiło" z takim naciskiem, że dalsze wzbranianie się przed objęciem nowego stanowiska mogło stać się dla Żukowa niebezpieczne. Powiedział tylko:

- A jeśli się okaże, że nie jestem dobrym szefem Sztabu Generalnego, będę prosił o przeniesienie z powrotem do służby liniowej.

- Dogadaliśmy się więc! Jutro ukaże się uchwała Komitetu Centralnego - Stalin zakończył rozmowę.

1 lutego 1941 r. Żukow rozpoczął pracę jako szef Sztabu Generalnego. Miał jednak rację, że wzbraniał się przed tą funkcją. Nie nadawał się do papierkowej roboty; administrowanie, co przyznawało wielu jego przyjaciół, śmiertelnie go nudziło. Jednakże nie poddał się. Chroniła go sympatia Stalina, o której wszyscy wiedzieli. To usuwało wiele przeszkód i powstrzymywało wrogów. Resztę osiągnął dzięki niezwykłej pracowitości i doskonałemu zorganizowaniu. Niedługo jednak piastował stanowisko szefa Sztabu Generalnego. Już pierwszego dnia wojny, 22 czerwca 1941 r. o godzinie 13.00, Stalin zatelefonował do niego:

- Nasi dowódcy Frontów nie mają dostatecznego doświadczenia w kierowaniu działaniami bojowymi wojsk i najwidoczniej są trochę zdetonowani. Biuro Polityczne postanowiło wysłać was do Frontu Południowo-Zachodniego, w charakterze przedstawiciela Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa. Do Frontu Zachodniego wyślemy marszałka Szaposznikowa i marszałka Kulika. Wezwałem ich do siebie i wydałem im odpowiednie wytyczne. Musicie polecieć natychmiast do Kijowa, a następnie razem z Chruszczowem udać się do sztabu Frontu w Tarnopolu.

Stalin nie chciał zrozumieć, że nadszedł czas straszliwej zapłaty za jego działania w latach 1937-1938. Dotkliwą klęskę w pierwszych dniach wojny uznał za wynik spisku najwyższych oficerów. Uważał, że dowódcy Frontów zdradzili go, że wycofują swoje jednostki lub poddają je, aby otworzyć niemieckim wojskom drogę do Moskwy. Dlatego zdecydował się wysłać zaufanych ludzi na najbardziej zagrożone odcinki, dając im nieograniczone uprawnienia.

Żukow niewiele mógł zdziałać. Kirył Kirponos, dowodzący Frontem Południowo-Zachodnim, był miernym dowódcą, ledwie radził sobie z dywizją liczącą kilkanaście tysięcy żołnierzy, a już zupełnie nie potrafił zapanować nad tak wielką formacją, jaką był front, z setkami tysięcy żołnierzy. Awans zawdzięczał wyjątkowo służalczej postawie w latach wielkiej czystki, gdy bojąc się o własną skórę (jego szwagier Jan Piątkowski mieszkał na stałe w Polsce), ze szczególną zaciekleścią tropił "wrogów ludu" w szkole piechoty w Kazaniu, gdzie był komendantem. W 1940 r. zgłosił się na wojnę z Finlandią i oddano mu dowodzenie 70. dywizją piechoty. Szczęśliwy traf chciał, że jednostka ta jako pierwsza wkroczyła do Wyborga, co zadecydowało o dalszej karierze Kirponosa:

odznaczenia, awans do stopnia generała pułkownika i stanowisko dowódcy Leningradzkiego oraz Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Prowadząc wojska Frontu Południowo-Zachodniego do walki, popełnił tak wiele kardynalnych błędów, że członek Rady Wojennej Frontu, kordom Waszugin, wniosł o jego natychmiastowe zwolnienie. Kirponos miał jednak szczęście, że Stalin wysłał do niego Żukowa, frontowca, który chciał ratować sytuację. Do dowódcy Frontu Zachodniego, generała Dmitrija Pawłowa, przybyli ludzie zdecydowani wykazać, jak bardzo przydają się Stalinowi w tropieniu zdrajców. Byli to: Woroszyłow, Mechlis, Szaposznikow. Mieli z góry upatrzone ofiary: dowódcę Frontu, oraz jego najbliższych współpracowników. Generał Pawłow, aresztowany 4 lipca, po dwóch dniach tortur przyznał, że jako uczestnik spisku Tuchaczewskiego w 1937 r. postanowił pomścić śmierć marszałka i otworzyć front przed wojskami niemieckimi. 22 lipca, po krótkim procesie, został rozstrzelany wraz z 3 innymi generałami. Nad kadrą dowódczą zawisła nowa groźba czystek i to w czasie, gdy wojska niemieckie parły na Moskwę. Każda klęska czy nawet rozkaz odwrotu, rzecz normalna, a niekiedy bardzo pożądana w warunkach nowoczesnej wojny, uważane były za zdradę ojczyzny, a za to groziła śmierć.

Żukow niewiele mógł pomóc Kirponosowi. Tym bardziej że już 26 czerwca, a więc 3 dni po przybyciu do Tarnopola, zadzwonił Stalin:

- Na Froncie Zachodnim powstała trudna sytuacja. Nieprzyjaciel znalazł się pod Mińskiem. Nie sposób dociec, co się dzieje z Pawłowem. Nie ma wieści o marszałku Kuliku. Marszałek Szaposznikow zachorował. Czy możecie natychmiast wrócić do Moskwy?

Stalin, który powoli dochodził do siebie po szoku, jakim było totalne załamanie polityki sojuszu z Niemcami, przejmował bezpośrednio kierowanie wojskiem. 30 czerwca 1941 r. stanął na czele Komitetu Obrony Państwa. 8 sierpnia utworzono Kwaterę Główną Najwyższego Naczelnego Dowództwa (było to kolejne przekształcenie utworzonej 23 czerwca Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa Sił Zbrojnych). Najwyższym naczelnym dowódcą, aż do końca wojny, był Józef Stalin. Jego najbliższym współpracownikiem został Geоргий Żukow.

Bez wątplenia wielką zasługą Żukowa było nakłonienie Stalina do wstrzymania krwawej rozprawy z frontowymi dowódcami. Okazją do tego stała się sprawa generała Iwana Koniewa, który ponosił bezsprzeczną winę za załamanie frontu pod Wiaźmą i otwarcie Niemcom drogi do Moskwy. Co prawda podobną odpowiedzialnością można było obarczyć marszałka Siemiona Budionnego, który, dowodząc Kierunkiem Południowo-Zachodnim, nie potrafił skoordynować działań dwóch wielkich frontów, zbyt długo zwlekał z wydaniem rozkazu odwrotu, co umożliwiło Niemcom okrążenie głównych sił. Stalin jednak nie chciał ruszać przyjaciela z lat wojny domowej. Było oczywiste, że spadnie głowa Koniewa. I wówczas Żukow wstawił się za nim. Powiedział Stalinowi, że takimi sposobami niczego się nie poprawi i nikogo nie podniesie na duchu. Może to wywołać natomiast negatywne odczucia w wojsku. "Przypomniałem mu, że oto rozstrzelano (...) Pawłowa i co to dało? Nic. (...) A Koniew to nie Pawłow, to człowiek mądry. Przyda się jeszcze".

W ten sposób Żukow uratował Koniewa, gdyż Stalin zdecydował się tylko pozbawić go dowodzenia frontem i nie postawił przed sądem, który bez wątplenia wydałby wyrok śmierci. Prawdopodobnie ta sprawa miała ważne następstwa: Koniew sprawdził się w czasie bitwy moskiewskiej i zapewne wówczas Stalin doszedł do wniosku, że lepiej nagradzać swoją kadrę, niż oddawać w ręce NKWD i niszczyć.

Stalin potrafił docenić przymioty charakteru i umysłu generała Żukowa. Polegał na nim całkowicie i od pierwszych dni wojny wykorzystywał jako strażaka do gaszenia największych pożarów.

10 września 1941 r. Żukow poleciał do Leningradu, gdzie wojska niemieckie przecięły ostatnią linię komunikacyjną i zablokowały miasto. Kierował obroną w okresie najsilniejszych niemieckich ataków, czyli do października 1941 r.

5 października Żukowa wezwano do telefonu. Telegrafista Kwatery Głównej informował:

- Będzie mówił towarzysz Stalin.

Po kilku minutach Żukow usłyszał głos Naczelnego Wodza:

- Chcę wam zadać tylko jedno pytanie: czy moglibyście wsiąść do samolotu i natychmiast przylecieć do Moskwy? Ponieważ wytworzyła się złożona sytuacja na lewym skrzydle Frontu Odwodowego w rejonie Juchimowa, przeto Kwatera Główna chciałaby zasięgnąć waszej opinii. Na swoim miejscu możecie pozostawić kogokolwiek, choćby Chozina.

- Proszę o zgodę na wylot wczesnym rankiem 6 października.

- Dobrze, jutro oczekujemy was w Moskwie.

Zaczynała się nowa karta, jedna z wielu w wojennej karierze generała. W Moskwie brał udział w organizowaniu obrony stolicy, a następnie wielkiej kontrofensywy, w wyniku której wojska niemieckie zostały odrzucone o 150 kilometrów na zachód, co załamało niemiecką "wojnę błyskawiczną".

W połowie 1942 r., tuż po awansowaniu Żukowa na zastępcę Naczelnego Wodza, Stalin skierował go do Stalingradu, miasta, które ze względu na położenie oraz rozwinięty przemysł zbrojeniowy miało ogromne znaczenie dla gospodarki wojennej Związku Radzieckiego. Tam koordynował działania Frontów w czasie wielkiej bitwy stalingradzkiej. Potem powrócił do Leningradu, aby nadzorować działania wojsk przystępujących do deblokady miasta, koordynował działania Frontów w czasie największej bitwy pancерnej świata pod Kurskiem, dowodził operacjami na Białorusi i Ukrainie i wreszcie na czele wojsk I. Frontu Białoruskiego przeszedł przez polskie ziemie i stanął nad Odrą, marząc aby jemu Stalin przydzielił zadanie zdobycia stolicy III Rzeszy i zakończenia II wojny światowej.

Wiosenny świt blado oświetlał podmoskiewskie pola, gdy ciemnozielona dakota zatoczyła krąg nad lotniskiem i zniżyła się do lądowania. Samolot zjechał z betonowego pasa i kołysząc się na nierównościach murawy, przejechał w stronę baraków na krańcu lotniska, gdzie pilot wyłączył silniki. W drzwiach kabiny pasażerskiej stanął niski krępy oficer w długim płaszczu. Zaczekał, aż podjedzie samochód i wtedy zszedł po drabince wysuniętej z kadłuba na trawę lotniska.

- Mam nadzieję, Gieorgiju Konstantynowiczu, że lot mieliście spokojny - oficer, który wysiadł z samochodu, zsalutował i otworzył tylne drzwi.

- Tak, tak - marszałek Gieorgij Żukow podniósł rękę do daszka czapki, odpowiadając na pozdrowienie oficera. - Faszyści już nie latają po zmroku. Jedziemy prosto do Naczelnego Wodza?

- Nie, towarzysz Stalin oczekuje was w późnych godzinach popołudniowych - wyjaśnił oficer, który usiadł na przednim siedzeniu, obok kierowcy.

Żukow odetchnął z ulgą. Lot z jego kwatery nad Odrą trwał 7 godzin. Pogoda była fatalna, samolotem trzęsło i rzucało tak, że nie mógł oka zmrużyć, a przez kilka poprzednich nocy niewiele spał. Wolał w takim stanie nie stawiać się przed Naczelnym Wodzem.

- Jaki mamy czas?

Oficer spojrział na zegarek.

- 6.15, towarzyszu marszałku.

- Ja pytam o dzień...

- 29 marca... - odpowiedział nieco zdziwiony żołnierz.

- Na froncie, synu, czas płynie inaczej - spokojnie powiedział Żukow i odwrócił się do okna.

Rozkaz wzywający go do Moskwy nie wyjaśniał celu podróży, ale Żukow nie miał wątpliwości, że chodziło o ostateczne opracowanie planu uderzenia na Berlin. Przewidywał, że operacja rozpocznie się na początku maja, co wydawało mu się bardzo krótkim terminem. Armie 1. Frontu Białoruskiego, którym dowodził, straciły wiele krwi podczas walk w Polsce. Wiele dywizji liczyło od 3 do 4 tysięcy żołnierzy zamiast od 10 do 12 tysięcy. Nie było wątpliwości, że walki o Berlin będą bardzo ciężkie. Należało dowieźć posiłki i zmagazynować setki tysięcy ton amunicji, paliwa, żywności, a to wymagało czasu, gdyż linie komunikacyjne wydłużyły się nadmiernie. Co prawda, na obszarze Polski poszerzano rozstaw torów, aby nie trzeba było zmieniać podwozi wagonów, ale mimo najsprawniejszej organizacji przygotowanie wojsk musiało zająć wiele tygodni. Żukow zdawał sobie sprawę, że Stalin będzie chciał rozpocząć operację berlińską jak najwcześniej, lecz nie przypuszczał jak bardzo wcześnie.

- Front niemiecki na zachodzie ostatecznie się załamał i prawdopodobnie hitlerowcy nie

zamierzają przedsięwziąć żadnych kroków w celu zatrzymania natarcia wojsk alianckich - powiedział Stalin, gdy późnym wieczorem Żukow wszedł do jego gabinetu. Uścisnął mu rękę i krążąc po pokoju, mówił dalej: - A jednocześnie na wszystkich ważniejszych kierunkach naszego natarcia Niemcy umacniają swoje zgrupowania. Oto mapa, zapoznajcie się z ostatnimi danymi dotyczącymi wojsk niemieckich.

Żukow podszedł do długiego stołu przy ścianie naprzeciw okien. Znał te dane. Według ocen radzieckich na zachodzie Europy Niemcy mieli 60 dywizji. Jednakże po klęsce w Ardenach, w ostatnich dniach 1944 r., jednostki te nie przedstawiały już większej wartości bojowej. Brakowało im paliwa, amunicji i odwodów. Alianci zaś mogli rzucić do boju 80 pełnowartościowych dywizji, w tym 23 dywizje pancerne. Lotnictwo anglo-amerykańskie panowało w powietrzu i mogło paraliżować ruchy pancernych kolumn, które miały jeszcze paliwo. Stalin słusznie się obawiał, że wojska brytyjskie i amerykańskie mogą dojść do Berlina, zanim dotrą tam Rosjanie.

- Kiedy nasze wojska będą gotowe do natarcia? - zapytał Stalin, gdy Żukow wyprostował się po przestudiowaniu map.

- 1. Front Białoruski może rozpocząć natarcie najpóźniej za dwa tygodnie - meldował Żukow. - 1. Front Ukraiński zapewne również będzie gotów w tym samym terminie. 2. Front Białoruski, według wszelkich danych, w związku z ostateczną likwidacją nieprzyjaciela w rejonie Gdańska i Gdyni, zatrzyma się tam do połowy kwietnia i nie będzie w stanie rozpocząć natarcia z rubieży Odry jednocześnie z 1. Frontem Białoruskim i 1. Frontem Ukraińskim.

Żukow bardzo sprytnie skonstruował odpowiedź na pytanie Stalina. Przedstawił pełną gotowość frontu, którym dowodził, ale oceniając, że 1. Front Ukraiński będzie gotów do natarcia w tym samym terminie, postawił w bardzo trudnej sytuacji marszałka Iwana Koniewa dowodzącego tym frontem, gdyż on potrzebował więcej czasu na przygotowanie swoich wojsk. Żukow liczył na to, że informacja o braku gotowości do akcji 2. Frontu Białoruskiego marszałka Konstantego Rokossowskiego, który miał uderzać na prawym skrzydle, skłoni Stalina do opóźnienia operacji, gdyż trudno było sobie wyobrazić, że dwa fronty uderzą w centrum i na południu, pozostawiając odsłonięte skrzydło północne. Jednakże te zabiegi nie zrobiły na Stalinie żadnego wrażenia.

- No cóż - powiedział spokojnie - trzeba będzie zaczynać operację, nie czekając na Rokossowskiego. Jeśli spóźni się o kilka dni, bieda niewielka.

Żukow patrzył bez słowa na Stalina. Wiedział, do czego zmierzał: uprzedzić za wszelką cenę aliantów! Musiało stać się coś nadzwyczajnego, co skłoniło Stalina do gwałtownego przyśpieszenia operacji berlińskiej. Co? Chwilę potem Stalin odpowiedział na to pytanie. Podszedł do stojącego przy oknie biurka i spod sterty papierów wydobył kartkę.

- Przeczytajcie to... - podał Żukowowi.

Była to informacja od "pewnego, życzliwego obcokrajowca", który donosił o rozmowach najwyższych hitlerowskich oficerów z przedstawicielami aliantów na temat możliwości kapitulacji wojsk niemieckich na zachodzie i otwarcia drogi do Berlina.

- No i co powiecie? - spytał Stalin, gdy Żukow odłożył kartkę. Nie czekał jednak na odpowiedź. Mówił dalej: - Przypuszczam, że Roosevelt nie naruszy porozumień jałtańskich, ale Churchill jest zdolny do wszystkiego.

Stalin właściwie oceniał sytuację. Amerykanie byli zdecydowani przestrzegać porozumień. Plany operacji opracowane przez naczelnego dowódcę wojsk sojuszniczych, generała Dwighta Eisenhowera, jednoznacznie wskazywały, że nie zamierza uderzyć na Berlin. Natomiast brytyjski marszałek Bernard Law Montgomery, dowódca 21. Grupy Armii, nie taił chęci zakończenia wojny w stolicy III Rzeszy, co bardzo odpowiadało premierowi Winstonowi Churchillowi.

Stalin wezwał generała Aleksieja Antonowa, szefa Sztabu Generalnego.

- Zadzwońcie do Koniewa i każcie mu przybyć 1 kwietnia do Kwatery Głównej z planem operacji 1. Frontu Ukraińskiego, a przez te dwa dni popracujcie z Żukowem nad planem ogólnym.

Obydwaj oficerowie zaszalutowali i wyszli z gabinetu Stalina.

- Musimy coś zjeść, zanim się zabierzemy do pracy - zaproponował Antonow.

Żukow zgodził się skwapliwie. Opuszczało go napięcie, lęk towarzyszący spotkaniom ze Stalinem, ale wzbierało uczucie ogromnego ciężaru, jakim była świadomość, że za kilkanaście dni będzie musiał poprowadzić swoje wojska do szturm na Berlin. Z drugiej strony marzył, że to on zapisze się w historii świata jako zdobywca Berlina, człowiek, który zakończył II wojnę światową w Europie. Byłoby to najpiękniejsze ukoronowanie życia żołnierza.

1 kwietnia Koniew przybył na Kreml. Już podczas pierwszego spotkania wyjawiał, jak bardzo zależy mu na dojściu do Berlina.

- Towarzyszu Stalin - mówił, odpowiadając na pytanie o to, czy będzie musiał przegrupować wojska - wszelkie niezbędne kroki zostaną podjęte. Przegrupujemy się na czas, by zdobyć Berlin.

Stalin wyznaczył dowódcom frontów bardzo krótki termin: 48 godzin na przygotowanie planów zdobycia Berlina.

3 kwietnia obydwaj przedstawili plany. Żukow zdecydował się skierować do głównego uderzenia 4 armie ogólnowojskowe, 2 armie pancerne. Łącznie z siłami drugiego rzutu 1. Front Białoruski wysłał do walki 768 100 żołnierzy. Natarcie miała poprzedzić nawała ogniowa 11 tysięcy dział, prowadzona przez 30 minut.

Koniew dysponował mniejszymi siłami: przewidywał, że rzuci do walki 3 armie ogólnowojskowe i 2 dywizje pancerne - 511 700 żołnierzy, ale rozpaczliwie potrzebował uzupełnień.

Stalin zaakceptował plany przedstawione przez dowódców, ale nie zamierzał dawać Żukowowi uprzywilejowanej pozycji. Kreśląc na mapie linię rozgraniczenia frontów Koniewa i Żukowa, doprowadził ją tylko do miejscowości Lubben, położonej około 60 kilometrów na południowy wschód od Berlina. Powiedział przy tym:

- W razie stawiania przez nieprzyjaciela zaciętego oporu na wschodnich podejściach do Berlina i ewentualnego zahamowania natarcia I. Frontu Białoruskiego [tj. frontu Żukowa - BW], I. Front Ukraiński [tj. front Koniewa - BW] ma być gotów do wykonania uderzenia armiami pancernymi na Berlin od południa. Tego samego dnia wieczorem obydwaj dowódcy pojechali na lotnisko, skąd polecili do swoich kwater. Rozpoczęła się najważniejsza operacja II wojny światowej w Europie, operacja, po której miała przestać istnieć III Rzesza.

Ostatnia Bitwa

Światło wydobywające się ze szczelin osłon reflektorów ledwo oświetlało leśną drogę. Jednakże kierowca jeepa, trzęsącego się niemiłosiernie na wybojach, z kocią zręcznością wymijał największe rozpadliny.

- Warto by go zatrzymać, gdy będę w Berlinie - pomyślał Żukow, z uznaniem przyglądając się wyczynom młodego kierowcy.

- Daleko jeszcze do Czujkowa? - zapytał.

- Około 5 kilometrów, towarzyszu marszałku - odpowiedział kierowca, nie odwracając wzroku od niebezpiecznej drogi. - Ale wkrótce powinniśmy wyjechać na asfalt. Będzie szybciej.

Żukow odsłonił rękaw munduru i spojrzał na zegarek. Za kilkanaście minut powinni dotrzeć do punktu obserwacyjnego dowódcy 8. armii gwardii generała Czujkowa.

Zadecydował, że atak rozpocznie się o godzinie 3.00. Doświadczenie podpowiadało mu, że jest to czas najlepszy, gdy żołnierze nieprzyjaciela są najmniej przygotowani do odparcia ataku i najłatwiej dają się zaskoczyć. Liczył, że nawała ogniowa zmiecie stanowiska obrony. Na niewielkim odcinku frontu zgromadzono 1150 czołgów i dział pancernych i 14 628 dział i moździerzy oraz 1531 wyrzutni raketowych. Planowano, że pierwszego dnia walk wystrzela 1,2 miliona pocisków. Ogniowa burza miała oszołomić nieprzyjaciela, zniszczyć jego linie obronne, zmusić oddziały przygotowane do obrony do dalekiego odwrotu. Żeby zwiększyć efekt, Żukow zaplanował zastosowanie jeszcze jednego, niekonwencjonalnego środka...

Po drugiej stronie Odry stały wojska Grupy Armii "Wisła" dowodzone przez generała pułkownika Gottarda Heinriciego, starego doświadczonego oficera, który w styczniu 1942 r. dowodził 4. armią pod Moskwą. Dobrze poznał rosyjską technikę ataku. I dlatego, gdy Rosjanie szykowali się do natarcia, Heinrici wycofywał swoich żołnierzy na drugą linię, aby radzieckie działa niszczyły puste transeje i okopy, nazywał to "biciem w pusty worek".

15 kwietnia, analizując w swojej kwaterze w Schönwalde raporty wywiadu, doszedł do wniosku, że wojska radzieckie rozpoczną szturm następnego dnia we wczesnych godzinach porannych. Natychmiast rozkazał generałowi Theodorowi Busse, dowodzącemu 9. armią, aby wycofał swoich żołnierzy na drugą linię obrony.

W nocy z 15 na 16 kwietnia transeje i okopy, w które Rosjanie wycelowali działa, były puste.

Do godziny 3.00 pozostały jeszcze 3 minuty, gdy Żukow i towarzyszący mu członek rady wojennej Frontu generał Tielegin wyszli z ziemianki, gdzie pili herbatę, i skierowali się na punkt obserwacyjny. Żukow przełamał początkową niechęć, jaką czuł do tego oficera, i chętnie przebywał w jego towarzystwie, ceniąc dowcip i zdrowy rozsądek generała.

Punktualnie o 3.00 wysoko poszybowały trzy zielone rakiety, dając sygnał do rozpoczęcia

przygotowania artyleryjskiego. Wnet niebo rozbłysło, jakby rozświetlone wiosenną burzą, a po chwili dał się słyszeć głuchy i długotrwały grzmot. Przycichło na moment, aż nowy błysk rozświetlił ciemności. Potem wszystko już zlało się w jeden nieustający huk.

Jasność, którą rozświetlały wybuchające pociski, zamieniła się w czerwoną lunę. Fala pożarów, wzniecona eksplozjami, ogarniała lasy i wsie z prędkością biegnącego człowieka. Po kilkunastu minutach gorące powietrze, niosące swąd spalenizny, piasek, kurz, popiół i płonące szmaty, dotarło do radzieckich okopów. Tam artylerzyści z otwartymi ustami, oszołomieni dymem prochowym i hukiem wystrzałów, jak w gorączce ładowali pociski i wysyłali je w stronę niemieckich stanowisk. Stamtąd nie padł ani jeden strzał.

Żukow był zadowolony. Brak aktywności nieprzyjaciela uznawał za wynik celnego ognia, który zniszczył stanowiska obronne i wypłoszył ich załogi.

Po półgodzinnej kanonadzie na niebie rozpały się tysiące różnokolorowych rakiet. I wtedy stało się coś dziwnego. Nad linią frontu rozbłysły jasnyniebieskie smugi, które rozżarzały się z sekundy na sekundę. To 140 reflektorów lotniczych, ustawionych w odstępach 200-metrowych, oświetlało stronę nieprzyjacielskich okopów. W jaskrawym blasku znikwały sylwetki żołnierzy i czołgów, które wyrwały się z okopów i podążały ku niemieckim liniom obronnym.

Żukow patrzył z dumą na to widowisko, pewny, że niemieccy żołnierze, z których niewielu mogło przeżyć straszliwą nawałę radzieckiej artylerii, oślepieni światłem reflektorów nie będą już mieli siły, aby oprzeć się pancernemu walcowi, który ruszył w stronę Wzgórz Seelowskich. Jednakże pierwsze godziny walki przekonały go, że się pomylił. Tempo natarcia zaczęło słabnąć. Niemieckie oddziały bezpiecznie schowane przed pociskami w okopach drugiej linii, powróciły na wysunięte stanowiska. Zbliżające się do nich radzieckie czołgi wytracały impet na świetnie przygotowanych stanowiskach dział przeciwpancernych. Niezwykle skuteczne armaty kal. 88 mm, niszczyły czołgi i żołnierze z panzerfaustami, zbierały straszne żniwo wśród nacierających wozów.

- Co to, do diabła, znaczy? Dlaczego twoje oddziały ugrzęzły?! - Żukow wrzasnął na generała Czujkowa, gdy tylko ten zameldował o skuteczności niemieckiej obrony.

Towarzyszu marszałku - spokojnie odpowiedział Czujkow - nie ma znaczenia, czy zostaliśmy przygwożdżeni na krócej, czy dłużej. Ofensywa już zwyciężyła. Obrona niemiecka stężała i na chwilę nas zatrzymali.

Żukow wiedział, że tamten miał rację. Ogrom środków, które zgromadzono do tej operacji, dawał pewność, że wcześniej czy później obrona niemiecka zostanie przełamana. Tylko pierwszego dnia radzieckie armaty wystrzeliły 2450 wagonów pocisków. Samoloty wykonały 6550 nalotów. Ale dla Żukowa największe znaczenie miało zdobycie Berlina, zanim zrobi to Koniew. On, który służył przez całą wojnę w najtrudniejszych miejscach wielkiego frontu, nie mógł dopuścić do tego, by czerwoną flagę zatknęli żołnierze innego dowódcy!

18 kwietnia obrona na Wzgórzach Seelowskich została przełamana. Tymczasem na południu, gdzie niemiecka obrona była słabsza, Koniew odnosił sukcesy, które bardzo niepokoiły Żukowa. 3. armia pancerna gwardii generała P. Rybałkowa zdobyła Zossen i w błyskawicznym tempie zbliżała

się do Berlina. Teraz aktualne stało się pytanie, czyje wojska pierwsze dojdą do punktu uznanego za centrum Berlina: do Reichstagu. Obydwaj konkurenci mieli równą szansę, ale ostateczną decyzję podjął Stalin. W rozkazie nr 11 074, wydanym 23 kwietnia, podzielił Berlin między dwa fronty. Linia podziału między wojskami Żukowa i Koniewa biegła zaledwie w odległości 200 metrów na zachód od Reichstagu, który znalazł się w strefie wojsk Żukowa. Jemu przypadła najwyższa nagroda.

Rankiem 3 maja marszałek w towarzystwie kilku oficerów, prowadzeni przez syna Wilhelma Piecka - Arthura, który dobrze znał Berlin, wyruszyli w stronę Reichstagu. Stalin dał mu satysfakcję dojścia do miejsca, o którym Żukow marzył. Kilka dni później pozwolił mu zakończyć wojnę w Europie.

7 maja zatelefonował do marszałka.

- Dzisiaj w mieście Reims Niemcy podpisali akt bezwarunkowej kapitulacji - powiedział. - Główny ciężar wojny dźwigał na swych barkach naród radziecki, a nie sojusznicy, dlatego też akt kapitulacji musi być podpisany w obecności naczelnych dowództw wszystkich krajów koalicji antyhitlerowskiej, a nie w obecności przedstawicieli Naczelnego Dowództwa Wojsk Sojuszniczych.

Ceremonia w Reims we Francji dotknęła Stalina do żywego. Tam 7 maja w nocy o godzinie 1.41 generał Alfred Jodl podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji. Ze strony aliantów zachodnich podpis złożył szef sztabu głównodowodzącego wojskami alianckimi generał Walter Bedell Smith, a ze strony radzieckiej generał major Iwan Susłoparow. W dokumencie przewidywano zakończenie działań wojennych 8 maja o godzinie 21.01. Opóźnienie wynikało z trudności, które napotykało dowództwo wojsk niemieckich w przekazaniu decyzji o kapitulacji do oddziałów rozrzuconych w Niemczech, a pozbawionych łączności z kwaterą główną.

Stalin, na wieść o zakończeniu wojny w Reims, zatelefonował do szefa sztabu artylerii generała N. Woronowa.

- Któż to jest ten "słynny" generał artylerii Iwan Susłoparow? Nie czekał jednak na odpowiedź. Przerwał bełkoczącemu Woronowowi. - Nie zadbaliście o właściwą edukację swoich ludzi. Generał Susłoparow zostanie odwołany do Moskwy i surowo ukarany.

Wbrew tej zapowiedzi Susłoparow, choć rzeczywiście odwołany do Moskwy, uratował życie, gdyż zabicie go, stawiałoby Rosjan w niezręcznej sytuacji. Woleli zrobić dobrą minę do złej gry i uznać dokument z Reims za "wstępny protokół". Jednakże cofnąć biegu wydarzeń już się nie dało. Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill i prezydent USA Harry Truman na wieść o podpisaniu kapitulacji w Reims zaproponowali, by 8 maja szefowie rządów złożyli oświadczenie o zwycięstwie nad Niemcami. Stalin zaprotestował. Argumentując, że walki jeszcze trwają, zaproponował złożenie takiego oświadczenia 9 maja. Churchill odpowiedział pierwszy: "Odroczenie mojego oświadczenia o 24 godziny, jak Pan proponuje, będzie dla mnie niemożliwe".

Prezydent Truman stwierdził 8 maja w liście do ambasadora Andrieja Gromyki: *Proszę Pana o powiadomienie marszałka Stalina, że jego pismo do mnie doszło do Białego Domu dzisiaj w nocy o*

godzinie 1.00. Jednakże, gdy list dotarł do mnie, przygotowania były zaawansowane tak dalece, że rozpatrzenie sprawy przesunięcia terminu ogłoszenia przeze mnie wiadomości o kapitulacji Niemiec okazało się niemożliwe.

Stalinowi udało się jedynie wytargować od sojuszników uznanie aktu z Reims za prowizorium kapitulacyjne i zgodę na podpisanie właściwego aktu 8 maja w Berlinie.

- Umówiliśmy się z sojusznikami - mówił Stalin w rozmowie telefonicznej z Żukowem, że podpisanie aktu w Reims będzie traktowane jako wstępny protokół kapitulacji. Jutro do Berlina przybędą przedstawiciele Naczelnego Dowództwa Niemiec, a także Naczelnego Dowództwa Wojsk Sojuszniczych. Reprezentowanie radzieckiego Naczelnego Dowództwa powierza się wam.

8 maja o godzinie 23.45 do gmachu szkoły saperów w berlińskiej dzielnicy Karlshorst przybyli przedstawiciele aliantów: brytyjski marszałek lotnictwa Arthur Tedder, amerykański generał Carl Spaat, francuski generał Jean M. de Lattre de Tassigny. Z Flensburga dowieziono byłego szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu feldmarszałka Wilhelma Keitla, naczelnego dowódcę marynarki wojennej admirała Hansa Friedeburga i generała pułkownika lotnictwa F. Stumpffa. Otwarcie ceremonii podpisania aktu kapitulacji przypadło marszałkowi Żukowowi.

Wojna w Europie została ostatecznie zakończona.

Krotki czas chwały

Niedzielny poranek 12 sierpnia 1945 r. był w Moskwie wyjątkowo upalny. Z tego też względu marszałek Żukow, śpieszący na wielką paradę z okazji Narodowego Dnia Sportu, zdecydował się założyć biały mundur. Co prawda speszył go trochę widok generała Dwighta Eisenhowera, który wszedł na plac Czerwony w polowym mundurze, ale nikt nie zwrócił na ten drobiazg uwagi. 20 tysięcy ludzi owacyjnie witało amerykańskiego generała, choć prasa niewiele miejsca poświęcała jego pobytowi w Moskwie, a informacja o udziale w odświętnej paradzie podana została w mało widocznym miejscu na kolumnach stołecznych gazet. A jednak moskwianie oczekiwali na tego człowieka będącego dla nich legendą. Szedł, uśmiechając się nieśmiało, wzdłuż długiego szpaleru ludzi wiwatujących na jego cześć. Obok niego postępował ambasador Averell Harriman, a pół kroku z tyłu szedł Żukow, któremu przypadła rola gospodarza podczas pobytu amerykańskiego generała w Związku Radzieckim. Weszli na podwyższenie tuż obok głównej trybuny na placu Czerwonym, gdy podszedł do nich generał Antonow.

- Generalissimus zaprasza pana na główną trybunę - zwrócił się do Eisenhowera. - Generalissimus powiedział, że jeżeli zechciałby pan przyjść, to zaprasza również dwóch pana towarzyszy, jeżeli chciałby pan ich przyprowadzić.

Ambasador Harriman nachylił się do ucha Eisenhowera:

- Nigdy w historii Związku Radzieckiego nie zapraszano obcokrajowca na główną trybunę - powiedział wyraźnie zdziwiony.

- Wobec tego, panie ambasadorze, i panie generale - Eisenhower zwrócił się do Harrimana i generała Johna Deane'a, szefa amerykańskiej misji wojskowej - chodźmy.

Po kilku minutach stanęli obok Stalina, który bardzo serdecznie powitał amerykańskich gości i ruchem ręki przywołał Żukowa trzymającego się o kilka kroków z tyłu.

Marszałek Żukow był ewidentnie wielkim faworytem Generalissimusa - zanotował w pamiętniku Eisenhower. - Żukow uczestniczył w każdej rozmowie, którą prowadziłem ze Stalinem, a obydwaj zwracali się do siebie w sposób zażyły i serdeczny. Było to dla mnie bardzo sympatyczne ze względu na wiarę w przyjaźń i współpracę z marszałkiem Żukowem.

Eisenhower wyciągał błędne wnioski, gdyż opierał się na czysto zewnętrznych oznakach: Żukow był członkiem Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec, naczelnym dowódcą radzieckich wojsk okupacyjnych i szefem lokalnej administracji. Skupiał w swoim ręku niemalże dyktatorską władzę. Były to stanowiska szczególnie istotne w powojennych miesiącach i na tej podstawie amerykański generał oceniał, że Żukow jest bliskim współpracownikiem Stalina. Do głowy mu nie przychodziło, że dni radzieckiego marszałka są policzone.

Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa, 1 stycznia 1946 r. na pierwszej stronie "Krasnoj

Zwizdy” zamieszczono wielką fotografię Stalina w mundurze. Tuż za nim stał uśmiechnięty Żukow, a po drugiej stronie Woroszyłow, Rokossowski, Koniew, Budionny, Timoszenko i inni. Tytuł głosił: *Ludzie radzieccy z radością i entuzjazmem wysuwają swoich najlepszych synów na kandydatów na posłów do Rady Najwyższej ZSRR. Poniżej zamieszczono przemówienie inżyniera z zakładów optycznych: Ludzie radzieccy doskonale znają sławnego przywódcę marszałka Gieorgija Konstantynowicza Żukowa. Jego nazwisko jest związane z licznymi wielkimi zwycięstwami Armii Czerwonej.*

Rosnąca sława marszałka nie mogła się podobać Stalinowi. Zaczął się obawiać najwyższych dowódców, gdyż oni przestali bać się jego. Strach, jaki sparaliżował kadrę oficerską w okresie wielkiej czystki, z biegiem lat wojny zaczął słabnąć. Ustępował miejsca poczuciu własnej siły, znaczenia, popularności wśród żołnierzy. Oficerowie, którzy przed wojną obawiali się wyrażać jakąkolwiek ocenę, nawet w towarzystwie najbliższych, zaczęli otwarcie krytykować decyzje władz partyjnych, a nawet samego Stalina. Przez wiele lat wpajano im, że za granicami Związku Radzieckiego panuje głód, że chłopci umierają w nędznych lepiankach, gdyż gospodarując na niewielkich poletkach nie mogą wyżywić rodzin, że robotnicy żyją w norach, do których wracają po kilkunastu godzinach zabójczej pracy u kapitalistów. Aż tu nagle wojenne drogi zaprowadziły ich do Polski, Czechosłowacji, na Węgry, do Niemiec. Zobaczyli wsie, w których nie było lepianek z mrącymi z głodu chłopami. Ujrzeni społeczeństwa lepiej zorganizowane, bogatsze, dostatniej żyjące.

Pozostawienie spraw swojemu biegowi groziło wybuchem, który mógł zmieść dyktatora i Stalin doskonale rozumiał to niebezpieczeństwo. Postanowił zastosować metodę sprawdzoną w roku 1937: pokazać swoją siłę, uderzając w najwyższego oficera, najbardziej popularnego w wojsku i społeczeństwie, zwycięzcę z Berlina - w Żukowa. Zniszczyć go, aby inni, widząc jak spada głowa wielkiego człowieka, struchleli przed potęgą dyktatora. Wówczas sparaliżowani strachem, daliby się złapać, jeden po drugim, nawzajem oskarżaliby się i dostarczali dowody winy.

W którym momencie Stalin wybrał Żukowa na swoją ofiarę? Prawdopodobnie było to na posiedzeniu Biura Politycznego WKP(b) 24 maja 1945 r. Stalin, upojony zwycięstwem, zadał najwyższemu dowódcy pytanie o to, co sądzą o nadaniu mu stopnia generalissimusa*. Żukow nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

- Powinniśmy pamiętać, że tytuł generalissimusa noszą tak odrażające indywidua, jak Franco i Czang Kaj-Szek - wypalił nagle.

Stalin zamilkł na dłuższą chwilę. Nie podjął dyskusji, a na jego twarzy widać było wściekłość. Żukow popełnił niewybaczalny błąd: uraził dyktatora, do żywego. Stalin nigdy nie zapominał zniewag. Mógł odłożyć zemstę na rok albo dziesięć lat, ale się mścił.

- Widzieliście sami, towarzyszu Stalin, jak ludzie się zmieniają - powiedział Andriej Żdanow, gdy następnego dnia przyszedł do Stalina, by pożegnać się przed wyjazdem do Leningradu. - Ja sam z trudem poznaję Żukowa, choć myślałem, że wiem o nim wszystko. Poznaliśmy się przecież w najtrudniejszych chwilach w Leningradzie, gdy faszyci już zagłądali do miasta.

Stalin słuchał z zaciekawieniem.

- Wydawało by się, że doskonały oficer, doświadczony frontowiec, zdyscyplinowany, a nie wiadomo kiedy takiemu przyjdzie do głowy sięgnąć po władzę - mówił dalej Żdanow. Nienawidził Żukowa, gdyż ten wielokrotnie wykazał mu niekompetencję w czasie obrony Leningradu we wrześniu 1941 r.

- Macie jakieś informacje? - zainteresował się Stalin.

- Gdybym miał, natychmiast bym was poinformował. I nie omieszkam tego zrobić.

Szybko jednak zmienił temat i mówił dalej o działaniach podejmowanych w związku z "wywrotowymi tendencjami", jakie dostrzegł w leningradzkim środowisku kulturalnym. Stalin wiedział o wojennym konflikcie Żukowa i Żdanowa, ale był przekonany, że za informacją o ambicjach marszałka kryje się coś więcej niż tylko zadawniona nienawiść. Coraz częściej dochodziły go słuchy, że Żukow uważa się za zwycięzcę II wojny, że skupia dookoła siebie oddanych mu całkowicie oficerów, że zabiega o popularność na Zachodzie.

Jesień była najpiękniejszą porą roku w Kuncewie, gdzie Stalin przebywał w swojej daczce - jednopiętrowym drewnianym domu wśród lasów, kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy. Tego roku mrozy się opóźniały, utrzymywała się piękna jesienna pogoda i Stalin często wyjeżdżał do Kuncewa.

Wielki czarny żył skręcił z szerokiej podmoskiewskiej szosy w las. Żołnierze stojący na poboczu zaszalutowali, ale pasażerowie samochodu nie zwrócili na nich uwagi, zajęci rozmową.

- Ławrentij, wyrasta nam nowy przywódca Związku Radzieckiego - Stalin patrzył bacznie na twarz szefa NKWD Ławrentija Berii. - Żdanow, Bułganin i paru jeszcze innych powiadają, że marszałek Żukow poczuł się w Berlinie bardzo pewnie.

- To prawda, Koba - skwapliwie przytaknął Beria. Był jednym z niewielu ludzi w Związku Radzieckim, któremu wolno się było zwracać do Stalina po imieniu. - Prawda. Moi ludzie informują o zbyt częstych kontaktach Żukowa z Eisenhowerem...

- Wydawało mi się, że tak doświadczony w polityce człowiek, jakim jest Żukow, powinien właściwie zrozumieć brak mojej zgody na wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

Stalin mówił o zaproszeniu Żukowa przez prezydenta Trumana do złożenia wizyty w Stanach Zjednoczonych.

- Zwłaszcza że już podczas startu samolotu chcieli uzyskać kompromitujące materiały - podjął temat Beria. - Niewykluczone, że zmusiliby go do pozostania w Stanach Zjednoczonych.

Zaproszenie prezydenta Trumana do odwiedzenia USA przekazał Żukowowi generał Eisenhower. Stwierdził wówczas, że radzieccy piloci nie mają doświadczenia w lotach nad Atlantykiem i zaproponował, żeby Żukow odbył podróż jego samolotem C-54 Sunflower. Marszałek, po uzyskaniu wstępnej zgody Stalina, przyjął zaproszenie i poprosił, aby generałowie Eisenhower i Clay towarzyszyli mu w podróży. Rychło się okazało, że żaden z nich nie może opuścić Europy.

Wówczas Żukow poprosił, żeby towarzyszył mu syn Eisenhowera - John. "W generalskim samolocie i z generalskim synem przy boku będę się czuł absolutnie bezpiecznie" - żartował Żukow.

Beria, któremu pomysł podróży do Stanów Zjednoczonych nie podobał się od samego początku, uważał, że kabina w samolocie będzie naszpikowana aparaturą podsłuchową, a w czasie wielogodzinnej podróży Amerykanie bez trudności wydobędą od marszałka, który nie stronił od alkoholu, interesujące ich wiadomości. Ostatecznie Stalin cofnął zgodę i Żukow poinformował Eisenhowera, że ze względu na chorobę musi odłożyć wizytę. Co prawda kilka dni po tej odmowie Eisenhower spotkał Żukowa na posiedzeniu Rady Sojuszniczej, ale uprzejmie zauważył, że marszałek rzeczywiście źle wygląda.

Samochód zatrzymał się przed domem. Z ganku wybiegł pułkownik Łozgaczow, szef ochrony Kuncewa, otworzył drzwi i stanął na baczność.

- Ostatnio widzieli się 7 listopada na przyjęciu w Berlinie z okazji święta rewolucji - powiedział Stalin, gdy tylko wysiedli i ruszyli w stronę domu wąską wyżwirowaną alejką. Lubił się chwalić informacjami, które uzyskiwał z innych niż Beria źródeł. Tym razem Beria nie dał się zaskoczyć.

- Otrzymałem dokładny raport w tej sprawie - odparł.

Weszli na ganek, gdzie usiedli za długim prostym stołem. Beria schylił się i z teczki, którą położył przy nogach krzesła, wyjął kilka kartek. Nie wyjaśniał, w jaki sposób otrzymał stenogram rozmowy, w której uczestniczyli Żukow z żoną, Eisenhower i tłumacz, ale wydawało się oczywiste, że były to zeznania tłumacza lub zapis na taśmie magnetofonowej, rejestrującej każde słowo, które padło w saloniku budynku radzieckiej misji w Berlinie.

Stalin wyciągnął rękę i przez kilka minut w milczeniu studiował stenogram.

- A to łajdak - powiedział po chwili. - Kuty na cztery nogi. Komunizmem się zasłania...

Beria wiedział doskonale, czego dotyczyła uwaga Stalina. W czasie rozmowy Żukow przekonywał Eisenhowera, że kapitalizm odwołuje się do egoizmu człowieka, komunizm zaś stara się wyrobić w obywatelu poświęcenie dla wielkiego narodowego kolektywu, którego jest częścią. Nie wspominał jednak ani słowem o Stalinie i nie zganił Eisenhowera, gdy ten potępił wszystkie systemy umożliwiające rozwój dyktatury. Poskarżył się natomiast na niesprawiedliwość amerykańskiej prasy.

- Proszę, oto pan Walter Kerr, wasz korespondent w Moskwie, napisał, że moja żona jest wyższa ode mnie - Żukow był bardzo dotknięty fałszywą informacją. - Wstań - zwrócił się do żony. - Proszę popatrzeć. Wyższa jest? Teraz pan widzi, jakie kłamstwa publikują wasi dziennikarze. Poza tym napisał, że mamy dwóch synów i córkę. Nie mamy synów, tylko dwie córki. A niedawno w waszych gazetach ukazały się artykuły przedstawiające towarzysza Stalina w niekorzystnym świetle. - Czytając ten fragment stenogramu, Stalin obruszył się ponownie. Nie podobało mu się, że marszałek zajmuje się takimi sprawami. - Gdyby taka publikacja o panu ukazała się w rosyjskim czasopiśmie, dopilnowałbym, aby ono natychmiast przestało istnieć. Zostałoby zniszczone. A pan co ma zamiar zrobić?

- Dureń - syknął przez zęby Stalin. Od takich spraw jest Gromyko [ambasador ZSRR w Waszyngtonie - B W].

Eisenhower nie miał kłopotów z odpowiedzią na uwagę Żukowa. Wyjaśnił, że w Stanach Zjednoczonych prasa jest niezależna, a potęga amerykańska opiera się na mechanizmach, które zapobiegają dyktaturze. Żukow nic nie odpowiedział.

Stalin odłożył kartki.

- Myśli, że jest już obrońcą Związku Radzieckiego - skwitował lekturę. - Jak przywołać go do porządku?

- Trzeba dać ludziom do zrozumienia, że Żukow nie korzysta z twojego poparcia. To powinno wystarczyć. Resztę zostaw mnie.

Stalin skorzystał z tej rady. Nie uwzględnił jednak faktu, że wojna bardzo zmieniła ludzi.

- Trzeba zwołać naradę najwyższych dowódców, aby przedstawić wątpliwości co do szczerości działań marszałka Żukowa. Gdy towarzysze przekonają się, że Żukow utracił zaufanie i poparcie kierownictwa partii, nie będzie większych kłopotów z pozbyciem się go.

Stalin postanowił skorzystać z metody, którą z powodzeniem stosował w latach trzydziestych. Jeśli któryś z najwyższych oficerów popadł w niełaskę, to tworzyła się dookoła niego próżnia. Odsuwali się najbliżsi współpracownicy i przyjaciele. Łatwo było złamać takiego człowieka. Stalin nie wątpił, że podobnie będą się miały sprawy z Żukowem, gdy jego otoczenie i najwyżsi oficerowie się dowiedzą, że marszałek nie jest już pupilem dyktatora.

Nie mylił się. Oficerowie zebrani w gabinecie Stalina w milczeniu wysłuchali słów dyktatora, który o swoim najwierniejszym dowódcy mówił, że przypisuje sobie wszystkie zwycięstwa i w sposób oczywisty obniża rolę Naczelnego Dowództwa. Potem zabierali głos: jeden po drugim potwierdzali zarzuty Stalina i występowali, mniej lub bardziej ostro, przeciwko Żukowowi. Dyktator, słuchając wystąpień tych ludzi, był zadowolony. Nie zawiedli go. Oddawali mu najlepszego ze swojego grona nie wiedząc, że gdy spadnie jego głowa, bardzo szybko polecą ich głowy.

Pierwsza Runda

- Giorgiju, niedobre wiadomości z Moskwy - generał Tielegin zamknął za sobą drzwi prowadzące z sekretariatu do gabinetu Żukowa, przeszedł szybko kilka metrów, które dzieliły drzwi od biurka, i usiadł na jednym z dwóch fotelików.

- Co znowu - Żukow zdjął okulary i z zaciekawieniem patrzył na przyjaciela. Słowa, z jakimi Tielegin wszedł do gabinetu, nie przstraszyły go.

- Wczoraj na Kremlu odbyła się narada najwyższych dowódców... - Tielegien przerwał, czekając na efekt tych słów.

- Nie sądzę, żeby było tam coś ważnego, skoro Stalin nie zaprosił mnie - spokojnie odpowiedział Żukow.

- No właśnie! - Tielegin przeszedł do sedna. - Stalin otworzył posiedzenie mówiąc, że sobie przypisujesz wszystkie zwycięstwa.

- Bzdura! - zachnął się marszałek.

- Nie mnie to tłumacz. Podobno wszyscy, którzy brali udział w tej naradzie, poparli go. Uznali, że lekceważysz rolę i znaczenie Najwyższego Dowództwa. Czy rozumiesz, jakie to może mieć następstwa?

- To jakieś nieporozumienie. Wyjaśnię wszystko w czasie najbliższej rozmowy ze Stalinem - Żukow usiłował zachować spokój, ale widać było, że wiadomość z Moskwy zdenerwowała go.

- Giorgiju, nie lekceważ tego ostrzeżenia - radził Tielegin. - Poza tym jest druga wiadomość. Sądzę, że w bezpośrednim związku z pierwszą: za kilka dni przyjeżdża do Berlina Abakumow.

- Zastępca Berii, Wiktor Abakumow? - upewniał się Żukow

- Tak, wicekomisarz spraw wewnętrznych Wiktor Abakumow - potwierdził Tielegin.

Żukow sięgnął po słuchawkę.

- Połączcie mnie z towarzyszem komisarzem Berią - polecił sekretarce.

Wstał zza biurka i oczekując na połączenie, zaczął nerwowo krążyć po gabinecie. Tielegin nie odzywał się. Wiedział, dlaczego wiadomość o przyjeździe generała Abakumowa poruszyła Żukowem. Ten człowiek, stojąc w czasie wojny na czele kontrwywiadu "Smiersz", zyskał sobie ponurą sławę bezwzględного i okrutnego wykonawcy poleceń Stalina. Na Kremlu wiedziano, że podczas przesłuchań w swoim gabinecie w NKWD kazał rozkładać szmaty na dywanie, aby przesłuchiwany nie zaplamiał krwią pięknego dywanu.

- Towarzysz Beria na linii - po chwili zameldowała sekretarka.

- Mówi marszałek Żukow. Towarzyszu Beria, tu na miejscu dowiaduję się, nie od was, że wysyłacie do mnie Abakumowa...

- Zamierzałem was powiadomić, że takie są polecenia Stalina. Jak dobrze wiecie, walka się zaostrza i musimy działać szybko. Jesteście przecież na najbardziej wysuniętej placówce.

- Nie musicie mi tłumaczyć, gdzie jestem. A na przyszłość bądźcie łaskawi informować, kogo przysyłacie na placówkę, za którą ja odpowiadam - powiedział dobitnie Żukow i odłożył słuchawkę.

- Meldujcie mi o wszystkich ruchach Abakumowa, a teraz wybacz, muszę trochę popracować.

Tielegin skinął głową i szybko wyszedł z gabinetu. Wiedział, że Żukow chciał pozostać sam, aby przemyśleć sytuację. Nie było cienia wątpliwości, że narada w Moskwie i przyjazd Abakumowa wiąza się bezpośrednio i zapewne chodziło o zebranie dowodów obciążających Żukowa.

Abakumow natychmiast po przyjeździe zebrał oficerów NKWD, pełniących służbę w Berlinie.

- Z naszych ustaleń w Moskwie wynika, że wrogowi udało się przeniknąć do szeregów naszego wojska, zaatakować i odnieść pewne sukcesy. Jednakże czujność towarzysza Stalina pozwoliła w odpowiednim momencie podjąć przeciwdziałanie. Skoro widzicie mnie tutaj, towarzysze, to znaczy, że sprawa jest bardzo poważna, a działanie wroga objęło nawet kręgi dowódcze naszych wojsk. Towarzyszu Pawlicki, jakie macie ustalenia?

Wywołany oficer wstał.

- Oto lista oficerów, którzy w ostatnim okresie szczególnie często kontaktowali się z Anglikami i Amerykanami. Sądzymy, że wróg upatrzył w nich swoich współpracowników - Pawlicki położył na stole przed Abakumowem kartkę z nazwiskami sześciu oficerów. Jest to pierwsza grupa, a po przesłuchaniu uzyskamy następne nazwiska.

- Jakie przygotowania poczyniliście?

- Oficerowie z tej listy znajdują się pod stałym nadzorem. Jutro możemy ich aresztować.

- Bardzo dobrze. Wezmę w tym udział. - Abakumow zakończył zebranie i udał się na bankiet powitalny na jego cześć, wydany przez szefa miejscowego oddziału NKWD.

Następnego dnia sześciu oficerów niemalże równocześnie zostało aresztowanych.

- Masz, czytaj - generał Wasilij Sokołowski, zastępca Żukowa, położył przed nim listę aresztowanych oficerów. - Ci ludzie zostali dzisiaj rano aresztowani przez Abakumowa. Czy ty coś o tym wiesz? Mnie nawet nie raczyli poinformować.

Żukow poczerwieniał na twarzy. Zerwał się z fotela, podszedł do drzwi sekretariatu.

- Dyżurny, do mnie! - krzyknął.

- Weźmiesz dwóch żołnierzy i pojedziesz do kwatery generała Abakumowa. Powiesz, że ma przyjechać do mnie... - przerwał na moment - ...i przyjedziesz z nim, choćbyś miał przywieźć jego ścierwo!

- Tak jest, towarzyszu marszałku! - żołnierz odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. Sokołowski patrzył na tę scenę ze zdumieniem. Dawno już nie widział tak wściekłego Żukowa. Zasalutował i oddalił się bez słowa.

- Towarzyszu generale, marszałek Żukow oczekuje was - żołnierz stanął w drzwiach pokoju Abakumowa. - A krótko mówiąc, mam rozkaz dowieźć was. Sami pójdziecie, po dobremu, czy mam wykonać rozkaz...?

Abakumow patrzył zdziwiony na zwalistego lejtnanta, który trzymał rękę na otwartej kaburze pistoletu. Jego mina mówiła wszystko: przy próbie odmowy wyjmie pistolet i zdzieli kolbą w głowę. Zrzucił bez słowa płaszcz i skierował się do wyjścia. Dwaj żołnierze, którzy stali za drzwiami, ruszyli za nimi pozostając jednak dwa kroki z tyłu.

- Na Łubiance tak się więźniów prowadzi! - wybuchnął Abakumow, ale idący z boku lejtnant nawet nie odwrócił głowy. Widząc to, generał zdusił w sobie upokorzenie i wstyd i dał się bez oporu wepchnąć do łazika stojącego na podwórzu.

Gdy wszedł do gabinetu Żukowa, opuściła go pewność, z jaką przybył do Berlina. Spotkanie ze starym frontowcem, bohaterem II wojny, onieśmieliło go.

- Aresztowaliście sześciu moich oficerów - powiedział Żukow, nie podnosząc głowy. - Zwolnicie ich natychmiast, czy mam was odesłać pod strażą do Moskwy?

- Towarzyszu marszałku, aresztowaliśmy ludzi podejrzanych o współpracę z imperialistami, a śledztwo bez wątpienia wykaże...

- Natychmiast... czy chcecie pod strażą do Moskwy? - warknął Żukow. Podniósł się z fotela za biurkiem i podszedł do Abakumowa. - Na froncie kazałbym was rozstrzelać. Zrozumiano!

Abakumow wiedział, że Żukow nie zwykł żartować i próba dalszego oporu może go drogo kosztować.

- Czy mogę zadzwonić? - ruszył w stronę biurka.

- Mówi Abakumow, z pułkownikiem Pawlickim - powiedział do słuchawki. - Zwolnicie aresztowanych oficerów. To mój rozkaz - dodał, słysząc zapewne, że Pawlicki jest wyraźnie zdziwiony nagłą zmianą decyzji.

Odłożył słuchawkę i obrócił się w stronę drzwi. Naciskając kłamkę zatrzymał się na moment i spojrzał na Żukowa. Chciał powiedzieć: "jeszcze się zobaczymy", ale napotykając twardy wzrok marszałka, przestraszył się, że jakakolwiek uwaga może mieć dla niego fatalne następstwa. Wyszedł szybko z gabinetu. Następnego dnia powrócił do Moskwy.

Beria szalał po wysłuchaniu raportu Abakumowa. Zbiegł po schodach swojego ministerstwa i kazał się wieźć na Kreml. Tam wpadł do gabinetu Stalina

- Żukow przegonił Abakumowa! - powiedział Stalin, zanim Beria zdążył otworzyć usta. - Widzisz, Ławrentiju, moi oficerowie to nie byle kto, a nad swoimi powinieneś trochę popracować.

- Koba, on czuje się zbyt pewnie - mówił o Żukowie Beria.

- Nie, to my popełniliśmy błąd. Nie doceniliśmy Żukowa, a poparcie najwyższych dowódców, wyrażone na grudniowej naradzie, może być funta kłaków warte.

Stalin i Beria usiedli po obu stronach długiego prezydialnego stołu.

- Mogliby z tego się wycofać, w pewnych okolicznościach – kontynuował Stalin. - I co wówczas mielibyśmy w rękę? Nic. Żukow udowodnił nam to z całą siłą.

- Znajdę dowody przeciwko niemu - burknął Beria. - Nie wymknie mi się z rąk.

- Posłuchaj, Ławrentiju, sprawa jest poważniejsza. Wczoraj rozmawiałem z moim Wasilijem - Stalin mówił o 24-letnim synu, generale majorze lotnictwa. - Powiedział mi, że jakość naszego sprzętu lotniczego jest dużo gorsza od amerykańskiego czy brytyjskiego.

Stalin wstał i swoim zwyczajem zaczął krążyć po pokoju.

- To doświadczony lotnik - wtrącił Beria. - W czasie wojny latał na samolotach dostarczanych przez sojuszników, wie, co mówi.

- No właśnie - kontynuował Stalin. - Jeżeli, mimo tak dużej wagi, jaką przykładamy do produkcji lotniczej, ciągle powstają złe modele, to znaczy, że rozplenił się sabotaż. Wróg przeniknął i tam...

- W 1941 r. zebraliśmy dużo materiałów dowodowych w tej sprawie - przypomniał Beria.

Na początku 1941 r. Główna Rada Wojenna zajęła się problemem budowy nowych typów samolotów. Wtedy zabrał głos dowódca lotnictwa generał lejtnant Paweł Rygaczow: "Awaryjność będzie większa, ponieważ zmuszacie nas do latania w latających trumnach" - powiedział.

Te słowa zaszokowały zebranych. Lotnictwo było uważane za oczko w głowie Stalina i uwaga dowódcy dotknęła go osobiście. "Nie powinniście tego mówić" powiedział po dłuższej chwili Stalin.

Wkrótce Rygaczowa uwięziono. Do więzienia, aczkolwiek nieco później, trafiła również jego żona - pilotka Maria Nesterenko. Potem nastąpiła seria aresztowań, których ofiarami padli konstruktorzy lotniczy, dyrektorzy zakładów, dowódcy lotnictwa. W celach znaleźli się: komisarz przemysłu zbrojeniowego Wannikow, dowódca wojsk obrony przeciwlotniczej generał Stern, dowódca lotnictwa Moskiewskiego Okręgu Wojskowego generał lejtnant Piotr Pumpur, były szef sztabu sił powietrznych generał lejtnant Fiodor Arżenuchin, konstruktor Jaków Taubin. Znamienne

było to, że dużą część aresztowanych stanowili Żydzi. Wskazywałoby to, że Stalin wyciągał przyjazną dłoń w stronę Hitlera. Dokonywał czystki w lotnictwie i przemyśle zbrojeniowym - dwóch dziedzinach o podstawowym znaczeniu dla obronności państwa. Był to więc bardzo wyraźny sygnał dla Hitlera, że Związek Radziecki nie ma żadnych planów agresywnych i liczy na dalszą przyjacielską współpracę z Niemcami. Ponadto usuwając Żydów, dawał Hitlerowi kolejny dowód dobrej woli.

Wybuch wojny raczej niweczył te plany i powinien spowodować uwolnienie niesłusznie aresztowanych. Jednakże okazali się potrzebni do tego, aby obarczyć ich winą za klęskę radzieckiego lotnictwa, które już pierwszego dnia walk straciło 1200 samolotów. Na przełomie czerwca i lipca nastąpiła nowa fala aresztowań. Tym razem wybór padł na: szefa sztabu sił powietrznych - generała majora Wołodina, dowódcę lotnictwa Kierunku Południowo-Zachodniego - generała Ptuchina, dowódcę lotnictwa Frontu Dalekowschodniego - generała lejtnanta Konstantina Gusiewa i wielu innych. Ukoronowaniem akcji było osadzenie w areszcie byłego szefa Sztabu Generalnego, niefortunnego autora planów wojny z Finlandią, generała Kiryłła Miereckowa. Jego bowiem "wyznaczono" na wojskowego przywódcę spisku. Politycznym przywódcą miał być brat Łazara Kaganowicza członka Biura Politycznego i sekretarza Komitetu Centralnego - Michaił (wpływowi brat na wieść o aresztowaniu powiedział: "trzeba postępować zgodnie z prawem").

Było oczywiste, że Beria zgodnie ze wskazówkami Stalina przygotowuje wielki proces przeciwko zdrajcom, ale wydarzenia na froncie ostatecznie zmusiły dyktatora do zrezygnowania z tego planu i wielu oskarżonych, jako wybitnych specjalistów, wypuszczono na wolność, jednakże równie wielu, po cichu, bez procesu, zamordowano.

Tę sytuację Beria przypomniał Stalinowi. Miał wszystkie dokumenty ze śledztwa prowadzonego w czerwcu i lipcu 1941 r., dowody, których nie mógł wówczas wykorzystać.

- To słuszna droga - powiedział Stalin, słuchając relacji Berii. - Złamiemy w ten sposób kark wrogom Związku Radzieckiego.

Pierwszą ofiarą został 14 grudnia 1945 r. zastępca dowódcy sił powietrznych, marszałek lotnictwa Siergiej Chudiakow. W ciągu kilku następnych miesięcy w więzieniu znalazło się całe dowództwo lotnictwa wojskowego, poczynając od marszałka lotnictwa Nowikowa.

Najważniejsi aresztowani przesłuchiwani byli osobiście przez Wiktora Abakumowa (marszałek Nowikow napisał w pamiętniku: *Byłem u Abakumowa co najmniej siedem razy zarówno w dzień, jak i w nocy (...) Metody przesłuchiwania stosowane przez Abakumowa: poniżanie, prowokacja, groźby, doprowadzenie człowieka do pełnego rozstroju moralnego i fizycznego*). Zwracali uwagę, że komisarz interesował się nie sprawami lotnictwa, lecz chciał wiedzieć jak najwięcej o działalności marszałka Żukowa. Nowikow nie wytrzymał tortur i podpisał specjalnie przygotowane zeznanie, że Żukow skupił wokół siebie grupę niezadowolonych oficerów i generałów oraz pogardliwie wyrażał się o Naczelnym Dowódcy. Biorąc pod uwagę rangę człowieka składającego takie zeznania, już na ich podstawie można było oskarżyć Żukowa o organizowanie spisku, którego celem było obalenie władz Związku Radzieckiego i ustanowienie dyktatury wojskowej. Dodając do tego zeznania innych aresztowanych, którzy, torturowani, podawali przykłady współpracy Żukowa z imperialistami, łatwo już było wysunąć zarzut "szpiegostwa", a za takie obwinienie bardzo wielu

ludzi zapłaciło życiem.

Niespodziewany Awans Marszałka

Był marcowy wieczór 1946 r. Żukow powrócił do swojego mieszkania późno. Wyraźnie zmęczony przygotowywał się do snu, gdy zadzwieczał telefon. Telefonował jego sekretarz.

- Towarzysz Stalin dzwonił przed kilkoma godzinami i nie zastawszy was, powiedział, abyście zatelefonowali do niego.

Żukow odłożył słuchawkę. Od pewnego czasu z niepokojem przyjmował telefony z Moskwy i z jeszcze większym niepokojem tam dzwonił. Wieści o serii aresztowań napawały go lękiem.

- Mówi marszałek Żukow, chcę rozmawiać ze Stalinem - powiedział, gdy tylko uzyskał połączenie.

Po chwili odezwał się Stalin.

- Rząd Stanów Zjednoczonych odwołał z Niemiec Eisenhowera, pozostawiając na jego miejscu generała Claya. Rząd brytyjski odwołał Montgomery'ego. Czy nie powinniście powrócić do Moskwy?

Żukow milczał przez chwilę. Ostatnie słowa Stalina nie były dla niego pytaniem, lecz poleceniem.

- Zgoda - nie mógł powiedzieć nic innego. - Jeśli chodzi o mojego następcę, to proponuję wyznaczyć na dowódcę grupy wojsk oraz głównego komendanta radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech generała Sokołowskiego. On najlepiej ze wszystkich jest zaznajomiony z pracą Sojuszniczej Rady Kontroli i dobrze zna własne wojska.

- Dobrze. Zastanowimy się nad tym - odparł Stalin. - Proszę czekać na wskazówki.

Odpowiedź nadeszła po kilku dniach. Stalin zatelefonował późnym wieczorem.

- Biuro Polityczne zgodziło się na wyznaczenie na wasze miejsce Sokołowskiego. Po kolejnym posiedzeniu Sojuszniczej Rady Kontroli proszę wyjechać do Moskwy. I jeszcze jedna sprawa. Zdecydowaliśmy się znieść funkcję pierwszego zastępcy ludowego komisarza obrony, a na jego miejsce utworzyć stanowisko zastępcy do spraw ogólnych. Na to stanowisko zostanie wyznaczony Bułganin, szefem Sztabu Generalnego mianowano Wasilewskiego. Na stanowisko dowódcy Marynarki Wojennej zamierzamy wyznaczyć Kuzniecowa. A jaką funkcję wy chlelibyście sprawować?

Stalin, wymieniając listę obsadzonych już najważniejszych stanowisk, nie pozostawił Żukowowi wielkiego wyboru.

- Będę pracował na każdym stanowisku, które Komitet Centralny uzna dla mnie za najodpowiedniejsze.

- Sądzę, że powinniście zająć się wojskami lądowymi. Uważam, że winny mieć własnego dowódcę. Nie sprzeciwiacie się?

- Zgadzam się.

- Więc dobrze. Powróćcie do Moskwy i razem z Bułganinem i Wasilewskim popracujecie nad funkcyjnymi obowiązkami i uprawnieniami kierowniczego aparatu Ludowego Komisariatu Obrony.

- Tak jest, towarzyszu Stalin.

Żukow odłożył słuchawkę. Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Tracił azyl, jakim dla niego był Berlin, gdzie mógł się czuć bezpiecznie. Powrót do Moskwy wydawał się zejściem do ciemnego lochu, gdzie czyhało tysiąc niebezpieczeństw. Wiedział o fali aresztowań, które co prawda objęły głównie dowództwo lotnictwa, ale nadchodziły wieści o aresztowaniach najwyższych oficerów innych rodzajów broni. Czy mogło to również jemu grozić? Po co przyjechał Abakumow?

Stalin, ściągając go do Moskwy, ofiarowywał wysokie stanowisko, ale na jak długo? Najwidoczniej chciał go mieć przy sobie, to znaczy pod bezpośrednią kontrolą.

W kwietniu 1946 r. wraz z rodziną był już w Moskwie.

Mijały miesiące i nic złego się nie działo. Aż do czerwcowego wieczoru.

Żukow siedział na leżaku przed wejściem do swojego domu letniskowego w Sosnowce pod Moskwą. Wieczór był upalny i duszny, więc zdjął koszulę i z niechęcią myślał, że w poniedziałek trzeba wrócić do pracy w mieście, gdzie temperatura szczególnie dawała się we znaki.

- Chyba ktoś jedzie do nas - na ganku stanęła żona i przysłoniwszy oczy ręką przed promieniami zachodzącego słońca, wpatrywała się w drogę biegnącą z lasu. Żukow spojrzał w tamtą stronę. W oddali widać było szybko jadący samochód. Podniósł się z leżaka i przez chwilę się zastanawiał, czy nie poprosić żony, aby przyniosła koszulę. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Być może zmierzali do niego wysoko postawieni goście, a nie zdążyłby się ogarnąć, zanim dostrzegą go z okna samochodu. Ruszył więc szybkim krokiem do sieni, słysząc jeszcze utyskiwania żony: przecież jesteś u siebie.

Założył koszulę i przez okno spoglądał, kogo to los im przywiódł. Z samochodu wysiedli trzej osobnicy, których wygląd mówił wszystko. Żukow przez chwilę się zastanawiał, czy nie wyjść do nich, ale zdecydował się pozostać w saloniku myśliwskim. Po chwili drzwi się otworzyły i dwaj mężczyźni weszli do pokoju.

- Marszałek Żukow? - zapytał ten, który stał najbliżej. Żukow nie odpowiedział, co nie przeszkodziło przybyszom. Rozejrzeli się szybko po pomieszczeniu.

- Jesteśmy z NKWD - wyciągnął z kieszeni legitymację w ciemnoczerwonej oprawie. - Mamy nakaz przeprowadzenia rewizji - mówił, nie wyciągając rąk z kieszeni.

- Tak, synu. Masz nakaz. To pokaż go. Ciekawym, kto podpisał - wycedził przez zęby Żukow.

- Pokażemy we właściwym czasie - do rozmowy włączył się drugi, prawdopodobnie wyższy stopniem. - Zaczynamy, Boria.

Żukow powoli podszedł do ściany i zdjął sztucer wiszący pod olbrzymimi szablami dzika, którego upolował zeszłego lata. Przeładował broń i podniósł do góry. Ze sposobu, w jaki to zrobił, wynikało, że następną czynnością będzie naciśnięcie spustu. Mężczyźni widząc, że nie ma żartów, gwałtownie rzucili się do drzwi. Słysząc było szybkie kroki i po chwili zobaczył ich przez okno, jak zamieniali kilka słów z trzecim mężczyzną, który pozostał przy samochodzie, po czym wsiedli do auta i szybko odjechali.

- Kto to był, Georgiju? - żona zajrzała do pokoju. Na jej twarzy widać było strach.

- Nic, nic, nie martw się. Tacy ludzie... - Żukow odwrócił się do okna, aby ukryć zdenerwowanie.

Nie mógł się zorientować, czy była to prowokacja, czy też próba zastraszenia go, choć bez wątpienia za wizytą trzech funkcjonariuszy stał Abakumow.

- Niech wiedzą, że nie pójdzie im łatwo - mruknął do siebie, ale zdawał sobie sprawę, że nic nie może zrobić. Wielki dowódca, rzucający do boju całe armie, wielbiony przez żołnierzy, witany kwiatami przez mieszkańców miast, z których jego wojska wypierały faszystów, decydujący o życiu i śmierci setek żołnierzy, stał teraz przy oknie dachy wiedząc, że może tylko biernie oczekiwać na to, co przyniesie mu los...

Stalin i Generałowie

Samochód punktualnie o godzinie 9.00 minął Bramę Spaską. Stalin wysiadł, trzymając na ręku stary wojskowy trenecz. Wszedł po schodach prowadzących do wejścia, minął salutującego żołnierza i windą wjechał na drugie piętro.

- Towarzysze już czekają - poinformował Proskrebyszew.

- Stalin skinął głową i skierował się do sali obrad. W dalszym ciągu trzymał pod ręką trenecz. Kiedy otworzył drzwi, oczy zebranych spoczęły na jego kurtce. Mówiło się, że miał ją przy sobie lub na sobie, gdy był w wyjątkowo złym humorze. Odłożył trenecz na krzesło stojące przy drzwiach i skierował się do głównego miejsca w prezydium. Na sali byli marszałkowie, generałowie oraz członkowie Biura Politycznego: Beria, Mołotow, Malenkow, Kaganowicz.

Stalin od razu przystąpił do rzeczy. Bardzo ostro, nie przebierając w słowach, zaatakował Żukowa. Przytoczył argumenty wymyślone przez Berię, a przez śledczych "wtłoczone" w usta torturowanych ludzi: Żukow wypowiadał się przeciwko rządowi, pomniejszał znaczenie Naczelnego Dowództwa i podważał jego autorytet, a w oficjalnych wypowiedziach, zwłaszcza dla prasy zagranicznej, wyolbrzymiał swoje znaczenie w zwycięstwie nad faszyzmem. Stalin usiadł. Teraz swoją rolę miał odegrać generał Siergiej Sztienienko.

Żukow widząc, jak zbiera papiery i idzie na mównicę, wiedział, że może spodziewać się najgorszego. Sztienienko był człowiekiem Berii, jemu zawdzięczał awans na szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego. Było oczywiste, że Beria, chcąc wzmocnić wymowę oskarżenia, oddał to w ręce wojskowego, ale całkowicie zależnego od siebie.

Tak było w istocie: Sztienienko odczytał materiały zebrane przez NKWD, opierające się na zeznaniach marszałka A. Nowikowa. Zeznaniach, które uznano za dowód na to, że Żukow skupił wokół siebie grupę niezadowolonych oficerów, gdyż przygotowywał zamach stanu.

Dowody zostały przedstawione. Teraz, zgodnie ze scenariuszem, Stalin oczekiwał, że usłyszy powszechne głosy potępienia, że wszyscy zebrani marszałkowie i generałowie uznają Żukowa za niegodnego zasiadania wśród nich, a wówczas Stalin, pod presją ogólnej opinii, zmuszony będzie przekazać sprawę aparatowi ścigania i sprawiedliwości ludowej.

Początkowo wszystko układało się zgodnie z jego przewidywaniami. Beria, Mołotow, Kaganowicz - członkowie Biura Politycznego - potępił Żukowa. Brakowało jednak głosów wojskowych, którzy wyraźnie ociągali się z oskarżeniem. Pierwszy z nich zgłosił się generał Fiodor Golikow. Jednakże jego argumenty nie miały żadnej siły, gdyż wiadano, że nienawidzi Żukowa, który w 1943 r. pozbawił go (całkowicie słusznie) dowództwa Frontu Briańskiego. Potrzebny był ktoś mający większy autorytet. Wybór padł na Koniewa. W 1941 r. interwencja Żukowa uratowała mu życie.

Zaczął tak, jak Stalin sobie życzył: skrytykował Żukowa za oschłość w stosunkach międzyludzkich, samolubność, nietolerancyjność, ale na tym krytyka się skończyła. W pewnym

momencie Koniew zaczął charakteryzować Żukowa jako wybitnego dowódcę, uczciwego człowieka, oddanego partii i ojczyźnie. Potem wstawali inni: marszałek Wasilij Sokołowski, marszałek Aleksandr Wasilewski, szef Sztabu Generalnego, marszałek Konstanty Rokossowski, marszałek wojsk pancernych Pawieł Rybałko, który pod rozkazami Żukowa zdobywał Berlin. Żaden z nich nie odważył się oskarżać Żukowa. Rybałko posunął się dalej.

- Towarzyszu Stalin, te zarzuty oparte są na zeznaniach wymuszonych na więźniach siłą - powiedział, jakby chciał uzmysłwić dyktatorowi, że za jego plecami dzieje się niesprawiedliwość.

Stalin usiłował interweniować, wtrącać uwagi do wypowiedzi wojskowych, ale widać było, że traci pewność siebie. Nie znalazł poparcia, którego oczekiwał i którego był pewien, dlatego stracił siłę. Prawdopodobnie planował, że tuż po naradzie Żukow zostanie aresztowany. Potem, torturowany, wskazałby innych "uczestników spisku". Odbyłby się proces marszałka oskarżonego o szpiegostwo, współpracę z imperialistami i planowanie spisku mającego na celu obalenie legalnych władz i ustanowienie dyktatury wojskowej. Ten scenariusz załamał się, ponieważ żaden z najwyższych oficerów nie zgodził się brać udziału w tym przedstawieniu, gdyż wiedzieli, że torturowany Żukow może podać ich nazwiska jako współników. Nie porozumiewając się między sobą, w obliczu zagrożenia zdecydowali się stanąć w obronie Żukowa. Czuli jeszcze w sobie wojenną siłę i nie ugięli się przed Stalinem. Ten, wiedząc, że przegrał tę rundę, powiedział do Żukowa:

- Przyjdzie wam na pewien czas opuścić Moskwę.

9 czerwca marszałek został wysłany do Odessy na stanowisko dowódcy tamtejszego okręgu wojskowego. Mianowanie bohatera Wojny Ojczyźnianej dowódcą mało znaczącego okręgu było wyraźnym aktem niełaski Stalina. Jednakże Żukow ocalał życie. Na jak długo? Generał Abakumow nie zapomniał upokorzenia, które spotkało go w Berlinie.

- Aresztant Kriukow - strażnik otworzył drzwi celi.

Wysoki, szpakowaty mężczyzna, który stał na baczność przy pryczy, ruszył w jego stronę. Wyszedł na korytarz i obrócił się twarzą do ściany, jak nakazywał regulamin. Poczekał, aż sierżant zamknie drzwi i posłusznie poszedł za nim. Przy końcu korytarza dołączyło do nich dwóch żołnierzy.

- Zwykła procedura - pomyślał aresztowany. Za każdym razem, gdy wzywano go na górę, tak sobie powtarzał i za każdym razem się bał.

Wspięli się schodami na pierwsze piętro i ruszyli długim korytarzem wyłożonym miękkim chodnikiem. Nie było słychać kroków. Kriukow widział przed sobą dwóch żołnierzy idących pewnie i szybko. Sierżant szedł z tyłu. Więźniowie mówili, że w tym korytarzu wykonywano wyroki śmierci. Tak po prostu: sierżant idący z tyłu wyciągał w pewnym momencie pistolet i strzelał w tył głowy. Może to była nieprawda. Może chodziło tylko o to, by dodatkowo dręczyć ludzi prowadzonych na przesłuchanie. Korytarz miał może 40, może 50 metrów długości, ale przejście tego odcinka wydawało się Kriukowowi najgorszą torturą. Chciałby zobaczyć, kiedy sierżant odepnie kaburę, wyjmie pistolet i przyłoży mu do tyłu głowy. Jednakże nie wolno się było odwracać, więc nasłuchiwał każdego szmeru, który mógłby być odgłosem odpinanej kabury czy szelestem ręki trącej o mundur. Czekał na ból.

Wreszcie doszli do wysokich, ciemnobrązowych drzwi, obitych skórą od wewnątrz. Kriukow spodziewał się zastać tam Lichaczowa, który go zwykle przesłuchiwał, ale tym razem zobaczył innego człowieka. Znał go. Był to generał Abakumow. Siedział za biurkiem, zajęty przeglądaniem papierów. Trwało to kilka minut. Kriukow rozejrzał się po pokoju, który dobrze znał. Ale dopiero teraz uzmysłowił sobie, dlaczego na ścianie w pokoju, w którym prowadzono przesłuchania, wisiało duże lustro w złoconych ramach. Patrzył na swoje odbicie i wydawało mu się, że widzi obcego człowieka: starca z siwymi włosami, ziemistą cerą, podkrążonymi oczami, krwią zakrzepłą przy uchu. A więc powiesili je po to, żeby badany mógł widzieć, jak się zmienia, jak opuszczają go siły. To był dodatkowy chwyt, taki jak przejście korytarzem wyłożonym miękkim dywanem. Wszystko po to, aby złamać podejrzanego.

- No, siadajcie - powiedział wreszcie Abakumow. Wstał zza biurka i podszedł bliżej.

- Oj, bili - stwierdził, przyglądając się ranom na twarzy i głowie.

- Bili - cicho powiedział Kriukow. - Jeden siadał na nogach, drugi na ramionach i grzmocili gumową pałką. Złamali mi nos, wybili zęby. O, popatrzcie - otworzył usta, pokazując bezzębne dziąsła, jeszcze nie zagojone.

- To dranie - z oburzeniem oświadczył Abakumow - ukarzę swołocz.

Kriukow gotów już był mu uwierzyć, gdyby nie ledwo dostrzegalny uśmiezek, jaki przemknął przez jego twarz.

- Ale, to nie takie proste, generale Kriukow - Abakumow wyciągnął paczkę papierosów w jego stronę. - Ukarzę jednych drani, przyjdą drudzy. I wiecie, co z wami zrobią? Będą jeszcze bardziej rozłoszczeni, że przez was ukarano kolegów. Przecież wy macie 52 lata. Piękną żonę. Chcecie, żeby Lidia Rusłanowa też zęby straciła? Przecież to nie tylko piękna kobieta, ale piosenkarka. Śpiewać nie będzie mogła.

Abakumow wyjął z teczki na biurku zdjęcie żony Kriukowa i położył tak, aby aresztowany mógł je widzieć.

- Siedzi w celi niedaleko was, oczywiście w żeńskim oddziale. - Abakumow podszedł do okna i udał, że zapatrzył się na coś na dole. To był następny chwyt. Pozwolił Kriukowowi spokojnie popatrzeć na zdjęcie żony. - Piękna kobieta - powiedział, nie odwracając się. - Pomyślcie, generale: nos jej złamię, zęby wybiją. Okrutników jest dużo. Kobiety nie uszanują...

- Czego ode mnie chcecie?

- A widzicie, obywatelu generale, zaczynamy rozmawiać. No to powiedzcie, w jaki to sposób w waszym mieszkaniu znalazły się 123 obrazy. Wszystkie tu są opisane: na przykład dwa obrazy Rublowa, jeden Chagalla, jeden Cranacha i tak dalej i tak dalej. To niezły majątek. A 700 tysięcy rubli w gotówce. Oj, to dużo. Skąd to macie?

Kriukow nie odzywał się.

- Widzicie, przesłuchiwali was, nic nie powiedzieliście. Was już nic gorszego spotkać nie może, ale żony szkoda. Dostaniecie wyrok, czy chcecie, czy nie, ale po co cierpieć i kazać cierpieć kobiecie. Mam w ręku wystarczająco dużo dowodów przeciwko wam i waszej żonie, żeby was wsadzić na długie lata. Możecie spowodować złagodzenie wyroku, jeśli powiecie wszystko o waszych wspólnikach. Skąd to macie?

Kriukow nie odpowiadał. Nagle rozległ się świst i na jego bark spadła gumowa pałka, która nie wiadomo skąd znalazła się w ręku Abakumowa. Poczł paraliżujący ból i przewrócił się z krzesłem na podłogę. Usiłował się podnieść, ale Abakumow nastąpił mu butem na dłoń. Ból paraliżował przedramię. Człł, że chyba uderzenie złamało mu obojczyk

- Skąd macie? - powtarzał Abakumow. - Mówcie, bo stracę cierpliwość.

Znowu uderzył, celując w to samo miejsce. Kriukow zawył z bólu. Dwa następne ciosy spadły na twarz i brodę. Poczłł, jak krew wypływa mu z ust.

- Z Niemiec... - wyjąkał.

- No, widzicie. Zaczynamy wreszcie rozmawiać. - Podszedł do telefonu i zażądał, żeby przyszedł protokolant. Ten stał już prawdopodobnie przygotowany za drzwiami, gdyż natychmiast wszedł, usiadł przy stoliku obok drzwi i zaczął notować.

Abakumow był wyraźnie zadowolony.

- Mówcie i nie wstydźcie się. U nas każdy zaczyna mówić po paru dniach - jego głos stał się znowu łagodny. - W jaki sposób dostaliście w Niemczech 123 obrazy mistrzów? Obywatele wam dali w podzięce za obalenie Hitlera?

- Od generała Tielegina...

- O, to ciekawe! - Abakumow był wyraźnie zadowolony. - Kiedy dostaliście?

- Moja żona występowała w Niemczech dla naszych wojsk. To znaczy, śpiewała patriotyczne pieśni. Wszystkim to się bardzo podobało. Marszałek Żukow nawet dał jej order. Często w naszym towarzystwie przebywał generał Tielegin. Pewnego dnia, był już mocno pijany, zaproponował, żeby moja żona przewiozła dużą przesyłkę do Moskwy. Powiedział, że wozi ze sobą skrzynie z ubraniami i rekwizytami, to ukryje w nich bez trudu paczkę, a takiej gwiazdy nikt nie będzie sprawdzał. Tym bardziej że z nią podróżuje mąż generała. Zgodziliśmy się.

- Co było w pakunkach?

- Biżuteria i obrazy

- Ile razy byliście w Niemczech na zaproszenie marszałka Żukowa?

- Trzy razy.

- Czy Tielegin mówił, że pakunki, jakie przewozicie, są przeznaczone dla Żukowa, lub są własnością Żukowa?

- Nie, nic takiego nie wspominał.

- Chyba źle zrozumieliście moje pytanie - warknął Abakumow, a jednocześnie dał znak protokolantowi, żeby nie notował ostatniej odpowiedzi Kriukowa.

- Towarzyszu śledczy, gdyby Żukow chciał przewieźć coś do Moskwy, nie musiałby korzystać z mojego pośrednictwa. Z Berlina wysyłano pociągi i wy o tym dobrze wiecie.

- To były pociągi z dobrami wywozonymi z niemieckiej strefy okupacyjnej jako odszkodowania wojenne dla naszego zniszczonego kraju.

- Tielegin wysłał pociąg złożony z 25 wagonów. Nie było tam maszyn, ale nie wiem, do kogo należały dobra przewożone w tych wagonach. Tielegin twierdził, że są to dary dla Tatarska.

- Powróćcie teraz do celi, a potem podpiszecie protokół. - Abakumow był wyraźnie zadowolony. Nie musiał już o nic więcej pytać. Miał w ręku dowody przeciwko człowiekowi, którego nienawidził całym sercem. Miał również drugi ślad, prowadzący do bliskiego współpracownika Żukowa.

Tielegin, który powrócił razem z marszałkiem Żukowem do Moskwy, został na podstawie zeznań Kriukowa zwolniony z wojska i 24 stycznia 1948 r. aresztowany. Śledztwo w jego sprawie

ciągnęło się do września 1951 r., gdy został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. W grypsie przemyconym z łagru pisał: *Śledczy i kierownictwo MGB [Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego - BW] żądali ode mnie zeznań o "spisku", którym jakoby kierowali Żukow, Sierow [dawny zastępca Żukowa, b. wiceminister spraw wewnętrznych - BW] i ja, dając do zrozumienia, że ich także aresztowano. (...) 26 lutego 1948 r. zostałem pośpiesznie przerzucony z wewnętrznego więzienia NKWD do lefortowskiego i tego dnia byłem potwornie, ze &wierzącym okrucieństwem, dwukrotnie pobity gumowymi pałkami przez śledczych Sokotowa i Samarina. Katusze te trwały codziennie do 4 marca 1948 r. Wyrywano mi kawałki ciała (świadczą o tym ślady, które noszę). (...) Jedynym moim pragnieniem i błaganiem wobec katów była myśl o tym, by mnie najszybciej zabili, kończąc w ten sposób moje męki. Traciłem świadomość, nie mogłem dłużej wytrzymać tortur. Katując mnie, oprawcy siadali mi na głowie i nogach, bili do nieprzytomności, a gdy traciłem przytomność, oblewali wodą i bili znowu. Potem za nogi wlekli po kamiennej podłodze do karceru, tłukąc moją głową o ścianę. Nie pozwalali mi leżeć, siedzieć nie mogłem. W ciągu pół roku byłem w stanie jedynie klęczeć przy ścianie, opierając o nią głowę. Morzyli mnie głodem, dręczyli pragnieniem, stale nie dawali spać - gdy tylko zasypiałem, dręczyciele zaczęli wszystko od początku. Zapomniałem nawet o tym, że mam rodzinę, zapomniałem imion żony i dzieci. (...) Śledztwo celowo wypaczyło i zniekształciło sens moich zeznań, by wyszło z nich oskarżenie osób, którymi interesowało się MGB. (...) Dopiero we wrześniu 1951 r. dano mi do podpisania protokół potwierdzający część oskarżeń (w szczególności dowcipy, jakoby opowiadane w grupie: Żukow, Sierow, Tielegin, wyśmiewające wodza narodów - Stalina).*

Żukow wiedział, że pętla zaciska się. Każdego ranka gdy wychodził do pracy. miał przy sobie niewielką walizkę. W niej była czysta bielizna i przybory toaletowe. Obawiał się, że w każdej chwili mogą zabrać go do więzienia. Serce nie wytrzymało stałego napięcia. Na początku 1948 r. zachorował na zawał serca.

Jednakże aresztowanie nie następowało. Do dzisiaj nie wyjaśniono, dlaczego Stalin nie odważył się zamordować marszałka. Może przesądziło o tym pamiętne zebranie, gdy najwyżsi oficerowie nie poparli oskarżeń. Może oczekiwał na zebranie dowodów tak pewnych, że nie musiałby oglądać się na poparcie wojska. Bez wątpienia wierny Beria informował na bieżąco Stalina o postępach w śledztwie w sprawie Żukowa i z informacji tych wynikało, że zebranie miażdżących dowodów jest sprawą miesięcy. Stalin czekał, ale sytuacja na świecie uległa gwałtownej zmianie. 26 czerwca 1950 r. w Korei wybuchła wojna, w którą bezpośrednio zaangażowały się Stany Zjednoczone (w ramach ONZ) oraz Chiny. Związek Radziecki obserwował wydarzenia z boku, ale było oczywiste, że udzielił pełnego poparcia finansowego i materiałowego Korei Pomocnej. Obydwa wielkie mocarstwa coraz bardziej zbliżały się do granicy bezpośredniego konfliktu. Wystarczyła tylko jedna decyzja Stalina o wysłaniu radzieckich żołnierzy do Korei lub zgoda prezydenta Trumana na zrealizowanie projektu generała Douglasa MacArthura, który zalecał zrzucenia bomb atomowych na Chiny, a wybuchłaby trzecia wojna światowa. Stalin zdawał sobie z tego sprawę i nie chciał ponownie znaleźć się w sytuacji, w której zabrakłoby mu najlepszych dowódców. Stary marszałek, który swą wartość wykazał w najbardziej przełomowych momentach wojny, stał się potrzebny.

Powoli nazwisko Żukowa znowu zaczęło się pojawiać: początkowo w plotkach i nie sprawdzonych wiadomościach (na przykład o spotkaniu z Mao Zedongiem i Kim-Ir Senem). W 1951 r. nazwisko marszałka znalazło się w radzieckich gazetach w związku z wizytą w Polsce. To

zapowiadało szybki powrót do łask. W listopadzie 1952 r. w czasie defilady na placu Czerwonym marszałek Żukow stanął na trybunie w bezpośrednim sąsiedztwie Stalina. Był zastępcą ministra obrony ZSRR.

Epilog

9 marca 1953 r. wielokilometrowa kolejka krok po kroku posuwała się w stronę domu, gdzie wystawiono trumnę ze zwłokami Józefa Stalina. Ludzie przechodzili w milczeniu, połykając łzy. Jeszcze wierzyli, że odchodzi od nich wielki wódz, człowiek, który budował potęgę powojennego państwa i prowadził naród do dobrobytu, jakiego na Zachodzie klasa robotnicza zaznać nie mogła.

W pewnym momencie na schodach prowadzących do sali, gdzie spoczywały zwłoki, pojawiła się grupa wyższych oficerów. Obok starego druha Stalina, Siemiona Budionnego, szedł Żukow. Razem podeszli do katafalku i przejęli honorową wartę. Na twarzy Żukowa nie było widać żadnego uczucia. Jak żołnierz na warcie, stał przy katafalku człowieka, który chciał go zabić. Nie mógł jeszcze czuć się pewnie. Stalin odszedł, ale pozostał Ławrentij Beria, osobisty wróg Żukowa, który robił wszystko, aby przejąć władzę.

Trzy miesiące później Żukow wszedł do sali na Kremlu, gdzie obradowało prezydium Komitetu Centralnego. Wyciągnął pistolet z kabury i powiedział do Berii:” Ręce do góry!”